

CHRISTOPHER PRIEST

ROZŁĄKA



UCZTA WYOBRAŹNI

CHRISTOPHER PRIEST

ROZŁAKA

Tłumaczył: Robert Waliś

**Wydawnictwo MAG
Warszawa 2015**

Tytuł oryginału:
The Separation

Copyright © 2002 by Christopher Priest

Copyright for the Polish translation
© 2015 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:
Joanna Figlewska

Korekta:
Urszula okrzeja

Projekt graficzny serii oraz opracowanie graficzne okładki:
Piotr Chyliński

Ilustracja na okładce:
Irek Konior

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Tomek Laisar Fruń

opracowanie wersji elektronicznej

lesiojot

ISBN 978-83-7480-542-1

Wydanie I

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 228 134 743

691962519

www.mag.com.pl

Paulowi Kincaidowi

CZEŚĆ PIERWSZA

1999

1

Tamtego czwartkowego marcowego popołudnia deszcz jednostajnie padał na całe Buxton. Miasteczko spowijał całun nisko wiszących chmur, szarych i przygnębiających. Stuart Gratton siedział przy niewielkim stoliku w jasno oświetlonej witrynie księgarni, zwrócony plecami do ulicy, chociaż od czasu do czasu oglądał się na powoli przejeżdżające samochody i ciężarówki oraz przechodniów, którzy rozchlapywali kałuże, chowali twarze przed deszczem i trzymali parasole nisko nad ramionami.

Na stoliku przed nim stał niemal do końca opróżniony kieliszek, a obok do połowy pusta trzystupięćdziesięciomililitrowa butelka białego niemieckiego wina. Obok butelki, w wąskim kieliszku do szampana napełnionym wodą sterczała pojedyncza czerwona róża. Na blacie po prawej stronie Stuarta spoczywała sarta oprawionych w twardą okładkę niesprzedanych egzemplarzy jego najnowszej książki „Wyczerpana wściekłość”, zawierającej ustne relacje grupy mężczyzn, którzy brali udział w Operacji Barbarossa, niemieckiej inwazji na Związek Radziecki w 1941 roku. Po lewej stronie, na skraju stolika, leżały dwie mniejsze serty niesprzedanych egzemplarzy jego starszych książek, wydań w miękkiej oprawie, które wznowiono przy okazji nowej publikacji. Jedna nosiła tytuł „Ostatni dzień wojny”, została wydana w 1981 roku, i ód tamtej pory wciąż wydawano

dodruki. To jej zawdzięczał swoją reputację. Druga nosiła tytuł „Srebrne Smoki”, i również stanowiła zbiór ustnych relacji, w tym wypadku przekazywanych przez żołnierzy i lotników, którzy brali udział w wojnie chińsko-amerykańskiej w połowie lat czterdziestych.

Obok dłoni Stuarta leżał jego długopis.

Właściciel księgarni, uprzejmy i wyraźnie zażenowany mężczyzna, którego Gratton znał tylko jako Raynera, stanął obok niego pół godziny wcześniej, gdy rozpoczęło się podpisywanie książek, ale kilka minut temu został wezwany w jakiejś innej sprawie. Teraz stał po przeciwnej stronie księgarni i najwyraźniej miał jakiś problem ze sklepową kasą albo komputerem. Przedstawiciel wydawnictwa, mający wspierać Grattona podczas podpisywania egzemplarzy, zadzwonił do niego na komórkę i poinformował, że się spóźni, gdyż na MI wydarzył się wypadek. W księgarni, która co prawda mieściła się w bocznej uliczce, ale niedaleko największych domów towarowych w centrum Buxton, nie było tłoku. Ludzie od czasu do czasu kryli się tutaj przed deszczem i z zaciekawieniem zerkali na plakat na ścianie zapowiadający podpisywanie książek, ale wyglądało na to, że nikt nie jest zainteresowany ich kupnem. Kilka osób wręcz się spłoszyło, uświadamiając sobie, po co Stuart tam siedzi.

Wszystko wyglądało inaczej, gdy podpisywanie się rozpoczęło: czekały na niego dwie albo trzy osoby, wliczając jego przyjaciela, Douga Robinsona, który wspaniałomyślnie przyjechał ze swojego domu w Sheffield, żeby udzielić Stuartowi moralnego wsparcia. Doug nawet kupił jedną z jego książek w miękkiej oprawie, twierdząc, że musi wymienić stary, sczytany egzemplarz. Gratton z wdzięcznością podpisał mu książkę, podobnie jak te, o które poprosili inni klienci, teraz jednak wszyscy już zniknęli. Doug, zgodnie z umową, miał czekać w barze hotelu Thistle, oddalonego o dwa domy od księgarni. Rayner poprosił Grattona o podpisanie kilku dodatkowych egzemplarzy, które chciał mieć „na stanie”, a także trzech albo

czterech sztuk przeznaczonych dla klientów, którzy wcześniej zamówili książkę pocztą, ale to było wszystko. Stuart wiedział, że ktoś kupuje jego książki – świadczyły o tym utrzymujące się dobre wyniki sprzedaży, i wciąż uznawano go za wiodącego pisarza na jego poletku, wyglądało jednak na to, że owego deszczowego popołudnia w Buxton pojawiło się niewielu jego czytelników.

Gratton żałował, że ponownie zgodził się na podpisywanie książek. Już kiedyś brał udział w podobnych przedsięwzięciach, zatem powinien był przewidzieć, co się stanie. Jednakże sprawę pogarszał fakt, że tym razem skrócił pobyt za granicą, gdzie zbierał materiały, żeby zdążyć na to spotkanie. Nadal był otumaniony po długim locie przez Atlantyk, a także zmęczony po bezsennej nocy i przytłoczony zaległymi obowiązkami zawodowymi, jakie nagromadziły się podczas jego nieobecności. W tym introspekcyjnym nastroju nagle przypomniał sobie swoją żonę Wendy, która zmarła przed dwoma laty. Lubiła tę księgarnię i kupowała w niej wiele książek. Rzadko się tutaj pojawiał od jej śmierci. Przez ten czas w księgarni zaszły wyraźne zmiany: nowy układ półek i regałów, jaśniejsze oświetlenie, kilka stolików i foteli, by klienci mogli przysiąść i poczytać.

Kiedy do końca podpisywania pozostało jeszcze nieco ponad dwadzieścia minut, Gratton dostrzegł kobietę, która weszła do księgarni z ulicy, trzymając pod pachą dużą bąbelkową kopertę. Szybko rozejrzała się po sklepie, zauważyła go przy stoliku i podeszła. Przez chwilę się sobie przyglądali. Jej włosy i płaszcz oraz koperta były mokre od deszczu. Stuart miał ulotne wrażenie, że już kiedyś ją widział i gdzieś się spotkali.

– Chciałabym to kupić – odezwała się, biorąc „Ostatni dzień wojny” w miękkiej oprawie. Kropelki wody skapnęły na blat. – Mam zapłacić tutaj?

– Nie, musi pani pójść do kasy – odrzekł Gartton, przyjemnie zaskoczony, że wreszcie ma coś do roboty. – Chciałaby pani autograf?

– Tak, poproszę. Pan Stuart Gratton, prawda?

– Zgadza się – odpowiedział, otwierając książkę, po czym zaczął pisać na stronie tytułowej.

– Mój ojciec za życia był jednym z pańskich najzagorzalszych admiratorów – powiedziała pośpiesznie, gdy jeszcze pisał. – Uważał, że robi pan coś ważnego, zachowując te wspomnienia.

– Chciałaby pani jakąś dedykację? Z pani imieniem?

– Nie... proszę tylko podpisać. – Obróciła głowę, żeby zobaczyć, co Stuart pisze. – Prawdę mówiąc, jestem tutaj z powodu mojego ojca. – Skinęła głową w stronę plakatu na ścianie. – Któregoś dnia byłam w tej księgarni i dowiedziałam się, że będzie pan podpisywał książki. Mieszkam w Bakewell, więc nie mogłam przegapić takiej okazji.

Gratton skończył składać autograf, uzupełniając wpis o datę. Wręczył książkę kobiecie.

– Bardzo dziękuję – rzekł.

– Tata też był na wojnie – kontynuowała pośpiesznie. – Spisał swoje doświadczenia w notatnikach. Zastanawiałam się, czy byłby pan zainteresowany...? – Wskazała kopertę, którą trzymała pod pachą.

– Nie jestem w stanie załatwić ich wydania – odparł Gratton.

– Nie o to chodzi. Pomyślałam, że może chciałby je pan przeczytać. Widziałam pańskie ogłoszenie.

– Gdzie?

– Dawny kolega taty z wojska mi je przesłał. Natrafił na nie w czasopiśmie „Przelot RAF”.

– Czy pani ojciec przypadkiem nie nazywał się Sawyer?

– Owszem. To również moje panieńskie nazwisko. Zobaczyłam pańskie ogłoszenie i uznałam, że notatniki taty mogą być tym, czego pan szuka.

– Czy on podczas wojny latał na pokładzie bombowca?

– Tak, właśnie w tym rzecz. – Pchnęła dużą kopertę w jego stronę. – Muszę się panu przyznać, że sama nie czytałam notatek taty. Nigdy nie potrafiłam odszyfrować jego pisma. Nie wspominał o nich zbyt wiele, ale spędzał całe godziny na pisaniu

w swoim pokoju. Dawno temu przeszedł na emeryturę i wiele lat mieszkał samotnie, ale pod koniec życia wprowadził się do mnie i mojego męża. Spędził z nami ostatnie dwa i pół roku życia. Zawsze coś skrobał w swoich notatnikach. Nigdy nie zwracałam na to większej uwagi, ponieważ dzięki temu nie wchodził mi w paradę. Może miał pan podobne doświadczenia...?

– Nie. Nic z tych rzeczy. Moi rodzice zmarli wiele lat temu.

– Tata mi kiedyś powiedział, że wszystko opisał: swoje całe życie, służbę w lotnictwie, wszystko, co zrobił. To dla mnie kolejny problem. Większość jego zapisków dotyczy wojny, a mnie ten temat nigdy nie ciekawił. Ale potem pokazano mi pańskie ogłoszenie i oto jestem.

Gratton przyjrzał się wilgotnej kopercie leżącej na blacie.

– To oryginały? – spytał.

– Nie, tata zapisał kilkadziesiąt szkolnych zeszytów. Walają się w jego sypialni, zbierając kurz. Mogę je panu udostępnić, jeśli będą potrzebne, ale przyniosłam panu kserokopie. Uznałam, że jeśli zapiski okażą się bezużyteczne, to przynajmniej może pan ponownie wykorzystać kartki.

– Cóż, dziękuję... pani...?

– Angela Chipperton, pani Angela Chipperton. Czy szukał pan właśnie mojego taty?

– Nie potrafię powiedzieć, dopóki nie przeczytam tego, co napisał. Zaciekawilo mnie coś, na co kiedyś natrafiłem. Sawyer nie jest nietypowym nazwiskiem, jak pani zapewne wie. Otrzymałem już kilkanaście odpowiedzi na swoje ogłoszenie, ale nie było mnie w kraju i jeszcze nie zdążyłem się nimi zająć. Przeczytam pamiętnik pani ojca najszybciej, jak to będzie możliwe. Czy zostawiła pani adres kontaktowy?

– Dołączyłam list przewodni z moim adresem.

– Jestem pani bardzo wdzięczny, pani Chipperton – odparł Gratton, po czym wstał.

– Niechętnie o to pytam – odezwała się, kiedy podawali sobie ręce na pożegnanie – ale czy istnieje możliwość... to znaczy, jeśli okaże się, że materiał nadaje się do publikacji, to czy w grę

wchodzi honorarium...?

– Zrobię, co będę mógł, i dam pani znać. Ale z doświadczenia muszę powiedzieć, że wspomnienia wojenne obecnie nie cieszą się dużym wzięciem, chyba że pisze je ktoś sławny.

– Widzi pan, kiedy zobaczyłam pańskie ogłoszenie, zastanowiłam się, czy właśnie nie o to chodzi. Dla mnie on był tylko tatą, ale może w czasie wojny zaangażował się w coś ważnego.

– Nie sądzę. Nigdy nie napotkałem odniesień do nikogo o nazwisku Sawyer w standardowych opracowaniach dotyczących wojny. Zapewne był zwyczajnym lotnikiem. Właśnie po to zamieściłem ogłoszenie, żeby sprawdzić, czego uda mi się dowiedzieć. Możliwe, że w tych zapiskach nie ma niczego ważnego. Poza tym pani ojciec może nie być człowiekiem, którego szukam. Jeśli coś odkryję, to z pewnością dam pani znać.

Wkrótce Angela wyszła, a Gratton wrócił na swój posterunek w witrynie księgarni.

2

Następnego dnia Gratton odkrył, że w kopercie otrzymanej od pani Chipperton znajduje się ponad trzysta nieponumerowanych kartek, skserowanych, jak wspominała, ze szkolnych zeszytów w linie. Te ostatnie skopiowały się niemal równie wyraźnie jak tekst, zapowiadając wiele godzin ślęczenia nad nimi i wyężania wzroku, co stanowi ryzyko zawodowe wśród badaczy historycznych. Pismo było drobne i przynajmniej w części notatek równe i przejrzyste, ale zdarzały się także długie fragmenty, w których stawało się chaotyczne i mniej czytelne. Niektóre części tekstu najwyraźniej zostały zapisane ołówkiem, gdyż słabo się odbiły. Gratton przejrzał kilka stron, po czym schował je z powrotem do koperty. Wyjął list przewodni i umieścił go w teczce z korespondencją. Pani Chipperton mieszkała w Bakewell, niewielkim miasteczku w Derbyshire, po drugiej stronie Buxton, przy drodze prowadzącej do Chesterfield.

Jak dotąd Gratton dowiedział się o istnieniu około tuzina oficerów i żołnierzy nazwiskiem Sawyer, którzy uczestniczyli w nalotach RAF-u na niemieckie cele w latach czterdziestych. Niemal wszyscy już nie żyli, a niewielu pozostawiło po sobie coś więcej niż listy albo zdjęcia dokumentujące ich doświadczenia. Grattonowi udało się wyeliminować z badań większość z nich. Pozostałym musiał się jeszcze dokładniej przyjrzeć.

Zmarły ojciec pani Chipperton sprawiał obiecujące wrażenie, ale objętość jego zapisków budziła zniechęcenie.

Gratton położył kopertę na szczycie sterty piętrzącej się obok jego biurka. Później będzie musiał to wszystko przeczytać. Większość materiałów nadesłanych w odpowiedzi na ogłoszenie czekała na niego, gdy wrócił z zagranicy. Powinien był

przewidzieć to dodatkowe obciążenie. Jego wyprawa tym razem okazała się długa i wymagała od niego jeżdżenia w kółko. Przeprowadził wiele wywiadów i spędził mnóstwo czasu w archiwach. Musiał odwiedzić Kolonię, Frankfurt i Lipsk, następnie z Niemiec przejechać na Białoruś i Ukrainę – do Brześcia, Kijowa i Odessy – a potem na północ do Szwecji. Na koniec spędził dziesięć nerwowych dni w USA, gdzie zawitał do Waszyngtonu, Chicago i St. Louis, osaczony za każdym razem przez podejrzliwych urzędników, gdy wsiadał do któregoś z potężnych transkontynentalnych pociągów, a także na lotnisku, kiedy zdecydował się na krótki krajowy lot. Zagranicznym gościom coraz trudniej było podróżować po Stanach Zjednoczonych, częściowo ze względu na restrykcje walutowe, ale głównie z powodu ogólnej nieufności wobec Europejczyków. Gratton uznawał to za kolejny element ryzyka zawodowego, jednakże opóźnienia powodowane przez urzędników celnych podczas przekraczania amerykańskich granic, stawały się uciążliwe. Poza trudami podróży w swoich poszukiwaniach badawczych musiał wytrzymać serię spotkań ze starszankami albo, coraz częściej, wdowami lub ich dorosłymi dziećmi.

Jednakże odczuwał satysfakcję, widząc, jak potrzebna jest jego praca. Poza górą listów i paczek, które czekały na niego na korytarzu, Gratton znalazł kilkaset e-maili w swojej skrzynce, a także ponad dwadzieścia wiadomości nagranych na automatyczną sekretarkę. Większość dzwoniących osób sprawiała wrażenie poirytowanych, gdyż nie udało im się z nim skontaktować ani dodzwonić na jego komórkę: to była wada albo zaleta – zależnie od punktu widzenia – tego, że z europejskich telefonów wciąż nie można było korzystać na terenie Stanów Zjednoczonych, dopóki nie skończy się batalia o liberalizację restrykcji.

Gratton przez dwa dni zajmował się zaległymi sprawami, zadowolony, że wreszcie wrócił i może swobodnie pracować. Oznaczał i katalogował najnowsze taśmy, a następnie przygotowywał je do wysyłki do agencji zajmującej się

transkrypcją. Podczas pracy ponownie zauważył opasty rękopis Sawyera. Kusił go pewien szczegół, który zauważył w kilku fragmentach. Oszczędziłby mnóstwo czasu, gdyby zlecił transkrypcję tekstu zawodowcom – w agencji, z której usług korzystał, pracował specjalista od odczytywania odręcznych zapisków. Kiedy Gratton wpadł na ten pomysł, nie było już odwrotu. Napisał do pani Chipperton i poprosił o przesłanie oryginałów notatek. Załączył oficjalny formularz dotyczący przekazania praw autorskich, aby zagwarantować sobie prawo do sporządzenia transkrypcji, a następnie cytowania rękopisu, jeśli zajdzie taka potrzeba.

To wszystko sprawiło, że znów zaczął rozmyślać o sprawie Sawyera. Rankiem czwartego dnia po powrocie zasiadł przy komputerze i starannie ułożył list do jednego ze swoich wcześniejszych rozmówców.

Kapitan w st. sp. Samuel D. Levy
Skr. pocz. 273
Antananarivo, Republika Masada

Szanowny kapitanie Levy!

Mam nadzieję, że mnie Pan pamięta: mniej więcej osiem lat temu przyjechałem do Antananarivo, żeby z Panem porozmawiać o Pańskich doświadczeniach ze służby w siłach powietrznych Stanów Zjednoczonych podczas kampanii w Chinach i Mandżurii w latach 1942-3. Był Pan na tyle uprzejmy, że poświęcił mi kilka godzin. Dzięki tym rozmowom zyskałem mnóstwo doskonałych materiałów dotyczących nalotów z użyciem bomb zapalających: ataków na japońskie fortece w Nankinie i Yichang. Wykorzystałem większość tych informacji w swojej książce opowiadającej o tamtej kampanii, wydanej pod tytułem „Srebrne Smoki: 9. dywizjon amerykańskich sił powietrznych w Chinach“. Pamiętam, że poprosiłem wydawcę, żeby wysłał Panu egzemplarz autorski. Później nie kontaktowaliśmy się ze sobą, więc na wypadek, gdyby nie otrzymał Pan wspomnianej książki, załączam nowe wydanie w miękkiej oprawie. Tak jak w poprzednich wydaniach, wywiad z Panem stanowi istotną część pierwszych kilku rozdziałów.

Pozwoli Pan, że przejdę do sedna mojego listu.

Ostatnimi czasy zainteresowałem się życiem i karierą jednego z uczestników wojny, kapitana lotnictwa Sawy era. (Nie znam jego imienia ani nawet inicjałów). Z panem Sawy erem wiąże się pewna tajemnica. Dowiedziałem się o niej za sprawą Winstona Churchilla. Napotkałem krótką wzmiankę

o tej zagadce w drugim tomie wojennych pamiętników Churchilla, „Niemiecka Wojna: tom II, Ich najlepsza godzina”. Załączam kserokopię kluczowego fragmentu. Pochodzi z Dodatku B, w którym znalazły się notatki i memoranda premiera Churchilla z tamtego okresu. Ta notatka, wysłana do członków gabinetu wojennego, pochodzi z 30 kwietnia 1941 roku. Churchill wspomina o Sawy er ze, byłym pilocie bombowca RAF-u, który odmówił służby wojskowej. Premier uznał to za intrygujące, podobnie jak ja. Zaciekawiło mnie także, że nigdy wcześniej nie natrafiłem na jakiegokolwiek informacje o panu Sawyerze. Churchill również nie podejmuje tego zagadkowego tematu w żadnym innym miejscu.

Na podstawie jego słów mogę ustalić, że Sawyer służył w RAF-ie w 1941 roku – zapewne także wcześniej, a możliwe, że i później. Ta informacja o czymś mi przypomniała, przestudiowałem więc posiadane wywiady z byłymi członkami RAF-u. Okazało się, że na jednej z Pańskich taśm pojawia się wzmianka o mężczyźnie nazwiskiem Sawyer. Opowiadał Pan o swoim pochodzeniu, o tym, co Pan robił, zanim wybrał się Pan do Stanów Zjednoczonych, żeby wstąpić do brytyjskiego skrzydła amerykańskich sił powietrznych i wziąć udział w inwazji na japońskie wyspy. To musiało nastąpić latem 1941 roku, gdy większość byłych żołnierzy RAF-u dołączała do Amerykanów.

Wygląda zatem na to, że w kwietniu wciąż służył Pan w szeregach RAF-u, co stanowi zbieg okoliczności, którego nie mogę zignorować. Z kontekstu zarejestrowanej rozmowy wynika, że Sawyer, którego znał Pan w Wielkiej Brytanii, był oficerem, może pilotem, ale nie jest jasne, czy należał do Pańskiej drużyny. Bardzo chciałbym się dowiedzieć, czy Sawyer, którego Pan znał, to człowiek, którym zainteresował się Churchill. A jeśli tak, to czy poznał Pan Sawyerera bliżej? Jak go Pan wspomina?

Z pewnością jest Pan zajęty, więc nie oczekuję długiej

odpowiedzi. Jeśli ta historia okaże się wystarczająco ciekawa, chciałbym namówić swojego wydawcę na podpisanie ze mną umowy na książkę o Sawyerze. Jeżeli tak się stanie, a Pan będzie zainteresowany, mogę ponownie odwiedzić Pana na Madagaskarze i zarejestrować Pańskie wspomnienia na taśmie, tak jak poprzednio.

Dopiero zacząłem badać postać pana Sawyera, będę więc miał wiele innych tropów do sprawdzenia. Wasza możliwa więź to strzał w ciemno.

Z pewnością w RAF-ie służyło wielu młodzieńców o tym nazwisku. Zamieściłem liczne ogłoszenia w najpoczytniejszych czasopismach dla specjalistów i weteranów. Większość odpowiedzi, jak dotąd dwanaście, pochodziła od byłych członków RAF-u albo ich rodzin, wygląda jednak na to, że dzieje tego człowieka nie ograniczają się jedynie do jego służby w siłach powietrznych, dlatego niezwykle interesuje mnie wszystko, co może mi Pan przekazać.

Mam nadzieję, że ten list zastanie Pana w dobrym zdrowiu i w pełni sił oraz że wciąż cieszy się pan emeryturą w pięknym domu, który miałem zaszczyt odwiedzić ostatnim razem. Z ogromnym zainteresowaniem czekam na Pańską odpowiedź.

Z poważaniem,
Stuart Gratton

Stuart Gratton przyszedł na świat późnym wieczorem 10 maja 1941 roku. Urodził się około trzech tygodni przed terminem, ale poza tym jego narodziny przebiegły normalnie. Dorastał w powojennej Wielkiej Brytanii, w czasach wielkich społecznych i politycznych przemian, ale, jako że większość tych przełomowych lat przypadła na jego dzieciństwo, nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje na świecie.

Dla niego wojna z Niemcami była wydarzeniem, które wpłynęło na pokolenie jego rodziców i zjednoczyło ludzi tamtych czasów w sposób, którego nie rozumiał jako dziecko. Z jego punktu widzenia najciekawszym i najbardziej oczywistym dziedzictwem wojny były ogromne zniszczenia, jakie dotknęły większość brytyjskich miast i miasteczek zbombardowanych przez Niemców. Przez całe dzieciństwo obserwował wdrażanie państwowych programów odbudowy i restauracji, ale mimo to setki akrów Manchesteru, niedaleko rodzinnych okolic Grattona, przez wiele lat pozostawały zrujnowane. Nawet w strategicznie nieistotnej wiosce, w której mieszkał, ślady wojny utrzymywały się długo. Cwierć mili od jego domu znajdował się zaniedbany teren, na którym regularnie bawił się z kolegami. Nazywali ten obszar „bazą broni”; była to ogromna strefa betonowych płyt i podziemnych schronów, obecnie zrujnowanych, w których podczas wojny znajdowały się stanowiska dział przeciwlotniczych.

Dopiero później, gdy Gratton zaczął postrzegać świat z dorosłą świadomością, zaintrygowały go wojenne wydarzenia. Zaczęło się od historycznego znaczenia jego daty urodzin. Dla wielu historyków 10 maja 1941 roku stanowił kulminacyjną datę, dzień, w którym zakończyły się działania zbrojne, mimo że

traktat pokojowy podpisano dopiero kilka dni później. Jego matka z pewnością uznawała tę datę za ważną i co roku w jego urodziny przywoływała własne wojenne wspomnienia.

Gratton po skończeniu szkoły i uniwersytetu został nauczycielem historii i oddawał się swojej pracy z rosnącym entuzjazmem, chociaż z upływem lat jego zainteresowanie nauczaniem zmalało. Ożenił się w 1969 roku i przez kilka lat razem ze swoją żoną Wendy, również nauczycielką, przeniósł się do kolejnych wynajętych mieszkań położonych blisko szkół, w których pracowali. W latach siedemdziesiątych urodzili się im dwaj synowie. Próbując utrzymać rodzinę, Gratton zaczął pisać popularne książki historyczne i relacje wojenne, początkowo skupiając się na wspomnieniach okolicznych mieszkańców na temat kampanii Blitz. Fascynowała go stoicka natura Brytyjczyków, którzy musieli znosić wieści o militarnych klęskach oraz straszliwe doświadczenia nalotów na cywilne cele, i wiele lat po wojnie wciąż przywoływali te traumatyczne wspomnienia. W latach siedemdziesiątych życie większości zwyczajnych mieszkańców Wielkiej Brytanii uległo przemianie dzięki gwałtownemu powojennemu rozwojowi państwa, jednakże ci, którzy przetrwali tamte mroczne dni, wciąż uznawali je za jedno z najważniejszych doświadczeń życiowych.

Chociaż wczesne książki Grattona nieźle się sprzedawały, zwłaszcza w miejscach, w których zbierał materiały, jego pisarstwo nie stanowiło istotnego wsparcia dla domowego budżetu. Gratton próbował poszerzyć swoje zainteresowania i w latach siedemdziesiątych napisał zwyczajną książkę historyczną o wojnie chińsko-amerykańskiej i o tym, jak ciąg pozornych sukcesów militarnych przeciwko Mao po inwazji na Japonię doprowadził do ekonomicznej i społecznej stagnacji w Stanach Zjednoczonych. Gdy pisał tę książkę, Ameryka tkwiła w głębokiej recesji i do dzisiaj się z nią nie uporała. Książka otrzymała pochlebne recenzje i znalazła się na półkach z wydawnictwami encyklopedycznymi w większości bibliotek w Wielkiej Brytanii, ale niewiele poprawiła sytuację finansową

rodziny Grattonów.

W 1981 roku zmarł przybrany ojciec Grattona, Harry, pozostawiając Stuartowi dom, w którym mieszkał, dużą chatę z kamienia w wiosce na obrzeżach Macclesfield. W tym samym roku Gratton opublikował książkę, która w końcu rozstawiła jego nazwisko i pozwoliła podreperować finanse: „Ostatni dzień wojny”.

We wstępie do książki Gratton argumentował, że wojna pomiędzy Wielką Brytanią a Niemcami trwała dokładnie rok, od 10 maja 1940 do 10 maja 1941 roku. Chociaż Wielka Brytania i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę na początku września 1939 roku, aż do maja następnego roku nie doszło do żadnych poważniejszych walk. Zdarzały się tylko potyczki, niektóre potężne i niszczycielskie, ale nie można mówić o otwartej wojnie. Ten okres William E. Borah, amerykański senator i zwolennik izolacjonizmu, nazwał „udawaną wojną”.

10 maja 1940 roku nastąpiły trzy istotne wydarzenia. Po pierwsze, Niemcy napadli na Niderlandy i Francję, w końcu zmuszając brytyjskie wojska do ewakuacji z Francji. Po drugie, doszło do pierwszych nalotów na cele cywilne, w niemieckim miasteczku uniwersyteckim, Fryburgu Bryzgowijskim. Chociaż okazało się, że nalot był przypadkowy, zapoczątkował on serię odwetowych bombardowań, które ostatecznie doprowadziły do nalotów dywanowych na miasta po obu stronach konfliktu. Wreszcie 10 maja 1940 roku premier Wielkiej Brytanii Neville Chamberlain ustąpił ze stanowiska. Jego miejsce zajął Winston Churchill.

Dokładnie rok później Wielka Brytania wciąż samotnie przeciwstawiała się Niemcom, ale wojna przeszła w zupełnie inną, bardziej złożoną fazę.

W 1941 roku Niemcy były u szczytu wojskowej potęgi. Niemieckie oddziały okupowały większą część Europy i wspólnie z francuskimi sojusznikami z Vichy zdominowały olbrzymie obszary w Afryce oraz na Bliskim Wschodzie. Niemcy kontrolowali także Bałkany, włącznie z Bułgarią, Jugosławią i

większością Grecji. W Polsce wyłapywano pierwszych Żydów i wywożono ich do gett w Warszawie i innych dużych miastach. Włochy przystąpiły do wojny po stronie Niemiec. Stany Zjednoczone pozostawały neutralne, ale dostarczały okręty, samoloty i broń Brytyjczykom. Związek Radziecki był związany sojuszem z Niemcami. Japonia, również sojusznik Niemiec, toczyła wojnę z Chinami i Mandżurią, a także była znacznie osłabiona za sprawą amerykańskich sankcji dotyczących dostaw ropy.

Nocą 10 maja 1941 roku Wielka Brytania i Niemcy przeprowadziły wzajemne niszczycielskie naloty. Samoloty RAF-u zbombardowały Hamburg i Berlin, powodując rozległe zniszczenia w obu miastach, zwłaszcza w Hamburgu. Jednocześnie maszyny Luftwaffe przeprowadziły najbardziej niszczycielski nalot w czasie całej wojny. Niemal siedemset bombowców zrzuciło bomby burzące i zapalające na rozległe obszary Londynu. Jednakże, z dala od wzroku ludzi i w ukryciu przed historią, tamtej nocy doszło także do kilku pomniejszych wydarzeń. Jednym z nich były narodziny Grattona, do których doszło w tym samym domu w Cheshire, w którym teraz mieszkał.

Wiedziony pierwotnie ciekawością, a następnie poczuciem, że ma materiał na dobrą książkę, Stuart Gratton postanowił odkryć, co inni ludzie robili tamtego dnia.

10 maja 1941 roku pilot Leonard Cheshire, odznaczony Orderem za Wybitną Służbę oraz Zaszczytnym Krzyżem Lotniczym, przekraczał Północny Atlantyk na pokładzie norweskiego statku handlowego płynącego w konwoju z Liverpoolu do Montrealu. Służył jako pilot w dywizjonie bombowym RAF-u, ale po zakończeniu pierwszego okresu służby zgłosił się na ochotnika do pilotowania amerykańskich bombowców, które pokonywały Atlantyk, żeby udzielić wsparcia Brytyjczykom. Tamtego wieczoru grał w karty z innymi ochotnikami. Cheshire powiedział Stuartowi Grattonowi, że po zakończeniu gry wyszedł na pokład, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i przez kilka minut stał przy relingu, obserwując mroczną sylwetkę najbliższego okrętu, który płynął równoległym kursem w odległości kilkuset jardów. Ktoś znajdował się na pokładzie tamtej jednostki – Cheshire zauważył, że nieznajomy zapalił papierosa, powodując nagły błysk, który mógł zostać zauważony przez wrogi samolot bądź okręt z dużej odległości. (Cheshire powiedział Stuartowi, że z powodu zawieszenia broni pozostał w Stanach Zjednoczonych aż do końca tamtego lata. Pomagał przygotowywać brytyjskie zdemobilizowane jednostki RAF-u, które zachęcano do wspierania swoim doświadczeniem amerykańskich sił powietrznych podczas ataków wyprzedzających, mających na celu ukrócenie ekspansyjnych zapędów Japończyków. Chociaż Cheshire'a kusilo, żeby wstąpić do amerykańskiego lotnictwa, wrócił jednak do Wielkiej Brytanii i wziął udział w Operacji Machabeusz, brytyjskiej morskiej i powietrznej ewakuacji europejskich Żydów na Madagaskar. Służył jako pilot, a także administrator podczas tej długiej i niebezpiecznej operacji. Kiedy wrócił do cywila w 1949 roku,

zajął się zakładaniem domów pomocy dla ciężko chorych byłych żołnierzy i innych pacjentów).

John Hitchens był pocztowym telegrafistą na północy Anglii. 10 maja wybrał się pociągiem do Londynu, żeby obejrzeć mecz piłki nożnej. Rozgrywki pucharu Anglii zawieszono w 1939 roku, gdy wybuchła wojna. Jednak w 1941 roku już rozgrywano sporą liczbę meczów. Tamtego dnia na stadionie Wembley drużyny Arsenal i Preston North End miały się zmierzyć o Wojenny Puchar Ligi. Na trybunach zasiadło ponad sześćdziesiąt tysięcy kibiców. Mecz zakończył się remisem 1:1. Większość widzów stanowili mieszkańcy Londynu, a przyjezdni kibice mogli wrócić do domów wieczornymi pociągami. Hitchens podróżował jednym z ostatnich pociągów, które odjechały z dworca Euston. Pamiętał dźwięk syren, który rozległ się, gdy pociąg ruszył. (John Hitchens w latach 1942-1945 pracował w Europie Wschodniej, gdzie pomagał naprawiać i konserwować linie telefoniczne po Operacji Barbarossa. Wrócił do Wielkiej Brytanii w 1945 roku, a w 1967 roku zakończył pracę na poczcie i przeszedł na emeryturę).

Dr Joseph Goebbels, minister propagandy i oświecenia publicznego w Rzeszy, spędził tamten dzień w swoim biurze w Berlinie. Wprowadził nowe kary za nielegalne słuchanie transmisji BBC. Otrzymał najnowsze dane dotyczące zatopionych statków, z których wynikało, że w kwietniu Brytyjczycy stracili pół miliona ton. Wzmógł wysiłki dotyczące niemieckich transmisji na terenie Iraku, zlikwidował radiostację w Południowej Afryce. Wieczorem dr Goebbels wrócił do swojej posiadłości w Lanke. Odwiedzili go przedstawiciele świata filmu, z którymi obejrzał najnowszą brytyjską kronikę filmową: zgodzili się, że była „nieudana i nieporównywalnie gorsza od naszych”. Następnie obejrzel dwa kolorowe filmy, niemiecki i amerykański. Wdali się w dyskusję na temat problemów napotykanym przez filmowców, ale przerwało im ostrzeżenie o nalocie. (Dr Goebbels piastował swoją funkcję do 1943 roku. Opublikował pierwsze „Pamiętniki” w 1944 roku, a kolejne

tomy pojawiały się w rocznych odstępach. Później został uznanym twórcą filmów dokumentalnych oraz felietonistą. Wycofał się z publicznego życia w 1972 roku).

Kapitan lotnictwa Guy Gibson, odznaczony Zaszczytnym Krzyżem Lotniczym, stacjonował w bazie RAF-u w West Mailing w hrabstwie Kent. Wspomnianego wieczoru razem ze swoim nawigatorem, sierżantem Richardem Jamesem, patrolował niebo nad Londynem na pokładzie myśliwca Bristol Beaufighter. Trwał intensywny nalot Luftwaffe. Gibson i sierżant James dostrzegli dwa bombowce Heinkel 111 przypuścili atak, ale ich działo pokładowe zawiodło. Gibson wrócił do bazy, polecił sprawdzić broń, a następnie ponowił patrol. Tamtego wieczoru nie doszło do innych incydentów. (Gibson po wojnie również przyłączył się do Operacji Machabeusz i wykonał najwięcej lotów ewakuacyjnych ze wszystkich ochotników. Pewnego razu nad Tuluzą eskadra, w której skład wchodził pilotowany przez niego samolot transportujący na Madagaskar ponad pięćdziesięcioro niemieckich Żydów, została zaatakowana przez francuskie samoloty wojskowe pod sztandarem Frontu Narodowego. Gibson otrzymał liczne cywilne odznaczenia za męstwo oraz zdolności przywódcze, którymi wykazał się podczas tych wydarzeń. Następnie rozpoczął pracę jako elektryk, a podczas wyborów powszechnych w 1951 roku wkroczył do polityki. Wstąpił do partii Torysów w West Bedfordshire i został sekretarzem jednego z ministrów w rządzie R.A. Butlera. W 1968 roku otrzymał tytuł szlachecki. Na początku lat siedemdziesiątych sir Guy stał na czele konserwatywnej kampanii sprzeciwiającej się przystąpieniu Wielkiej Brytanii do Unii Europejskiej. Wrócił do świata biznesu w 1976 roku, gdy po kolejnych wyborach stracił miejsce w parlamencie).

Pierre Charrier, członek sił Wolnej Francji stacjonujących w Londynie, spędzał święto Joanny d'Arc w koszarach Wellington. Były to pierwsze obchody tego święta poza granicami Francji. Zakończyły się w katedrze westminsterskiej, gdzie Monsieur Charrier wciąż przebywał, kiedy zaczęły spadać bomby. Wrócił

bezpiecznie do swojego mieszkania przy Westbourne Road, chociaż to doświadczenie bardzo nim wstrząsnęło. (Monsieur Charrier pod koniec 1941 roku wrócił do Paryża, gdzie jako urzędnik państwowy zaangażował się w powojenną odbudowę kraju. Później został członkiem Komisji Europejskiej).

Philip Harrison, podsekretarz w brytyjskiej ambasadzie w Chongqing, pracował w swoim biurze, gdy budynek zaatakowały japońskie samoloty. Chociaż Harrison nie został ranny, ambasador sir Archibald Clark Kerr oraz kilkoro członków jego ekipy doznali drobnych urazów. Budynek został uszkodzony, ale po naprawach wkrótce znów podjęto w nim normalną pracę. (Pan Harrison kontynuował karierę dyplomatyczną do 1965 roku, gdy przeszedł na emeryturę. Pełnił funkcję brytyjskiego ambasadora w Stanach Zjednoczonych podczas prezydentury Adlai Stevensona w latach 1957-1960. Zmarł w 1966 roku. Stuart Gratton rozmawiał z jego córką).

Kurt Hofmann pracował jako cywilny pilot doświadczalny w firmie Messerschmitt na niewielkim lotnisku we wschodnich Niemczech. 10 maja 1941 roku w całkowitej tajemnicy zasiadł za sterami nowego, rewolucyjnego modelu samolotu. Był to eksperymentalny myśliwiec napędzany silnikiem odrzutowym. Prototyp Messerschmitta Me-163 odbył lot z prędkością 995 km/h, po czym bezpiecznie wylądował. Maszynę powszechnie wykorzystywano na froncie rosyjskim od końca 1943 roku aż do zakończenia działań wojennych, i stała się ona standardowym myśliwcem bombardującym przeznaczonym do ataku na cele naziemne. Okazało się, że przewyższa nie tylko wczesne modele radzieckiego myśliwca odrzutowego MiG-15, ale także północnoamerykańskiego samolotu Sabre, który w tym samym czasie zadebiutował w siłach powietrznych USA. (Kurt Hofmann później ponownie wstąpił do Luftwaffe i przez kilka miesięcy latał na Me-163. Został ranny, gdy zestrzelono go w 1944 roku. Kiedy traktat uralski zakończył działania wojenne, Hofmann wrócił do Niemiec i rozpoczął pracę jako dyrektor techniczny w cywilnych liniach lotniczych Lufthansa).

Podporucznik Mike Janson służył na niszczycielu HMS *Bulldog* w Królewskiej Marynarce Wojennej. Właśnie przemierzał północny Atlantyk w powrotnym rejsie do Liverpoolu, wioząc w zabezpieczonej ładowni maszynę szyfrującą Enigma wraz z procedurami i ustawieniami *Offizier*. Poprzedniego dnia porucznik David Balme, dowódca grupy desantowej z *Bulldoga*, zdobył ten bezcenny łup na pokładzie okrętu podwodnego U-10, którego zaatakował i unieruchomił wspólnie z załogą ślupa wojennego HMS *Broadway*. Choć Mike Janson nie wszedł na pokład U-Bootu, pełnił wachtę, kiedy zauważono okręt. U-10 zatonął podczas holowania przez Brytyjczyków. Przejęcie Enigmy było kluczowym etapem starań o przechwytywanie i odszyfrowywanie zakodowanych rozkazów z niemieckiego naczelnego dowództwa. (Po wojnie Mike Janson nadal pełnił wybitną służbę w Królewskiej Marynarce Wojennej, dopóki nie przeszedł na emeryturę w randze kontradmirała w 1960 roku).

W nocy z 10 na 11 maja 1941 roku Królewskie Siły Powietrzne aktywnie działały na europejskim niebie. Pięć samolotów Bristol Blenheim zaatakowało flotę niedaleko La Pallice w zachodniej Francji – bez żadnych strat w okrętach ani samolotach. (Sierżant Andy Martin był nawigatorem na jednym z blenheimów. W rozmowie ze Stuartem Grat-tonem z gorącością opisał swoją misję jako długotrwałą i niebezpieczną, ale bezcelową i bezskuteczną). Stocznie, elektrownia oraz środkowa część niemieckiego portu w Hamburgu zostały zaatakowane przez mieszane dywizyjony złożone ze stu dziewiętnastu bombowców. Zginęło trzydzieści jeden osób, a niemal tysiąc odniosło rany lub straciło dach nad głową. W kilku częściach miasta wybuchły pożary, które zniszczyły dom towarowy Kösters, jeden z dużych banków oraz budynek giełdy. Stracono cztery brytyjskie samoloty. (Wolfgang Merck w czasie nalotu był strażakiem w Hamburgu. Opowiadał o nocy pełnej zamieszania i pracy, chociaż rankiem władze odkryły, że zniszczenia nie były tak poważne, jak się obawiano). Kolejne dwadzieścia trzy

samoloty RAF-u poleciały nad Berlin, gdzie spowodowały rozległe zniszczenia. Trzy maszyny nie wróciły. (Hanna Wenke, która w 1941 roku była uczennicą, opisała gorącą i niewygodną noc spędzoną w schronie pod budynkiem, w którym mieszkali jej rodzice. Następnego dnia okazało się, że jej dzielnica na przedmieściach Berlina nie została zniszczona). Poza głównymi nalotami, dwadzieścia pięć bombowców RAF-u skierowano do pomniejszych zadań, między innymi zaminowania cieśniny Kattegat; nie odnotowano żadnych strat.

Sierżant policji Terry Collins w nocy z 10 na 11 maja pełnił służbę w budynkach parlamentu, gdzie razem z innymi członkami westminsterskiej policji dbał o bezpieczeństwo Wieży Wiktorii. Po zmroku samoloty Luftwaffe przypuściły największy w historii atak na Londyn. Zrywając z dotychczasowym zwyczajem bombardowania obszarów przemysłowych i doków w East Endzie, Niemcy zrzucili bomby na całą stolicę, oszczędzając tylko nieliczne jej obszary. Najbardziej skoncentrowany atak przypuszczono na West End i okoliczne dzielnice, które dotychczas pozostawały względnie nietknięte. Tamtej nocy zginęło ponad tysiąc czterystu londyńczyków, a kolejne tysiąc osiemset osób odniosło rany. Ponad sześćdziesiąt tysięcy domów zostało zniszczonych bądź uszkodzonych; wiele ważnych budynków i słynnych miejsc obróciło się w gruzy. Wybuch i pożar zrujnowały salę debat w Izbie Gmin. Budynek BBC został bezpośrednio trafiony bombą, ale stacja nie przerwała nadawania podczas nalotu i po jego zakończeniu. Na opactwo westminsterskie spadło co najmniej piętnaście bomb zapalających. Zbombardowano pałac Buckingham, a także Muzeum Brytyjskie. Bomba trafiła Big Bena, unieruchamiając dzwon, ale nie zegar. Spłonęły sklepy i biura wzdłuż Oxford Street. Poważnemu uszkodzeniu uległy rury gazowe, kanalizacja oraz linie telefoniczne. Wieżę Wiktorii, za którą odpowiadał sierżant Collins, pokrywały rusztowania do prac czyszczących i naprawczych. Obecność tak wielu drewnianych desek na zewnątrz budynku stanowiła poważne zagrożenie pożarowe.

Wkrótce po północy, w bezpośrednim otoczeniu wieży spadł deszcz bomb zapalających. Większość tych, które spadły na ulicę, udało się szybko ugasić, ale jedna utknęła na rusztowaniu blisko szczytu wieży i tam paliła się intensywnie. Sierżant Collins chwycił ciężki worek z piaskiem i wspiął się po drabinach i platformach rusztowania, żeby dotrzeć do pożaru. Po znużonej wspinaczce szybko ugasił ogień piaskiem, po czym wrócił na ziemię. (Powiedział Stuartowi Grattonowi, że nie wracał myślą do tego, co zrobił, jednakże rok później został odznaczony Krzyżem Jerzego. Wtedy już mieszkał na Madagaskarze, który stanowił brytyjskie terytorium mandatowe, gdzie odpowiadał za zapewnienie bezpieczeństwa cywilom podczas przekazywania władzy. Pozostał na Madagaskarze podczas zamieszek wywołanych walką o niepodległość. Kiedy w 1962 roku utworzono Republikę Masady, główny inspektor Collins został zmuszony do powrotu razem z innymi brytyjskimi urzędnikami administracyjnymi i dyplomatami).

Wczesnym wieczorem 10 maja Rudolf Hess, zastępca Hitlera, wystartował dwusilnikowym Me-11 OD z pasa startowego przy fabryce Messerschmitta w Augsburgu w Bawarii. Miał przy sobie plan zawarcia pokoju pomiędzy Wielką Brytanią a Niemcami, którego przygotowanie zlecił i autoryzował Hitler, a który Hess zamierzał osobiście dostarczyć Winstonowi Churchillowi. Wylądował w Holandii, żeby zatankować. Wkrótce po ponownym starcie jego maszynę przechwyciły niemieckie myśliwce, które początkowo usiłowały zmusić ją do lądowania, a następnie zniszczyć, otwierając ogień z broni maszynowej. Hess zdołał im uciec i ruszył nad Morze Północne. Mniejsze myśliwce przez jakiś czas kontynuowały pościg, ale potem się wycofały. Kolejne myśliwce Luftwaffe, stacjonujące w okupowanej Danii, również poderwały się z lotniska, żeby przechwycić maszynę Hessa. Wróciły do bazy, a piloci stwierdzili, że zestrzelili jego samolot nad morzem, jednak pomimo barwnych opisów oraz zgodności relacji, nie byli w stanie dostarczyć przekonujących dowodów. (Hess wypełnił swoją misję pokojową).

I w końcu był także kapitan lotnictwa Sawyer z dywizjonu bombowego RAF-u. Churchill twierdził, że Sawyer odmówił pełnienia służby wojskowej, ale zarazem służył jako pilot bombowca. W swojej notatce do podwładnych premier polecił sprawdzić, jak to było możliwe. Nie odnotowano żadnej oficjalnej odpowiedzi. Niemal sześćdziesiąt lat później Stuart Gratton, w którego rodzinie również żywa była tradycja pacyfizmu, wyczuł, że natrafił na ciekawą historię. Czego dotyczyła? A dokładniej, co Sawyer robił 10 maja 1941 roku?

CZEŚĆ DRUGA

1936-1945

1

Służyłem w dywizjonie bombowym RAF-u od początku II wojny światowej. Rozpocząłem służbę za pośrednictwem Uniwersyteckiego Dywizjonu Lotniczego w Oksfordzie, gdzie byłem członkiem reprezentacji wioślarskiej Brasenose College. W tamtych młodzięczych latach miałem dwie pasje: wioślarstwo oraz latanie. Nie interesowały mnie wojny i nie przeczuwałem, że mogę kiedykolwiek wziąć w jakiejś udział. Wydarzenia na świecie rozgrywały się poza ograniczoną sferą mojej świadomości, zresztą było tak przez większość mojego życia. Wiem, że byłem naiwny i przez to nieprzygotowany na potężną wojnę, w którą ostatecznie wszyscy zostaliśmy wciągnięci.

Powinienem mieć więcej rozsądku. Mój ojciec odmówił służby wojskowej podczas Wielkiej Wojny, jak w latach trzydziestych wciąż nazywano I wojnę światową. Jako powściągliwy i skryty człowiek nigdy nie starał się narzucić swoich przekonań własnym dzieciom. Mimo to mój brat Joe i ja dorastaliśmy w przekonaniu, że wojna jest złem, którego należy unikać za wszelką cenę. W czasie II wojny światowej i w kolejnych latach przedwojenna brytyjska polityka ustępstw wobec nazistów stała się obiektem pogardy, ale ojciec nie chciał o tym słyszeć. Utrzymywał, że ekonomiczny humanitaryzm i pragmatyzm nakazywały nie zmuszać Niemiec do ponoszenia druzgocących

kosztów traktatu wersalskiego. Praktycznie wszyscy członkowie brytyjskiego rządu walczyli w Wielkiej Wojnie i spoczywał na nich obowiązek uniknięcia kolejnego światowego konfliktu. Być może wyczuwali to, co od początku głosił Adolf Hitler: że do drugiej wojny doprowadziły niegodziwe warunki traktatu.

Poniosłem zatem odpowiedzialność za swoją naiwność, ponieważ zainteresowanie wioślarstwem przesłaniało mi wszystko inne. Żyłem chwilą i całkowicie skupiałem się na ukochanym sporcie. W latach 1935-1936 miałem tylko jeden cel: zakwalifikować się do brytyjskiej drużyny, która miała wystartować w igrzyskach olimpijskich. Razem z bratem trenowaliśmy i ćwiczyliśmy z niemal obsesyjnym zaangażowaniem.

Każdemu, kto widział nasze treningi i występy w zawodach, wydawało się przesądzone, że zostaniemy powołani. Stale utrzymywaliśmy wysoką formę i bez trudu wygrywaliśmy większość wyścigów, w których startowaliśmy, ale kiedy znajdujesz się w centrum obsesji, czujesz, że niczego nie możesz być pewnym. Kiedy Joe i ja wreszcie zostaliśmy wybrani do drużyny na początku czerwca 1936 roku, mieliśmy wrażenie, że to najlepsza wiadomość w naszym życiu. Tamtego wieczoru świętowaliśmy razem z przyjaciółmi w kilku oksfordzkich pubach, ale po powrocie poświęciliśmy się przygotowaniom.

Zatem historia tego, co przydarzyło mi się w czasie wojny, rozpoczyna się w lipcu 1936 roku, kiedy Joe i ja wspólnie wyruszyliśmy na igrzyska olimpijskie do Berlina.

2

Miałem dziewiętnaście lat i chociaż wtedy nie mogłem tego wiedzieć, nie miała to być moja jedyna wyprawa do Berlina. Później wybrałem się tam za sterami bombowca RAF-u i spoglądałem w dół poprzez ciemność, dym i chmury na rozległe miasto, zrzucając bomby zapalające na budynki i ulice. Ta przyszłość była dla mnie niewyobrażalna w roku 1936.

Od niecałego roku mieszkałem z dala od mojego domu rodzinnego w Tewkesbury. Odwiedzałem dom w większość weekendów, żeby zabrać otrzymane listy, czyste ubrania oraz mnóstwo jedzenia na kolejny tydzień. Nie byłem jeszcze zupełnie dorosły, więc wyjazd z Anglii, zwłaszcza do Niemiec w tak ważnym roku, był dla mnie przygodą najwyższej próby.

Ruszyliśmy w stronę południowego wybrzeża Anglii, a ja zasiadłem za kierownicą naszej furgonetki ze sprzętem, co również stanowiło dla mnie ważny krok. Dopiero niedawno nauczyłem się prowadzić; wcześniej wszędzie woził nas mój brat Joe. Dotychczas odbywałem tylko krótkie przejażdżki, głównie znajomymi drogami pomiędzy Oksfordem i Tewkesbury. Nigdy nie wybrałem się dalej na południe ani na wschód niż do Londynu, i to wyłącznie za dnia. Oto wyruszałem ku przysgodzie, powoli przemierzając furgonetką mroczne wzgórza, jadąc w stronę Dover, z bratem drzemącym na siedzeniu pasażera.

Teraz zastanawiam się, czy powinniśmy byli wyruszyć w tę podróż, ale być może tylko ulegam luksusowi, jaki daje perspektywa czasu. W zamkniętym wioślarskim światku, podobnie jak w większości sportów, polityka była na cenzurowanym. Łatwo było odciąć się od międzynarodowych wydarzeń lat trzydziestych: nie było telewizji, radio jeszcze nie stanowiło narzędzia dziennikarskiej niezależności, którym stało

się po wojnie, a dla większości ludzi głównym źródłem informacji pozostawały gazety. Joe i ja rzadko czytaliśmy coś innego niż wiadomości sportowe. Większość Brytyjczyków świadomie ignorowała Hitlera i nazistów, mając nadzieję, że sami znikną. Jednak tacy ludzie jak Joe i ja nie powinni stosować podobnych wymówek. Przebywaliśmy na uniwersytecie, w otoczeniu elokwentnych i inteligentnych mężczyzn oraz kobiet, którzy mieli wyrobione opinie na każdy temat, i często się nimi dzielili. Wszyscy dobrze wiedzieliśmy, co się dzieje w Niemczech, i że udział w igrzyskach można uznać za udzielenie poparcia reżimowi Hitlera.

Wiedziałem o tym, ale, prawdę mówiąc, niezbyt mnie to obchodziło. W Berlinie mieli się pojawić najlepsi sportowcy z całego świata. To była dla mnie jedyna szansa w życiu na staniecie do rywalizacji na najwyższym poziomie w swojej dyscyplinie.

Muszę przyznać, że Joe nie w pełni podzielał moje zdanie. Za każdym razem, gdy rozmawialiśmy o wydarzeniach w Niemczech, żarliwie się spieraliśmy, ale ponieważ obaj byliśmy oddani sportowi i musieliśmy działać jako drużyna, staraliśmy się unikać tego tematu.

Uwielbiałem wiosłarstwo. Uwielbiałem siłę, jaką kryła się w moim ciele, szybkość, którą w nim odnajdywałem, zwinność, z jaką potrafiłem się poruszać. Wiosłowałem codziennie, gdy pozwalała na to pogoda, czasami samotnie, żeby budować wytrzymałość, ale zazwyczaj z Joem, ćwicząc szybkość i koordynację, ucząc się współdziałania. Nigdy nie mieliśmy dosyć treningu. Wiedziałem, że zawsze mogę poczynić postępy i jeszcze bardziej wyćwiczyć mięśnie. Startowaliśmy w dyscyplinie, w której o zwycięstwie często decydują ułamki sekund; nie mogliśmy bezpiecznie zlekceważyć żadnej możliwości rozwoju.

Joe był równie zaangażowany. Kielkowało w nim to samo, co ja czułem w sobie. Zajmował pozycję od rufy. Kiedy wiosłowaliśmy, jego ciało znajdowało się w odległości zaledwie kilkudziesięciu centymetrów. Moje pole widzenia wypełniały jego

plecy, ramiona, które płynnie przesuwają się w tył i w przód, napinały podczas głównego pociągnięcia, a następnie rozluźniały, sunęły do przodu, zanurzając pióra wiosel w wodzie, i przygotowywały się do kolejnego wysiłku. Kiedy wiosłowaliśmy, plecy Joego stawały się moją inspiracją, potężne, skuteczne mięśnie, które dopasowywały się do każdego mojego ruchu, jakby synchronizowała nas jakaś niewidzialna moc z góry. Patrzyłem na jego plecy w słońcu, deszczu i szarówce, kiedy cieszyliśmy się idealną koordynacją, a także wtedy, gdy nic nam nie wychodziło. Patrzyłem, jak odpoczywają i eksplodują energią. A jednak rzadko wyraźnie je widziałem. Były czymś, na czym mogłem zawiesić wzrok, znajomym i bezpiecznym widokiem, pomagającym mi skoncentrować się na bezmyślnym zadaniu płynięcia coraz szybciej. W takich chwilach stanowiliśmy coś więcej niż wiosłarską osadę – byliśmy niczym jedna osoba w dwóch ciałach.

Ludzie twierdzili, że jesteśmy najlepszą dwójką bez sternika w kraju. Pokładali w nas wielkie nadzieje, ponieważ wioslarstwo stanowiło brytyjską specjalność. Podczas igrzysk olimpijskich w Los Angeles w 1932 roku złoty medal w konkurencji dwójek bez sternika zdobyli Brytyjczycy Edwards i Clive, który już zakończył karierę. Byli naszymi bohaterami, ale oczekiwano, że im dorównamy, a nawet osiągniemy lepsze wyniki.

Oto, co nas pochłaniało na co dzień. Młodość zazwyczaj jest ślepa na otaczający świat, zwłaszcza gdy towarzyszy jej obsesja. Ignorując wszystko, intensywnie trenowaliśmy do igrzysk przez całą wiosnę i początek lata 1936 roku. Niemcy się zbroiły, budowały nielegalne siły powietrzne, a Hitler zajął Nadrenię, ale my skupialiśmy się na ćwiczeniach siłowych i biegach, uzyskiwaniu coraz lepszych czasów, dopracowywaniu rytmu i płynności ruchów, uczeniu się, kiedy gwałtownie przyspieszać, a kiedy gromadzić siły, jak obierać najkrótszą i najprostszą trasę w wodzie, która stale płynęła i kłębiła się w nieprzewidywalny sposób. Wreszcie nadszedł lipiec i wyruszyliśmy do Niemiec.

W 1936 roku reprezentacja olimpijska nie podróżowała razem,

ubrana w barwy narodowe, jak to widzimy we współczesnym świecie. Oczekiwano, że samodzielnie dotrzemy do Berlina, więc zapakowaliśmy sprzęt do naszej furgonetki i zmienialiśmy się za kierownicą.

3

Podczas krótkiej podróży morskiej do Francji krążyłem po pokładzie okrętu, Joe zaś spędzał czas w bawialni, więc nie widziałem się z nim do chwili zawinięcia do portu. Nie mogłem spać, uradowany wszystkim, co mnie spotkało, ale także zatroskany o stan naszych dwóch łodzi przytwierdzonych do dachu furgonetki. Wszędzie transportowaliśmy je w taki sposób, ale nigdy wcześniej nie zabieraliśmy ich na pokład statku. Kiedy patrzyliśmy, jak dźwig opuszcza furgonetkę do ładowni na huśtających się łańcuchach, przeżyliśmy chwilę grozy. Uświadomiłem sobie, jak delikatny jest nasz sprzęt, i że jego uszkodzenie może nas wykluczyć z rywalizacji.

Niespokojnie wpatrywałem się w morze. Obserwowałem dwa wybrzeża, pomiędzy którymi powoli płynęliśmy. Gdy znaleźliśmy się na środku kanału, skąd wyraźnie widzieliśmy światła Anglii i Francji, mieliśmy wrażenie, że morze się zwężyło. Wydawało się, że oba brzegi są niemal w zasięgu ręki. Nigdy wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, jak blisko kontynentalnej części Europy znajduje się nasz kraj. Z tej perspektywy morze zdawało się nie szersze od rzeki. Stałem przy relingu na śródookręciu, rozmyślając o tym i nie doceniając – jak mogłem? – jak ważnym symbolem narodowego bezpieczeństwa wkrótce miał się stać dla każdego w Wielkiej Brytanii ten skrawek morza.

Trzy godziny później, w blasku budzącego się świtu, jechaliśmy na wschód wzdłuż francuskiego wybrzeża, oddalając się od Calais i kierując ku granicy z Belgią.

Joe prowadził. Zwinąłem się jak najwygodniej na siedzeniu pasażera, zamknąłem oczy i usiłowałem się przespać, ale byłem zbyt podekscytowany. Dziwaczny krajobraz francuskiej wsi czarodziejsko przepływał za oknami – płaskie pola o regularnym,

prostokątnym kształcie, wysokie drzewa zasadzone wzdłuż drogi. Przed nami majaczyła perspektywa setek mil słodkiej zagraniczności, Belgii, Holandii oraz Niemiec.

Gdy następnego dnia dotarliśmy do granicy holendersko-niemieckiej, siedziałem za kierownicą furgonetki.

Czekałem na tę chwilę z mieszanymi uczuciami. Niewątpliwie denerwowaliśmy się spotkaniem z nazistami, ale jednocześnie, jako że nasza matka urodziła się w Niemczech, zostaliśmy wychowani w przekonaniu, że Niemcy to dobry i piękny kraj ze wspaniałą cywilizacją i kulturą. Szczerze mówiąc, nie mieliśmy pojęcia, czego się spodziewać.

Godzinę albo dwie wcześniej przejechaliśmy przez holenderskie miasto Eindhoven. Prosta, ale niebezpiecznie wąska droga biegła szczytem nasypu oddzielającego szerokie, nieciekawe pola. Po minięciu Venlo wjechaliśmy na zalesiony teren. Przekroczyliśmy Mozę po długim moście z dźwigarów i wjechaliśmy do strefy przygranicznej ukrytej wśród gęstwiny drzew.

Urzednicy po holenderskiej stronie szybko nas obsłużyli. Po pobieżnym sprawdzeniu paszportów jeden z celników podniósł szlaban i wjechaliśmy na wąski pas ziemi niczyjej. W odległości mniej więcej stu jardów widzieliśmy niemiecki posterunek graniczny i kolejny opuszczony szlaban. Namalowano na nim potrójną czerwono-czarno-białą spiralę.

Zatrzymaliśmy się za dwoma samochodami, które już czekały na przekroczenie granicy, po czym powoli przesuwaliśmy się do przodu. Kiedy nadeszła nasza kolej, celnik, pulchny mężczyzna w mundurze złożonym z zielonej bluzy, czarnych spodni i wypolerowanych czarnych butów, zasalutował nam wyprostowaną ręką.

– *Heil Hitler!*

– *Heil Hitler!* – odpowiedział Joe.

Przed wyjazdem z domu otrzymaliśmy list wysłany przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych do wszystkich uczestników igrzysk. Uprzedzono nas o grzecznościowych zachowaniach, których będzie się od nas oczekiwało w Niemczech. Salut połączony z hołdem dla Hitlera znajdował się na pierwszym miejscu listy. Zapomnienie o nim lub odmowa jego wykonania mogły doprowadzić od natychmiastowych kłopotów, wliczając w to aresztowanie i deportację. Jak większość ludzi w Wielkiej Brytanii, widzieliśmy nazistów w kronice filmowej. Było w nich coś nieodparcie absurdalnego i teatralnego. W swoich pokojach w akademiku Joe i ja salutowaliśmy sobie nawzajem i naszym znajomym, maszerując krokiem defiladowym i zanosząc się śmiechem.

Strażnik sztywno opuścił rękę. Nachylił się do okna po stronie pasażera i zmierzył nas wzrokiem. Był młodym mężczyzną o bładoniebieskich oczach i jasnych, elegancko przystrzyżonych wąsach. Podejrzliwie zerknął na tył naszej furgonetki, gdzie wieźliśmy bagaże, odchylił się z rękami na biodrach, przyglądając się łodziom przypiętym do dachu, a następnie wyciągnął pulchną dłoń. Joe podał mu nasze paszporty.

Celnik powoli przejrzał oba dokumenty, precyzyjnymi ruchami przewracając strony. Słońce mocno świeciło na mnie przez szybę. Zacząłem się czuć nieswojo.

– [Oba paszporty wystawiono na tę samą osobę] – odezwał się, nie podnosząc wzroku. – [J.L. Sawyer dwa razy].

– [Mamy te same inicjały] – odpowiedziałem, przyzwyczajony do wyjaśniania tej kwestii. Joe zawsze był Joem. Mnie czasami nazywano Jackiem, ale zazwyczaj mówiono na mnie J.L. – [Ale nasze imiona...].

– [Nie, raczej nie].

– [Jesteśmy braćmi].

– [Obaj macie inicjały J.L., rozumiem! Cóż za zbieg okoliczności. Joseph, Jacob! W taki sposób nadaje się imiona bliźniakom w Anglii?].

Joe i ja nie odpowiadaliśmy. Celnik zamknął drugi z

paszportów, ale nie oddał nam dokumentów.

– [Wybieracie się na igrzyska olimpijskie do Berlina] – odezwał się, spoglądając na mnie. Siedziałem za kierownicą, ale jako że ta znajdowała się po prawej stronie pojazdu, z jego perspektywy znajdowałem na niewłaściwym miejscu.

– [Zgadza się] – odpowiedziałem.

– [W jakiej dyscyplinie zamierzacie wystartować?].

– [W wiosłarskich dwójkach bez sternika].

– [Macie dwie łodzie. Potrzebna jest tylko jedna].

– [Jedna służy do treningu, a także jako rezerwa w razie wypadku].

Ponownie otworzył nasze paszporty i dokładnie przyjrzał się zdjęciom.

– [A więc jesteście bliźniakami. Braćmi].

– [Zgadza się].

Odwrócił się i odszedł w stronę swojego biura, solidnej drewnianej chaty wybudowanej obok szlabanu. Kilka dużych czerwonych flag z symbolem swastyki na białym okręgu zwisało ze sterczących pod kątem ze ściany masztów. W tym osłoniętym zakątku otoczonym drzewami nie było wiatru, więc flagi prawie się nie poruszały.

– Co on robi?

– Wszystko będzie dobrze, Jack. Uspokój się... nie złamaliśmy żadnych zasad.

Widzieliśmy strażnika przez szerokie okno od frontu. Stał przed wysokim biurkiem i przewracał kartki dużej książki, która wyglądała na jakiś rejestr. Wewnątrz byli jeszcze dwaj celnicy, którzy obserwowali go z pewnej odległości. Za nami i obok nas zatrzymywały się kolejne pojazdy, ale strażnicy przepuszczali je bez dłuższej zwłoki.

W końcu nasz strażnik wrócił. Zerknął na ciężarówkę, które powoli nas omijały.

– [Anglicy] – rzekł. – [Zaskakująco dobrze mówicie po niemiecku. Byliście już kiedyś w Rzeszy?]. – Oddał nam paszporty, kierując pytanie do Joego. Od czasu pierwszego

salutu Joe się nie odzywał. Patrzył przed siebie, poza szlaban, wzdłuż drogi prowadzącej w głąb Niemiec. – [Mówisz po niemiecku równie dobrze jak twój brat bliźniak?] – zapytał głośno strażnik, bębniąc palcami o ramę okna.

– [Zgadza się] – odpowiedział Joe, uśmiechając się z wdziękiem. – [Nie, nigdy wcześniej nie byliśmy w Niemczech].

– [Nauczają niemieckiego w waszych angielskich szkołach?].

– [Owszem. Ale nasza matka się tutaj urodziła].

– [Ach! To wszystko tłumaczy! Wasza matka zapewne jest Saksonką! Wiedziałem, że się nie mylę co do waszego akcentu! Musicie wiedzieć, że w Rzeszy jesteśmy bardzo dumni z naszych sportowców. Będzie wam trudno ich pokonać].

– [Cieszymy się, że tutaj przyjechaliśmy, proszę pana].

– [Dobrze. Możecie wjechać na teren Rzeszy]. *Heil Hitler!*

Odsunął się od samochodu. Kiedy przejeżdżaliśmy przez białą linię namalowaną na szosie, Joe wyprostował rękę w niedbałym salucie, a następnie zasunął szybę po swojej stronie. Odezwał się z cichą goryczą:

– *Heil Hitler*, psiakrew.

– On tylko wykonywał swoją pracę.

– Za bardzo ją lubi – stwierdził Joe.

Wkrótce jednak obaj umilkliśmy, pochłonięci nieznaną scenerią północnych Niemiec.

To, co widzieliśmy, zlało się w kilka pamiętnych obrazów. Przez dużą część podróży jechaliśmy wśród lasów, co stanowiło wyraźną odmianę po płaskich polach Belgii i Holandii. Choć przejechaliśmy przez kilka przemysłowych miast – Duisburg, Essen, Dortmund, wszystkie bez wyjątku spowite rzadką mgiełką o gorzkim zapachu, od której szczypały nas oczy – nie różniły się one na tyle, żebyśmy zapamiętali jakiegokolwiek szczegóły. W podróży prowadziłem dziennik, ale o tym etapie skreśliłem tylko dwa krótkie akapity. Pamiętam głównie ogólne wrażenie „bycia w Niemczech”, miejscu, o którym obecnie stale się mówiło, i towarzyszące temu niejasne poczucie grozy. To uczucie wzmacniały setki, a może tysiące flag ze swastyką, które wisały

na niemal każdym budynku i ścianie, wyraźnie odznaczając się czerwienią, bielą i czernią. Nad szosami oraz między budynkami w miasteczkach i wioskach rozwieszono liczne długie transparenty. Widniały na nich inspirujące hasła, być może spontaniczne, ale – biorąc pod uwagę ich natarczywy ton – raczej ułożone przez partię. Pojawiały się slogany dotyczące Saary, Nadrenii, traktatu wersalskiego czy Niemców na obczyźnie – jeden z transparentów, który wielokrotnie widywaliśmy w różnych miejscach, głosił: „[Obowiązuje nas ślepe posłuszeństwo!]”. Prawie nie napotykalismy komercyjnych ogłoszeń i nie widzieliśmy ani jednej wzmianki o igrzyskach olimpijskich.

Jechaliśmy i jechaliśmy, starając się zachowywać siłę na trening i czekające nas wydarzenia, ale kiedy dotarliśmy w pobliże Berlina, byliśmy wyczerpani. Joe chciał od razu znaleźć siedzibę brytyjskiej reprezentacji, żeby dać im znać, że przyjechaliśmy, ale miałem dosyć siedzenia za kierownicą i podróży furgonetką. Pragnąłem tylko znaleźć dom przyjaciół rodziny, u których mieliśmy się zatrzymać.

Przez chwilę się o to spieraliśmy. Joe zauważył, że przybyliśmy do miasta przed południem i pozostało nam wiele godzin dziennego światła. Zgodziłem się, że powinniśmy jak najszybciej podjąć trening, żeby przywrócić sprawność mięśniom, ale uparcie nalegałem na odpoczynek. Ostatecznie zawarliśmy coś w rodzaju kompromisu. Zlokalizowaliśmy siedzibę brytyjskiej reprezentacji, a następnie udaliśmy się nad wodę niedaleko wioski olimpijskiej w dzielnicy Grunewald, gdzie miały trenować osady wiosłarskie. Przenieśliśmy nasze dwie łodzie oraz wiosła do hangaru, który nam przydzielono. Potem pojechaliśmy do mieszkania naszych przyjaciół, które znajdowało się w Charlottenburgu, na zachodnim przedmieściu Berlina. Pierwszego dnia po przybyciu nie przeprowadziliśmy treningu.

Pięć lat później, wczesnym latem 1941 roku, przebywałem w wiejskim szpitalu w Warwickshire. Mój samolot, Wellington A-Able, spadł do Morza Północnego mniej więcej trzydzieści mil od wybrzeży Anglii, na wysokości Bridlington. Kiedy maszyna runęła do wody, na pokładzie znajdował się ze mną już tylko jeden członek załogi: Sam Levy, nawigator trafiony odłamkiem w głowę i nogę. Sam i ja jakoś zdołaliśmy wgramolić się do nadmuchiwanej szalupy i po wielu godzinach znalazła nas łódź ratunkowa.

Spowijała mnie mgła amnezji. Nie pamiętałem niemal niczego z zarysu wydarzeń, który przedstawiłem powyżej. Pozostały tylko pojedyncze chwile i przebliski, jak fragmenty straszliwego snu.

Powoli wracałem do pełnej świadomości, oszołomiony tym, co się dzieje w moim umyśle, zderzeniem brutalnych wspomnień z otaczającym światem. Leżałem w łóżku, nękany silnym bólem, nieznajomi przychodzili i odchodzili, moje ciało poddawano niewytłumaczalnym czynnościom, grzechotały buteleczki i tace, doświadczałem bezradnego ruchu, gdy wieziono mnie dokądś na wózek.

W myślach widziałem, słyszałem i przypominałem sobie ogłuszający ryk silników, jasne rozbłyski na otaczającym nas mrocznym niebie, donośny huk, który powtarzał się za każdym razem, gdy poruszałem głową, lodowaty podmuch, gdy szybę przed moją twarzą strzaskał pocisk albo odłamek, głosy w radiu, przerażający ogrom zbliżającego się morza, zimno, grozę.

Stopniowo otrząsałem się z zagubienia i zacząłem przyswajać wszystko, co widziałem wokół siebie.

Uświadomiłem sobie, że jestem w szpitalu, a wcześniej leciałem samolotem i towarzyszyli mi inni ludzie. Bolały mnie nogi i

klatka piersiowa, nie mogłem poruszać lewą dłonią. Zabrano mnie z łóżka, posadzono na krześle, a następnie powtórnie położono. Pracownicy szpitala przychodzili i odchodzili. Widziałem twarz matki, ale kiedy znów otworzyłem oczy, już jej nie było. Wiedziałem, że jestem poważnie chory.

Próbowałem dowiedzieć się czegoś na temat mojej choroby od personelu szpitala, ale, powoli wracając do zdrowia, uzmysłowiłem sobie, że nie uzyskam żadnych odpowiedzi, jeżeli nie postawię pytań. Wiedziałem też, że zanim to zrobię, powinienem sam sformułować takie pytania w swoim umyśle, a w tym celu muszę mieć jasność, czego chcę się dowiedzieć.

Zacząłem cofać się myślą, żeby odnaleźć potrzebne wspomnienia, po drodze gromadząc wiedzę.

6

Podczas pobytu w berlińskim Charlottenburgu zatrzymaliśmy się w dużym mieszkaniu przy Goethestrasse. Szczęśliwie znajdowało się ono niedaleko zarówno Stadionu Olimpijskiego, jak i naszej strefy treningowej w Grünewald. Mieszkanie należało do bliskich przyjaciół rodziny mojej matki: doktora Friedricha Sattmanna, jego żony Hanny i córki Birgit. Mieszkali na drugim piętrze olbrzymiego, solidnego budynku, który z jednej strony przylegał do szerokiej ulicy osłoniętej drzewami, po której przez cały dzień i większość nocy jeździły tramwaje, z drugiej zaś do otwartego, obficie zadrzewionego parku. Joe i ja otrzymaliśmy do dyspozycji pokój na tyłach. Mieliśmy balkon, na którym mogliśmy siadywać razem z rodziną i raczyć się kawą oraz ciastkami. Dom wypełniała muzyka: cała trójka gospodarzy grała na instrumentach. Frau Sattmann była uzdolnioną pianistką, jej mąż grał na fagocie, a siedemnastoletnia Birgit była skrzypaczką i ćwiczyła pod okiem Herr Profesora Alexandra Weibla w Berliner Konservatorium. Dowiedzieliśmy się, że wszystko zostało zakazane – nie mogli nawet chodzić do domów przyjaciół, żeby wspólnie muzykować, grali więc razem w domu.

Herr Doktor Sattmann i jego żona przez cały nasz pobyt traktowali nas z wielką szczodrością, jednakże nie mieliśmy wątpliwości, że praktyka lekarska doktora podupadła. Nic nam o tym nie wspominał, ale każdego ranka oznajmiał oficjalnie, że wychodzi do swoich pacjentów, a następnie wracał po godzinie, donosząc, że zaledwie jedna albo dwie osoby wymagały jego usług.

Frau Sattmann tłumaczyła, że musiała zrezygnować z pracy dla wydawnictwa, dla którego wykonywała tłumaczenia. Birgit, która była dopiero na pierwszym roku studiów w Konservatorium,

zwierzyła się nam, że rozpaczliwie pragnie opuścić kraj. Byłem nią oczarowany od chwili, gdy po raz pierwszy ją zobaczyłem: miała ciemne włosy, była śliczna, a jej twarz rozświetlała się, gdy dziewczyna się uśmiechała. Wstydliwie trzymała się od nas na dystans.

Każdego wieczoru Frau Sattmann przyrządzała posiłek dla Joego i mnie, ale porcje były niewielkie, a jakość potraw pozostawiała wiele do życzenia. Nie otrzymywaliśmy żadnych wyjaśnień.

Właśnie podczas pobytu w Berlinie po raz pierwszy zacząłem sobie zdawać sprawę z pogłębiających się różnic pomiędzy mną a Joem, które miały wywrzeć na nas trwały wpływ. Kiedy akurat nie trenowaliśmy, rzadko spędzaliśmy razem czas. Podczas gdy ja rygorystycznie dbałem o formę, on chodził na długie samotne spacerunki po Berlinie, utrzymując, że to w ramach ćwiczeń, ale wieczorami często słyszałem, jak dyskutuje z doktorem Sattmannem o tym, co widział, i ogólnie o polityce. Usiłowałem się przyłączyć, ale szczerze mówiąc, nie byłem zbyt zainteresowany tematem, a zresztą stale wybiegałem myślą do naszego wyścigu. Miałem wrażenie, że Joe zbyt mało się angażuje, a los naszej osady jest zagrożony.

Chociaż Joe i ja byliśmy identyczni pod względem wyglądu, nasze osobowości i poglądy ogromnie się różniły. Trudno jest obiektywnie patrzeć na siebie samego, ale mogę uczciwie stwierdzić, że od wieku mniej więcej trzynastu lat wiodłem beztroskie i samolubne życie. Korzystałem jak najpełniej ze wszystkich udogodnień, które zapewniali mi moi zamożni i hojni rodzice. Interesowały mnie głównie sport i latanie, a gdy podrosłem, dołączyły do nich dziewczyny, piwo oraz rosnąca fascynacja samochodami.

Jednakże Joe był inny. Zawsze był ode mnie poważniejszy i wyglądał na bardziej świadomego oraz odpowiedzialnego. Rozmyślał o wielu kwestiach i często zapisywał swoje przemyślenia, moim zdaniem nieco ostentacyjnie. Czytał książki o sprawach, o których nie miałem pojęcia, a których tytuły nie

wzbudzały we mnie cienia zainteresowania. Podczas gdy ja uczyłem się pilotować samolot, najpierw w ramach prywatnych lekcji, a następnie w Uniwersyteckim Dywizjonie Powietrznym, on twierdził, że jest zbyt zajęty nauką i treningami. Gustował w muzyce klasycznej i poważnej, otaczał się znajomymi, których uznawałem za tajemniczych i sardonicznych, a gdy próbowałem z nim rozmawiać na tematy, które go interesowały, traktował mnie pogardliwie i protekcyjnie.

Chociaż cierpiałem z powodu naszej rywalizacji, jednocześnie wiedziałem, co Joe robi, a nawet rozumiałem powody. Musiałem szczerze przyznać, że czułem to samo. Kiedy dorasta się z bratem bliźniakiem, nie da się ani na chwilę o tym zapomnieć. Bliźniacy muszą znosić niekończące się komentarze i żarty dotyczące ich niezwykłego podobieństwa. Ludzie twierdzą, że nie potrafią was odróżnić, mimo że zapewne byłiby do tego zdolni, gdyby tylko zadali sobie nieco trudu. Pytają, czy myślicie o tym samym. Rodzice identycznie was ubierają, nauczyciele tak samo was traktują, a znajomi i krewni dają wam takie same prezenty i zawsze mówią o tym, co dotyczy was obu. Powierzchowne różnice, jeśli w ogóle ktoś je zauważy, przyciągają nadmierną uwagę. Panuje przekonanie, że obaj z pewnością czujecie to samo.

Nade wszystko pragniesz, żeby traktowano cię jak odrębną istotę ludzką. Jest to niemal niemożliwe, gdy jesteś dzieckiem, ale kiedy tylko osiągniesz wiek nastoletni i staniesz na progu dorosłości, zaczniesz budować dystans. Chcesz niezależnego życia, starasz się odkrywać informacje, których nie posiada twój bliźniak, mieć przed nim tajemnice. Nie ma to nic wspólnego z brakiem miłości ani rosnącą niechęcią do kogoś, kto kiedyś był ci bliski. To jedynie potrzeba samodzielności.

W Berlinie zacząłem sobie zdawać sprawę, że niemieckie igrzyska to jedyne, co jeszcze nas łączy. Często byłem sam, samotnie trenowałem albo przesiadywałem w mieszkaniu Sattmannów, podczas gdy Joe wychodził z rodziną. Wieczorami razem z doktorem udawali się do pracowni, ja zaś dawałem się

zabawiać Frau Sattmann i Birgit. Uwielbiałem ich muzykę, finezję wspólnej gry i cieszyłem się, że zbliża mnie to do Birgit, ale nie mogłem przestać myśleć o tym, co się działo między Joem a mną.

Jednakże do Berlina przyjechaliśmy, żeby wystartować w wyścigu, i Joe w końcu poświęcił się temu celowi. Każdego ranka energicznie zabieraliśmy się do treningu, w pełni korzystając z umiejętności i cierpliwości Jimmy'ego Nortona, trenera brytyjskiej reprezentacji. Kiedy już przyzwyczailiśmy się do dziwności tego miejsca – nieznanymi widoków Berlina, nieprzewidywalnych prądów w wodzie, a zwłaszcza wzmacnianych przez megafony głosów licznych trenujących osad, które porozumiewały się w swoich ojczystych językach – udało nam się skupić na celu naszej wizyty.

Stopniowo, powoli, nasz czas ulegał poprawie. Jako pierwszy skromny cel obraliśmy sobie pokonanie wyznaczonego dystansu w osiem i pół minuty, wiedząc, że Edwards i Clive zdobyli medal z czasem nieco poniżej ośmiu minut, chociaż płynęli z prądem. Wcześniej tego samego lata, również płynąc z prądem Tamizą niedaleko Oksfordu, Joe i ja uzyskaliśmy czas ośmiu minut i pięciu sekund. Wiedzieliśmy, że to nie jest limit naszych możliwości i stać nas na lepszy wynik. Wyniki sportowe osiąga się na drodze stopniowych postępów, a nie nagłych wybitnych wyskoków, których nie sposób powtórzyć. Przez ostatnie trzy miesiące pilnie ćwiczyliśmy szybkość, osiągając coraz lepsze czasy.

Pan Norton zachęcał nas, żebyśmy skupiali się na dniu zawodów i wyobrażali sobie pierwszy wyścig, a nie myśleli o czasach.

Od wyścigu dzieliło nas pięć dni. Pierwszego dnia, w którym odbyliśmy pełny trening, nasz najlepszy wynik wyniósł osiem minut trzydzieści sekund, na jeziorze pozbawionym wyczuwalnych prądów.

Następnego dnia pokonaliśmy wyznaczony dystans czterokrotnie: nasz najlepszy czas wyniósł osiem minut

dwadzieścia dwie sekundy.

Czwartego dnia za każdym startem ocieraliśmy się o osiem minut dziewiętnaście sekund.

Pięć lat później leżałem w wiejskim szpitalu w Warwickshire i sięgałem w głąb pamięci. Teraz rozumiem, że moje wspomnienia pojawiały się w niewłaściwej kolejności. Nie dawało mi spokoju, że najpierw przypomniałem sobie koniec wypadku, a nie wiedziałem, co do niego doprowadziło.

Rozległ się huk, donośny trzask odłamka przebijającego poszycie kadłuba dwie stopy za mną, nisko, gdzieś pod spodem wellingtona. Tuż obok stolika nawigatora, przy dźwigarze skrzydła. Tylny strzelec, Krzysztof Gałązka, przeczołgał się do przodu od swojej wieżyczki działowej i zameldował przez interkom, że Sam Levy wygląda na martwego. Krew zalała jego mapy. Obserwowałem wskazania zegarów i widziałem, że tracimy prędkość, a wskazówka wysokościomierza zaczyna powoli i niepowstrzymanie cofać się po okręgu. Grawitacja stopniowo pożerała nasz beczenny pułap.

W dole dostrzegałem nieregularną czarną linię niemieckiego wybrzeża, gdy nierówno lecieliśmy na zachód nad Morzem Północnym ku Anglii.

Kilka minut później Krzysztof ponownie odezwał się przez interkom i stwierdził, że według niego Samowi nic się nie stało. Uderzył się w głowę, ale normalnie oddycha. Krzysztof zapowiedział, że przeciągnie go na podłogę obok luku, gdzie będzie mu wygodniej.

Polecilem Krzysztofowi wrócić do wieżyczki i wypatrywać myśliwców. Często wykonują one loty patrolowe nad morzem, czekając na nasze bombowce, gdy wracamy do bazy, nie trzymając formacji. Przez kolejne kilka chwil czułem, jak moja załoga niezdarnie przemieszcza się wewnątrz kadłuba za moimi plecami. Samolot drgał pod wpływem ich ruchów. Nikt się nie

odzywał, ale słyszałem oddechy w słuchawkach interkomu, które wciąż miałem na uszach.

Kiedy wreszcie zajęli miejsca, znajdowaliśmy się już na pułapie niecałych dwunastu tysięcy stóp i wciąż powoli się obniżaliśmy. Silnikom brakowało mocy. Klapy były tak sztywne, że ledwie mogłem poruszać drążkiem. Załoga zaczęła wyrzucać nieużytą amunicję, ekwipunek, race, wszystko, co dało się usunąć. Lodowate nocne powietrze wpadało nie tylko przez dziury w poszyciu kadłuba, ale także przez otwarty luk.

Brnęliśmy naprzód po obniżającej się trajektorii, starając się jak najbardziej odwlec nieunikniony koniec. Minęła godzina, a ja zacząłem się łudzić, że może nam się uda. Lecieliśmy na wysokości czterech tysięcy stóp. Lewy silnik zaczął się przegrzewać i wibrować.

Colin Anderson, nasz radiotelegrafista, zgłosił się przez interkom i stwierdził, że może powinniśmy przerwać ciszę radiową i wysłać sygnał S.O.S.

– Wciąż jesteśmy daleko nad morzem – odrzekłem. – Nadal musimy być ostrożni. Zresztą, dlaczego uważasz, że pozwolę samolotowi się rozbić?

– Wybacz, JL.

Wszyscy chcieliśmy wrócić do domu. Milczeliśmy.

Niestety, mniej więcej minutę później lewy silnik zaczął odmawiać posłuszeństwa. Zmieniłem zdanie i rozkazałem Colowi wysłać sygnał S.O.S. Kiedy zostały nam trzy tysiące stóp, a pogrążone w nocnym mroku niebo co chwila wyłaniało się zza nisko wiszących chmur, nadałem sygnał awaryjny, po czym nakazałem załodze zabrać szalupy oraz kamizelki ratunkowe i wyskoczyć z samolotu. Odmówili, więc krzyknąłem im, że to rozkaz. Przeklinałem ich i wrzeszczałem, żeby skakali. To była ich jedyna nadzieja. Od tamtej chwili interkom już się nie odezwał. Czy wciąż byli w samolocie, kiedy uderzyliśmy o powierzchnię wody, czy może wyskoczyli, kiedy im kazałem? Nie miałem czasu, żeby to sprawdzić: dzieliło nas kilka sekund od uderzenia. Odczułem je jako potężny fizyczny wstrząs –

zupełnie jakbyśmy zderzyli się z ziemią. Jakoś udało mi się wgramolić do nadmuchiwanej szalupy. Byłem ledwie przytomny i umierałem z zimna. Zobaczyłem, że razem ze mną w szalupie jest Sam Levy. Wszystko się działo w jednej chwili.

Na pewno byłem w szoku. Czuję się zagubiony, zarówno wtedy, jak i później, kiedy usiłowałem to sobie przypomnieć, a także dzisiaj, po upływie tylu lat.

– Gdzie samolot? – spytałem, odkrywając, że z jakiegoś powodu ledwie mogę mówić. Kiedy Sam nie odpowiedział, ponowiłem pytanie, tym razem starając się je wykrzyknąć.

Widziałem jego sylwetkę po drugiej stronie malutkiej szalupy. Miałem wrażenie, że jego głowa się poruszyła, jakby coś mówił.

– Co?! – zawołałem.

– Zatonął – odrzekł. – Gdzieś tam.

– Jak się wydostaliśmy, do cholery?

– Pokrywa luku oderwała się podczas uderzenia. Leżałem obok niej, a ty pewnie się do mnie podczołgałeś. Nie pamiętasz?

Pamiętałem tylko chaos w zatopionym kokpicie wellingtona. Całkowitą ciemność, przenikliwy ziąb, podnoszącą się lodowatą wodę, którą wszystko nasiąkało. W jednej chwili kokpit przekształcił się w zupełnie obce dla mnie miejsce. Zniknęło wszelkie wyczucie kierunku. Czy część samolotu za moimi plecami znajduje się w górze, czy w dole? Leżę czy stoję? A może wciąż siedzę za sterami? Jestem zwrócony twarzą w dół? Piekielnie bolała mnie noga. Nie mogłem oddychać, ponieważ twarz miałem pod wodą i się krztusiłem. Maskę tlenową z pilotki oplotała mi szyję. Nagle samolotem szarpnęło i woda gwałtownie opadła, odsłaniając moją głowę. Do kokpitu przedostało się słabe światło. Zobaczyłem dwie nogi znikające w otwartym luku. Ponownie poczułem wstrząs.

Potem nastąpiła ciemność i brutalna walka. Ręce i nogi miały się w wodzie. W jakiś sposób znalazłem się w nadmuchiwanej szalupie, gdzie usiłowałem przekręcić się twarzą do góry. Ciężka mi obszyta futrem kurtka lotnicza, która nasiąkła wodą, a maska tlenowa bezużytecznie dyndała na szyi.

– Wiesz, gdzie jesteśmy?! – zawołałem po mniej więcej godzinie bolesnych zmagani. Wciąż wpatrywałem się w ciemność, w której musiał leżeć Sam.

Odpowiedziała mi długa cisza, tak długa, że podejrzewałem, że stracił przytomność, umarł albo zsunął się do morza.

– Nie mam pojęcia – odrzekł w końcu.

– Przecież jesteś nawigatorem. Nie sprawdziłeś naszego położenia?

– Zamknij się, JL.

Noc ciągnęła się bez końca. Wreszcie w szalupie nastał świt, słońce rozbliżyło nad zimnym szarym morzem, a fale uderzały nas ze wszystkich stron. Szalupa poruszała się tak, jakby przywarła do boków fal, unosząc się i opadając wraz z nimi, nie grożąc wywróceniem, ale stale nami miotając. Sam i ja leżeliśmy rozpląszczeni na śliskim gumowym dnie, z nadgarstkami zaplątanymi w wyblinki. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia – Sam przez większość czasu spał, a dłonie i twarz miał białe z zimna. Obaj mieliśmy ubrania pokryte krwią, ale stopniowo wypłukiwała ją słona woda, która zalewała nas co kilka minut. Był maj, wczesne lato. Czekala nas śmierć z wyziębienia.

W końcu, po wielu godzinach, znalazła nas łódź ratunkowa.

To było wszystko, co pamiętałem, leżąc w Warwickshire.

Otaczała mnie mgła amnezji. Moja opowieść powstała na bazie licznych chaotycznych obrazów. Krótkich frustrujących przeblysków, które umykały mi jak fragmenty snu.

Stopniowo wynurzałem się z niejasnych półwspomnień, i to, co widziałem wokół mnie, wreszcie nabrało sensu. Bolało mnie wiele części ciała: noga, klatka piersiowa, dłoni, szyja, oczy. Pewnego dnia, ogarniętego bólem przeniesiono mnie z łóżka na wózek inwalidzki. Pracownicy szpitala przychodzili i odchodzili. Wiedziałem, że odwiedziła mnie matka i rozmawialiśmy, ale nie pamiętałem niczego, co powiedzieliśmy. Kiedy ponownie spojrzałem na krzesło, na którym siedziała, już jej nie było.

Cofałem się myślą do wspomnień, po drodze gromadząc wiedzę.

Okazało się, że minęło trochę czasu i był już koniec maja. Powiedzieli mi, że zostałem zestrzelony dziesiątego. Leżałem nieruchomo, wracając do zdrowia. Tydzień później wszyscy twierdzili, że mój stan się poprawia, ale powinienem jeszcze zostać w szpitalu. Chciałem znów zobaczyć się z rodzicami, ale lekarze wytłumaczyli mi, jak trudno jest podróżować w czasie wojny. Jednakże zapowiedzieli, że przeniosą mnie do szpitala dla rekonwalescentów położonego bliżej mojego domu. To miało ułatwić rodzicom odwiedziny.

Potem pojawiła się kolejna luka w pamięci: może mi się pogorszyło.

Znajdowałem się w karetce Czerwonego Krzyża i gwałtownie odzyskałem przytomność, gdy samochód podskoczył na nierówności. Próbowałem się chronić przed otrzymywanymi uderzeniami, ale talię i nogi miałem delikatnie skrępowane pasami. Oprócz mnie w karetce znajdował się tylko młody sanitariusz Czerwonego Krzyża, niejaki Ken Wilson.

Trudno nam było rozmawiać w głośnym wnętrzu pozbawionym wentylacji. Gdy samochód się kołysał, Ken opierał się rękami o półki nad głową. Pocieszył mnie, że pokonaliśmy już znaczną część drogi, ale i tak się martwiłem. Dokąd jechaliśmy? Zacząłem myśleć o swoich rodzicach. Czy poinformowano ich, że zostałem przeniesiony z poprzedniego szpitala? Czy znajdą mnie tam, dokąd jadę? Nagle urosło to do rangi najważniejszego problemu na świecie.

Naszym celem był duży wiejski dom z ogrodami, stromymi dachami, wimpergami, wysokimi oknami i drózkami wyłożonymi kamieniem. Duże pokoje w skrzydłach na tyłach domu przekształcono w szpitalne oddziały. Moi rodzice zdołali mnie odnaleźć i drugiego dnia przyjechali z wizytą. Tak bardzo cierpiałem, że rozplakałem się na ich widok.

Podczas długich letnich dni przenoszono nas na balkon osłonięty przed słońcem, gdzie stały leżaki z dużymi poduchami oraz wiklinowe stoliki, i skąd roztaczał się widok na ogród, w którym na dużych równych grządkach uprawiano kapustę,

ziemniaki, szpinak i buraki. Kiedy odwiedzali mnie rodzice, przesiadywałem tam z nimi, niewiele się odzywając. Czuję, że wojenne wydarzenia oddaliły mnie od nich i sprawiły, że dorosłem.

Odkryłem, że szpital dla rekonwalescentów znajduje się gdzieś w dolinie Evesham. Mijały kolejne dni mojej choroby i zbliżał się koniec czerwca 1941 roku. W wiadomościach na antenie BBC podano, że Niemcy zajęli większość Ukrainy i Białorusi i posuwali się naprzód na wszystkich frontach w głąb Związku Radzieckiego. Te wieści mnie zaszokowały. Wyglądało na to, że wybuchła wojna pomiędzy Niemcami a Związkiem Radzieckim! Kiedy to się stało?

Poprzedniej nocy samoloty RAF-u zbombardowały Kiel, Düsseldorf i Bremę. Donoszono o poważnych zniszczeniach w tych trzech miastach. Ataki przeprowadzono z wielką odwagą. Wrogowie zestrzelili pięć maszyn RAF-u, a dwie kolejne zaginęły. Byłem przyzwyczajony do takich wiadomości, ale wysłuchałem w milczeniu całej relacji, długo rozmyślając o zaginionych załogach. Wyobrażałem je sobie na morzu, kurczowo uciepione szalup ratunkowych. Tymczasem Finlandia, Albania i Węgry wypowiedziały wojnę Związkowi Radzieckiemu. Czy one też przeprowadziły natarcie? Prezydent Roosevelt obiecywał Sowiecom pomoc. Czy to oznaczało, że Stany Zjednoczone również przystąpiły do wojny? BBC podała, że jeden z nazistowskich przywódców, Rudolf Hess, poleciał do Szkocji z planem pokojowym, który miał przerwać działania wojenne pomiędzy Wielką Brytanią a Niemcami. Wyjaśniono, kim on był: zastępcą Hitlera, jednym z najbardziej wpływowych nazistów w Niemczech.

Ja jednak pamiętałem to nazwisko: poznałem Rudolfa Hessa podczas pobytu w Berlinie! Czy to mógł być ten sam człowiek? Wiedziałem, że jest wysokim rangą nazistą, ale nie zwróciłem uwagi na to, że był zastępcą Hitlera.

Co się stało z planem pokojowym Hessa?

Joe i ja zajęliśmy drugie miejsce w naszym wyścigu, za Francją, ale przed Finlandią i Grecją. Po południu przyплыliśmy jako drudzy w półfinale, dzięki czemu udało nam się z trudem zakwalifikować do finałowego wyścigu. Mieliśmy w nim wystąpić razem z reprezentacjami Argentyny, Danii, Holandii, Francji i Niemiec.

Poranek przed finałem poświęciliśmy na trening, ale w porze lunchu Joe nagle oświadczył, że musi wrócić do mieszkania przy Goethestrasse, co oznaczało, że zostanę sam i będę miał co najmniej dwie godziny wolnego. Byłem na niego wściekły, ponieważ zbliżał się nasz najważniejszy start w karierze. Uważałem, że powinniśmy ćwiczyć i spędzić więcej czasu na wodzie. Joe mnie zlekceważył, stwierdzając, że jeśli przesadzimy z treningiem, zajmiemy ostatnie miejsce. Potem się oddalił.

O tej porze dnia nie rozgrywano żadnych zawodów, więc większość ludzi, zarówno zawodników, jak i widzów, udała się na lunch. Zostałem nad jeziorem, starając się uspokoić po kłótni z Joem, odpoczywając na trawie i obserwując wszystko, co się działo wokół. Zacząłem myśleć o Birgit. Po raz ostatni rozmawiałem z nią dwa dni wcześniej, kiedy zebrałem się na odwagę i spytałem, czy miałyby ochotę odwiedzić olimpijski tor wioślarski, żeby obejrzyć wyścig. Jak wszyscy sportowcy, Joe i ja otrzymaliśmy bilety dla rodziny i przyjaciół. Birgit zapewniła mnie, że bardzo chciałaby przyjść na nasz wyścig, ale nie byłoby to dla niej bezpieczne. Chociaż byłem rozczarowany, nie nalegałem. Dziś żałuję, że tego nie zrobiłem. Wkrótce mieliśmy opuścić Berlin, nie wiedząc, czy kiedykolwiek tu wrócimy.

Nieco później poszedłem rozprostować nogi. Pomiedzy dwiema głównymi trybunami, nieco z przodu, znajdowało się

podniesione podium widokowe okryte nazistowskimi flagami i sztandarami, zarezerwowane dla dygnitarzy i wysokich urzędników. Podczas dotychczasowych wyścigów nikt się na nim nie pojawiał, a naszych wysiłków nie obserwował nikt ważny ani wpływowy. Tym razem jednak zauważyłem, że dwaj uzbrojeni esesmani w charakterystycznych czarnych mundurach zajęli pozycję na dole obu ciągów schodów prowadzących na platformę. Przeszedłem obok nich, podnosząc wzrok na balustrady ozdobione swastykami.

– [Proszę stąd odejść!] – odezwał się jeden ze strażników, kiedy na dłużej przystanąłem niedaleko podium.

– [Jestem zawodnikiem] – odparłem łagodnie, pokazując przepustkę, którą wydawano sportowcom. Umożliwiała ona swobodny dostęp do wszystkich części kompleksu sportowego.

– [To nieistotne. Nie wolno tutaj przebywać].

– [Tak jest!] – odpowiedziałem, gdyż w ciągu ostatnich kilku dni pobytu w Berlinie przekonałem się, że nikt rozsądny nie kwestionuje władzy SS. – *Heil Hitler!* – dodałem.

Strażnik natychmiast odwzajemnił salut, ale nadal wpatrywał się we mnie podejrzliwym wzrokiem. Pośpiesznie się oddaliłem, nagle czując się nieco wystraszony całą sytuacją.

Po zejściu nad rzekę przyglądałem się, jak niemieckojęzyczni urzędnicy sprawdzają naszą łódź, a także łodzie innych osad. Nie próbowali odprawić widzów, więc mogłem z bliska patrzeć, jak metodycznie wybierają łodzie, mierzą je, ważą, sprawdzają, czy są odpowiednio wąskie i proste, a następnie przymocowują małą etykietkę do steru, żeby zaświadczyć, że łódź spełnia wszystkie wymogi.

Kiedy wróciłem do ogrodzonego sektora dla widzów, ujrzałem niezwykle widok: z pobliskiego parku na olbrzymie trybuny napływał tłum. W spokojnej strefie, w której spacerowałem jeszcze przed chwilą, teraz roiło się od urzędników, policjantów, sędziów, sportowców, dziennikarzy oraz niepokojąco licznych umundurowanych esesmanów, którzy wydawali się nie na miejscu w jaskrawym blasku słońca. W letnim powietrzu

wyczuwało się niesamowitą atmosferę wielkiego wydarzenia, której nie byłem w stanie zignorować.

Byłem na igrzyskach olimpijskich i miałem wystąpić w finale!

Widzowie wciąż się gromadzili, kierowani ku wąskim wejściom na trybuny. Urzędnicy sprawiali wrażenie zmartwionych i nerwowych; popędzali ludzi, jakby nie było ani chwili do stracenia. Wojskowa kapela wmaszerowała w imponującym stylu do sektora dla widzów, zajęła pozycję i zaczęła odgrywać wiązaną skocznych, wesołych melodii. Ludziom bardzo się to spodobało. Ponownie usiadłem na trawie, obserwując zespół i ciesząc się muzyką.

Zobaczyłem Joego, który szedł wzdłuż brzegu rzeki i rozglądał się na boki. Pomachałem do niego, pośpiesznie go przywołując. Mieliśmy niewiele czasu. Po chwili mnie zauważył i od razu się zbliżył. Przysiadł obok mnie na trawie.

– Słuchaj, JL, musimy zmienić plany – oznajmił wprost, przekrzykując hałaśliwą muzykę. – Coś się wydarzyło. Dzisiaj wyjedziemy z Berlina.

– Już chcesz wracać do domu?

– Po prostu chcę opuścić Niemcy. Za wszelką cenę.

– Joe, przyjechaliśmy tutaj na zawody. Gdzie się podziewałeś, do diabła? Zapomniałeś o wyścigu? To najważniejsze popołudnie w naszym życiu!

– Tak, całkowicie się z tobą zgadzam. Ale musimy martwić się też innymi sprawami.

– Nie teraz, nie na chwilę przed wyścigiem!

– Za godzinę będzie po wyścigu. Nie ma sensu dłużej pozostawać w Berlinie.

– Ale podpisaliśmy umowę, która zobowiązuje nas do pozostania na ceremonii zakończenia igrzysk.

– Przebywanie tutaj nie jest dla nas bezpieczne.

– A co się może stać? – spytałem, wskazując potężny, pogodny tłum widzów, ciepłe popołudnie i spokojną rzekę, dziarską kapelę i oddziały urzędników oraz sędziów. Zerknąłem na zegarek. – Powinniśmy rozpocząć rozgrzewkę.

Joe odwrócił się ode mnie, gdyż coś przyciągnęło jego uwagę. Popatrzyłem w tym samym kierunku. Wielu ludzi na głównej trybunie wstawało z miejsc i wspinało się na palce, żeby lepiej widzieć. Kapela nie przestawała grać, ale byliśmy na tyle blisko muzyków, by zobaczyć, że wielu z nich przewraca oczami, dmuchając w trąbki i tuby, a zarazem starając się dostrzec, co się dzieje. Wstałem z trawy, a Joe po chwili do mnie dołączył.

Grupa mężczyzn w niemieckich wojskowych mundurach nadchodziła dróżką wiodącą do ogrodzonego sektora pomiędzy dwiema głównymi trybunami. Nie maszerowali, ale szli szybkim krokiem, patrząc prosto przed siebie. Mieli utorowaną drogę, a szeregi esesmanów stały na baczność po obu stronach dróżki.

Wielu widzów podnosiło wyprostowaną prawą rękę, a ponad tłumem niosły się okrzyki, wiwaty i wrzaski. Fale podniecenia przelewały się przez obie trybuny. Wokół panowała napięta atmosfera.

– Mój Boże! – zawołał Joe, przekrzykując harmider. – To on!

Patrzyłem zdumiony. W środku idącej grupy mężczyzn dostrzegłem charakterystyczną sylwetkę kanclerza Hitlera, który pozdrawiał podekscytowany tłum lekko uniesioną prawą dłonią zwróconą ku górze. Nie rozglądał się na boki. Nie był wyższy od pozostałych mężczyzn, miał na sobie pospolity bładozielony mundur i czapkę z daszkiem, a jednak jego obecność natychmiast skupiła uwagę wszystkich obecnych.

Byłem oszołomiony efektem, jaki wywarło na mnie pojawienie się tego człowieka. Wystarczyło, że tutaj był, przyszedł, wkroczył na arenę wioślarskiego wyścigu, a od razu nas zafascynował. Joe i ja, tak samo jak wszyscy, wyciągaliśmy szyje, żeby go dobrze widzieć.

Grupa mężczyzn dotarła do podstawy podniesionego podium. Tamtego upalnego dnia na początku sierpnia 1936 roku Joe i ja nie rozpoznawaliśmy żadnego z nich poza Hitlerem, chociaż po ich zachowaniu dostrzegaliśmy, że są bardzo ważnymi ludźmi. Bezceremonialnie wspięli się po schodach i zajęli miejsca na platformie widokowej. Kilka lat później ci sami towarzysze

Hitlera mieli się znaleźć w gronie najlepiej znanych i najgroźniejszych ludzi na świecie.

Nazistowscy przywódcy na chwilę zniknęli nam z oczu, gdy dotarli do platformy, ale Hitler podszedł do balustrady, otoczony przez dwóch podwładnych. Stał z wyprostowanymi plecami i wysoko uniesioną głową, po czym rozejrzał się spokojnie, ale władczo. Uniósł ręce w teatralnym geście i złożył je przed sobą, zaciskając dłonie na ramionach. Powiódł wzrokiem wokół, w milczeniu przyjmując okrzyki uznania i wiwaty. Hałas tłumu był ogłuszający, ale wydawało się, że Hitler jest od niego oderwany i całkowicie panuje nad sytuacją.

Po mniej więcej minucie Hitler szybko rozplótł ręce, zsalutował prawą dłonią, a następnie odwrócił się i wycofał. Wtedy ludzie wreszcie zaczęli milknąć.

Popatrzyłem na zegarek.

– Chodź, Joe! – zawołałem. – Spóźnimy się!

Hitler i jego świta wchodzili na arenę przez kilka minut, przyciągając uwagę wszystkich, ale zawodników obowiązywał surowy harmonogram. Minęło już niemal dziesięć minut od rozpoczęcia oficjalnej rozgrzewki, a wiedzieliśmy, że organizatorzy nie będą tolerowali spóźnień.

Popędziliśmy w górę zbocza do strefy przeznaczonej na rozgrzewkę, pośpiesznie pokazując nasze przepustki niemieckiemu urzędnikowi. Za nim czekał jeden z członków brytyjskiej ekipy, który najwyraźniej nie był zachwycony naszą opieszałością, a nasze wymówki nie zrobiły na nim wrażenia. Uraczył nas krótkim, upokarzającym wykładem dotyczącym narodowych oczekiwań. Pokornie przyznaliśmy mu rację i przeprosiliśmy, i w końcu zdołaliśmy się od niego uwolnić. Szybko zabraliśmy się do rutynowych ćwiczeń, starając się uwolnić umysł od wszystkiego, co się właśnie wydarzyło, skupiając się na kluczowym wyścigu, od którego dzieliło nas zaledwie kilka minut.

Pięć lat później przebywałem w szpitalu dla rekonwalescentów w dolinie Evesham, cofając się myślą do katastrofy i wcześniejszych wydarzeń.

Data zestrzelenia, którą mi podano, pomogła mi uporządkować wspomnienia: 10 maja 1941. Wokół niej zaczęły się gromadzić szczegóły. Tamtego wieczoru lecieliśmy na wysokości trzynastu tysięcy stóp, zbliżając się do Hamburga od północnego zachodu. Byłem przerażony i mocno przyciskałem zeszytwniałe dłonie i stopy do urządzeń sterowniczych wellingtona. Nie dawała mi spokoju świadomość, że w ciągu kolejnych dwóch albo trzech minut możemy zostać ranni bądź okaleczeni, albo nawet zginąć. W chwili, gdy uzbrojone bomby były gotowe do zrzucenia, bombardier znajdował się na stanowisku, praktycznie przejmując dowodzenie nad samolotem, a reszta załogi nerwowo wyczekiwała ataku, nie byłem w stanie myśleć ani mówić. Mogłem tylko reagować na rozgrywające się wokół mnie wydarzenia, ufając, że moje instynktowne reakcje okażą się właściwe, a przerażenie nie zmusi mnie do błędu. Mogłem utrzymywać samolot w równej pozycji i odpowiadać na ostrzeżenia oraz prośby załogi, ale wspomnienia i myśli o przyszłości nie miały do mnie dostępu. Żyłem chwilą, nieustannie spodziewając się śmierci.

A zatem. Trzyście tysięcy stóp. Bezchmurne niebo i księżyc w pełni. Dwadzieścia minut po północy czasu brytyjskiego. Samolot A-Able załadowany bombami i racami. W dole miasto: Hamburg. Minęliśmy je kilka minut wcześniej w odległości około dwudziestu mil, starając się zmylić obronę przeciwlotniczą i zasugerować, że kierujemy się w stronę innego celu, Hanoweru, Magdeburga, a może nawet Berlina. Maszyny RAF-u

przeprowadziły nalot na Hamburg dwa dni wcześniej i podczas odprawy ostrzeżono nas, że Niemcy sprowadzają więcej dział przeciwlotniczych do obrony miasta. Naloty odwetowe były dla nas niezwykle niebezpieczne. Nigdy nie lekceważyliśmy niemieckiej obrony przeciwlotniczej, dlatego uważnie realizowaliśmy plan zmylenia wroga. Wykorzystaliśmy charakterystyczny zakręt na rzece Łabie niedaleko Lüneburga jako punkt zbiorczy, a następnie ostro skręciliśmy i przystąpiliśmy do nalotu.

Ted Burrage, nasz bombardier i przedni strzelec, wczółgał się do trzewi wellingtona i obserwował ziemię przez pleksiglasową szybkę w nosie. Tej nocy panowała świetna widoczność: mieliśmy znakomite warunki do namierzania celów, jednakże artyleria przeciwlotnicza również wyraźnie nas widziała, a jeśli w okolicy krążyły nocne myśliwce, to mogły nas dostrzec z odległości wielu mil.

Kiedy zbliżyliśmy się do centrum Hamburga, łatwo rozpoznawalnego w bezchmurną noc ze względu na charakterystyczny zakręt na rzece, ostrzał przeciwlotniczy nagle zelżał. Zapalono dziesięć albo więcej szperaczy, które przesyły niebo przecinającymi się snopami światła, a pociski smugowe pomknęły w naszą stronę. Staralem się je ignorować: zawsze poruszały się z hipnotyzującą powolnością, gdy znajdowały się daleko w dole, ale potem gwałtownie przyspieszały i miały nas ze świstem. Nigdy nie potrafiłem zapomnieć, że pociski smugowe stanowią tylko część ostrzału – na każdego jaskrawego świetlika z roju, który się ku nam kierował, przypadało dziesięć albo piętnaście niewidzialnych pocisków. Przed nami na niebie wykwitwały białe i żółte eksplozje, przypominające śmiercionośny pokaz fajerwerków. Jak możemy przez to przelecieć bez otrzymania stu trafień?

– Bombardier do pilota. Rozpoczynamy nalot? – To był Ted, który zajmował pozycję na nosie.

– Tak, już jesteśmy na kursie. Nie widzę potrzeby go zmieniać.

– Celownik ustawiony. Wszystko skalibrowane i sprawdzone.

– Możesz zabierać się do pracy, Ted.
– Jaki mamy kurs?
– Dwa osiemdziesiąt siedem. Prędkość jeden trzydzieści jeden.
– Trzymaj maszynę równo, JL. Nieco w prawo. Dzięki, tak dobrze.

Przez interkom słyszałem oddechy pozostałych.

– Komora bombowa otwarta, kapitanie.
– Komora bombowa otwarta.

Zapadła cisza, a po chwili samolot lekko podskoczył, gdy zwiększył się opór powietrza.

– Nowa prędkość?
– Jeden dwadzieścia osiem.
– W porządku, trzymaj go równo... równo... cholera, ostro ich dzisiaj trafiamy... wszędzie dym... właśnie tak... równo... trzymaj go równo... bomby zrzucone!

Samolot poderwał się do góry, uwolniony od ciężaru bomb.

– Wynośmy się stąd, JL! – W słuchawkach rozległ się silnie akcentowany, chrapliwy głos Krzysztofa Gałązki, polskiego tylnego Strzelca.

– Mówisz to podczas każdej misji.
– Bo zawsze uważam, że powinniśmy to zrobić.
– W porządku. Trzymajcie się.

Opuściłem nos maszyny, żeby nieco nabrać prędkości, a następnie skręciłem w lewo pod kątem czterdziestu pięciu stopni, oddalając się od piekła poniżej. Zamknąłem luk komory bombowej. Miałem wrażenie, że maszyna sama leci, gdy tylko polepszyły się jej właściwości aerodynamiczne.

– Co teraz, JL? Do domu? – To znów był Krzysztof.
– Jeszcze nie. Wykonamy kolejną rundę.
– Żartujesz, kapitanie?
– Tak, spokojnie. Ale musimy się stąd wydostać.
– Ktoś zobaczył, co trafiliśmy? – spytał Sam Levy, który nic nie widział ze swojego osłoniętego boksu nawigatora.

Nagle tuż pod nosem naszej maszyny rozległa się donośna eksplozja. Zostałem odrzucony od steru i upadłem na bok na

podłogę kokpitu, a moja lewa noga boleśnie wykręciła się w pasach. Samolot przechylił się w lewo, obrócił i zaczął nurkować. Usłyszałem zmianę w pracy silników, zupełnie jakby moje miejsce zajął niewidzialny pilot, który zaczął przyspieszać, kierując nas w stronę ziemi. Przez chwilę byłem oszołomiony tym, że wszystko wokół mnie spadło na podłogę, i leżałem nieruchomo. Myślałem: „Stało się! To już koniec! Zestrzelili nas!”.

Wciąż miałem na głowie swoją skórzaną haubę, ale ta zsunęła się niewygodnie do tyłu. Ktoś wrzeszczał przez interkom – słyszałem głos w słuchawkach, ale jako że pilotka się przesunęła, nie mogłem zrozumieć słów. Nagle połączenie zostało zerwane i zapadła jeszcze bardziej przerażająca cisza. Ból unieruchomił mi lewą rękę – na czole czułem wilgoć wypływającą spod nauszника. Pomyślałem: „Dostałem w głowę! Wykrwawię się na śmierć!”. Zdołałem zmienić pozycję, uwolniłem prawą rękę i otarłem dłonią czubek głowy. Była obolała, ale najwyraźniej cała. Krew wciąż płynęła. Pociągnąłem za pilotkę, żeby ją wyprostować, zasłaniając ranę. Przeszył mnie silny ból, ale potem już niczego nie czułem.

Samolot ponownie się przechylił, tym razem w drugą stronę; lewe skrzydło powędrowało w górę i na chwilę odzyskałmy stabilność. Nie była to moja zasługa: ster znajdował się poza moim zasięgiem i byłem zbyt obolały, żeby się ruszyć. Jednakże zmiana położenia maszyny nagle zrównoważyła siłę odśrodkową wywołaną wirowaniem. Zanim samolot znów zaczął się obracać, dźwignąłem się z podłogi. Oparłem ciężar ciała na prawym łokciu, przetoczyłem się na bok, aż w końcu udało mi się wsunąć pod siebie zdrową nogę. Tak było mi łatwiej: mogłem oszczędzić lewą stronę ciała, która doznała większych obrażeń. Niemal niczego nie widziałem przez przednią szybę: coś ją przebiło, tak że była popękana i zniekształcona. Uderzał we mnie strumień lodowatego powietrza.

Otworzyłem klapy i ku mojej olbrzymiej uldze samolot zaczął wychodzić z lotu nurkowego. Miałem wrażenie, że drążek waży

tonę, ale kiedy zaparłem się prawą nogą o ster, udało mi się go przytrzymać i wyprowadzić maszynę z ruchu wirowego, jednocześnie walcząc z przeciążeniem.

Widziałem, że coś łopocze na górze kadłuba przed kokpitem, ale nie potrafiłem stwierdzić, co to takiego. Kiedy samolot wyrównał lot, a następnie poderwał się do góry, odzyskując część utraconego pułapu, rozpocząłem rozpaczliwy przegląd kokpitu. Oba silniki wciąż działały, chociaż ciśnienie oleju w lewym spadło poniżej normy. Przyrządy nie wykrywały żadnych pożarów. Drażki były sztywne, ale sprawne; samolot przechylił się w lewo, ale mogłem to poprawić za pomocą steru. Poziom chłodziwa niski. Elektryka w porządku.

Żałoga? Sprawdzając stan maszyny, wzywałem pozostałych, żeby się zgłosili.

Ani słowa od Teda Burrage'a, który znajdował się w uszkodzonym nosie. Ani słowa od Lofty'ego Skinnera, który znajdował się za mną; ani słowa od Sama Levy'ego, który był za Loftym. Col Anderson doniósł, że nic mu nie jest. Lofty odpowiedział na drugie wezwanie. Wyjaśnił, że pomaga Krzysztofowi z Samem, który najwyraźniej został poważnie ranny.

Lecieliśmy dalej, mijając niemieckie wybrzeże i przemierzając mroczne Morze Północne w poszukiwaniu domu. Samolot tracił wysokość, gdyż lewy silnik nie pracował na pełnych obrotach. Musiałem zmniejszać jego moc za pomocą przepustnicy, żeby się nie przegrzał. Wkrótce stało się jasne, że będziemy musieli opuścić maszynę. Sam Levy i ja wciąż byliśmy w samolocie, kiedy się rozbił, ale jakoś udało nam się wydostać do szalupy. Sądzę, że pozostali wyskoczyli, zanim spadliśmy do wody. Sam i ja przez wiele godzin unosiliśmy się na wzburzonym morzu, dopóki nas nie uratowano.

Wciąż myślałem o tym wydarzeniu, gdy wracałem do zdrowia w szpitalu dla rekonwalescentów.

Odczuwałem stały dyskomfort i męczyły mnie ataki ostrego bólu, ale lekarze twierdzili, że mój stan się poprawia. Nocami

śniłem o niepokojących wydarzeniach. W jednym z koszmarów musiałem czołgać się głową naprzód przez długą metalową rurę, w której ledwie się mieściłem. Im dalej pełzłem, tym gorętsza się stawała. Dotarłem do miejsca, gdzie gwałtownie opadała w dół i zakręcała, tak że musiałem się czołgać twarzą do góry. Potem rura zaczęła się wypełniać wodą, która syczała przede mną w zetknięciu z rozgrzanym metalem. Nie mogłem oddychać ani poruszać głową, nie mogłem uciec. Obudziłem się. Był ostatni tydzień czerwca. Przez radio dotarły wieści, że wojska Hitlera zaatakowały Związek Radziecki.

Do szpitala przywieziono porucznika Królewskiej Marynarki Wojennej. Jedną z rąk amputowano mu na wysokości łokcia, a obie nogi miał w gipsie. Pewnego dnia umieszczono nas obok siebie, na rozkładanych fotelach stojących na werandzie z widokiem na ogródek warzywny.

– Słżyłem na krążowniku *Gloucester*– wyszeptał. Gorące gazy uszkodziły mu krtań i płuca.

Powiedziałem, że mogę poczekać, aż mówienie będzie dla niego łatwiejsze, ale koniecznie chciał opisać, co się stało. Prosiłem go, żeby opowiadał powoli. Obu nas czekał długi pobyt w szpitalu. Nie musieliśmy się śpieszyć.

– Stacjonowaliśmy u brzegów Krety, gdzie osłanialiśmy ewakuowane oddziały. Zaatakowali nas z powietrza: bombowce nurkujące i myśliwce. W okolicy znajdowały się też U-Booty. Byłem artylerzystą i broniliśmy się z całych sił. Ale w pewnej chwili coś wybuchło pod nami i w ciągu dwóch minut okręt się wyrzucił. Chyba dostaliśmy torpedę. Szyper wydał rozkaz opuszczenia statku. Właśnie wchodziłem na pokład jednej z szalup ratunkowych, kiedy skład amunicji wyleciał w powietrze. Potem niewiele pamiętam.

Opowiedziałem mu to, co wtedy pamiętałem ze swojej historii, mimo że była niekompletna. Ale jednocześnie myślałem: straciliśmy Kretę! To oznacza, że zapewne straciliśmy także Grecję! Pamiętałem, że Churchill wysłał brytyjskie wojska do Grecji z Egiptu, żeby wesprzeć Greków w walce z Włochami i

Niemcami. Kiedy to było? Jak duże straty poniosła nasza strona?

Od przyjaciół, którzy wciąż służyli na morzu, mój nowy znajomy słyszał plotki o zatopieniu jednego z niemieckich okrętów wojennych. To wielki sukces, stwierdził.

– To zapewne *Tirpitz* albo *Bismarck*. Choć jakimś cudem przedarł się na Atlantyk, to nasza flota go dogoniła i zatopiła. Straciliśmy *Hooda*, ale dopadliśmy tych przeklętych Niemców!

Zatem ten triumf kosztował nas utratę *Hooda*? Później dowiedzieliśmy się, że zatopionym niemieckim okrętem był *Bismarck*.

Wieści o tych wydarzeniach oszołomiły mnie i przygłębiły. Świat zmierzał w paskudnym kierunku: ogarnęła go wojna. To wszystko nie wyglądało tak strasznie w dniach przed moim zestrzeleniem. Wojna początkowo potoczyła się niekorzystnie dla Wielkiej Brytanii, gdy Hitler przemaszerował przez Europę. Jednakże pod rządami premiera Churchilla podjęliśmy walkę i szala zwycięstwa zaczęła się przechylać na naszą stronę. Zwyciężyliśmy w bitwie o Anglię i już nie groziła nam inwazja, nasze naloty skutecznie nękały niemiecki przemysł wojenny, Włosi okazali się nieskutecznymi sojusznikami Niemiec, zatapialiśmy U-Booty, nawet kampania Blitz zwolniła w kwietniu i maju. Teraz jednak sytuacja znów uległa pogorszeniu.

Tymczasem musiałem toczyć własne bitwy. Miałem złamaną nogę i uszkodzone kolano, poważną ranę klatki piersiowej oraz pękniętą czaszkę. Do tego pęknięte trzy żebra i poważnie poparzoną lewą rękę i dłoń. Nie zginąłem, a lekarze najwyraźniej uznawali moje wyzdrowienie za rzecz pewną, ale czułem, że otarłem się o śmierć.

Chciałem tylko odzyskać zdrowie, wrócić do swojego dywizjonu i podjąć walkę z Niemcami. Każdego dnia poddawano mnie fizjoterapii, podawano mi leki oraz zmieniano opatrunki na ranach i oparzeniach. Każdego dnia przesiadywałem albo leżałem na osłoniętej werandzie, wpatrując się w rzędy warzyw, nasłuchując najnowszych wieści w radiu. Każdego dnia kolejni ranni żołnierze pojawiali się w szpitalu albo byli z niego

zabierani.

– Kiedy będę mógł wrócić do swojego dywizjonu? – spytałem pewnego dnia główną fizjoterapeutkę. Leżałem twarzą do dołu na jej ławce.

Stała pochylona za mną i zajmowała się moim udem.

– Dzięki Bogu, to nie my podejmujemy takie decyzje.

– Czy to znaczy, że pani wie o czymś, o czym ja nie wiem?

– Ależ skąd. Naprawdę uważa pan, że przekazują nam informacje, których nie wolno ujawniać?

– Raczej nie – przyznałem. Nie zadawałem więcej pytań, ale nie mogłem się doczekać powrotu do służby.

Bezczynność sprawiała, że miałem zbyt wiele czasu do rozmyślenia. Jedną z kwestii, która poważnie mnie niepokoiła, był los reszty mojej załogi. Dowiedziałem się, że Sam Levy także trafił do szpitala, ale zostaliśmy rozdzieleni. Powiedzieli mi, że się wylize, to jednak było wszystko, co o nim wiedziałem. Pozostałym przyznano oficjalny status zaginionych: ten straszliwy eufemizm, który przynosił tyle samo nadziei, co trwogi. Jedyne, czego byłem pewny, to że nie uciekli razem ze mną z samolotu. Albo zginęli w katastrofie, albo wyskoczyli z maszyny, kiedy im to nakazałem. Martwiła mnie cisza, która zapadła po moim rozkazie. Oczywiście mogła oznaczać, że go wykonali. Z drugiej strony, możliwe, że inter- kom się popsuł albo postanowili mnie nie słuchać, uznając, że będą mieli większe szanse, jeśli zostaną w samolocie, dopóki ten nie uderzy w wodę. Niezależnie od tego, jaka była prawda, Ministerstwo Sił Powietrznych wysłało listy do ich rodzin.

Wojna wciąż trwała i stawiała się coraz bardziej zacięta. Kolejne tysiące dobrych ludzi, jak Lofty, Colin, Krzysztof i Ted, miały umrzeć przed jej zakończeniem. Gdybym wrócił, możliwe, że też czekałaby mnie śmierć. Przez chwilę wojna wydawała się konieczna i nieunikniona, ale gdy o niej usłyszałem, nie mogłem przestać myśleć o Rudolfie Hessie i jego planie pokojowym.

Na antenie BBC już więcej o nim nie wspomiano. Po krótkotrwałej fascynacji tematem, historia jego lotu do Szkocji

zniknęła ze szpalt gazet. Z pewnością propozycja zawarcia pokoju złożona przez nazistów nie mogła zostać zlekceważona? Przypominałem sobie własne spotkanie z Hessem.

Wyścig rozpoczął się za pierwszym razem, wszystkie sześć osad wystartowało bez falstartu. Niemiecka para w ciągu kilku sekund bez wysiłku objęła prowadzenie. Nigdy w życiu nie wiosłowałem tak mocno, zmuszany do maksymalnego wysiłku przez wściekły rytm pociągnięć Joego. Myśli o zachowywaniu sił na finisz w ostatniej ćwiartce dystansu uciekły nam z głów. Osiągnęliśmy granice naszych możliwości i wiosłowaliśmy na całego od pierwszego do ostatniego pociągnięcia. Nasz wysiłek został nagrodzony trzecim miejscem, brązowym medalem dla Wielkiej Brytanii!

Niemcy wygrali z czasem nieco ponad osiem minut i szesnaście sekund; za nimi przyплыnęli Duńczycy z czasem osiem dziewiętnaście; Joe i ja uzyskaliśmy wynik osiem dwadzieścia trzy. Wszystkie czasy były słabe: wiosłowaliśmy pod wiatr.

Kiedy przekroczyliśmy linię mety, przez kilka minut leżeliśmy na plecach w łodzi, próbując uspokoić oddech. Łódź dryfowała razem z pozostałymi, podczas gdy organizatorzy krążyli wokół nas w motorówkach, usiłując nas skłonić do dopłynięcia do brzegu. Miałem pustkę w głowie, mogłem myśleć tylko o medalu, który zdobyliśmy. Oczywiście pierwotnie celowaliśmy w złoto. To stanowiło naszą siłę napędową. Kiedy jednak zobaczyliśmy treningi pozostałych osad, zrozumieliśmy, jak trudne zadanie jest przed nami. Przez ostatnie kilka dni paraliżował nas strach, że przyплыniemy na ostatnim miejscu. Ale trzecia pozycja! To był fantastyczny wynik, lepszy niż mogłem się spodziewać w najśmielszych marzeniach.

W końcu odzyskaliśmy siły na tyle, że mogliśmy powiosłować do brzegu, więc zrobiliśmy to z precyzją i stylem. Pierwszą osobą, która nas powitała na suchym lądzie, był nasz trener,

Jimmy Norton, który długo potrząsał naszymi dłońmi i klepał nas po plecach, traktując jak bohaterów.

Mniej więcej trzy kwadranse później, kiedy już ochłonęliśmy, wzięliśmy prysznic i przebraliśmy się w czyste dresy, Joego i mnie skierowano do budynku za główną trybuną i kazano nam poczekać. Znaleźliśmy się w niewielkim pomieszczeniu razem z osadami, które zajęły pierwsze dwa miejsca. Nie mieliśmy okazji się poznać, nie licząc oficjalnego przedstawienia po przybyciu i wzajemnego obserwowania się podczas treningów. Nie wiedzieliśmy, co mamy powiedzieć. Joe i ja próbowaliśmy pogratulować niemieckiej osadzie zwycięstwa, ale zbyli nasze słowa lekceważącym skinieniem głowy.

W końcu pojawili się trzej urzędnicy i poprowadzili nas szybkim krokiem przez trawiasty ogrodzony teren, na którym stało olimpijskie podium. Znajdowało się ono naprzeciwko specjalnej trybuny, z której korzystali kanclerz Hitler oraz pozostali przywódcy, jednak na razie nikogo na niej nie widzieliśmy.

Bezpośrednio przed podium dla medalistów stała niewielka grupa mężczyzn w czarnych mundurach SS. Kiedy wspięliśmy się na platformę i zajęliśmy miejsca na stopniach, jeden z esesmanów ruszył naprzód. Miał imponującą, masywną sylwetkę, przystojną twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi oraz głęboko osadzone oczy i krzaczaste czarne brwi.

Najpierw podszedł do niemieckiej pary i zawiesił im złote medale na szyjach, gdy skłonili głowy. Rozległ się potężny wybuch aplauzu z trybun, więc chociaż coś do nich mówił, nie słyszeliśmy ani słowa. Aparaty fotograficzne reporterów podskakiwały i wyciągały się w stronę niemieckich wioślarzy. Kamera zamontowana na płaskim dachu dużej furgonetki nagrywała całą ceremonię.

Esesman wręczył srebrne medale Duńczykom, a potem przysła kolej na nas.

– [Niemcy wam winszują] – odezwał się oficjalnie, gdy Joe, a następnie ja pochyłiliśmy się, żeby mógł nam zawiesić medale na szyi. – [Dobrze się spisaliście w imieniu swojego kraju].

– [Dziękujemy panu] – odpowiedziałem.

Grzecznościowe oklaski wkrótce ucichły. Esesman wyprostował się i uważnie przyjrzał Joemu i mnie.

– [Chyba jesteście bliźniakami!] – Jak na takiego potężnego mężczyznę miał niespodziewanie łagodny, niemal kobiecy głos.

– [Zgadza się].

W lewej dłoni trzymał pasek papieru. Popatrzył na niego z przesadną uwagą.

– [Rozumiem] – rzekł. – [J.L. i J.L. Nawet macie tak samo na imię! Cóż za niezwykła historia]. – Ponownie powiódł po nas wzrokiem, a jego ciemne brwi uniosły się pytająco w teatralny sposób.

Mieliśmy wrażenie, że jego zielonkawe oczy nie skupiają się na nas, jakby uciekał dokądś myślami albo nie wiedział, co ma powiedzieć. To była krępująca chwila, gdy staliśmy na podium otoczeni przez fotografów, a nazistowski oficer uważnie i z zainteresowaniem przyglądał się naszym twarzom. W końcu się cofnął.

– [Zapewne cały czas płatacie figle swoim znajomym!] – dodał.

Już mieliśmy udzielić typowej odpowiedzi na tę aż za dobrze nam znaną uwagę, ale wtedy kapela donośnie zaintonowała niemiecki hymn. Esesman pośpiesznie cofnął się do mikrofonu umieszczonego na podeście. Stał na baczność.

Wszyscy w zasięgu wzroku wstali, gdy flagi naszych krajów wciągnięto na maszty za naszymi plecami. Na środku, na najwyższym maszcie łopotała czerwono-biało-czarna flaga ze swastyką. Dotarła na szczyt dokładnie w chwili, gdy skończyła się muzyka. Oficer wyprostował prawą rękę po skosie w stronę flagi, napinając się tak mocno, że aż drżały mu opuszki palców.

– *Heil Hitler!* – zawołał do mikrofonu, a wzmacniacz zniekształcił jego głos do wysokiego skrzeku.

Tłum natychmiast podchwycił salut z towarzyszeniem zadziwiająco głośnego ryku.

Obrócił się w ich stronę szybkim i niewątpliwie wyćwiczonym ruchem, tak że mikrofon wciąż znajdował się przed jego twarzą,

która lśniła czerwienią w słońcu. Pozostali esesmani również się odwrócili, wykonując zsynchronizowany ruch, jednocześnie tupiąc prawą nogą.

– *Sieg heil!* – oficer wrzasnął do mikrofonu, przynosząc sztywną, poziomo sterczącą rękę na pierś, żeby wykonać znajomy ukośny nazistowski salut.

Tłum ogłuszająco powtórzył jego wezwanie. Większość ludzi również uniosła ręce.

– *Sieg heil! Sieg heil!* – wykrzyknął jeszcze dwukrotnie, ponownie salutując i patrząc na olbrzymi tłum lśniącymi oczami.

Na samym przedzie, wysoko na specjalnym podwyższeniu, stał Adolf Hitler. Przyjmował saluty sztywno wyprostowany, z rękami założonymi na piersi, w takiej samej wymuszonej pozycji, jaką zauważyłem wcześniej. Rozglądał się na wszystkie strony, najwyraźniej nurzając się w ogłuszających falach uwielbienia, które ku niemu napływały.

Obok nas, na najwyższym stopniu olimpijskiego podium, stali dwaj złoci medaliści z Niemiec. Każdy z prawą ręką wyprostowaną w salucie i twarzą zwróconą ku dalekiej postaci Hitlera.

Było to zarazem przerażające i fascynujące. Mimo że wiedziałem co nieco o nazistach, czułem, że ulegam czarowi tej upajającej chwili. Liczebność tłumu, jego ogłuszający ryk, zgoła mechaniczna precyzja, z jaką paradowali esesmani, wysoka, odległa postać Adolfa Hitlera, prawie boskiego w swej niedostępności i mocy. Pragnienie uniesienia ręki i stanowczego skierowania jej w stronę niemieckiego przywódcy przez kilka chwil było niemal nie do opanowania.

Zerknąłem na Joego, żeby sprawdzić, jak zareagował. Już wcześniej mnie obserwował i od razu rozpoznałem na jego obliczu tłumiony gniew, który pojawiał się tam za każdym razem, gdy Joe czuł się przyparty do muru, nieszczęśliwy, niepewny siebie. Coś do mnie powiedział. Chociaż nachyliłem się w jego stronę, żeby lepiej słyszeć, z powodu gwaru nie mogłem go zrozumieć.

Dlatego tylko pokiwałem głową.

Hitler gwałtownie i stanowczo obrócił się do nas plecami i ruszył w kierunku swojego miejsca. Hałaśliwe owacje szybko ucichły, a zastąpił je nowy marszowy utwór odgrywany przez kapelę. Esesmani przed podium się rozeszli. Mężczyzna, który wręczył nam medale, miarowym krokiem wrócił do trybuny Hitlera. Takim samym spokojnym krokiem wspiął się po schodach i po chwili ujrzałem jego wysoką postać nachylającą się, żeby z kimś porozmawiać. Wkrótce potem usiadł.

Organizatorzy tłoczyli się wokół nas, wyraźnie dając nam do zrozumienia, że powinniśmy odejść. Uścisnęliśmy dłonie duńskich i niemieckich rywali, ponownie wydukaliśmy gratulacje, po czym zeszliśmy na trawę. Nasza chwila olimpijskiej chwały minęła.

Razem powędrowaliśmy w stronę szatni, gdzie zostawiliśmy ubrania i inne przedmioty osobiste. Kiedy zbliżyliśmy się do prowizorycznego drewnianego budynku, obok wejścia zauważyliśmy grupę pracowników brytyjskiej ambasady. Najwyraźniej na nas czekali, ponieważ, gdy tylko się zbliżyliśmy, ruszyli w naszą stronę, wyciągając ręce, żeby nas powitać i pogratulować.

Człowiek, którego wcześniej przedstawiono nam jako Arthura Selwyna-Thaxteda, attaché kulturalnego w ambasadzie, był najspokojniejszy, ale zarazem najbardziej natarczywy w swoich gratulacjach. Przyjaźnie potrząsał moją dłoń, jednocześnie ściskając mnie za łokieć wolną ręką.

– Dobra robota, Sawyer! – powiedział. – Obaj świetnie się spisaliście!

Zwrócił się do Joego i powtórzył to samo.

– Dziękujemy panu – odrzekliśmy.

– To wielki dzień, gdy Wielka Brytania zdobywa kolejny medal. Zapewne słyszeliście, jak was dopingowaliśmy! To był trudny wyścig, ale pokazaliście się ze świetnej strony. Cóż za wspaniałe regaty!

Odpowiedzieliśmy to, czego od nas oczekiwano.

– Nie możemy pozwolić, żeby wasze niezwykle osiągnięcie odeszło w zapomnienie – rzekł Selwyn-Thaxted. – Chcemy, żebyście dołączyli do nas tego wieczoru. Urządzimy niewielkie przyjęcie w ambasadzie. Ambasador chciałby was poznać, a poza tym pojawią się członkowie niemieckiego rządu.

Kątem oka zauważyłem, że Joe zeszytniał.

– Jakiego rodzaju przyjęcie? – spytał. – Mieliśmy w planach...

– Nic wystawnego. Nie każdego dnia możemy się pochwalić

medalistami olimpijskimi, więc chcielibyśmy wykorzystać tę okazję. Będą tam wasi koledzy z reprezentacji wioślarskiej, a także drużyna jeździecka, Harold Whitlock, Ernest Harper i wielu innych. Nie może was zabraknąć.

Joe nic nie odpowiedział.

– Dziękujemy panu. Chętnie przyjdziemy – odrzekłem.

– Znakomicie – ucieszył się Selwyn-Thaxted, uśmiechając się do nas, jakby rzeczywiście tak myślał. – Zapraszamy od godziny osiemnastej. Z pewnością znacie brytyjską ambasadę przy Unter den Linden?

Ponownie szczerze się uśmiechnął, a następnie odwrócił w stronę kogoś innego, unosząc dłoń w udawanym geście powitania. Wrócił do grupki, z którą stał, kiedy przyszedliśmy. Od razu się oddalili. Kiedy się odwróciłem, żeby porozmawiać z Joem, okazało się, że już go nie ma. Zobaczyłem, jak pośpiesznie mija sędziów przy wyjściu z ogrodzonej strefy. Miał opuszczoną głowę. Podążyłem za nim, ale po kilku sekundach zniknął w tłumie wypełniającym park.

Wszedłem do pawilonu, przebrałem się w codzienny strój, zabrałem rzeczy Joego i swoje, po czym udałem się na dworzec kolejowy, żeby złapać pociąg podmiejski do mieszkania Sattmannów. Kiedy dotarłem na miejsce, Joe już się spakował i ułożył swoje bagaże na korytarzu. Popatrzył na mnie ze zniecierpliwieniem, a następnie wrócił do pokoju, z którego korzystaliśmy. Wszedłem za nim i zamknąłem drzwi.

Birgit ćwiczyła grę na skrzypcach w jednym z pokoi w przedniej części domu. Zamknięcie drzwi stłumiło słodką muzykę.

– Co się dzieje, Joe?

– Chyba raczej ja powinienem cię o to zapytać. Czy masz jakiegokolwiek pojęcie o tym, co się dzieje podczas tych igrzysk?

– Wiem, że nie podoba ci się idea igrzysk olimpijskich jako nazistowskiego pokazu.

– Więc jednak nie masz kłapek na oczach.

– Joe, przyjechaliśmy tutaj, żeby się ścigać. Nie możemy się

angażować w politykę. Za mało o niej wiemy.

– Może czasami powinniśmy.

– No dobrze, ale każdy kraj, który organizuje igrzyska olimpijskie, wykorzystuje je, żeby się pokazać przed światem.

– To nie jest zwykły kraj – odparł Joe. – Nie teraz, już nie.

– Posłuchaj, wiedziałeś o tym, zanim wyjeżdżaliśmy z domu. Obaj podjęliśmy decyzję, że będziemy w tym uczestniczyć, kiedy otrzymaliśmy powołanie.

– Zdajesz sobie sprawę, kto wręczał nam medale?

– Nie rozpoznałem go. Zakładam, że ktoś z rządu.

– To był Hess. Rudolf Hess.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Jest jednym z najbardziej wpływowych nazistów w Niemczech.

– Ale to nas nie dotyczy, Joe! Nie miałoby żadnego znaczenia, gdyby sam Hitler wręczał nam medale. Nie jesteśmy istotni dla nazistów. Przyjechaliśmy wystartować w igrzyskach, a gdy te się skończą, wrócimy do domu. Musieliśmy uczestniczyć w tej ceremonii. Sugerujesz, że powinniśmy byli ją zlekceważyć?

– Nawet nie przeszło ci to przez myśl?

– Co dobrego by z tego wynikło? Cztery lata temu prezydent Hoover pojechał do Los Angeles. Wtedy się nie sprzeciwiałeś, więc dlaczego oburza cię, że Hitler pojawił się na swoich igrzyskach?

– A dlaczego ciebie to nie oburza?

– Nic wcześniej nie mówiłeś.

– Ty także.

Staliśmy rozgniewani w tym sympatycznym pokoju z widokiem na szeroki park, rozgrzanym od popołudniowego słońca. Wciąż słyszeliśmy rzewną muzykę Birgit, teraz nieco głośniejszą niż wcześniej: to był utwór, który grała co wieczór. Romans Nr 1 Beethovena. Zauważyłem, że przeciąg otworzył drzwi. Wiedziałem, że nasi gospodarze znają angielski, więc pchnąłem drzwi i porządnie je zamknąłem.

Kłóciliśmy się dalej, ale Joe nie zmienił zdania. Miał zamiar

natychmiast wyjechać. Przedstawiałem mu kolejne argumenty: nasze łodzie wciąż były u obserwatorów, furgonetka stała zaparkowana niedaleko wioski olimpijskiej, część naszego sprzętu została w pawilonie. Niezależnie od wszystkiego, nie mogliśmy wyjechać bez pożegnania z Jimmym Nortonom, naszym trenerem. Joe zlekceważył moje obiekcje, twierdząc, że sam się tym zajmie. Pojedzie po furgonetkę, zabierze wszystkie nasze rzeczy i od razu ruszy do Anglii. Będzie jechał całą noc i przy odrobinie szczęścia przekroczy niemiecką granicę następnego ranka.

Poinformował mnie, że jeśli chcę do niego dołączyć, to chętnie mnie zabierze. Jeżeli nie, będę się musiał zabrać z którąś z innych drużyn.

Tymczasem ja byłem równie uparty. Skoro brytyjski Komitet Olimpijski chciał, żebyśmy zostali na ceremonii zamknięcia, to powinniśmy to zrobić. Poza tym zostaliśmy zaproszeni na przyjęcie do ambasady brytyjskiej, na którym mieliśmy się stawić za niecałą godzinę.

Ostatecznie zawarliśmy nieunikniony kompromis, który nie zadowalał żadnego z nas. Joe zgodził się odłożyć wyjazd do zakończenia przyjęcia w ambasadzie, na które miałem się wybrać samotnie, podczas gdy on będzie pakował nasze rzeczy do furgonetki. Potem wspólnie opuścimy Berlin. Jeśli jednak się spóźnię albo rozminę z Joem, wyjedzie beze mnie.

Kiedy się kłóciliśmy, skrzypce Birgit umilkły.

Wciąż rozszoszony, zacząłem się pakować. Pokój wypełniała atmosfera niechęci. Włożyłem czystą koszulę i marynarkę oraz jedyny krawat, który zabrałem z domu. Wsunąłem swój medal do kieszeni.

Przed wyjazdem chciałem się pożegnać z Sattmannami i im podziękować. Zwłaszcza zależało mi na jeszcze jednym spotkaniu z Birgit. Chodziłem od pokoju do pokoju, jednak w domu było pusto. Miałem wrażenie, że panuje w nim nadmierna cisza, i zastanawiałem się, czy ktoś słyszał naszą kłótnię. Opuszczenie przyjaciół mojej matki bez słowa pożegnania ani

podziękowania byłoby niezwykle niegrzeczne, dlatego jeszcze bardziej gniewałem się na Joego, ale nie widziałem sensu w dalszej dyskusji.

Wyszedłem na zapyloną ulicę, gdzie o tej porze wciąż panował duszący upał. Udałem się na dworzec.

Pod koniec czerwca 1941 roku, niemal pięć lat po tym, jak Joe i ja wystartowaliśmy w igrzyskach olimpijskich, leżałem w szpitalu dla rekonwalescentów w dolinie Evesham. Pamięć stopniowo mi się wyostrzała. Byłem przekonany, że to świadczy o moim powrocie do zdrowia i że wkrótce będę mógł wrócić do mojego dywizjonu. Wreszcie zacząłem chodzić bez kul, chociaż potrzebowałem laski. Każdego dnia wybierałem się na spacer po ogrodzie i każdego dnia udawało mi się dotrzeć nieco dalej. Samotność dawała mi okazję do refleksji i wspomniania życia przed katastrofą. Te umysłowe ćwiczenia początkowo stanowiły rozpaczliwą próbę odnalezienia siebie w przeszłości, jednakże wraz z upływem kolejnych dni z coraz większym zainteresowaniem odkrywałem, co mi się przydarzyło.

Przypomniałem sobie na przykład, że przed ostatnim nalotem obudziłem się wcześniej rano. Mój dywizjon poprzedniego wieczoru nie wykonywał żadnej misji, gdyż zakończył służbę po południu.

Pełni nieopisanej euforii i ulgi, jaka towarzyszy zwolnieniu po wykonaniu zadania, pojechaliśmy do Lincoln z Loftym Skinnerem i Samem Levym, żeby zobaczyć wczesnowieczorną projekcję „Szlaku do Santa Fe” z Errolem Flynnem i Olivią de Havilland. Potem poszliśmy na kolację do knajpki podającej rybę z frytkami, przez chwilę spacerowaliśmy po spokojnych londyńskich ulicach, aż wreszcie postanowiliśmy wrócić do bazy lotniczej, żeby zobaczyć, jak whitleye z Dywizjonu 166 – z którymi dzieliliśmy lotnisko w Tealby Moor – wyruszają na swoją misję. O wpół do jedenastej w nocy na lotnisku znów zapadła cisza, a ja udałem się do swojego domku, żeby się przespać. Spałem tak twardo, że nie obudził mnie nawet odgłos whitleyów

powracających o poranku.

10 maja po śniadaniu przeprowadziłem test na A-Able, zatoczyłem trzy niskie pętle nad lotniskiem, a przed lunchem Krzysztof Gałązka poinformował mnie, że musi skalibrować działko w tylnej wieżycy, więc zabrałem go na pokładzie wellingtona na poligon artyleryjski RAF-u w Wickenby. Tam zjedliśmy lunch i przed czternastą wróciliśmy do Tealby Moor.

Wtedy już nie sposób było ignorować przybierającego na sile, nieustępliwego napięcia poprzedzającego nalot. Wszyscy wypatrywali znajomych oznak przygotowań do misji: pojawiających się i znikających samochodów ze sztabu, wózków przywożących bomby burzące z odległego magazynu, inżynierów sprawdzających silniki. Widzieliśmy szefów poszczególnych sekcji udających się na zebranie z dowódcą bazy: bombardierów, nawigatorów, meteorologów, specjalistów od komunikacji i tak dalej. O czternastej trzydzieści już byliśmy pewni, że tej nocy polecimy, ale nie mieliśmy nic do roboty aż do wczesnowieczornej odprawy.

Ogarniał mnie niepokój. W przedwojennych latach wybrałbym się pobiegać albo wypłynął łódką na rzekę, żeby pozbyć się nadmiaru energii, ale podczas wojny, w bazie RAF-u nie miałem takich możliwości. Reszta mojej załogi siedziała w mesie, zajęta grą w karty albo pisaniem listów. Okazywali zdenerwowanie inaczej niż ja, ale wiedziałem, przez co przechodzą. Zostawiłem ich w spokoju i dla zabicia czasu przez chwilę spacerowałem po stanowiskach postojowych samolotów.

W końcu nadszedł czas odprawy, więc udałem się do głównej hali, niemal nie mogąc się doczekać rozpoczęcia misji. Kiedy wszystkie załogi już się zebrały, okazało się, że trudno jest mi się skupić na tym, co mówi dowódca. Celem na tę noc był Hamburg: pokazano nam niezbędne mapy centrum i okolic miasta. Mieliśmy zaatakować dzielnicę handlową oraz doki i odbić na południe w stronę Luneburga, żeby nie wzbudzać podejrzeń hamburskich baterii dział przeciwlotniczych. Zmuszałem się do koncentracji: życie wszystkich członków załogi

mogło zależeć od tej odprawy.

To samo poczucie ekscytacji towarzyszyło mi podczas pośpiesznego posiłku oraz technicznego przeglądu i sprawdzania silników, sterów, działek, mechanizmów zwalniających bomby, opon i tak dalej. Nie miałem złudzeń co do źródła tej nerwowości. Wszyscy chcieliśmy już wsiąść do samolotu, wystartować i jak najszybciej mieć nalot za sobą.

Tuż przed dwudziestą pani kapral z WAAF-u odwiozła nas autobusem do samolotu. Był ciepły wieczór, więc się pociliśmy i czuliśmy, że jesteśmy zbyt grubo ubrani w nasze skórzane kurtki lotnicze podszyte futrem, ciężkie buty i ocieplane spodnie. Strzelcy mieli na sobie więcej ubrań od nas: ich wieżyczki były nieszczelne i nieogrzewane, więc nosili dodatkowe warstwy pod elektrycznie ogrzewanymi kombinezonami (które niczego nie ogrzewały): dodatkową bieliznę, pulowery, dwie albo trzy pary rękawic i skarpet.

Wsunąłem się do samolotu przez luk w podłodze i przeszedłem prosto do kokpitu. Wcisnąłem się w fotel. Kiedy przekazywałem samolot obsłudze naziemnej, starszy szeregowy zapewnił mnie nieoficjalnie, że wszystko jest w porządku. Żadnych problemów, nie trzeba się niczym martwić. Startuj, a potem przyprowadź maszynę z powrotem. Ostatni nalot wykonaliśmy sześć dni wcześniej, na doki w Breście, gdzie próbowaliśmy trafić niemieckie okręty wojenne *Scharnhorst* i *Gneisenau*, więc czułem, że nieco wyszedłem z wprawy, kiedy przed startem robiliśmy przegląd mechanizmów i broni. Oba silniki odpaliły za pierwszym razem. Dobry znak.

Kiedy kołowaliśmy z miejsca postojowego na start, miałem wrażenie, że samolot jest cięższy niż zazwyczaj, ale wiedziałem, że mamy na pokładzie pełny ładunek paliwa i bomb. Na chwilę zwiększyłem moc silników, żeby oczyścić dysze, oraz poruszyłem sterem w lewo i prawo, czując, że maszyna reaguje z opóźnieniem. Tej nocy przyszedł czas na działania, które w dywizjonie bombowym nazywano maksymalnym wysiłkiem. Kierujący ruchem na pasie startowym pokazał uniesione kciuki,

gdy go mijaliśmy, po czym odwrócił się z opuszczoną głową, mocno przytrzymując dłonią czapkę, kiedy uderzył w niego strumień zaśmigłowy. Przed nami kołował M-Mother z Derekiem Hantonem za sterami – znałem Dereka od czasów Uniwersyteckiego Dywizjonu Lotniczego. Za nami i z boku kolejne wellingtony wytaczały się ze swoich miejsc postojowych, powoli skręcając na boczny pas, gotowe do odlotu. Po drugiej stronie głównego pasa widziałem podobną procesję powolnych maszyn, potężne zgromadzenie przygotowane do startu. Minęliśmy przyczepę, w której kontroler ruchu miał swoje stanowisko. Nie paliły się żadne światła.

Na końcu pasa jak zwykle zebrał się tłumek osób, które chciały nas pożegnać: WAAF-ki, obsługa naziemna, oficerowie z bazy lotniczej – wszyscy przyszli, żeby popatrzeć, jak odlatujemy. Każdej nocy ktoś stał pod ogrodzeniem w miejscu, gdzie gęste drzewa przylegały do skraju lotniska. M-Mother potoczył się naprzód i skręcił na główny pas, migając rozmazanymi śmigłami. Podmuch kładł i targał źdźbła trawy. Derek stopniowo przyspieszył. Kolejny wellington z bocznego pasa naprzeciwko zajął jego miejsce. W końcu nadeszła nasza kolej i ruszyłem naprzód, a następnie obróciłem maszynę, ustawiając się na początku długiego betonowego pasa. Rękaw do pomiaru siły wiatru zwisał bez ruchu.

Patrzyłem na niewyraźny zarys przyczepy kontrolera ruchu: z tego miejsca widziałem czerwone światło, które zatrzymywało mnie w miejscu, dopóki przestrzeń powietrzna się nie oczyści. Czekałem i czekałem, silniki pracowały, a samolot grzechotał i drżał. Moja dłoń oparta na dźwigni przepustnic rozmywała mi się przed oczami pod wpływem wibracji. Starłem się zachować spokój. W końcu światło zmieniło się na zielone. Widzowie wesoło pomachali.

Zwolniłem hamulce, otworzyłem przepustnice, wyregulowałem ciąg i ruszyliśmy pasem, początkowo bardzo powoli, tak że czuliśmy każdą nierówność na pośpiesznie ułożonym asfalcie. Nasze skrzydła się kołysały. Stopniowo zwiększaliśmy prędkość,

a przyrządy wskazywały, że poruszamy się szybciej niż nam się wydawało. Kiedy ogon maszyny oderwał się od ziemi, pociągnąłem za dźwignię sterowniczą i wellington rozpoczął długi i płytki lot wznoszący.

Kiedy wzbijaliśmy się powoli w spokojne wieczorne niebo, krążąc nad znajomymi polami, żeby nabrać wysokości przed lotem nad morzem, popatrzyłem w dół na ciche łąki i nierówne rzędy drzew, których długie cienie wskazywały wschód. Widziałem iglice kościołów, skupiska wiejskich domów, absurdalnie kręte drogi, mgiełkę dymu z kominów. Katedra w Lincoln wznosiła się kilka mil na południowy wschód od nas, jej czarna wieża wyraźnie rysowała się na tle błękitnego wieczornego nieba. W zasięgu wzroku mieliśmy inne samoloty: wellingtony z naszej bazy, pod nami i wokół nas, ale także – w oddali, w odległości wielu mil – kolejne czarne kropki startujące ze swoich lotnisk, krążące w poszukiwaniu wysokości nad rozległym punktem zbiorczym, szukające pozostałych, żeby utworzyć razem z nimi szeroką, obronną formację, która mogła przebyć Morze Północne.

W końcu odebraliśmy sygnał radiowy od kontroli naziemnej, ostateczną zgodę na rozpoczęcie nalotu. Skręciliśmy na wschód, stale zwiększając pułap, oddalając się od jasnego zachodzącego słońca i kierując ku nadciągającemu zmierzchowi. Strzelcy wypuścili kilka próbnych serii, posyłając pociski smugowe w stronę wody. Na wysokości pięciu tysięcy stóp, wewnątrz samolotu zaczęło się robić zimno – przez kilka minut czuliśmy się bardziej komfortowo niż na ziemi, zanim chwycił nas w objęcia mróz. Na wysokości siedmiu tysięcy stóp nakazałem załodze założyć maski tlenowe.

Wieczór był zwodniczo spokojny i piękny, z ciemniejącym niebem w górze, warstwą szarych chmur pod nami i kilkoma wznoszącymi się białymi cumulusami podświetlonymi przez zachodzące słońce. Przed nami leżały Niemcy. Leciliśmy przez godzinę, powoli nabierając wysokości.

Nagle przez interkom odezwał się Ted Burrage, który zajmował

stanowisko przy przednich działkach.

– Samoloty wroga pod nami, JL! Na trzeciej godzinie. Szybko się zbliżają!

– Jak daleko w dole?

– Daleko.

– Możesz je zidentyfikować?

– Jeszcze nie.

– Na razie wstrzymaj ogień... może nas nie zauważyli!

Po chwili sam je dostrzegłem. Leciały co najmniej dwa albo trzy tysiące stóp pod nami, przecinając naszą trasę z południa na północ. Wszystkie były wyraźnie widoczne na tle szarych chmur oświetlonych resztkami wieczornego blasku. Na czele leciała dwusilnikowa maszyna, która wyglądała na messerschmitta Me-110, co inni członkowie załogi szybko potwierdzili. Za nią leciały cztery jednosilnikowe myśliwce Me-109, które właśnie gwałtownie ją wyprzedzały. Zobaczyłem, że Ted obraca wieżyczkę strzelecką w nosie wellingtona, biorąc wrogów na cel, ale szybko zorientowaliśmy się, że samoloty Luftwaffe nie są nami zainteresowane.

Myśliwce nurkowały w kierunku Me-110. Zobaczyłem pociski smugowe albo rozbłyski towarzyszące ostrzałowi z działek pokładowych. Trafili już przy pierwszym podejściu. Jeden ze zbiorników paliwa w Me-110 wybuchł efektownie, przewracając maszynę na grzbiet. Me-109 natychmiast odbiły na boki. Druga eksplozja oderwała część skrzydła. Odwrócony samolot stracił nośność i rozpoczął lot nurkowy, po czym spadł do morza. Zniknął w chmurach. Jeszcze przez chwilę widziałem pomarańczowe płomienie, ale potem one także zniknęły.

Me-109 nadal krążyły, obniżając się ku chmurom, kierując się z powrotem na południe, skąd nadleciały. Nie zauważyły nas.

– Jasna cholera! – odezwał się Ted. Po chwili powtórzył: – Jasna cholera!

– Co to było?

W słuchawkach słyszałem gorączkowe rozmowy. Sam Levy i Krzysztof Gałązka nie widzieli, co się wydarzyło. Lofty, Colin i

Ted opisywali im to, co zobaczyli. Ja wrzeszczałem, żeby zachowali czujność. Podczas przelotu nad Morzem Północnym nigdy nie byliśmy daleko od nieprzyjacielskich samolotów.

Jakby na potwierdzenie moich słów po naszej lewej stronie pojawiły się kolejne niemieckie maszyny, które się do nas zbliżały. Tym razem leciały ze wschodu na zachód i były od nas oddalone o około mili.

Krzyknąłem do strzelców, żeby się przygotowali.

– Kolejni bandyci! Około dziewiątej godziny!

– Widzę ich, JL! – zawołał Ted. – To ci sami!

– Niemożliwe. Sto dziewiątki uciekły, kiedy tylko zestrzeliły sto dziesiątkę.

– Ted chyba ma rację! – odezwał się Lofty, który wszedł do kokpitu i patrzył mi przez ramię.

Przyjrzałem się dokładniej. Sylwetki samolotów także tym razem były widoczne na tle szarych chmur. Me-110 ponownie leciał szybko i nisko nad chmurami, a cztery jednosilnikowe myśliwce siedziały mu na ogonie.

– Co te szkopy knują, do diabła?

– Nie strzelajcie – rozkazałem strzelcom. – Nie są nami zainteresowani. Niech tak zostanie.

Zobaczyłem, że sto dziewiątki atakują kolejno dwójkami. Ostro zakręciły i natarły na sto dziesiątkę z boku, posyłając w jej stronę pociski smugowe, które lśniły jak klejnoty i wiły się wokół celu. Pilot Me-110 zanurkował, przechylił maszynę, a następnie ją odwrócił i pomknął w dół. Sto dziewiątki wyrównały lot po natarciu i podjęły kolejną próbę. Sto dziesiątkę pikowała ku chmurom. Pociski smugowe sunęły w jej stronę.

Niewiele widziałem, ponieważ oddalaliśmy się od rejonu walki. Lofty przeszedł wzdłuż kadłuba do jednego z bocznych okien.

– Nadal niczego nie widzę, JL! – zameldował.

– Krzyś?! – zawołałem. – Patrzysz na nich tam z tyłu?

– Pewnie. Tylny strzelec ma najlepsze miejsce. Niemcy atakują Niemców. Piękny widok!

– Zestrzelili go?

– Nie... spudłowali. Potem zawrócili. Sto dziesiątka była w chmurze i chyba odleciała.

Lofty wrócił do kokpitu i ponownie stanął za mną, pochylając się.

– Rozumiesz coś, kapitanie? – spytał. – Co oni robili?

– Nie mam pojęcia. Mieli nas jak na talerzu, ale zamiast tego pogonili za jednym ze swoich. Albo dwoma.

Zgłosił się Sam Levy.

– Podać ci naszą pozycję, JL?

– Tak, gdzie jesteśmy?

– Dwieście mil od niemieckiego wybrzeża i około stu sześćdziesięciu od Danii.

– Dlaczego Danii?

– Stamtąd przyleciała druga grupa.

– Ale mogli również przylecieć z Niemiec.

– Tak czy inaczej, byli na granicy swojego zasięgu. Dlatego nie zabawili tutaj dłużej. Sto dziewiątki oszczędzały paliwo.

– Dobrze, słuchajcie wszyscy – odrzekłem. – Miejcie oczy szeroko otwarte. Musimy wykonać nasze zadanie.

Mrok zgęstniał, a wellington powoli brnął przez spokojne powietrze. Godzinę później, w blasku pełni księżyca, dotarliśmy do niemieckiego wybrzeża na zachód od Cuxhaven. Nerwowe rozmowy przez interkom ucichły, gdy wlecieliśmy nad ląd. Odezwała się lekka bateria przeciwlotnicza, daleko z boku. Patrzyliśmy na pociski smugowe, które wspinały się w niebo jak świetliki. Rozbłysnął pojedynczy reflektor punktowy, znajomy niebieskawy snop światła przebijający się przez przerywane chmury. Przeszukiwał niebo przez jakąś minutę, po czym zgasł. Lecieliśmy na wysokości trzynastu tysięcy stóp, najwyższym pułapie, jaki mogliśmy uzyskać obciążeni paliwem i bombami.

Znajdowaliśmy się nad Niemcami i wszystko mogło się wydarzyć. Zacząłem robić uniki, wprowadzając samolot w obszerne kołyszące ruchy, stosując obronny manewr korkociągu, który teoretycznie powinien uniemożliwić nocnym myśliwcom łatwe wzięcie nas na cel. Jak dotąd, to działało. Strzelcy

meldowali się w napięciu co minutę: wokół nas nic się nie działo, żadnych samolotów w okolicy, żadnych reflektorów punktowych, niewielkie zachmurzenie, dobra widoczność. Księżyc w pełni. W dole rozciągała się ciemna ziemia, miejscami naznaczona cienkimi liniami księżycowego blasku odbitego od kanałów, stawów i rzek. Lofty Skinner, mechanik pokładowy, zajął miejsce za mną i nadzorował pracę silników, pomp oraz ciśnienie płynów chłodzących. Rzadko się odzywał.

Stosowaliśmy nawigację zliczeniową: co jakiś czas zmienialiśmy kurs na podstawie wcześniejszych ustaleń oraz wskazań Sama Levy'ego, nawigatora. Doprowadził nas na pozycję na północ od niemieckiego miasteczka Celle (wokół nas na chwilę rozszalały się działa przeciwlotnicze), skąd skręciliśmy o ponad sto stopni i ruszyliśmy w stronę Lüneburga. Przez interkom ostrzegłem wszystkich, że dzieli nas kilka minut od celu. Lecieliśmy niemal dokładnie na północ, a Hamburg znajdował się w odległości niecałych pięćdziesięciu mil. Wypatrywaliśmy charakterystycznego zakrętu na rzece Łabie niedaleko Lüneburga.

Ted Burrage, nasz bombardier, opuścił przednią wieżyczkę i wczułgał się w głąb kadłuba wellingtona, gdzie leżał na brzuchu, obserwując ziemię przez pleksiglasową szybkę w nosie maszyny. Krzyknął do mnie, kiedy zauważył rzekę. Po chwili pojawiła się w moim polu widzenia przed kokpitem, srebrzysty robak odbitego księżycowego blasku, ciągnący się przez wiele mil. Zbliżaliśmy się do Hamburga.

Wkrótce ostrzał z baterii przeciwlotniczych wyraźnie się wzmógł i rozbłyśły szperacze. Pociski smugowe mknęły ku nam od dołu; już nie omijały nas niegroźnie o całe mile, ale były wycelowane w nas. Smugi światła z reflektorów krzyżowały się na niebie przed nami, poszukując bombowców. Dzięki nim dostrzegaliśmy sylwetki pozostałych samolotów w formacji. Od czasu do czasu szperacze na chwilę podświetlały którąś z maszyn, ale bombowcom za każdym razem udawało się wymknąć bez trafienia.

– Mam cel w zasięgu wzroku – odezwał się Ted, który leżał w nosie maszyny z rękami na mechanizmie zwalniającym bomby.

– Dobrze, bombardierze. Daj mi znać, kiedy znajdziemy się na właściwym kursie.

Nagle na niebie z przodu – dokładnie przed nami, a nie powyżej albo poniżej samolotu – rozpoczęła się prawdziwa kanonada. Jaskrawe białe i żółte wybuchy przypominały śmiercionośne fajerwerki. Jak moglibyśmy przetrwać taki ostrzał?

Podlecieliśmy bliżej, otworzyliśmy luk komory i zrzuciliśmy bomby.

Zawróciliśmy w stronę domu.

Ted Burrage zapewne zginął na miejscu, gdy pocisk trafił w nos samolotu. Odłamki przebiły mi lewą nogę, powyżej i poniżej kolana. Czymś innym dostałem w głowę. Wybuch odrzucił mnie do tyłu i straciłem panowanie nad maszyną. Samolot natychmiast zanurkował i skręcił w lewo, a lodowate powietrze wdarło się do kokpitu przez dziurę w poszyciu kadłuba. Sam Levy został trafiony kolejnym odłamkiem. Lofty Skinner opuścił swoje miejsce w kokpicie podczas nalotu, na wypadek gdyby pojawił się jakiś problem ze zrzutem bomb. Zapewne ocalał dzięki temu, że nie siedział obok mnie. Colin, radiotelegrafista, oraz Krzysztof z tylnej wieżyczki przeżyli i odpowiedzieli na moje wezwanie.

Jakoś udało mi się odzyskać panowanie nad samolotem. Zalecieliśmy dalej niż się spodziewałem, powoli tracąc wysokość. Udało mi się utrzymać maszynę w powietrzu jeszcze przez dwie godziny. Zanim spadliśmy, odbieraliśmy sygnał radiowy z Mablethorpe, ale nie mieliśmy kontaktu werbalnego z kontrolerami.

Sama i mnie uratowano z naszej szalupy pod koniec następnego dnia: byliśmy przemoczeni, zmarznięci do szpiku kości i straszliwie obolali. Z pewnością nie przeżylibyśmy dużo dłużej na otwartym morzu.

Kiedy znaleźliśmy się na lądzie, zabrano nas do dwóch różnych

szpitali i straciliśmy ze sobą kontakt.

Zatem w czerwcu 1941 roku, kilka tygodni po nalocie na Hamburg, wracałem do zdrowia na werandzie z widokiem na ogródek warzywny, rozmyślając o swojej przeszłości.

Tamtego ranka, gdy mężczyzna z marynarki wojennej powiedział mi o upadku Krety, poszedłem na samotny spacer po terenie wokół szpitala. To nie był aż tak duży wysiłek, jak może się wydawać, ponieważ nie pozwalano nam zbyt się oddalać. Pacjenci mieli do dyspozycji wąskie trawniki i ścieżkę okrążającą grządkę z warzywami, małe sad oraz kilka dalszych ścieżek, które prowadziły wokół budynku. Mimo to cieszyłem się chwilową samotnością i powoli szedłem przez zarośla, na których wciąż lśniły kropelki wody po porannym przelotnym deszczu. Oglądałem się na budynek zwieńczony imponującymi szczytami i zastanawiałem, do czego go wykorzystywano przed wojną, jakie wielkie wydarzenia mogły się w nim rozgrywać.

Po powrocie do skrzydła dla rekonwalescentów wgramoliłem się po schodkach na werandę, przecisnąłem obok innych pacjentów i ruszyłem do swojego pokoju.

Trzy osoby czekały na mnie w jednym z holi na parterze: siostra przełożona w towarzystwie dwóch mężczyzn, cywila oraz pułkownika lotnictwa z RAF-u. Siostra przełożona zawołała mnie, gdy powoli kuśtykałem korytarzem. Kiedy tylko zobaczyłem wojskowego, zeszywniałem i spróbowałem zaszalutować, co wyszło niezdarne, gdyż prawą dłoń trzymałem łaskę, na której opierałem ciężar ciała.

Pułkownik odwzajemnił mój salut, ale wydawało się, że mój wygląd go rozbawił. Miałem na sobie szpitalny szlafrok i stare spodnie.

– To kapitan lotnictwa Sawyer – przedstawiła mnie siostra przełożona.

– Miło pana poznać, Sawyer – odezwał się pułkownik. – Dywizjon sto czterdziesty ósmy, o ile się nie mylę. Wellingtony.

– Tak jest, panie pułkowniku.

– Słyszałem, że dostaliście nad Hamburgiem. Cóż, nic się na to

nie da poradzić. Widzę, że pan już chodzi.

– Czuję się lepiej każdego dnia.

– Dobrze. Zatem chciałbym, żeby pan się udał z nami. Nie będą potrzebne żadne formalności.

– Wracam do czynnej służby?

– Niezupełnie. Przynajmniej nie od razu.

Pół godziny później byłem ubrany i gotowy do odjazdu. W swoim pokoju znalazłem nowy, idealnie dopasowany mundur RAF-u. Widniały na nim insygnia pułkownika lotnictwa. Podejrzywałem, że jakiś urzędnik popełnił błąd, w przeciwnym razie awansowałem o trzy stopnie, chociaż nie miałem powodów spodziewać się awansu. Byłem zbyt oszołomiony gwałtowną zmianą okoliczności, żeby o to pytać, wiedziałem zresztą, że Królewskie Siły Powietrzne szybko wszystko wyprostują. Pielęgniarka posadziła mnie wygodnie na tylnym siedzeniu samochodu z Ministerstwa Sił Powietrznych i wkrótce powoli opuściliśmy teren szpitala, po czym wyjechaliśmy na główną szosę.

Cywil przedstawił się jako Gilbert Strathy, ale nie zdradził, jaką pełni funkcję w ministerstwie. Był mężczyzną w średnim wieku, o twarzy cherubinka i lśniącej łysinie. Nosił nieskazitelnie wyprasowany garnitur w prążki. Był niezwykle serdeczny i zatroskany moim samopoczuciem, ale nie powiedział, po co zostałem zabrany ze szpitala. Wojskowym był pułkownik lotnictwa Thomas Dodman, odznaczony Orderem za Wybitną Służbę oraz Zaszczytnym Krzyżem Lotniczym, związany z dywizjonem bombowym; on również nie chciał mi podać więcej informacji.

Wyglądałem przez okno po swojej stronie samochodu, obserwując przemykające skarpy i żywopłoty. Drogi oczywiście były opustoszałe, gdyż większość ludzi nie miała dostępu do benzyny. Ładna pogoda pomogła zamaskować szarżyznę, która ogarniała cały kraj od jesieni 1939 roku. W południe WAAF-ka, która nas wiozła, zatrzymała się w Stow-on-the-World, gdzie zjedliśmy lunch w hotelu na głównym rynku. Pan Strathy

uregulował rachunek, podpisując kwit. Właściciel hotelu traktował nas wyjątkowo uprzejmie. Po lunchu kontynuowaliśmy podróż, przemykając pośród spokojnego wiejskiego krajobrazu, kierując się na południowy wschód w stronę Londynu.

Szukając brytyjskiej ambasady, wysiadłem z pociągu przy Friedrichstrasse i ruszyłem piechotą wzdłuż Sprewy, aż dotarłem do Luisenstrasse. Powiedziano mi, że budynek ambasady stoi przy skrzyżowaniu tej szerokiej ulicy z Unter den Linden. Czułem się niespokojny, rozdarty pomiędzy nierozsądnymi żądaniami mojego brata i tylko nieco bardziej rozsądnymi oczekiwaniami mojej ojczyzny.

Podchodząc do głównego wejścia do ambasady, zauważyłem Terry'ego Heberta, kapitana drużyny lekkoatletycznej, który szedł zamyślony w tym samym kierunku. Dogoniłem go i przywitaliśmy się. Pogratulował mi brązowego medalu i pobieżnie opowiedział o własnych nadziejach związanych z nadchodzącymi zawodami lekkoatletycznymi. Spytał o Joego, ale odpowiedziałem tylko, że nie mógł przyjść na przyjęcie. Kiedy rozmawialiśmy, wyjąłem medal z kieszeni i, czując się nieco niezręcznie, zawiesiłem go sobie na szyi. Znaleźliśmy właściwe wejście i podążyliśmy za elegancko wypisanymi znakami do Imperialnej Sali Balowej. Przy wejściu oznajmiono wszystkim nasze przybycie.

Przyjęcie odbywało się w długiej sali z wypolerowaną do połysku posadzką i lśniącymi kryształowymi żyrandolami. Czterooosobowa orkiestra grała na podeście w głębi sali, a kelnerzy w uniformach sprawnie przemieszczali się z tacami drinków i przekąsek, które trzymali nad głową, krążąc pomiędzy licznymi gośćmi. Gwar i gorąco przytłaczały. Wydawało się, że wszyscy się znają; wokół rozbrzmiewały rozmowy po angielsku i niemiecku oraz coraz bardziej żywiołowe i hałaśliwe śmiechy. Pojawiło się kilku wysokich rangą niemieckich urzędników, którzy nawet w tej dusznej i zatłoczonej sali nosili swoje

charakterystyczne ciemnoszare mundury. Wypatrzyłem dwóch pogrążonych w rozmowie sportowców, których znałem z Oksfordu. Ulegając presji Joego, by jak najkrócej uczestniczyć w przyjęciu, nie podszedłem, żeby się z nimi przywitać. Kiedy powoli szliśmy przez zatłoczony parkiet sali balowej, ktoś z niewielkiej grupy gości obrócił się i dotknął ręki Terry'ego Hebberta, a ten natychmiast do nich dołączył. Poszedłem dalej samotnie. Wkrótce opróżniłem pierwszy kieliszek szampana i wymieniłem go na pełny.

Orkiestra skończyła grać kolejny utwór, a wtedy z mównicy poproszono o ciszę. Wysoki brytyjski dżentelmen wygłosił krótką mowę powitalną, przechodząc z angielszczyzny na niemal idealny niemiecki. Wspomniał o sukcesach olimpijczyków, oczywiście szczególną uwagę zwracając na Brytyjczyków, ale chwalać także sportowców gospodarzy. Niemcy już tak wyraźnie prowadziły w tabeli medalowej, że żaden inny kraj nie miał szansy ich dogonić. Mówca pochwalił także niemiecki rząd za zadbanie o to, żeby igrzyska rozegrano w atmosferze uczciwości i sportowej walki. Na koniec wyraził szczerą nadzieję, że igrzyska trwale natchną niemiecki naród nowym duchem braterstwa wobec pozostałych europejskich krajów.

W połowie przemowy zdałem sobie sprawę, że słucham brytyjskiego ambasadora. Za nim na niewielkim podeście zauważyłem także Arthura Selwyna-Thaxteda. Kiedy ambasador skończył przemowę, a zespół ponownie zaczął grać, Thaxted zszedł z podestu i szybko ruszył w moją stronę poprzez tłum.

– Bardzo się cieszę, że mógł pan przyjść, panie Sawyer! – rzekł głośno. – Z którym z JL-ów mam przyjemność?

– Jestem Jack, proszę pana. Jacob Lucas.

– A czy pański brat też jest z nami dziś wieczorem?

– Obawiam się, że nie. Coś mu wypadło w ostatniej chwili.

– Wielka szkoda. Cóż, przynajmniej pan mógł przyjść. Jest tutaj ktoś, kto koniecznie chce pana poznać. Poświęci pan chwilę, żeby się z nim przywitać?

– Oczywiście.

Odstawiłem do połowy opróżniony kieliszek szampana i ruszyłem za Thaxtedem, który grzecznie przeciskał się przez tłum. Wzdłuż jednej ze ścian sali stało kilka długich stołów nakrytych białymi obrusami. Za nimi, oddzielając się od całej reszty gości, zgromadziło się kilku niemieckich urzędników. Wśród nich wyróżniał się mężczyzna, który wręczył medale Joemu i mnie. Zauważył, że się zbliżamy, i natychmiast wyszedł nam naprzeciw.

– [Panie zastępczo Hess, mam przyjemność przedstawić panu J.L. Sawyera, jednego z naszych medalistów olimpijskich].

– [Dobry wieczór, panie Sawyer!] – odrzekł Hess i z rozbawieniem wskazał medal wiszący na mojej piersi. – [Oczywiście pamiętam pana. Mam nadzieję, że się pan z nami napije].

Na stole, przy którym stał, było pełno wysokich ceramicznych kufli oraz kufli z przykrywkami. Stało tam także kilka szklanych dzbanów z jakimś pienistym czarnym płynem, a dwaj kelnerzy czekali w gotowości. Hess pstryknął palcami i jeden z kelnerów napełnił kufel.

– [Będzie panu smakowało] – rzekł Hess.

Podniosłem ciężkie naczynie, uniosłem przykrywkę i upiłem łyk pienistego płynu. Był słodki, zimny i miał silny, ale przyjemny aromat. Zauważyłem, że Hess nie pije tego samego, ale trzyma małą szklanekę z sokiem owocowym.

– [Dziękuję panu. Sympatyczny trunek].

– [Chyba smakował pan już Bismarcka?].

– [Bismarcka?].

– [Słyszałem, że jest bardzo lubiany w Oksfordzie. Może zna go pan pod angielską nazwą Black Velvet?].

– [Nie, nigdy czegoś takiego nie piłem. Ponieważ trenowałem do igrzysk, piłem tylko piwo, i to w niewielkich ilościach].

– [Bismarck jest popularny w Rzeszy. Większość naszych obywateli lubi go pić, kiedy pojawiają się tutaj Brytyjczycy, tak jak dzisiaj. Macie dobre ciemne piwo, które przywozicie z Irlandii. Nazywa się guinness? Mieszamy je z szampanem z

Francji. W ten sposób wszyscy jesteśmy przyjaciółmi w Europie, tak jak radzi wasz ambasador!].

Selwyn-Thaxted wciąż stał obok mnie, uśmiechając się w zainteresowaniem, podczas gdy trwała nasza banalna wymiana zdań.

– Muszę się zająć innymi gośćmi – pośpiesznie szepnął po angielsku. – Będę do pańskiej dyspozycji, jeśli będzie pan potrzebował porady.

– Porady?

– Nigdy nie wiadomo. Proszę mi wybaczyć. – Uprzejmie uklonił się Rudolfowi Hessowi. – [Jesteśmy bardzo zaszczyceni pańską obecnością dzisiejszego wieczoru. Proszę czuć się jak u siebie w domu. Nasza obsługa spełni wszystkie pana życzenia].

– [Dziękuję, szanowny panie]. – Hess odwrócił się w moją stronę, tym samym odprawiając Selwyn-Thaxteda. Wcześniej zdjął bluzę od munduru i miał na sobie koszulę w kolorze khaki wpuszczoną w szare spodnie. Na jego szyi wisiał Żelazny Krzyż na wstędze. Przyniósł do mnie swoje krzepkie ciało. – [Dlaczego nie przyprowadził pan swojego brata?] – odezwał się dosyć niepokojącym tenorem.

– [Nie mógł przyjść]. – Zorientowałem się po reakcji Hessa, że ta odpowiedź go nie usatysfakcjonowała, więc dodałem: – [Dziś wieczorem trenuje samotnie. Tylko jeden z nas czuł się na siłach przyjąć zaproszenie].

– [Wielka szkoda. Czekałem na ponowne spotkanie z waszą dwójką. Macie takie zdrowe i muskularne ciała. No i jesteście tacy podobni! To cudowne oszustwo i coś niezwykle świeżego].

– [Nigdy nie staramy się nikogo oszukiwać, proszę pana. Joseph i ja czujemy, że...].

– [Tak, ale z pewnością zdaje pan sobie sprawę, jakie to może być użyteczne, jeśli nie chce pan gdzieś być! Może pana zastąpić pański bliźniak, tak że nikt obcy nie wie, że jest pan w innym miejscu albo że nie jest pan tym, na kogo wygląda?].

Z trudem za nim nadażalem. Zamierzałem się napić, żeby zamaskować zmieszanie, ale kiedy uniosłem kufel do ust,

powstrzymała mnie słodka woń.

– [Albo pojawiają się gdzieś razem...] – odparłem, myśląc o tym, jak bardzo to bezcelowe – [...a wtedy ludzie wiedzą, że jesteśmy bliźniakami, albo pokazujemy się osobno, kiedy nikt nie musi wiedzieć, że mamy rodzeństwo].

– [To szczerza prawda, panie Sawyer. Czy wszystko robicie razem, nawet te rzeczy, które...?].

– [Wiedziemy odrębne życia, proszę pana].

– [Chyba że mówimy o wioślarstwie! Tego nie moglibyście robić samotnie!].

– [Nie, proszę pana].

– [Gdzie i w jaki sposób nauczył się pan niemieckiego?]. – Hess coraz bardziej się do mnie zbliżał. – [Mówi pan doskonale, niemalże bezbłędnie].

– [Moja matka pochodzi z Saksonii. Wyemigrowała do Anglii przed ostatnią wojną. Tam przyszedłem na świat, ale dorastałem, rozmawiając z nią zarówno po angielsku, jak i po niemiecku].

– [Zatem jest pan w połowie Niemcem! To świetnie. Połowa pańskiego medalu należy do nas, jak sądzę!].

Roześmiał się gromko i podzielił tym spostrzeżeniem ze swoimi współpracownikami, którzy stali tuż za nim. Oni również zanieśli się śmiechem. Rozejrzałem się w poszukiwaniu pana Selwyn-Thaxteda, ale go nie dostrzegłem. Potrzebowałem jego porady. Pogawędka trwała.

– [Herr Speer również jest wioślarzem. Może powinien go pan poznać].

– [Herr Speer?].

– [Jest naszym wiodącym architektem. Proszę się rozejrzeć, kiedy będzie pan w Berlinie. Herr Speer projektuje większość naszych dużych budynków i aren. Jest fanatykiem jeśli chodzi o łódzie].

– [Oczywiście chciałbym go poznać] – odrzekłem wymijająco. – [A co z Herr Hitlerem? Czy interesuje się sportem?].

– [Jest naszym przywódcą!]. – Hess nagle ożywił się i

wyprostował, tak że przez chwilę spodziewałem się, że wyprostuje rękę i zaszaluje. Jego głęboko osadzone oczy wpatrywały się w głąb sali, najwyraźniej nie skupiając się na niczym konkretnym. – [Po przyjęciu udajemy się na prywatną kolację. Czy pan i pański przystojny brat będziecie nam towarzyszyć?].

– [Mój brat w ogóle się nie pojawi tego wieczoru].

– [Więc pójdzie pan sam. Mamy dobry alkohol, po raz pierwszy skosztuje pan mięsa dzika i wyjaśnimy panu wiele ciekawych spraw dotyczących Niemiec].

Coraz bardziej rozpaczliwie chciałem uciec od tego człowieka. Wiedziałem, że Joe czeka na mnie na jednej z ulic przed budynkiem, a im dłużej zwlekam, tym bardziej będzie na mnie wściekły.

– [Przepraszam, ale to niemożliwe] – odparłem. – [Naprawdę mi przykro].

– [Wszystko dla pana przygotujemy. W Trzeciej Rzeszy nic nie jest niemożliwe!]. – Przekomarzał się ze mną, przez co brzmiał groźnie. – [Co innego ma pan do roboty w Berlinie? Za kilka minut wyjdzie pan z nami. Będzie się pan dobrze bawił przez resztę wieczoru. Nie będzie żadnych kobiet, nikt nie będzie nam przeszkadzał w tym, co chcemy robić.

Oczywiście pan to rozumie! Wszyscy lubimy dobrze się bawić, a pan może mi pokazać swoje pociągnięcia. Ja będę pana łódeczką!].

Ponownie się roześmiał, na chwilę zaciskając powieki pod nastroszonymi brwiami. Poczulem przyływ zmieszania, zażenowania, niepewności, lęku. Jego współpracownicy czekali na moją reakcję.

Hess przechylił szklankę i dopił sok owocowy. Kiedy się pochylał, żeby odstawić naczynie na stolik i przycisnął się do mnie ramieniem, Selwyn-Thaxted pojawił się obok mnie z cudowną zwinnością.

– Ach, panie Sawyer! – zawołał. – Widzę, że potrzebuje pan nowego drinka. – Mój kufel z mieszanką szampana i guinnessa

wciąż był niemal pełny, ale Selwyn-Thaxted mi go odebrał, odstawił na stół i zamknął przykrywkę. – [Ambasador poprosił o spotkanie z panem, Sawyer] – dodał głośno po niemiecku ze względu na Hessa. – [To nic oficjalnego. Niech pan bezzwłocznie idzie ze mną].

Hess groźnie nad nami górował.

– [Postanowiliśmy wyjść, drogi panie] – odezwał się do Selwyna-Thaxteda, a następnie popatrzył wprost na mnie ciemnymi, niepokojącymi oczami.

– [Ambasador przesyła pozdrowienia, panie zastępczo] – rzekł Selwyn-Thaxted. – [Za pana zgodą również prosi o prywatną rozmowę, za kilka minut].

– [To nie będzie możliwe].

– [Zatem Jego Ekscelencja nie będzie nalegał]. Chodźmy, panie Sawyer.

Stanowczo ściskając mnie za ramię, Selwyn-Thaxted nieśpiesznie poprowadził mnie przez salę balową, a następnie przez podwójne drzwi do niewielkiego pokoju, który do niej przylegał. Zamknął za sobą drzwi, tłumiąc większość odgłosów przyjęcia.

– Czy mogę się spodziewać, że zostaną panowie w Berlinie aż do ceremonii zakończenia igrzysk?

– Obawiam się, że to niemożliwe. – Opowiedziałem mu o niewyjaśnionej, ale nagłej potrzebie powrotu do domu, którą poczuł mój brat. Selwyn-Thaxted uważnie mnie wysłuchał, a potem przez chwilę się namyślał, wbijając wzrok w misternie tkany perski dywan.

– Tak, to chyba mądre rozwiązanie – odrzekł. – Nie wiem, co dokładnie ma na myśli pański brat, ale jeśli o pana chodzi, to rozsądnie będzie nie spotykać się więcej z Herr Hessem.

– Czy mogę spytać, dlaczego zachęcał mnie pan do spotkania z tym człowiekiem?

– Pytał o pana. Poza tym wiedzieliśmy, że płynnie mówi pan po niemiecku, co dawało nam nadzieję, że wasza rozmowa nabierze dodatkowego wymiaru, który może się okazać

użyteczny.

– To była tylko towarzyska pogawędka.

– Nie wspominał o niczym interesującym? – spytał łagodnie Selwyn-Thaxted.

– W jakim sensie?

– Cóż, czy na przykład mówił coś o planach kanclerza Hitlera?

– Nie, ten temat się nie pojawił. Intryguje go, że mój brat i ja jesteśmy tak podobni. Wspomniał także, że Herr Speer lubi wioskować.

Na ustach Selwyna-Thaxteda pojawił się przelotny uśmiech.

– O tym chyba nie wiedzieliśmy.

– Czy to istotne?

– Zapewne nie... ale nigdy nie wiadomo. – Nie mówił niczego wprost, ale kierował mnie w stronę drzwi. – Jestem panu wdzięczny, panie Sawyer. Mam nadzieję, że nie miał pan nic przeciwko rozmowie z nim.

– Nie, proszę pana.

W holu Selwyna-Thaxteda poprosił jednego z podsekretarzy, żeby wyprowadził mnie z budynku głównym wejściem.

Zapadł zmierzch, ale wciąż było ciepło. Zobaczyłem rząd daimlerów z odkrytymi dachami czekających przy Unter den Linden, gotowych zabrać Hessa i jego towarzyszy, nigdzie jednak nie było widać samych nazistów. Szybko ruszyłem wzdłuż Unter den Linden w kierunku Brandenburger Tor, za którą umówiłem się z Joem. Już z daleka dostrzegłem furgonetkę: dwie łódki ponownie były przytwierdzone do dachu. Kiedy się zbliżyłem, zobaczyłem Joego, który niecierpliwie krążył obok samochodu. Powitał mnie oschle i czym prędzej zajął miejsce za kierownicą.

Wkrótce mknęliśmy ulicami Berlina w gęstniejącym mroku, kierując się na północ. Nic nie mówiłem. Zapadła noc, gdy opuściliśmy przedmieścia i znaleźliśmy się na wsi, korzystając z nowej autostrady prowadzącej do Hamburga. To nie była ta sama droga, którą przyjechaliśmy. Wspomniałem o tym Joemu. Nic nie odpowiedział.

Samochód Ministerstwa Sił Powietrznych zatrzymywał się jeszcze kilkakrotnie podczas naszej długiej podróży ze szpitala na południe: tankowaliśmy benzynę, Gilbert Strathy do kogoś dzwonił, a wreszcie przekąśliśmy coś i napiliśmy się herbaty w sympatycznym handlowym miasteczku gdzieś po drodze. Bez drogowskazów trudno było rozpoznać miejscowości, jeśli już wcześniej się w nich nie było. Pozostali pasażerowie nie rozmawiali o naszej trasie.

Po ostatnim postoju zapadłem w drzemkę, kołysząc się z tyłu samochodu, z pochyloną głową. Byłem w tym dziwnym stanie nie-snu, w który można zapaść w drodze, kiedy człowiek pozostaje częściowo świadomy okoliczności, a jednak jest w stanie odpocząć. Słyszałem, jak moi dwaj towarzysze podróży o mnie rozmawiają, zapewne myśląc, że ich nie słyszę.

Pan Strathy powiedział:

– Udało mi się znaleźć nocleg dla pułkownika Sawyera. To duże ułatwienie, że nie wymaga opieki pielęgniarskiej.

– Zostanie tam, dokąd jedziemy?

– Nie, to nie jest możliwe. Potem musi się znaleźć w Londynie. W kasynie oficerskim w Northolt jest wolny pokój. Mógłby urządzić tam swoją bazę, dopóki będzie jej potrzebował.

– Do Northolt jeszcze kawał drogi.

– Wiem, ale tylko tyle udało mi się załatwić. Muszę wracać do Londynu, więc mogę go podwieźć do Northolt. Reszta w rękach premiera.

Drzemałem dalej, zainteresowany, a zarazem niezainteresowany, wyczerpany długą jazdą, z wściekle bolącą nogą i zeszywniałym karkiem. Nowy mundur, który początkowo wydawał się idealnie skrojony, z czasem zaczął mnie cisnąć pod

pachami i w kroczu. Materiał drażnił odsłoniętą skórę: nogi, szyję, nadgarstki. Zaczekałem, aż mężczyźni ponownie umilkną, a następnie ukradkiem otworzyłem jedno oko i wyjrzałem przez okno po mojej stronie. Było ciemno, a samochód jechał powoli, oświetlając drogę przytłumionym blaskiem osłoniętych reflektorów. Pomyślałem ze współczuciem o młodej kobiecie w oszklonej kabinie kierowcy: przez cały dzień jechała wąskimi, trudnymi drogami bez drogowych znaków ani znaków, a teraz także bez dziennego światła. Z pewnością również była wyczerpana.

– Nie śpi pan, pułkowniku Sawyer?

– Nie – odpowiedziałem, natychmiast odzyskując czujność. Zrozumiałem, że drzemałem mocniej niż mi się wydawało. Poczulem, że gwałtownie wracam do rzeczywistości. Samochód i pozostali pasażerowie mnie przytłaczali. Warkot silnika brzmiał znacznie głośniejszy. Zdałem sobie sprawę z podmuchu, który płynął od drzwi i owiewał mi nogę.

– Wkrótce będziemy na miejscu – rzekł Strathy. – Pomyślałem, że chciałby pan mieć nieco czasu, żeby wrócić do siebie.

– Gdzie jesteśmy?

– Za chwilę przejedziemy przez Wendover, to niedaleko Chequers. Teraz już mogę pana poinformować, pułkowniku Sawyer, że premier poprosił o spotkanie z panem. Oczywiście nie mogliśmy wcześniej panu tego zdradzić.

– Premier? – zdziwiłem się. – Pan Churchill chce się ze mną zobaczyć? Nie wierzę, że w ogóle wie o moim istnieniu.

– Zapewniam, że pan Churchill o panu wie.

– Został pan tymczasowo oddelegowany – wyjaśnił prawdziwy pułkownik. – Pozna pan szczegóły na miejscu, ale kancelaria premiera od czasu do czasu dopuszcza osobiste nominacje, których dokonują wojskowi wysokiego szczebla. Wielu młodych ludzi takich jak pan zostało wybranych ze względu na podobne doświadczenia. Później bardzo się to panu przyda.

– Czego się ode mnie oczekuje? – Wciąż czułem się oszołomiony usłyszczanymi wieściami.

– Premier albo jeden z jego ludzi to panu wyjaśni. Jutro czeka

pana bardziej szczegółowa odprawa w Domu Admiralicji. Dzisiaj wieczorem odbędzie pan tylko krótkie spotkanie z premierem. Później odwieziemy pana do pańskiej kwatery w bazie RAF-u w Northolt. Na razie tam będzie pan stacjonował.

– Myślałem, że wracam do służby.

– Wkrótce tak się stanie. To tymczasowy układ. Podobnie jak promocja, chociaż jeśli dobrze się pan spisze w ciągu następnych kilku tygodni, sądzę, że nie zostanie pan przywrócony do tego samego stopnia, z którego pana awansowano.

Samochód nagle zahamował i odbił w lewo, jakby kierująca przegapiła zjazd. Kiedy przechyliłem się na siedzeniu, w blasku reflektorów zauważyłem wysokie ceglane słupy, a następnie bramę z kutego żelaza. Umundurowani policjanci stali przy obu słupach i nam salutowali. Za bramą znajdował się bardziej swojski wojskowy punkt kontrolny ze stróżówką. Samochód się zatrzymał, a ze stróżówki wychylił się żołnierz w randze sierżanta, i przy świetle latarki uważnie obejrzał dokumenty wszystkich pasażerów. Ze swojego miejsca praktycznie nie widziałem, co się dzieje. Strathy i pułkownik Dodman cierpliwie czekali. Nie miałem żadnych papierów: moje dokumenty zaginęły lub zostały zniszczone, kiedy wellington spadł do morza. Mimo to wydawało się, że nikt nie ma wątpliwości co do mojej tożsamości.

Pojechaliśmy dalej nieoświetloną drogą pomiędzy sporymi drzewami. Na poboczu, w równych odstępach rozmieszczono pomalowane na biało kamienie, które lśniły, gdy je mijaliśmy.

Wyraźnie pamiętam tamte kilka sekund. Kiedy ruszyliśmy spod budki strażnika, nikt w samochodzie nie odezwał się ani słowem, dopóki nie znaleźliśmy się wewnątrz słynnego domu zwanego Chequers, dzięki czemu miałem okazję zebrać myśli i przygotować się na to, co mnie czekało.

Piszę te słowa wiele lat po zakończeniu II wojny światowej. Żyję w czasach, gdy w niektórych środowiskach modne jest cyniczne podejście do patriotyzmu, męstwa, politycznego przywództwa,

narodowego interesu. Czasami sam też podzielałem tę postawę, co nie może dziwić w prawdziwie sceptycznej demokracji. Jednakże w 1941 roku świat wyglądał inaczej, za co nie mam zamiaru przeproszać.

Wtedy Winston Churchill był niezrównaną postacią, niemal unikalną w historii Wielkiej Brytanii. Dla szczęśliwej garstki, która wtedy żyła, Churchill był człowiekiem, który zmobilizował narodowego ducha, gdy wszyscy oczekiwali porażki. Stanęliśmy samotnie przeciwko Niemcom Hitlera, wtedy najpotężniejszej militarnie nacji świata. Kilka lat później zaowocowało to ostatecznym wojskowym triumfem Aliantów, chociaż w 1940 i 1941 roku niewielu postrzegało zwycięstwo jako nieuniknione czy nawet prawdopodobne. Kiedy wojna skończyła się w 1945 roku, wszyscy odczuli tak wielką ulgę, że postanowili zapomnieć o ostatnich latach. Wojna dobiegła kresu. To, co liczyło się najbardziej, nagle przestało mieć znaczenie. Churchill w spektakularny sposób stracił władzę i marnował się w opozycji, podczas gdy spełniała się większość tego, co przewidział. Powrócił jako premier w 1951 roku na jeszcze jedną krótką kadencję, gdy był już zniedołężniały ze starości. To także prawda, że przez wiele lat przed objęciem władzy w 1940 roku Churchill był kontrowersyjną postacią z politycznego marginesu, niepopularną w niektórych środowiskach, a przez większość mu współczesnych traktowaną nieufnie. Jednakże sprostał wyzwaniu. Podczas długich i niebezpiecznych miesięcy poprzedzających przystąpienie Stanów Zjednoczonych, Związku Radzieckiego i Japonii do wojny szybko stał się legendą dla większości zwykłych Brytyjczyków. Wydawało się, że stanowił podsumowanie pewnego rodzaju brytyjskiego ducha, symbolizował brytyjską chęć walki, która być może nigdy wcześniej nie została rozpoznana, dopóki nie pojawiła się taka potrzeba.

Należałem do tamtego świata, tamtego pokolenia. Kiedy wybuchła wojna, służyłem w RAF-ie w stopniu porucznika lotnictwa. Nasze pierwsze próby prowadzenia dziennych

nalotów napotkały gwałtowny opór. Ponieśliśmy straszliwe straty i naloty wkrótce przerwano. Blenheimy, które pilotowaliśmy, były za wolne i zbyt słabo bronione, żeby móc z nich korzystać za dnia, a jednocześnie nie dysponowały wystarczającym zasięgiem, żeby wykonywać dalekie nocne loty nad terytorium wroga, dlatego przez większość pierwszej wojennej zimy i wiosny ograniczaliśmy się do zwiadów, podczas których wypatrywaliśmy nieprzyjacielskich okrętów na Morzu Północnym; rzadko uczestniczyliśmy w walce czy nawet napotykaliliśmy wroga.

Po niemieckiej inwazji na Francję wojna wkroczyła w śmiertelnie poważną fazę i Wielka Brytania znalazła się w niebezpieczeństwie. Neville Chamberlain, który zastąpił ustępstwami wobec Hitlera, okazał się nieodpowiednim kandydatem na stanowisko przywódcy w czasie wojny. Kiedy ustąpił, Churchill zajął jego miejsce i cały kraj ogarnął nowy duch. Brytyjczycy jeszcze nigdy nie musieli stawiać czoła takiemu zagrożeniu i jeszcze nigdy nie byli ku temu tak zmotywowani. Jeśli tam byłeś, jeśli żyłeś w tych czasach, musiałeś podziwiać Churchilla. Nie ma na to innego określenia i właśnie podziw mnie wypełniał, gdy powoli podjeżdżaliśmy do głównego wejścia wiejskiej posiadłości premiera.

Byłem zeszywniały po całodziennym jeździe i potrzebowałem dużo czasu, żeby wydostać się na żwirowy podjazd, podpierając się przy tym laską. Moi dwaj towarzysze podróży patrzyli na mnie ze współczuciem, ale koniecznie chciałem sobie poradzić bez pomocy. Sztylety bólu przeszywały moje nogi i plecy.

Ból stopniowo zelżał. Pułkownik lotnictwa Dodman był przy moim boku, kiedy weszliśmy przez drzwi, i lekko podtrzymywał mnie za łokieć prawej ręki. Czekał na nas mężczyzna w czarnych spodniach i białej starannie wyprasowanej koszuli, bardzo oficjalnej. Przywitał całą naszą trójkę po nazwisku, a następnie poprosił, żebyśmy chwilę zaczekali.

Wprowadzono nas do bocznego pomieszczenia: długiej, ciemnej komnaty wyłożonej panelami, której ściany były

przesłonięte mrocznymi pejzażami, trofeami oraz regałami z książkami. Na środku pokoju stał wypolerowany stół, a wokół niego liczne, równo poustawiane krzesła. W oknach wisiały grube plecione zasłony, za którymi widać było materiał zaciemniający pokrywający szyby. Staliśmy w napięciu tuż za progiem, czekając na wezwanie, które, jak się spodziewałem, miało nadejść w ciągu kilku minut.

Dwie godziny później wciąż tam byliśmy i od dawna siedzieliśmy przy jednym końcu stołu. Kiedy tak czekaliśmy, w domu pojawiali się kolejni goście. Niektórzy tylko coś dostarczali albo odbierali; inni najwyraźniej wykonywali pilne zadania i byli czym prędzej kierowani do innych części posiadłości. Mniej więcej godzinę po przybyciu otrzymaliśmy tacę z herbatą i ciasteczkami. Niewiele rozmawialiśmy, wycieńczeni dniem spędzonym w samochodzie, spodziewając się, że lada chwila zostaniemy wezwani.

Mniej więcej kwadrans po dwunastej wezwanie wreszcie nadeszło.

Ponownie zeszytniały, wstałem z miejsca. Pozostawiając swoich dwóch towarzyszy w poczekalni, pokuśtykałem za mężczyzną, który po mnie przyszedł. Czułem, że nie powinienem kazać premierowi czekać, chociaż nikt nie wywierał na mnie takiej presji.

Przeszliśmy przez hol obok wejścia, a następnie powędrowaliśmy krótkim, ciemnym korytarzem. Zaprowadzono mnie do pomieszczenia z czterema biurkami, na których stały duże maszyny do pisania; przy dwóch z nich pracowały kobiety. Pomieszczenie miało surowy i ponury wystrój: goła klepka, żadnych zasłon, tylko nieodłączne ekrany zaciemniające, jaskrawe światła na suficie, liczne szafki na dokumenty, telefony, tacki na korespondencję, rozciągnięte kable, wszędzie papier. Ponownie kazano mi czekać. Wokół toczyła się praca biurowa, a dwie maszynistki nie zwracały na mnie uwagi. Zegar nad drzwiami wskazywał dwadzieścia minut po dwunastej.

– Premier teraz pana przyjmie. – Mężczyzna, który

przyprował mne z poczekalni, otworzył i przytrzymał drzwi. Kiedy przez nie wszedłem, kulejąc, oznajmił: – Panie Churchill, oto pułkownik lotnictwa J.L. Sawyer.

W porównaniu z jasno rozświetlonym biurem, duży pokój, do którego teraz wszedłem, początkowo sprawiał wrażenie pogrążonego w ciemności. Jedyne źródło światła stanowiły dwie lampki ustawione na przeciwległych krańcach biurka, które zajmowało środek pomieszczenia. W blasku odbijającym się od dokumentów ujrzałem słynne oblicze Winstona Churchilla pochylonego nad pracą. Dym z jego cygara zasnuwał powietrze. Kiedy z trudem podszedłem do biurka, nie podniósł wzroku, tylko dalej przeglądał plik papierów, z grubym wiecznym piórem w dłoni. W drugiej trzymał cygaro. Niemal pusta kryształowa szklaneczka lśniła na biurku – obok niej stały karafka z whisky i dzbanek z wodą. Pan Churchill miał na nosie okulary do czytania w kształcie półksiężyców. Czytał szybko, przerywając tylko po to, żeby zapisać swoje inicjały na dole każdej strony, i przewracając kartki dłonią z piórem. Na ostatniej stronie napisał kilka słów, podpisał się i odwrócił kartkę.

Wrzucił dokumenty do przepelnionego wiklinowego koszyka pod jedną z lamp, a następnie wziął kolejny plik ze skrzynki.

– Sawyer – odezwał się, zerkając na mnie ponad okularami. Stałem niedaleko od niego, ale w pomieszczeniu było tak ciemno, że zastanawiałem się, czy dobrze mnie widzi. – L.J. Sawyer. To pan ma na imię Jack, zgadza się?

– Tak, panie premierze.

– Nie ten drugi.

– Ma pan na myśli mojego brata, panie Churchill?

– Tak. Co się z nim stało? Moi ludzie przez jakiś czas was mylili.

– Mój brat nie żyje, panie premierze. Został zabity w zeszłym roku w jednym z pierwszych tygodni Blitzu.

Churchill sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Nie słyszałem tych straszliwych wieści. Słowa zawsze są niedoskonałe, ale proszę mi wierzyć, że jestem tym

zbulwersowany. Mogę tylko złożyć panu najszczerze kondolencje. – Premier wpatrywał się we mnie w milczeniu. Przez chwilę naprawdę nie wiedział, co powiedzieć. Odłożył pióro. Potem rzekł: – Ta wojna... ta cholerna wojna.

– Joe zginął kilka miesięcy temu – odparłem.

– Mimo wszystko. – Pokręcił głową i położył dłonie na blacie. – Niech pan przynajmniej pozwoli mi wyjawić, po co pana wezwałem. Potrzebuję adiutanta z RAF-u i zaproponowano mi pańską osobę. Chwilowo nie będzie pan miał wiele roboty, ale później zapewne czeka pana ciekawsze zajęcie. Na razie będę od pana wymagał chodzenia wszędzie za mną, pozostawania w zasięgu wzroku i trzymania gęby na kłódkę. Widzę, że ma pan laskę. Może pan chodzić?

– Tak jest.

– Moi pracownicy wręczą panu wymagane przepustki. Proszę jutro z samego rana stawić się w Domu Admiralicji.

– Tak jest – powtórzyłem.

Pan Churchill wrócił do przeglądania dokumentów, miarowo przesuwając dłonią z piórem po marginesie. Po kilku sekundach niezdecydowania zrozumiałem, że rozmowa dobiegła końca, więc z trudem się odwróciłem i jak najszybciej ruszyłem w stronę drzwi.

– Pułkowniku Sawyer!

Przystanąłem i obejrzałem się na premiera. Odłożył dokumenty i siedział wyprostowany za biurkiem. Dolał sobie whisky i wody, więcej tej pierwszej.

– Słyszałem, że pan i pański brat pojechaliście na igrzyska olimpijskie do Berlina i wywalczyliście medal.

– Brawo, panie premierze. Startowaliśmy jako wioślarska dwójka bez sternika.

– Brawo. Słyszałem także, że potem przedstawiono was Rudolfowi Hessowi.

– Tak, miałem okazję go poznać.

– Tylko pan, czy także pański brat?

– Tylko ja, panie premierze.

– Czy pański brat w ogóle go spotkał?
– Tylko przelotnie. Hess wręczał nam medale podczas dekoracji.

– Ale rozumiem, że później spędził pan z nim trochę czasu. Jakie ma pan zdanie na temat tego człowieka?

– To było kilka lat temu, panie Churchill. Spotkałem Hessa podczas przyjęcia w ambasadzie brytyjskiej. Nie spędziłem z nim wiele czasu, ale mogę powiedzieć, że mi się nie spodobał.

– Nie pytałem, czy się panu podobał. Podobno płynnie mówi pan po niemiecku i odbył pan z nim długą rozmowę. Co pan o nim sądzi?

Namyślałem się chwilę przed udzieleniem odpowiedzi, ponieważ nigdy później nie wspominałem tamtego wieczoru. Wydarzyły się ważniejsze i ciekawsze sprawy.

Pan Churchill upił łyk whisky, nie przestając mnie obserwować.

– Sądząc po sposobie jego zachowania, można by uznać, że był pijany, ale nie pił alkoholu. Doszedłem do wniosku, że przywykł do zmuszania ludzi siłą do posłuszeństwa. Towarzyszyła mu grupa innych nazistów i odniosłem wrażenie, że się przed nimi popisuje. Trudno mi stwierdzić, czego tak naprawdę się o nim dowiedziałem.

– W porządku. Czy rozpoznałby go pan, gdyby ponownie go pan zobaczył?

– Tak jest. Nigdy go nie zapomnę.

– Dobrze. To może być dla mnie bardzo cenne. Jak pan zapewne wie, Herr Hess w ostatnich tygodniach okrył się złą sławą.

Nie miałem pojęcia, co znaczyła ta ostatnia uwaga. Wieści o przybyciu Hessa do Szkocji najwyraźniej przestały wzbudzać sensację. Oszłomiła mnie myśl, że Niemcy szukają pokoju, ale po pierwszym wybuchu zainteresowania tą sprawą gazety nie podjęły wątku, a o Hessie nie wspomniano także w radiu. Rozmawiałem na ten temat z niektórymi z pacjentów szpitala dla rekonwalescentów, ale żaden z nich nie wiedział więcej ode mnie.

Pan Churchill odstawił drinka, podniósł pióro i wrócił do swoich dokumentów. Odczekałem kilka sekund, ale ponownie stało się jasne, że zakończył rozmowę. Otworzyłem drzwi i wróciłem do zewnętrznego biura. Jedna z sekretarek już na mnie czekała; wręczyła mi teczkę zawierającą kilka kawałków papieru oraz kartę. Wyjaśniła, do czego służą, gdzie powinienem je podpisać i komu będę musiał je okazywać.

Kilka minut później dołączyłem do pułkownika Dodmana oraz pana Strathy'ego i razem wróciliśmy do samochodu czekającego na żwirowym podjeździe przed domem. Kobieta, która nas przywiozła, spała, niewygodnie oparta o kierownicę.

Joe był spięty i milczący, kiedy oddalaliśmy się od Berlina. Stale zerkał we wsteczne lusterko i denerwował się, kiedy jakiś samochód nas wyprzedzał. Oczywiście spytałem go, co się stało, ale nadal nie chciał mi powiedzieć.

Zostawiliśmy za sobą ogromną połąć miasta i jechaliśmy autostradą przez mroczny wiejski krajobraz, gdy nagle usłyszałem stłumione stukanie z tyłu furgonetki. Miałem wrażenie, że to jakiś problem mechaniczny, ale Joe machnął ręką.

– Zaczekaj, dobrze? – odparł surowo.

Kilka minut później dotarliśmy do zjazdu w Kremmen, a Joe zerknął w lusterko, po czym zwolnił. Nie było żadnych samochodów. Opuściliśmy autostradę i wjechaliśmy na wąską drogę, która wiodła pośród wzgórz i wysokich drzew. Joe jechał jeszcze przez dwie albo trzy minuty, aż zauważył wąską dróżkę odchodzącą w bok. Skręcił w nią, zgasił silnik i wyłączył wszystkie światła.

– Joe, co się dzieje? – spytałem w niespodziewanej ciszy.

– Czasami myślę, że jesteś ślepy, skoro nie zauważasz tak wielu spraw, które się wokół ciebie dzieją. Chodź i pomóż mi.

Po wyjściu z furgonetki znaleźliśmy się w całkowitej ciemności. Resztkę wieczornego światła przesłoniły korony drzew. Nie słyszeliśmy żadnych samochodów, nie widzieliśmy światła domów ani najmniejszych oznak życia. Otaczał nas ciepły sosnowy zapach. Nad głowami słyszeliśmy odgłos gałęzi ocierających się o siebie, gdy poruszał nimi wiatr wiejący w lesie. Pod stopami chrzęściły nam suche igły. Joe otworzył podwójne tylne drzwi furgonetki. Sięgnął do środka, przez chwilę czegoś szukał na osłep, aż wreszcie wyciągnął i włączył naszą latarkę.

– Trzymaj ją równo – polecił.

Wgramolił się na tył furgonetki, zginając się wpół, a następnie odepchnął od ściany stertę naszych torb ze sprzętem. Odniosłem wrażenie, że wieziemy więcej skrzyń i pudeł niż zabraliśmy z domu.

– Tutaj! – zawołał, z rozdrażnieniem machając ręką. – Nie świeć na mnie.

Na podłodze furgonetki leżał materac, który wcześniej zasłaniały torby i skrzynki ustawione przez Joego. Materac przykrywała jakaś drewniana deska oparta o ścianę pod kątem czterdziestu pięciu stopni, która tworzyła ciasne, trójkątne schronienie. Joe uklęknął na skraju materaca i odsunął deskę. Kiedy to zrobił, zrozumiałem, że pod spodem ktoś leży. Postać zawołała coś głośno po niemiecku i gwałtownie się poruszyła, popychając deskę od dołu, a następnie usiadła prosto, gdy tylko zyskała wystarczająco dużo miejsca.

To była młoda kobieta, ale w przekrzywionym świetle latarki nie od razu ją rozpoznałem. Joe chwycił ją za rękę i pomógł jej wyjść. Gdy tylko wyraźniej ją zobaczyłem, zdałem sobie sprawę, że to Birgit, córka rodziny, u której mieszkaliśmy w Berlinie.

Joe usiłował ją objąć, ale odepchnęła go wściekle.

– [Dlaczego to trwało tak długo?!] – zawołała. – [Byłam uwięziona całymi godzinami! Nie mogłam się poruszyć ani oddychać, umieram z pragnienia!].

– [Zatrzymałem się, gdy tylko uznałem, że to bezpieczne] – odparł Joe. – [Utknąłem w Berlinie, czekając na niego].

Wskazał mnie kciukiem. Zrozumiałem powody wcześniejszego zniecierpliwienia Joego, ale wiele innych pytań pozostawało bez odpowiedzi. Przez kilka minut hałaśliwie rozmawialiśmy w ciemności pod drzewami. Birgit była wściekła, Joe się bronił, a ja, całkowicie zagubiony, nie mogłem otrzymać odpowiedzi na cały szereg pytań, które miałem ochotę zadać.

Niespodziewane pojawienie się Birgit wywołało we mnie eksplozję uczuć, których nie potrafiłem wytłumaczyć Joemu. Nigdy nie rozmawiałem z nim o Birgit, więc zakładałem – po

części dlatego, że tak było mi wygodnie – że nie jest nią zainteresowany. Sam jednak nie mogłem przestać o niej myśleć od chwili przybycia do Berlina. Była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem i poznałem. Jej energiczna, radosna osobowość mnie oszołomiła i wzbudziła dzikie fantazje, które niechętnie tłumilem. Kiedy brała do ręki skrzypce i zatapiała się w muzyce, nie widziałem poza nią świata. Udało mi się kilka razy krótko z nią porozmawiać, ale głównie mieliśmy ze sobą kontakt podczas rodzinnych posiłków. Nie potrafiłem oderwać od niej wzroku. Olśniewały mnie jej wygląd, śmiech, wrażliwa inteligencja. Kiedy przebywałem poza mieszkaniem przy Goethestrasse, niemal nie śmiałem o niej myśleć, tak bardzo burzliwe były moje uczucia, a zarazem nie mogłem myśleć o niczym ani nikim innym.

W końcu moje oczy przywykły do ciemności, więc już nie miałem wrażenia, że otacza nas całkowity mrok. Widziałem, że Joe i Birgit stoją obok siebie i opierają się o furgonetkę.

– Wyjaśnij mi, co się dzieje, Joe? – spytałem.

– [Mów po niemiecku, żeby Birgit mogła zrozumieć].

– Ona wystarczająco dobrze zna angielski – odparłem naburmuszonym głosem.

– [Wciąż jesteśmy w jej kraju. Postarajmy się jak najbardziej jej wszystko ułatwić].

– [W porządku, Joe. Co się dzieje?].

– [Birgit pojedzie z nami do Anglii. Musi czym prędzej opuścić Niemcy].

– [Dlaczego?].

Joe zwrócił się do Birgit.

– [Jest dokładnie tak, jak ci mówiłem. Ludzie tacy jak JL nie mają zielonego pojęcia, co Hitler robi z Żydami w tym kraju].

– [Nie musisz mnie traktować protekcyjnie] – odrzekłem, urażony jego słowami, ale jeszcze bardziej tym, że usiłował mnie poniżyć w oczach Birgit. – [Potrafię czytać gazety].

– [Owszem, ale nie reagujesz na to, co czytasz].

– [Jak możesz tak mówić?] – zaoponowałem. – [Gdybyś był taki

zaangażowany, nie przyjechałbyś do Niemiec na igrzyska].

– [Nie mogłem ci o tym powiedzieć wcześniej] – rzekł cicho Joe. – [Zamierzałem spróbować cię przekonać, że powinniśmy zostać w domu. Po całym treningu, jaki wykonaliśmy, nie byłem pewien, jak mam ci o tym powiedzieć i w jaki sposób mógłbym ci to wyperswadować, ale właśnie tak uważałem. Potem mama opowiedziała mi o Birgit, o tym, jak rozpaczliwa stała się sytuacja Żydów w Berlinie, i o tym, że ona koniecznie potrzebuje pomocy. Wiesz, że mama i Hanna Sattmann wychowały się razem. Prawda jest taka, że dla mnie głównym powodem przyjazdu do Niemiec nie był wyścig, ale wyciągnięcie stąd Birgit].

– [JL, on się nie myli co do naszej sytuacji] – powiedziała Birgit, przenosząc wzrok z jednego na drugiego z nas. – [Nie możesz wiedzieć, przez co przechodzimy. Ale to dotyczy także ciebie, Joe, tak samo jak reszty zagranicznych gości, którzy przybyli na igrzyska. Naziści ściągają swoje transparenty, zamalowują hasła na murach, pozwalają otwierać żydowskie sklepy i restauracje, żeby przekonać cudzoziemców, że pogłoski o prześladowaniach Żydów są nieprawdziwe. Kiedy tylko igrzyska dobiegną końca, znów się za nas wezmą].

Głośno przełknęła ślinę, po czym zamilkła. W ciemności widziałem, że przyciska dłoń do oczu. Joe nachylił się w jej stronę, najwyraźniej chcąc ją pocieszyć, ale go odepchnęła. Zobaczyłem, że odsunęła się od furgonetki i weszła w mrok pod najbliższymi drzewami. Słyszałem, że płacze.

Serce podpowiadało mi, żeby do niej podbiec, przytulić ją i dodać jej otuchy, ale w ciągu ostatnich kilku minut zrozumiałem, jak niewiele wiem o jej życiu. A raczej jak niewiele rozumiem z tego, co naziści robią z Żydami w Niemczech.

Po raz kolejny opisuję wydarzenia, które wydają się bardzo odległe. Powojenna perspektywa zagraża prawdziwości moich wspomnień, zwłaszcza tych, które dotyczą uczuć. To był rok 1936. Obozy koncentracyjne i obozy zagłady, *Einsatzgruppen* Himmlera, nikczemne eksperymenty medyczne na więźniach,

przymusowa praca i głód, komory gazowe – od tego wszystkiego dzieliły nas całe lata. Skłamałbym, gdybym twierdził, że Joe i ja nie mogliśmy wiedzieć o nasilających się prześladowaniach, ale nawet gdybyśmy mieli dar – albo przekleństwo – prorokowania, to któż mógłby uwierzyć, jak to się wszystko potoczy?

Owszem, nie brakowało wskazówek. Były wyraźnie widoczne w przemówieniach Adolfa Hitlera, gdyby tylko ktoś zadał sobie trud ich zrozumienia. Rudolf Hess nie był lepszy, ale nikt go tak dobrze nie znał poza Niemcami. Chociaż to Hitler ogłosił ustawy norymberskie, serię rozporządzeń pozbawiających Żydów obywatelstwa, ochrony prawnej oraz własności, o których Birgit zaczynała nam opowiadać, to właśnie Hess wprowadzał je w życie i jego podpis widniał na rozkazach.

Joe i ja byliśmy naiwnymi młodzieńcami, którzy dorastali pod kloszem i interesowali się głównie sportem. Być może byłem bardziej naiwny niż Joe, ale taka postawa dotyczyła nas obu. Zresztą nie byliśmy wyjątkami. Nawet ludzie, którzy powinni mieć więcej rozsądku, czyli politycy i dyplomaci z zachodnich demokracji, najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy ze skali tego, co działo się w Niemczech. Niewykluczone, że przeczuwali więcej, niż byli gotowi przyznać, chociaż później utrzymywali, że tak nie było. Łagodzone nastroje: nic podobnego nigdy się nie wydarzyło, a przynajmniej nie na taką skalę, więc łatwiej było nie wierzyć w najgorsze i nie tracić nadziei. Jednak tamte kilka minut w cichym lesie stało się dla mnie początkiem nauki.

Usiadłem na dywanie z sosnowych igieł, z dala od pozostałych dwojga, przekonany, że moja obecność tylko zwiększa zamieszanie. Z pewnością zdawałem sobie sprawę, że moje burzliwe uczucia i pragnienia mogą sprawić, że powiem coś, czego szybko pożałuję. Patrzyłem na ich niewyraźne mroczne sylwetki widoczne na tle białego samochodu. Birgit cicho szlochała; Joe coś do niej mówił. Albo nie słyszałem, o czym rozmawiają, albo zamknąłem na to swój umysł. Birgit stopniowo się uspokajała.

Nieco później wszedłem do tylnej części furgonetki i znalazłem turystyczną kuchenkę Primus, którą Joe i ja przywieźliśmy z Anglii. Rozstawiłem ją z pewnym trudem, uruchomiłem palnik i zagotowałem wodę z manierki. Zaparzyłem kawę dla całej naszej trójki, ciemną i mocną, jaką lubią Niemcy. Birgit usiadła na podłodze furgonetki za otwartymi drzwiami, ściskając kubek i sącząc gorący napój. Joe i ja stanęliśmy przed nią.

Joe opowiedział mi, co zaplanowali z Birgit. Rozmawialiśmy po angielsku.

– Birgit nie ma przy sobie pieniędzy, paszportu ani żadnych innych dokumentów. Żydom w Niemczech odebrano niemal wszystko. Nie wolno jej podróżować, a jeśli ktoś ją odkryje, będziemy w poważnych tarapatkach. Ale sądzimy, że uda nam się wydostać z Niemiec. Jej rodzice dowiedzieli się, że jutro z Hamburga wypływa szwedzki statek zmierzający do Anglii. Jeśli będziemy jechali przez całą noc i jutrzejszy dzień, to możemy na niego zdążyć.

– A jeżeli się spóźnimy?

– Wtedy sprawy nieco się skomplikują. Doktor Sattmann twierdzi, że w takim wypadku powinniśmy spróbować przekroczyć granicę z Danią i tam spróbować szczęścia, ale to może się okazać niemożliwe.

– Joe, na litość boską, w co my się pakujemy?

– Musimy zabrać Birgit do Anglii. W Berlinie już nie jest bezpieczna.

– A co z jej rodzicami?

– Oczywiście są w takiej samej sytuacji. Również postanowili, że muszą uciekać z Niemiec. Przyjaciele w Berlinie ostrzegli ich, że jeśli będą podróżowali jako rodzina, zapewne zostaną zatrzymani na granicy, dlatego Birgit musi wyjechać z nami. Kiedy tylko dowiedzą się, że jest bezpieczna w Anglii, spróbują osobno przedostać się do Szwajcarii, gdzie jej ojciec ma odłożone trochę pieniędzy. Przy odrobinie szczęścia, stamtąd udadzą się do Francji, a następnie do Anglii. Możliwe, że wyruszą już w przyszłym tygodniu. Nikt nie jest pewien, co się

stanie z Żydami po weekendzie, kiedy igrzyska dobiegną końca.

– Czy Birgit nie byłaby bezpieczniejsza z rodzicami?

– Nie. Słyszeli opowieści o innych rodzinach niemieckich Żydów, które schwymano podczas próby ucieczki.

Byliśmy już zdecydowani na wcielenie w życie tego desperackiego planu, chociaż nie podejmowaliśmy żadnych środków bezpieczeństwa, poza najbardziej podstawowymi. Joe i ja zgodziliśmy się, że Birgit może podróżować w kabinie furgonetki, dopóki jest ciemno i nie próbujemy przekraczać granicy. Jednakże gdy tylko zbliżymy się do Hamburga, będzie musiała wrócić do swojej kryjówki i pozostać w niej, dopóki nie znajdziemy się na statku i nie opuścimy niemieckich wód terytorialnych.

Czas płynął. Wiedzieliśmy, że musimy pokonać jak najdłuższą trasę, dopóki krótka letnia noc zapewnia nam osłonę ciemności. Zaproponowałem, że jako pierwszy zajmę miejsce w zatłoczonej tylnej części furgonetki. Ułożyłem się na materacu, starając się przyjąć jak najwygodniejszą pozycję, a deskę, którą Joe wykorzystał jako osłonę, umieściłem po drugiej stronie, żeby mi nie przeszkadzała. Nie było mi wygodnie, ale udało mi się zdrzemnąć.

Po północy Joe znalazł kolejną boczną drogę, gdzie urządziliśmy postój i zamieniliśmy się miejscami. Byłem zeszywniały po podróży w tyle ciasnej, hałaśliwej, trzęsącej się furgonetki, więc ucieszyłem się z tej przerwy. Birgit siedziała po mojej lewej stronie, skulona na fotelu pasażera, z kolanami przy klatce piersiowej. Bez słowa zawróciłem i ruszyłem z powrotem w kierunku autostrady. Silnik pracował głośniejsze i bardziej topornie niż wcześniej. Przy każdej zmianie biegów samochód szarpał i drgał.

Na szerokiej, nowoczesnej szosie mogłem utrzymywać stałą prędkość, niemal nie zmieniając biegów. Miałem nadzieję, że Joemu, który podróżował w ciszy za moimi plecami, uda się przespać. Chciałem porozmawiać z Birgit, żeby skorzystać z jej tymczasowego towarzystwa, ale już wiedziałem, że pomimo

hałasu i wibracji osoba siedząca z tyłu samochodu słyszy to, co mówią ludzie w kabinie.

Za każdym razem, gdy mijał nas samochód jadący w przeciwną stronę, wykorzystywałem blask jego świateł i zerkąłem na Birgit.

Nie spała, tylko wpatrywała się przed siebie w ciemność. Nie zdradzała, o czym myśli. W końcu zmieniła pozycję, skręcając ciało i przekładając nogi, tak że znalazły się po drugiej stronie. W ten sposób jej głowa i ramiona były bliżej mnie. Kiedy następne auto minęło nas z rykiem, zerknąłem na nią i odkryłem, że mi się przygląda. Wciąż się nie odzywaliśmy. Nie chodziło tylko o obecność Joego, który spał albo czuwał w odległości kilku cali. Birgit zawsze była w stanie odebrać mi mowę, sprawić, że czułem się niezdarny oraz myślałem i mówiłem najbardziej porywcze głupoty. Wyczuwałem, że to bardzo ważna noc w moim życiu i nie mogę jej zrujnować pochopnymi słowami, dlatego milczałem. Chłonałem ją zmysłami. Zdawałem sobie sprawę z jej każdego drobnego ruchu, z każdego dźwięku. Wyobrażałem sobie, że ciepło jej twarzy promieniuje przez dzielącą nas niewielką przestrzeń i czuję jej blask na policzku. Pragnąłem usłyszeć od niej jakieś słowo, a nawet stęknienie albo jakiś inny na wpół świadomy odgłos, na który mógłbym odpowiedzieć. Birgit jednak milczała. Jechałem dalej, całkowicie pochłonięty obsesją, oszalały za sprawą jej milczącej obecności, ale coraz bardziej zadowolony z tego, co robiliśmy. Pośród monotonii niemal opustoszałej autostrady mogłem udawać, że Birgit i ja jesteśmy sami w furgonetce, że Joe już nam nie towarzyszy, że ona i ja uciekamy tylko we dwoje, jadąc przez ciepłą europejską noc do jakiegoś romantycznego celu.

Zacząłem tęsknie wyczekiwać kolejnych samochodów nadjeżdżających z naprzeciwka i zalewających nas powodzią światła. Za każdym razem, gdy tak się działo, odwracałem się w stronę Birgit i dostrzegałem, że na mnie patrzy. Miała poważne i spokojne spojrzenie; szukała mojego wzroku, żeby przekazać mi jakąś niewypowiedzianą osobistą wiadomość.

Powoli minęło kilka godzin ciemności, aż w końcu migoczące

światło pojawiło się w chmurach nad wschodnim horyzontem. Birgit zauważyła nadchodzący świt w tej samej chwili co ja, jakby zdając sobie sprawę, że intymność nocy przeminie wraz z nadejściem dnia. Przybliżyła się jeszcze bardziej i położyła dłoń na mojej dłoni, którą trzymałem kierownicę.

– JL, bardzo się cieszę, że jestem tutaj z tobą i Joem – powiedziała po angielsku.

Odpowiedziałem uśmiechem, nie chcąc nic mówić, żeby nie wywołać reakcji Joego, który znajdował się tuż za mną. Żeby się jej przyjrzeć, już nie potrzebowałem świateł przejeżdżającego samochodu. Uśmiechała się; konspiracyjny błysk w jej oczach, gdy spoglądała w stronę Joego, jakby potwierdzał, że również nie chce go w to angażować.

Nie zabrała ręki z mojej dłoni. Jechałem dalej, najrówniej jak potrafiłem, na północny zachód, ku Hamburgowi, rozkoszując się każdą sekundą tej długotrwałej intymnej więzi z dziewczyną, którą uważałem za najładniejszą na świecie. Stopniowo nastawał poranek.

Obudzono mnie o 6.30 w moim pokoju w kasynie oficerskim w bazie RAF-u w Norholt. Spałem niecałe trzy godziny. Zmusiłem się, żeby wstać, zataczając się z niewyspania, walcząc z potrzebą pozostania w łóżku jeszcze przez kilka minut. Wziąłem prysznic, ogoliłem się i ubrałem, potykając się, upuszczając przedmioty, ziewając. Byłem zeszywniały ze zmęczenia i bolała mnie noga. Na śniadanie dostałem typową rację przeznaczoną dla oficerów wycofanych z czynnej służby: tyle tostów, ile miałem ochotę zjeść, posmarowanych żółtą mazią, którą w kantynie nazywano masłem, ale która smakowała rybami i podobno była rafinowana z zawartości misek olejowych trawlerów.

Samochód już na mnie czekał przed kantyną. Był to duży czarny ri-ley z herbem Izby Gmin na drzwiach. WAAF-ka, która pełniła funkcję kierowcy – inna niż poprzednio – stała obok drzwi po stronie pasażera. Kiedy się zbliżyłem, stanęła na baczność, szybko zasalutowała i przytrzymała dla mnie drzwi. Zaczęło padać: ciepła, ale przygnębiająca mżawka ściekała na drogi i drzewa z nieba w kolorze ołowiu.

Kobieta szybko jechała w stronę centrum Londynu, po mistrzowsku omijając nieliczne napotkane samochody.

To była moja pierwsza wizyta w Londynie od początku 1940 roku, gdy pojechałem tam na tygodniową przepustkę razem z kilkoma innymi żołnierzami z dywizjonu 105. Spędziliśmy dwie noce w West Endzie, hulając w pubach i nocnych klubach, odpoczywając od tego, co wtedy uznawaliśmy za nieopisany wojenny koszmar. Jak większość ludzi nie mieliśmy pojęcia, co się wydarzy w ciągu kolejnych kilku tygodni. Po inwazji na Francję i Niderlandy Niemcy mogły rozmieścić swoje bombowce

niedaleko brytyjskiego wybrzeża. Nagle wszystkie duże miasta w Wielkiej Brytanii znalazły się w zasięgu ich nalotów. Dla większości ludzi wojna zmieniła się z nerwowego okresu odległych potyczek w bitwę, w której stanęli w pierwszym szeregu. Conocne naloty w ramach kampanii Blitz rozpoczęły się w pierwszym tygodniu września 1940 roku i trwały niemal bez przerwy przez osiem miesięcy. Najbardziej ucierpiał Londyn, ale co najmniej raz zaatakowano niemal każde prowincjonalne miasteczko. W listopadzie ofiary wśród cywilów i ratowników liczone na tysiące. Jedną z ofiar był mój brat Joe – zginął, gdy karetka Czerwonego Krzyża, którą prowadził w Londynie, została trafiona bombą. Mimo upływu wielu miesięcy, wciąż nie uporałem się ze wstrząsem po tej stracie.

Dzisiaj odwiedzałem Londyn po raz pierwszy od rozpoczęcia Blitzu. Wyglądałem z samochodu w drodze do centrum, oszołomiony skalą zniszczeń. Wszyscy w Wielkiej Brytanii wiedzieli, że stolica w zimie mocno ucierpiała. Mimo że treść gazet była kontrolowana przez rządowych nadzorców, żeby nie informować ani nie zachęcać wrogów, większość ludzi dosyć dobrze wiedziała, co się dzieje. Cotygodniowe kroniki w kinach były pełne płomieni, dymu, wypatroszonych i walących się budynków, wijących się węży strażackich na drogach i strumieni wody miotanych w stronę pożarów.

Jednakże oglądanie tych zniszczeń na własne oczy było przerażające. Kiedy jechaliśmy Western Avenue, widziałem kolejne ulice, przy których domy zostały rozbite na kawałki, a buldożery usypały sterty gruzu złożone z cegieł, gipsu i poszarpanych belek zwęglonego drewna. W Acton widziałem ulicę, która została zniszczona w całości: pozostało po niej tylko nierówne, pofałdowane morze strzaskanych cegieł i innego gruzu. Wszędzie wokół zauważałem porozbijane okna, nawet tam, gdzie nie było innych widocznych zniszczeń. W powietrzu unosił się wszechobecny ohydny smród: mieszanka woni kanalizacji, dymu, kredy, oleju, sadzy i gazu. Na głównej ulicy w wielu miejscach ziały kratery pozostałe po wybuchach albo

naprawach wodociągów, instalacji elektrycznej, linii telefonicznych, rur z gazem lub kanalizacji. W kilku miejscach, gdzie zniszczenia były najpoważniejsze, a zbombardowane budynki przechylały się groźnie, czekając na wyburzenie, policja porozstawiała tablice i porozciągała taśmy ostrzegawcze, żeby nie dopuszczać przechodniów do miejsc, w których chodniki lub ulice zostały osłabione. Wciąż padał słaby deszcz, który pokrywał szyby samochodu błotnistymi strużkami oraz tworzył płytkie obszary zalewowe na ulicach i chodnikach.

Zatrzymała nas duża ciężarówka blokująca przejazd. Otoczona przez grupę robotników, powoli cofała się w głąb jednej ze stref bombardowań. Przyglądałem się tej ponurej scenie, strzaskanym cegłom i rurom leżącym w błotnistych kałużach, kawałkom brudnego zwęglonego drewna, połamanym i zmiądzonym przedmiotom domowego użytku, żalonym resztkom tapety widocznym na ocalałych ścianach wewnętrznych. Próbowałem sobie wyobrazić, jak ta ulica wyglądała przed wojną, kiedy było na niej pełno domów zamieszkałych przez zwyczajnych ludzi, którzy wiedli bezpieczne życie, martwili się o pieniądze, pracę i swoje dzieci, ale nigdy nie spodziewali się najgorszego – że pewnej nocy ich dom i wszystkie okoliczne domy rozpadną się pod uderzeniami niemieckich bomb albo spłoną od fosforowych ładunków zapalających.

Usiłowałem sobie również wyobrazić, co byli mieszkańcy tej ulicy myśleli o ludziach, którzy pod osłoną nocy zbombardowali ich domy, o lotnikach z Luftwaffe. Z pewnością przepęłniała ich furia, a także frustracja, że nie mogą się bronić.

Wzdrygnąłem się na tę myśl. Prasa zazwyczaj przedstawiała załogi Luftwaffe jako fanatycznych nazistów, Hunów, szkopów, stosując skrótowe hasła na określenie wroga, którego nie sposób zrozumieć, ale rozsądek podpowiadał mi, że większość niemieckich lotników nie różniła się zbytnio ode mnie i moich młodych towarzyszy. Nasze naloty na Bremę, Hamburg, Berlin, Kilonię czy Kolonię wyglądały tak samo jak misje, które przywiodły niemieckie bombowce nad Acton i Shepherds Bush.

Dzisiaj w Hamburgu, w miejscach, w których spadły bomby burzące, niewątpliwie również było pełno gruzu, popękanych rur z wodą i bezdomnych dzieci.

Ale z pewnością jest jakaś różnica? Zmorą niemieckich nalotów była masowość; bomby spadały na każdą część atakowanego miasta. Kobiety i dzieci były równie zagrożone śmiercią i zranieniem jak żołnierze, a nawet bardziej, gdyż w miastach jest pełno cywilów. Z kolei przekonywano nas, że brytyjskie naloty na niemieckie miasta były dokładnie zaplanowane i skierowane przeciwko starannie wybranym wojskowym celom, oddalonym od skupisk ludności cywilnej.

Wojny nie da się toczyć bez kłamstw. Znałem przynębiającą rzeczywistość bombardowań prowadzonych przez RAF. Osobiście przekonałem się, że nie sposób dokładnie trafić w cel przesłonięty chmurami lub dymem. Pamiętałem, że w ciemnościach załogi miały kłopoty ze znalezieniem właściwego miasta, a co dopiero konkretnego celu: elektrowni, obozu wojskowego czy fabryki broni. Próbowaliśmy unikać ognia dział przeciwlotniczych, zachowując przy tym zimną krew, nasłuchując przez interkom przerażonych głosów swoich towarzyszy, wiedząc, że czasami pod wpływem paniki bomby zrzuca się za wcześniej albo na oślep, gdy nie uda się znaleźć celu, a sfrustrowani lotnicy dochodzą do wniosku, że lepiej zbombardować cokolwiek niemieckiego – nawet niemieckie pole – niż wrócić do domu z pełnym ładunkiem niewykorzystanej broni.

Opuściliśmy przedmieścia, mijając stadion White City, a następnie skręciliśmy na południe w stronę Holland Parku, kierując się ku części centralnego Londynu położonej w pobliżu rzeki. Natura zniszczeń uległa wyraźnej zmianie. Podczas gdy na przedmieściach najwyraźniej nikt nie starał się uprzątnąć gruzów, w centrum miasta, gdzie skupiło się kilka nalotów, włożono dużo wysiłku w oczyszczenie ulic. W najbardziej dotkniętych miejscach widziałem luki w rzędach budynków, a podziurawione ulice naprawiono i wygładzono. Jak okiem

sięgnąć piętrzyły się worki z piaskiem zasłaniające wejścia do budynków i schronów, a szyby pokryto skrzyżowanymi paskami taśmy klejącej, żeby uchronić się przed pokaleczeniem odłamkami szkła. Wszędzie widniały napisy wskazujące drogę do schronów przeciwlotniczych; wymalowano je na murach i wypisano na tekturowych tabliczkach przyklejonych do sklepowych witryn.

Pod pewnymi względami życie w Londynie toczyło się tak samo jak przed wojną: ulicami jeździło wiele czerwonych autobusów piętrowych, a także sporo taksówek. Nie licząc ogólnego braku samochodów, niektóre części miasta wyglądały tak, jakby nic się w nich nie zmieniło. Oczywiście było to złudzenie, ponieważ, gdy tylko uwierzyłeś, że patrzysz na fragment Londynu oszczędzony przez bombowce, za najbliższym rogiem napotykałeś kolejne spalone ruiny, kolejną lukę, kolejną pośpiesznie wzniesioną drewnianą fasadę, za którą kryły się gruzy. Skala zniszczeń mnie zaszokowała: ruiny ciągnęły się całymi milami i wydawało się, że ucierpiała każda część Londynu.

Ze wstydem przypominałem sobie noc, kiedy wysłano nas z misją zbombardowania Münsteru, trudnego do znalezienia miasteczka. Kiedy wreszcie je zlokalizowaliśmy, okazało się, że niebo jest silnie zachmurzone. Kończyło nam się paliwo, więc rzuciliśmy bomby na oślep przez zasłone chmur, po czym wróciliśmy do domu. Gdzie spadły te bomby, co zniszczyły, ilu ludziom zrujnowały życie?

Minęliśmy Hyde Park Corner, a następnie pojechaliśmy wzdłuż Constitution Hill, obok pałacu Buckingham, który trudno było rozpoznać ze względu na góry worków z piaskiem zakrywające wszystkie drzwi i okna. Green Park rozciągający się po lewej stronie wyglądał dziwnie: dużą część otwartego terenu zaorano i obsadzono warzywami, ale widziałem także regularnie rozstawione działa przeciwlotnicze oraz kołowroty do ściągania licznych srebrzystych balonów zaporowych, które unosiły się pięćset stóp nad drzewami.

Skręciliśmy w The Mail, gdzie kolejne działa przeciwlotnicze zwracały się ku niebu po obu stronach ulicy pod drzewami porośniętymi zielonymi liśćmi. Poza nami nie było nikogo na drodze. Zrozumiałem, że znalazłem się w części Londynu, którą zamknięto dla ruchu, a mój nowo uzyskany status adiutanta Churchilla pozwala mi dotrzeć do miejsc i ludzi, o których zobaczeniu nie śmiałybym marzyć jeszcze dwa dni wcześniej.

Dom Admiralicji stanowi część potężnego sklepionego przejścia oddzielającego The Mail od Trafalgar Square, a labirynt biur, który mieści się w środku, zapewnia panu Churchillowi londyński punkt dowodzenia znacznie praktyczniejszy dla prowadzenia wojny niż zatłoczone wnętrza budynku przy pobliskiej Downing Street numer 10. WAAF-ka, która nas wiozła, podjechała do tylnego wejścia przy rozległym placu defilad Horse Guards Parade, gdzie w czasach pokoju urządzano widowiska oraz upamiętniano ważne państwowe święta, a podczas wojny zorganizowano olbrzymi skład wojskowych pojazdów, sprzętu i tymczasowych budowli. Nieodłączna bateria dział przeciwlotniczych stała pośród drzew przy St James's Park.

Podszedłem do jedyne go wejścia, jakie zauważyłem, zastanawiając się, co mam zrobić i do kogo powinienem się zgłosić. Zgodnie z rozkazem, miałem jedynie pojawić się w tym budynku o wyznaczonej porze. Ale gdy tylko dokuśtykałem do drzwi, wyszedł mi na spotkanie sierżant, stanął na baczność, zsalutował, szybko sprawdził moją tożsamość, a następnie zaprowadził mnie do pokoju położonego niedaleko głównego wejścia. Tam już czekała na mnie niewielka grupka mężczyzn, zapewne urzędników państwowych, ubranych w garnitury i meloniki, dwaj starsi rangą policjanci oraz dwaj inni oficerowie: kapitan okrętu podwodnego z Królewskiej Marynarki Wojennej i pułkownik gwardii. Wszyscy byli niezwykle serdeczni oraz gościnni i poczęstowali mnie filiżanką herbaty.

Okolo ósmej trzydzieści usłyszeliśmy donośny hałas na korytarzu, po czym minęła nas pośpiesznie grupa mężczyzn i kobiet. Kilka chwil później krępa sylwetka Winstona Churchilla

pojawiła się bezceremonialnie w drzwiach pokoju.

– Dzień dobry, panowie – rzekł, rozglądając się, jakby chciał sprawdzić, czy wszyscy są obecni. – Uporajmy się z tym zadaniem jak najszybciej to możliwe, ponieważ po południu muszę się pojawić w innym miejscu, a wieczorem opuszczam Londyn.

Odwrócił się szybko i wyszedł z pomieszczenia. Podążyliśmy za nim, przepuszczając się nawzajem. Minęło zaledwie kilka godzin od mojego spotkania z panem Churchillem w Chequers. Zanim się pojawił, podejrzewałem, że może mnie osobiście powitać albo zagadnąć na temat pracowitej nocy, jaką obaj mieliśmy. On jednak tylko na mnie zerknął. Zauważyłem, że jak na człowieka w jego wieku, który pracował do rana i, podobnie jak ja, spał najwyżej dwie albo trzy godziny, żeby zdążyć o tak wczesnej porze dotrzeć do centrum Londynu, wyglądał zaskakująco świeżo. Widziałem go tylko w blasku lampek przy biurku – w jasnym świetle poranka jego znajoma, zaokrąglona twarz, tak podobna do buzi niemowlaka, sprawiała wrażenie pełnej wigoru i beztroskiej.

Kiedy wyszliśmy, stał obok pierwszego z trzech samochodów, które na nas czekały. Miał na głowie swój znajomy czarny kapelusz oraz płaszcz i trzymał w dłoni cygaro Double Corona, jeszcze niezapalone. Jak my wszyscy miał na ramieniu torbę z maską gazową. Kiedy urzędnicy i pozostali wojskowi zaczęli się pakować do trzech samochodów, pan Churchill przywołał mnie gestem.

– Pułkowniku, to pana debiut jako mojego adiutanta, prawda? Dzisiaj powinien pan jechać w pierwszym samochodzie. Zapoznać się z sytuacją.

Zajął miejsce z tyłu, a ja do niego dołączyłem. Jeden z urzędników wsiadł za mną i we trzech stłoczyliśmy się na tylnym siedzeniu. Trzymałem swoją laskę między kolanami, zapewne tak samo, jak pan Churchill, z czego nagle zdałem sobie sprawę.

Bez dalszej zwłoki konwój samochodów ruszył z miejsca, okrążył Horse Guards Parade, a następnie przejechał pod

Łukiem Admiralicji na Trafalgar Square, strasząc stado gołębi, które hałaśliwie poderwały się do lotu. Kierowaliśmy się na wschód.

Czułem się niezwykle, siedząc tak blisko, wręcz przyciskając się do tego słynnego i potężnego męża stanu, czując ciepło jego boku i nogi swobodnie opartej o moją nogę, oraz napór jego ciała na zakrętach. Nie odzywał się, opierał dłonie na rączce laski i trzymał w palcach niezapalone cygaro. Wyglądał przez okno po stronie pasażera, najwyraźniej zatopiony w myślach, z dolną wargą ułożoną w znajomy grymas uporu.

Słyszałem, że Churchill zazwyczaj jest rozmowny, więc cisza panująca w samochodzie domagała się przerwania. Co pan Churchill wiedział o mnie i Joem przed naszym spotkaniem i co sprawiło, że jego sztab nas pomylił?

Joe i Birgit zamieszkali na północy Anglii wkrótce po ślubie pod koniec 1936 roku. Wynajęli dom niedaleko Macclesfield u podnóża Penninów po stronie Cheshire, ale po ukończeniu uniwersytetu praktycznie się z nimi nie widywałem. Ostatnio spotkaliśmy się w domu naszych rodziców podczas jednej z moich tygodniowych przepustek. To było w czasie pierwszego wojennego Bożego Narodzenia. Spotkanie skończyło się gorzką kłótnią, po której z wściekłością opuściłem dom, wyprowadzony z równowagi przez nieustępliwą postawę i poglądy Joego, oraz przekonany, niesłusznie, jak się dużo później okazało, że ojciec wziął jego stronę.

Od tamtej pory nie rozmawiałem z Joem: każdy z nas na swój sposób dał się pochłonąć wojnie, ja w bardziej oczywisty sposób, jako że służyłem w RAF-ie. Na początku 1940 roku Joe z powodzeniem zarejestrował się jako obdżektor, a następnie zatrudnił w Czerwonym Krzyżu. Gorzko żałowałem, że nie pogodziliśmy się przed jego śmiercią, ale nie było nam to dane. Większość z tego, co przechodził w ostatnich miesiącach życia, stanowiła dla mnie wielką niewiadomą.

Szosa wiodła przez tereny znacznie bardziej zniszczone podczas bombardowań; obok drogi stało wiele spalonych budynków o

osmalonych ścianach i pustych oknach. Przez ich pozbawione dachów skorupy widziałem niebo. Nie wszystkie zniszczone budynki wciąż stały: wiele wyburzono, a następnie uprzątnięto gruzy, uzyskując nowe drogi dostępu do innych części miasta. Dostrzegłem katedrę św. Pawła, wciąż niemal nienaruszoną, która zasłynęła tym, że przetrwała najgorsze nocne naloty podczas Blitzu. Otaczało ją kilka akrów wyrównanego terenu, zburzonych budynków i stert gruzu zgarniętego przez buldożery.

W końcu się odezwałem.

– Panie Churchill, wczoraj wieczorem wspomniał pan o moim bracie Josephie. Czy mogę spytać, co pan o nim wiedział za jego życia?

Przez chwilę Churchill nie reagował. Wreszcie obrócił się i popatrzył na mnie.

– Przykro mi, pułkowniku. Nie wiem o pańskim bracie niczego poza tym, co powiedziałem panu wczoraj.

– Zasugerował pan, że coś o nim wiedział. Twierdził pan, że pański sztab nas ze sobą mylił.

Churchill ponownie wyrżał przez okno, nie kłopotując się odpowiedzią.

Niespodziewanie odezwał się mężczyzna siedzący obok mnie, zapewne członek sztabu Churchilla.

– Pułkowniku Sawyer, właśnie mijamy budynek Bank of England. Jak pan widzi, nie został uszkodzony. A teraz Mansion House. Z pewnością zobaczy pan, że im bliżej doków, tym większe zniszczenia.

Grzecznie pokiwałem głową. Odpowiedź premiera raczej mnie podrażniła, niż zaspokoiliła moją ciekawość. Przecież podczas naszego krótkiego spotkania nie powiedział mi niczego na temat mojego brata.

– Czy to pańska pierwsza wizyta w Londynie od czasu nalotów? – dopytywał mój sąsiad.

– Tak... pierwsza.

– Zapewne zniszczenia wydają się panu przerażające. Czy dobrze usłyszałem, że pański brat zginął na służbie?

– Niezupełnie – odparłem roztargnionym głosem. – Nie na służbie. Był cywilem.

– Przykro mi to słyszeć. Mój brat jest w Królewskiej Marynarce Wojennej. Dowodzi niszczycielem pływającym w konwojach na Atlantyku. Czasami to paskudna robota.

– Podobno.

– Czy kiedykolwiek wykonywał pan misje we współpracy z marynarką, pułkowniku? Mój brat ma wysokie mniemanie o RAF-ie.

– Nie mam związków z formacją morską – odparłem. – Nigdy nie współpracowałem z marynarką.

– Muszę pana przedstawić głównodowodzącemu na zachodnich wodach. To dobry człowiek. Z pewnością bardzo chętnie pana pozna. Proszę popatrzeć – rzekł, wskazując na kolejne pole gruzów za oknem od strony premiera. – Tower Bridge nadal stoi. Luftwaffe wykorzystuje go jako punkt celowania. Kierują się na doki, wykorzystując rzekę, a kiedy widzą most, już wiedzą, gdzie są. Gdyby chcieli, mogliby go zburzyć, ale zapewne w całości jest dla nich bardziej użyteczny.

Potok słów ze strony mojego sąsiada trwał, uniemożliwiając mi dopytanie pana Churchilla, co wiedział o Joem.

Kiedy minęliśmy centrum, zniszczenia stały się jeszcze widoczniejsze, a ulica w pewnej chwili zwężyła się do pojedynczego pasa wijącego się pomiędzy dwiema ogromnymi stertami gruzu. Policjanci przepuścili nasz konwój. Zasalutowali premierowi, gdy nasz samochód ich mijał. Potem przecięliśmy Mile End Road – towarzyszący mi urzędnik nie omieszkał mnie o tym poinformować – a następnie pojechaliśmy węższą ulicą prowadzącą do rzeki. Tutaj samochód łagodnie się zatrzymał. Pozostałe dwa auta stanęły za nami.

Dwaj nieumundurowani policjanci wyszli z jednego z nienaruszonych budynków stojących z boku i razem z kobietą kierującą naszym samochodem zdjęli składany dach i wsunęli go do specjalnego schowka z tyłu auta.

Premier spokojnie przyglądał się tej operacji. Kiedy kobieta

ponownie usiadła za kierownicą, wstał, przytrzymując się długiej metalowej poręczy z przodu kabiny.

– Panowie, zazwyczaj pozwalam wam zdecydować, czy chcecie stać ze mną, czy pozostać na swoich miejscach – rzekł. – Ze względu na dzisiejszą pogodę, przed którą i tak nie ma ucieczki, być może zechcecie stanąć u mego boku. Prawdę mówiąc, na krótkich dystansach na stojąco jedzie się wygodniej. Przekona się pan, pułkowniku, że wystarczy mocno trzymać się poręczy, żeby zachować równowagę.

Urzędnik i ja wstaliśmy, przekonując się, że – zgodnie ze słowami pana Churchilla – trzy osoby mogły wygodnie stać w samochodzie. Churchill zaczął przeszukiwać kieszenie, ale urzędnik go uprzedził. Wyjął pudełko zapalek i zapalił jedną, a następnie przytrzymał płomień równo, żeby premier mógł sobie przypalić cygaro.

Churchill dwukrotnie mocno się zaciągnął, obrócił końcówkę cygara w ustach, żeby ją zwilżyć, po czym dał znać, że jest gotowy. Samochód ruszył przed siebie z prędkością około dziesięciu mil na godzinę.

Za nami kolejni adiutanci również wstali w swoich samochodach. Nasza niewielka kawalkada wjechała między zrujnowane domy, magazyny i zabudowania portowe.

Skręciliśmy za róg i zobaczyłem, że Kobięca Służba Ochotnicza postawiła duży namiot, z którego wydawano ciepłe posiłki i napoje. Wokół namiotu kłębił się tłum, ale spora liczba osób stojących na jego obrzeżach spoglądała na nas z wyczekiwaniem. Kiedy nasz samochód pojawił się w zasięgu wzroku, wszyscy zaczęli wiwatować, machać i wznosić entuzjastyczne okrzyki. Ludzie przebywający w namiocie pośpiesznie dołączyli do tłumu. Każdy do nas machał. Niektórzy kurczowo ściskali brytyjskie flagi. Panował nieopisany hałas.

Pan Churchill niezwłocznie uniósł kapelusz, pomachał nim jowialnie i pokazał wszystkim cygaro. Wiwaty rozległy się ze zdwojoną siłą.

– Jesteśmy zniechęceni?! – zawołał.

- NIE! – rozległa się natychmiastowa odpowiedź.
- Pokaż im, Winnie!
- Damy radę!
- Niech pan im nie żałuje, panie Churchill!
- Dajmy szkopom popalić!

Samochód cały czas jechał równym tempem. Mniejszy tłum za namiotem usłyszał hałas i gdy pojawiliśmy się w polu widzenia, znów zapanowało wielkie poruszenie. Pan Churchill machał kapeluszem, posyłał promienne uśmiechy i efektownie zaciągał się cygarem.

- Damy radę! – powiedział głośno.
- Damy radę, psiakrew! – odpowiedzieli.
- Dajmy im szkołę!
- Niech stary Adolf dostanie to, na co zasłużył!
- Boże, chroń Króla!
- Hura!
- Jesteśmy zniechęceni?! – wykrzyknął premier, machając kapeluszem i zaciągając się cygarem.

To trwało przez niemal milę, cały czas po obu stronach ulicy towarzyszyły nam tłumy kontrolowane przez czujnych policjantów, którzy, jak zauważyliśmy, sami też chcieli się przyjrzeć sławnemu gościowi. Dotarliśmy do całkowicie zniszczonej strefy, w której buldożery jeszcze nie zaczęły pracy. Szokowała mnie myśl, że ta pofalowana, strzaskana masa betonowych płyt, porozszczepianych belek, popękanych cegieł, milionów kawałków szkła, dużych kałuż i dorodnych chwastów przebijających się przez gruzy, kiedyś stanowiła mieszkania i miejsca pracy ludzi. Tutaj nie było tłumów, zapewne dlatego, że wszystkie domy leżały w gruzach, więc nikt nie miał powodu, żeby pozostać na miejscu. Staliśmy nadal, w milczeniu przemierzając trasę wyznaczoną na skraju terenu nocnych działań Luftwaffe.

Nasz samochód w końcu wjechał do mniej zniszczonej strefy i zatrzymał się przed wysokim wiktoriańskim gmachem. Nie licząc kilku okien zabitych deskami i wszechobecnych worków z

piaskiem, wydawało się, że budynek nie ucierpiał podczas nalotów. Sztyd niedaleko głównej bramy informował, że to szpital Whitechapel. Oddział umundurowanych policjantów czekał na dziedzińcu, żeby nas powitać. Zasalutowali, kiedy pan Churchill wysiadł. Szybkim krokiem weszliśmy do budynku. Moja zraniona noga po raz pierwszy tego dnia sprawiała mi kłopoty, ale udało mi się dotrzymać kroku. Rozlegał się potężny ryk: ludzie zgromadzili się na dziedzińcu, żeby przywitać premiera, a kolejne setki osób wychylały się ze wszystkich drzwi i okien, machając, pokrzykując i wiwatując.

Pan Churchill uniósł kapelusz, posyłał wkoło uśmiechy, zaciągał się dymem z cygara.

– Jesteśmy zniechęceni?! – wykrzyknął do tłumu.

– NIE!! – wrzasnęli zgromadzeni ludzie, entuzjastycznie wymachując flagami.

Spacerowaliśmy po kolejnych oddziałach, rozmawialiśmy z lekarzami, pielęgniarkami i recepcjonistkami, gawędziliśmy z pacjentami. Pan Churchill spędził najwięcej czasu na oddziale dziecięcym, gdzie spotkał się nie tylko z malcami, ale także z ich rodzicami. Za każdym razem przekazywał tę samą wiadomość, z nielicznymi zmianami: „Doprowadzimy to do końca, nigdy się nie poddamy, pogoniliśmy Hitlera, wytrzymamy wszystko, czym nas zaatakują, a jego czeka kilka niespodzianek”.

Po opuszczeniu szpitala pojechaliśmy do dużej szkoły w Leytonstone, która została bezpośrednio trafiona niemiecką bombą hamowaną. Następnie ruszyliśmy dotkliwie zbombardowaną High Road w Leyton, wzdłuż której zgromadziły się tłumy. Wszędzie, gdzie pojawiali się ludzie, Churchill powtarzał swój występ z kapeluszem, uśmiechem i cygarem.

W porze lunchu wróciliśmy do Domu Admiralicji. Pan Churchill tylko skinął głową i bez słowa podziękowania pośpiesznie wszedł do olbrzymiego budynku. Byłem wyczerpany po poranku wypełnionym hałasem i długimi wędrówkami pośród tłumów. Pan Churchill do końca pozostał żwawy i pełen energii. Zjadłem

lekki lunch w towarzystwie pozostałych adiutantów; potem pojawiły się samochody, które miały nas odwieźć do domu. Poszedłem do swojego pokoju w Northolt i od razu zasnąłem.

Nazajutrz nie czekały na mnie żadne obowiązki, ale następnego dnia ponownie zostałem wezwany do Domu Admiralicji. Tym razem pan Churchill wybrał się na południe od rzeki, do dzielnic Southwark i Waterloo, które mocno ucierpiały podczas nalotu pod koniec kwietnia. Kolejnego dnia wróciliśmy do East Endu i doków. Dwa dni później nasza świta wyruszyła na północ, żeby odwiedzić najbardziej zniszczone części Birmingham, Coventry, Manchesteru i Liverpoolu. Po tygodniu wróciliśmy do Londynu i natychmiast wybraliśmy się do Battersea i Wandsworth.

Służyłem jako adiutant Churchilla przez blisko trzy chaotyczne tygodnie, po których doszedłem do dwóch wniosków dotyczących premiera.

Po pierwsze, zrozumiałem, że jest prawdziwie wybitnym człowiekiem, który potrafi zaszcześcić w ludziach wiarę w niemożliwe: że Hitler może zostać i zostanie pokonany. Tamtego lata 1941 roku Niemcy byli silnie zaangażowani w pierwszą fazę inwazji na Związek Radziecki, chwilowo więc odpuścili Wyspom Brytyjskim. Ale zagrożenie nalotami nie zniknęło, a walki okrętów podwodnych na Atlantyku wkroczyły w najniebezpieczniejszą fazę dla Wielkiej Brytanii. Starcia w Północnej Afryce, które miały się zakończyć po klęsce włoskiej armii, niespodziewanie przybrały nowy, niepokojący obrót, gdy Rommel przejął dowodzenie nad Afriki Korps i szybko ruszył na Egipt i Kanał Sueski. Niemcy okupowali większą część Europy. Związek Radziecki się wycofywał. Żydów przenoszono do gett; obozy zagłady już na nich czekały. Amerykanie wciąż się nie angażowali. Z którejkolwiek strony by na to spojrzeć, Brytyjczycy nie wygrywali wojny, a perspektywy nie były optymistyczne. Churchill jednak nie chciał o tym słyszeć. Wielka Brytania nigdy nie miała wybitniejszego przywódcy w tak niekorzystnym czasie.

Jednakże byłem przekonany o jeszcze jednej, całkowicie

odmiennej kwestii.

Szybko zdałem sobie sprawę z tego, o czym z pewnością wiedzieli także inni adiutanci, chociaż nikt z nas tego nie przyznawał ani o tym nie rozmawiał. Wesoły, charyzmatyczny człowiek, który odwiedzał zbombardowane ulice i domy w londyńskim East Endzie, z uśmiechem przyjmując wiwaty i okrzyki tłumów, dzielnie zaciągając się cygarem i wygłaszając znajome słowa patriotycznej zachęty i buntu, nie był Winstonem Churchillem.

Nie wiem, kim był naprawdę. Fizycznie niemal się nie różnił od Churchilla, ale nie był tym wybitnym człowiekiem. Był sobowtórem, aktorem, opłaconym oszustem.

Wróciłem na swoją uczelnię w Oksfordzie pod koniec września 1936 roku, otoczony aurą bohatera, na krótką chwilę stając się obiektem wielkiego zainteresowania i zaciekawienia. Ale moja sława trwała krótko, ponieważ brąz to nie to samo co złoto, a sportowe osiągnięcia są ulotne, gdy nie udaje się ich powtórzyć. Właśnie to mnie spotkało, ponieważ Joe nie zdradzał zainteresowania powrotem do Oksfordu. Moja kariera jako połowy dwójki bez sternika gwałtownie się zakończyła.

Przez jakiś czas próbowałem znaleźć innego partnera, jednocześnie skupiając się na samotnych treningach, ale bez Joego to nie było to samo. Moje treningi stopniowo stawały się krótsze i rzadsze, aż w końcu podczas mroźnego stycznia 1937 roku całkowicie zarzuciłem wioślarstwo.

Zamiast tego zwróciłem się ku lataniu, swojej kolejnej obsesji, którą wioślarstwo długo spychało w cień. Wstąpiłem do Uniwersyteckiego Dywizjonu Lotniczego, kiedy tylko rozpocząłem naukę na pierwszym roku, i nawet podczas wielomiesięcznych intensywnych treningów przed igrzyskami olimpijskimi udawało mi się odbywać wymagane loty treningowe z dywizjonem. Po igrzyskach spędzałem coraz więcej czasu w powietrzu, zaniedbując studia. Wszyscy w Brasenose College wiedzieli, że jestem w Oksfordzie ze względu na swoje osiągnięcia sportowe, a nie akademicki geniusz, ale teraz byłem członkiem wioślarskiej reprezentacji, który przerwał karierę. Latanie nie było prawdziwym zastępstwem, dlatego niechętnie zwróciłem się ku książkom. Ukończyłem naukę w Oksfordzie w lipcu 1938 roku, uzyskując honorowy stopień naukowy trzeciej klasy z historii i literatury niemieckiej.

Chociaż byłem oficerem przybocznym w Uniwersyteckim

Dywizjonie Lotniczym, złożyłem wniosek o przyjęcie do Królewskich Sił Powietrznych, zamierzając zostać pilotem myśliwca. Spędziłem samodzielnie w powietrzu wiele godzin i miałem uprawnienia do pilotowania jednosilnikowego samolotu. Wydawało mi się, że posiadam naturalną agresję oraz refleks niezbędne pilotowi myśliwca, i oczekiwałem, że do RAF-u zostaną przyjęty z otwartymi rękami.

Oczywiście nic nie jest takie proste. Po pierwszym badaniu lekarskim usłyszałem, że fizycznie nie nadaję się do latania myśliwcem: byłem zbyt wysoki i masywny, więc nie zmieściłbym się w kokpicie żadnej z maszyn pozostających do dyspozycji wojska. Zamiast tego zwerbowano mnie do bombowców.

Po odbyciu nauki w Cranwell, kolegium oficerskim RAF-u, rozpocząłem praktykę jako porucznik lotnictwa w dywizjonie 105, na pokładzie lekkiego bombowca Blenheim. Gdy we wrześniu 1939 roku wybuchła wojna, dowodziłem własnym samolotem i byłem gotowy do wykonywania zadań bojowych.

Kiedy Niemcy rozpoczęli kampanię Blitz, Wielka Brytania początkowo próbowała odpowiedzieć nalotami na niemieckie cele. Uczestniczyłem w tych działaniach: przydzielono mnie do dywizjonu 148, wyposażonego w Wellingtony, w którym zacząłem latać od końca 1940 roku. Początkowo naszymi celami były francuskie porty okupowane przez nazistów – Brest, Boulogne, Calais, Bordeaux – ale potem coraz częściej posyłano nas na teren Niemiec: do Gelsenkirchen, Emden, Wilhelmshaven, Kolonii, Berlina, Hamburga. Właśnie nad Hamburgiem wszystko się dla mnie skończyło, 10 maja 1941 roku.

Nie widywałem się ze swoim bratem Joem podczas pierwszych miesięcy wojny i nie miałem z nim żadnego kontaktu w okresie, kiedy zginął. Po kłótni podczas świąt Bożego Narodzenia w 1939 nasze drogi się rozeszły. Złorzeczyliśmy sobie nawzajem i nie potrafiliśmy się zrozumieć. W chwili jego śmierci nie byliśmy od siebie bardziej oddaleni niż wcześniej, ale nasza rozłąka sprawiła, że zareagowałem na tę stratę z dodatkową dozą

rozpaczy.

Nasz konflikt tlił się przez lata, od czasu ucieczki z Niemiec razem z Birgit. W praktyce tamta przygoda okazała się mniej efektywna niż się spodziewaliśmy. Kiedy dojechalśmy do Hamburga, udaliśmy się do doków i znaleźliśmy statek, o którym nam powiedziano, szwedzki motorowiec *Storskarv*. Zgłosiliśmy się do biura okrętowego, wciąż nie mając konkretnego planu, jak przemyścić Birgit na pokład, i odkryliśmy, że doktor Sattmann zdołał załatwić wszystko telefonicznie przed naszym przybyciem. Czekaly na nas dokumenty i miejsce na statku. Przekroczyliśmy Morze Północne w luksusowych warunkach, a nasz sprzęt umieszczono w ładowni.

Prawdziwe zamieszanie zaczęło się, kiedy już byliśmy bezpieczni w Wielkiej Brytanii, ale musiało jeszcze minąć nieco czasu, zanim zrozumiałem, co się dzieje.

Statek zawinął do portu po północy. Nasi rodzice czekali w ponurych portowych budynkach w Hull. Powitanie zmieniło się w zjazd rodzinny. Mama i tata cztery lata wcześniej byli na wycieczce w Niemczech i mieszkali w Berlinie u Sattmannów. Kiedy czekaliśmy w posępnej poczekalni, aż nasza furgonetka zostanie wydobyta z ładowni statku, Birgit wręczyła mamie długi list od swoich rodziców. Moja matka przejrzała go i zaczęła płakać. Potem odłożyła list, przeczytawszy tylko fragment, i gwałtownie poweselała. Wszyscy mówili po niemiecku i się obejmowali. Joe opowiedział o kryjówce Birgit i naszej śmiałej ucieczce z Berlina. Czulem się wyłączony z tej rozmowy, coraz wyraźniej zdając sobie sprawę, że większość spraw została zorganizowana bez mojej wiedzy. Zobaczyłem siebie w takim świetle, w jakim zapewne postrzegali mnie inni: Joemu można było powierzyć zadanie wywiezienia Birgit, ale mnie trzymano w niewiedzy.

Zadawałem się obserwowaniem Birgit i rozmyślaniami, w jaki sposób mogę ją zdobyć, skoro już jesteśmy bezpieczni w Wielkiej Brytanii.

Ruszyliśmy w podróż powrotną do Tewkesbury. Joe i Birgit

podróżowali na tylnym siedzeniu samochodu naszych rodziców, podczas gdy ja samotnie prowadziłem furgonetkę ze sprzętem. Przepelniało mnie podniecenie: w głowie natarczywie wirowały mi nadzieje i plany związane z Birgit, fantazje dotyczące miłości i romansu, odbicia jej Joemu i zdobycia dla siebie.

Wszystko to szybko legło w gruzach. Przed upływem trzech miesięcy Birgit wyszła za mąż, ale nie za mnie. Pobrali się z Joem bez rozgłosu w urzędzie w Tewkesbury i tymczasowo wprowadzili do domu moich rodziców. Wtedy już byłem z powrotem w Oksfordzie, zdezorientowany i zaniepokojony swoim życiem, Birgit, Joem, koniecznością porzucenia wioślarstwa, chęcią latania, narastającą presją poważnego zajęcia się studiami. Myślenie o Birgit sprawiało mi zbyt dużo bólu, więc próbowałem wyrzucić ją z głowy.

Wybuch wojny zmienił życie wszystkich. Tak samo jak wielu ludzi, odnalazłem nowy sens życia w uczestnictwie w wojnie, której nie rozpocząłem, nie chciałem i którą ledwie rozumiałem. Wojna upraszcza problemy, usuwając wiele mniejszych trosk i zastępując je poważnymi obawami. Wielu ludzi wręcz ucieszyło się z tej zmiany osobistych priorytetów. Ja również należałem do tej grupy. Przez kraj miała się przetoczyć fala ogromnych społecznych i politycznych zmian, których nie dało się powstrzymać ani zakwestionować. Podobnie jak inni, stanowiłem tylko małą część tego procesu. Wtedy jeszcze nikt nie rozumiał, co się dzieje, chociaż doświadczaliśmy tego każdego dnia. Wiedzieliśmy tylko, że trzeba walczyć z Hitlerem i doprowadzić tę wojnę do końca. Dopiero później mogliśmy popatrzeć na tamte wydarzenia z perspektywy czasu i pojąć, co się wydarzyło i zmieniło.

Zgodnie z regułą, do której wkrótce zacząłem się przyzwyczajać, pierwszy sygnał, że jestem potrzebny ojczyźnie, miał postać telefonu z Ministerstwa Sił Powietrznych. Przebywałem właśnie w kasynie w bazie RAF-u w Northolt, gdzie relaksowałem się z kilkoma innymi oficerami. Mimo że w odróżnieniu od nich nie pełniłem czynnej służby, zaczynałem ich coraz lepiej poznawać. Wojna nauczyła nas wszystkich ostrożności, więc nie licząc najbardziej ogólnych pytań, które zadano mi po przybyciu, nikt nigdy nie próbował się dowiedzieć, czym się naprawdę zajmuję. Dla nich byłem po prostu pułkownikiem lotnictwa zatrudnionym w sztabie, którego przywożono i odwożono służbowymi autami. Teraz znów miało się to wydarzyć.

Steward z kasyna dyskretnie poinformował mnie, że jestem proszony do telefonu. Poszedłem do niewielkiego gabinetu na tyłach budynku, gdzie znajdował się pewien biały aparat.

Przedstawiłem się za pomocą zwyczajowego kodu, a wtedy przekazano mi, że jeszcze tego wieczoru o osiemnastej odbierze mnie samochód. Miałem się spakować na co najmniej dwudniowy pobyt. Wezwanie o tej porze dnia było nietypowe, ale poza tym zadanie nie wydawało się wyjątkowe. Zakładałem, że chodzi o kolejny objazd prowincjonalnych miasteczek.

Poszedłem do swojego pokoju, wykąpałem się, ogoliłem i włożyłem mundur. Samochód z Ministerstwa Sił Powietrznych pojawił się dokładnie za pięć osiemnasta.

Kiedy tylko opuściliśmy bazę i zaczęliśmy się oddalać od Londynu, zgadłem, że ponownie jedziemy do Chequers, ale podróż pośród wieczornych cieni trwała znacznie dłużej, niż się spodziewałem. Gdy dotarliśmy do celu, było już ciemno,

jednakże ponownie zatrzymał nas uzbrojony strażnik strzegący wjazdu do dużej wiejskiej posiadłości.

Kiedy znalazłem się wewnątrz domu, poinformowano mnie, że za chwilę zostanie podana kolacja. Służący zaprowadził mnie do małego pokoju gościnnego, gdzie zostawiłem torbę z ubraniami na zmianę, a następnie odstawił mnie do jadalni, długiej sali wyłożonej panelami i obwieszanej gobelinami, z wysokim sufitem i galerią biegnącą wzdłuż trzech ścian. Przy dwóch długich sąsiadujących stołach siedziała spora grupa ludzi sącących brązową wodnistą zupę. Winston Churchill siedział mniej więcej w połowie długości stołu ustawionego obok olbrzymich zaciemnionych okien i gorączkowo rozmawiał z brodatym mężczyzną po swojej lewej stronie.

Wskazano mi miejsce przy drugim stole. Usiadłem plecami do premiera, ale i tak wyraźnie słyszałem jego głos pomimo ogólnego gwaru. Jako że wszystkie dźwięki w wysokiej sali odbijały się echem, nie potrafiłem wychwycić poszczególnych słów, ale jego znajomego głosu nie dało się pomylić z żadnym innym.

Po kolacji goście przenieśli się do sąsiedniego dużego salonu, gdzie podano drinki. Panowała tam znacznie swobodniejsza atmosfera, mogłem więc dokładnie się przyjrzeć premierowi.

Do tamtej chwili spędziłem wiele godzin w towarzystwie jego sobowtóra. Podobieństwo między oboma mężczyznami było niezwykle. Słynna dziecienna twarz, cienkie włosy, wojownicza szczeka i wywinęta dolna warga, charakterystyczny chód oraz gesty, to wszystko sprawiało, że niemal nie sposób ich było odróżnić. Kiedy przebywaliśmy w miejscu publicznym, uwagę odwracały bardziej oczywiste rekwizyty: wysoki kapelusz, laseczka, muszka, cygaro. Teraz jednak, gdy widziałem prawdziwego Winstona Churchilla, bez trudu dostrzegałem różnice. Premier był nieco drobniejszy, szerszy w pasie, głowę miał niżej osadzoną na ramionach. Obracał nią z pewną manierą, której aktor nie opanował, a podczas rozmowy wyraz jego twarzy stale się zmieniał.

Zacząłem rozmawiać z wysoką, dosyć atrakcyjną kobietą w średnim wieku, która twierdziła, że jest zatrudniona w kancelarii premiera, gdzie co prawda pracuje dla premiera, ale nie podlega mu bezpośrednio. Przyznała, że nigdy wcześniej nie spotkała go osobiście i jest to dla niej duże przeżycie. Poinformowała mnie, że posiadłość, w której się spotkaliśmy, to Ditchley Park w Oxfordshire. Jest to prywatny dom, który pan Churchill czasami wynajmuje na robocze weekendy. Jednym z obowiązków mojej rozmówczynie było organizowanie takich spotkań. Spytała, jaką funkcję pełnię w RAF-ie, a ja pobieżnie zrelacjonowałem jej swoje działania w dywizjonie bombowym. Zdałem sobie sprawę, że nawet tutaj, w tym sanktuarium, mam się na baczności.

Podczas gdy rozmawialiśmy, kilka dziewcząt z Terytorialnej Służby Pomocniczej krążyło po pomieszczeniu, ustawiając fotele i sofy w rzędach. Tymczasem dwie młode panie oficer rozstawiały projektor i ekran. Chociaż opuściłem szpital prawie miesiąc wcześniej i chodziłem bez pomocy laski, szybko się męczyłem, kiedy musiałem stać. Dlatego z wdzięcznością opadłem na jeden z foteli, gotów do obejrzenia przygotowanego filmu. Kobieta z kancelarii premiera usiadła w tym samym rzędzie, ale nie obok mnie. Widziałem, że zaczęła rozmawiać z inną kobietą. Wpatrywałem się w błądy ekran, czekając na rozpoczęcie projekcji. Spodziewałem się jakiejś kroniki filmowej albo filmu informacyjnego, po którym zapewne nastąpi rozmowa bądź wykład.

Nie mogłem się bardziej pomylić. Kiedy wszyscy już usiedli – pan Churchill dumnie zajął samodzielne miejsce na sofie w pierwszym rzędzie, mając pod ręką dużą popielniczkę, karafkę z whisky, wodę oraz szklankę – jedna z dziewcząt z TSP uruchomiła projektor i zaczął się film. Okazało się, że jest to komedia „Lady Eve” z Barbarą Stanwyck i Henrym Fondą. Rozsiadłem się wygodniej, zauważając, że premier, który był ode mnie oddalony zaledwie o kilka stóp, podczas wyświetlania filmu cały czas się uśmiechał. Obłoki dymu z cygara kłębiły się w snopie światła z projektora. Gdy film się skończył, pan Churchill

jako pierwszy zaczął klaskać.

Kiedy zapaliły się światła, wielu gości zaczęło się rozchodzić. Poruszyłem się niepewnie, zastanawiając się, po co mnie zaproszono. Czy mam się spotkać z premierem, czy też biorę udział w weekendowym przyjęciu jak wszyscy pozostali? Wahałem się, czekając, aż część ludzi opuści salę.

Churchill do mnie podszedł. Miał na nosie okulary o okrągłych szklach, w których odbijały się lampy na suficie.

– Pułkowniku Sawyer! – rzekł. – Zamierzamy w przyszłym tygodniu ponownie przydzielić pana do pańskiego dywizjonu. Mniemam, że wciąż pan tego pragnie?

– Tak jest, panie premierze.

– Cóż, wszystko w pańskich rękach. Słyszałem, że nad Niemcami robi się coraz bardziej niebezpiecznie. Właśnie otrzymałem bardzo niepokojący raport dotyczący zestrzeleń naszych bombowców w ostatnim miesiącu. Jeżeli pan chce, moglibyśmy znaleźć panu stałą pracę w sztabie Ministerstwa Sił Powietrznych. Już się pan przysłużył ojczyźnie, więc nie musi się pan niczego obawiać.

– Myślę, że wolałbym latać, panie premierze.

– Cóż, popieram pańskie stanowisko, pułkowniku. Szanuję tę decyzję, ale gdyby zmienił pan zdanie, to proszę powiadomić moje biuro, a coś wymyślimy. – Zaczęliśmy rozmawiać na środku pomieszczenia, ale potem premier poprowadził mnie pod jedną ze ścian, z dala od pozostałych osób. – Zanim pan wróci do swojego dywizjonu, pragnę, żeby pan wykonał dla mnie jeszcze jedno zadanie. Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało bardziej dramatycznie niż powinno, ale doszedłem do wniosku, że im mniej będzie pan wiedział z wyprzedzeniem, tym łatwiej będzie panu wyciągnąć rozsądne wnioski dotyczące tego, czego pan się dowie.

– W porządku, panie premierze.

– Na miejscu proszę się jak najwięcej porozumiewać po angielsku, chociaż pańska znajomość niemieckiego okaże się bezcenna. Po śniadaniu zabierze pana stąd samochód. Proszę

jedynie, żeby wyrobił pan sobie zdanie na temat tego, co się wydarzy, a potem jak najszybciej złożył mi pełny pisemny raport. Niech pan nie pominie żadnych szczegółów. Proszę podzielić się swoimi spostrzeżeniami, niezależnie od ich treści. Bardzo zależy mi na pańskiej perspektywie, nawet jeśli wyda się panu, że przekazuje mi trywialne informacje. Rozumiemy się? Zależy mi na czasie, więc w miarę możliwości chciałbym zapoznać się z pańskim raportem do końca tygodnia.

– Tak jest – odparłem.

W ciągu kilku sekund, których potrzebowałem, żeby zaczerpnąć tchu i wypowiedzieć te dwie sylaby, pan Churchill odwrócił się i ruszył w stronę wewnętrznych drzwi po przeciwległej stronie pomieszczenia.

Następnego ranka, wciąż zeszytniały i na wpół śpiący, a także ociężały po ciężkostrawnym śniadaniu złożonym z żółtego proszku, z którego przyrządzono coś, co tylko częściowo przypominało jajecznicę, zająłem miejsce na tylnym siedzeniu kolejnego samochodu z Ministerstwa Sił Powietrznych, który powiózł mnie zadrzewionymi drogami Oxfordshire. Otworzyłem okno i z wdzięcznością zaczerpnąłem powietrza. Był mglisty poranek, który później miał się zmienić w upalny dzień, ale wczesny chłód zapowiadał jesień, od której dzieliły nas nieliczne tygodnie. Myślałem o tym, co pan Churchill powiedział o moim powrocie do czynnej służby, zastanawiając się, co przyniesie zima, dokąd mogę zostać posłany i czy dożyję jej końca. Zimowe noce stanowią otwarty sezon polowań dla bombowców i ich wrogów: wielogodzinne ciemności umożliwiają długie loty nad niemieckim terytorium, a po drodze często spotyka się nocne myśliwce. Myśl o ryzyku działała na mnie jak woń niebezpiecznego środka odurzającego. Perspektywa śmierci stale mi towarzyszyła, ale zazwyczaj była odpowiednio daleka. Chciałem żyć, nie chciałem odnieść kolejnych obrażeń, ale jednocześnie rozpaczliwie pragnąłem wrócić do pracy, którą dla siebie wybrałem: do samolotów, załogi, pocisków smugowych, przerażającego widoku wrogiego miasta, które zmieniało się w

ogniste piekło kilka tysięcy stóp pode mną. Dopóki wojna trwała, wszystko inne schodziło na drugi plan.

Po opuszczeniu Ditchley Park jechaliśmy przez mniej więcej godzinę. Nie zwracałem szczególnej uwagi na trasę, pochłonięty przez inne zmartwienia. Nie licząc kryptonimu, którym określono mój cel – nazwa „Obóz Z” widniała na moim nowym identyfikatorze, ważnym przez kolejne dziewięćdziesiąt sześć godzin – nie miałem pojęcia, dokąd mnie wiozą. Po położeniu słońca zorientowałem się, że zawróciliśmy w stronę Londynu, chociaż jechaliśmy południową trasą.

Właśnie przejeżdżaliśmy przez zalesiony teren, gdzie wysokie drzewa iglaste ocieniały drogę, gdy zauważyłem, że kierująca kobieta rozgląda się, jakby szukała jakiegoś charakterystycznego punktu, o którym jej powiedziano. Samochód zwolnił. Minęliśmy krótką wiejską ulicę, przy której stały domki, sklepy, warsztat samochodowy, pub i kościół. Na szyldzie nad wejściem do sklepu wielobranżowego wymalowano nazwisko właścicieli: „A. Norbury i synowie”, pod spodem zaś widniał mniejszy napis: „Urząd Pocztowy Mytchett”. Jeśli wioska tak się nazywała, to nic mi ta nazwa nie mówiła, ale po chwili dotarliśmy do nieogrodzonego podjazdu, gdzie na ceglany słupie widniał wyblakły napis „Mytchett Place”.

Dalej znajdował się znajomy posterunek strażnika, chociaż w tym wypadku towarzyszyła mu wysoka metalowa brama zwieńczona zwojami drutu kolczastego. Solidne ogrodzenie, również zabezpieczone gęstym drutem kolczastym, zniknęło pośród okolicznych drzew i zarośli.

Wręczyłem sierżantowi swoje dokumenty wraz z zapieczętowaną kopertą, którą otrzymałem od członka sztabu Churchilla, zanim rano opuściłem Ditchley Park. Sierżant nie otworzył koperty, tylko zaniósł ją do stróżówki. Po chwili zobaczyłem, że rozmawia z kimś przez telefon.

Siedziałem w samochodzie razem z kierowcą, a silnik gładko pracował na jałowym biegu.

Po mniej więcej pięciu minutach zobaczyłem młodego oficera

gwardii, który pośpiesznie szedł w naszą stronę podjazdem. Zerknął w stronę samochodu, szybko, ale grzecznie zasalutował, a następnie dołączył do sierżanta w stróżówce. Po kilku chwilach wyszedł, trzymając w dłoni kopertę.

Podszedł do samochodu, ponownie zasalutował i nachylił się w moją stronę.

– Pułkownik Sawyer?

– Tak – odpowiedziałem.

– Dzień dobry. Oczekiwaliśmy pana. Kapitan Alistair Parkes, Brygada Gwardii.

– Miło mi pana poznać, kapitanie Parkes.

Wystawiłem rękę przez otwarte okno i uścisnęliśmy sobie dłonie. Następnie otworzyłem drzwi i wysiadłem.

– Podejdźmy do domu – rzekł kapitan Parkes. – Pański kierowca może tutaj poczekać. Dzięki temu będziemy mieli okazję porozmawiać, zanim pana odprowadzę. – Wsunął mój list uwierzytelniający do kieszeni i ruszył gruntową dróżką, która biegła między drzewami mniej więcej równolegle do głównego podjazdu. Kiedy znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu, powiedział: – [Mówi pan po niemiecku, szanowny panie?].

– [Owszem] – odrzekłem.

– [Mówimy do jeńca po angielsku, częściowo dla zasady, ale także dlatego, że wiele wskazuje, że rozumie ten język lepiej niż jest skłonny przyznać. Nie zaszkodzi mu kilka dodatkowych lekcji, skoro ma z nami spędzić trochę czasu. Czasami jednak nalega na rozmowę wyłącznie po niemiecku, dlatego warto być na to przygotowanym].

– [Mówię biegle po niemiecku] – odparłem i wspomniałem o swojej matce.

Kapitan Parkes najwyraźniej założył, że wiem o tym niemieckojęzycznym jeńcu tyle samo co on, ponieważ nic więcej nie dodał na jego temat.

– [Mnie posłano do szkoły w Berlinie, ponieważ ojciec był attaché wojskowym w ambasadzie] – ciągnął. – [W dzieciństwie najłatwiej nauczyć się obcego języka. Nigdy nie przypuszczałem,

że mi się on przyda. A pan?].

Przez chwilę gawędziliśmy po niemiecku o dorastaniu w dwujęzycznej rodzinie, po czym naturalnie przeszliśmy z powrotem na angielski. Idąc przez las, minęliśmy pozycje obronne złożone z wąskich okopów, niewielkiego betonowego bunkra i mnóstwa siatki maskującej. Zauważyłem także kable rozciągnięte pomiędzy drzewami, wskazujące na złożony system komunikacji telefonicznej.

W końcu wyszliśmy z lasu i zobaczyliśmy nieciekawny budynek. Ostatnio moje życie polegało na odwiedzaniu kolejnych dużych wiejskich posiadłości. Wiele wielkich angielskich domów przejęto na czas wojny i wykorzystywano w celach wojskowych; Mytchett Place był wiktoriańskim dworkiem zbudowanym z jasnej cegły i krytym czerwoną dachówką. Jedno skrzydło wyglądało, jakby przydał mu się remont, chociaż główna część domu była w dobrym stanie. Terenem wokół posiadłości od dawna nikt się nie zajmował, więc wszędzie rośla wysoka trawa, a także liczne chwasty. Nierówne pnącza porastały większą część ścian, zakrywając kilka z najniższych okien w zaniedbanym skrzydle. Wokół domu stało kilka tymczasowych budynków, wokół których widać było próby zaprowadzenia porządku i wojskowego ładu. Dostrzegłem kilku żołnierzy pełniących straż.

– Zmagamy się tutaj z kilkoma wyjątkowymi problemami – wyjaśnił kapitan Parkes. – Technicznie jest to obóz dla jeńców wojennych, więc musimy mieć możliwość trzymania naszego jeńca w zamknięciu. Jednocześnie bierzemy pod uwagę możliwość, że ktoś postanowi spróbować go odbić, dlatego musimy być przygotowani także na taki scenariusz. Obowiązują u nas także inne szczególne zasady.

– To znaczy?

– Przez cały okres pobytu będzie pan monitorowany. We wszystkich częściach domu, które pan odwiedzi, zamontowano ukryte mikrofony. Rozmowy są nagrywane. Staramy się wydobyć z niego wszelkie możliwe informacje, dopóki istnieje szansa, że wie o czymś, co może nam się przydać. Poza tym w

budynku przebywa kilku oficerów wywiadu z Ministerstwa Obrony. Spotka się pan z nimi przed rozmową z jeńcem. Przekażą panu wszystko, co musi pan wiedzieć.

Słowa kapitana mnie zaintrygowały, ale nawet wtedy nie starałem się odgadnąć, kim jest ten samotny jeńiec. Zakładałem, że to jakiś wysoki rangą niemiecki oficer, którego trzeba było przesłuchiwać w jego języku. Nie zastanawiałem się, dlaczego ten sympatyczny młody oficer nie może sam podjąć się tego zadania. Ponownie przypomniałem sobie, co zwykł mawiać mój brat Joe: że nie w pełni nawiązuję kontakt z otaczającą mnie rzeczywistością.

Weszliśmy na pierwsze piętro domu, gdzie przedstawiono mnie trzem oficerom wywiadu z Ministerstwa Obrony, którzy tego ranka pełnili służbę. W końcu wprowadzono mnie przez solidne metalowe drzwi na krótki korytarz, którym dotarłem do pomieszczeń zajmowanych przez jeńca. Kiedy wszedłem do pierwszego z dwóch pokoi, mężczyzna leżał na plecach na środku podłogi, rozciągnięty na gołych deskach. Był ubrany w mundur kapitana Luftwaffe. Miał zamknięte oczy i dłonie złożone na piersi.

Przeżyłem szok, gdy odkryłem, że człowiekiem przetrzymywanym w budynku jest zastępca Führera, Rudolf Hess.

Podczas pierwszych dziewięciu miesięcy wojny, do początku maja 1940 roku, zaliczyłem zaledwie jedenaście nalotów na cele wroga. Po niemieckiej inwazji na Francję i Niderlandy zostałem przydzielony do dywizjonu 148, który jeszcze do niedawna latał przestarzałymi bombowcami Fairey Battle nad Francją, odnotowując przerażające straty w ludziach i maszynach. Teraz dywizjon stacjonował w brytyjskim Tealby Moor, gdzie został uzupełniony kadrowo i wyposażony w nocne bombowce Wellington. Chociaż lato 1940 roku było okresem największego zagrożenia dla Wielkiej Brytanii, dywizjon na czas odbudowy został wycofany z linii frontu. Wszyscy nerwowo czekali, żeby wreszcie zrewanżować się Niemcom, ale przez kilka tygodni dywizjon, do którego zostałem przydzielony, nawet nie miał samolotów.

Na początku sierpnia, kiedy uczestniczyłem w nudnym kursie doszkalającym z nocnej nawigacji, otrzymałem list od Birgit.

Ostatnio widziałem się z nią podczas katastrofalnego rodzinnego spotkania w poprzednie Boże Narodzenie, kiedy prawie się do mnie nie odzywała ani nawet nie patrzyła w moją stronę. Nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś się do mnie odezwie, chociaż w maju wysłała do mnie krótki, na wpuł oficjalny list, w którym informowała, że Joe został pobity przez grupę żołnierzy po służbie. Najwyraźniej nie spodobało im się, że nie nosi munduru. Przynajmniej tak to opisała moja matka, gdy do niej zadzwoniłem, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Joe nie odniósł poważnych obrażeń i miał dojść do siebie po krótkim pobycie w szpitalu.

Teraz jednak Birgit znowu do mnie napisała. Gdy wręczono mi jej list podczas codziennego rozdawania korespondencji, nawet

nie rozpoznałem jej pisma na kopercie.

List był krótki i napisany prostą, niemal oficjalną angielszczyzną. Wyczuwałem, że włożyła dużo wysiłku w to, żeby pisać do mnie starannie i poprawnie. Nie wyjaśniając, dlaczego postanowiła napisać właśnie teraz, zapoznała mnie z najnowszymi wydarzeniami w swoim życiu. Stwierdziła, że od ponad trzech lat nie miała kontaktu ze swoimi rodzicami i obawia się, że nie żyją. Próbowała dowiedzieć się, co mogło się z nimi stać, ale wojna niemal uniemożliwiła komunikację z Europą. Kolejnym powiązaniem problemem była wizja internowania przez brytyjskie władze ze względu na to, że Birgit urodziła się w Niemczech. Policja już dwukrotnie ją odwiedziła, ale za każdym razem Joe zdołał przekonać funkcjonariuszy, żeby pozwolili jej zostać w domu. Teraz pojawiło się nowe zagrożenie: Joe został oddelegowany do Londynu, gdzie pracował dla Czerwonego Krzyża, więc nie było go w domu całymi tygodniami. Podróżowanie po kraju było tak utrudnione – ze względu na obawy przed inwazją i związane z nimi przygotowania obronne – że Joe od czasu wyjazdu pojawił się w domu tylko na jeden weekend. Birgit bała się samotności, a z powodu wszystkich wcześniejszych wydarzeń czuła się wyjątkowo bezbronna.

To była cała treść listu: Birgit niczego się nie domagała, niczego nie sugerowała, nie prosiła o pomoc.

Byłem w rozterce. Zdołałem przetrwać jej małżeństwo z Joem, ponieważ je ignorowałem. Oczywiście ostatnia kłótnia z bratem ułatwiła mi sprawę. Birgit wówczas nie zainterweniowała i była żoną Joego, założyłem więc, że popiera go w sprawach, o które spieraliśmy się tamtego wieczoru. Ale to wciąż była Birgit, Miała teraz dwadzieścia kilka lat i, jak widziałem z daleka podczas świątecznego spotkania, dojrzała zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie. Wystarczyło, że o niej pomyślałem, a natychmiast zaczynałem rozpamiętywać, co mogłoby się wydarzyć, gdyby nasze życie potoczyło się inaczej.

A teraz dostałem od niej cały list.

Odpisałem jeszcze tego samego dnia. Ułożyłem list, który miał być przemyślany, pomocny i pełen współczucia, a zarazem wolny od natarczywości.

Na końcu wspomniałem – starając się, żeby zabrzmiało to jak najbardziej obojętnie – że jeśli to w coś pomoże, zapewne mógłbym otrzymać krótką przepustkę i wpaść z wizytą.

Dwa dni później otrzymałem jednozdaniową odpowiedź: „Przyjedź jak najszybciej”.

Natychmiast złożyłem wniosek do dowódcy bazy o czterdziestoosmio- godzinną przepustkę, ale jednocześnie czułem, że powinienem zabezpieczyć się przed porywami serca. Wysłałem do niej również jednozdaniową wiadomość.

„Czy jeśli przyjadę, spotkam się z Joem?”

Nie odpowiedziała. Kiedy tylko otrzymałem przepustkę, wyruszyłem w drogę.

Moje spotkania z Rudolfem Hessem w Mytchett Place trwały trzy dni. Gdy tylko dowiedziałem się, kim jest jeniec, założyłem, że posłano po mnie dlatego, że Hess pamiętał mnie z Berlina albo z jakiegoś innego powodu poprosił o mój przyjazd. Nic bardziej mylnego. Hess chyba mnie w ogóle nie poznawał, traktował mnie podejrzliwie i pierwszego dnia odzywał się do mnie wrogo lub obojętnie.

Jego życie znacznie się zmieniło w ciągu ostatnich pięciu lat. W 1936 roku był jednym z najważniejszych i najgroźniejszych ludzi w Niemczech, ale w Mytchett Place stał się jeńcem wojennym, któremu przysługiwały minimalne wygody i przywileje. Jego swobodny i dominujący styl bycia odszedł w niepamięć. Jeśli Hess w ogóle się odzywał, robił to tylko po to, żeby narzekać na sposób, w jaki jest traktowany, lub wysuwać żądania, których nie mogłem spełnić. Przez większą część pierwszego dnia był ponury oraz milczący, i niechętnie zauważał moją obecność w pomieszczeniu.

Sytuacja polepszyła się drugiego dnia. Chociaż nie wyzbył się podejrzliwości, najwyraźniej zrozumiał, że naprawdę zostałem przysłany przez Churchilla. Tamtego dnia i następnego poczyniłem znacznie większe postępy. Nie była to idealna rozmowa, ze względu na okoliczności, ale kiedy skończyliśmy, miałem poczucie, że uzyskałem ważne informacje dla premiera.

Opuściłem Mytchett Place rankiem czwartego dnia, zaraz po wczesnym śniadaniu. Nie spotkałem się z Hessem ponownie przed wyjazdem. Samochód pomknął w stronę Londynu, wioząc mnie do Domu Admiralicji. Kręciło mi się w głowie od oszałamiającej mieszanki podekscytowania, intrygi, wyczekiwania oraz bardziej prozaicznych wspomnień o

wielogodzinnej niezręcznej nudzie. Niezależnie od okoliczności, Hess stanowił fatalne towarzystwo.

Kiedy tylko oznajmiono moje przybycie do Domu Admiralicji, zostałem zaprowadzony do dwupokojowego gabinetu, który przygotowano dla mnie na ostatnim piętrze budynku. Zrozumiałem, że moje dochodzenie jest traktowane priorytetowo, ponieważ oprócz gabinetu przydzielono mi także sekretarkę oraz tłumacza i obiecano, że archiwiści w bibliotece będą bezzwłocznie spełniali moje żądania. Czując, że wpadłem w świat intryg, który ledwie rozumiałem, spróbowałem zebrać myśli i zapisać je w składnej formie.

Pracowałem solidnie przez kolejne kilka dni, każdego ranka podróżując do centrum Londynu z mojej bazy w Northolt. W tym czasie otrzymałem dwukrotne pytania od premiera, kiedy ukończę raport. Chciał, żebym nie zapomniał, że sprawa jest bardzo pilna.

Nigdy wcześniej nie wykonywałem takiej pracy, dlatego rozsądne uporządkowanie materiałów sprawiało mi duży kłopot. Pierwsza wersja mojego raportu była zbyt długa i źle skomponowana. Szczegółowo odtworzyłem wszystkie spotkania z Hessem, załączając niezredagowane odpisy nagrań z naszych rozmów (przetłumaczone na angielski, gdy rozmawialiśmy po niemiecku) oraz liczne szczegóły i dodatki, które uzyskałem z bibliotecznego archiwum. Starłem się napisać zrozumiałą relację, ostateczny protokół, zestawiając własne obserwacje dotyczące Hessa, z faktami, które znalazłem w archiwach Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Przyglądano mu się tam od lat, a w aktach było pełno informacji.

Panna Victoria MacTyre, sekretarka przydzielona mi z Ministerstwa Wojny, zabrała raport i przekazała go czterem maszynistkom we wspólnej sali na dole. Przepisanie go zajęło im półtora dnia intensywnej pracy, co może dać pewne wyobrażenie o tym, z ilu stron się składał.

Panna MacTyre przyniosła gotowy raport do mojego gabinetu. Kiedy sekretarki pracowały nad tekstem, zdołała przeczytać go w

całości. Szczerze mi pogratulowała i stwierdziła, że w ciągu dwóch lat od wybuchu wojny nie czytała tak ciekawego tekstu. Zauważyła jednak pewien problem.

– Panie pułkowniku, muszę pana ostrzec, że pan Churchill nie przeczyta tego raportu.

– Myślę, że to zrobi. Osobiście zlecił jego przygotowanie i naciskał, żebym dostarczył mu go jak najszybciej.

– Rozumiem, ale kiedy tylko go zobaczy, natychmiast mi go odeśle.

– Dlaczego miałby to zrobić?

– Tekst jest o wiele za długi. Zawiera błyskotliwą analizę tematu i przyznam, że nigdy nie czytałam raportu tak sprawnie powiązanego z innymi materiałami i udokumentowanego, ale prawda jest taka, że pan Churchill nie ma czasu na czytanie tak długich i szczegółowych dokumentów.

– To niesamowicie skomplikowana sprawa – odparłem. – Zanim udałem się do Obozu Z, nie miałem pojęcia o jej licznych wątkach. Nie potraktowałbym tematu poważnie, gdybym pominął połowę informacji.

– Powiem panu, czego oczekuje premier – rzekła panna MacTyre, wykazując się niezwykłą cierpliwością, co dopiero później zrozumiałem. – Potrzebne jest mu zwięzłe i rzetelne podsumowanie najistotniejszych kwestii. Powinien pan uzupełnić raport o szczegółowe dane tam, gdzie to konieczne, ale dodatkowe materiały w miarę możliwości powinny się znaleźć w osobnym raporcie. Urzędnicy dokładnie zapoznają się z tą wersją i zatrzymają ją, jako podstawę dla działań, które postanowi podjąć premier.

Wciąż czując presję oczekiwań pana Churchilla, ponuro wpatrywałem się w grubą stertę zapisanych kartek leżącą na moim biurku i zastanawiałem się, jak mam przerezagować tekst tak beładny i pełen dygresji. Wszelkie informacje, jakie się w nim znalazły, będą potrzebne, gdyż wszystko, czego się dowiedziałem o Rudolffie Hessie miało związek z tym, co odkryłem. Zacząłem przeglądać raport, usiłując zdecydować, jak

mogę wydobyć z niego to, co najistotniejsze.

Panna MacTyre pozwoliła mi przez godzinę samemu zmagać się z problemem, po czym wróciła i szybko zaproponowała rozwiązanie. Przyniosła ze sobą egzemplarz raportu, który admiralicja złożyła w sprawie niepowodzeń kampanii w mieście Narwik na początku 1940 roku. Tekst mieścił się na czterech stronach.

– Jego przygotowanie trwało ponad trzy miesiące – wyjaśniła, kładąc raport na moim biurku. – Pierwotna wersja zajmowała ponad pięćset kartek. Pan Churchill przeczytał pierwsze cztery strony, na których znalazł dokładne streszczenie najważniejszych punktów. Pozostałą część raportu rozdzielono pomiędzy różne departamenty, które musiały wyciągnąć wnioski z doznanych niepowodzeń.

Przejrzałem czterostronicowy raport. Sprawiał wrażenie przystępnego, prostego i bezpośredniego. Składał się z kilku krótkich części, z których każdą poprzedzono pytaniem.

Było to tak praktyczne i oczywiste rozwiązanie, że nie mogłem uwierzyć, że sam na nie nie wpadłem.

– Jak pan wie, pułkowniku, przeczytałam pański raport i zdołałam wydobyć z niego kilka wiodących pytań – stwierdziła panna MacTyre. – Pozwoliłam sobie zaproponować kilka z nich.

Podawała mi kartkę z listą pytań starannie zapisanych na maszynie. Pierwsze brzmiało: „Czy przed przybyciem do Obozu Z znał pan tożsamość jeńca, z którym miał pan rozmawiać?”.

Drugie: „Czy rozpoznał pan jeńca, kiedy się pan z nim spotkał?”.

Trzecie: „Co sprawiło, że pan go rozpoznał?”.

Czwarte: „Jakie pierwsze wrażenie zrobił na panu jeńiec?”.

- Dziękuję – powiedziałem.
 - Może pan pominąć niektóre z nich, jeśli pan chce – odparła.
 - Albo dodać coś od siebie.
 - Ale zapewne niezbyt dużo.
 - Zgadza się, panie pułkowniku.
- Zasiadłem do pracy.

Birgit i Joe mieszkali w wynajętym domu w malutkiej wiosce po zachodniej stronie Penninów, skąd rozciągał się widok na Równinę Cheshire, a także na dużą część Manchesteru na północnym zachodzie. Tyle wiedziałem z opowieści mojej matki. Poza tym znałem tylko adres, który widniał na liście od Birgit.

Pożyczyłem motocykl od Robbie'ego Fincha, innego pilota z dywizjonu 148, zorganizowałem trochę benzyny i popędziłem niemal opustoszałymi drogami przez całą szerokość Anglii. Główna część podróży zajęła mi niecałe dwie godziny, ale spędziłem kolejną godzinę, krążąc wokół wioski, zanim znalazłem dom.

Birgit otworzyła drzwi, a następnie chłodno i grzecznie zaprosiła mnie do środka. Kiedy drzwi się za mną zamknęły, wyciągnąłem w jej stronę ręce. Wymieniliśmy pocałunki w policzek.

– Jest Joe? – spytałem.

– Nie. Nie wiem, gdzie jest.

Odsunęła się, ale posłała mi ośmielający uśmiech. Oprowadziła mnie po domu, który utrzymywała w stanie nieskazitelnej czystości. Było tam wiele pokoi, niektóre pokaźnych rozmiarów i z oszałamiającym widokiem na wiejski krajobraz. Birgit przebudowała jeden z pokoi na górze na pracownię, gdzie znajdowały się stojaki i oszklona szafka na nuty, duży gramofon, radio oraz długa kanapa. Skrzypce leżały w futerale na blacie niskiego kredensu.

Pomimo imponującego rozmiaru dom był w opłakanym stanie. W dachu ziało kilka dziur, okna nie dawały się otworzyć albo starannie zamknąć, klepki podłogowe się wypaczyły, a w niektórych miejscach zaczynały gnić. W domu były bieżąca woda

i prymitywna toaleta, ale bojler zasilany butlą z gazem przestał działać kilka tygodni wcześniej. Budynek nie był ogrzewany. Nie było kuchenki, tylko mała płyta grzejna z dwoma palnikami, również podłączona do butli gazowej. Gdy wędrowałem po kolejnych pomieszczeniach i zauważałem te wszystkie braki, rozmyślałem, jak nieprzyjaźnie musi być tu w zimie. Nawet w ten słoneczny sierpniowy dzień w domu panowały przeciągi i wilgoć.

Birgit wkrótce skończyła mnie oprowadzać i razem zasiedliśmy w kuchni o kamiennej posadzce, żeby napić się herbaty. Skończyła się jej kawa, nad czym bardzo ubolewała.

Mieliśmy wiele spraw do omówienia. Rozmawialiśmy głównie po angielsku i chociaż Birgit serdecznie się do mnie odnosiła, wyraźnie nie zdradzała swoich prawdziwych uczuć. Traktowała mnie jak bliskiego przyjaciela, ale zarazem trzymała na dystans. W moich oczach nigdy nie wyglądała bardziej atrakcyjnie, szczególnie że dostrzegałem u niej oznaki napięcia. Wychudła, a jej twarz często przyjmowała wyraz udręki, ale dla mnie była równie piękna jak zawsze. Jednakże teraz, gdy obok niej siedziałem, było to rzeczywiste piękno, a nie jakieś samotne, tęskne marzenie. Podczas swojej hałaśliwej motocyklowej podróży wyobrażałem sobie nasze namiętne, miłosne powitanie, ale kiedy dotarłem na miejsce, wszystko się zmieniło. Birgit czyniła mnie szczęśliwym, ale było to szczęście wynikające ze wspólnego przebywania, a nie pożądania.

Opowiedziała mi o swoich kłopotach i zmartwieniach: częstych i długotrwałych nieobecnościach Joego, utracie kontaktu z rodzicami, obawach, że zginęli albo trafili do jednego z nazistowskich obozów koncentracyjnych. Jeszcze bardziej nagłaça była jej sytuacja w Anglii. Upłynęło wiele czasu od naszej młodzieńczej przygody, podczas której wywieźliśmy ją z Niemiec, ale tamte wydarzenia stanowiły zapowiedź znacznie większych problemów.

Kiedy wybuchła wojna, niemiecka metryka urodzenia Birgit oznaczała dla niej perspektywę internowania razem z wieloma innymi Niemcami. Tylko fakt, że wyszła za mąż za Brytyjczyka i

przyjęła brytyjskie obywatelstwo, uratował ją przed pierwszą falą zatrzymań. Druga fala, która nastąpiła dwa miesiące później, zbiegła się w czasie z ewakuacją Dunkierki, gdy w kraju krążyły plotki o piątej kolumnie. Birgit ponownie udało się uniknąć internowania, częściowo dzięki interwencji manchesterskiego oddziału Czerwonego Krzyża, dla którego pracował Joe. Małżonkowie zapewnili policję, że Birgit jest w ciąży, chociaż nie była to prawda. Teraz, gdy na południowym wschodzie Anglii codziennie dochodziło do powietrznych bitew, a Niemcy przygotowywali olbrzymią liczbę barek w portach nad Kanałem Angielskim, brytyjskie władze ponownie zarzucały sieć. Birgit coraz bardziej postrzegала Joego jako ostatnią deskę ratunku: dopóki z nią był, mogła liczyć na ochronę. Jednakże praca zmusiła go do wyjazdu do Londynu, skąd rzadko mógł się wyrwać. Birgit żyła z dnia na dzień, czekając na pojawienie się policji.

– Jestem Brytyjką! – rzekła do mnie rozpaczliwie, szlochając. – Stałam się Brytyjką z powodu tego, kim byłam. Kiedy dorastałam... [myślałam, że jestem Niemką, ponieważ właśnie tak siebie postrzegaliśmy, jako niemiecką rodzinę. Zwyczajną niemiecką rodzinę. Urodziłam się jako Żydówka, ale byłam Niemką]. Potem dowiedziałam się, że jestem tylko Żydówką, a nie Niemką. Dlatego przyjechałam do Anglii, żeby uciec przed byciem zarówno Niemką, jak i Żydówką. Ale tutaj też nie jestem Brytyjką, ani nawet Żydówką, tylko znów Niemką! [Uciekłam z Niemiec z powodu tego, co robili naziści. A teraz mam być prześladowana, ponieważ uważają, że jestem niemieckim szpiegiem, nazistką! Jestem zwykłą kobietą, która wyszła za Brytyjczyka. Czy nie mogą mnie zostawić w spokoju?]. Kto będzie się mną opiekował, skoro Joego ciągle nie ma?

Nie potrafiłem odpowiedzieć na te pytania, ale pocieszałem ją jak tylko mogłem.

Przygotowała dla mnie lunch: kanapkę z serem i sałatą, którą uprawiała w ogródku.

Później powiedziała:

- JL, chciałabym cię prosić o przysługę. Bardzo dużą przysługę.
- O co chodzi?

Wtedy zamknęła się w sobie i nie chciała odpowiedzieć. Nie musiała pytać, ponieważ dla Birgit byłem gotów zrobić wszystko. Kilka minut później podjęła wątek, najpierw tłumacząc, że mówi o tym niechętnie, gdyż nie chce, żebym pomyślał, że tylko dlatego cieszy się z naszego spotkania. Zapewniłem ją, że tak nie pomyślę. Wreszcie zdobyła się na odwagę.

– Chciałabym, żebyś przeszedł się ze mną po wiosce, żeby wszyscy nas razem zobaczyli. Chcę, żeby zobaczyli ciebie i pomyśleli, że widzą Joego. Zgodzisz się?

– Chcesz, żebym udawał Joego?

– To tylko krótki spacer – nalegała. – Wzdłuż ulicy, obok domów, żeby ludzie zobaczyli, że nie jestem sama. Zrobisz to dla mnie?

Żadna przysługa nie była zbyt duża, gdy chodziło o Birgit.

Jednakże w mundurze RAF-u nie mogłem odgrywać roli Joego, więc musiałem się przebrać w jego ubranie. Birgit już wybrała i przygotowała strój, co dowodziło, że wcześniej to wszystko zaplanowała.

Kiedy wyszliśmy na ulicę, ujęła mnie pod rękę i delikatnie zacisnęła palce na moim łokciu. Przytuliła się do mnie czule. Szliśmy powoli w blasku słońca, rozglądając się po okolicy. Lekki nacisk jej dłoni był jak jaśniejące piętno. Spacerowanie z tą cudowną kobietą, wyczuwanie jej czułego dotyku, bliskości, patrzenie na jej uśmiech, było dla mnie spełnieniem marzeń, mimo że byłem tylko uzurpatorem. Zwolniłem kroku, pragnąc jak najbardziej przedłużyć nasz niewinny cielesny kontakt. Jeśli taka bliskość wymaga, bym zmienił się w Joego, to będę nim tak długo, jak to będzie konieczne.

Kiedy wróciliśmy do domu, schowaliśmy mój pożyczony motocykl i umówiliśmy się, w jaki sposób w przyszłości mam przyjeżdżać do wioski. Zgodziliśmy się, że jeśli nie będę się pojawiał nocą, powinienem przed przybyciem przebierać się w cywilny strój, a następnie pokazywać się w nim razem z Birgit,

w domu albo w ogrodzie. Niewypowiedziane założenia, na których opierał się ten plan, wywołały we mnie dreszcz oczekiwania.

Wieczorem Birgit zagrała dla mnie serenadę Mozarta, fragment z Beethovena, a potem poruszającą kadencję z koncertu skrzypcowego Mendelssohna.

Spędziłem niewygodną noc na fotelu w salonie, a następnego dnia wykonałem kilka najpilniejszych napraw w domu. Wymieniłem rozbitą szybę w pracowni Birgit. W niedopasowanych okiennych ramach zatkałem liczne szpary, przez które wdzierały się przeciągi. Poprawiłem na zawiasach frontowe drzwi, żeby szczelnie się zamykały. Udało mi się odetkać bojler, dzięki czemu Birgit nie musiała podgrzewać wody na palniku. Łazienka, której ściany pokrywały pęknięcia i rozległa pleśń, również wymagała pilnego remontu, ale wtedy nie miałem na to czasu.

Kiedy pracowałem, Birgit mi pomagała i sprzątała wokół mnie. Przez cały czas rozmawialiśmy tylko o Joem. Był naszą wspólną obsesją, chociaż z różnych powodów.

Słowa same płynęły nam z ust: opowiadaliśmy sobie nawzajem, co o nim wiemy, dzieliliśmy się miłymi wspomnieniami, komentowaliśmy jego wybory życiowe i rozmawialiśmy o tym, co czuliśmy, gdy skrzywdził i porzucił ludzi, którzy najbardziej go kochali. Powiedziałem Birgit o tym, jak bardzo cierpię z powodu naszej rozłąki, ale także o niejednoznaczności naszego rozstania, o sprzecznych potrzebach dotyczących bliskości i indywidualności. Birgit wyznała, że od rozpoczęcia wojny, gdy Joe odmówił służby wojskowej, miała wrażenie, że stał się nieobecny, niepewny, uparty. Bardzo go potrzebowała i pragnęła, ale trudno było z nim żyć.

Zostawiłem ją, kiedy nadszedł wieczór, i o jedenastej pośpiesznie wróciłem do Tealby Moor. Minałem pędem szlaban przy stróżówce, gdy do końca mojej przepustki pozostało zaledwie kilka minut. Po kolejnej niespokojnej nocy skupiłem się na sprawach dywizjonu, który wreszcie otrzymał pierwsze

wellingtony.

Przydzielono załogi do samolotów i natychmiast rozpoczęto testy. Wszystkie dywizjony bombowe czuły presję jak najszybszego powrotu do akcji. Dlatego dywizjon 148 przywrócono na front, gdy gotowych było tylko kilka maszyn. Mojej załogi nie przydzielono do jednego z pierwszych samolotów, więc jeszcze przez pewien czas pozostawałem bez zajęcia. Zbliżał się kolejny weekend i ponownie udało mi się uzyskać czterdziestoosmiodzinną przepustkę, pożyczyć motocykl od Robbie'ego i popędzić do Birgit. Powitała mnie ze łzami ulgi w oczach, zarzuciła mi ręce na szyję i mocno przytuliła. Sprawiała wrażenie jeszcze chudszej niż poprzednio. Zmarszczki otaczające jej głęboko osadzone oczy świadczyły o wyczerpaniu, a długie ciemne włosy zwisały smętnie, opierając się na ramionach. W myślach nakładałem na ten wizerunek jej prawdziwy obraz. Wciąż uważałem, że jest piękna. Nie potrafiłem zapomnieć o tym, co kiedyś na chwilę między nami zaiskrzyło.

Tamtego piątkowego wieczoru siedzieliśmy razem w jej słabo oświetlonej kuchni i ponownie rozmawialiśmy o Joem. Był sierpień, ale niespodziewanie zrobiło się chłodno. Górzysty wiejski krajobraz wypełniała cisza, nie licząc porywistego wiatru napierającego na okna. Zastony służące zaciemnieniu szyb poruszały się od przeciągu. Birgit sprawiała wrażenie zmęczonej, ponurej, wyczerpanej.

Następnego ranka pojechałem motocyklem do Buxton, żeby odwiedzić pośredników pobierających czynsz. Poinformowali mnie, że właściciel domu na czas wojny przeprowadził się do Kanady i nie można liczyć na to, że weźmie odpowiedzialność za pogarszający się stan budynku. Podczas pobytu w Buxton zrobiłem zakupy, a także znalazłem sklep z towarami żelaznymi, w którym kupiłem gwoździe, farbę, deski, przewód elektryczny i kilka narzędzi. Wróciłem do domu z wypełnionymi po brzegi bocznymi sakwami i drewnem pod pachą. Nie wszystkie naprawy potrafiłem wykonać samodzielnie, ale zrobiłem co było

w mojej mocy. Zmieniłem popsute zamek we frontowych drzwiach, wkręciłem nowe żarówki i wymieniłem uszkodzone kable. Pożyczyłem drabinę od sąsiada i niepewnie wdrapałem się na dach, gdzie poprawiłem poluzowane dachówki i taśmę uszczelniającą przy kominie, a także usunąłem liście z rynien, zatykając dziury, reperując, latając i uszczelniając.

Zacząłem się rozkoszować chłodnym klimatem Penninów, porywistymi wiatrami i deszczem stale wiszącym w powietrzu, zasnutym chmurami widokiem na Równinę Cheshire w dole, na pola, miasteczka i mury zbudowane bez zaprawy oraz na mroczny przemysłowy Manchester leżący na północy. Przypominało mi to odprawy organizowane po nalocie, których słuchałem z nutą zazdrości kilka dni wcześniej, gdy inne załogi wróciły z pierwszej pełnej misji. Zbombardowały Emmerich, niemieckie miasto na granicy z Holandią, po czym wróciły z jaskrawymi opisami lotu nad budynkami i bomb wybuchających w dole. Szaleństwo wojny, w której wciąż nie brałem pełnego udziału, coraz bardziej mnie ogarniało: w tym wysoko położonym miejscu wyobrażałem sobie, jak ta równina wyglądałaby z powietrza, jak to by było lecieć nad nią w nocy i zrzucać bomby oraz ładunki zapalające na mieszkających na niej ludzi.

A potem, po zmroku, mknąć z powrotem na lotnisko.

Tamtego tygodnia przydzielono mnie do nowego wellingtona A-Able, i zacząłem pośpiesznie ćwiczyć wraz z resztą załogi. Tak długo czekaliśmy, że chcieliśmy jak najprędzej rzucić się w wir kampanii. Nie przywykliśmy do takiej zwłoki. Jako że byłem „doświadczonym” pilotem, z jedenastoma pełnymi nalotami na koncie, od razu skierowano nas na cel położony w Niemczech: przemysłowe Zagłębie Ruhry. Kolejnej nocy, gdy wciąż byliśmy wyczerpani po poprzednim nalocie, polecono nam zaatakować lotnisko w Holandii, które zajęła Luftwaffe. Następnej nocy znów zostaliśmy wysłani na front.

Tymczasem na południu kraju bitwa o Anglię stawała się coraz bardziej zacięta. Brytyjskie lotniska i bazy wojskowe codziennie

padały ofiarą ataków, a wysoko nad Kentem i kredowymi wzgórzami toczono coraz poważniejsze i niebezpieczniejsze walki powietrzne. W końcu prowadziliśmy otwartą wojnę z wrogiem!

Częste misje sprawiały, że trudno mi było uzyskać przepustkę, więc przez dwa albo trzy tygodnie nie tylko nie widziałem się z Birgit, ale nawet nie miałem czasu o niej myśleć. Pisała do mnie każdego tygodnia: krótkie, rzeczowe listy bez cienia czułości, w których dyskretnie informowała mnie o swoich codziennych troskach. Jeden z listów wywołał we mnie poczucie winy: doniosła mi, że Joe niespodziewanie wrócił na weekend i spędził w domu trzy dni przed powrotem do Londynu. Właśnie w tamten weekend starałem się o dwudniową przepustkę, ale w ostatniej chwili mój wniosek odrzucono. Co mogłoby się stać, gdyby Joe wrócił do domu i zastał mnie w jego ubraniu, sam na sam z jego żoną?

Po pierwszej fali nalotów dowództwo zapewne zorientowało się, że utrzymanie takiego tempa sprawi, że będziemy zbyt zmęczeni, żeby właściwie funkcjonować. Dlatego opracowano harmonogram lotów: nie był to sztywny rozkład, ale oficerowie sztabowi postarali się, żeby każda załoga wykonywała naloty średnio trzy razy w ciągu każdych dwóch tygodni. Takie bardziej rozmyślnie gospodarowanie siłami stosowano do końca wojny, z wyjątkiem okresów, gdy dywizjon bombowy domagał się włożenia „maksymalnego wysiłku” w zniszczenie konkretnych celów. Z mojego punktu widzenia oznaczało to, że w większość weekendów, przy starannym planowaniu i odrobinie szczęścia, mogłem uzyskać trzydziestosześciodzinną przepustkę, a nawet wolny weekend.

Z Birgit wkrótce połączyła mnie ostrożna zażyłość, chociaż rozstawałem się z nią często i na długo. Staralem się przywozić jej różne drobiazgi, których nie mogła dostać albo na które nie mogła sobie pozwolić: mięso w puszkach, jaja w proszku, czekoladę, kawę, czasami kilka kawałków świeżych owoców, wszystko wyniesione z bazy. Birgit nie mogła mi dać wiele w

zamian, ale wystarczała mi satysfakcja, że zaczyna wyglądać lepiej. Nieco przybrała na wadze, jej twarz przestała wyglądać na zabiedzoną, wydawała się mniej udręczona i zrozpaczona. Nadal była nieszczęśliwa bez Joego i bała się zatrzymania przez władze, ale zaczynałem z optymizmem postrzegać jej przyszłość. Wyglądała coraz piękniej. Miałem na jej punkcie obsesję.

W pewien wrześnieowy weekend, gdy jak zwykle nocowałem na wiekowym fotelu w salonie, Birgit mnie obudziła. Otworzyłem oczy i ujrzałem ją w słabym świetle, które wlewało się do pokoju z korytarza. Klęczała przede mną, przybliżając twarz do mojej twarzy. Jej zimne palce spoczywały na mojej ręce, a długie włosy ocierały się o mój policzek.

– Nie mogę spać, JL – powiedziała łamiącym się głosem, a jej ciało zadrżało. – Na górze czuję się taka samotna.

Gwałtownie wstałem z fotela. Chwyciłem ją w ramiona i już po chwili całowaliśmy się i namiętnie pieściliśmy. Nasze usta się zwały. Gdy się na mnie rzuciła, omal się nie przewróciłem. Wciąż byłem na wpół śpiący. Nie planowałem ani nie spodziewałem się tego, co zrobiliśmy. Marzenia i oczekiwania to nie to samo. To się po prostu wydarzyło, a ja później nie starałem się tego usprawiedliwić. Staliśmy się żarliwymi kochankami, nieprzytomnymi z pożądania, którego nie potrafiliśmy zaspokoić. Do końca tamtego krótkiego weekendu opuszczaliśmy łóżko tylko na chwilę – żeby coś zjeść albo skorzystać z toalety, a potem wracaliśmy do naszego gniazdka i rozpaczliwie się kochaliśmy.

Najtrudniejszym zadaniem w całym moim życiu było rozstanie z Birgit, gdy skończyła mi się przepustka. Zwlekałem do ostatniej chwili, a potem popędziłem na złamanie karku pustymi drogami do bazy. Następnego nocy nasz dywizjon poleciał do portu w Antwerpii, gdzie Niemcy zgromadzili liczne barki przygotowane do inwazji.

Wrzesień i październik mijały powoli, a wojna pod każdym względem stawała się coraz bardziej zaciekła i niszczycielska. Po dwóch albo trzech tygodniach skutecznych nalotów na brytyjskie

lotniska Niemcy niespodziewanie zmienili taktykę. Gdyby dalej bombardowali nasze bazy lotnicze, być może by nas pokonali, ale skupili się na nalotach na miasta, zwłaszcza na Londyn, i dzięki temu nieświadomie ocalili RAF. Przez kilka miesięcy nie zdawaliśmy sobie sprawy z militarnego znaczenia tej zmiany, gdyż postawiła ona na pierwszej linii frontu cywilów. Noc po nocy bombowce Luftwaffe krążyły nad Londynem i zrzucały setki bomb na osiepek na dzielnice mieszkaniowe. Wkrótce ruszyły także ku innym miastom, napętlając lękiem wszystkich obywateli. Żadne miejsce nie było bezpieczne przed nalotami.

Joe wciąż przebywał w Londynie, gdzie pracował dla Czerwonego Krzyża. Niewiele słyszeliśmy o jego działalności, chyba że z drugiej ręki. O pracownikach Czerwonego Krzyża czasami wspomniano w gazetach lub radiu. Nie było wątpliwości, że znajdują się w samym centrum wydarzeń.

Nieustannie martwiłem się o los Joego, ale gdy kampania Blitz przybierała na sile, miasta były coraz bardziej zniszczone, a liczba ofiar rosła, Birgit zaczęła obsesyjnie obawiać się o bezpieczeństwo męża.

Mimo wszystko nasz namiętny romans trwał. Jeździłem do Birgit, kiedy tylko mogłem, i wkrótce przestałem się obawiać, że zastanę u niej Joego albo on mnie tam zastanie. Przestałem udawać, że chcę dotrzymać towarzystwa Birgit albo że muszę dokonać napraw w jej domu. Zatraciliśmy się w gorączkowym i namiętym pożądaniu.

Nagle jednak wszystko się zmieniło. Pewnego dnia na początku listopada 1940 roku otrzymałem wiadomość z biura adiutanta, że dzwoniła do mnie pani Sawyer i zostawiła numer, pod którym mogę się z nią skontaktować. Zaniepokojony, wywołałem centralę i zamówiłem połączenie. Pół godziny później dodzwoniłem się do Birgit, która bezzwłocznie przekazała mi wieści: Joe nie żyje. Zginął w Londynie, gdy niemiecka bomba trafiła w ambulans Czerwonego Krzyża, który prowadził.

Zwłoki Joego poddano kremacji po świeckiej ceremonii w Gloucester. Podczas uroczystości ku jego pamięci odczytano wiersz Wilfreda Owena oraz fragment powieści Ericha Marii Remarque'a „Na Zachodzie bez zmian”. Krótkie życie Joego w poruszający sposób opisał mężczyzna z Religijnego Towarzystwa Przyjaciół. Joe nie był kwakrem, ale za sprawą swojej pracy najwyraźniej poznał ich gminy w Manchesterze i Londynie. Mówca nazwał Joego przyjacielem Przyjaciół. Pani Alida Woodhurst, która była przełożoną Joego w brytyjskim Czerwonym Krzyżu w Manchesterze, w emocjonalny sposób opisała jego heroiczną pracę podczas nalotów na Londyn.

Birgit stała obok mojego ojca i, wsparta na jego ramieniu, cały czas płakała. Ja stałem obok matki, obejmując ją ramieniem, zeszywniały pod wpływem smutku oraz świadomości niewytłumaczalnej i nieodwracalnej straty. Później, kiedy wróciliśmy do domu rodziców, Birgit nie patrzyła na mnie ani się do mnie nie odzywała. Byłem jej za to wdzięczny. Pochłaniały mnie fale wyrzutów sumienia. Byłem zdruzgotany, wstrząśnięty, dogłębnie przygnębiony śmiercią Joego, ale jednocześnie robiło mi się niedobrze na samą myśl o romansie z Birgit, o tym, że za plecami brata sypiałem w jego łóżku, przebierałem się za niego, żeby oszukać sąsiadów, i zastępowałem go w jego własnym domu. Rzecz jasna, Birgit i ja nie mogliśmy przewidzieć, co się stanie – a być może nawet taka świadomość by nas nie powstrzymała – ale to niczego nie zmieniało. Zrobiliśmy to, co zrobiliśmy, i pozostało nam tkwienie w bagnie poczucia winy.

W dywizjonie dostałem osiem dni urlopu okolicznościowego, a rodzice poprosili mnie, żebym spędził z nimi cały ten czas. Byłem w ich domu nazajutrz po pogrzebie, ale następnego dnia

nie mogłem już tam wytrzymać. Wskoczyłem na motocykl Robbie'ego Fincha – który należał do mnie od czasu nalotu na Cuxhaven dwa tygodnie wcześniej, gdy Robbie i jego załoga wyskoczyli ze spadochronami nad Niemcami i zostali jeńcami wojennymi – i jak najszybciej wróciłem do Tealby Moor.

To, co wydarzyło się później, miało sens tylko w bezdusznym kontekście wojny. Śmierć Joego była najgorszym i najbardziej poruszającym wydarzeniem w moim życiu i przez pewien czas sądziłem, że nigdy nie poradzę sobie z poczuciem winy, utratą miłości oraz żalem. Jednak na wojnie jest pełno śmierci, zarówno dalekiej, jak i niezwykle bliskiej. Każdej nocy, gdy bombowce Luftwaffe pojawiały się nad brytyjskimi miastami, tysiące ludzi ginęły i odnosiły rany. Codziennie docierały do nas przerażające wieści o licznych ofiarach na okrętach zatopionych na morzu. Za każdym razem, gdy samoloty z naszego dywizjonu albo innych dywizjonów wykonujących misje na linii frontu ruszały nad Niemcy, rankiem musieliśmy się pogodzić z nową stratą. Czasami nawet z kilkoma. Podczas grudniowego nalotu na Bremerhaven zestrzelono cztery nasze wellingtony, co dla dywizjonu stanowiło demoralizującą i przygnębiającą katastrofę, choć młodzi ludzie, którzy polegli, po prostu stanowili kolejny dodatek do wojennego bilansu. Nigdy nie lekceważyliśmy śmierci ani nie uodporniliśmy się na szok, który przynosiła, ale wraz z trwaniem wojny zaczęliśmy akceptować fakt, że śmierć jest ceną, którą musimy płacić. Oto kontekst, oto świat, w którym zginął Joe.

Dla mnie wojna stanowiła jedyną odskocznnię od osobistych problemów. Teraz, gdy oszałamiający romans z Birgit został mi odebrany, całkowicie poświęciłem się walce. Jednocześnie rozumiałem, na jakie niebezpieczeństwo nieumyślnie narażałem swoją załogę. Ci ludzie byli moimi najbliższymi przyjaciółmi i sojusznikami, a jednak podczas nalotów połowę czasu spędzałem na rozmyślaniu o Birgit. Zmieniłem się. Oddałem się wojnie.

W zimie 1940/41 wykonywaliśmy jeden nalot po drugim:

Brema, Wilhelmshaven, Sterkrade, Düsseldorf. Nauczyliśmy się wszystkiego co możliwe o bombardowaniu, ale w tamtym okresie dysponowaliśmy prymitywną techniką, która nie gwarantowała powodzenia. Mogliśmy być pewni tylko tego, że wyruszymy nad Niemcy i niektórzy z nas nie wrócą.

10 maja 1941 roku, po zbombardowaniu portu i miasta Hamburg, mój samolot A-Able dołączył do poprzednich maszyn z naszego dywizjonu, które nie wróciły do bazy, a moja załoga trafiła na listę zaginionych lub rannych.

Stosując formułę pytań i odpowiedzi, którą zaproponowała panna MacTyre, napisałem krótszą wersję raportu o tym, czego dowiedziałem się o Rudolfie Hessie podczas pobytu w Mytchett Place. Egzemplarz, który przepisano na maszynie w jej biurze, powędrował prosto do premiera, a kolejne kopie razem z pełnymi wersjami raportu zostały przesłane do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, admiralicji oraz Ministerstwa Wojny. Wszystkie te teksty, krótkie i długie, zniknęły w rządowym labiryncie.

Ze wszystkich działań, w które angażowałem się podczas wojny, przygotowanie raportu dotyczącego Hessa, wtedy wydawało mi się najważniejsze, a pod pewnymi względami pozostaje takie nawet teraz. Przez kilka dni, jakby za sprawą zbiegu okoliczności, pełniłem funkcję pośrednika pomiędzy dwoma najpotężniejszymi mężczyznami w Europie, badając jednego z nich na polecenie drugiego, a moje wnioski mogły wpłynąć na przebieg wojny. Takie wtedy miałem poczucie.

Ostatecznie jednak moja praca niczego nie zmieniła, a przynajmniej ja niczego takiego nie dostrzegłem. Wojna trwała dalej, a to, czego się dowiedziałem na temat Hessa, najwyraźniej nie miało na nią wpływu. Może właśnie tego chciał Churchill. Patrząc z powojennej perspektywy, zdaję sobie sprawę, że obecność Hessa w Wielkiej Brytanii z pewnością była olbrzymim wstydem dla brytyjskiego rządu: gdy tylko Stalin dowiedział się, że Hess wylądował w Szkocji, doszedł do wniosku, że Wielka Brytania i Niemcy prowadzą potajemne negocjacje. Z dokumentów, które Churchill ujawnił tuż po zakończeniu wojny, wynikało, że Wielka Brytania bardzo się starała zapewnić Stalina, że anglo-radziecki sojusz pozostaje nienaruszony.

Niemiecka inwazja na Związek Radziecki trwała w najlepsze, gdy przebywałem w Mytchett Place, a Armia Czerwona wycofywała się na wszystkich frontach.

W tych opublikowanych dokumentach nie pojawiło się nic, co chociaż kojarzyłoby się z moimi odkryciami. Zawsze mnie ciekawiło, dlaczego tak się stało, skoro moje odkrycia dotyczące Hessa powinny były całkowicie zmienić postrzeganie jego osoby. Początkowo założyłem, że w ten sposób pracują rządy państw, ale kiedy spróbowałem dotrzeć do prawdy, zrozumiałem, że ktoś podjął decyzję o utajnieniu szczegółów moich spotkań z Hessem.

Jako że opowiadam własną, a nie oficjalną historię, nie czuję się spętany przez polityczne nakazy sprzed pół wieku. Chociaż nie potrafię zlokalizować pierwotnego raportu, który napisałem, dokładnie pamiętam nasze rozmowy, a skoro zachowałem odręczne notatki, na których podstawie powstał właściwy raport, mogę go tutaj wiernie zrekonstruować. Spotkania z Hessem były długie i często męczące, pełne zakłóceń, rozproszeń i niejasności. Hess często wprawiał mnie w zakłopotanie i irytował, ale przeważnie po prostu nudził. W swoim raporcie ograniczyłem się do najistotniejszych faktów, dzięki radom panny MacTyre. Możliwe, że upływ czasu zatarał niektóre szczegóły, jednak główny wniosek wciąż brzmi tak samo jak w 1941 roku, gdy przedstawiłem go Churchillowi. Raport pozostaje skrupulatnym podsumowaniem tego, co odkryłem.

Adresat raportu: Premier Wielkiej Brytanii

Autor: Pułkownik lotnictwa (tymczasowy) J.L. Sawyer

Data: 26 sierpnia 1941

Temat: Jeniec „Jonathan”, obecnie przetrzymywany w Obozie Z w Berkshire

P: Czy przed przybyciem do Obozu Z znał pan tożsamość jeńca, z którym miał pan rozmawiać?

Nie. Kiedy przyjechałem, urzędnicy Ministerstwa Obrony

Narodowej poinformowali mnie, że w Obozie Z przebywa jeden jeńiec wojenny o kryptonimie „Jonathan”. To wszystko, co wiedziałem.

P: Czy rozpoznał pan jeńca, kiedy się pan z nim spotkał?

Od razu rozpoznałem w jeńcu Walthera Richarda Rudolfa Hessa, zastępcę Führera Trzeciej Rzeszy.

P: Co sprawiło, że pan go rozpoznał?

Rozpoznałem go, ponieważ spotkałem go dwukrotnie w 1936 roku, kiedy przebywałem w Berlinie jako członek brytyjskiej reprezentacji olimpijskiej. Hess to człowiek o charakterystycznym wyglądzie. Jest wysoki i dosyć barczysty. Ma wysokie czoło i ciemne, faliste włosy, wyraźnie zarysowane kości policzkowe, głęboko osadzone oczy w kolorze zielonkawoszarym oraz krzaczaste czarne brwi. To dokładny opis jeńca.

P: Jakie pierwsze wrażenie zrobił na panu jeńiec?

Chociaż od razu wiedziałem, z kim mam do czynienia, zaskoczył mnie wygląd Hessa. Nie wyglądał dobrze. Przebywa w brytyjskiej niewoli od kilku tygodni i skarży się na złe traktowanie oraz małe racje żywnościowe. Jeżeli te skargi mają jakiegokolwiek podstawy, to można tym tłumaczyć jego mizerny wygląd, jednak ustaliłem, że nie są one uzasadnione, co opisuję poniżej. Obecny wygląd jeńca wskazuje na znaczną utratę wagi, większą niż to możliwe w wypadku kilkutygodniowego uwięzienia. Kości policzkowe i żuchwa Hessa są wyraźniej zaznaczone. Jeńiec się garbi, a także ma lekko wystające przednie zęby. Jest niższy niż go zapamiętałem i ma grubszy głos.

P: Czy jeńiec pana rozpoznał?

Spędziłem w towarzystwie Hessa trzy dni. Ani razu nie powiedział, że mnie pamięta, nawet gdy rozmyślnie wspomniałem o igrzyskach olimpijskich w Berlinie i rozmawialiśmy na ten temat przez kilka minut.

P: *W jakich językach rozmawiał pan z jeńcem?*

Po niemiecku i angielsku, ale przeważnie po niemiecku. Moim ojczystym językiem jest angielski, ale biegle posługuję się niemieckim.

Nasze spontaniczne rozmowy odbywały się po niemiecku. Tego samego języka Hess używał, gdy czytał mi swoje notatki albo wykladał plany Hitlera dotyczące władzy nad światem. Gdy zadawałem pytania po angielsku, wydawało się, że ich nie rozumie. Jednak kilkakrotnie odzywał się w tym języku. Odniosłem wrażenie, że wcześniej zapamiętał dużą część tego, co mówił po angielsku.

Hess jest „Auslanderem”, dzieckiem niemieckich rodziców urodzonym w Aleksandrii w Egipcie. Spędził dużą część dzieciństwa i młodości w Bawarii i mówi po niemiecku z „południowym” akcentem. Jednakże wychyciłem u niego kilka słów i zwrotów bardziej charakterystycznych dla Szwajcarów bądź Austriaków. W Niemczech z pewnością zwracałby na siebie uwagę swoim nietypowym akcentem. Nie znalazłem żadnej wzmianki na ten temat w profilu Hessa, którym dysponuje Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

P: *Czy jeńiec opisał okoliczności schwytania go przez Brytyjczyków?*

Hess twierdził, że leciał do Wielkiej Brytanii z propozycją zawarcia pokoju pomiędzy Brytyjczykami a Niemcami. Nazwał to „odrębnym” porozumieniem pokojowym, które nie miało obejmować innych państw, zwłaszcza Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego. Kiedy rozglądał się za miejscem do lądowania, skończyło mu się paliwo i był zmuszony do wyskoczenia ze spadochronem. Został aresztowany, zanim zdążył dotrzeć do ludzi, z którymi zamierzał się spotkać. Stale odnosił się do brytyjskiej „partii pokoju”, którą pierwotnie wziąłem za opozycję w parlamencie. Oczywiście taka partia nie istnieje. Twierdził, że ma list adresowany do księcia Hamiltona,

lecz ta wiadomość później zaginęła albo została skradziona. Spodziewał się, że po przeczytaniu listu Hamilton przedstawi go premierowi i natychmiast rozpoczną się rozmowy pokojowe. Często z rozgoryczeniem i frustracją wspominał, że nie mógł przedstawić swojej propozycji pokojowej.

Wyjaśniłem jeńcowi (do czego mnie upoważniono), że jestem osobistym wysłannikiem premiera Winstona Churchilla. Okazałem list polecający, który otrzymałem z biura premiera. Hess uważnie go przeczytał.

Przez kilka kolejnych minut odnosił się do mnie z wyraźnym szacunkiem i kurtuazją. Potem, bez żadnego wyjaśnienia, niespodziewanie odmówił dalszej rozmowy. Tak było do końca pierwszego dnia. Gdy następnego ranka podjęliśmy rozmowę, Hess odpowiadał na moje pytania z większą rezerwą i podejrzliwością. (Pełna wersja raportu zawiera niemiecko- i angielskie zapisy wszystkich naszych rozmów).

P: Czy jeńiec „Jonathan” przywiózł jakieś wiadomości do Wielkiej Brytanii?

Jeńiec ma przy sobie plik ręcznie zapisanych kartek, które czasami przegląda. Dwukrotnie pozwolił mi zobaczyć krótkie fragmenty tekstu, jednak pismo było nieczytelne. Kiedy czytał mi te zapiski lub odnosił się do nich w rozmowie, zawsze mówił po niemiecku. Zawierały rozwlekłą historię oraz usprawiedliwienie nazistowskich ideałów, i robiły na mnie wrażenie nużących, a czasem także obraźliwych.

Kiedy jeńiec mówił po angielsku, był mniej męczący, ale często wyrażał się niejednoznacznie.

P: Czy, lecąc do Wielkiej Brytanii, jeńiec „Jonathan” działał na własną rękę, czy za zgodą Adolfa Hitlera?

Hess nigdy wystarczająco tego nie wyjaśnił. Czasami utrzymywał, że to Führer polecił mu wynegocjować odrębne porozumienie pokojowe. (Używał wtedy niemieckiego czasownika „befehlen”, czyli „nakazać”). W innych sytuacjach

mówił o „mojej” albo „naszej” propozycji.

Żeby rozstrzygnąć tę kwestię, spytałem jeńca, czy osobiście przygotował propozycję pokojową, czy też powstała ona przy wsparciu Hitlera, a zatem można ją traktować jako oficjalne stanowisko niemieckiego państwa. Jeniec odpowiedział po niemiecku, że to jedno i to samo. Następnie dodał, że działa z własnej inicjatywy w imieniu niemieckiego rządu, a osobne porozumienie pokojowe z Wielką Brytanią stanowi osobiste życzenie kanclerza Hitlera, który udzielił temu przedsięwzięciu pełnego poparcia i upoważnienia.

Odniosłem wrażenie, że ta odpowiedź niczego nie wyjaśniła.

Przy innej okazji jeniec stwierdził, że Hitler wielokrotnie publicznie zapewniał o chęci zawarcia pokoju z Wielką Brytanią. Zwrócił moją uwagę na kilka przemów Hitlera, zwłaszcza na tę wygłoszoną przed Reichstagem 19 lipca 1940 roku. Podczas swojej przemowy Hitler apelował, aby w obu krajach zwyciężył zdrowy rozsądek.

P: Jak brzmią szczegóły niemieckiej propozycji pokojowej?

Po długich rozmowach z jeńcem ustaliłem, że propozycja opiera się na następujących pięciu założeniach:

1. Wielka Brytania bezwarunkowo przyzna, że wojna z Niemcami jest albo zostanie przegrana.

2. Po złożeniu przez Wielką Brytanię takiego oświadczenia Niemcy zagwarantują jej niepodległość oraz prawo do utrzymania obecnie posiadanych kolonii.

3. Wielka Brytania nie będzie angażować się w wewnętrzne ani zewnętrzne sprawy innych europejskich krajów. W szczególności Niemcy otrzymają swobodę działania w Europie Wschodniej.

4. Wielka Brytania i Niemcy zawrą sojusz na przynajmniej dwadzieścia pięć lat.

5. Dopóki trwa wojna pomiędzy Niemcami a innymi państwami, Wielka Brytania zachowa wobec Niemiec postawę życzliwej neutralności.

P. Jak pan zareagował na te propozycje?

Nie zareagowałem. Jedynie poinformowałem jeńca, że przekażę je do kancelarii premiera.

P: Czy wyrobił pan sobie opinię odnośnie do zdrowia psychicznego jeńca?

Nie dysponuję wykształceniem medycznym ani prawniczym, więc mogę tylko podzielić się swoimi pobieżnymi, nieoficjalnymi obserwacjami.

Przede wszystkim nie może być wątpliwości, że jeniec zachowuje się osobiłwie. Jego zachowania często są infantylny, zwłaszcza podczas posiłków. Jak dziecko bawi się jedzeniem, grymasi, rozmyślnie rozrzuca pokarmy i rozlewa napoje. To może świadczyć o wielu rzeczach; że ma infantylną osobowość, traci zmysły albo jedynie chce nas przekonać, że tak się dzieje.

Stale narzeka. Twierdzi, że nocami przed domem ludzie trzaskają drzwiami samochodów i hałasują pod jego oknem silnikami motocykli, żeby nie pozwolić mu zasnąć. Skarżył się nawet, że podczas kilku kolejnych nocy budziły go strzały. Mogę dodać, że spałem w tym samym domu przez trzy noce i nie zauważyłem, by poziom hałasu odbiegał od normy, chociaż w budynku pojawiała się w tym czasie wiele osób. Dom stoi niedaleko dużej bazy wojskowej, gdzie mieści się strzelnica. Doszedłem do wniosku, że te skargi wynikają z ogólnego niezadowolenia z roli jeńca.

Hess jest przekonany, że do jego jedzenia jest dodawana trucizna. Podczas naszych wspólnych posiłków skrupulatnie oglądał i wąchał pokarmy przed spożyciem. Podczas jednego z posiłków domagał się, żebyśmy zamienili się talerzami (odmówiłem). Utrzymuje, że ludzie, którzy go przetrzymują, starają się go zagłodzić, ale podczas mojego pobytu otrzymywał obfite posiłki – obfitsze niż większość oficerów RAF-u – które zjadał pośpiesznie i z przyjemnością. Kilkakrotnie wspominał, że jest wegetarianinem, jednak podczas każdego posiłku chętnie

spożywał mięso. (Według akt Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rudolf Hess jest wegetarianinem od wielu lat).

Od czasu do czasu jeniec przerywa rozmowę, żeby oddać się ćwiczeniom przypominającym jogę (na przykład kładzie się na podłodze albo splata nogi), jednak niezdarność jego ruchów dowodzi, że od dawna ich nie praktykował. (Według informacji wywiadowczych Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rudolf Hess zaczął ćwiczyć jogę jeszcze w szkole).

Jeniec twierdzi, że traci pamięć, i wysuwa niesprecyzowane oskarżenia, że osoby, które go przetrzymują, podają mu narkotyki albo starają się jakoś na niego wpływać. Kiedy pytam go o potencjalnie drażliwe kwestie, często odpowiada, że niczego nie pamięta, podczas gdy w innych sytuacjach jego wspomnienia są nienaruszone i szczegółowe.

P: Jak pan może scharakteryzować warunki, w jakich przetrzymywany jest jeniec?

Obóz Z jest zarządzany sprawnie i starannie, panują tam czystość i surowe zasady. Jeniec jest traktowany humanitarnie i ma dostęp do materiałów piśmienniczych oraz niemieckojęzycznych książek. Każdego dnia otrzymuje egzemplarz „The Times”. Traktuje się go stanowczo, lecz uprzejmie.

Zważywszy na to, że trwa wojna i ludność musi się pogodzić z racjonowaniem podstawowych produktów, posiłki, które otrzymuje jeniec, są obfite, dobrze przyrządzone i zróżnicowane.

Jeniec każdego dnia kilkakrotnie dysponuje czasem wolnym przeznaczonym na ćwiczenia fizyczne. Na rozległym terenie Obozu Z znajduje się między innymi dobrze utrzymany kort tenisowy, z którego po służbie korzysta kilku członków personelu. Jeniec nie wyraża zainteresowania innymi rodzajami aktywności niż krótkie, mało wymagające spacerunki po niewielkim trawniku. (Według akt Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rudolf Hess jest zapalonym tenisistą i zwolennikiem aktywnego trybu życia. Tymczasem w rozmowie z jednym ze strażników jeniec stwierdził, że nie lubi tenisa i nie zamierza grać).

P: *Jakie pan wyciąga wnioski z tego, co pan widział i co powiedział panu Jeniec?*

(1) Propozycja pokojowa:

Sądzę, że jest autentyczna, w tym sensie, że Rudolf Hess szczerze pragnie zaproponować Wielkiej Brytanii zawarcie pokoju.

Bez poparcia Hitlera taka propozycja jest bezwartościowa. Mimo że Jeniec jednoznacznie stwierdził, iż Hitler „nakazał” mu wykonać to zadanie, pozostałem nieprzekonany, czy Hitler w ogóle o nim wiedział.

Rudolf Hess opuścił Niemcy 10 maja – Niemcy zaatakowały Związek Radziecki sześć tygodni później, 22 czerwca. Hess w mojej obecności nie powiedział o inwazji nic, czego nie mógłby się dowiedzieć z gazet. Nie zdradził żadnych tajników strategii Hitlera, jego militarnych zamiarów itd. W przedstawionej propozycji pokojowej nie ma wzmianki o wojnie ze Związkiem Radzieckim, jeśli nie liczyć niejasnego odwołania do „innych krajów”.

Jestem zdania, że Jeniec przed opuszczeniem kraju nie wiedział o planach inwazji. To z kolei sugeruje, że nie znał zamiarów Hitlera w tygodniach poprzedzających przybycie do Wielkiej Brytanii, a zatem jego własny plan nie może mieć autoryzacji Hitlera.

(2) Jeniec:

Podczas wszystkich rozmów z jeńcem miałem wrażenie, że jest z nim coś „nie w porządku”. Próbowałem przypomnieć sobie swoje wcześniejsze kontakty z Hessem w 1936 roku i porównać jego ówczesny wizerunek z tym, co zobaczyłem teraz. Jednocześnie pamiętałem o odmiennych okolicznościach naszych spotkań.

W trakcie naszych rozmów Jeniec „Jonathan” wydał mi się impulsywny, naiwny i dotknięty manią prześladowczą. W 1936 roku Rudolf Hess nie zdradzał żadnej z tych cech. Wtedy postrzegałem go jako człowieka sprytnego, wyrachowanego,

groźnego, złowieszczego i dominującego.

Rudolf Hess to jeden z wiodących nazistów, który przed wybuchem wojny wprowadził w życie kilka przepisów wymierzonych w Żydów, niesławne „ustawy norymberskie”. Wygłosił kilka znakomicie udokumentowanych przemów o wyraźnie antysemickim zabarwieniu. Jednakże jeniec nie zdradza niechęci wobec Żydów, nie licząc przypadków, gdy przytacza słowa Hitlera oraz oficjalne stanowisko partii nazistowskiej.

Wiemy, że Rudolf Hess wychował się na obczyźnie w środowisku niemieckich emigrantów, a jego rodzice należeli do zamożnej klasy średniej. Mimo to jeniec „Jonathan” zdradza prymitywne maniere przy stole, na co często zwraca uwagę personelu Obozu Z. Przykładowo, zawsze pije zupę prosto z talerza, głośno beka pomiędzy daniami, pochyla się nad posiłkiem, opierając łokcie na blacie, żuje z otwartymi ustami itp. Rudolf Hess to znany wegetarianin, tymczasem „Jonathan” regularnie i chętnie jada mięso.

„Jonathan” jest niezwykle podobny do Rudolfa Hessa, twierdzi, że nim jest, a poprzez fakt dostarczenia propozycji pokojowej niewątpliwie zachowuje się jak Rudolf Hess, mam jednak poważne wątpliwości co do jego tożsamości.

Nie wiem, po co z taką misją miałby zostać wysłany zastępca, ani w jaki sposób można zorganizować i przeprowadzić takie oszustwo, jak również dlaczego jeniec nadal nie ujawnia swojej prawdziwej tożsamości. Kategorycznie jednak stwierdzam, że jeniec przetrzymywany w Obozie Z to sobowtór i uzurpator. Jeniec „Jonathan” nie jest zastępcą Fiihrera Rudolfem Hessem.

Koniec raportu.

Wróciłem do Northolt. Po dwóch dniach zostałem ponownie przydzielony do dywizjonu 148 w Tealby Moor. Tydzień później wezwano mnie do gabinetu dowódcy bazy, gdzie otrzymałem

zapięczętowaną kopertę, którą dostarczył goniec na motocyklu. Dostrzegłem insygnia na odwrocie koperty i zaniósłem ją do swojego pokoju, gdzie otworzyłem ją na osobności. Zawierała krótki list napisany na maszynie.

Szanowny Panie majorze J.L. Sawyer!

Premier wyraża wdzięczność w związku ze skrupulatną pracą, którą Pan wykonał w jego imieniu. Pragnie Pana poinformować, że szczegółowo przestudiowaliśmy Pański raport i podjęliśmy odpowiednie kroki. Oczywiście zdaje Pan sobie sprawę z poufności Pańskich ustaleń i wniosków, które w żadnym wypadku nie mogą zostać ujawnione.

Z poważaniem,

(podpisano) Arthur Curtis
Główny osobisty sekretarz premiera

Pod spodem znajdowała się kolejna wiadomość, tym razem zapisana odręcznie piórem o szerokiej stalówce:

Hess niewątpliwie otrzyma to, na co zasłużył, tak samo jak ostatecznie Herr Hitler. Pański raport stanowi wielkie osiągnięcie. Pragnę raz jeszcze przeprosić za moje nietaktowne uwagi odnośnie do Pańskiego zmarłego brata, które były skutkiem nieporozumienia w moim departamencie. Osobiście miałem o nim najwyższe mniemanie.

WSC

(Nigdy więcej nie spotkałem człowieka, który podawał się za Rudolfa Hessa. Pozostał w brytyjskiej niewoli aż do końca wojny, a żadne informacje o jego losie nie zostały przekazane opinii publicznej. Często udawał amnezję i obłąd, lecz zawsze utrzymywał, że jest Hessem. W październiku 1945 roku przewieziono go do Norymbergi, gdzie był sądzony jako zbrodniarz wojenny. Ostatecznie uznano go za winnego

pierwszego i drugiego zarzutu – podżegania i przygotowania wojny oraz dokonania zbrodni przeciwko pokojowi – ale uwolniono od kolejnych dwóch – dokonania zbrodni wojennych oraz dokonania zbrodni przeciwko ludzkości. Został skazany na dożywotnie więzienie. Ze względu na podejrzenia Sowieców wobec Hessa uniemożliwiono mu ubieganie się o wcześniejsze zwolnienie. Dlatego spędził za kratami czterdzieści dwa lata [czterdzieści sześć, jeśli liczyć okres uwięzienia w Wielkiej Brytanii]. W ostatnich latach życia był jedynym więźniem w Spandau w Berlinie Zachodnim. Nigdy nie próbował odwoływać się od wyroku, sugerować bezprawnego skazania ani pomyłonej tożsamości. Przez wiele lat nie chciał się widywać z Frau Ilse Hess i jej synem Wolfem, aż w końcu ustąpił w 1969 roku, gdy niesłusznie podejrzewał, że jest bliski śmierci. Miał wtedy siedemdziesiąt pięć lat. Frau Hess nie widziała męża przez ponad dwadzieścia osiem lat. Badanie lekarskie więźnia przeprowadzone w 1973 roku nie wykazało żadnych śladów blizn, które powinny pozostać po ranach postrzałowych odniesionych przez Rudolfa Hessa podczas I wojny światowej. To jedyne ujawnione dane sądowe, które potwierdzają moje przekonanie o wykorzystaniu sobowtóra, ponieważ blizny po ranach postrzałowych nigdy nie znikają. Więzień zmarł w tajemniczych okolicznościach w Spandau w sierpniu 1987 roku. List pożegnalny znaleziony przy ciele wyglądał na napisany wiele lat wcześniej. Pośmiertne badanie ciała nie pozwoliło jednoznacznie stwierdzić przyczyny zgonu, wskazało jedynie na zamartwicę. W niektórych środowiskach uważa się, że Hess został zamordowany. Na ciele nie znaleziono żadnych śladów obrażeń odniesionych podczas wojny. Wkrótce po śmierci Hessa więzienie Spandau zburzono, żeby nie stało się obiektem kultu dla neonazistów. Rodzina pochowała ciało w nieznanym miejscu. Jakiś czas później zwłoki przeniesiono do rodzinnego grobowca w Wunsiedel. Prawdziwa tożsamość więźnia, jeśli ktokolwiek ją znał, nigdy nie została ujawniona przez władze).

Po okresie pracy dla Churchilla we wrześniu 1941 roku zostałem ponownie przydzielony do dywizjonu 148 i w grudniu teoretycznie na nowo podjąłem loty operacyjne. W rzeczywistości, ze względu na moją długą nieobecność, posłano mnie na kurs doszkalający do bazy lotniczej na walijskim wybrzeżu niedaleko Aberystwyth. Kiedy wróciłem do Tealby Moor, przydzielono mnie do nowej załogi, jednakże niemal natychmiast nadeszły wieści, że dywizjon 148 przesiada się na czterosilnikowe ciężkie bombowce.

Ponownie zostaliśmy wycofani z linii frontu, a wielu członków załóg zaczęło się przenosić do innych dywizjonów. Kiedy pracowałem dla Churchilla, dotarł do mnie raport, według którego dywizjon 148 wytypowano do przejścia na nowe bombowce Lancaster. Z tego powodu postanowiłem zostać. Trafiłem do jednej ze szkockich baz RAF-u, którą wykorzystywano jako jednostkę szkoleniową, gdzie zapoznano mnie z nową maszyną, najpierw poprzez ćwiczenia na manchesterze, jej bezpośrednim dwusilnikowym poprzedniku, a następnie na nieco starszym czterosilnikowym samolocie Halifax. W ten sposób stałem się jednym z pierwszych pilotów wykonujących loty operacyjne za sterami lancastera, samolotu, na którym w ciągu kolejnych kilku lat miała się oprzeć brytyjska kampania bombardowań wymierzona przeciwko Niemcom.

W 1942 roku lancaster stanowił wyraźny przełom w projektowaniu bombowców. Mógł latać szybciej, wyżej i dalej niż jakikolwiek istniejący model. Był wytrzymały, dobrze broniony i zabierał na pokład znacznie większy i bardziej zróżnicowany ładunek bomb. Wyposażono go w silniki Rolls-Royce Merlin – te same, które napędzały słynne myśliwce Spitfire – i pilotowało się

go jak marzenie, zarówno w pełnym obciążeniu, jak i bez ładunku.

Po dwóch tygodniach zapoznawania się z maszyną oraz nową załogą w jednostce szkoleniowej odesłano nas do Tealby Moor. Wkrótce dywizjon odebrał pierwsze dostawy lancasterów z fabryki, a w połowie maja byliśmy gotowi, żeby ponownie wyruszyć na front. Celem mojego pierwszego nalotu za sterami lancastera było niemieckie miasteczko Mannheim, ale po tej inicjacji ponownie wycofano nas z frontu. Po dwóch tygodniach plotek, że Ministerstwo Sił Powietrznych przygotowuje coś „spektakularnego”, 30 maja 1942 roku wziąłem udział w pierwszym tak zwanym nalocie tysiąca bombowców na Kolonię.

Te dwa naloty, na Mannheim i Kolonię, pod wieloma względami miały rutynowy przebieg: nie doświadczyliśmy żadnych problemów technicznych z samolotem, nikt nas nie zaatakował, zrzuciliśmy bomby najbliżej celu, jak to było możliwe, a następnie bezpiecznie wróciliśmy do bazy. Nie licząc nerwowości spowodowanej tym, że od ponad roku nie pilotowałem bombowca podczas nalotu, główną różnicę stanowił fakt, że lecieliśmy lancasterem. Jednakże obie te misje wywarły na mnie istotny wpływ, chociaż z odmiennych powodów.

W dniu nalotu na Mannheim otrzymaliśmy dokumentację fotograficzną przeprowadzonego bombardowania. Jako że w dywizjonie pełniłem funkcję starszego pilota operacyjnego, wysłuchałem sprawozdania z misji ilustrowanego fotografiami. Zdjęcia ujawniły, że nalot zakończył się niemal całkowitą klęską: większość bomb, które zrzuciliśmy, spadła na otwarty teren albo w lesie, niektóre wiele mil od miasteczka. Tylko garstka bomb trafiła w cel i wywołała pożary w niewielkiej strefie przemysłowej. Na resztę miasteczka spadły nieliczne bomby i ładunki zapalające, wywołując drobne zniszczenia. Tymczasem wiedzieliśmy, że z dwustu samolotów RAF-u, które tamtej nocy wysłano nad Mannheim, jednaście zostało zestrzelonych. Nie zauważono żadnych spadochronów.

Na pokładzie każdego z samolotów znajdowała się załoga

złożona z pięciu do siedmiu osób, w zależności od modelu maszyny: zginęło około siedemdziesięciu młodych ludzi. Według wszelkich standardów była to katastrofa, która miała wyrzucić niewiadomy, choć łatwy do wyobrażenia wpływ na rodziny, przyjaciół oraz towarzyszy poległych. Siedemdziesiąt ofiar w imię czego?

Chociaż nalot na Mannheim był „klęską” w ujęciu strategicznym, następujący po nim atak okazał się „sukcesem”. Przeprowadzono go jako demonstrację siły dywizjonu bombowego, żeby pokazać wrogom, że możemy wysłać tysiąc bombowców nad niemieckie miasto i zrównać je z ziemią.

Rzeczywiście wystartowało tysiąc samolotów, chociaż niecała połowa pochodziła z dywizjonów pełniących czynną służbę. Większość maszyn znaleziono w innych miejscach: przeważnie w jednostkach szkoleniowych. Za sterami niektórych samolotów zasiedli instruktorzy, ale wiele innych pilotowali praktykanci. Niemcy jednak o tym nie wiedzieli, więc nalot miał druzgocący skutek, zarówno propagandowy, jak i wojskowy.

Dywizjon 148 został wysłany do Kolonii późnym wieczorem, więc kiedy dotarliśmy do miasta, bombardowanie niemal zakończono. Lecieliśmy na wysokości dwudziestu tysięcy stóp, blisko maksymalnego pułapu operacyjnego lancastera. Wykorzystaliśmy to, żeby trzymać się ponad większością samolotów. Kiedy zaczęliśmy podchodzić do bombardowania, miasto rozpostarło się przed nami, płonące i zasnute dymem, z pożarami rozprzestrzeniającymi się we wszystkich kierunkach. Poniżej widzieliśmy sylwetki samolotów na tle straszliwej pożogi. Punkty jaskrawego światła, nasze bomby zapalające, przypominały tysiąc lśniących koralików rozspanych po ulicach, dachach i ogrodach. Z nieba spadały race plujące magnezją jak olbrzymie fajerwerki, oświetlające grozę na ziemi. Płonęły całe dzielnice, gdy pojedyncze pożary łączyły się ze sobą, a płomienie oślepiały żółcią, bielą i czerwienią upstrzoną kłębiącym się dymem bijącym w niebo. We wszystkich częściach miasta kolejne wybuchy rozdzierały budynki, żeby bomby zapalające

mogły trafić na podatniejszy grunt.

Pociski z baterii przeciwlotniczych eksplodowały wokół nas, wstrząsając samolotem i wywołując w nas nerwowość, ale przedostaliśmy się bez uszczerbku. Odniosłem wrażenie, że ostrzał był znacznie słabszy niż podczas wcześniejszych nalotów. Leciliśmy wyżej i dotarliśmy na miejsce później. Nasz bombardier zameldował, że zrzuciliśmy ładunek. Usłyszałem pełne ulgi głosy pozostałych członków załogi. Leciałem dalej zgodnie z planem, kierując się na południe ponad miastem; nie odważyłem się zawrócić i przeciąć trasy strumienia bombowców.

Kiedy tylko oddaliliśmy się od największej pożogi, wykonałem zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Poleciliśmy na północ, ku pierwszemu punktowi nawigacyjnemu na naszej trasie powrotnej, miasteczku Mönchengladbach, niedaleko granicy z Holandią. Minęliśmy Kolonię po prawej, trzymając się daleko od centrum miasta, gdyż nie chcieliśmy ściągać na siebie ognia artylerii przeciwlotniczej. Kolejne brytyjskie samoloty nadlatywały, żeby zrzucić bomby. Nawet z daleka widzieliśmy ich kadłuby lśniące pomarańczowo w blasku płomieni. Wciąż pojawiały się rozbłyski wybuchów i rac. Pożary były coraz większe, zalewając miasto jak powódź płynnego ognia.

Zauważyłem, że większość szperaczy zgasła, a ostrzał z dział przeciwlotniczych niemal ustał – ostatnie bombowce RAF-u nie napotkały niemal żadnego oporu. Ponownie popatrzyłem na piekło w dole: kto mógłby tam obsługiwać działa, ładować, celować i strzelać ku niebu? Wszędzie były ogień i dym. Chaos ogarnął Kolonię. Nasi stratedzy nazwali to „przytłoczeniem” miasta: działa się tak w wypadku nalotu dywanowego, gdy bomby spadały jedna po drugiej, zmiatając wszystko z powierzchni ziemi, niszcząc reflektory, uciszając artylerię.

Przypomniałem sobie działa, które widziałem w Londynie, sterczące spomiędzy drzew w Green Parku i Hyde Parku oraz wzdłuż Horse Guards Parade. Nie mogły być skuteczne nawet przeciwko niewielkiej grupie stu samolotów. My zaatakowaliśmy dziesięciokrotnie większymi siłami. Jak którekolwiek miasto

może się obronić przed bombardowaniem? Po zaledwie kilku nocach Blitzu Londyn zmienił się w chaotyczną plątaninę porozrywanych rur gazowych i wodociagowych, nękaną przerwami w dostawie prądu, pełną dziurawych ulic, spalonych budynków, zalegającego gruzu i bezdomnych rodzin. Nasz pojedynczy nalot na Kolonię był wielokrotnie intensywniejszy niż ataki, które dotknęły Londyn, nawet podczas najgorszych nocy Blitzu. Wykorzystaliśmy dziesięciokrotnie więcej bombowców, które były większe, mocniejsze i zabierały na pokład trzy albo cztery razy więcej bomb. Kolonia była bardziej zwartym miastem niż rozległy Londyn. Mieszkało w niej dziesięciokrotnie mniej ludzi.

Jedynym celem zniszczenia miasta jest podkopanie morale zwykłych obywateli i sprawienie, żeby zapragnęli zakończenia wojny.

Nigdy nie zapomnę setek, a nawet tysiący zwykłych Anglików, których spotykałem, gdy towarzyszyłem sobowtórowi Churchilla podczas odwiedzin w najbardziej zniszczonych dzielnicach naszych miast. Na każdym kroku dostrzegałem ich niezłomność, wytrzymałość w obliczu strat i zniszczeń oraz pragnienie odplacenia Niemcom pięknym za nadobne. Nie chcieli się poddać. Ich morale pozostało nienaruszone. Chcieli się zrewanżować, zbombardować niemieckie miasta tak samo, jak wróg zbombardował nasze, ale z dziesięciokrotnie albo stukrotnie większą mocą.

A zatem działałem w ich imieniu. Pode mną rozciągała się Kolonia.

Nie potrafiłem zapomnieć oczu Rudolfa Hessa, uwięzionego zastępcy Führera, gdy mówił mi, że poleciał do Wielkiej Brytanii, żeby zatrzymać wojnę i zaprowadzić pokój pomiędzy naszymi krajami. W końcu zaakceptował fakt, że to Churchill przysłał mnie, abym go wysłuchał – wcześniej premier nie chciał z nim rozmawiać, a teraz ja pojawiłem się w jego imieniu. Kiedy jednak rozstałem się z Hessem, on pozostał w więzieniu, uciszony do końca wojny.

Lecieliśmy dalej, wysoko ponad Niemcami. Ziemię pod nami spowijał mrok. Od czasu do czasu mknęły ku nam pociski smugowe z pojedynczych dział przeciwlotniczych, ale poza tym nasz lot przebiegał bez przeszkód. Pół godziny po opuszczeniu Kolonii, gdy znajdowaliśmy się nad Holandią i kierowaliśmy w stronę wybrzeża, tylny strzelec odezwał się przez interkom i zameldował że daleko za nami wciąż widzi poświatę płonącego miasta.

Wylecieliśmy nad Morze Północne, myśląc o domu. Wkrótce do niego dotarliśmy.

Później dowiedzieliśmy się, że podczas nalotu na Kolonię zestrzelono ponad czterdzieści brytyjskich bombowców, zanim niemieckie działa ucichły. Na pokładzie każdego samolotu znajdowało się pięciu, sześciu albo siedmiu młodych mężczyzn. Straty łatwo było oszacować, ale trudno zrozumieć.

Dwa dni później, 1 czerwca, wróciliśmy do Niemiec. Dywizjon bombowy ponownie wysłał tysiąc samolotów, tym razem nad przemysłowe miasto Essen w sercu zagłębia Ruhry. Później w tym samym miesiącu wróciliśmy do Essen, a następnie bombardowaliśmy to miasto jeszcze dwukrotnie. Nazywaliśmy to „mieszanym gruzów”, gdyż sądziliśmy, że po pierwszym nalocie nic nie ocalało, jednakże gdy tam wracaliśmy, niemieckie działa ostrzeliwały nas z przerażającą zaciekłością. Morale niemieckich obywateli pozostało nienaruszone, a pragnienie odwetu na nas zaostrzało się z każdym bombardowaniem. Dlatego ponownie ich przytłoczyliśmy, a następnie w ciemności wróciliśmy do domu. Co przez to osiągnęliśmy?

Zbliżał się koniec mojej służby, która rozpoczęła się wraz z wybuchem wojny. Musiałem wykonać jeszcze jedno zadanie. Był to nalot na Emden, port na północnym wybrzeżu Niemiec, który łatwo było zlokalizować ze względu na wyjątkowe położenie: był zwrócony ku południu, gdyż wybudowano go po drugiej stronie przesmyku. Mimo że mieliśmy tak zwarty i łatwy do rozpoznania cel, nalot stał się kolejną „porażką” dywizjonu bombowego. Jak się później okazało, większość bomb spadła na otwarte wiejskie

terenach pomiędzy celem a miastem Osnabrück, położonym w odległości około osiemdziesięciu mil. Zestrzelono dziewięć brytyjskich samolotów. Po zakończeniu nalotu bezpiecznie wylądowałem lancasterem w Tealby Moor, a następnego dnia udałem się na przepustkę. Kiedy tydzień później wróciłem do swojego dywizjonu, okazało się, że moja załoga, której wciąż pozostało do wykonania kilka misji, już się rozwiązała.

W ciągu kilku dni zostałem przydzielony do 19. jednostki szkoleniowej stacjonującej niedaleko Liskeard w Kornwalii. Jak wszyscy piloci, którzy zakończyli służbę, przez kilka miesięcy miałem się zajmować szkoleniem nowych pilotów. Potem czekał mnie powrót do czynnej służby. Jechałem do Kornwalii pełen złych przeczuc. Przez kilka kolejnych tygodni bez entuzjazmu wykonywałem pracę instruktora, ale nie szło mi najlepiej. Nie wszyscy mają nauczanie we krwi. Jedynym pocieszeniem było dla mnie to, że nie jestem najgorszym nauczycielem w jednostce.

Jednakże dręczyły mnie głębsze zmartwienia. Moje ostatnie doświadczenia skłoniły mnie do zastanowienia nad sposobem, w jaki prowadziliśmy naszą powietrzną wojnę, co staraliśmy się za jej pomocą osiągnąć i czy postępowaliśmy właściwie.

Zacząłem kwestionować własne motywacje i zdolności. Podejrzewałem, że takie myśli stanowią jeden z powodów wycofywania załóg z frontu: po trzydziestu zadaniach większość załóg jest wypalona. Pobyt w jednostce szkoleniowej daje szansę odzyskania sił, odbudowania morale, przemyślenia wielu spraw, a następnie, przynajmniej teoretycznie, powrotu do akcji, nie tylko z nową energią, ale także bogatszym doświadczeniem. Doświadczenie jest kluczem do przeżycia. Straty wśród nowych załóg były przerażające. Jeszcze w połowie 1942 roku członkowi załogi bombowca udawało się przetrwać średnio osiem nalotów. Po trzech uznawano cię za weterana. Niewielu ludzi ukończyło trzydzieści misji.

Nie potrafiłem o tym zapomnieć podczas pracy z nowymi pilotami. Wiedziałem, że większość młodych rekrutów, których szkole, wkrótce zginie.

To piętno stale mi ciążyło, lecz wzmagały się we mnie także moje własne lęki. Dopóki latałem, mogłem o nich nie myśleć. Strach bezustannie mi towarzyszył, ale w trakcie misji, gdy samolot był sprawny i utrzymywał właściwy kurs, a cel znajdował się w zasięgu wzroku, potrafiłem bez trudu poradzić sobie z zagrożeniami. Kiedy jednak wycofano mnie z frontu, miałem za dużo czasu do myślenia.

Po co ciągle atakowaliśmy cywilne obszary miast, a rzadko przeprowadzaliśmy taktyczne naloty? Dlaczego nigdy nie atakowaliśmy fabryk U-Bootów ani ich stacji obsługi? Dlaczego nigdy nie braliśmy za cel fabryk samolotów i czołgów, rafinerii i rurociągów, stoczni, elektrowni, baz wojskowych ani lotniczych, nie licząc sytuacji, gdy przypadkiem znajdowały się w zasięgu nalotu? Przecież to one napędzały wojenną maszynę Hitlera.

Po co dzień po dniu staraliśmy się zniszczyć morale cywilów, chociaż każdy Brytyjczyk wiedział z własnego doświadczenia, że w ten sposób tylko rozbudzimy ich determinację? Jaki był cel tego wszystkiego?

Po okresie służby w jednostce szkoleniowej zgłosiłem się do swojego nowego dywizjonu. Tym razem był to dywizjon 52 stacjonujący w bazie RAF-u w Barkstone Ash w Yorkshire.

Kończyło się lato 1942 roku i dywizjon bombowy nasilał swoją kampanię przeciwko Niemcom. Pojawił się nowy głównodowodzący: legendarny, niesławny i wzbudzający lęk generał dywizji Arthur Harris, „Bombowiec” Harris dla prasy, ale „Butch” (skrót od „Butcher”, czyli rzeźnik) dla załóg, które latały pod jego dowództwem.

Harris przeorganizował dywizjon bombowy i wprowadził liczne zmiany. Pomimo zwiększonego ryzyka, na które nas wystawił, morale zaczęło rosnąć. W swoich działaniach czuliśmy celowość. Nie tylko gwałtownie wzrastała liczebność naszej floty bombowców, ale też samoloty wyposażano w coraz bardziej złożone elektroniczne systemy nawigacyjne, obronne i namierzające. Część najlepszych dywizjonów pełniła rolę „zwiadowców” – docierała do wyznaczonych stref przed bombowcami, znajdowała cele, a następnie wytyczała znaczniki dla pozostałych maszyn. W końcu przestaliśmy udawać, że staramy się bombardować cele przemysłowe albo wojskowe: Królewskie Siły Powietrzne realizowały jasną politykę bombardowania strefowego, w ramach której próbowaliśmy niszczyć domy, szkoły, szpitale i miejsca pracy niemieckich cywilów.

Wróciłem do czynnej służby z poczuciem ponurej determinacji, usiłując zamknąć umysł na wątpliwości.

Stopniowo rosła liczba ukończonych przeze mnie zadań. Poleciałem do Flensburga, Frankfurtu, Kassel, Bremy, ponownie do Frankfurtu. Każdy z tych celów odwiedziło co najmniej

dwieście bombowców, czasami czterysta albo jeszcze więcej. Stawaliśmy się coraz dokładniejsi i traciliśmy coraz mniej samolotów. Miasta, które odwiedzaliśmy, otrzymywały coraz wścieklejsze ciosy. Kiedy się pojawialiśmy, próbowały się bronić, a kiedy odlatywaliśmy, błyszczały jak rozżarzone węgle.

Lepiej było o tym nie myśleć, dlatego skupialiśmy się tylko na sobie i własnym przetrwaniu. Końca wojny nie było widać, więc nie mieliśmy zamiaru rezygnować.

W połowie września 1942 roku, po nalocie na Osnabrück, dostałem weekendową przepustkę. Przez kilka godzin jeździłem motocyklem po wiejskich drogach, po czym wróciłem na lotnisko. Nie było żadnego innego miejsca, w którym wolałbym się znaleźć. Dwa dni później dywizjon 52 był jednym z tuzina dywizjonów, które odwiedziły Berlin. Wielkie miasto, tak go nazywaliśmy. Sam rozmiar pozornie czynił go niezniszczalnym, ale za każdym razem, gdy tam lecieliśmy, ze wszystkich sił staraliśmy się go zniszczyć. Tamtej nocy pozostawiliśmy wielkie miasto lśniące w mroku, zasnute dymem, który bił w niebo rozświetlone blaskiem księżyca.

Następnej nocy wróciłem do Niemiec i zrzuciłem bomby i ładunki zapalające na ludzi, którzy mieszkali w Kiel. Później poleciliśmy do Ludwigshafen, Essen, Kolonii, Düsseldorfu, robiąc to, po co przybyliśmy, przytłaczając ich z powietrza, a potem pozostawiając wśród płomieni, podczas gdy sami wracaliśmy do domu długimi nocami. Następny był Wuppertal. Razem z trzystoma innymi samolotami RAF-u zrzuciliśmy bomby i ładunki zapalające na mieszkających tam ludzi. Przewyciężyliśmy ich obronę przeciwlotniczą, a potem zostawiliśmy miasto trawione pożarami i ruszyliśmy do domu.

Dwa dni po nalocie na Wuppertal odwiedził nas jeden z wysokich rangą oficerów z Grupy 5, który zapoznał nas ze strategią dywizjonu bombowego na kolejne kilka miesięcy. Polecono nam nasilić naloty: w każdej misji miało brać udział więcej samolotów, które będą zrzucały więcej bomb o skuteczniejszym działaniu, celność powinna wzrosnąć dzięki

elektronicznym przyrządom, a samoloty miały zostać wyposażone w innowacyjne systemy obronne. Rozdano nam najnowsze, zaktualizowane mapy Niemiec i pokazano powietrzne zdjęcia kompleksów przemysłowych i mieszkalnych. Mieliśmy się stać niepowstrzymaną siłą, która za pomocą bomb zmusi niemieckich obywateli do kapitulacji.

Tamtego wieczoru wyruszyliśmy razem z dwustu pięćdziesięcioma bombowcami RAF-u do Stuttgartu, który wśród załóg miał złą sławę miasta trudnego do znalezienia i celnego zbombardowania. Kiedy przybyliśmy na miejsce, okolice zasnuwały gęste obłoki oraz mgła, ale zobaczyliśmy blask pożarów roznieconych przez pierwsze fale samolotów, więc zrzuciliśmy tam nasze bomby. Za nami setki eksplozji przeszły chmury rozbłyskami jaskrawego światła. Pożary zaczęły się rozprzestrzeniać i lśnić coraz jaśniej. Zrzuciliśmy bomby, dolecieliśmy do końca wyznaczonej trasy i zawróciliśmy w stronę domu.

Kiedy przechyliłem samolot, potężna eksplozja rozerwała prawe skrzydło. Lancaster natychmiast zaczął pikować, obracając się i wirując, a płomienie buchnęły z głównego zbiornika paliwa w uszkodzonym skrzydle. Skuliłem się ze strachu, niechcący uderzając dłonią o drążek sterowniczy przed sobą. Moja głowa odbiła się od osłony kabiny. Rozkazałem przez interkom, żeby załoga wyskoczyła ze spadochronami, ale nikt mi nie odpowiedział.

Z trudem wstałem z fotela i zacząłem się czołgać w stronę włazu w podłodze za kokpitem, walcząc z ciśnieniem wywołanym przez wirowanie nurkującego samolotu. Hałas wewnątrz maszyny był nie do zniesienia. Zacząłem obsesyjnie myśleć o tym, że najwyżej za kilka sekund uderzymy o ziemię. W miejscu, w którym stał stolik nawigatora, ziała dziura w kadłubie, a białe płomienie z rykiem szalały wokół metalowych rozpór. Pozostała część kadłuba, mroczny, wąski tunel, który zawsze był niezwykle ciasny, wypełniał dym lśniący pomarańczowo od blasku ognia płonącego w głębi.

Nie widziałem żadnych innych członków załogi. Kopniakiem otworzyłem właz w podłodze, wystawiłem nogi na zewnątrz i po chwili wysiłku zdołałem wyskoczyć z samolotu. Maszyna przemknęła obok mnie jak gorąca pochodnia płonącego paliwa. Spadałem w ciemności, a wiatr owiewał mi twarz i chłostał uszy. Wymacałem linkę spadochronu, pociągnąłem i po chwili poczułem gwałtowne szarpnięcie w okolicy kręgosłupa, gdy czasza otworzyła się nade mną.

Moja instynktowna potrzeba szybkiej ucieczki z zestrzelonego samolotu okazała się uzasadniona, gdyż teraz dostrzegłem, że znajduję się niedaleko od ziemi. Przebiłem się już przez warstwę chmur. Pod sobą widziałem płonące miasto, w którym wciąż rozkwitały nowe liczne ogniste wybuchy. Instynktownie się skuliłem, nie chcąc wylądować w samym środku tego piekła. Po kilku sekundach stało się jasne, że wiatr odpycha mnie od największych pożarów. Wleciałem w pióropusz dymu, który nagle mnie oślepił i odebrał mi oddech. Podo mną rozrastało się i poruszało coś gorącego i żółtego. Przerazała mnie wizja wpadnięcia w płomienie. Po chwili wynurzyłem się z dymu bijącego w niebo, zaczerpnąłem świeżego powietrza i ponownie się rozejrzałem, próbując ustalić swoje położenie, ale niemal natychmiast spadłem na ziemię i przetoczyłem się po jakiejś brukowanej powierzchni, czując potworny ból w nodze. Spadochron włożył mnie za sobą, dopóki nie udało mi się z niego wypiąć. Leżałem nieruchomo, nie mogąc się poruszyć, sparaliżowany przez ból. Czuję dym, a za sylwetkami budynków po prawej stronie widziałem potężny pomarańczowy blask pożaru. Przez chwilę w pobliżu rozlegały się wybuchy, ale nie potrafiłem stwierdzić, czy to spadające bomby, czy strzelające działa przeciwlotnicze.

Kiedy nalot dobiegł końca, te dźwięki szybko ucichły. Zamiast nich usłyszałem odgłosy syren, wozów strażackich, gwizdków sygnałowych, okrzyków oraz łkania.

Leżałem ranny w sercu płonącego miasta, podczas gdy pozostałe bombowce leciały do domu.

Wkrótce mnie znaleziono i pod groźbą broni zabrano do niewoli. Potwornie bolała mnie noga, a krew zabrudziła mundur, ale odniosłem tylko powierzchowne obrażenia. Miałem skaleczenia na dłoniach, twarzy i klatce piersiowej oraz stłuczenia na rękach i plecach. Gdy niezdarnie wylądowałem ze spadochronem, odnowiła mi się dawna kontuzja lewej nogi, a także skręciłem prawą kostkę.

Po kilku dniach spędzonych w niemieckim wojskowym szpitalu wyruszyłem w powolną dwudniową podróż pociągiem do obozu dla jeńców wojennych Stalag-Luft VIII, usytuowanego w sercu sosnowego lasu gdzieś w środkowej części Niemiec. (W końcu dowiedziałem się, że znajdował się około dwunastu mil na zachód od miasteczka Wittenberga). Właśnie w tamtym obozie miałem spędzić resztę wojny, od początku listopada 1942 roku aż do wyzwolenia obozu przez amerykańskie wojsko w kwietniu 1945 roku.

Kiedy teraz przypominam sobie tamten odległy okres mojej młodości, zdaję sobie sprawę, że moja niewola trwała zaledwie nieco ponad dwa lata i trzy miesiące, czyli nie stanowiła znaczącej części mojego życia. Oczywiście wtedy inaczej na to patrzyłem. Byłem młody, sprawny fizycznie – gdy już zagoiły się moje obrażenia – i koniecznie chciałem uciec od ponurych drewnianych obozowych baraków oraz drutu kolczastego, przedostać się do Wielkiej Brytanii i na nowo podjąć walkę.

Wielu mężczyzn, z którymi zostałem uwięziony, od dawna przebywało w obozie. Niektórzy już próbowali ucieczki, kilku nawet wielokrotnie. Jednemu albo dwóm udało się uwolnić, a przynajmniej w to wierzyliśmy. W niektórych częściach obozu bezustannie rozmawiano o ucieczce. Kibicowałem tym planom, ale nigdy nie starałem się w nich uczestniczyć. Początkowo ze względu na trudności z chodzeniem, a później, kiedy większość moich dolegliwości ustąpiła, zrozumiałem, że przyzwyczałem się do niewoli i nie chciałem ryzykować zostania zbiegiem w Niemczech. Postanowiłem spokojnie przeczekać wojnę.

W obozie głód był naszym najgorszym wrogiem, a tuż po nim

nuda. Ogólnie rzecz biorąc, strażnicy z Luftwaffe nie traktowali nas źle i chociaż pojawiały się długie okresy, gdy brakowało jedzenia, jakoś przetrwaliśmy. Znacznie schudłem, ale ponownie przybrałem na wadze w ciągu kilku tygodni po powrocie do Anglii w 1945 roku. Moja znajomość niemieckiego z pewnością stanowiła cenny atut dla wielu jeńców: często służyłem jako tłumacz, udzielałem wskazówek ludziom, którzy przygotowywali się do ucieczki, a przez ostatnie dwanaście miesięcy niewoli prowadziłem regularne lekcje języka. To wszystko pozwalało mi walczyć z nudą.

Wkrótce po przybyciu do obozu w 1942 roku, za pośrednictwem Czerwonego Krzyża wysłałem dozwolony jednostronicowy list do domu. Napisałem do swoich rodziców, przekazując im wieści, które najbardziej chcieli otrzymać: że żyję, dobrze się czuję i jestem bezpieczny. Na końcu poprosiłem, żeby pozdrowili ode mnie Birgit i przekazali jej, że chciałbym, aby do mnie napisała.

Minęły ponad dwa lata od śmierci Joego. Przez większość tego czasu nie myślałem o Birgit: była bolesnym wspomnieniem, którego unikałem. Wszystko wskazywało na to, że ona myśli podobnie o mnie. Niewątpliwie dręczyło nas poczucie winy. Kiedy jeszcze byłem w Anglii, od czasu do czasu pytałem rodziców, co u niej słyszą, ale zawsze wtedy sprawiali wrażenie zażenowanych i odpowiadali, że zamknęła się w sobie i nie chce podtrzymywać kontaktu.

Nie wiedziałem, jak wyciągnąć od nich więcej informacji, więc nie próbowałem. Jednakże już podczas pierwszego tygodnia niewoli odkryłem, że jednym ze skutków beczynności jest stałe rozmyślanie o swoim życiu i przypominanie sobie wszystkich błędów.

Przestraszony doświadczeniem ponownego zestrzelenia, obolały od doznanych obrażeń, samotny w obozie, wkrótce zacząłem wracać myślą do romansu z Birgit i zastanawiać się, jakie były prawdziwe powody jego zakończenia. Miałem wrażenie, że między nami nie wydarzyło się nic złego, a

rozdzieliła nas straszliwa i niespodziewana śmierć Joego oraz wynikające z niej poczucie winy. W wyjątkowych warunkach odosobnienia, jakie panowały w obozie, zacząłem skupiać się na sobie i postanowiłem, że być może nadszedł czas odbudować przyjaźń z Birgit. Oczywiście nie miałem żadnej możliwości spotkania z nią przed zakończeniem wojny, ale uznałem, że możemy do siebie pisywać. Wciąż tliła się we mnie nadzieja.

Po kilku tygodniach otrzymałem list od matki, w którym poinformowała mnie, między innymi, że przekazała moją „prośbę”. Jednak Birgit nie odpowiadała przez kilka miesięcy.

Jej milczenie bardzo mi ciążyło. Początkowo irracjonalnie oczekiwałem, miałem nadzieję i zakładałem, że Birgit odpisze w ciągu kilku dni. Niektórzy z więźniów od dawna przebywający w obozie, ostrzegali mnie, że listy czasami całymi tygodniami albo miesiącami krążą pomiędzy międzynarodowymi agencjami i neutralnymi państwami. Czekałem więc, z trudem panując nad cierpieniem, licząc na to, że tym razem system zadziała szybciej i wkrótce otrzymam odpowiedź od Birgit.

Minął prawie rok, zanim się ze mną skontaktowała, a wtedy już pogodziłem się z myślą, że żaden list do mnie nie dotrze. Kiedy zrozumiałem, kto do mnie napisał i co może zawierać koperta, natychmiast ją rozdarłem i przeczytałem list z mocno bijącym sercem.

Został napisany po angielsku starannym odręcznym pismem, które przez krótki czas było mi bardzo znajome:

Drogi JL!

Brakuje mi słów, by wyrazić, jak bardzo się cieszę, że jesteś bezpieczny. Twoi rodzice poinformowali mnie, gdy tylko się do nich odezwałeś. Myślę o Tobie z miłością, podnieceniem oraz głęboką wdzięcznością za serdeczność, jaką mi okazałeś. Nigdy Cię nie zapomnę. Mam nadzieję, że wkrótce wrócisz do Anglii, znajdziesz wspaniałą żonę i reszta Twojego życia

potoczy się zgodnie z Twoimi pragnieniami. Jestem już bezpieczna i również szczęśliwa z nowym mężem i nowym życiem.

*Mam nadzieję, że zrozumiesz.
Serdecznie pozdrawiam,*

Birgit

Byłem głupcem, że żywiłem choćby szczątkowe nadzieje, ale kiedy przeczytałem list, odkryłem, że te nadzieje były wielkie. Wbrew wszystkiemu liczyłem na Birgit.

Stopniowo rozumiałem, że podobne listy otrzymywało wielu mężczyzn w obozie. Na przybycie transportu listów i paczek z Czerwonego Krzyża zawsze czekano z niecierpliwością, ale potem wśród ludzi zawsze panował nastrój niespokojnego milczenia. Tak wygląda los jeńców: bliscy pozostawieni w domu żyją dalej bez nas, nawet jeśli trudno nam to zaakceptować. Pozbycie się nadziei straszliwie boli. Po odebraniu listu od Birgit przez kilka tygodni byłem przygnębiony i niepokieszony. Starłem się w miarę możliwości trzymać z daleka od pozostałych jeńców.

Z czasem poczułem się nieco lepiej. W końcu przyjąłem do wiadomości, że to koniec. Chciałem, żeby Birgit była bezpieczna oraz szczęśliwa, i mogłem żyć bez niej, pod warunkiem, że nie będę musiał jej widywać. Kiedy myślałem o niej jako o części swojego życia, odczuwałem dotkliwe odrzucenie, smutek, zazdrość i samotność. Ale na dobre usunąłem ją ze swojego świata.

Grupa mężczyzn w baraku 119 zbudowała radio z części, które ukradli Niemcom. Dzięki niemu mogliśmy słuchać wiadomości na BBC. Od połowy 1943 roku śledziliśmy przebieg wojny: rzeź i cierpienie na radzieckim froncie, trudną amerykańską kampanię na wyspach Oceanu Spokojnego, inwazję na Włochy i upadek reżimu Mussoliniego. Po lądowaniu wojsk w Normandii

w czerwcu 1944 roku naszą chęć powrotu do domu dodatkowo spotęgowała świadomość, że Alianci wreszcie zaczynają wygrywać. Nadzieja na szybkie zakończenie niewoli towarzyszyła większości jeńców. Mogliśmy tylko niecierpliwie czekać na ratunek. Dni i miesiące ciągnęły się w nieskończoność.

Pewnego wieczoru, blisko końca wojny, w styczniu 1945 roku, zabrzmiała syrena przeciwlotnicza, a reflektory otaczające obóz gwałtownie zgasły. Działo się tak już dziesiątki razy wcześniej, nie byliśmy więc zaskoczeni. Zgodnie z zasadami Kommandanta jeńcy mieli zostać w swoich barakach i pod żadnym pozorem nie wychodzić na zewnątrz, dopóki nie rozlegnie się sygnał oznaczający odwołanie alarmu, a światła nie zostaną ponownie zapalone.

Jednakże wiedzieliśmy, że niemieckie wojska wycofują się na wszystkich frontach, Luftwaffe prawie nie funkcjonuje jako siła bojowa, a Rosjanie błyskawicznie przemierzają północne równiny Europy. Brytyjczycy i Amerykanie lada chwila mieli przekroczyć Ren. Kiedy tak się stanie, jedyną niewiadomą będzie to, która z alianckich armii dotrze do nas jako pierwsza. Byliśmy pewni, że wojna nie potrwa długo. Kommandant i jego zasady wciąż obowiązywały, ale już nie obawialiśmy się o swoje życie. Na każdym kroku odczuwaliśmy coraz więcej przejawów wolności, która zapowiadała czekające nas całkowite wyzwolenie.

Późnym popołudniem spacerowałem po obozie, korzystając z ładnej pogody. Po zmroku na bezchmurnym niebie zawisł księżyc w pełni. W powietrzu wyczuwało się przenikliwy ziąb, ale niemal nie było wiatru.

Można było przebywać na dworze, nie odczuwając dotkliwych skutków mrozu. Nie mogłem usiedzieć w baraku, kiedy więc światła zgasły, włożyłem gruby pulower i płaszcz. Pod osłoną ciemności wyszedłem ze wspólnej izby i krótkim korytarzem dotarłem do głównych drzwi. Lekceważąc zasady, cicho wyszedłem na dziedziniec, gdzie każdego ranka odbywał się

apel. Ciemne, wysokie drzewa napierały ze wszystkich stron na drut kolczasty otaczający obóz. Na tle nieba widziałem sylwetki drewnianych wież strażniczych. Głęboko zaczerpnąłem lodowatego powietrza, czując jego gwałtowny ożywczy dotyk na zębach i w gardle. Stałem na twardym, gołym żwirze, nasłuchując odgłosów nocy. Słyszałem niespokojną rozmowę strażników; gdzieś szczekały psy; ciche dźwięki dobiegały z licznych baraków. Niewielu z nas potrafiło się odprężyć, wiedząc o zbliżającym się nalocie.

Stałem samotnie na żwirowym dziedzińcu około pięciu minut. Potem dołączyła do mnie grupka jeńców z jednego z baraków. Znałem z widzenia wszystkich z naszej części obozu, ale na nieoświetlonym dziedzińcu widziałem tylko mroczne sylwetki. Pozdrowiliśmy się po angielsku, szepcząc nerwowo, nie chcąc zwracać na siebie uwagi strażników. Większość brytyjskich jeńców była oficerami RAF-u, głównie z załóg dywizjonu bombowego. W tym samym obozie, jednak w osobnych barakach, przeważnie z wyboru, przebywali oficerowie z Polski, Francji, Czech i Holandii, którzy latali w barwach RAF-u. Australijczycy, Kanadyjczycy, Rodezyjczycy i Nowozelandczycy zazwyczaj trzymali się z Brytyjczykami. Stanowiliśmy przekrój alianckich sił powietrznych. Byli także liczni amerykańscy lotnicy, których co prawda trzymano osobno, jednak kilku z nich postarało się o przeniesienie do naszej części obozu i wmieszało w nasze towarzystwo. Jankesi cieszyli się ogólną sympatią, ale zazwyczaj gorzej znosili niewolę niż Europejczycy. Mam wrażenie, że wielu z nich wciąż postrzegało wojnę jako europejską sprawę, w której załatwieniu pomagali, a nie jako własny konflikt. Przebywali daleko od domu. Ich paczki z jedzeniem były większe od naszych i zawierały pokarmy oraz smakołyki, które wydawały się nam egzotyczne, ale wszyscy Jankesi, którzy z nami przebywali, wykazywali się szczodrością, więc byliśmy skłonni im to wybaczyć.

Tamtej nocy wszyscy staliśmy w milczeniu w ciemności, obserwując niebo.

Kilka minut po północy usłyszeliśmy dźwięk silników, daleko i wysoko w górze. W ciszy rozglądaliśmy się po niebie, mając nadzieję, że dostrzeżemy samoloty. Odgłos stał się głośniejszy i zmienił w gardłowy, pulsujący ryk, który bardziej czuliśmy niż słyszeliśmy. Bombowce się zbliżały.

Wreszcie ktoś się odezwał: „Tam są!” i odwróciliśmy się ku zachodowi. Na tle gwiazd i nieba rozświetlonego blaskiem księżycy pojawiły się odległe sylwetki samolotów. Początkowo nadlatywały pojedynczo, potem coraz większymi grupami, dalekie, maleńkie i nieustępliwe. Ich strumień stał się gęstszy i szerszy. Próbowaliśmy je policzyć: pięćdziesiąt, sto, dwieście, nie, tam jeszcze więcej, co najmniej pięćset, może sześćset albo siedemset! Wyciągaliśmy szyje, nie przestając patrzeć, po odgłosach silników ze znanstwem rozpoznając halifaxy i lancastery, załadowane bombami i gotowe do akcji. Strumień bombowców nie miał końca, wydawał się niepowstrzymany, groźny, zdecydowany. Mieliśmy wrażenie, że warkot silników zagłusza wszystkie inne dźwięki. W blasku księżycy widzieliśmy strażników z Luftwaffe, którzy opuszczali swoje kwatery i stawali obok nas, wpatrując się w niebo.

Bombowce przelatywały nad nami ponad dwadzieścia minut, poruszając nas głębokim, pulsującym dźwiękiem silników, przerażająca armada w księżycowym blasku, aż wreszcie ostatnie maszyny zniknęły nam z pola widzenia. Stopniowo powracała cisza.

Stałem w ciemności, zupełnie jakbym starał się uchwycić ostatni ślad dźwięku silników, drobną pozostałość ich monotonnego odgłosu.

Jeńcy kolejno wracali do ciepłych baraków, ale ja pozostałem na dziedzińcu. Wkrótce znów stałem samotnie na otwartym terenie za' rzędem baraków, z głową odchyloną do tyłu, przeszukując wzrokiem niebo. Drżałem z zimna.

Ile jeszcze Niemcy mają miast, które Alianci mogą zniszczyć? Co pozostało? Kto jeszcze żyje w tych zrównanych z ziemią ruinach, na akрах przemieszanych gruzów, zimnych,

strzaskanych i przytłoczonych?

Rozmyślając o bezsensie wojny, ponownie przypomniałem sobie jeńca, którego wszyscy brali za Rudolfa Hessa. Jeszcze nie zapominałem człowieka, z którym spotkałem się na rozkaz Churchilla, na wpół obłąkanego, więźnia w obcym kraju, kurczowo trzymającego się przeszłości i proponującego przyszłość, której nikt nie pragnął i nie chciał z nim omówić. Nie rozwiązałem jego tajemnicy – być może nikt nigdy tego nie zrobi.

W nadchodzących miesiącach ponownie go zobaczyłem, chociaż tylko w kronikach filmowych. Pod koniec 1945 roku, gdy już wróciłem do Anglii, rozpoczęły się procesy norymberskie, a człowiek, który wyglądał jak Hess, pojawił się na ławie oskarżonych razem z pozostałymi żyjącymi nazistowskimi przywódcami. Siedział w pierwszym rzędzie pomiędzy Göringiem a Ribbentropem, z głupkowatym, przyjaznym wyrazem twarzy – na jednym z nagrań Göring otwarcie kpi z Hessa, który przesiedział większość procesu bez słuchawek z tłumaczeniem, spokojnie czytając książki. Podczas gdy większość nazistów skazano na śmierć, Hess otrzymał karę dożywotniego więzienia, gdyż jego zbrodnie złagodziła próba wynegocjowania pokoju, którą podjął w 1941 roku. Po zakończeniu procesu zniknął za murami Spandau i więcej go nie widziano. Już nigdy nie zwracano się do niego jego własnym nazwiskiem: od chwili zapadnięcia wyroku stał się Więźniem numer 7. Kiedy w 1987 roku doniesiono o jego śmierci, byłem zaszokowany, że przeżył tak długo, jak również tym, że o nim zapominałem.

W styczniu 1945 roku było nieistotne, czy był oszustem, a nawet czy próbował dostarczyć Churchillowi autentyczną propozycję pokojową. Pokoju nie zawarto w 1941 roku i wojna trwała dalej; z czasem stała się znacznie groźniejsza i bardziej skomplikowana niż wtedy, gdy Hess poleciał do Wielkiej Brytanii. Podczas długiej zimy 1945 roku konflikt wreszcie zbliżał się do końca, a dla ludzi takich jak ja liczyło się tylko,

kiedy będą mogli wrócić do domu.

Marzenia o ucieczce, które kiedyś stale towarzyszyły jeńcom wojennym, ustąpiły miejsca marzeniom o powrocie do ojczyzny. Kiedy Amerykanie wreszcie wyzwolili obóz, przewieziono nas ciężarówkami do północnych Niemiec, gdzie stacjonowała brytyjska armia. Stamtąd odlatywaliśmy małymi grupkami na pokładzie ciasnych bombowców, takich samych, jakimi wielu z nas latało podczas wojny.

Okazało się, że dom to stan umysłu, a nie rzeczywistość, w której mógłbym żyć. Wszystko, co znałem, zniknęło albo właśnie odchodziło w niepamięć. Kiedy tylko dotarłem do domu rodziców, poznałem prawdę o tacie, której mama świadomie unikała w swoich nieregularnie wysyłanych listach: miał zaawansowanego raka prostaty i zmarł pod koniec lipca, wkrótce po tym, jak użyto bomb atomowych przeciwko Japonii. Matka wkrótce zmarła na anginę. Joe oczywiście też nie żył, a Birgit ponownie wyszła za mąż.

Próbowałem zdobyć pracę w lotnictwie cywilnym, sądząc, że powinienem wykorzystać swoje umiejętności, ale wokół mnie było mnóstwo innych byłych pilotów RAF-u, którzy mieli podobne plany, a etatów brakowało. Łapałem się kolejnych prac bez przyszłości, ale miałem dopiero dwadzieścia osiem lat. Wciąż czułem się młody i odważnie spoglądałem w przyszłość. Podjąłem tę samą decyzję, co wielu moich rówieśników o podobnym pochodzeniu, i w marcu 1946 roku kupiłem bilet do Australii, korzystając z tamtejszego rządowego programu imigracyjnego. Musiałem czekać cztery tygodnie na odpięcie statku.

Na tydzień przed podróżą pożyczyłem samochód od przyjaciela i udałem się do Cheshire u podnóża Penninów. Wjechałem do wioski i minąłem dom Birgit i Joego, gdzie Birgit wciąż mieszkała w dniu, gdy napisała do mnie ostatni list. Zatrzymałem samochód kawałek dalej, zawróciłem, żeby móc obserwować dom, i wyłączyłem silnik. Był pogodny dzień, niebo zasnuwały rzadkie chmury, zza których co jakiś czas wyglądało słońce. Na

podstawie krótkich spojrzeń, którymi obrzuciłem dom, gdy go mijalem, a także późniejszej spokojnej obserwacji z daleka, stwierdziłem, że prawie się nie zmienił. Dach wciąż wymagał wymiany dachówek, a przy kominie nadal znajdowała się ta sama taśma izolująca, którą po amatorsku zamocowałem.

Widok domu wzbudził we mnie dziwaczną mieszaninę uczuć. To było miłosne gniazdko, w którym Birgit i ja spędzaliśmy niezapomniane weekendy, ale także dom Joego, miejsce, do którego nie powinienem mieć prawa wstępu. Siedziałem w samochodzie przez godzinę, cały czas zastanawiając się, co mam zrobić. Jeśli Birgit jest w domu, zostanę, a jeśli jej nie ma, wtedy odjadę. Wiedziałem, że oba wyjścia sprawiają mi ból. Szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, po co przyjechałem. W końcu postanowiłem odjechać, gdy nagle zauważyłem jakiś ruch przed domem.

Birgit pojawiła się w drzwiach i przytrzymała je, patrząc w dół. Uśmiechała się. Miała krótkie włosy i przybrała na wadze. Wpatrywałem się w nią, a jej widok nagle rozbudził we mnie uczucia. Stała przodem do mojego samochodu, ale najwyraźniej mnie nie zauważyła. Małe dziecko minęło ją i wybiegło do ogrodu, gdzie od razu usiadło, znikając mi z oczu. Nawet nie zerkając w moją stronę, Birgit wróciła do domu, zostawiając uchylone drzwi. Pojawiła się tylko na kilka sekund.

Wysiadłem z samochodu i ruszyłem ulicą. Kiedy zbliżyłem się do domu, zauważyłem druciane ogrodzenie, które ustawiono, żeby stworzyć plac zabaw. Ktoś wykopał płytki dołek w jednym narożniku pochylego trawnika i napełnił go białym piaskiem. Mała dziewczynka ubrana w brązowe ogrodniczki siedziała na środku piaskownicy i usypywała rękami malutkie kupki piasku. Włosy opadały jej na twarz, tak samo jak u Birgit, gdy ta skupiała się na swoich skrzypcach. Kiedy podszedłem do ogrodzenia i popatrzyłem na dziewczynkę, podniosła na mnie wzrok, ale już po chwili wróciła do zabawy.

Poraził mnie wygląd dziecka. Rozpoznałem w niej cechy mojej rodziny: twarz mojego ojca, jego oczy i usta. Miała włosy takiego

samego koloru jak ja i Joe. Instynktownie dostrzegłem w niej krew rodu Sawyerów, chociaż nie byłem pewien, co to dokładnie oznacza. Próbowałem odgadnąć jej wiek – nie miałem doświadczenia z dziećmi, ale uznałem, że ma około pięciu lat. To by znaczyło, że przyszła na świat w 1941 roku, a zatem musiała zostać poczęta pod koniec 1940 roku.

Wciąż stałem w miejscu, pogrążony w myślach, nie odrywając wzroku od bawiącego się dziecka, gdy nagle drzwi domu gwałtownie się otworzyły.

– Angela!

Pojawiła się Birgit. Zdecydowanym krokiem przemierzyła trawnik, chwyciła dziewczynkę, osłoniła dłonią jej głowę i twarz, po czym pośpiesznie wróciła do domu. Nawet na mnie nie spojrzała.

Kiedy zatrasnęły się za nią drzwi, usłyszałem marudzenie dziecka, które sprzeciwiało się tak szorstkiemu potraktowaniu. Drzwi nie zamknęły się do końca, tylko ponownie uchyliły. Zobaczyłem niewielki fragment wąskiego korytarza. Ponownie usłyszałem wołanie Birgit:

– Harry! Harry! Tam ktoś jest!

A więc poznałem imię dziecka. Zachowałem tę informację jak bezcenny skarb. Angela, ma na imię Angela. Moja córka – poczułem dreszcz odurzającego podniecenia – moja córka nosi imię Angela!

Po chwili drzwi znów się otworzyły. Jakiś mężczyzna przekroczył próg z gwałtownym ruchem ramion. Nigdy wcześniej go nie widziałem: wyglądał na czterdzieści albo pięćdziesiąt lat, miał ogorzałą, nieogoloną twarz. W domu za jego plecami wciąż rozlegał się płacz dziecka. Mężczyzna stanął przed drzwiami, wbijając we mnie wzrok, a jego milczenie i nieprzyjazne ułożenie głowy promieniowały upartą agresją.

Wycofałem się, wróciłem do samochodu i zjechałem ze wzgórza.

W następnym tygodniu mój statek wypłynął z Southampton, a ja wyruszyłem do Australii, żeby zacząć nowe życie. Podczas

sześciotygodniowego rejsu, który sam w sobie stanowił przygodę, jakiej nigdy nie przeżyłem, podjąłem świadomą decyzję, że jeśli chcę zadomowić się w Australii, muszę zostawić za sobą cały emocjonalny bagaż. Oczywiście coś takiego łatwiej zaplanować niż wykonać, ale wyczuwałem, że wielu ludzi spośród tych, którzy wsiedli razem ze mną na statek, emigrując z podobnych powodów, również doświadcza takich uczuć. Rozmawialiśmy o naszych nadziejach i planach, o wyzwaniu, jakim jest zaczynanie od zera w nowym i młodym kraju. Milczeliśmy na temat naszej przeszłości.

Płynąc przez spokojny Ocean Indyjski, czułem, że wszystko zaczyna mi uciekać.

Przybyłem do Australii. W tym pięknym i radosnym kraju rozpocząłem nowe życie, długo i ciężko pracując. Najpierw zatrudniłem się na niepełny etat jako pilot w firmie opryskującej pola. Pracy było mnóstwo, gdyż Australia dysponowała rozległymi terenami. Wkrótce awansowałem na pełnoetatowego pilota i otrzymałem stałą pensję; potem zostałem kierownikiem w firmie, a po piętnastu latach jej właścicielem. Później przenosiłem się do innych firm lotniczych, gdzie zazwyczaj miałem okazję siadać za sterami, co stanowiło sposób na spalanie energii.

Wróciłem do Wielkiej Brytanii w 1982 roku, kiedy skończyłem sześćdziesiąt pięć lat. Do tego czasu zdążyłem odłożyć mnóstwo pieniędzy i kupiłem mieszkanie, z którego do niedawna korzystałem. Przeszedłem na emeryturę, nie zastanawiając się, co to oznacza, dopóki nie miałem okazji dłużej posiedzieć beczynnie. Wkrótce okazało się, że beczynność to coś, z czym radzę sobie najgorzej.

Przeszedłem przez okres niepokoju, gdy bez końca podróżowałem, starając się bezustannie poznawać nowych ludzi i zawierać kolejne przyjaźnie, podążając za zainteresowaniami i angażując się w nowe projekty. Nawiazywałem niezobowiązujące kontakty z kolegami z RAF-u i obozu, kilku z nich nawet odwiedziłem. Zdaję sobie sprawę, że to przewidywalne

zachowania u emerytów, którzy wiodli aktywne życie. W moim wypadku niewiele dały – a resztą gwałtownie się skończyły za sprawą drobnego zawału serca. Nie jestem w stanie stwierdzić, czy sam do tego doprowadziłem swoim postępowaniem, ale od tamtej pory muszę żyć znacznie spokojniej.

Kiedy wracałem do zdrowia, nastąpił dla mnie nieunikniony czas refleksji i zacząłem analizować swoje życie. Wydawało się, że jest na to najwyższa pora, skoro skończyłem siedemdziesiąt lat i mam serce, które dotkliwie przypomniało mi o mojej śmiertelności. Nadszedł czas wszystko przemyśleć.

Kiedy piszę te słowa i spoglądam wstecz na swoje życie, jest dla mnie jasne, że należę do pokolenia, którego życie zostało trwale naznaczone, być może nawet zrujnowane przez udział w II wojnie światowej. Młodość w czasach wojny to doświadczenie, którego nie da się z niczym porównać.

Wystarczy raz na zawsze, ale jeśli się je przetrwa, tak jak ja, dalsze życie nie przypomina tego, co było wcześniej.

Dla mnie wojna, a zatem młodość, skończyła się w styczniu 1945 roku, gdy stałem na mroźnym obozowym dziedzińcu gdzieś w Niemczech i samotnie czekałem.

Wtedy po raz ostatni podczas tej wojny zobaczyłem nad sobą strumień bombowców, gdy dywizja bombowa wykonywała swoje śmiertelne zadanie. Nie wiedziałem, do jakiego miasta samoloty zmierzały tamtej nocy, ale wiem, że nie miała to być ich ostatnia misja. W kolejnych tygodniach ich udziałem miały się stać kolejne potężne i straszliwe naloty, o których dowiedziałem się na długo po zakończeniu wojny: niszczycielskie bombardowania Drezna, Pforzheim, Dessau oraz wielu innych miast i miasteczek, które były niemal bezbronne po upadku niemieckiego ruchu oporu.

Częściowo to wyczuwałem, gdy dygotałem tamtej mroźnej nocy – chciałem zobaczyć samoloty po raz ostatni. Pozostali jeńcy wrócili do swoich baraków, strażnicy się oddalili. Nie było żadnego powodu, by samoloty miały wracać tą samą drogą. Zazwyczaj, w celu uniknięcia nocnych myśliwców, bombowce

rozpraszają się i lecą do bazy różnymi trasami. Jednakże na tym etapie wojny każda załoga zapewne wybrała najkrótszą i najbardziej bezpośrednią trasę. Długa cisza trwała.

Kiedy już miałem zrezygnować, w końcu usłyszałem to, na co czekałem: odległy odgłos silników. Zacząłem rozglądać się po niebie i wkrótce wypatrzyłem pierwszy z powracających bombowców. Potem pojawiły się kolejne. Niedługo nad moją głową znów przeleciały setki maszyn. Już nie tworzyły zwartego strumienia, ale leciały na różnych pułapach, przeważnie pojedynczo, czasami w parach albo niewielkich grupach. Minęły mnie dopiero po przeszło godzinie. Kierowały się na zachód, z powrotem do swoich baz, do Anglii. Gdzieś za nimi niemieckie miasto, którego nazwy nie znałem, leżało przytłoczone, błyszcząc i dymiąc pośród nocy.

CZEŚĆ TRZECIA

1999

1

Pięć miesięcy po spotkaniu z Angelą Chipperton podczas podpisywania książek w Buxton, Stuart Gratton skończył pracę nad swoją najnowszą niebeletrystyczną książką „Puste miasta Wschodu”. Była to kolejna spisana ustna opowieść, tym razem dotycząca doświadczeń mężczyzn i kobiet, którzy zostali wysłani na Ukrainę pomiędzy 1942 a 1948 rokiem, żeby wybudować i zasiedlić nowe niemieckie miasta w ramach nazistowskiej polityki *Lebensraum*. Stuart przesłał wydruk i dyskietkę do swojego agenta literackiego, uporał się z zaległymi wiadomościami i pocztą, a następnie zrobił sobie krótkie wakacje. Najpierw odwiedził swojego syna Edmunda (lat dwadzieścia siedem, zatrudniony w firmie telefonicznej w Worcester, żonaty, ciężarna żona Hayley, dziecko spodziewane w październiku), a kilka dni później pojechał do Yorkshire, żeby spotkać się ze swoim drugim synem Calvinem (lat dwadzieścia dwa, na studiach doktoranckich na Uniwersytecie Hull, nieżonaty, żyjący pod jednym dachem z młodą kobietą imieniem Eileen). Dziesięć dni później wrócił do domu. Agentka potwierdziła, że otrzymała nową książkę, ale zastrzegła, że jeszcze nie miała czasu jej przeczytać w całości, ale tekst podobno czytał redaktor z wydawnictwa: Gratton pod wpływem impulsu wysłał mu go mailem, zanim wyjechał.

Jak dotąd, postępował zgodnie ze schematem, który zawsze

wcielał w życie po ukończeniu książki. W następnej kolejności zazwyczaj czym prędzej rozpoczynał pracę nad kolejnym projektem, co dawało mu swoiste psychologiczne zabezpieczenie przed potencjalnymi problemami z oddanym tekstem.

Jadąc przez Penniny w drodze powrotnej z Hull, próbował zdecydować, od której książki zacząć pracę. Miał w głowie dwa projekty, ale oba nastęczały mu pewnych kłopotów, chociaż z odmiennych powodów.

Jeden wymagał mnóstwa czasu i badań: Gratton zamierzał napisać społeczną historię Stanów Zjednoczonych od przełomu lat 1960/61, gdy Richard M. Nixon został wybrany na prezydenta po zakończeniu urzędowania przez Adlai Stevensona. Administracja Nixona, która doszła do władzy dzięki hasłom powrotu żołnierzy do domu, tak naprawdę podwoiła liczebność amerykańskiego wojska na Syberii. Nadmiernie ambitną, nieprzemyślaną i nieuczciwie finansowaną zagraniczną politykę Nixona powszechnie uważano za główną przyczynę ekonomicznej stagnacji, w której Stany Zjednoczone tkwiły do dzisiaj. Gratton zamierzał ruszyć w podróż po Ameryce i przeprowadzić wyczerpujące wywiady z głównymi postaciami z tamtych czasów, ilustrując ich słowa aktualną analizą stanu państwa. Wiedział, że bez problemu sprzeda tę książkę: już otrzymał poważne oferty od trzech wydawców, a Fundacja Gulbenkiana zobowiązała się zapewnić mu sówite finansowe wsparcie podczas wielomiesięcznego gromadzenia materiałów. Wystarczyło, żeby Gratton polecił agentce sporządzić umowę na podstawie najkorzystniejszej oferty, i mógłby się wziąć do pracy, kiedy tylko zechce.

Zniechęcały go jednak rozmiary tego projektu. Chociaż w dużej mierze rozplanował go w myślach, a większość osób, z którymi zamierzał porozmawiać, mailowo wyraziła chęć współpracy, przygotowanie tak rozległego opracowania wymagało dwóch albo trzech lat niepodzielnej uwagi. Przede wszystkim wiązało się to z koniecznością przeprowadzenia się na kilka miesięcy do

Stanów Zjednoczonych i nieustannych podróży po kraju. Jego nowa książka, „Puste miasta”, wymagała trzech wizyt w Ameryce, podczas których Gratton rozmawiał z odnalezionymi uczestnikami ukraińskiego powstania z 1953 roku. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych do Stanów Zjednoczonych przeprowadziły się dziesiątki tysięcy emigrantów z Europy Wschodniej. Gratton nie miał ochoty tak szybko wracać za ocean. W Stanach Zjednoczonych nie brakowało rozrywek ani rzeczy godnych uwagi i podziwu, ale dla podróżnika albo badacza z Europy pobyt w Ameryce wiązał się z niekończącymi się kłopotami i nużącym zmaganiem się z mentalnością typową dla Trzeciej Wojny, wciąż silnie obecną w amerykańskim życiu politycznym. Gratton nie miał ochoty na kilkumiesięczne potyczki z podejrzliwą biurokracją, nieuczciwymi kursami walut i niedziałającą technologią oraz na każdorazowe zgłaszanie policji i FBI przybycia do nowego miasta czy okręgu. Pamiętał swoją pierwszą wizytę w Stanach Zjednoczonych w 1980 roku. Kontakt z wszechobecną izolacjonistyczną mentalnością, ksenofobią, cenzurą w mediach, miastami zarządzanymi przez przestępców, brakiem paliwa oraz zawyżonymi cenami sprawiał mu perwersyjną przyjemność, zupełnie jakby wybrał się na wycieczkę w lata trzydzieste, do czasów Wielkiego Kryzysu. Jednakże od tamtej pierwszej wizyty minęły dwie dekady, w Ameryce nic się nie zmieniło na lepsze, a wspomniane atrakcje straciły na świeżości.

Kolejnym projektem, nad którym mógłby zacząć pracować, była wstępnie planowana książka o Sawyerze, poświęcił jednak tyle czasu „Pustym miastom”, że niemal się nią nie zajmował. Przypadkowo w drodze powrotnej z Hull przejeżdżał przez Bakewell, małe miasteczko, w którym mieszkała Angela Chipperton, więc przypomniał sobie o niej i notatkach, które mu pożyczyła. W porównaniu z opracowaniem historycznym o Stanach Zjednoczonych książka o Sawyerze kusila niewielką skalą przedsięwzięcia, zagadką wymagającą wyjaśnienia, a najlepiej rozwiązania, brakiem konieczności dalekich podróży i

zaledwie kilkoma tygodniami bezproblemowego gromadzenia materiałów w archiwach oraz internecie.

Głównym problemem dotyczącym tego projektu, nie licząc braku odzewu na zamieszczone ogłoszenia, był fakt, że Angela Chipperton od czasu ich krótkiego spotkania nie odpowiadała na podejmowane próby kontaktu. Gratton wysłał kserokopie notatek do agencji zajmującej się transkrypcją tekstów, spodziewając się reakcji Angeli. Agencja wkrótce zwróciła mu przepisane materiały, ale pani Chipperton jeszcze nie przesłała oryginalnych notatników ani nie wyraziła oficjalnej zgody na skorzystanie z ich treści. Gratton znał tylko jej adres do korespondencji. Nie znalazł numeru telefonu, a Angela najwyraźniej nie używała e-maila.

Tymczasem Sam Levy z Masady również nie odpisywał: od początku stanowił wątpliwy trop, nie było bowiem gwarancji, że jeszcze żyje. Zresztą jego związki z Sawyerem mogły się okazać ułudą. Gratton przez lata nauczył się, że przypadki niemal się nie zdarzają. Wszystko jest w jakiś sposób powiązane. Miał przeczucie, że swobodna uwaga Levy'ego na temat Sawyera z RAF-u dotyczyła tego samego człowieka, ale niezależnie od odpowiedzi Levy'ego nie mógł mieć gwarancji, że zdoła „znaleźć” prawdziwego Sawyera.

Zdawał sobie sprawę, że historia Sawyera może się okazać stratą czasu, a pracochłonne zbieranie materiałów nie zaowocuje napisaniem, a tym bardziej wydaniem książki. Możliwe, że zagadka wcale nie jest zagadką, tylko pomyłką Churchilla, a nawet błędem w druku. Wielokrotnie zdarzało się, że pomysł na książkę prowadził autora na manowce. Nie byłby to także pierwszy raz, gdy historycy dali się zwieść Churchillowi, wielkiemu manipulatorowi dwudziestowiecznej historii.

2

W końcu decyzja została podjęta za niego. Kilka minut po tym, jak wrócił do domu, gdy jeszcze rozpakowywał samochód, sąsiadka przyniosła kilka dużych paczek, które odebrała w imieniu Grattona podczas jego nieobecności. Wśród nich znalazła się także niewielka, solidnie zapakowana przesyłka ze znaczkiem i pieczętką z Masady.

Gratton zajął się niezbędnymi obowiązkami, ale kiedy tylko znalazł nieco czasu, usiadł w swoim gabinecie i otworzył paczkę od Sama Levy'ego. Potem w końcu przeczytał notatniki Sawyera.

Obudził się wcześniej po słabo przespanej nocy. Zadzwoił do swojej agentki i zostawił na jej poczcie głosowej wiadomość, prosząc, by wstrzymała prace nad projektem dotyczącym amerykańskiej historii społecznej. Zszedł do samochodu i ruszył poprzez Góry Pennińskie, pośpiesznie powtarzając swoją trasę z poprzedniego dnia, przez Buxton, ku miasteczku Bakewell.

3

Nie znał Bakewell, jedynie od czasu do czasu przejeżdżał przez to miasteczko, nie mając żadnego powodu, żeby się zatrzymać. Kiedy żyła Wendy, czasami wykorzystywali Bakewell jako bazę wypadową podczas spacerów, parkując tam samochód, a następnie wędrując po wiejskiej okolicy, ale od czasu śmierci żony Gratton zrezygnował z tych wypraw, chociaż wciąż obiecywał sobie, że wróci do regularnych ćwiczeń, gdy tylko upora się z nawałem pracy.

Szukał Williamson Avenue, adresu, który sprawiał wrażenie łatwego do znalezienia. Bakewell było małym miasteczkiem, więc gdy dotarł na miejsce, zaczął krążyć po ulicach, uważnie się rozglądając. Wstąpił do kiosku, żeby kupić plan, ale wszystkie zostały sprzedane. Spytał mężczyznę za ladą, czy wie, jak dotrzeć na Williamson Avenue, a ten skierował go poza miasteczko, w stronę Monyash. Gratton zawrócił, gdy znalazł się we wsi, nie zauważywszy szukanej drogi.

W końcu ją znalazł, zaskakująco blisko centrum miasteczka: była to zabudowana ulica odchodząca od innej takiej samej ulicy. Po jej jednej stronie stały dosyć nowoczesne domy, a po drugiej ciąg niedawno wybudowanych pawilonów handlowych. Angela Chipperton podała mu numer 17, ale tam znajdowała się pralnia. Mieszkanie na piętrze było puste.

Według właściciela sąsiadującej apteki jedna z firm dystrybucyjnych używała go jako magazynu. Najwyraźniej nikt tam nie mieszkał.

Gratton pojechał do centrum informacyjnego w ratuszu i przeprowadził systematyczne śledztwo. Najpierw odkrył, że domy przy Williamson Avenue wyburzono około dziesięciu lat wcześniej, żeby zrobić miejsce dla sklepów, ale przedtem przez

kilka lat stały opuszczone i zaniedbane. W Bakewell nie mieszkali żadni Chippertonowie, Sawyerowie ani Grattonowie. Nie było tam również żadnych Chipperfieldów, Sayerów ani Grattanów, a przynajmniej nikt o takim nazwisku nie nosił imienia chociaż podobnego do imienia kobiety, którą próbował odnaleźć. Zrzucił sieć dalej, szukając w okolicy miasteczek i wiosek o nazwie przypominającej Bakewell: znalazł Blackwell, Baslow, Barlow i oczywiście Buxton. Wszystkie okazały się ślepym tropem: w żadnym z nich nie mieszkał nikt o podobnym nazwisku, a z pewnością nie przy Williamson Road, Street, Lane czy Avenue.

W samochodzie dokładnie przeczytał list polecający od Angeli Chipperton. Nie mógł się pomylić: jej adres wydrukowano na papierze listowym wyraźną czcionką.

Pojechał do domu, poirytowany, a nie zaintrygowany. W historii Sawyera pociągała go tajemnica, tymczasem pani Chipperton zapewniła mu kolejną zagadkę, która stanowiła jedynie stratę czasu.

Tamtego wieczoru, na chwilę zapominając o irytacji, ponownie przeczytał notatki Sawyera, a potem wrócił do materiałów, które wreszcie przesłał mu Sam Levy.

**Pan Stuart Gratton,
Cliffe End, Rainow,
Cheshire, Wielka Brytania
3 sierpnia 1999**

Szanowny Panie Gratton!

Mam nadzieję, że wkrótce Pan zrozumie, dlaczego tak długo zwlekałem z odpowiedzią na Pańskie zapytanie o kapitana Sawyera. Przepraszam także, że nawet nie powiadomiłem Pana o jego otrzymaniu. Może lepiej zrozumie Pan tę zwłokę dzięki załączonym materiałom, nad którymi pracowałem od chwili odebrania Pańskiego listu. Liczę, że pozwolą one dostrzec, na co poświęciłem tyle czasu. Jednakże potrafię czytać między wierszami Pańskiego listu, dlatego zapewniam, że wciąż cieszę się dobrym zdrowiem, mimo że w przyszłym roku kończę osiemdziesiąt jeden lat. Rany, jakie odniosłem podczas wojny, przez wiele lat nie dawały o sobie znać, ostatnio jednak znów zaczęły mi dokuczać. Mam trudności z chodzeniem, wstawaniem i kładzeniem się do łóżka, siadaniem, podnoszeniem się i tak dalej, ale kiedy już zajmę miejsce, nie czuję się niekomfortowo. Moja żona Ursula zmarła w zeszłym roku, dlatego musiałem opuścić dom, o którym Pan wspomniał. Mieszkam teraz bardzo wygodnie u swojej siostrzenicy i jej rodziny. Mam do dyspozycji wiosny pokój, swoją nienaruszoną bibliotekę, dostęp do internetu, mój mózg pracuje na wystarczająco wysokich obrotach i ogólnie wiodę przyjemne życie. Mam nadzieję, że tak będzie jeszcze przez kilka lat!

Wróćę do tematu Pańskiego listu.

Już wcześniej natrafiłem na wspomniane słowa Churchilla dotyczące Sawyera. Prawdę mówiąc, tamta notatka służbowa stanowi część akt, które gromadziłem, gdy Pan do mnie napisał, więc najwyraźniej myślimy podobnie. (Umieściłem ją w miejscu zgodnym z chronologią wydarzeń). Owszem, Sawyer, o którym wspomina Churchill, to niemal na pewno Sawyer, z którym przez jakiś czas latałem. Jednakże muszę się ograniczyć do stwierdzenia „niemal na pewno”, gdyż nie myli się Pan, twierdząc, że tego człowieka otacza tajemnica.

To właśnie dziwne zachowanie Sawyera podczas wojny zwróciło moją uwagę. Początkowo wywoływało u mnie lekką irytację, później zaczęło potencjalnie zagrażać bezpieczeństwu całej załogi, a po wojnie stało się tajemnicą, której wciąż nie rozwiązano. Nie twierdzę, że mi się to udało, ale uważam, że to, czego się dowiedziałem, może poprowadzić Pana do odpowiedzi. Jednakże nie wszystko jest tak jasne, jak mogłoby się wydawać. Churchill zarazem miał rację i się mylił, co często mu się przytrafiało.

Relacja w pierwszej osobie dołączona do niniejszego listu to mój własny krótki opis spotkania z JL (kapitanem Jackiem Sawy erem), tego, co się wydarzyło, gdy razem lataliśmy pod egidą RAF-u, oraz tragicznego końca tej współpracy. Pozostałe strony to materiały, które zbieram od dłuższego czasu: kserokopie, dane ściągnięte z internetu, wyrwane kartki z czasopism, wycinki z gazet i tak dalej. Niektóre z nich było trudno zdobyć, ale to niezwykle, jak wiele można wyszperać, gdy ma się dostęp do internetu i tyle wolnego czasu co ja, a także odrobinę upor. Domyślam się, że jest Pan w tym specjalistą, ale dla mnie była to ciekawa podróż poprzez przeszłość. Może powinienem Pana ostrzec, że te akta niosą ze sobą więcej pytań niż odpowiedzi.

Powinienem także uprzedzić Pana, że zapewne nie wszystko, czego się Pan dowie z tych materiałów, przypadnie Panu do gustu, ale wiem, że jako historyk jest Pan na to

gotowy.

W swoim liście do mnie użył Pan zwrotu „żywo zainteresowany”. Doskonale to rozumiem. Ja również z żywym zainteresowaniem wysłucham reszty tej niedokończonej historii.

Na końcu pozwolę sobie zaznaczyć, że niezależnie od tego, czy zechce Pan ponownie ze mną porozmawiać, zawsze będzie Pan mile widziany w moim tropikalnym raju. Niech Pana nie zniechęcą najnowsze wieści o walkach i terroryzmie na tej dużej wyspie. Doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, jak nasz kraj czasami jest postrzegany za granicą. Rząd zajął się powstańcami i sytuacja jest pod kontrolą. Rdzenni Malgaszowie zajmują swoją część wyspy i w przyszłym roku otrzymają częściową autonomię. To z pewnością zaspokoi ich żądania. Tymczasem w dużych miastach toczy się nowoczesne, wygodne i niezwykle przyjemne życie. Czekam z niecierpliwością, aż ponownie Pan przyjedzie i przekona się o tym na własne oczy. „Masada” dla naszych ludzi to już nie tylko stan umysłu.

Sam Levy

CZEŚĆ CZWARTA

1940-1941

**Oświadczenie Samuela D. Levy'ego
dla Stuarta Grattona,
lipiec 1999.**

**Temat: Kapitan lotnictwa J.L. Sawyer,
dywizjon 148, RAF**

1

Moje pierwsze wrażenie dotyczące Jacka („JL”) Sawyera było całkowicie pozytywne. Zostałem przydzielony do dywizjonu 148 i razem z innymi osobami, które znajdowały się w tym samym położeniu, przechodziłem dosyć ekscentryczny i nieformalny proces rekrutacji stosowany przez RAF. Wszystkich wysłano do hangaru szkoleniowego i pozostawiono, żeby sami uformowali załogi. Zauważyłem JL-a zaraz po wejściu, po części dlatego, że był oficerem – na tak wczesnym etapie wojny większość członków załóg lotniczych składała się z podoficerów, takich jak ja, dlatego JL stanowił wyjątek – ale także dlatego, że był zawodowym żołnierzem, a nie rezerwistą. Z góry założyłem, że nie jestem godny należeć do jego załogi. Właśnie gawędziłem z wysokim młodym chorążym, który nosił insygnia inżyniera pokładowego, gdy nagle JL podszedł do mnie z przyjaznym wyrazem twarzy.

– Jesteś nawigatorem, zgadza się? – spytał.

Miał przyjemny głos, jaki w tamtych czasach ludzie tacy jak my nazywali akcentem BBC, ale mówił z wesołą intonacją, zupełnie jakby nie traktował siebie poważnie. Był potężnym facetem: miał

szerokie ramiona, duże plecy, silne ręce i chodził jak sportowiec. Później dowiedziałem się, że startował w igrzyskach olimpijskich, ale wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Wiedziałem tylko, że otacza go aura pewności siebie, która świadczy o wewnętrznej sile. Instynktownie poczułem do niego sympatię i uznałem, że będę bezpieczny w jego samolocie.

– Tak – odrzekłem. – Sierżant Sam Levy.

– Wśród załogi nie używamy rang – odparł JL. – Jak ci poszło podczas szkolenia?

– Myślę, że dobrze. Tylko raz się zgubiłem.

– Co wtedy zrobiłeś?

– Znaleźliśmy lotnisko i wylądowaliśmy, a potem skontaktowaliśmy się z bazą. Podali nam właściwy kurs powrotny. Wtedy po raz pierwszy samodzielnie prowadziłem samolot; od tamtej pory taka wpadka mi się nie przytrafiła.

– Przynajmniej szczerze o tym mówisz! Skąd pochodzisz?

– Jestem londyńczykiem – odrzekłem. – Pochodzę z Tottenhamu.

– Ja urodziłem się w Gloucestershire. Nazywam się JL Sawyer. Chciałbyś spróbować szczęścia w mojej załodze?

– Tak, chciałbym! W szkole dla nawigatorów powiedzieli, że każdy raz się gubi. Nie wejdzie mi to w krew.

Roześmiał się na te słowa, objął mnie ramieniem i zaprowadził do chorążego Johna Skinnera, czyli „Lofty’ego”, jak go później nazywaliśmy. W ten sam swobodny sposób wkrótce skompletowaliśmy resztę załogi: wcześniej gawędziłem z australijskim bombardierem Tedem Burrage’em, więc i on do nas dołączył – sam zdążył już poznać polskiego Strzelca Krzysztofa Gałązkę oraz młodego Kanadyjczyka Colina Andersona, który był radiotelegrafistą. Kiedy skończyliśmy rekrutację, całą szóstką udaliśmy się do kantyny na filiżankę herbaty i zaczęliśmy mierzyć się wzrokiem.

JL wyglądał według mnie jak typowy oficer RAF-u: był przystojny, nosił zawadiacko przekrzywioną czapkę, miał obsesję na punkcie latania, swobodnie posługiwał się lotniczym

żargonem, wymachiwał dłońmi, naśladując ruchy samolotu, miał doświadczenie na polu walki, dużo wiedział o celach i metodach bombardowania, a także chętnie służył radą niedoświadczonym rekrutom. Powiedział nam nawet, że był w Niemczech przed wojną i osobiście widział Hitlera. Tamtej nocy, zanim się położyłem, pogratulowałem sobie znalezienia pierwszorzędnego kapitana.

Cztery tygodnie później, kiedy ukończyliśmy intensywne szkolenie z nawigacji, techniki artyleryjskiej i bombardowania, mieliśmy poczucie, że stanowimy prawdziwą załogę. Doświadczenie JL-a było nieocenione. Po pierwsze, brał udział w dziennych nalotach, czym zasłużył na nasz szacunek: wiedzieliśmy, jak niebezpieczne były to zadania. Poza tym kilkakrotnie uczestniczył w misjach przeciwko okrętom, dzięki czemu zyskał ogromne doświadczenie w lataniu nad morzem, co mogło się nam bardzo przydać. Według wojennych standardów RAF-u był weteranem nalotów, w połowie pierwszego okresu służby z jedenastoma ukończonymi misjami na koncie. Był urodzonym przywódcą i od razu zyskał nasz szacunek.

Po szkoleniu przydzielono nam naszego własnego wellingtona A-Able. Pierwszą misję jako załoga odbyliśmy w ostatnim tygodniu sierpnia 1940 roku: był to nalot na jakiś cel w Zagłębiu Ruhry. Nie wstydzę się przyznać, że byłem przerażony. Nie miałem pojęcia, czy w ogóle trafiliśmy w cel. Następnej nocy mieliśmy zbombardować lotnisko w Niderlandach. Później przyszedł czas na nowe zadania, a w kolejnych tygodniach i miesiącach nasze życie stało się nieprzerwanym pasmem szkoleń, przygotowań i nalotów. To był surowy, zimny, straszny i wyczerpujący czas, ale myślę, że żaden z członków załogi JL-a niczego by nie zmienił w tamtych tygodniach.

2

Jednakże przez kilka tygodni zimą i wiosną 1941 roku byłem przekonany, że JL nie wytrzymał presji. Jego dziwne

zachowanie nieodłącznie towarzyszyło naszej pracy. Podobno trzeba być szaleńcem, żeby zgłosić się na ochotnika do czynnej służby, ale mówiliśmy tak tylko żartem, jakbyśmy chcieli wstydliwie się usprawiedliwić. Wielu z nas świadomie zaciągnęło się do wojska, wiedząc, że chcemy wziąć udział w wojnie. Przyciągnęło nas poczucie buntu przeciwko Hitlerowi, które stanowiło ważny element życia w tamtych latach. Co do ochotniczej służby w lotnictwie: prawdę mówiąc, większość z nas w sekrecie uważała, że jesteśmy w najlepszej sytuacji. Nigdy nie zamienilibyśmy się miejscami z obsługą naziemną.

Co prawda, nie ryzykowali życia, ale harowali dniem i nocą bez względu na pogodę, nie mogąc liczyć nawet na odrobinę emocji. My pragnęliśmy działać i okrywać się chwałą, a chociaż codzienność pracy lotnika wcale nie wygląda tak atrakcyjnie, tylko my o tym wiedzieliśmy. Nie bez znaczenia był też fakt, że nasz fach robił duże wrażenie na dziewczętach.

Prawdziwym problemem był kontrast pomiędzy beczynnością, która wypełniała większość dni, a niebezpieczeństwami, z którymi mierzyliśmy się nocami. U wielu z nas pojawiły się nietypowe zachowania, które czasami ocierały się o ekscentryczność czy dziwactwo. Po pewnym czasie przestawało się zwracać uwagę na Strzelca, który wszędzie chodził w kominiarce, mężczyznę, który cicho gwizdał przez zęby podczas odpraw, inżyniera pokładowego, który stanowczo odmawiał zdjęcia lotniczej kurtki, nawet kiedy kładł się spać. Wszyscy nosili przy sobie osobiste talizmany, a gdy te gdzieś się zapodziały, godzinami rozpaczliwie ich szukali. Niektórzy pomiędzy misjami zamykali się w sobie albo robili się agresywni, ale przed startem zmieniali się w ekstrawertyków. Wieczorami, gdy nie wykonywaliśmy nalotów, większość z nas chodziła do kasyna, żeby się zaprawić: nasi przełożeni nie tylko tolerowali te hulanki, ale podejrzewaliśmy, że ich od nas oczekują.

Zatem dziwne zachowania były normą, która nie wzbudzała komentarzy. Chyba że przytrafiały się członkowi twojej własnej załogi. Wtedy zaczynałeś się obawiać o swoje bezpieczeństwo w

powietrzu.

Właśnie to zaczęło mnie niepokoić w odniesieniu do JL-a. Zauważyłem, że często opuszcza bazę, nie mówiąc nam, dokąd się udaje, a nawet nie załatwiając oficjalnej przepustki. Nie chciał rozmawiać o swoich eskapadach ani o innych sprawach. Sytuacja stała się poważniejsza, gdy Krzysztof Gałązka, nasz tylny strzelec, stwierdził, że pewnego ranka przypadkowo usłyszał, jak JL rozmawia z kimś przez telefon po niemiecku.

Lofty Skinner był drugim co do starszeństwa członkiem załogi, więc zacząłem od zasięgnięcia jego rady. Okazało się, że on również zauważył te dziwne zachowania. Zatem pewnego wieczoru w barze przyparliśmy JL-a do muru i spytaliśmy go wprost, co się dzieje. Początkowo był zaskoczony, ale potem z ulgą przyznał, że cieszy go nasze zainteresowanie. Stwierdził, że usiłuje utrzymać pewne sprawy w tajemnicy, z wielu różnych powodów, i poprosił, żebyśmy również zachowali dyskrecję.

Powiedział nam, że jest żonaty, a ożenił się jeszcze przed wojną. Wiedział, że to nic szczególnego, ale on i jego żona od dawna starali się o dziecko. Teraz ona była w ciąży, a rozwiązania oczekiwano pod koniec maja.

– Pierwsze dwa albo trzy miesiące były względnie bezproblemowe, ale ostatnio żona skarży się na dolegliwości. Ma podwyższone ciśnienie krwi i inne objawy. Ze względu na wojnę i kłopoty, jakie sprawia moja nieobecność, szaleję z niepokojem.

– Czy nie powinna leżeć w szpitalu? – spytałem.

– Tak, oczywiście. Ale mieszkamy niedaleko Manchesteru, a ze względu na bombardowania szpitale pękają w szwach. Ciężarne kobiety w miarę możliwości przebywają w domach.

Wyjaśnił nam, jak bardzo odizolowany jest jego dom – w wiosce u podnóża Penninów po stronie Cheshire, bez telefonu i nowoczesnych wygód. JL poinformował nas, że korzysta z motocykla pożyczonego od jednego z pilotów. Za każdym razem, gdy ma szansę, jak najszybciej pędzi do domu. Zawsze dba o to, żeby na czas wrócić do bazy, i tak samo jak my uznaje

bezpieczeństwo załogi za priorytet.

– Kapitanie, to nie wystarczy – odparł Lofty. – Niektórzy oficerowie także są żonaci, a kilku z nich sprowadziło swoje żony, żeby mieszkały niedaleko bazy. Dlaczego nie możesz tak postąpić? Na oddziale porodowym w szpitalu Barnham jest wszystko, czego jej potrzeba. No i dlaczego wcześniej nic o tym nie wspomniałeś?

– Nie chciałem was martwić.

– To jest nasze zmartwienie. Jeśli podczas nalotu coś innego zaprzęta ci myśli i jesteś zmęczony po przejechaniu połowy Anglii na motocyklu, nie możesz dać z siebie wszystkiego.

– Czy kiedykolwiek odnieśliście wrażenie, że was naraziłem?

– Nie – odparł Lofty, a ja musiałem się z nim zgodzić.

– Więc może na tym poprzestańmy?

– Wciąż mi się to nie podoba. Dlaczego musisz być taki tajemniczy? Czy dowódca wie, co się dzieje?

– Nie – odrzekł JL. – Nie wie.

– A dlaczego?

– Jakoś nie miałem okazji o tym wspomnieć.

– JL, czy znasz niemiecki? – ponownie odezwał się Lofty.

– Tak, co w tym złego?

– Sam, powiedz mu.

– Któregoś dnia Krzysztof usłyszał, jak rozmawiałeś z kimś przez telefon. Twierdził, że mówiłeś po niemiecku.

– Zapewne jak zwykle dzwoniłem do Adolfa Hitlera i opowiadałem mu o kolejnym nalocie. – JL wyszczerzył się do nas i pociągnął duży łyk piwa. – No dobrze, opowiem wam resztę. Moja żona urodziła się w Niemczech. Czasami rozmawiam z nią w jej ojczystym języku.

– Twoja żona jest Niemką? – spytałem, oszołomiony tym wyznaniem.

– Nie, jest Brytyjką, ale przyszła na świat w Niemczech. Przeprowadziła się do Wielkiej Brytanii w 1936 roku i przyjęła brytyjskie obywatelstwo zaraz po ślubie. Mógłbym wam wiele o niej opowiedzieć, ale od początku wojny przekonuję się, że im

mniej opowiadam o jej pochodzeniu, tym lepiej. Mamy przez to kłopoty. Wszyscy słyszeliście pogłoski o piątej kolumnie. Z tego względu rząd internuje niemieckich obywateli i każdego, kto ma jakiegokolwiek związek z tym krajem. Niestety, moja żona znajduje się na ich liście. Tylko fakt, że jest ciężarną żoną oficera RAF-u chroni ją przed internowaniem. A przynajmniej tak podejrzewam.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Osobiście wołałem, żebyśmy zachowali swoje obawy dla siebie, ale teraz przynajmniej wszystko wyszło na jaw. Za każdym razem, gdy przechylałem szklankę, żeby się napić, przy okazji spoglądałem na JL-a. Miałem wrażenie, że coś się w nim zmieniło: wydawał się drobniejszy, bardziej ludzki i słabszy. Obnażył część siebie przed Loftym i mną, jednocześnie tracąc część stylu, który robił na mnie tak duże wrażenie. Nie chciałem słyszeć niczego więcej o jego życiu prywatnym. Myślałem o kolejnej okazji, która będzie od nas wymagała zaufania jego ocenie sytuacji i umiejętnościom pilota oraz przyjęcia jego rozkazów bez cienia wątpliwości i wahania. Nie chcieliśmy ryzykować, że posuniemy się za daleko w tym niezręcznym przesłuchaniu, na wypadek gdyby miało to podkopać jego autorytet oraz posłuszeństwo, które chętnie mu okazywaliśmy.

3

Tę część wojny przetrwaliśmy bez większych problemów. Spotkało nas kilka przykrych niespodzianek: pewnej nocy nad Gelsenkirchen pocisk przeciwlotniczy oderwał nam część ogona. Krzysztof Gałązka w tylnej wieżycze kłął przez pół godziny – w końcu trafiona część znajdowała się zaledwie kilka stóp od jego głowy – ale jeśli nie liczyć przyprawiającego o mdłości przechylania się samolotu podczas każdego skrętu, nie stała się nam żadna krzywda. Innej nocy, gdy wracaliśmy z pozbawionej incydentów wyprawy do Kiel, podczas podejścia do lądowania, naszego wellingtona zaatakował niemiecki myśliwiec. JL zdołał

utrzymać kontrolę nad maszyną i przerwać manewr lądowania, a zanim wykonaliśmy drugie podejście, intruza wypłoszył ogień naszej obrony naziemnej.

Noce stopniowo stawały się coraz krótsze, a pogoda cieplejsza, przynajmniej na ziemi. Krótsze noce stanowiły dla nas dobrą wiadomość. Oznaczały, że wysyłano nas przeciwko celom, które wymagały krótszego przelotu nad Niemcami: zamiast tego atakowaliśmy porty nad Morzem Północnym, bazy wojskowe w okupowanych krajach albo przemysłowe miasteczka na północnym wschodzie Niemiec.

Dziwne zachowania JL-a nie ustały, ale teraz przybrały nieco inną formę.

Na przykład pewnego popołudnia złapałem okazję do Barnham, miasteczka położonego najbliżej naszej bazy. Miałem już dosyć tego, że podczas długich lotów marzły mi stopy. Przydziałowe skarpety były zbyt cienkie. Nawet jeśli włożyło się kilka par, i tak nie zapewniały wystarczająco dużo ciepła. Rozglądałem się po sklepach, szukając wełnianych skarpet. W zimie ich zdobycie nie było łatwe – zresztą musieliśmy przywyknąć do braku niemal wszystkich towarów. Zobaczyłem JL-a, który szedł chodnikiem po przeciwnej stronie ulicy, kierując się w moją stronę. Byliśmy zbyt daleko od siebie, żeby ze sobą porozmawiać, ale to z pewnością był on, a kiedy się rozglądał, nasze spojrzenia na chwilę się skrzyżowały. Uniosłem dłoń w geście powitania. Nie zareagował, tylko poszedł dalej.

To spotkanie wydało mi się dziwne z kilku powodów. Tamtej nocy mieliśmy wyruszyć na misję i właśnie dlatego wybrałem się na poszukiwanie ciepłych skarpet. JL został w bazie z resztą załogi. Zjadłem z nim lunch w kantynie, a nawet rozmawialiśmy przy głównej bramie, zanim wskoczyłem na ciężarówkę, która podwoziła mnie do miasteczka. Nie dołączył do mnie, więc zdziwiłem się, gdy tak szybko znów go ujrzałem. Poza tym zwróciłem uwagę na fakt, że nie miał na sobie munduru, tylko cywilne ubranie.

Ruszyłem dalej, znalazłem sklep i wykorzystałem kupony na

ubranie, żeby kupić dwie pary skarpet, a następnie wróciłem do bazy, akurat żeby zdążyć napić się herbaty z pozostałymi. Zobaczyłem JL-a wkrótce po powrocie, ale nasze spotkanie wydało mi się mało ważne i szybko o nim zapomniałem. Tamtej nocy wykonaliśmy nalot na doki w Breście, próbując zniszczyć niemiecki krążownik liniowy *Gneisenau*.

Następnego dnia po południu wpadłem na Lofty'ego Skinnera, który spytał mnie, czy wiem, gdzie jest JL. Odpowiedziałem, że nie. Lofty poinformował mnie, że ma dla niego wiadomość od pułkownika, ale nie może go znaleźć, ani w kasynie, ani w jego pokoju. Nie widzieli go członkowie obsługi naziemnej, a według strażników nie opuszczał bazy. Nazajutrz znów zobaczyliśmy JL-a, który rozmawiał z jednym z pilotów przed Instytutem Marynarki Wojennej, Wojsk Lądowych i Lotnictwa.

Pewnego wieczoru, mniej więcej w połowie kwietnia, Lofty i ja patrolowaliśmy obrzeża bazy. Takie patrole odbywały się dwa razy dziennie i stanowiły jeden z najmniej lubianych obowiązków, zwłaszcza zimą. Wszystkie załogi musiały kolejno podejmować się tego zadania, które polegało na długim, niemal dwugodzinnym spacerze wokół bazy. Sprawdzaliśmy stan ogrodzenia i upewnialiśmy się, że nikt nie próbował dostać się do środka, oraz testowaliśmy urządzenia nawigacyjne i światła podejścia. Świateł tych używano rzadko albo tylko wybiórczo, ze względu na zagrożenie atakiem wrogich myśliwców, ale trzeba było je zapalać podczas nocnych lądowań i w sytuacjach awaryjnych, gdy okazywały się nieocenione.

Znajdowaliśmy się na zachodnim krańcu lotniska, najdalej jak to tylko możliwe od budynków administracyjnych. Tutaj pas startowy wrzynał się w wiejski krajobraz. W oddali po jednej stronie widzieliśmy szosę, oddzieloną od nas polem i żywopłotami, a po drugiej kilka gęstych zagajników. Lofty nagle dotknął mojej ręki.

– Popatrz, Sam – odezwał się, wskazując coś przed nami. – Czy to nie nasz kapitan?

Przed sobą dostrzegliśmy ledwie widoczną sylwetkę mężczyzny,

który stał między gęstymi drzewami przy ogrodzeniu. Był zbyt daleko, żebyśmy mogli wyraźnie zobaczyć jego twarz, ale po budowie ciała i charakterystycznej pozie od razu zorientowaliśmy się, że to JL. Nie miał na sobie munduru, tylko obszerny ciemnobrązowy płaszcz. Wydawało się, że początkowo nas nie zauważył, ale gdy się zbliżyliśmy, zerknął w naszym kierunku i schował się między drzewami. Kiedy dotarliśmy do skraju lądowiska niedaleko miejsca, w którym go zobaczyliśmy, nie było już po nim śladu.

Może wydawać się osobliwe, że ani Lofty, ani ja nie wspomnieliśmy ani słowem o tym, co widzieliśmy. Wtedy zbił mnie z tropu zwłaszcza brak reakcji Lofty'ego. Czy wiedział o czymś, czego ja nie wiedziałem? Czy pomyliłem się co do tożsamości widzianego mężczyzny? Czy Lofty czekał, aż ja coś na ten temat powiem? Trzy kwadransy później wróciliśmy do siedziby głównej dywizjonu.

Wkrótce po tym, jak zdaliśmy karabiny, udaliśmy się do kantyny, gdzie niemal od razu natknęliśmy się na JL-a. Znow miał na sobie mundur RAF-u. Nie wspomniał o incydencie w zagajniku. Później zagadnąłem do Lofty'ego:

– To JL stał między drzewami, prawda?

Oczywiście od razu wiedział, co mam na myśli.

– Tak. Domyślasz się, co tam robił?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Dzisiaj rano rozmawiałem z Tedem. Twierdzi, że widział JL-a przed posterunkiem przy głównej bramie.

– Niby dlaczego nie miałyby się tam pojawić? – odrzekłem.

– Zgadza się. Ale z drugiej strony, po co miałyby to robić?

– Jasna cholera – odparłem. – Ale i tak dobry z niego pilot.

– Tak.

4

W ostatnim tygodniu kwietnia dostałem weekendową przepustkę, więc pojechałem do domu rodziców w północnym

Londynie. Jedna z moich sióstr, Sara, wstąpiła do Pomocniczych Służb Pielęgniarskich i została przydzielona do szpitala w Liverpoolu. Ona również miała wpaść do rodziców podczas weekendu przed wyruszeniem na północ. Martwiliśmy się o nią, ponieważ był to okres najwyższego nasilenia Blitzu i porty morskie były regularnie atakowane. Churchill wciąż był w pełni u steru i na każdym kroku było widać, jaki wywiera wpływ na ludzi. Niemcy nie mogły pokonać Wielkiej Brytanii, dopóki utrzymywał się ten niezwykle nastrój odwagi i wytrwałości, który pobudzał Sarę i mnie, ale także nas zawstydział. Pojedynczy człowiek nie mógł zbyt wiele dokonać. Tata zabrał nas do części Green Lanes, która została zrównana z ziemią podczas niedawnego nocnego nalotu. Przez chwilę krążyliśmy po okolicy, z przerażeniem spoglądając na zniszczenia w miejscu, które tak dobrze znaliśmy i w którym dorastaliśmy. W sobotę wieczorem całą rodziną wybraliśmy się do pubu, a potem na potańcówkę.

Mój tata był kibicem sportowym i podczas niedzielnego lunchu, wkrótce przed moim niedługim powrotem do bazy, wspomniał, że widział wzmiankę o naszym dywizjonie w jednej z gazet. Pewien były gwiazdor sportu został pilotem bombowca RAF-u i stacjonował w Tealby Moor. Tata spytał, czy wiem, o kogo chodzi. Podał mi tak niewiele informacji, że to mógł być ktokolwiek. Tata stwierdził, że zatrzymał tamtą gazetę, i zaczął jej szukać. Koniecznie chciał mi ją pokazać i sprawdzić, jak nazywa się wspomniany mężczyzna. Wciąż szukał, gdy musiałem wyjść.

Następnego wieczoru, gdy już byłem w bazie, tata zadzwonił do mnie z budki telefonicznej. Ledwie słyszałem jego głos i mieliśmy do dyspozycji zaledwie trzy minuty, ale jego podekscytowanie było niemal namacalne.

– Tamten gość, o którym ci opowiadałem! – zawołał do słuchawki tata. – Nazywa się Sawyer, J.L. Sawyer. Znasz go?

– JL jest naszym pilotem, tato – odrzekłem. – Mówiłem ci o tym wieki temu, kiedy tylko tutaj trafiłem. Jest na zdjęciu załogi,

które ci wysłałem.

– Jego nazwisko nic mi wtedy nie powiedziało. Ale znalazłem wzmiankę o nim w pewnej książce w bibliotece i okazuje się, że zdobył brązowy medal dla Wielkiej Brytanii.

– Brązowy medal? – powtórzyłem bezmyślnie. – Na igrzyskach?

– Zgadza się. Startował w Berlinie w 1936 roku. Wygrały szkopy, ale to był trudny wyścig i zajęliśmy dobre trzecie miejsce. Wspominał o tym?

– Nie, nigdy. Przynajmniej nie w rozmowie ze mną.

– Może go spytaj? To było coś, wybrać się do Niemiec i zdobyć kilka medali.

– W jakiej dyscyplinie startował? Był biegaczem czy jak?

– Wioślarzem. W dwójce bez sternika. Teraz wszystko sobie przypominam. Wtedy słyszałem o tym w radiu. Startował razem ze swoim bratem bliźniakiem. Sawyerowie świetnie reprezentowali Anglię, o tak.

– Czy w tamtej książce napisali, jak ma na imię jego brat? – spytałem.

– Nie podali imion. Wszyscy sportowcy występują pod inicjałami. Zresztą to ciekawa sprawa, bo obaj bliźniacy mieli takie same inicjały. „J.L.”. Tak ich obu nazywano.

– Czy wspomniano, że jeden z nich miał na imię Jack?

– Nie... tylko „J.L.” w przypadku obu z nich – odrzekł mój ojciec, ale wtedy rozmowa przedwcześnie się skończyła, gdyż zabrakło mu pieniędzy.

5

Potem nadszedł wieczór 10 maja 1941 roku, gdy zestrzelono nasz samolot.

Wszystko zaczęło się jak jeden z typowych długich wieczorów wczesnego lata, gdy wydaje się, że światło nigdy nie zniknie, nawet po zachodzie słońca. Podczas długiej zimy przyzwyczailiśmy się, że startujemy w ciemności i widzimy

dzienne światło dopiero następnego ranka, gdy budzimy się po naloce. Ale teraz był maj, a poprzedniego weekendu wprowadzono letni czas. Wystartowaliśmy, gdy słońce wciąż znajdowało się ponad horyzontem, a gdy krążyliśmy, nabierając wysokości, a następnie ruszyliśmy na wschód ponad Morzem Północnym, towarzyszył nam pogodny blask. Powietrze było spokojne i wolne od turbulencji. Za każdym razem, gdy przechodziłem do kopuły nawigatora, żeby sprawdzić naszą pozycję, dostrzegałem wokół nas utrzymujący się półmrok.

Lecieliśmy już około godziny, wciąż powoli zwiększając pułap, gdy nagle Ted Burrage przy przednim działku wrzasnął do interkomu:

– Myśliwce! Niemieckie myśliwce na dole!

– Gdzie one są, Ted? – natychmiast rozległ się głos JL-a. Brzmiał spokojnie. – Jeszcze ich nie widzę.

– Na dwunastej, kapitanie. Dokładnie przed nami, dosyć daleko.

– Nadal ich nie widzę.

– Przepraszam, jest tylko jeden. Chyba Me-110. Daleko w dole, kieruje się na zachód, prosto na nas.

– Zachowuje się tak, jakby nas zobaczył?

– Raczej nie!

Stałem przy bocznym okienku nawigacyjnym i miałem dobry widok na to, co działo się dookoła nas i pod nami. Nie widziałem żadnego samolotu. Gdy tylko Ted wykrzyczał ostrzeżenie, przeszedłem do kokpitu i stanąłem za fotelem JL-a, żeby wyrzeć przez główną szybę. Po kilku chwilach dostrzegłem samolot: mały czarny kształt w dole, dobrze widoczny na tle srebrzystej planszy chmur.

Rzadko spotykało się niemieckie myśliwce tak daleko nad morzem, a zwłaszcza na tak niskim pułapie. Piloci Luftwaffe zazwyczaj atakowali, wykorzystując przewagę wysokości.

– Proszę o zgodę na otwarcie ognia, kapitanie – odezwał się Ted. – Jest niemal w zasięgu.

– Nie, tylko go obserwuj, Ted. Nie ma sensu dawać mu znać,

że tutaj jesteśmy, jeśli nas nie zauważył.

Nagle dostrzegłem jakiś ruch za Me-110.

– Jest ich tam więcej! – zawołałem. – Patrzcie! Za nim!

Cztery jednosilnikowe myśliwce szybko doganiały większy samolot, opadając ku niemu ze wschodu. Na moich oczach zanurkowały ze skrzętem i pomknęły ku dwusilnikowej maszynie. Lufy dział na ich skrzydłach zamigotały i w stronę Me-110 pomknęły wirujące pociski smugowe. Pilot dwusilnikowego samolotu w końcu zareagował, skręcając i nabierając wysokości. Jego maszyna na chwilę pokazała się w całej okazałości na tle szarych chmur, ale zaraz zanurkowała, oddalając się od napastników. Zauważyłem płomienie wydobywające się z jednego z jej silników.

Trzymaliśmy się swojego kursu, omijając walkę. Znajdowaliśmy się niemal dokładnie nad niemieckimi samolotami. Przysunąłem się do jednego z bocznych okien, ale niczego nie widziałem.

– Bum! Bum! – w moich słuchawkach rozległ się charakterystyczny donośny głos Krzysztofa.

– Co jest? – spytał JL.

– Dopadli go! Wszystko widzę. Cztery Me-109 i jedna sto dziesiątka. Dopadli go! Bum!

– Spadł?

– Cholernie wielki wybuch! Wielkie płomienie i dym! Spadł do morza, kapitanie!

– A sto dziewiątki?

– Nie widzę. Rozproszyły się.

– Krzyś, jesteś pewien, że widziałeś, jak sto dziesiątka się rozbiła?

– Tylny strzelec ma najlepsze miejsce. Niemcy atakują Niemców. Piękny widok!

– No dobrze, słuchajcie wszyscy, wypatrujcie kolejnych bandziorów.

Niezdarnie przemierzyłem kadłub, mijając radiostację Cola, i wróciłem do kokpitu, chcąc porozmawiać z JL-em o tym, co się właśnie stało. Był czujny i uważnie się rozglądał po całym niebie.

Zauważył moją obecność i odpiął mikrofon, żebyśmy mogli porozmawiać twarzą w twarz.

– Widziałeś, jak sto dziesiątka spadła, Sam?! – zawołał, przekrzykując ryk silników.

– Nie. Musimy polegać na słowie Krzysia.

– To mi wystarczy – odparł JL, a ja energicznie przytaknąłem. Obaj ponownie przypięliśmy mikrofony.

– Kolejne messerschmitty! – To znów był Ted z przedniej wieżyczki. – Mniej więcej na trzeciej. Znow pod nami.

Wyciągnąłem szyję, spoglądając w prawo i w dół. JL utrzymywał wellingtona na stałym kursie, wciąż powoli nabierając wysokości.

– Widzę! – zawołałem. – Tak samo jak poprzednio... kolejny Me-110, tym razem kieruje się na północ. Za chwilę pod nami przeleci.

– Zobaczył nas?

– Wygląda na to, że nie.

Samolot znajdował się daleko po prawej, leciał nisko na tle chmur, przecinając nasz kurs.

– Strzelcy, wstrzymajcie ogień! – energicznie odezwał się JL. – Oni nas nie szukają.

– Co tam się dzieje, JL?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Znow sto dziewiątki! – Tym razem odezwał się Lofty, który znajdował się gdzieś w głębi kadłuba. – Pewnie zawróciły.

– Nie, tamte poprzednie się wycofały – odparłem.

Już widziałem mniejsze myśliwce, które nadlatywały szybko i nisko z południa, doganiając sto dziesiątkę. Nie licząc innego kierunku, z którego się pojawiły, była to niemal dokładna powtórka sytuacji sprzed kilku chwil. Myśliwce zanurkowały, skręcając w stronę większej maszyny. Rozbłyśki ognia z działek załśniły na ich skrzydłach. Pociski smugowe pomknęły, wirując, ku nieodległemu celowi.

My jednak trzymaliśmy się obranego kursu i znów minęliśmy walkę.

- Tracimy ich z pola widzenia, Krzysiu! Widzisz, co się dzieje?
- Tylny strzelec ma najlepsze miejsce. Tak! Atakują go!

Opuściłem kokpit i dołączyłem do Lofty'ego, który przyciskał twarz do grubej pleksiglasowej szyby w oknie nawigacyjnym po lewej stronie kadłuba. Wepchnąłem się obok niego, starając się coś zobaczyć.

– Nie trafiły! – znów odezwał się Krzysztof z tylnej wieżyczki. – Nic mu się nie stało!

- Wykonają kolejne podejście, prawda?
- Zgubiłem ich. Chwileczkę!

Odezwał się JL.

– Nie zapomnijcie, że jeśli któryś z tych gruchotów nas zobaczy, to będziemy mieli kłopoty. Niech nikt się nie rozpręża!

- Tak jest, kapitanie.
- Sam, możesz ustalić nasze położenie? Muszę wiedzieć, jak daleko od wybrzeża jesteśmy.
- W porządku, JL. Daj mi kilka minut.
- Już ich nie widzę – doniósł Krzysztof. – Sto dziesiątce nic się nie stało. Poleciała dalej.
- W którym kierunku?
- Na północ.
- A sto dziewiątki?
- Jak wcześniej, wycofały się.

Zachowywaliśmy czujność, wiedząc, że w okolicy znajdują się niemieckie myśliwce, co stanowi nieprzyjemną wiadomość dla każdej załogi bombowca. Ogarnęła nas dziwna determinacja. Strzelcy z niezwykłą skrupulatnością regularnie meldowali, co widzą na otaczającym nas niebie, a ja skończyłem ustalać naszą pozycję.

Kiedy już to zrobiłem, przekazałem dane JL-owi przez interkom.

- Jak to daleko od niemieckiego wybrzeża? – spytał.
- Dwieście mil – odpowiedziałem. – Ale dwieście sześćdziesiąt od duńskiego wybrzeża.
- Jakie to ma znaczenie?

– Z tamtego kierunku nadleciała pierwsza grupa. To by znaczyło, że wystartowały z lotniska w kontynentalnej Danii.

– Mogły przylecieć z Niemiec.

– Wygląda na to, że tak było w przypadku drugiej grupy. Tak czy inaczej, sto dziewiątki zbliżyły się do limitu swojego zasięgu.

– Racja. Ale dlaczego próbowali zestrzelić jednego ze swoich?

– Nie mam pojęcia.

Zbliżaliśmy się do niemieckiego wybrzeża, więc już nie wspominaliśmy o tych dziwnych wydarzeniach. Czekaliśmy pilniejsze zadania. Zrobiło się całkowicie ciemno i musiałem ponownie ustalić nasze położenie, żebyśmy mieli pewność, w którym miejscu wlecimy nad stały ląd. Przekazałem JL-owi, że stanie się to kilka mil na zachód od Cuxhaven.

Wkrótce potem Ted Burrage doniósł, że strzelają do nas działa przeciwlotnicze, a we mnie obudziło się znajome ohydne uczucie przerażenia. Zawsze gdy byliśmy pod ostrzałem albo wykonywaliśmy nalot, musiałem tkwić w swoim małym boksie i nie widziałem, co się dzieje na zewnątrz. Musiałem polegać na ruchach samolotu, zmianach brzmienia silników, wybuchach pocisków przeciwlotniczych i często niezrozumiałych okrzykach reszty załogi rozlegających się w słuchawkach. Kiedy wlatywaliśmy głęboko nad terytorium Niemiec albo któregoś z okupowanych krajów, ten zgiełk niekiedy trwał całymi godzinami.

Jednakże tamtej nocy naszym celem był Hamburg, port położony około pięćdziesięciu mil w głąb lądu, nad rozległym ujściem Łaby, więc nie musieliśmy długo przebywać nad terytorium wroga. Zaplanowałem nasz kurs od wybrzeża do punktu zwrotu i przekazałem nasze położenie JL-owi. Potem opracowałem kurs, który prowadził nas bezpośrednio nad doki w Hamburgu, gdzie mieliśmy zrzucić bomby. Kiedy samolot objął nowy kurs, usłyszałem zmianę w głosach pozostałych członków załogi. W miarę zbliżania się do celu mówili pośpiesznie. Ich oddechy hałaśliwie zgrzytały w moich słuchawkach, a zdania urywały się w połowie. Miałem wrażenie,

że wszyscy są na granicy krzyku.

Wciąż zmierzaliśmy nad strefę bombardowania, gdy zacząłem ustalać najlepszy kurs powrotny: najkrótszą trasą do wybrzeża Niemiec, potem nagła zmiana kierunku, żeby ominąć znane pozycje niemieckich okrętów wyposażonych w działa przeciwlotnicze, po bezpiecznym znalezieniu się nad morzem zwrot na zachód i bezpośredni lot do punktu nawigacyjnego na wybrzeżu Lincolnshire, a następnie powrót do bazy. Samolot cały czas zmieniał położenie i pozycję oraz gwałtownie podskakiwał za każdym razem, gdy w pobliżu wybuchał pocisk przeciwlotniczy, ale po głosie Teda Burrage'a oraz odpowiedziach JL-a zorientowałem się, że wszystko przebiega zgodnie z oczekiwaniami. Ostatnie chwile przed zrzutem bomb są najgorsze dla większości załogi, ale bombardier i pilot wyjątkowo się wtedy skupiają.

Zmusiłem się do zachowania spokoju, wpatrując się w swoje mapy i wykresy, szacując kąty oraz odległości, ale tak naprawdę czekałem na tę piękną chwilę, gdy poczuję, że bomby opuściły luk.

– Wracajmy do domu! – zawołał ktoś, gdy tylko samolotem targnął znajomy wstrząs. Maszyna nabrała wysokości, uwolniona od ciężaru ładunku.

– Zachowajcie czujność! – rzucił JL szorstko. – Czeką nas jeszcze daleka droga.

– Nie możemy wznieść się poza ich zasięg?

– Bombardier, wracaj do swojej wieżyczki.

– Tak jest, kapitanie.

– Chryste! Blisko było.

– Wszyscy w porządku?

– Tak jest, kapitanie.

– Oba silniki w normie.

– Ktoś jest za nami?

– Kolejne dwa wellingtony.

– Dobrze, trzymajcie się. Jeszcze nie możemy zawrócić. Przed nami szperacze. Namierzyl jakiegoś biedaka.

- Nie możemy ich ominąć?
- Otaczają nas ze wszystkich stron.

Zrzucenie bomb ma właśnie taki skutek. Przez kilka minut wszyscy mówili jednocześnie, uwalniając wstrzymywany lęk i podniecenie. Czekałem, aż pozostali nieco się uciszą, a potem odczytałem JL-owi nasz nowy kurs. Powtórzył go po mnie.

- Skręcam – oznajmił.

Poczułem, że samolot pochyła się w lewo, a silniki zmieniły brzmienie, biorąc na siebie tymczasowy ciężar skrętu. Wszystko będzie w porządku. Zawsze ma się takie wrażenie po zrzuceniu bomb: wbrew logice myśli się, że skoro maszyna jest lżejsza i kieruje się w stronę domu, strzelcy na ziemi jej nie widzą, a myśliwce już jej nie szukają. Najgorsze minęło.

6

Tylko że tamtej nocy najgorsze było dopiero przed nami.

Coś uderzyło w przód samolotu i wybuchło. Poczułem wstrząs uderzenia, eksplozja rzuciła mnie na ścianę, a nagły błysk białego płomienia, który przez chwilę unosił się wewnątrz kadłuba, przypiekl mi skórę. Upadłem na podłogę, gdy samolot się przechylił.

- To już koniec! Wszyscy wyskakiwać!

Usłyszałem rozpaczliwe wołanie JL-a, a potem w słuchawkach zapadła martwa cisza. Wtyczka interkomu wyskoczyła z gniazdka, kiedy upadłem. Wydaje mi się, że na kilka sekund straciłem przytomność. Potem się ocknałem, przytłoczony potwornym bólem. Krew zalewała mi oczy i sklejała powieki. Coś najwyraźniej uderzyło mnie w nogę w okolicy biodra. Kiedy przesunąłem tam dłoń, żeby sprawdzić, jakie odniosłem obrażenia, poczułem krew na całych spodniach i bluzie munduru. Lodowate powietrze wpadało przez dużą dziurę w podłodze, poniżej i nieco obok mojego biurka. Wszystkie światła zgasty. Silniki wyły, a nurkujący samolot pochylał się, tak że staczałem się ku nosowi. Uderzyłem ranną nogą o jakiś

poszarpany przedmiot, który sterczał z podłogi, i wrzasnąłem z bólu.

Przerażony, że jako jedyny przeżyłem wybuch i jestem uwięziony w samolocie spadającym ku ziemi, wydobyłem się spod pozostałości mojego stolika nawigacyjnego i zacząłem się czołgać po nierównej podłodze kadłuba. Ze względu na pochylenie maszyny szło mi łatwiej, ale musiałem ominąć duży otwór ziejący w podłodze. Ostre końcówki strzaskanych dźwigarów kadłuba sterczały ku górze.

Udało mi się przecisnąć obok otworu, gdy nagle usłyszałem zmianę w dźwięku silników. Zmniejszyły obroty, a ja poczułem przeciążenie wgniatające mnie w podłogę, gdy samolot wyrównał lot. Potoczyłem się do przodu i przytrzymałem oparcia fotela pilota. Dźwignąłem się na nogi i zobaczyłem sylwetkę JL-a na tle słabego blasku przyrządów. Siedział przekrzywiony, ale obie ręce zaciskał na drążku sterowniczym. Przód samolotu został poważnie uszkodzony: większość kadłuba przed kokpitem rozpadła się na kawałki. Chłostało nas lodowate powietrze.

Widząc, z jakim trudem JL trzyma stery, wyciągnąłem rękę, żeby mu pomóc w opanowaniu drążka, ale odepchnął moją dłoń. Pociągnąłem za sobą kabel od interkomu i teraz podłączyłem go do gniazdka w tablicy przyrządów.

– Jesteś ranny?! – zawołałem.

– Nie! – W jego wysokim głosie wyczułem napięcie. Podniosłem na niego wzrok, ale nie potrafiłem odczytać jego twarzy ukrytej za maską tlenową i goglami. – To nic poważnego. Dostałem w brzuch, ale chyba nic mi nie jest. To było bardziej jak cios pięścią niż rana. A co z tobą? Jesteś cały we krwi.

– Mam ranę głowy. Poza tym coś mi się stało w nogę.

– A pozostali?

– Nikogo więcej nie widziałem.

– Kazałem wszystkim wyskoczyć.

– Słyszałem. Co z Tedem Burrage'em? Albo Loftym?

– Nie wiem. Przypomnij mi kurs prowadzący do bazy.

– Myślisz, że nam się uda?

– Na pewno nie poddam się bez walki!

Samolot najwyraźniej reagował na ruchy sterami, chociaż miał poważnie uszkodzony kadłub. Oba silniki działały, ale JL stwierdził, że lewy zaczyna się przegrzewać.

Szok wywołany wybuchem usunął z mojego umysłu wszystkie myśli i nie pamiętałem wyznaczonego kursu. Przy świetle latarki przeczołgałem się z powrotem do szczątków mojego stanowiska nawigatora. Jakimś cudem mój notatnik wciąż leżał na podłodze obok otworu, a kartki łopotały sztywno pod wpływem podmuchów. Chwyciłem go i przedostałem się z powrotem do kokpitu. Odczytałem oba kursy, a JL je potwierdził. Przez chwilę miałem wrażenie, że lecimy normalnie.

Samolot niemal wyrównał lot, a my oddaliliśmy się od niemieckiego wybrzeża i lecieliśmy nad Morzem Północnym. Już nie musieliśmy dokładnie trzymać się kursu, ponieważ wiedzieliśmy, że gdy zbliżymy się do brytyjskiej przestrzeni powietrznej, będziemy mogli skorzystać z radiolokacji. Nie przejmowaliśmy się, że zabłądzimy. Znacznie bardziej martwił nas stan lewego silnika, który najwyraźniej został trafiony. JL użył zaworu dławiącego, żeby nie przeciążać uszkodzonej maszyny, a kilka minut później jeszcze bardziej zmniejszył moc.

– Ile mamy czasu, zanim zbytnio opadniemy?! – zawołałem.

– Może godzinę.

– Uda nam się?

– Jak daleko do wybrzeża?

– Ponad sto mil. – Tylko zgadywałem. Bez wykresów i przyrządów nie mogłem być niczego pewny.

– Myślę, że przynajmniej jednemu z nas nic się nie stanie – odparł JL, ale wiedział równie mało jak ja. To były ostatnie wyraźne słowa, które od niego usłyszałem.

Nagle mroczne morze wypełniło przednią szybę, blade fale odbijały światło księżyca. Byliśmy znacznie niżej niż podejrzewałem. Lot nurkowy sprowadził nas do pułapu dwustu stóp. JL przechylił się, całym ciężarem ciała pociągając dźwignę sterowniczą w lewo – samolot na chwilę wyrównał lot, ale

byliśmy tak blisko powierzchni wody, że widzieliśmy kształt fal.

JL coś wykrzyknął, ale go nie zrozumiałem.

Silniki się udławiły, nos maszyny opadł. Widziałem fale przez luki w kadłubie w miejscu, w którym kiedyś znajdował się przód samolotu. Patrzyłem przed siebie, przepelniony straszliwą rozpaczą. Czułem słoną woń morza w lodowatym powietrzu, które nas owiewało. Przypominała mi z szokującą wyrazistością moje dzieciństwo i wakacje nad morzem. Wietrzne dni, chowanie się przed deszczem w domku na skraju plaży w Southend, rozległe płaskie połacie piasku wilgotne od przyptywu. Zimny stony wiatr. Byłem pewien, że zginę. Okazało się, że w chwili śmierci towarzyszy nam nasze dzieciństwo. Sparaliżował mnie strach, widok morza, olbrzymia czarna powierzchnia, która zbliżała się pod dziwacznym kątem i z przerażającą szybkością. Wierzyłem, że zbliża się koniec, a wszystko zapowiadała tamta pojedyncza chwila z dzieciństwa.

Tam zakończył się nasz lot. Nie pamiętam momentu uderzenia ani tego, jak wypadłem z wraku. Nagle zorientowałem się, że unoszę się na wodzie twarzą w dół, otoczony przerażającym, nieogarnionym chłodem morza. Wznosiłem się i opadałem, dręczony mdłościami. Miałem wodę na twarzy, w uszach, nosie, ustach i oczach. Kiedy spróbowałem nabrać powietrza, poczułem, że mam pełne płuca i nie mogę ich bardziej rozszerzyć, żeby zaczerpnąć tchu. Z głębi mojego ciała wydobył się bąbel powietrza, przedostał się przez gardło i mignął mi przed oczami. Ocknąłem się, myśląc o tym, że właśnie straciłem ostatni dech. Uniosłem głowę, wydobywając ją z wody ku czarnemu koszmarowi wzbierających fal, a następnie ponownie ją zanurzyłem. Ale wiedziałem, że na chwilę udało mi się wyrwać, więc znów zacząłem się miotać w ciemności, odrywając twarz od powierzchni wody, usiłując wciągnąć powietrze i opróżnić płuca z wody.

Każda próba zaczerpnięcia tchu była walką ze śmiercią. Kaszlałem, plućem wodą, wciągałem powietrze, ale było za późno! Znalazłem się pod falami i jeszcze więcej wody dostało

mi się do płuc. Jakoś zdołałem ją wykrztusić i ponownie odetchnąć, zanim znów się zanurzyłem. Rozpaczliwie machałem rękami, próbując pozostać na powierzchni na tyle długo, żeby się uratować.

Otaczały mnie drobne szczątki samolotu unoszące się na wodzie. Wymachując rękami, walcząc o życie, czasami w nie uderzałem. Próbowałem je chwycić, żeby przerwać niekończący się śmiercionośny cykl wynurzania się i tonięcia. Większość szczątków była zbyt mała, żeby mnie podtrzymać, i wyslizgiwała mi się z rąk.

Gwałtownie traciłem siły, chciałem zakończyć walkę, poddać się i pozwolić, żeby śmierć mnie zabrała. Zakrztusiłem się raz jeszcze, czując smak słonej wody zaprawionej wymiocinami, która trysnęła mi z nosa i ust. Pomyślałem, że to koniec, że oddycham samą wodą. Przestałem walczyć i wreszcie się odprężyłem, czując, jak ciężar ekwipunku wciąga mnie w otchłań. Z ulgą poddałem się śmierci i zerknąłem w ciemność, która czekała na mnie poza życiem. Wściekłe pragnienie przeżycia odeszło.

Wtedy jedna z fal obmyła mi twarz i poczułem bąbelki powietrza, które wystrzeliły mi z ust. W jakiś sposób zdołałem zaczerpnąć tchu.

Ponownie z trudem wydostałem się na powierzchnię i łapczywie chwyciłem powietrze.

Obok siebie dostrzegłem mroczny i milczący okrągły kształt szalupy ratunkowej, która nadmuchała się pod wpływem uderzenia. Machnąłem ręką w górę, chwyciłem jedną z wylinek i przełożyłem przez nią łokieć. Po kolejnej długiej walce, zmagając się z bólem, który promieniował z mojej nogi, zdołałem przełożyć przez linę także drugą rękę.

Kurczowo przywarłem do szalupy, wreszcie trzymając głowę nad wodą; oddychałem ze straszliwą łapczywą desperacją, ale oddychałem. Stopniowo mój oddech się uspokoił. Stał się niemal normalny, a za każdym razem, gdy niespokojne morze zalewało mi twarz, udawało mi się go wstrzymywać na kilka

sekund, żeby otrząsnąć się w wody. Już nie groziło mi utonięcie.

Kolejnymi wrogami, którzy domagali się mojego życia, były zimno oraz ból.

Najważniejsze stało się wydostanie z wody, przerzucenie ciała ponad krawędzią nadmuchanej szalupy do wnętrza gumowej studni, gdzie mógłbym leżeć we względnie suchych warunkach, dopóki nie pojawi się ratunek.

Jakimś sposobem, tamtej lodowatej majowej nocy, wbrew potędze morza, bólowi i słabości ciała, zdołałem to zrobić, ponieważ moim kolejnym wspomnieniem jest wstający świt, woń gumy, miękka, poruszająca się powierzchnia pode mną, jaskrawożółty gumowy łuk na tle granatowego nieba, poczucie, że morze jest daleko, a ja unoszę się gdzieś samotnie, być może w jakiejś pośmiertnej otchłani.

Kiedy jednak podciągnąłem się na nadmuchanej żółtej rurze, która stanowiła ścianę szalupy, i oparłem na obu łokciach, żeby widzieć, co się dzieje za jej krawędzią, wszędzie wokół ujrzałem potężne, bezkresne morze, falujące i szare. Nisko wiszące żółte słońce lśniło pomiędzy ciemnymi chmurami na horyzoncie.

Czułem dotyk wiatru.

Zapewne groziła mi śmierć, ale już o to nie dbałem, tylko leżałem beczynnym, aż wreszcie moją szalupę zauważono z samolotu. Usłyszałem odgłos silnika, ale byłem zbyt słaby, żeby pomachać albo odpalić race. Pilot przechylił skrzydła maszyny, przeleciał nade mną, zawrócił, po czym ponownie przemknął nisko nad szalupą. Potem się oddalił. Wtedy już mnie nie obchodziło, czy to był Brytyjczyk, Niemiec czy ktokolwiek inny, ale najwyraźniej samolot był brytyjski, gdyż dwie godziny po jego zniknięciu przyплыła ratunkowa łódź motorowa RAF-u i ocaliła mi życie.

Byłem sam na morzu, jedyny, który przetrwał katastrofę naszego samolotu. Jeżeli tamtej nocy wydarzył się jakiś cud, to było nim moje ocalenie. Pozostali – Ted, Col, Lofty, Krzysztof, JL – zginęli, gdy nas zestrzelono, albo utonęli, kiedy maszyna spadła do morza.

Taki był koniec JL-a. Więcej o nim nie slyszalem. „Myśle, że przynajmniej jednemu z nas nic się nie stanie”, powiedział do mnie tuż przed śmiercią.

CZEŚĆ PIĄTA

1940-1941

1

**Fragment trzeciego rozdziału książki
„Praktyczne sumienie – Czerwony Krzyż podczas wojny
z Niemcami” autorstwa Alana J.Wetheralla,
opublikowanej przez wydawnictwo
George Allen & Unwin, Londyn, 1958:**

...właśnie w takich okolicznościach poznałem J.L. Sawyera, wyjątkową postać wojennych lat. Wtedy nadal pracowałem jako urzędnik w Czerwonym Krzyżu i byłem związany z kilkoma oddziałami tej organizacji na północnym zachodzie Anglii. Chociaż nie byłem osobiście zaangażowany w jego działalność, nasze wczesne spotkanie zapadło mi w pamięć i w świetle późniejszych wydarzeń warto poświęcić mu więcej miejsca. W ten sposób możemy lepiej zrozumieć jego późniejszą pracę.

J.L. Sawyer był wtedy postacią nieznaną nie tylko opinii publicznej, ale także władzom. Mieszkał w Rainow, małej wiosce na zachodnim skraju Penninów, niedaleko miasteczka Macclesfield. Był żonaty, ale jeszcze bezdzietny. Jego żoną była naturalizowana Brytyjka, która wyemigrowała z Niemiec w latach trzydziestych.

Sawyer pojawił się przed obliczem Lokalnego Trybunału miasta Macclesfield w czwartkowy poranek 28 marca 1940 roku. Właśnie tam zobaczyłem go po raz pierwszy. Moja rola polegała

na obserwowaniu obrad w imieniu Czerwonego Krzyża. Czysty pacyzm nie charakteryzuje polityki Czerwonego Krzyża, mimo że w czasach wojny często utożsamia się go z tą organizacją.

W 1939 roku brytyjski rząd ponownie zarządził pobór, w pierwszej kolejności kierując wezwaniem do dwudziestokilkuletnich mężczyzn. Celem było zwiększenie liczebności armii do około trzystu tysięcy żołnierzy.

Doświadczenia z osobami świadomie odmawiającymi służby podczas wojny w latach 1914-18 zmusiły rząd z roku 1939 do ostrożnego przygotowania gruntu. W tych okolicznościach władze wykazały się oświeconym i tolerancyjnym podejściem do problemu. Nie należy zapominać, że w miesiącach poprzedzających wybuch wojny we wrześniu 1939 roku nazistowskie Niemcy postrzegano jako istotne zagrożenie dla pokoju i równowagi w Europie. W razie wybuchu wojny spodziewano się niszczycielskich nalotów na brytyjskie miasta. Przez cały rok 1940 obawiano się inwazji przez kanał La Manche. Fakt, że do marca 1940 roku tak się nie stało, większość ludzi (jak się okazało słusznie) postrzegała jako ciszę przed burzą. W tym klimacie wprowadzenie oficjalnych regulacji pozwalających na humanitarne wysłuchanie racji osób odmawiających służby wojskowej wymagało politycznego wyrafinowania oraz silnie liberalnej postawy.

Nie trzeba dodawać, że w atmosferze przygotowań do wojny tylko wyjątkowo odważni ludzie otwarcie przedstawiali swoje pacyfistyczne przekonania.

W 1940 roku władze stworzyły centralny rejestr osób odmawiających służby (tak zwanych obdżektorów). Mężczyzna mógł się zarejestrować jako obdżektor na podstawie jednego lub więcej z następujących swobodnie sformułowanych powodów: po pierwsze, mógł się sprzeciwić odbyciu służby wojskowej; po drugie, mógł się sprzeciwić odbyciu szkolenia wojskowego; po trzecie, mógł się sprzeciwić stanięciu do walki. Nie spoczywał na nim ciężar udowodnienia pacyfistycznych przekonań. Przykładowo, nie musiał należeć do żadnej wspólnoty religijnej

ani Kościoła, wykazać się byłym zaangażowaniem w pacyfistyczne idee ani mieć związków z żadną konkretną doktryną polityczną. Zasad świadomie nie sprecyzowano, pozwalając każdej osobie przedstawić swoje stanowisko w sposób, który uznała za najkorzystniejszy. Jednocześnie zachęcano trybunały do merytorycznego rozpatrywania każdego przypadku.

J.L. pojawił się na pierwszym przesłuchaniu, które monitorowałem w imieniu Czerwonego Krzyża w Macclesfield, chociaż nie było to moje pierwsze posiedzenie Lokalnego Trybunału.

Sawyer był młodzieńcem o efektownej powierzchowności: wysoki, muskularny i silny, a także swobodny, spokojny i pewny siebie. Jego nazwisko nic mi nie powiedziało, gdy otrzymałem listę przesłuchiwanym, chociaż, kiedy później odkryłem, że był olimpijskim medalistą, nie byłem zaskoczony.

Sala sądowa, w której przeprowadzano przesłuchania, była niewielka, ale imponująca, wyłożona dębowymi panelami, z wysoką ławą i głęboką przestrzenią przed stołem sędziowskim oraz biurkiem protokolanta umieszczonym pomiędzy nimi. Nie było okien, tylko świetliki. Słabe oświetlenie wpisywało się w zwyczaje z czasów wojny. Każdy, kto po raz pierwszy wchodził do pomieszczenia, nawet jako obserwator, czuł się nieswojo.

Wniosek Sawyera rozpatrywano w połowie porannej sesji. Trybunał zdążył odrzucić pół tuzina wniosków, a dwóch kolejnych kandydatów zarejestrował tylko warunkowo. Członkowie trybunału, biznesmeni, lokalna radna oraz pastor, robili na mnie wrażenie ludzi z zasady wrogo nastawionych do pacyfistów i podejrzliwych wobec motywów, które kierują obdźkatorami. Starali się jak najbardziej utrudnić życie kandydatom. Robiłem obszernie notatki, ponieważ uważałem, że Czerwony Krzyż zainteresuje się ewentualnymi apelacjami.

Zanim wezwano Sawyera, protokolant wręczył wszystkim członkom trybunału przepisane na maszynie egzemplarze jego oświadczenia. Prze- kartkowali je, po czym stwierdzili, że są

gotowi.

Sawyer wszedł, rozejrzał się po sali z wyraźną nerwowością, a następnie zajął miejsce, które mu wskazano, stając w zatłoczonym tylnym rzędzie siedzeń znajdujących się przed stołem sędziowskim.

Kiedy poproszono go, żeby się przedstawił, Sawyer odrzekł:

– Joseph Leonard Sawyer, lat dwadzieścia trzy, z Cliffe End w Rainow w hrabstwie Cheshire.

– Członkowie trybunału przeczytali pańskie oświadczenie, panie Sawyer – rzekł protokolant. – Nie musi pan składać przysięgi, chyba że ma pan takie pragnienie. Chciałby pan to zrobić?

– Nie, dziękuję.

– Czy chciałby pan coś dodać do treści oświadczenia?

– Tak, proszę pana. Chciałbym.

– Czy to istotne, panie Sawyer? – spytał przewodniczący trybunału, niejaki Patrick Matheson, którego znałem jako właściciela dużej firmy maklerskiej w Manchesterze.

– Tak uważam, proszę pana – odrzekł Sawyer, zwracając się w stronę ławy.

– No dobrze, ale proszę krótko. Mamy wiele wniosków do rozpatrzenia tego ranka.

Sawyer zerknął na galerię, na której siedziałem i robiłem notatki razem z trzema innymi członkami publiczności, a następnie na miejsce dla dziennikarzy, skąd reporter z lokalnej gazety uważnie śledził wszystkie wydarzenia.

– Jako że przesłuchanie jest jawne, będę musiał powtórzyć część informacji, które państwo przeczytali w moim oświadczeniu, żeby reszta tego, co muszę powiedzieć, była zrozumiała dla innych.

– Dobrze, ale szybko.

– Dziękuję panu. – Sawyer poprawił się na swoim miejscu, próbując zmieścić umięśnione nogi w ciasnym miejscu, w którym kazano mu stanąć. – Jestem pacyfistą od 1936 roku, gdy pojechałem do Niemiec w imieniu swojej ojczyzny, by

wystartować w igrzyskach olimpijskich. Wcześniej byłem zbyt młody, żeby interesować się światowymi sprawami, gdyż spędzałem czas w szkole, a potem na uniwersytecie...

– Co to był za uniwersytet, panie Sawyer? – spytała pani Agnes Kilcannon.

– Brasenose College w Oksfordzie, proszę pani.

– Dziękuję. Proszę kontynuować.

– Podczas pobytu w Berlinie spotkałem kanclerza Hitlera oraz innych członków rządzącej partii nazistowskiej. Widziałem także na własne oczy skutki bezlitosnej kontroli, którą sprawują nad krajem. Mój ojciec odmówił służby wojskowej podczas poprzedniej wojny, a to, co zobaczyłem, przypomniało mi jego słowa, że traktat wersalski był jedynie zarzewiem przyszłych problemów. Zobaczyłem wiele niepokojących rzeczy. Niemcy znajdowały się pod kontrolą policji i wojska, a także grup zbrojnej milicji, która przed nikim nie odpowiadała. Zamykano redakcje gazet. Przedstawiciele niektórych mniejszości, na przykład Żydzi, nie mogli pracować i byli stale nękanymi przez władze. Spalono wiele sklepów należących do Żydów. Moi przyjaciele w Berlinie, u których mieszkalem, niegdyś byli dobrze sytuowaną rodziną. Pan domu był lekarzem, a jego żona tłumaczką, jednak za sprawą nazistów praktycznie nie mogli pracować.

Wprowadzono liczne przepisy, które ograniczały ich najbardziej podstawowe prawa i swobody. Poza tym pokazano mi przekonujące dowody, że naziści potajemnie rozbudowywali swoją armię i tworzyli nowoczesne siły powietrzne, wbrew ustaleniom traktatu.

– Jeśli mogę, panie Sawyer, właśnie z takich powodów większość młodych ludzi chwyciła za broń, żeby walczyć z Hitlerem.

– Wiem, ale usiłuję panu pokazać, że zdaję sobie sprawę z zagrożenia, jakie przedstawiają sobie Niemcy. – Sawyer na chwilę umilkł, żeby zajrzeć do swojego egzemplarza oświadczenia. Widziałem, że kartka drży mu w rękach.

Odchrząknął i kontynuował, odnosząc się do tekstu, ale mówiąc z głowy. – Osobiście jestem przekonany, że wojna jest zła, niezależnie od tego, w jak szlachetnej sprawie się ją toczy. Jestem także przekonany, że chociaż można ją prowadzić z honorowego powodu, na przykład, by zbudować społeczeństwo żyjące w pokoju, sama wojna powoduje tak wiele śmierci i zniszczenia, że staje się bezcelowa. Nieodłącznie towarzyszą jej cierpienie, ból, smutek, rozłąka i żałoba. Przemoc zwalcza się siłą, co tworzy zakłęty krąg, w którym dalsza przemoc jest nieunikniona. Zemsta, odwet i represje rządzą umysłami ludzi, którzy pragną krzywdzić innych, ponieważ sami zostali skrzywdzeni. Wiem, że takie poglądy nie są popularne w czasach wojny, ale szczerze je wyznaję i otwarcie głoszę. Wnioskuje o całkowite zwolnienie ze służby wojskowej i bezwarunkowe zarejestrowanie jako obdżektor.

– Dziękuję, panie Sawyer – odrzekł przewodniczący po krótkim milczeniu.

Troje członków trybunału przez chwilę naradzało się szeptem. Jedyna kobieta w ich gronie, pani Kilcannon – która później miała zostać Lady Kilcannon, ale wtedy była jeszcze wiceprzewodniczącą rady miejskiej w Macclesfield – odezwała się jako pierwsza.

– Czy może nam pan przedstawić jakiś dowód na to, że nie sfabrykował pan tych przekonań w ciągu ostatnich kilku tygodni, żeby uniknąć służby wojskowej?

Sawyer nie miał obowiązku odpowiadać na tak postawione pytanie, jednak się przed nim nie uchylił.

– Pragnę uniknąć służby wojskowej, ale pracuję aktywnie w sprawie pokoju od 1936 roku. Zaraz po powrocie z Niemiec założyłem rodzinę i rozpocząłem pracę w Manchesterze, gdzie doradzam bezdomnym uchodźcom. Dołączyłem do Peace Pledge Union i zająłem się reformami dotyczącymi polityki mieszkaniowej i więziennictwa. Zacząłem blisko współpracować z Canonem Sheppardem z PPU i zostałem mianowany krajowym organizatorem. Do wybuchu wojny byłem tam

zatrudniony na płatnym etacie. Dziś wciąż jestem członkiem krajowej rady PPU, ale nie pobieram wynagrodzenia.

– Ma pan jakąś inną pracę?

– Byłem stażystą w drukarni, ale obecnie poszukuję bardziej użytecznego zajęcia, które pasowałoby do moich przekonań.

– Wyznaje pan jakąś religię?

– Nie. – Sawyer popatrzył prosto na wielbnego Michaela Hutchinsona, trzeciego członka trybunału, który wypalił w niego tym pytaniem. Normalnie nie wolno było poruszać takich kwestii podczas przesłuchania i zauważyłem, że protokolant posłał członkom trybunału ostrzegawcze spojrzenie. – Jestem pacyfistą agnastykiem. Mój sprzeciw wobec wojny opiera się na podstawach moralnych lub etycznych, a nie religijnych.

– Rozumiem. Więc jak pan rozróżnia podstawy moralne i religijne?

– Nie wierzę w Boga, pastorze.

– Jest pan ateistą?

– Nie, agnastykiem. Jestem pełen wątpliwości.

– A jednak we wstępie do swojego oświadczenia napisał pan, że jest kwakrem.

– Nie, pastorze. Z całym szacunkiem, ale twierdzą jedynie, że pociągają mnie moralne zasady kwaków i dzielę z nimi wiele ideałów. Współpracowałem przy wielu projektach z Religijnym Towarzystwem Przyjaciół. Oni jednak opierają się na systemie wierzeń, a ja na systemie wątpliwości. Według pańskiej terminologii jestem bezbożnikiem.

Wielebny Hutchinson zanotował coś na swojej kartce i ruchem ołówka dał znać przewodniczącemu, że nie ma więcej pytań.

– No dobrze, panie Sawyer – odezwał się Patrick Matheson. – Chciałbym panu zadać kilka praktycznych pytań, żeby ustalić stopień pańskiego sprzeciwu. Jak pan wie, mamy za zadanie zdecydować, do jakiej kategorii pana przyporządkować. Zwolnienie ze służby może być bezwarunkowe bądź zależeć od szeregu różnych warunków. Możemy także odrzucić pański wniosek. Czy pan to rozumie?

- Tak, panie przewodniczący.
- Proszę najpierw powiedzieć, czy istnieje jakikolwiek rodzaj wojny, której się pan nie sprzeciwia?
- Nie, sprzeciwiam się wszystkim wojnom.
- Może pan podać powód?
- Ponieważ kraj prowadzący wojnę dąży do swoich celów na drodze przemocy. To zawsze jest ziem, niezależnie od okoliczności.
- Nawet jeśli tym celem jest opór wobec czynnej agresji dyktatora takiego jak Hitler?
- Tak, panie przewodniczący.
- Czy zatem proponuje pan, żeby nasz kraj biernie pozwolił robić Hitlerowi wszystko, na co ten ma ochotę?
- Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Mogę tylko mówić za siebie.
- Dobrze, zatem spytam o coś innego. Czy byłby pan skłonny wziąć udział w jakimkolwiek aspekcie obecnych działań wojennych? Na przykład podjąć służbę w Królewskim Wojskowym Korpusie Medycznym?
- Nie, panie przewodniczący.
- Więc nie pomógłby pan rannemu?
- Nie, jeśli zmuszono by mnie do służby w korpusie.
- Dlaczego?
- Ponieważ jest on częścią armii. Ludzie, którzy w nim służą, podlegają wojskowej dyscyplinie i muszą wykonywać rozkazy. Głównym celem armii jest prowadzenie wojny, czego nie mogę zaakceptować.
- Ale co by pan zrobił, gdyby w swoim codziennym życiu natrafił na rannego człowieka?
- Oczywiście zrobiłbym wszystko co w mojej mocy, żeby mu pomóc.
- Czy sprzeciwia się pan działalności nazistów?
- Tak, całkowicie.
- Więc dlaczego nie chce pan z nimi walczyć?
- Ponieważ wierzę, że nazistowski system może zostać

zniszczony tylko przez obywateli niemieckich.

– A gdyby naziści mieli przeprowadzić inwazję na Wielką Brytanię, chcąc wprowadzić tutaj swoje zasady, czy nadal uważałby pan, że to wyłącznie sprawa niemieckich obywateli?

Po raz pierwszy od rozpoczęcia przesłuchania Sawyer nie wiedział, co odpowiedzieć. Zobaczyłem, że przelknął ślinę, bawiąc się trzymaną kartką. Potem odparł:

– Nie wiem, panie przewodniczący.

– Z pewnością brał pan taką możliwość pod uwagę?

– Wielokrotnie. Ten lęk towarzyszy mi każdego dnia. Ale prawda jest taka, że nie znam odpowiedzi na pańskie pytanie. Już wspominałem, że jestem pełen wątpliwości.

– Gdyby rozpoczął się nalot, czy skorzystałby pan z publicznego schronu? – niespodziewanie spytała pani Kilcannon.

– Tak.

– Zatem byłby pan gotowy wykonywać obowiązki Biernej Obrony Przeciwlotniczej?

– Nie widzę związku.

– Gdybyśmy zgodzili się zarejestrować pana jako obdżektora pod warunkiem, że podjąłby się pan pracy dla BOP i pomagał innym ludziom kryć się podczas nalotów, czy byłby pan gotowy na to przystać?

Sawyer ponownie zaniemówił. Wpatrywał się sztywno w członków trybunału, ale nie byłem w stanie wyczytać z jego oblicza, o czym myśli.

– Nie jestem tchórzem, proszę pani – odrzekł w końcu. – Nie cofam się przed zagrożeniami. Rozumiem, że jeśli rozpoczną się naloty, członkowie BOP znajdą się w wielkim niebezpieczeństwie. To nie stanowi dla mnie problemu. Gdybym jednak czuł, że przez pracę dla BOP wspomagałbym działania wojenne, nie mógłbym jej podjąć.

– Więc pana odpowiedź brzmi: nie.

– Ponownie muszę odpowiedzieć, że nie wiem.

– Wielu rzeczy pan nie wie. A może myli się pan w swoim sprzeciwie wobec działań wojennych?

– Jestem tutaj, ponieważ słucham swojego sumienia, a nie dlatego, że przemyślałem sobie wszystko zgodnie z jakimś planem.

Wydawało się, że ta odpowiedź satysfakcjonuje panią Kilcannon, ponieważ zaznaczyła coś na swojej kartce.

Patrick Matheson wrócił do przesłuchania.

– Panie Sawyer, gdybyśmy zgodzili się bezwarunkowo pana zarejestrować, to co by pan robił?

– Czy muszę się zadeklarować? Usiłuję znaleźć pracę...

– Chodzi nam o ogólną odpowiedź.

– Chciałbym wykonywać jakąś pracę humanitarną.

– Ma pan w tym kierunku specjalne zdolności?

– Nie, panie przewodniczący.

– Albo kwalifikacje?

– Nie. Odszedłem z Oksfordu przed uzyskaniem dyplomu. – Pan Matheson nie przestawał patrzeć na niego posępnym wzrokiem, więc Sawyer kontynuował: – Myślałem, że może podejmę pracę w szpitalu albo szkole bądź w gospodarstwie. Nigdy wcześniej nie byłem bezrobotny. Teraz tak jest, gdyż drukarnia, w której pracowałem, zaczęła wykonywać zlecenia dla wojska, więc poczułem, że muszę odejść.

Przez chwilę czułem, że pan Matheson spogląda na mnie z drugiej strony sali sądowej.

– Czy kiedykolwiek rozważał pan pracę dla Czerwonego Krzyża?

– Jak dotąd nie...

Wkrótce po przesłuchaniu przez trybunał J.L. Sawyer rozpoczął pracę urzędową w Czerwonym Krzyżu, po krótkim, ale niebezpiecznym okresie płatnej pracy dla Stowarzyszenia. W dniu, o którym opowiadam, nie mogłem w żaden sposób interweniować w jego imieniu, gdyż w sądzie pełniłem wyłącznie rolę obserwatora, jednak już niedługo wspominałem o tym wyjątkowym młodzieńcu w naszej filii w Manchesterze, gdzie po raz pierwszy się z nim skontaktowaliśmy.

Przesłuchanie w Macclesfield zakończyło się po myśli Sawyera.

Wbrew moim oczekiwaniom trybunał bezwarunkowo go zarejestrował, na co Sawyer zareagował beznamiętnym skinieniem głową.

Obserwowałem obrady Lokalnych Trybunałów do końca 1940 roku, ale dla brytyjskiego Czerwonego Krzyża był to pracowity i stresujący rok.

**Z odręcznie pisanego dziennika
J.L. Sawyera (Collection Britannique,
Le Musée de Paix, Genève;
www.museepaix.ch/croix-rouge/sawyer):**

10 kwietnia 1940

Wczoraj Hitler posłał swoje wojska do Danii i Norwegii. Jestem przekonany, że stał za tym podżegacz wojenny Churchill. Minął niecały tydzień, odkąd premier powierzył mu dowodzenie brytyjskimi działaniami wojennymi, a Churchill od razu zabrał się do dzieła. Nigdy nie ukrywał, że zamierza eksploatować norweskie fiordy. Według niego neutralne okręty wykorzystywały fiordy, żeby dostarczać Niemcom rudę żelaza. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że te same neutralne okręty dostarczały Niemcom tą drogą również lekarstwa, jedzenie, ubrania i niezbędne paliwo. Niemcy potrzebują takich dostaw tak samo jak każdy inny kraj. Nic dziwnego, że wkroczyli, żeby kontrolować szlaki żeglugi. Churchill postąpiłby tak samo, gdyby sytuacja się odwróciła.

Próbuję ogarnąć ogródek warzywny. Jedno jest pewne – Wielkiej Brytanii skończy się jedzenie, gdy tylko wojna przybierze na sile, a blokada U-Bootów zacznie przynosić skutki. Przez całe popołudnie pracowałem na dworze z B, dopóki nie zaczęło padać, ale gleba na zboczu wzgórza jest płytka i pełna kamieni. Nie sądzę, żeby wyrosło na niej cokolwiek poza trawą i mchem. Pani Gratton i jej syn Harry, osobliwy mężczyzna w średnim wieku, mieszkają w domu przy tej samej ulicy i najwyraźniej dobrze im wychodzi uprawa warzyw. Kiedy

spotkam Harry'ego, spytam, co robię źle.

Zeszłej nocy miałem kolejny sen o swoim bracie Jacku. Śniłem, że odwiedził B i mnie w domu, a podczas jego wizyty oddaliłem się i po powrocie już go nie zastałem. Często marzę o tym, że udaje nam się pogodzić, i tęsknię za jego towarzystwem. Jednak wiem, że od razu rozgorzałyby nowe kłótnie. Nie osądzam go – dlaczego on miałby mnie osądzać?

Jutro: kolejne rozmowy o pracę. Jedna dotyczy stanowiska portiera w szpitalu w Buxton, co chyba jest w moim zasięgu. Nie jest łatwo o zatrudnienie. Gospodarka Wielkiej Brytanii przestawiła się całkowicie na produkcję wojenną. Wszystkie firmy, duże i małe, wytwarzają broń, amunicję, samoloty, silniki, mundury, buty oraz milion mniejszych elementów wojennej maszyny. Wygląda na to, że wojna dotknęła każdego aspektu życia Brytyjczyków.

13 kwietnia 1940

Poniewczasie odkryłem, że szpital w Buxton wydzielił dwa oddziały dla rannych żołnierzy, musiałem więc zrezygnować z pracy portiera. B była na mnie wściekła, kiedy się dowiedziała. Było mi trudno to wytłumaczyć, także przed sobą samym. Czasami jej współczuję.

19 kwietnia 1940

Dzisiaj wbrew rozsądkowi napisałem list do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, prosząc o pomoc w namierzeniu rodziców B. Ona wierzy, że zgodnie z planem dotarli bezpiecznie do Szwajcarii, ale nie mogli się z nią skontaktować z powodu wojny. Podejrzewam, że prawda jest znacznie bolesniejsza i boję się, jak B zareaguje, gdy dowie się najgorszego. Czytałem w gazetach historie o żydowskich uchodźcach, których w drodze do Szwajcarii przechwytywało SS albo których nie wpuszczali do kraju szwajcarscy celnicy. Oczywiście nigdy nie pokazywałem

tych artykułów B.

Jej rodzice podjęli pierwszą próbę ucieczki na początku 1937 roku, ale coś się nie udało i wrócili do Berlina. Jako że mieli tam wielu przyjaciół, zdołali wytrwać aż do zeszłego roku, gdy sprawy przybrały gorszy obrót. Wtedy po raz drugi spróbowali uciec do Szwajcarii, ale od tamtej pory słuch o nich zaginął.

Martwię się, że pismo skierowane do brytyjskiego rządu zwróci uwagę na pochodzenie B. W kraju panują historyczne antyniemieckie nastroje. Młodych mężczyzn o niemieckim pochodzeniu, którzy mieszkają w Wielkiej Brytanii – także tych, którzy uciekli tutaj przed nazistami – zatrzymuje się i internuje: żeby ich nie kusilo, jak ktoś złośliwie stwierdził. Teraz politycy, a także część dziennikarzy, zastanawiają się, co zrobić z pozostałymi obywatelami Niemiec: starszymi mężczyznami, ale także kobietami i dziećmi.

29 kwietnia 1940

Kiedy dziś wieczorem wróciłem do domu, przemoczony przez padającą mżawkę, po długiej wspinaczce rowerowej z Macclesfield, B pokazała mi coś, co wciśnięto do naszej skrzynki pocztowej, kiedy wyszła do wioskowego sklepu. Była to duża brązowa koperta z moim nazwiskiem wypisanym wielkimi literami, jakby ręką dziecka. W środku znajdowało się białe piórko.

B otworzyła kopertę. Powiedziała, że rozplakała się, gdy zrozumiała, co jest wewnątrz.

Mój ojciec ostrzegał mnie, że coś takiego zapewne się stanie, ale najbardziej mnie martwi, że przesyłka pochodzi od kogoś z naszej wioski, kogoś znajomego, może nawet jednego z sąsiadów. Niewielu ludzi spoza najbliższej okolicy wie cokolwiek o mnie. Starłem się nie rozmyślać o tożsamości nadawcy, ale nie mogę się powstrzymać. To pierwsze wydarzenie związane w wojną, które wyprowadziło mnie z równowagi i sprawiło, że zapragnąłem jakoś zareagować.

Wyszedłem do miejsca, w którym kiedyś chcielibyśmy mieć ogródek warzywny. Kopałem kamienie, czując agresję wzbierającą we mnie jak narkotyk. Później było mi wstyd.

Kiedy zrobiło się ciemno, udałem się do budki telefonicznej przed sklepem i spróbowałem dodzwonić się do Jacka, wykorzystując numer centrali RAF-u, który dostałem od taty. Mężczyzna, który odebrał, nie chciał powiedzieć, gdzie jest Jack. Domyślałem się, co to może oznaczać.

Później, kiedy samotnie wracałem pogrążoną w mroku ulicą, a mżawka osiadała mi na włosach i ramionach, zastanawiałem się, czy to możliwe, że Jack przesłał mi piórko.

Teraz, gdy piszę w swoim notesie, czuję, że znów wzbiera we mnie gniew na wojnę. Tym razem na wpływ, jaki ona wywiera na ludzkie myśli. Na moje myśli.

3 maja 1940

Mam nową pracę, i to ona mnie zajmowała w ostatnich dniach. Przez cały czas napływają wieści o wojnie, które trudno znieść. Każdego wieczoru radio przekazuje nowe złe wiadomości. Obie strony doznają olbrzymich strat. Zatapia się okręty, zestrzeliwuje samoloty, zabija i rani ludzi, pozbawia cywilów dachu nad głową. Brytyjskie oddziały wreszcie się poddają w Norwegii. To nie ich wina. Odpowiedzialność spoczywa na Churchillu, groźnym człowieku, który podczas poprzedniej wojny doprowadził do katastrofy w cieśninie Dardanele. Historia będzie się powtarzać, dopóki dowodzą nami wojenni podżegacze.

Nie mogę się pozbyć wrażenia, że mówi się nam tylko część prawdy.

Teraz pracuję w brytyjskim Czerwonym Krzyżu, w budynku w centrum Manchesteru. Moje pierwsze zadanie polega na inwentaryzacji przyborów chirurgicznych, opatrunków i lekarstw znajdujących się w magazynie. To część ogólnokrajowej akcji, dzięki której, w przypadku rozpoczęcia nalotów lub inwazji,

Czerwony Krzyż przynajmniej będzie wiedział, czym dysponuje.

B otrzymała jedną odpowiedź w związku z ogłoszeniem, które umieściła na witrynie urzędu pocztowego w Macclesfield: ośmioletnie dziecko chce raz w tygodniu uczyć się gry na skrzypcach. Cieszę się, że B w końcu zajmie się czymś, co kocha, w czym jest dobra i co na kilka godzin wyciągnie ją z domu.

Jak dotąd, możemy być wdzięczni losowi, że bombardowania dotknęły niewielu cywilów. Pojawiają się plotki, że zbombardowano Orkady, ale nie możemy się niczego dowiedzieć na temat ofiar. Znajduje się tam baza Królewskiej Marynarki, dlatego wszystko jest objęte tajemnicą.

Pod nasze drzwi wepchnięto kolejną kopertę z białym piórkiem, tym razem w nocy, gdy spaliśmy. Udało mi się ją ukryć przed B, a potem wrzuciłem piórko do zagrody kur, gdzie nie powinna go zauważyć.

4 maja 1940

Jako że to sobota, rano musiałem pójść do pracy, ale wróciłem do domu po lunchu. Razem z B spróbowaliśmy popracować na grządce z warzywami. Tym razem z dobrym skutkiem, ponieważ w ciągu tygodnia B zamówiła trochę nawozu od jednego z okolicznych rolników. Wysypaliśmy nawóz na grządkę i ją przekopaliśmy.

Późnym popołudniem kilka dwusilnikowych samolotów przeleciało nisko nad wzgórzami; ich silniki wydawały głośny, pulsujący odgłos. Podejrzewaliśmy, że to brytyjskie maszyny, ponieważ pilotowano je powoli i bez agresji, ale nie potrafiliśmy ich zidentyfikować. B przeraża myśl o niemieckich samolotach. Wciąż nie potrafię sobie wyobrazić, przez co przeszła w Berlinie. Wiem, że stale się obawia o los swoich rodziców. Nie mogę jej zapewnić niczego poza pustymi słowami pociechy.

Ogarnia mnie obsesyjne przekonanie, że wojna musi się jak najszybciej zakończyć. Europa, wpędzona w obłęd przez ambicje

Hitlera, musi otrzeźwieć. Wciąż doprowadza mnie do furii fakt, że żyję w tak mało produktywny sposób. Stale liczę rolki bandażu i szarpie. Mój umysł mówi, że Europa potrzebuje kojących maści, by wyleczyć swoje rany, ale moje serce coraz bardziej przepęlnia chęć straszliwej zemsty na ludziach, którzy prowadzą tę wojnę.

Canon Dick Sheppard kiedyś mi powiedział, że pacyfiści bardziej interesują się wojną i więcej o niej wiedzą niż większość krwiożerczych wojowników. Powodem takiego stanu rzeczy jest fakt, że stale o niej myślimy, podczas gdy podżegacze wojenni nie robią tego nigdy.

Czerwony Krzyż ma wystarczająco wiele plastrów i bandażu, żeby w razie potrzeby opatrzyć wszystkich mieszkańców Manchesteru. Wiem o tym, ponieważ mam wrażenie, że osobiście policzyłem większość tych środków opatrunkowych.

6 maja 1940

Dzisiaj wszyscy w biurze Czerwonego Krzyża sprawiają wrażenie spiętych, zapewne wyczuwając, że wojenna sytuacja wkrótce zmieni się na gorsze. Mówi się o wysłaniu grupy ochotników z Czerwonego Krzyża do Francji. Nie potrafię zdecydować, czy powinienem do nich dołączyć. Nie chcę zostawić B samej, ale niepokoju i wściekłości, które mi towarzyszą, nie da się uspokoić urzędniczą pracą, jaką wykonujemy w Manchesterze. Mam wrażenie, że moja bezpośrednia przełożona jest ze mnie zadowolona i dzisiaj stwierdziła, że w przyszłości znajdzie dla mnie ciekawsze zajęcie. Wzruszyłem ramionami, udając, że o to nie dbam.

Skromnie powtarzam sobie, że praca z plastrami i butelkami środka odkażającego jest idealna dla pacyfisty. Jeśli mnie ona nudzi, to najwyraźniej muszę płacić taką cenę za swoje przekonania.

Jednak tak naprawdę rozpaczliwie pragnę zaangażować się w bardziej aktywne działania. Dzisiaj złapałem się na tym, że

zazdrościć Jackowi. On przynajmniej ma jasno określoną rolę w tej wojnie. Ja stoję z boku.

7 maja 1940

Dzisiaj, w związku z zakończeniem inwentaryzacji, zostałem przeniesiony do biura pani Woodhurst. Poleciała mi zapoznać się z jej kartoteką. Robiłem to powoli, nie mając odwagi czytać wszystkiego, starając się połapać w tajnikach tej potężnej międzynarodowej organizacji.

Pani Woodhurst następnie poprosiła, żebym został po pracy w biurze. Musiała wyjść, a ja miałem czuwać przy telefonie. Wieczór ciągnął się w nieskończoność, a ja stawałem się coraz bardziej głodny, zmęczony i coraz bardziej tęskniłem za domem. Telefon nie zadzwonił ani razu. Pani Woodhurst w końcu wróciła po dwudziestej, a ja ruszyłem na dworzec przy London Road, zatrzymując się po drodze, żeby kupić rybę z frytkami, które zjadłem prosto z papierowego opakowania. Kiedy wróciłem do Macclesfield, było już prawie ciemno, a wszystkie światła na ulicach były wygaszone. Pozostała tylko resztką blasku na zachodnim niebie. Kiedy wyszedłem z dworca, zauważyłem grupkę starszych mężczyzn, którzy stali przed pubem obok przejścia podziemnego pod torami kolejowymi – muszę tamtędy przeprowadzić rower, żeby dotrzeć do głównej ulicy. Zauważyli mnie i natychmiast z pogardą odwrócili głowy, najwyraźniej wiedząc, kim jestem. Musiałem kluczyć pomiędzy nimi ze swoim rowerem, żeby się przedostać.

8 maja 1940

Dzisiaj do portu w Manchesterze przybyła dawno oczekiwana dostawa namiotów, które wiele miesięcy temu wyruszyły ze Szwajcarii i były transportowane kolejno samochodami, pociągiem i statkiem. Musiałem spędzić większość dnia na załatwianiu formalności celnych i przygotowaniu transportu do

późniejszego odbioru przez ciężarówki Czerwonego Krzyża. Sama liczba namiotów pozwoliła mi zrozumieć skalę zniszczeń, jakich spodziewa się Czerwony Krzyż.

9 maja 1940

Wyjechali dwaj kolejni urzędnicy z naszej filii Czerwonego Krzyża, zapewne do Francji. Teraz brakuje nam ludzi. Dzisiaj po południu pani Woodhurst spytała, czy potrafię prowadzić karetkę, na co natychmiast odpowiedziałem twierdząco. To nie będzie się kłóciło z moimi przekonaniem i może mi dać poczucie aktywnego uczestnictwa, którego zaczyna mi brakować.

Wyszedłem z biura o czasie. Wciąż było jasno, kiedy wypchnąłem swój rower z dworca i ruszyłem w stronę mrocznego tunelu prowadzącego do drogi. Wtedy z naprzeciwka zbliżyli się do mnie dwaj przygarbieni mężczyźni w roboczych strojach i staranowali mnie z obu stron, przewracając na ziemię. Rower upadł z trzaskiem, a ja ciężko wylądowałem na ramieniu. Kiedy tylko odzyskałem oddech, zacząłem na nich krzyczeć, pytając, dlaczego to zrobili. Byli już na drugim końcu tunelu, ale się obejrzeli. Przez chwilę myślałem, że wrócą i ponownie mnie zaatakują.

– Ty strachliwy draniu! – zawołał jeden z nich, a drugi dodał:

– Tchórze! – Ich głosy odbiły się echem od zakrzywionego ceglanego stropu tunelu.

Przynajmniej nie zrobili niczego więcej. Mój rower nie został uszkodzony, kiedy więc upewniłem się, że napastnicy nie czekają na mnie gdzieś dalej, pojechałem do domu. O niczym nie wspomniałem B.

**Materiały ściągnięte z Nowej Europejskiej
Biblioteki Prasowej (www.new-libeuro.com/UK):**

„The Times”, Londyn, 14 maja 1940:

Wczoraj pan premier Winston Churchill przemówił przed Izłą Gmin, odnosząc się do poważnego kryzysu, w jakiego obliczu znalazł się nasz kraj po niemieckiej inwazji na Niderlandy, która nastąpiła podczas weekendu.

Przed pełną salą powiedział: „W piątek wieczorem otrzymałem rozporządzenie Jego Królewskiej Mości, żeby utworzyć nową administrację. Mam nadzieję, że w tych kryzysowych okolicznościach wybaczy mi państwo, że nie będę długo przemawiał. Chciałbym tylko powiedzieć to samo, co oznajmiłem osobom, które dołączyły do tego rządu: »Nie mam do zaoferowania niczego poza krwią, trudem, łzami i potem«”.

To było pierwsze wystąpienie pana Churchilla w Izbie Gmin od czasu objęcia stanowiska w piątek. Wybrano nowy gabinet wojenny, a pozostałe nominacje, jeśli okażą się konieczne, zostaną ogłoszone w ciągu kolejnych kilku dni. Pan Churchill zadeklarował, że wybierze ministrów ze wszystkich partii, tworząc rząd narodowej jedności.

W odniesieniu do przytłaczających sukcesów niemieckiej armii pan Churchill ostrzegł: „Czeka nas niezwykle ciężkie wyzwanie. Pytacie, jaką mamy politykę? Odpowiadam: Będziemy prowadzić wojnę, na morzu, lądzie i w powietrzu, z całą mocą i całą siłą, jaką da nam Bóg; będziemy prowadzić wojnę przeciwko potwornej tyranii, jakiej nikt nigdy nie przyćmił w

historii mrocznych, godnych pożałowania ludzkich zbrodni. Oto nasza polityka. Pytacie, jaki mamy cel? Mogę odpowiedzieć jednym słowem: Zwycięstwo, zwycięstwo za każdą cenę, pomimo terroru, zwycięstwo, wszystko jedno jak długa i ciężka miałyby być do niego droga; ponieważ bez zwycięstwa nie ma przetrwania”.

Według informacji wcześniej ujawnionych przez Ministerstwo Wojny niemiecka armia postępuje naprzód na większości frontów. Wojska belgijskie i holenderskie się wycofują, a wrogowie mijają Linie Maginota. Brytyjskie i francuskie oddziały stawiają zaciekły opór, ale wydarzenia toczą się w takim tempie, że nie sposób przewidzieć, w których miejscach oddziały się utrzymają.

Pan Churchill zakończył swoje krótkie obwieszczenie buntowniczą nutą.

„Podejmuję się swojego zadania z pogodą ducha i nadzieją” – zadeklarował. – „Jestem pewien, że nasza postawa spotka się z dobrym przyjęciem. W tej chwili czuję się upoważniony, żeby prosić wszystkich o wsparcie. Chodźcie zatem, kroczy naprzód ze zjednoczoną siłą”.

„Stockport & Macclesfield Advertiser”, Stockport, 17 maja 1940:

W piątek mieszkaniec Rainow został zaatakowany przez nieznanych napastników przy Moor Road w Macclesfield. Lekarze ze szpitala w Stockport stwierdzili, że ofiara „czuje się dobrze i odzyskała przytomność”.

Pan J.L. Sawyer z Cliffe End w Rainow wracał z pracy w centrum Manchesteru, gdy zaatakowała go grupa co najmniej czterech mężczyzn.

Rzecznik policji powiedział, że do napaści doszło po zmroku. Ze względu na zaciemnienie trudno było znaleźć świadków zdarzenia.

Sierżant Stephenson z posterunku policji w Macclesfield

poprosił o zgłoszenie się każdego, kto w ostatni piątek znajdował się na Moor Road pomiędzy 21.00 a 22.00 i mógł widzieć, co się stało.

Pan Sawyer doznał licznych skaleczeń i stłuczeń, wliczając cios w głowę. Spodziewany jest jego pełny powrót do zdrowia.

Rzecznik filii brytyjskiego Czerwonego Krzyża w Manchesterze, gdzie pan Sawyer pracuje jako urzędnik, stwierdził w weekend: „Nie mamy pojęcia, kto mógłby dopuścić się tej napaści. Pan Sawyer jest cenionym członkiem naszego personelu. Podejrzewamy, że to przypadkowy atak na niewinną osobę”.

Odkąd w zeszłym roku wprowadzono obowiązek zaciemnienia, w różnych częściach Wielkiej Brytanii dochodziło do nocnych napaści na przechodniów, był to jednak pierwszy taki wypadek w tej części Cheshire.

Pan Sawyer jest żonaty. Jego żona Birgit trwa przy jego łóżku od czasu napaści.

**Z odręcznie pisanych listów J.L. Sawyera
i rodziny (Collection Britannique,
Le Musee de Paix, Geneve;
www.museepaix.ch/croix-rouge/sawyer/bhs):**

Listy Birgit Heidi Sawyer (z domu Sattmann)

I

**12 maja 1940 do kpt. J.L. Sawyera,
na adres 1. Grupy Operacyjnej,
Dowództwo Dywizjonów Bombowych RAF**

Drogi JL!

Nie mogę się z Tobą skontaktować telefonicznie, zresztą korzystanie z budki telefonicznej zawsze sprawia mi duże trudności. Czy otrzymałeś moje wiadomości? Jeśli nie, to muszę Cię powiadomić, że Joe miał wypadek. Jakaś banda napadła go, kiedy wracał z pracy do domu, i teraz jest w szpitalu. Ma liczne obrażenia, ale głównie powierzchowne. Najbardziej ucierpiała jego duma. Może mógłbyś wziąć przepustkę i spotkać się ze mną w szpitalu w Stockport. (Joe oczywiście nie wie, że do Ciebie piszę).

*Serdecznie pozdrawiam, Twoja przyjaciółka, która
chciałaby się z Tobą zobaczyć,*

Birgit

II

**14 maja 1940 do p. Elise Sawyer,
Mill House, Tewkesbury, Gloucestershire**

Droga Pani Sawyer!

Stan zdrowia Josepha polepszył się od czasu wizyty, którą Pani i Pan Sawyer złożyliście mu w weekend, i za kilka dni lekarze powinni wypuścić go do domu. Joseph wygląda już znacznie lepiej.

Chciałabym, żebyśmy zapomniały o naszych licznych różnicach zdań, gdyż muszę prosić Panią o wielką osobistą przysługę. Nawet jeśli nie zechce Pani tego zrobić dla mnie, proszę się nad tym zastanowić ze względu na Josepha.

W wiosce są ludzie, którzy szemrają na mój temat ze względu na to, skąd przyjechałam, zanim wyszłam za Pani syna. Nie powtórzę ich słów, ale uważają, że pracuję dla drugiej strony. Wystarczyło, że usłyszeli mój akcent! Jestem tutaj sama, dom stoi na uboczu, a po tym, co się przytrafiło Josephowi, bezustannie jestem przerażona. Błagam Panią, czy mogłabym zamieszkać u Pani na kilka dni, dopóki Joseph nie wróci do zdrowia? Nie musi Pani po mnie przyjeżdżać. Potrafię samodzielnie podróżować pociągami. To potrwa tylko do powrotu Josepha ze szpitala. Błagam Panią.

*Z wyrazami szacunku,
Pani kochająca synowa,*

Birgit Sawyer

III

**3 czerwca 1940 do p. Elise Sawyer,
Mill House, Tewkesbury, Gloucestershire**

Droga Pani Sawyer!

Cieszę się, że Pani i Pani mąż mogliście odwiedzić Josepha i mnie podczas weekendu, oraz że zaspokoili Pani swoją ciekawość względem opieki, jaką otaczam Pani syna. Oczywiście nie byłabym w stanie spełnić Pani wysokich standardów, ale daję z siebie wszystko. Wciąż brakuje nam jedzenia, a nawet lekarstw. Te trudności są spowodowane racjonowaniem, ale także tym, że trudno jest nam dotrzeć do sklepów w Macclesfield. To się zmieni, gdy tylko Joseph znów będzie mógł jeździć na rowerze. Zapewne słusznie wytknęła mi Pani błędy w kuchni i może być Pani pewna, że w przyszłości bardziej się postaram, żeby zapewnić Josephowi jedzenie oraz stroje, jakie według Pani powinien otrzymywać. Nie musi mi Pani więcej o tym przypominać.

Rozmawiałam z Josephem i zgodziliśmy się, że od tej pory powinien odwiedzać Panią sam w Pani domu w Gloucestershire.

Z wyrazami szacunku,

(pani) Birgit Sawyer

**Z odręcznie pisanego dziennika J.L. Sawyera
(Collection Britannique, Le Musée de Paix):**

4 czerwca 1940

Dzisiaj wieczorem wzruszyłem się do łez, słuchając przemówienia premiera w radiu. B mi towarzyszyła. Starła się mnie pocieszyć, ale chyba nie zrozumiała. Z pewnością nie mogłem jej tego wyjaśnić, głównie dlatego, że sam nie do końca to rozumiem. Wciąż zadziwia mnie moja reakcja. Ten odpychający człowiek poruszył mnie i zainspirował. Przez chwilę nawet był bliski przekonania mnie, że walka jest słuszna.

Teraz jestem jednak podatny na wpływy, całkowicie zależny od B, wciąż obolały. Podżeganie do wojny, na którym opiera się retoryka Churchilla, miało na mnie nieproporcjonalnie duży wpływ. Pomimo to czuję, że niemal wydobrzałem. Kuśtykam o lasce, potrafię nawet stać bez pomocy, żeby skorzystać z toalety. B twierdzi, że powinienem jak najwięcej odpoczywać. Wykorzystuję ten czas, żeby przygotować się do powrotu do zdrowia: każdego dnia planuję jakieś postępy, gdyż chcę wrócić do normy do końca następnego tygodnia. Czy to możliwe? Pani Woodhurst odwiedzi mnie w następny czwartek po południu i mam nadzieję, że to będzie oznaczało, że wkrótce wrócę do pracy.

Winston Churchill najwyraźniej przejął władzę po Neville'u Chamberlainie tego samego dnia, którego mnie pobito. Poczulem nie lada konsternację, gdy obudziłem się w szpitalu i zastałem tak wiele zmian. Wojna pogrążyła się jeszcze głębiej w

niepowstrzymanym chaosie. W swojej dzisiejszej przemowie Churchill wyraźnie oddzielił niemieckich obywateli od nazistów, którzy są ich dyktatorami. Wydaje się, że jako jedyny trzyma się tego rozróżnienia. Zwykli ludzie potrafią całym sercem poświęcić się walce tylko wtedy, gdy demonizują wroga. Tata mówił, że tak się działo podczas ostatniej wojny: niemieccy obywatele stali się frycami, Hunami, Szwabami. Teraz to znów się zaczyna: stali się szkopami, nazistami, Hunami.

Już przed ostatnimi wydarzeniami trudno było opowiadać się za pokojem. Teraz, gdy Churchill podgrzewa wojenną atmosferę, przygotowując kraj na najgorsze, jest to niemożliwe. Naprawdę nie wiem, co mam robić.

Zakończył swoje przemówienie prostymi słowami spokojnej determinacji: będziemy bronili naszej wyspy przed inwazją bez względu na koszt, będziemy walczyli na ulicach, polach i wzgórzach, nigdy się nie poddając. Jego słowa w tajemniczy i potężny sposób przywołały wizję Anglii, którą znam i Kocham, kraju, którego należy bronić i za który warto umierać. Churchill wywołał we mnie dumę z mojego dziedzictwa i sprawił, że przestraszyłem się jego utraty. Wzbudził we mnie chęć zadbania o bezpieczeństwo mojego domu. Nie potrafiłem się powstrzymać, więc zacząłem płakać.

21 czerwca 1940

Dzisiaj udałem się do biura Czerwonego Krzyża w Manchesterze, żeby przygotować się do powrotu do pracy, który ma nastąpić w poniedziałek, za cztery dni. Nie byłem tym aż tak zdenerwowany jak B, ale ona i tak odprowadziła mnie na dworzec w Macclesfield i uparła się, że będzie tam na mnie czekała, kiedy wrócę. Umówiliśmy się, którym pociągami przyjadę, a B zaplanowała zakupy w miasteczku.

Usunięto lub zamazano wszystkie szyldy i nazwy, okna zaklejono taśmą, żeby zabezpieczyć je przed wybuchami, a przed licznymi drzwiami spiętrzone worki z piaskiem. Wszędzie wiszą

plakaty i powiadomienia, które ostrzegają, doradzają i zalecają. W centrum Manchesteru na końcu niemal każdej ulicy otwarto publiczne schrony przeciwlotnicze. Większość mieszkańców nosi maski gazowe lub stalowe hełmy; wielu i jedno, i drugie. Wszędzie widać ludzi w mundurach. Właśnie tak wygląda życie w kraju, który prowadzi wojnę. Żarty się skończyły.

Tak się złożyło, że dzisiejsza noc jest najkrótsza w roku. Dochodzi 23.00, a nie jest całkowicie ciemno. Niebo jest w większości czarne, ale nad horyzontem na zachodzie wisi srebrzystobłękitny pasek. Ciemnoszary, piękny blask obmywa równinę pod moim oknem. Nie palą się żadne światła, ale w grafitowych cieniach długiego półmroku widać podstawowe kształty. Gdyby nadleciały niemieckie bombowce, znalazłyby wszystkie cele. Ta myśl przyprawia mnie o nerwowość i zdaje sobie sprawę, że zapewne wszyscy przez to przechodzą.

Francja dzisiaj poddała się nazistom.

30 czerwca 1940

Wróciłem do pracy przed tygodniem, a zagrożenie inwazją stale rośnie. Wszyscy o tym mówią: gdzie i kiedy to się stanie, jak zareaguje Churchill, jak silna jest nasza armia po klęsce pod Dunkierką. Gazety i radio donoszą, że niemieckie siły gromadzą się we Francji i przygotowują barki przeznaczone do inwazji, a Luftwaffe szykuje tysiące samolotów. Codziennie słyszymy o atakach bombowców nurkujących na okręty transportowe na kanale La Manche. Kilkakrotnie zbombardowano zatokę w Dover.

Wciąż słyszy się o wojnie. Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę, że mówi się także o pokoju!

Nie piszą o tym gazety, ale dzięki swojej pracy dla Czerwonego Krzyża wiem z całą pewnością, że Hitler w tym tygodniu złożył Churchillowi dwie propozycje pokojowe. Jedna z nich została wysłana za pośrednictwem włoskiego rządu, a druga przez nuncjusza papieskiego, który dostarczył ją do siedziby głównej

Czerwonego Krzyża w Szwajcarii. Churchill obie natychmiast odrzucił.

Kiedy się o tym dowiedziałem, byłem zrozpaczony i wściekły, ale skłoniło mnie to do refleksji.

Churchill kocha wojnę. Nie robi z tego tajemnicy, a wręcz się tym chlubi. Jako młody człowiek „szukający kłopotów”, wykorzystując znajomości, a nawet oszustwo, dostał się na pierwszą linię frontu podczas wojen w Indiach i Afryce. W odpowiedzi na hańbę w Dardanelach z 1915 roku wstąpił do brytyjskiej armii i przez kilka miesięcy walczył na zachodnim froncie. To jasne, że postrzega obecną wojnę jako kulminację swojej pasji do walki.

Obecnie jednak Churchill znalazł się pod ścianą. Żaden podżegacz wojenny nie przyjmie propozycji pokojowej. Potraktuje pokój jako kapitulację, nawet jeśli rozsadek będzie mu podpowiadał, że nadchodzą jeszcze cięższe czasy. Churchill niewątpliwie wierzy, że potrzebuje jakiegoś militarnego zwycięstwa, zanim rozpocznie rozmowy z Hitlerem.

Na to się nie zanosi, więc jak będę się czuł, gdy dojdzie do nieuniknionej inwazji na Anglię? Pomimo swoich przekonań jestem Anglikiem. Nie mogę znieść myśli o obcym wojsku, jakimkolwiek obcym wojsku, maszerującym przez naszą ziemię. Myśl o nazistach jeszcze potęguje tę niechęć. B jest bardziej wystraszona ode mnie – wie lepiej od większości ludzi, do czego są zdolni naziści.

25 lipca 1940

Samoloty Luftwaffe zbombardowały kilka lotnisk na południowym wschodzie Anglii, powodując znaczne straty w ludziach i sprzęcie.

Czerwony Krzyż został postawiony w stan gotowości. Jutro dołączę do trzech innych gości z naszej stacji i usiądę za kierownicą jednej z dwóch karettek, które razem z mobilnym stanowiskiem chirurga polowego pojadą do naszej filii w

południowym Londynie. Dojazd zapewne zajmie nam dwa dni, biorąc pod uwagę, jak trudno jest obecnie przemieszczać się po kraju. Nie jest łatwo zdobyć pewne informacje, ale słyszeliśmy, że na wielu drogach ustawiono prymitywne barykady.

To oznacza, że wybiorę się na pierwszą linię frontu, co jest zarazem romantyczne i przerażające, chociaż tak naprawdę nie grozi mi wciągnięcie w walkę. Nasza czwórka wróci do Manchesteru pociągiem natychmiast po przekazaniu sprzętu.

Oczywiście to również oznacza, że będę musiał zostawić B samą na cały weekend. B już czuje się silniejsza i przekonuje mnie, że muszę robić to, co uważam za słuszne. Jedzenie, które zostało w domu, wystarczy do przyszłego tygodnia. Pogoda jest na tyle ładna, że B spędza więcej czasu w ogrodzie. Lekcje gry na skrzypcach odnowiły w niej zainteresowanie muzyką i pozwoliły nauczyć się nowych utworów. Twierdzi, że będzie tak zajęta, że nawet nie zauważy mojej nieobecności.

29 lipca 1940

Wczoraj późnym wieczorem wróciłem z Londynu po długiej, choć bezbarwnej podróży. B już spała, ale obudziła się, kiedy dotarłem do domu. Powitała mnie z zadowoleniem i ulgą. Po podróży dostałem dzień wolny w pracy, więc spędziliśmy wspólnie spokojny i pogodny dzień w ogrodzie. Wieczorem B zagrała mi nowy utwór, którego się nauczyła, kompozycję Edwarda Elgara.

Brytyjskie myśliwce stale krążą po niebie. Chciałbym, żeby ich obecność nie stanowiła dla mnie pociechy, ponieważ zdaję sobie sprawę, że wynika ona z ich zdolności do strzelania i zabijania.

Czasami nie radzę sobie z silnymi uczuciami, które wzbudza we mnie wojna. Zapisuję swoje uczucia w dzienniku, ale, prawdę mówiąc, już nie wiem, co dokładnie czuję. Czy to za sprawą uderzenia w głowę? A może po prostu reaguję na zmieniające się okoliczności, których nie byłem w stanie przewidzieć?

30 lipca 1940

Musimy dostarczyć kolejne karetki na południe, więc jutro ponownie jadę do Londynu. Od razu zmartwiłem się, jak B poradzi sobie podczas mojej nieobecności, ale zapewniła mnie, że nic jej nie będzie.

Dzisiaj pakowałem sprzęt ratowniczy do samochodów. Jutro z samego rana wyruszamy do Londynu.

6 sierpnia 1940

Minął tydzień, a ja wciąż jestem w Londynie. Nie potrafię opisać zamieszania, z którym musi sobie radzić Czerwony Krzyż, straszliwej wizji chaosu, jaki się rozpęta, jeśli działania wojenne przybiorą na sile. Każdego dnia walki stają się poważniejsze, chociaż obecnie dochodzi głównie do potyczek między samolotami. Naloty ograniczają się do baz wojskowych. Oczywiście zniszczenia się rozprzestrzeniają, więc nie brakuje także ofiar wśród cywilów. Tutaj zaczyna się nasza rola. Przez ostatnie cztery dni jeździłem karetką po południowo-wschodnich hrabstwach, odciążając miejscowe służby ratownicze. Mam pełnić funkcję kierowcy, ale oczywiście często muszę również pomagać rannym. Szybko uczę się nowych obowiązków.

Zostawiłem telefoniczną wiadomość dla B na poczcie w Rainow, dzięki czemu wie, gdzie jestem i że nic mi się nie stało.

Mieszkam w hotelu YMCA w centrum Londynu. Początkowo zastanawiałem się, czy spotkam innych obdzektorów wykonujących podobną pracę w stolicy, ale wygląda na to, że jestem jedyny. Niemal wszyscy mężczyźni, z którymi się stykam, służą w wojsku i właśnie przenoszą się z jednej części kraju do innej. Większość z nich zatrzymuje się tylko na noc, czekając na pociąg albo umówiony transport, więc trudno się z nimi zaprzyjaźnić. Nieliczni cywile to przeważnie marynarze floty handlowej, którzy zmierzają do jednego z portów w poszukiwaniu posady na statku. Czuję się osamotniony i

chciałbym być w domu z B.

Pod koniec minionego tygodnia Hitler wygłosił przemowę przed Reichstgiem, podczas której publicznie złożył propozycję pokojową Wielkiej Brytanii. Niemiecki samolot zrzucił na Londyn ulotki z fragmentem jego przemówienia:

„W obecnym czasie, słuchając swojego sumienia, ponownie odwołuję się do zdrowego rozsądku w Anglii i innych krajach. Apeluję do was nie jako przegrany, który błaga o przysługę, ale, jak wierzę, jako zwycięzca przemawiający w imieniu rozsądku. Nie widzę żadnego powodu dla kontynuowania wojny. Żał mi jest poniesionych ofiar i również pragnę chronić swój naród”.

Nie dowiemy się, czy warto było uwierzyć Hitlerowi, ponieważ wczoraj rząd Churchilla oficjalnie odrzucił tę propozycję. Wojna trwa dalej, co zapewne bardzo satysfakcjonuje premiera.

12 sierpnia 1940

Nadal jestem w Londynie, rozdarty pomiędzy pragnieniem pilnego powrotu do domu, chociaż na kilka dni, a rosnącą świadomością niebezpieczeństwa, które grozi ojczyźnie.

Przez większą część dnia jestem na służbie, pomagając stale rosnącej liczbie ofiar. Jest wśród nich coraz więcej naszych rannych lotników, zestrzeliwanych podczas brutalnych powietrznych walk nad miastem.

Władze stale ostrzegają nas, że taktyka „Blitzkriegu”, którą wykorzystano w Polsce, Holandii i Francji, wkrótce może zostać użyta także przeciwko nam. To straszliwa perspektywa.

Dzisiaj udało mi się porozmawiać przez telefon z panią Woodhurst. Obiecała, że postara się przysłać z Manchesteru kogoś, kto zastąpi mnie przez kilka dni. Podniecenie związane z przebywaniem w centrum wojennych wydarzeń minęło: chcę tylko wrócić do B.

15 sierpnia 1940

Nareszcie w domu, pośród nieprawdopodobnie cichych i spokojnych Penninów. Wojna nagle wydaje się odległa. W nocy przespałem dwanaście godzin i obudziłem się wypoczęty. Wczoraj wieczorem B sprawiała wrażenie zachwyconej moim powrotem, a nasze spotkanie było niezwykle radosne. Rano obudziła mnie około dziesiątej, gdy zajrzała do sypialni i powiedziała, że idzie złapać autobus do Macclesfield.

Drzemałem jeszcze przez chwilę, a potem z zadowoleniem krzątałem się po kuchni, jedząc tosty, pijąc herbatę i przeglądając listy, które przysłyły podczas mojej nieobecności. Potem wziąłem kąpiel. Jest ładny, ciepły dzień, więc przez pewien czas cieszyłem się słońcem, stojąc w ogrodzie, spoglądając na równinę Cheshire, rozkoszując się ciszą.

W dalszej części poranka dokonałem nietypowego znaleziska; którego znaczenia wciąż nie rozumiem.

Część mebli już była w domu, gdy się do niego wprowadziliśmy. Jednym z lepszych okazów jest olbrzymia stara dębowa szafa w sypialni. (Nie mamy pojęcia, jak wniesiono ją po schodach, chyba że w częściach). Trzymamy w niej większość naszych ubrań. Dziś rano przeszukiwałem głęboką górną półkę, która ciągnie się przez całą szerokość szafy, mając nadzieję, że znajdę swoją starą kurtkę, gdy nagle moja dłoń natrafiła na coś zrobionego z materiału, ale sztywnego i okrągłego. Ułożono to w głębi półki, najwyraźniej po to, żeby nikt tego nie znalazł. Musiałem mocno się wyciągnąć, żeby tego dosięgnąć. Była to wojskowa czapka z daszkiem ozdobiona odznaką RAF-u.

Przyjrzałem się jej z zaciekawieniem, obracając w dłoniach. Nigdy nie widziałem wojskowego munduru z tak bliska. Czapka była niemal nowa, w znakomitym stanie, jedynie z kilkoma drobnymi ciemnymi smugami na potniku, które wskazywały na to, że kilkakrotnie ją noszono.

Przymierzyłem ją, czując przy tym dreszcz (zażenowania? podniecenia?). Pasowała idealnie. Przyjrzałem się sobie w

lustrze, oszołomiony tym, jak zmienił się kształt mojej twarzy.

Nie chciałem, żeby B zastała mnie z czapką, więc odłożyłem ją na miejsce. Nie wspomniałem o tym ani słowem, ale wciąż się zastanawiam, czy B wie, że ona tam jest.

18 sierpnia 1940

Wojna przybrała nowy obrót: niemieckie bombowce zapuszczają się głębiej nad nasze terytorium, szukając innych celów. Jak dotąd wydaje się, że nie starają się rozmyślnie atakować cywilów, ale pojawiło się wiele doniesień, że niektóre niemieckie samoloty zrzuciły cały ładunek bomb, gdy tylko zostały zaatakowane przez brytyjskie myśliwce. W ten sposób wiele bomb spadło na tereny wiejskie. Zawsze uważaliśmy, że nasz dom stoi na tyle daleko od skupisk ludzkich, że nie będziemy musieli się obawiać nalotów, ale teraz zdajemy sobie sprawę, że nigdzie nie jest bezpiecznie. Niemieckie bombowce pojawiają się niemal wszędzie: słyszeliśmy o nalotach w Szkocji, Walii, Londynie, a także na południowo-zachodnich krańcach kraju. Oczywiście miasteczka wzdłuż południowego wybrzeża są atakowane niemal codziennie. Poza tym boimy się desantu spadochroniarzy. Z oczywistych względów wylądują oni na wsi, na odludnych obszarach. Pojawia się coraz więcej plotek dotyczących ich przybycia. Jak dotąd nie znalazły potwierdzenia w faktach, ale w wypadku takiego wroga jak Hitler wszystko jest możliwe.

Braki towarów w sklepach utrzymują się i stają coraz dotkliwsze.

Jutro muszę wrócić do Londynu.

2 września 1940

Minęło wiele dni, których tutaj nie odnotowałem. Utknąłem w Londynie bez nadziei na szybki powrót do domu. Nie podejrzewałem, że wojna może wywołać taki chaos.

Każdego dnia jadę do stacji Czerwonego Krzyża w Wandsworth, gdzie przydzielają mi karetkę. Zabieram jednego albo dwóch wyszkolonych sanitariuszy i przez cały dzień rozwożę ofiary walk do najbliższych szpitali.

Jak wiele innych małżeństw, B i ja padliśmy ofiarą wojennej rozłąki. Kiedy znajdujesz kilka minut na rozmowę z ludźmi, z którymi pracujesz albo jesteś zakwaterowany, najważniejszym tematem zawsze są skutki przebywania z dala od domu. Dla większości osób życie rodzinne to krótkotrwały luksus, weekend wyrwany z chaosu codzienności, pojedynczy nocleg w drodze. Niemal każdy przebywa poza swoim miejscem zamieszkania. Kobiety pracują w gospodarstwach albo fabrykach, podczas gdy wielu mężczyzn służy w wojsku albo w którejś ze wspomagających organizacji: Biernej Obronie Przeciwlotniczej, nocnej straży pożarnej, Straży Krajowej albo pogotowiu ratunkowym. Wszyscy są w ciągłym ruchu, nic nie jest trwale ani stabilne. Obsesyjnie myślimy o zagrożeniu inwazją, nalotach, bitwach rozgrywanych nad naszymi głowami. Podobno każdego dnia nasz kraj rośnie w siłę i jest coraz lepiej przygotowany. Każdy dzień, w którym Hitler nie rozpoczyna inwazji, działa na naszą korzyść, pozwalając nam się wzmocnić.

Nie czuję strachu. Nikt go nie czuje. Pozostaję pacyfistą, ale pacyfizm nie opiera się na lęku. Nie opiera się też na przeciwnym odczuciu. Churchill pozostaje przy władzy, prowadząc kraj z samobójczym zacięciem, niemal prowokując Hitlera, żeby spróbował nas zniszczyć. On urodził się do prowadzenia wojny. Co jakiś czas słyszymy w radiu słowa, które Churchill do nas kieruje. Nie sposób ich zignorować, gdyż w jego bezpretensjonalnych i inspirujących przemowach kryją się poetycka elegancja i moc. Wszyscy są nimi poruszeni. Sam już nie wiem, co mam myśleć. Nie licząc fundamentalnych zasad, które pozostają niezmiennie.

Krąży mnóstwo plotek: zbombardowano dalekie miasta z tragicznym skutkiem, dziś w nocy tysiąc bombowców przybędzie do Londynu, Dover zostało zrównane z ziemią, niemieckie

oddziały widziano w nadmorskich miasteczkach w Essex. Przez chwilę wierzy się w takie historie. Potem BBC podaje kolejną wersję wydarzeń i to ona zaczyna obowiązywać. Mam to szczęście, że Czerwony Krzyż jest dobrze poinformowany. Mogę bez większego trudu ustalić prawdę, a przynajmniej coś, co jest z nią pokrewne. Jak dotąd wydaje się, że cywile znacząco nie ucierpieli.

Co dzień bombarduje się porty i lotniska. Nocami niemieckie bombowce latają nad całym krajem, ale nie stanowią poważnego zagrożenia, jedynie zakłócają ludziom życie, gdyż każdego wieczoru rozbrzmiewają syreny przeciwlotnicze. Zniszczenia są niewielkie. Tu i tam spada kilka bomb. W niektórych miejscach zrzuca się ulotki propagandowe, które natychmiast stają się obiektem drwin. Przejadły mi się żarty o tym, że ludzie używają ich jako papieru toaletowego.

Tak więc wstaje nowy dzień. Zabieram karetkę i sanitariuszy, wymieniam informacje z naszą wojskową eskortą – która jest niezbędna na wypadek, gdyby posłano nas do rozbitego niemieckiego samolotu, którego załoga ocalała – a następnie wyruszamy na przedmieścia Londynu i do okolicznych miasteczek: Croydon, Gravesend, Bromley, Sevenoaks. Tam znajduje się najwięcej ofiar. Zabieramy zestrzelonych lotników, pracowników zbombardowanych fabryk i innych instalacji oraz pechowych cywilów, których zraniły fragmenty spadających samolotów, odłamki bomb czy pociski.

Naloty nadal są prowadzone przeciwko „wojskowym” celom – lotniskom, składom ropy naftowej, fabrykom – jednak coraz częściej wygląda na to, że Niemcy rozmyślnie zrzucają bomby obok celu. Okoliczne domy, szkoły, a nawet szpitale bywają uszkodzane bądź niszczone. Staje się dla nas oczywiste, że coraz więcej miasteczek postrzega się jako cele.

Początkowo naloty dotyczyły tylko portów: Dover i Folkestone straszliwie ucierpiały, ale są to brytyjskie miasta położone najbliżej baz Luftwaffe we Francji i mają oczywistą strategiczną wartość. Później strefy ataku rozprzestrzeniły się gwałtownie

wzdłuż wybrzeża: zbombardowano Southampton i Portsmouth. Następnie Niemcy zwrócili się ku miasteczkom wzdłuż ujścia Tamizy, u progu stolicy. Co dalej?

8 września 1940

Jest niedzielne popołudnie. Obudziłem się mniej więcej godzinę temu po jednym z najcięższych i najdłuższych dni w moim życiu.

Jak zwykle wykonywałem swoje obowiązki, tym razem w Chatham na południowym brzegu Tamizy. Ze względu na obecność stoczni marynarki wojennej miasto stało się regularnym celem dla Luftwaffe. Gdy nadszedł wieczór, wróciłem do Londynu, odprowadziłem karetkę do Wandsworth, a następnie metrem wróciłem do swojego pokoju w hotelu YMCA. Minęło zaledwie kilka minut i ponownie zabrzmiały syreny przeciwlotnicze. Natychmiast wezwano mnie z powrotem do Wandsworth. W ciągu pół godziny doszło do poważnego ataku na doki i magazyny w East Endzie. Spędziłem tam całą noc, po czym wreszcie dotarłem do swojego łóżka o piątej nad ranem.

19 września 1940

Nie mogę dłużej zostać w Londynie, potrzebuję odpoczynku. Złożyłem wniosek o powrót do Manchesteru.

Niemiecka taktyka nalotów drastycznie się zmieniła. Każdej nocy Luftwaffe bombarduje Londyn. Od czasu do czasu posyłają drugą albo trzecią falę samolotów do innych przemysłowych miast, chwilowo oszczędzając stolicę. Pierwsze syreny rozlegają się wkrótce po zmroku, a nalot trwa, ze zmiennym nasileniem, aż do wczesnych godzin porannych. Samoloty najpierw zrzucają setki, a nawet tysiące ładunków zapalających. Te spadają wszędzie – na dachy i ulice, do ogrodów i parków – niemal natychmiast wybuchając białymi płomieniami, które podpalają wszystko, czego dotkną. Strażnicy wypatrujący pożarów czuwają

na każdej ulicy i na każdym wysokim budynku, na którego dach można się dostać. Wiele bomb zasypuje się piaskiem, zanim zdążą wyrzucić jakiegokolwiek szkody, ale nie da się zneutralizować wszystkich. To niebezpieczna i trudna praca. Wkrótce wybuchą kilkadziesiąt pożarów. Potem rozpoczyna się druga faza nalotu, gdy samoloty Luftwaffe zrzucają bomby burzące i hamowane, niszcząc ulice oraz budynki i rozrzucając na wszystkie strony płonące szczątki.

Wielu ludzi ginie na miejscu, pod schodami swoich domów, w schronach we własnych ogrodach albo na otwartej przestrzeni. Publiczne schrony są bezpieczniejsze, a jeszcze większą ochronę zapewniają głęboko położone perony stacji metra. Każdej nocy coraz więcej ludzi przeczekuje na nich naloty. Podczas każdego bombardowania setki osób odnoszą rany. Wśród nich są strażacy, policjanci, ratownicy, strażnicy wypatrujący bombowców czy pożarów, a także kierowcy karetek.

Sam wielokrotnie byłem bliski śmierci albo poważnego zranienia. Kiedy rozpoczęły się nocne naloty, zamierzałem spisywać w swoim notatniku bezpośrednią relację z tych doświadczeń. Czuję od początku, że powinien istnieć jakiś dowód, autentyczna osobista relacja dotycząca tego, co działo się w Londynie, gdy nadlatywały bombowce. Ktoś w końcu odpowie za to, co uczyniono temu wielkiemu miastu. Bombardowanie miast to zbrodnia. Jestem jej świadkiem; tkwię w samym centrum wydarzeń.

Jednakże po całonocnej zmianie zawsze jestem zbyt wyczerpany, żeby zabrać się do pisania. Te wydarzenia wryły się w moją pamięć, ale jeszcze ich nie opisałem. Poza tym pamięć jest zawodna: po kilku pierwszych bombach, które wybuchają obok ciebie, po kilku pierwszych płonących magazynach, wszystkie doświadczenia zlewają się w jedno.

Mam już dosyć gorąca, wybuchów, gwałtownych ognistych podmuchów, które towarzyszą spadaniu bomb zapalających, smrodu spalenizny, krzyków rannych dzieci, widoku ciał zagrzebanych w gruzach, ohydnych ran, martwych niemowląt,

rodziców pogrążonych w żałobie. Jestem ogłuszony, na wpół oślepiony, przerażony, wściekły, poparzony. Moje włosy, skóra, ubrania cuchną dymem i krwią. Naprawdę idę przez piekło.

**Z listów J.L Sawyera i rodziny
(Collection Britannique, Le Musée de Paix):**

I

Listy J.L. Sawyera;

**2 września 1940 do p. Birgit Sawyer,
Cliffe End, Rainow**

Najdroższa Birgit!

Teraz jest mi łatwiej zdobyć weekendową przepustkę. Bardzo mi przykro, że musiałem spędzić z dala od Ciebie ostatnie kilka tygodni. Gdybym odwiedził Cię ponownie w najbliższy weekend – przyjechał w piątek wieczorem i odjechał w niedzielę rano – czy spotkałbym wtedy swojego brata Joego? Twój na zawsze, JL

II

Listy Birgit Heidi Sawyer (z domu Sattmann):

**4 września 1940 do kpt. J.L. Sawyera,
na adres 1. Grupy Operacyjnej,
Dowództwo Dywizjonów Bombowych RAF**

Najdroższy JL!

Nie. Przyjedź prędko.

Jak zawsze,

Birgit

**9 września 1940 do J.L. Sawyera,
poste restante YMCA, Londyn WC1**

Drogi Joe!

Bardzo za Tobą tęsknię i zastanawiam się, kiedy wrócisz do domu. Czy mógłbyś mi podać konkretną datę? Mogę Cię zapewnić, że nie musisz się o mnie martwić. Dobrze sobie radzę w domu i wytrzymam bez Ciebie jeszcze nieco dłużej. Nie myśl, że stale nagabuję Cię, żebyś wrócił. Wiesz, że niczego nie pragnę bardziej, jak tego, żebyś znów był przy mnie, ale rozumiem, że Twoja praca w Londynie zmusza Cię do nieobecności.

Zawsze z wyrazami miłości, kochanie,

B

**Dokumenty Institut Schweizer
für Neuere Geschichte, Zurych:**

**Listy A. Woodhurst, brytyjski Czerwony Krzyż,
Manchester:**

4 listopada 1940 do p. Sawyer, Cliffe End, Rainow

Szanowna Pani Sawyer!

Chociaż Pani mąż Joseph współpracuje z Czerwonym Krzyżem od stosunkowo niedawna, szybko stał się jednym z naszych najbardziej cenionych i oddanych pomocników. W szczególności jego praca ratownika medycznego w Londynie spotkała się z pochwałami ze wszystkich stron.

Inspektor policji w Whitechapel napisał do mnie osobiście, donosząc, że prócz wielu innych aktów wielkiego męstwa, Joseph osobiście uratował sześcioro dzieci ciężko rannych w wybuchu bomby, która spadła niedaleko wejścia do jednego ze schronów w Stepney Green. Mimo doznanych skaleczeń na twarzy i dłoniach, przeniósł całą szóstkę w bezpieczne miejsce i zawiózł do szpitala. Następnie aż do rana jeździł karetką po mieście, stale narażając się na niebezpieczeństwo. Inspektor poinformował mnie także, że Joseph pomógł w ewakuacji terenu zagrożonego wybuchem niewypału miny hamowanej, ładunek eksplodował kilka chwil po tym, jak wszyscy znaleźli się poza jego zasięgiem, i w przeciwnym wypadku z pewnością zabiłby bądź potwornie zranił wiele osób.

Nazwisko Josepha trzykrotnie było przedstawiane władzom

w uznaniu jego odwagi. Jest inspiracją dla wszystkich, którzy pracują z nim w tych niebezpiecznych warunkach.

Dlatego niewątpliwie zrozumie Pani naszą troskę (choć nie może się ona równać z Pani niepokojem), wywołaną zaginięciem Josepha po niszczycielskim nalocie na Bermondsey przed dwoma dniami. Wiemy, że te przykre wieści już zostały Pani przekazane telegraficznie. Mam nadzieję, że ten list przyniesie Pani chociaż drobną pociechę.

Mimo że karetka Josepha została bezpośrednio trafiona bombą, nie ma żadnych znaków, które świadczyłyby, że ktoś znajdował się w środku. Wszyscy tutaj czerpiemy z tej wiedzy olbrzymią nadzieję. Josepha z pewnością widziano w tamtej okolicy tuż przed drugą falą ataku, a jeden z sanitariuszy stwierdził, że Pani mąż mógł się udać do publicznego schronu. Zakończono dokładne przeszukanie okolicy, wliczając staranne sprawdzenie wszystkich schronów i zniszczonych budynków, ale nie znaleziono żadnych niezidentyfikowanych ciał. Sprawdzone również szczegółowo listę ofiar.

W chaosie, jaki następuje po dużym nocnym nalocie, wielu ludzi tymczasowo uznaje się za zaginionych, ale większość z nich później się pojawia. Traktujemy Josepha jako zaginionego, zapewniam jednak, że to tylko formalność. Policja jest przekonana, że go odnajdziemy. W wypadku Josepha martwi nas głównie czas, jaki upłynął od jego zniknięcia.

Oczywiście skontaktujemy się z Panią, kiedy tylko będziemy coś wiedzieć.

Z wyrazami szacunku,

(pani) A. V. Woodhurst
Brytyjski Czerwony Krzyż – oddział w Manchesterze

**Z listów J.L. Sawyera i rodziny
(Collection Britannique, Le Musée de Paix):**

I

**5 listopada 1940 do p. J.L. Sawyera,
Cliffe End, Rainow**

Szanowny Panie Sawyer!

Odpowiadamy na Pański list z dnia 19 kwietnia, dotyczący miejsca pobytu rodziny Sattmannów, niegdyś zamieszkałych przy Goethestrasse w Charlottenburgu w Berlinie, którzy obecnie podobno są uchodźcami w Federalnej Republice Szwajcarii.

Z żalem informujemy, że nie znaleziono żadnego śladu wspomnianej rodziny, ani za pośrednictwem szwajcarskich władz, ani ambasad Szwecji i Irlandii, które działały w naszym imieniu.

Z wyrazami szacunku,

*KM. Thomason
Ministerstwo Spraw Zagranicznych
Asyent podsekretarza*

II

Listy Birgit Heidi Sawyer (z domu Sattmann):

**8 listopada 1940 do kpt. J.L. Sawyera,
na adres 1. Grupy Operacyjnej,
Dowództwo Dywizjonów Bombowych RAF**

Najdroższy JL!

Joe żyje! Wczoraj znaleziono go w schronisku dla bezdomnych, dokąd trafił ze wstrząśnieniem mózgu. Poza tym nie odniósł żadnych fizycznych obrażeń. Czerwony Krzyż sprowadzi go do domu dzisiaj albo jutro.

Kochanie, wszystko znów będzie dobrze. Już niedługo, obiecuję. Na razie muszę się zaopiekować Joem.

Z wyrazami najczulszej miłości, którą każdego dnia odnawiam w swoim sercu,

Birgit

**8 listopada 1940 do p. Elise Sawyer, Mill House,
Tewkesbury, Gloucestershire**

Szanowna Pani Sawyer!

Z zadowoleniem informuję Panią, że mój mąż Joseph, a Pani syn, został znaleziony cały i zdrowy i jest w drodze do domu. Poproszę go, żeby jak najszybciej się z Panią skontaktował.

Z wyrazami szacunku,

(pani) Birgit Sawyer

**Dokumenty Institut Schweizer
für Neuere Geschichte, Zurych:**

**Listy A. Woodhurst, brytyjski Czerwony Krzyż,
Manchester:**

**11 listopada 1940 do p. Phyllidy Simpson,
14 Stoney Avenue, Bury, Lancs.**

Droga Phyllido!

Tak bardzo się cieszę, że dzisiaj przyszedłaś do mojego biura, żeby opowiedzieć mi, co w sobotnią noc wydarzyło się w karetce, którą wracaliście do Manchesteru. Ten incydent z pewnością wytrącił z równowagi Ciebie i Kena Wilsona. Nie może być wątpliwości, że nie ponosisz żadnej winy za to, że zasnąłaś, chociaż powinnaś była opiekować się Joem Sawyerem. Wiem, jaka byłaś wyczerpana. Podziwiam oddanie, jakie wykazujecie Ty i setki innych młodych pracowników Czerwonego Krzyża podczas Blitzu w naszych miastach.

W każdej chwili możesz do mnie przyjść i ze mną porozmawiać. W tym krótkim czasie, który spędził z nami, wszyscy bardzo się przywiązaliśmy do Joego. Z wyrazami szacunku,

*Alida Woodhurst
Brytyjski Czerwony Krzyż – oddział w Manchesterze*

Fragment dziewiątego rozdziału książki „Największa ofiara – Brytyjscy rozjemcy w 1941 roku” autorstwa Barbary Benjamin, opublikowanej przez wydawnictwo Weidenfeld & Nicolson, Londyn, 1996:

...właśnie wtedy książę Londynu niespodziewanie wyłania się ze swojej przeszłości, żeby przez kilka kluczowych miesięcy przechadzać się po światowej scenie. Żaden pojedynczy człowiek – polityk, generał ani dyplomata – nie wpłynął w tak wyraźny sposób na przebieg i wynik Niemieckiej Wojny. „Kiedy napotykam człowieka o ustalonych poglądach, uważam za swój obowiązek doprowadzenie do tego, że je zmieni”, rzekł kiedyś, opisując stan, który równie dobrze mógł odnieść do siebie samego. Chociaż był osobą o niewzruszonych przekonaniach, przez lata uważano go za polityka niegodnego zaufania, gdyż miał w zwyczaju często zmieniać strony.

Tutaj dostrzegamy pierwszą wskazówkę dotyczącą tego, co wielu ludzi wtedy uważało za niewytłumaczalną zmianę frontu, która ostatecznie okazała się najważniejszą i historycznie najbardziej znaczącą woltą ostatnich stu lat.

Gdyby nie wojna z Niemcami Hitlera, książę mógłby na zawsze pozostać na politycznym pustkowiu. Być może byłby postrzegany jako złożona, nowatorska, ale niekonsekwentna postać, która nigdy nie zdołała zrealizować swojego politycznego potencjału. Wybuch wojny akurat w tym momencie pozwolił mu zaistnieć. Książę wspaniale się sprawdził. Gdyby wojna trwała dłużej, a on doprowadził do wojskowego zwycięstwa, które zawsze obiecywał, można tylko się domyślać straszliwych

konsekwencji. Jednakże dzięki temu, że książę zmienił swoje stanowisko, niespodziewanie pojawiła się możliwość zawarcia prawdziwego i trwałego pokoju.

W ten sposób pojawił się wielki historyczny dylemat, który rozstrzygał książę. Kiedy należy walczyć? Kiedy należy złożyć broń? Gdy w 1941 roku pojawiła się szansa zmiany biegu historii, potrzebny był wybitny człowiek, który wiedziałby, czy tę szansę powinno się wykorzystać, czy odrzucić.

Książę Londynu, będący w połowie Brytyjczykiem, a w połowie Amerykaninem, urodził się 30 listopada 1874 roku jako Winston Leonard Spencer-Churchill, starszy syn Lorda Randolpha Churchilla. Jego matką była Jennie Jerome, córka biznesmena z Nowego Jorku. Już w młodości zdobył znaczną sławę i popularność dzięki barwnym i sensacyjnym relacjom z brytyjskich wojen, które przekazywał jako korespondent „Daily Telegraph”. Późniejsze książki oparte na tych relacjach stały się bestsellerami. Podczas swoich wypraw – na Kubę, na północno-zachodnią granicę Indii i do Sudanu – zdradzał pierwsze oznaki braku cierpliwości, porywczoci i niekonsekwencji: jako oficer pełniący czynną służbę w 31. pułku pendzabskiej piechoty nie powinien móc pisać do gazet. Tylko jego urok osobisty oraz rodzinne powiązania z ważnymi osobistościami pozwalały mu naginać te zasady na swoją korzyść.

Po raz pierwszy kandydował do parlamentu w 1899 roku, nieskutecznie ubiegając się o mandat w Oldham. Rok później zdobył go w wyborach uzupełniających, startując z ramienia konserwatystów. Do 1904 roku Churchill poróżnił się z konserwatywnym establishmentem i zmienił front, zostając liberałem. To była pierwsza z wielu politycznych wolt, które towarzyszyły Churchillowi przez większość jego kariery. Jako utalentowany mówca wygłosił wiele antykonserwatywnych przemówień, które członkowie konserwatywnego establishmentu chętnie przytaczali wiele lat później, gdy tak często kwestionowano jego decyzje.

Winston Churchill w ciągu kolejnych trzech dziesięcioleci

piastował wiele ważnych państwowych funkcji. W 1910 roku w liberalnym rządzie Herberta Asquitha otrzymał nominację na sekretarza stanu. Na tym stanowisku podjął kontrowersyjną decyzję o osobistym zaangażowaniu w policyjną akcję przeciwko dwóm uzbrojonym mężczyznom we wschodnim Londynie, stając na linii ognia i sprowadzając zbrojne oddziały w celu opanowania sytuacji. Był to pierwszy zwiastun tego, że jego nieokiełznana natura wpłynie na polityczne osądy. Drugi okazał się znacznie poważniejszy i wpłynął na życie tysięcy ludzi. Jako Pierwszy Lord Admiralicji w 1915 roku był osobiście odpowiedzialny za katastrofę, która wydarzyła się w cieśninie Dardanele. Churchill zawsze utrzymywał, że nieudana kampania na półwyspie Gallipoli była winą gabinetu Lloyd George'a, jednakże historia oceniła ją jako nieostrożną przygodę w znajomym stylu Churchilla. To poważnie nadszarpięło jego polityczną karierę i zmusiło do tymczasowego powrotu do wojska. Rozpoczął służbę na zachodnim froncie we Francji, ale pod koniec Wielkiej Wojny wrócił do rządu, zostając ministrem wojny. Na tym stanowisku opowiadał się za brytyjską interwencją w celu stłumienia rewolucji rosyjskiej. W 1941 roku Józef Stalin nie wahał się przypomnieć Churchillowi o tym niewygodnym fakcie. Załamanie relacji pomiędzy Zjednoczonym Królestwem a Związkiem Radzieckim latem 1941 roku, a także katastrofalne skutki zachowania przez Wielką Brytanię neutralności podczas niemieckiej inwazji na ZSRR, wielu historyków uznaje za wynik błędów Churchilla.

Po Wielkiej Wojnie Churchill przegrał kolejne dwie rundy wyborów i wrócił do parlamentu dopiero w 1924 roku, gdy jako konstytucjonalista uzyskał mandat w Epping. W tym samym roku ponownie zmienił polityczny front, wracając do Partii Konserwatywnej i obejmując stanowisko Kanclerza Skarbu pod rządami Stanleya Baldwina. Jako kanclerz wielokrotnie nalegał na ograniczenie wydatków Wielkiej Brytanii na obronność, co jawnie kłóciło się z jego późniejszym sprzeciwem wobec polityki ustępstw. W 1926 roku ostro zaatakował przywódców

powszechnego strajku na łamach redagowanej przez siebie „British Gazette”. Wziąwszy pod uwagę, że w 1910 roku wykorzystał żołnierzy jako łamistrajków, kierując ich przeciwko górnikom i dokerom, jego wkład uznano za nadmiernie napastliwy.

Nastał dziesięcioletni okres od 1929 do 1939 roku, w którym Churchill ponownie nie piastował żadnego wysokiego stanowiska, mimo że zasiadał w parlamencie. Zmienił swoje podejście do wydatków na zbrojenia i zaczął zdecydowanie nawoływać do odbudowy armii, praktycznie jako jedyny ostrzegając przed ambicjami Adolfa Hitlera. Cynicy w politycznym establishmencie twierdzili wtedy – i dalej to powtarzali po 1941 roku – że Churchill pomógł rozpętać wojnę dla własnych politycznych celów. Rzeczywiście, we wrześniu 1939 roku, tuż po wybuchu wojny, premier Neville Chamberlain po raz drugi mianował Churchilla Pierwszym Lordem Admiralicji, co stanowiło triumfalny powrót do władzy, zwłaszcza w oczach członków Królewskiej Marynarki Wojennej. W pierwszych miesiącach wojny z Niemcami marynarka najbardziej odczuła ciężar operacji wojskowych, co z perspektywy czasu nie wydaje się przypadkowe.

Mimo że wydarzenia w Niemczech po 1936 roku w pełni usprawiedliwiały militarystyczną postawę Churchilla, jego polityczni rywale postrzegali go jako niegodnego zaufania urodzonego podżegacza wojennego. Nie przepadała za nim większość parlamentarzystów, a tylko nieliczni mu ufali. Pozostawał popularny wśród obywateli, ale ówczesne badania opinii publicznej dawały jedynie przybliżone wyniki, zwłaszcza według dzisiejszych standardów.

Winston Churchill został premierem 10 maja 1940 roku, w tym samym dniu, w którym Wehrmacht wkroczył do Niderlandów. Chamberlain czuł się w obowiązku zrezygnować, ponieważ wiedział, że konieczny stał się rząd narodowy, a on już nie mógł liczyć na poparcie parlamentu. Jako że do sprawowania władzy niezbędne było doświadczenie,

wskazywano tylko dwóch kandydatów, którzy mogli go zastąpić: Churchilla oraz ministra spraw zagranicznych, Lorda Halifaxa. Na niekorzyść Churchilla przemawiało jego najnowsze fiasko: Brytyjczycy haniebnie dali się wyrzucić Niemcom z Norwegii po przygodzie, podczas której działania Churchilla prawdopodobnie naruszyły norweską neutralność. Jako Pierwszy Lord Admiralicji Churchill entuzjastycznie kierował tymi działaniami, zatem ostatecznie odpowiadał za ich niepowodzenie. Z kolei na niekorzyść Halifaxa przemawiało, że był parem, więc zasiadał w Izbie Lordów. Słynął także z polityki ustępstw, co stanowiło poważną wadę w maju 1940 roku. Podczas prywatnego spotkania tej trójki pod numerem 10 przy Downing Street, Churchill postanowił się nie odzywać. Halifax w końcu przerwał przedłużające się milczenie i zrezygnował, Churchill zaś natychmiast przyjął stanowisko. Do wieczora został poproszony przez króla o utworzenie nowego rządu. Churchill, co sam wspomina w swoich powojennych relacjach, czuł się, jakby wreszcie wypełniło się jego przeznaczenie, a całe dotychczasowe życie było zaledwie przygotowaniem do tego sprawdzianu. Tak rozpoczął swoje dwunastomiesięczne rządy, a zarazem proces wycofywania Wielkiej Brytanii z wojny.

Latem 1940 roku wyglądało na to, że Churchill ma niepodważalną pozycję, zarówno w rządzie, jak i w całym kraju: za sprawą serii błyskotliwych przemów umacniał brytyjski naród, przekonując do niezachwianego oporu przeciwko niemieckiemu wrogowi. Nie brał pod uwagę porażki ani kapitulacji: był zdeterminowany, żeby przetrwać intrygi Hitlera. Tymczasem jego pozycja polityczna ogromnie się wzmocniła. Pod koniec 1940 roku większość członków przedwojennego gabinetu Chamberlaina, którzy wciąż uważali się za zwolenników polityki ustępstw, odeszła z rządu, Churchill zaś cieszył się niemal powszechnym szacunkiem i lojalnością.

W maju kolejnego roku losy wojny zaczęły się obracać na korzyść Wielkiej Brytanii. Pokonano włoską armię w Afryce. Wygrano bitwę o Anglię. Zagrożenie inwazją przez kanał La

Manche zmalało. Blitz przeciwko brytyjskim miastom powoli łagodniał, gdyż obie strony zdawały sobie sprawę, że bombardowanie miast tak naprawdę było błogosławieństwem dla Królewskich Sił Powietrznych, które miały czas na wzmocnienie dywizjonów myśliwskich i bombowych. Brytyjczycy złamali niemieckie szyfry. Dzięki temu, a także dzięki innym źródłom wywiadowczym Churchill wiedział, że Niemcy planują potężne natarcie na Związek Radziecki. Ponadto wydawało się, że Stany Zjednoczone przystąpią do wojny po stronie Wielkiej Brytanii, i to raczej wcześniej niż później.

Wyglądało na to, że wojskowy sukces jest prawdopodobny, inaczej niż poprzedniego lata, gdy Adolf Hitler złożył nieszczerą propozycję pokojową. Przyjęcie tamtych warunków Hitlera, w ówczesnym stanie słabości, byłoby równoznaczne z kapitulacją.

W tych znacznie korzystniejszych okolicznościach myśl o zawarciu pokoju z nazistowskimi Niemcami z pewnością nie przyszła Churchillowi do głowy, gdy wiosną 1941 roku studiował raporty szefów sztabu. Jego głównym zmartwieniem w tym czasie, o czym pisał w swoich „Londyńskich dziennikach wojennych” (1950), było przekonanie Amerykanów, żeby przekuli swoją życzliwą neutralność na pełny wojskowy sojusz, który pozwoliłby uwolnić świat od faszyzmu, a następnie od komunizmu.

Stany Zjednoczone tymczasem cierpiały z powodu sytuacji w Chinach i Japonii. Nie było pewne, czy prezydent Franklin Roosevelt zdoła wesprzeć Churchilla. Gdyby Japończycy ruszyli na wschód, prowokując USA, plan Churchilla mógłby przynieść owoce. Japonia była związana sojuszem z nazistowskimi Niemcami, więc Amerykanie musieliby przystąpić do wojny po stronie Wielkiej Brytanii.

Zamiast tego, po ostatecznej i najbardziej sensacyjnej wolcie Churchilla w maju 1941 roku, Stany Zjednoczone poczuły się uwolnione od wszelkich zobowiązań wobec Brytyjczyków. W ciągu czterech tygodni od ogłoszenia brytyjskiego rozejmu i dwa tygodnie przed rozpoczęciem Operacji Barbarossa

przeprowadzili serię ataków wyprzedzających na ekspansjonistyczną Japonię i okupowane przez Japończyków obszary kontynentalnych Chin. Kiedy pokonali Japonię i zmiądzzyli bolszewickie zagrożenie związane z rewolucją maoistyczną, dzięki oportunistycznemu sojuszowi z Kuomintangiem Czanga Kaj-szeka Amerykanie zdołali szybko wkroczyć do Mandżurii, a w końcu na rozległe wschodnie obszary Związku Radzieckiego.

Churchill później zawsze utrzymywał, że zniszczenie komunizmu było dla niego ważniejszym celem niż pokonanie nazizmu, który stanowił tylko krok na drodze ku temu pierwszemu. Jednakże nie mamy żadnych historycznych dowodów, które by to potwierdzały. Wszystkie obecnie dostępne akta wskazują na obsesję Churchilla na punkcie własnej pozycji w brytyjskiej historii, a także otwartej wojny z Niemcami.

Nieskończenie bardziej złożoną i niebezpieczną wojnę z komunizmem toczyli zatem Niemcy, którzy zaatakowali Związek Radziecki z zachodu, oraz Amerykanie, którzy wkroczyli ze wschodu. Gdy ZSRR rozpadł się po uralskim zawieszeniu broni, dwa były supermocarstwa uwikłały się w patową Trzecią Wojnę. Oba popadły w gospodarczą i społeczną stagnację, gdy podliczono nieprawdopodobne koszty prowadzonych przez nie wojen. Tylko Niemcy podźwignęły się z tej ruiny, i to wyłącznie dzięki pomocy w ramach programu denazyfikacji wdrożonego przez Unię Europejską. Dla Stanów Zjednoczonych pół wieku stania w martwym punkcie okazało się katastrofą, z której nie było widać wyjścia. Na początku dwudziestego wieku USA były najnowszą i być może najlepszą demokracją w zachodnim świecie. Jednakże za sprawą błędnych wojskowych decyzji, skorumpowanych cywilnych rządów oraz politycznej krótkowzroczności, która przyćmiła nawet przedwojenny izolacjonizm, stały się chwiejną, ale autorytarną republiką rządzoną przez kapitalistycznych awanturników i uzbrojoną milicję, gnębianą przez społeczne niezadowolenie, zorganizowaną przestępczość oraz uzbrojony po zęby motłoch.

Kiedy na początku lat pięćdziesiątych Trzecia Wojna utknęła w martwym punkcie, Wielka Brytania była w potężnym wojskowym sojuszu z demokracjami Europy Zachodniej. Dzięki swobodnemu dostępowi do pól ropośnych na Bliskim Wschodzie, Wielka Brytania do dzisiaj pozostaje dominującą polityczną i gospodarczą potęgą na arenie światowej. Osoby popierające wersję historii głoszoną przez Churchilla, przypisują silną pozycję Wielkiej Brytanii ambicjom, które kierowały tym podżegaczem wojennym w połowie dwudziestego wieku, chociaż, oczywiście, nie potrafią wytłumaczyć jego wolty.

Zęby ją zrozumieć, trzeba ponownie przyjrzeć się wydarzeniom, które doprowadziły do niespodziewanego zawieszenia broni. Na początku maja 1941 roku doszło do jedyne odnotowanego spotkania pomiędzy Churchillem a młodym urzędnikiem brytyjskiego Czerwonego Krzyża, J.L. Sawyerem.

Niewiele wiadomo o Josephie Leonardzie Sawyerze sprzed jego spotkania z Churchillem. W 1936 roku startował w igrzyskach olimpijskich w Berlinie, gdzie podobno spotkał niemieckiego kanclerza. Później ze względu na pacyfistyczne przekonania został zarejestrowany jako obdzektor i zgłosił się na ochotnika do pracy w charakterze kierowcy karetki podczas bitwy o Anglię oraz bombardowań Londynu w ramach kampanii Blitz. Wielokrotnie został ranny podczas nalotów, w jednym wypadku doznał wstrząśnienia mózgu. Wstawił się wzorową postawą: stale wykazywał się męstwem i zaradnością, ratując życie wielu ludzi pochwyconych przez piekło Blitzu; nie dbał o własne bezpieczeństwo, ale nigdy nie narażał życia współpracowników. Chociaż jego nazwisko nie było powszechnie znane, dzielną postawę Sawyerera zauważyło wielu przedstawicieli władz cywilnych.

Kluczowe spotkanie pomiędzy Sawyerem a Churchillem było skutkiem inicjatywy doktora Carla Burckhardta, prezesa szwajcarskiego Czerwonego Krzyża. Ponieważ obie strony konfliktu uznawały Czerwony Krzyż za organizację cywilną, miał

on wyjątkową możliwość podejmowania prób negocjowania zawieszenia broni. Takie propozycje składano regularnie od chwili wybuchu wojny. Gdy w 1940 i w pierwszych miesiącach 1941 roku walki rozprzestrzeniły się w całej Europie oraz Afryce, a konflikt stał się bardziej intensywny i brutalny, żadna ze stron nie miała ochoty na rozejm, zatem propozycje Czerwonego Krzyża niezmiennie spotykały się z odrzuceniem.

Jednakże na początku maja 1941 roku Churchill nagle i niespodziewanie przystał na najnowszą oficjalną propozycję, a Sawyer był jedną z osób, które wezwano na ściśle tajne zebranie. Nie istnieje żaden formalny zapis tego, co wtedy powiedziano lub ustalono. Tajne protokoły dotyczące rozmów o zawieszeniu broni nie podlegają zasadzie trzydziestu lat, są więc objęte bezterminowym embargiem, ale w ostatnich latach rośnie presja na ich ujawnienie. Dopóki tak się nie stanie, możemy tylko spekulować co do przebiegu spotkania.

Niewiele wiadomo o Sawyerze w czasach przed poznaniem Churchilla, a jeszcze mniej o tym, co robił później. Jest pewne, że uczestniczył w rozmowach o rozejmie, gdyż jego podpis widnieje na traktacie pokojowym. Istnieje także zdjęcie wykonane podczas aktu podpisywania, na którym widać Sawyera stojącego na obrzeżach grupy. Później ślad po nim zaginął.

Jego bezprecedensowy wpływ na Churchilla, a w mniejszym stopniu także na kanclerza Niemiec, nie podlega dyskusji, zarazem jednak pozostaje niewyjaśniony. Naturalnie, chcielibyśmy wiedzieć więcej, ale możemy być zadowoleni, że cała sytuacja zaowocowała zawarciem pokoju. Tajemnica się pogłębia z powodu późniejszego zniknięcia Sawyera, a intryga dodatkowo nabiera rumieńców, gdy weźmiemy pod uwagę, że tylko dwukrotnie widziano go podczas wykonywania zadań dla Czerwonego Krzyża, a oba te przypadki wydarzyły się, gdy przebywał za granicą...

**Z odręcznie pisanych notatników J.L. Sawyera –
Uniwersytet Manchester, wydział historii regionalnej.
(www.man.ac.uk/archiwe/vern_his/saver):**

I

Dokładnie pamiętam chwilę, gdy doszedłem do siebie po wypadku. Wspomnienie powraca jak scena w środku filmu, gwałtowny przeskok z pustki. Znajdowałem się w karetce Czerwonego Krzyża i odzyskałem przytomność, gdy samochód podskoczył na nierówności. Próbowałem się bronić przed otrzymywanymi uderzeniami, ale tułów i nogi miałem delikatnie skrępowane pasami. Oprócz mnie w karetce znajdował się tylko młody sanitariusz Czerwonego Krzyża, niejaki Ken Wilson. Trudno nam było rozmawiać w głośnym wnętrzu pozbawionym wentylacji. Gdy samochód się kołysał, Ken opierał się rękami o półki nad głową. Pocieszył mnie, że pokonaliśmy już znaczną część drogi, ale i tak się martwiłem. Dokąd jechaliśmy?

Coś sobie uświadomiłem i coś musiało się zmienić w moim zachowaniu, ponieważ Ken podniósł głos, przekrzykując warkot silnika karetki i pisk opon.

– Joe, jak się czujesz? Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedziałem, a wtedy dotarło do mnie, że rzeczywiście czuję się dobrze, podczas gdy zaledwie kilka sekund wcześniej niczego nie czułem. Świat nagle stał się wyraźny. – Tak, wszystko znów zaczyna mieć sens.

– Przeżyłeś paskudny wstrząs, staruszku. Pamiętasz cokolwiek?

– Uderzyłem się w głowę, prawda? – Podniosłem rękę i

delikatnie pomacałem czubek czaszki, ale nie wyczułem żadnych wrażliwych miejsc, w których mogłaby się znajdować rana.

– Nieźle oberwałeś – rzekł Ken. – Nie jesteśmy pewni, co dokładnie ci się przytrafiło. Podejrzewamy, że znalazłeś się nieco za blisko wybuchającej bomby. Podmuch może człowieka przewrócić, nie powodując żadnych oczywistych obrażeń. Lekarz powiedział, że powinniśmy cię zawieźć do szpitala.

– Lekarz powiedział...? Chyba nie jestem chory? Kiedy to się stało?

– Mniej więcej tydzień temu. Byłeś w Bermondsey. Prawdę mówiąc, było nas tam mnóstwo. Wielki nalot, jak dotąd jeden z najgorszych. Na koniec, kiedy zameldowaliśmy się z powrotem na dziedzińcu w Wandsworth, okazało się, że nie wróciłeś. Zostałeś uznany za zaginionego, ale policja odnalazła cię dopiero trzy dni temu. Wygląda na to, że nie odniosłeś żadnych ran, ale lekarz, który cię badał, stwierdził, że już miał do czynienia z kilkoma takimi przypadkami. Fala uderzeniowa może wywołać wewnętrzne obrażenia. Musisz przejść dokładne badania, a szpitale w Londynie pękają w szwach. Uznaliśmy, że bezpieczniej będzie przetransportować cię do domu, żebyś mógł się wybrać do swojego lekarza i odwiedzić lokalny szpital. W Manchesterze sprawy jeszcze nie wyglądają tak źle.

Kiedy osłabł szok związany z powrotem świadomości, zacząłem odzyskiwać orientację. Wyglądało na to, że moja pamięć nie została poważnie naruszona: pamiętałem tygodnie spędzone w Londynie, długie nerwowe godziny za kierownicą karetki, dziesiątki rannych, których zabieraliśmy. Szczegółowo pamiętałem setki pożarów w wąskich londyńskich uliczkach, otaczające nas zrujnowane budynki bez okien, sterty gruzów, zalane wodą kratery i wijące się strażackie węże. Pamiętałem także Kena Wilsona. Ken i ja zawsze dobrze się dogadywaliśmy. Karetka zmierzała do celu, a on opowiadał mi, co członkowie Czerwonego Krzyża myśleli o moim zniknięciu, i gdzie według nich przebywałem, zanim odnalazłem drogę do schroniska dla mężczyzn.

Chociaż moje wspomnienia już zaczynały się układać w całość, za spokojnym obliczem, jakie starałem się okazywać Kenowi, kryło się przerażenie. Wstrząśnienie mózgu wywołuje poczucie pustki. Całkowicie normalne doświadczenia z przeszłości nagle stają się niedostępne. Odkrycie, co pozostało w twojej pamięci, a co zniknęło, to bolesny proces.

Chcę podkreślić fakt przebudzenia w karetce (dlaczego właśnie tam? dlaczego właśnie wtedy?), ponieważ jest on czymś pewnym. W tamtej chwili rozpoczęło się dla mnie na nowo świadome życie. Później nastąpił jego niezwykle istotny etap i chcę go zachować w swoich notatkach, ale nie mogę opowiadać o tym z taką pewnością, jakiej bym pragnął. Mogę tylko opisywać to, co mi się przytrafiło, z mojego punktu widzenia. Jestem pewien tamtej chwili przebudzenia. Jest ona dla mnie rodzajem nowego początku.

Wkrótce po północy zatrzymaliśmy się na krótki postój w Birmingham, gdzie znajdowała się jedna z głównych stacji Czerwonego Krzyża. Spróbowałem przejść kilka kroków bez lasek, które dał mi Ken. Poszło mi całkiem sprawnie, ale czułem się niepewnie bez podparcia i szybko straciłem oddech. Przeszliśmy do kantyny i usiedliśmy przy stoliku razem z młodą kobietą, która kierowała karetką, Phyllidą Simpson. Ścieśniliśmy się w chłodnym wnętrzu, starając się lepiej poznać.

Kiedy wróciliśmy do karetki, Ken usiadł za kierownicą, a Phyllidą zabezpieczyła mi nogi i biodra pasami, na wypadek gdybym chciał się przespać. Wkrótce minęliśmy mocno zniszczone centrum oraz przedmieścia i ruszyliśmy na północ, przemierzając wiejskie okolice. Phyllidą położyła się na noszach przymocowanych do ściany i zapadła w drzemkę.

Ja również byłem wyczerpany, ale wypełniała mnie radość z odzyskania tożsamości. W końcu ułożyłem się do snu na niewygodnej półce, owinięty dwoma kocami, opierając się na łokciach i wpatrując w sufit furgonetki. Był polakierowany na kremowo, metalowy, przymocowany za pomocą malutkich zamalowanych nitów. W pojeździe było niewiele wygod. Ile

zniszczonych istnień zakończyło się na takiej twardej półce, z podobnie ponurym widokiem? Sam widziałem takich ludzi. Nie potrafiłem zapomnieć rozpacz i żalu, które wzbierały we mnie za każdym razem, gdy docieraliśmy do szpitala i odkrywaliśmy, że ranna osoba zmarła, gdy rozpaczliwie pędziliśmy zaciemnionymi ulicami.

II

Dotarliśmy do Manchesteru o świcie. Ktoś otworzył drzwi naszego budynku i weszliśmy. Ken i Phyllida udali się do kuchni i jedno z nich nastawiło wodę na herbatę, podczas gdy ja przespacerowałem się po opuszczonych piętrach, ponownie zapoznając się z tym miejscem. Wiedziałem, że minęło sporo czasu, odkąd tutaj pracowałem, ale moja szwankująca pamięć nie radziła sobie ze szczegółami. Nie mogłem się doczekać powrotu do domu i spotkania z Birgit. Pierwszy pociąg do Macclesfield odchodził dopiero po ósmej rano, ale w drodze do centrum Manchesteru Phyllida zapowiedziała, że ktoś może mnie wcześniej podwieźć.

Ostatecznie, spędziwszy nieco czasu w centrum Manchesteru, wsiałem do pociągu. Wszedłem z dworca w Macclesfield, przeszedłem tunelem, przekroczyłem Silk Road i zacząłem się wspinać ku Rainow. To był długi spacer pełen wspomnień o czasach, gdy wracałem tą samą drogą na swoim starym rowerze.

Skorzystałem ze skrótu przez pola na zboczach poniżej naszego domu. Był cudowny jesienny poranek, całun mgły zasnuwał wzgórza, ale słaby blask słońca już opromieniał mi twarz, a panorama równiny stawała się coraz ostrzejsza wraz z upływem dnia. Widziałem przed sobą nasz dom na tle bładobłękitnego nieba. Myślałem o Birgit, która była w środku i nawet nie podejrzewała, że prawie wróciłem. Nie mieliśmy telefonu, więc nie mogłem jej uprzedzić. Wyobraziłem sobie, jak siedzi sama przy stole kuchennym, być może pije mleko albo herbatę i czyta poranną gazetę.

Tak długo mnie nie było – już nie wiedziałem, ile minęło tygodni, odkąd wyjechałem. Birgit przez cały ten czas mieszkała sama, w domu i w kraju, w którym nigdy nie czuła się u siebie. Rzadko udawało mi się z nią skontaktować: nie dzwoniliśmy do siebie, nie licząc krótkich rozmów z publicznych automatów telefonicznych, nasze listy docierały z opóźnieniem z powodu chaosu wywołanego nalotami. Była taka młoda i piękna. Zostawiłem ją samą i zaniedbywałem, próbując jakoś sobie poradzić z wojną.

Przystanąłem. Po raz pierwszy w życiu zwątpiłem w swoją żonę. Czy to możliwe, że pod moją nieobecność znalazła pociechę w ramionach kogoś innego? Kiedy byłem w Londynie, poznałem wielu ludzi, których życie zakłóciła wojna i których dręczyły zazdrosne myśli o seksualnych zdradach. Rozłąka, samotność, nieufność, niewierność, oto prawdziwe skutki wojny dla większości ludzi. Małżeństwa co najmniej dwóch mężczyzn, z którymi współpracowałem w stolicy, nie wytrzymały ciężaru wojny.

Zdałem sobie sprawę, że panikuję, co rzadko mi się zdarzało, i postanowiłem w ostatniej chwili wysłać ostrzeżenie. W ciągu tych kilku sekund uwierzyłem, że jeśli wejść bez zapowiedzi do swojego domu, mogę przerwać coś, czego nie chciałbym oglądać. Od domu dzieliło mnie niecałe pięćdziesiąt jardów.

Przyłożyłem złączone dłonie do ust.

– Birgit! – zawołałem. – Słyszysz mnie? Wróciłem!

Mój głos zabrzmiał jak wybuch w ciszy poranka. Miałem wrażenie, że słowa popłynęły po zboczach i odbiły się echem od spokojnych wzgórz, tak donośne, że ludzie oddaleni o wiele mil obejrzeni się i wyciągnęli szyje. Rozejrzałem się po zamglonej okolicy oświetlonej słońcem. Zawołałem jeszcze raz, a następnie zacząłem się wspinać po nierównym trawiastym zboczu.

– Wróciłem do domu, Birgit! – zawołałem ponownie.

Nagle zobaczyłem jakiś ruch. Jedna z zasłon w bawialni lekko drgnęła. Czy to Birgit?

Otworzyły się frontowe drzwi wychodzące na błotnistą dróżkę

biegnącą obok domu. Zatoczyłem się do przodu i potknąłem, na chwilę opierając się rękami o zimną od rosy trawę, a następnie ponownie się podźwignąłem. Zobaczyłem, że ktoś wychodzi z domu.

To nie była Birgit, ale młody mężczyzna. Spełniły się moje najgorsze przypuszczenia. Miał na sobie mundur RAF-u: eleganckie niebieskie spodnie i bluzę, jasnoniebieską koszulę i ciemny krawat oraz czapkę z daszkiem. Popatrzył w moją stronę ponad błotnistą ziemią, a na jego twarzy odmalował się szok porównywalny z tym, który sam odczuwałem.

To był mój brat Jack. W moim domu.

Na wpół czołgałem się, a na wpół wspinałem po śliskiej trawie. Stał sztywno z dłońmi wyciągniętymi w moją stronę. Wciąż się zataczałem i ślizgałem, rozpaczliwie brnąc w jego kierunku, ale nie byłem w stanie się zbliżyć. Birgit wyszła z domu i stanęła za Jackiem, zerkając mu przez ramię. Patrzyła na mnie, gdy jak głupiec przewracałem się i zjeżdżałem po błotnistym zboczu.

III

Otworzyłem oczy i zobaczyłem nad sobą polakierowany na kremowo metalowy sufit karetki. Wstrząsały mną hałas i wibracje silnika. Plecy miałem zeszywniałe, gdyż stale je napinałem, żeby chronić się przed gwałtownym kołysaniem furgonetki.

Phyllida stała w przejściu na wyprostowanych nogach i pochylała się nade mną. Jedną dłoń zaciskała na moim nadgarstku, a drugą chłodziła mi czoło. Próbowałem usiąść, zbity z tropu tą nagłą zmianą. Pchnęła mnie na posłanie, delikatnie, ale stanowczo. Zrozumiałem, jaki jestem osłabiony.

– Krzyczałeś – rzekła. – Nie rozumiałam, co mówisz.

– Nie wiem – odparłem. Oczywiście wyobraźni wciąż widziałem strome zbocze, jasny poranny blask słońca, sylwetki mojego brata i żony, wysoko nade mną, nieosiągalne. – Nie spałem! Naprawdę krzyczałem?

– Joe, spróbuj się uspokoić. Zawieziemy cię do Manchesteru najszybciej, jak to możliwe. Dam ci coś do picia.

Podawała mi jeden z kubków z przykrywką, które dajemy pacjentom, kiedy karetka szybko jedzie. Co się działo w moim domu? Jack i Birgit razem? Wziąłem kubek od Phyllidy i zacząłem ssać metalowy ustnik. Zimna woda rozkosznie wpłynęła mi do ust. Wypiłem kilka łyków i oddałem naczynie.

– Lepiej? – spytała.

– Lepiej niż co? Nie mam pojęcia, co się ze mną stało! Myślałem, że już dojechaliśmy. Poszliśmy do budynku przy Irlam Street, gdzie pracujemy! Byliśmy tam razem z Kenem Wilsonem. Przed chwilą! Czy to nieprawda?

– Joe, połóż się wygodnie.

Trzykrotnie mocno zapukała obcasem w metalową ściankę oddzielającą tył furgonetki od kabiny kierowcy. Po chwili poczułem, że samochód zwalnia. W końcu się zatrzymał, a silnik zgaśł. Usłyszałem, jak się otwierają, a następnie zamykają drzwi kierowcy. Ken Wilson okrążył pojazd i wsiadł tylnym wejściem. Na zewnątrz panowała całkowita ciemność.

– Co się stało? Wszystko w porządku, Joe?

– Tak...

– Nagle zaczął krzyczeć – wyjaśniła Phyllida. – Na pewno słyszałeś.

– Chyba coś mi się przyśniło – stwierdziłem, zauważając, jak niespodziewanie poważnie podeszli do mojego wybuchu. – Jakiś koszmar albo coś w tym rodzaju.

Moje słowa zabrzmiały nieprzekonująco. To nie przypominało snu, tylko wypływało z tej samej rzeczywistości, w której właśnie w niezrozumiały sposób ponownie się znalazłem. Sny są dziwaczne, ale zwięzłe, a to było coś innego. Pamiętałem, jak przez długie godziny leżałem beczynnym na tej twardej półce, podczas gdy jechaliśmy poprzez noc, zawieszony w połowie drogi pomiędzy snem a jawą, znudzony i niespokojny, stęskniony za domem. Było to tak pospolite doświadczenie, że nie przyszło mi do głowy, by je zakwestionować. Kiedy

dotarliśmy do Manchesteru – jak sądziłem – byłem odrętwiały z wyczerpania, ale czułem ulgę. Złapałem drugi oddech, gdy powoli szedłem na dworzec główny, żeby pojechać pierwszym pociągiem do Macclesfield. To, co przeżywałem, było nudne i zwyczajne, podszyte świadomymi myślami, a nie związane ani dziwne; wcale nie przypominało typowej sennej wizji. Czy przyśnił mi się zimny pociąg o brudnych oknach? Czy tylko sobie wyobraziłem, że wspinam się na wzgórze wzdłuż Buxton Road tamtego ożywczego jesiennego poranka?

Zupełnie jakbym nagle cofnął się w czasie, prześlizgując się z jednej rzeczywistości do drugiej. Ale w takim razie, w którą rzeczywistość powinienem teraz wierzyć?

Ken i Phyllida obserwowali mnie z troską. Za ich sprawą czułem się jak pacjent na szpitalnym łóżku, którego poproszono o opisanie tajemniczych objawów. Starłem się, żeby moje słowa zabrzmiały zwyczajnie i swobodnie.

– Jak daleko dotarliśmy? – spytałem. – To znaczy, od czasu postoju w Birmingham?

– Niedaleko – odrzekł Ken. – Mniej więcej przed kwadransem przejechaliśmy przez Walsall. To tylko kilka mil na północ od Birmingham.

– Chyba miałem zły sen. Przepraszam, jeśli was zaniepokoiłem.

– Posiedzę przy nim, Ken – odezwała się Phyllida. – Jak najszybciej wracajmy do bazy.

Miałem ochotę zaprotestować, żeby nie traktowali mnie jak pacjenta, ale szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, co się ze mną działo w ciągu ostatnich kilku dni. Z tego powodu, jak wielu prawdziwych pacjentów, w dużym stopniu byłem zdany na ich łaskę. Phyllida mieszkała w Bury, na północ od miasta, a Ken, który czekał na odesłanie do Londynu, przez kolejne dwa dni zamierzał mieszkać z nią i jej rodzicami. Zerknęli na mapę i postanowili skorzystać ze skrótu, żeby odwieźć mnie do domu. Przyjąłem to z ulgą. Nie mogłem się doczekać powrotu. Nie chciałem ponownie czekać na pociąg w Manchesterze, a następnie znosić powolnej podróży. Dopiero co przez to

przechodziłem.

Wkrótce ponownie ruszyliśmy w drogę. Phyllida próbowała wciągać mnie w rozmowę. Oboje byliśmy wyczerpani. Uważałem, że dopóki zachowam świadomość, będę obserwował otoczenie i odpowiadał na pytania Phyllidy, ciągłość mojego prawdziwego życia nie zostanie zaburzona. Jednak w końcu Phyllida straciła zapał. Kilkakrotnie zgubiła wątek i widziałem, że z trudem broni się przed zaśnięciem. Zapewniłem ją, że czuję się dobrze i poradzę sobie, jeśli ona się zdrzemnie. Pokręciła głową i odparła, że razem z Kenem mają mnie obserwować przez całą drogę do domu, ale mówiła coraz bardziej niewyraźnie. Po kolejnych kilku minutach położyła się na twardej półce i nakryła jednym z koców. Po chwili zasnęła z otwartymi ustami i bezwładnie zwisającą ręką. Wtedy zacząłem rozmyślać o tamtej wyrazistej wizji i zastanawiać się, co mogła oznaczać.

IV

Wtoczyliśmy się do Macclesfield o świcie. Obróciłem się na półce, gdy tylko dostrzegłem światło dnia prześwitujące przez wysokie wąskie okna, a następnie usiadłem, żeby móc spoglądać ponad głowę kierowcy przez okienko wychodzące na jego kabinę. Jak można się było spodziewać, być może z powodu wczesnej godziny, na drodze nie było prawie żadnych samochodów. Widzieliśmy tylko kilka wojskowych pojazdów. Był szary, chłodny poranek, a ostry wiatr miotał krople deszczu na przednią szybę, rysując krótkie ukośne linie, które poruszały się chwiejnie, dopóki nie usunęły ich wycieraczki. Kilka godzin wcześniej, kiedy wyśniłem albo wyobraziłem sobie ten sam poranek, był on słoneczny i mglisty, stanowił zapowiedź jesiennego blasku. Nie teraz. Wieś niemal nie odczuła skutków wojny, ale w miasteczkach w wielu domach zabito deskami okna i pozamykano drzwi oraz bramy na kłódki. Nie zauważyliśmy żadnych śladów bombardowania w Macclesfield, ale wszędzie widniały ponure oznaki wojny; schrony, betonowe blokady

drogowe, ogólna szarzyzna wywołana brakiem szyldów reklamowych i wystaw sklepowych. Zbliżała się druga zima wojny i nic nie mogło nam przynieść ulgi od tej monotonii. Ken zatrzymał karetkę na Hibbel Road, naprzeciwko budynku sądu, który wciąż miałem świeżo w pamięci, gdyż wcześniej w tym roku musiałem tam stanąć przed trybunałem. Obszedłem samochód i usiadłem w kabinie razem z Kenem.

Kiedy, głośno hałasując, jechaliśmy w górę długiego wzgórza, wypatrywałem swojego domu, ponownie się zastanawiając, tym razem z trwogą, co zastanę na miejscu. O takiej wczesnej godzinie Birgit niemal na pewno będzie spała. Nie pozwalałem swoim myślom błądzić zbyt daleko.

Ken nalegał, żebyśmy podjechali wąską dróżką aż do samego domu. Wsiadłem z karetki i zabrałem niewielką torbę ze swoimi rzeczami. Miałem wrażenie, że odgłos wolno pracującego silnika obudzi wszystkich w wiosce. Phyllida zajęła moje miejsce w kabinie kierowcy. Pomachałem im na pożegnanie i bezgłośnie podziękowałem, po czym zwróciłem się w stronę domu. Otworzyłem drzwi kluczem.

Poczułem znajomy domowy klimat. Wnętrza wyglądały na wysprzątane, czyste i zadbane. Usłyszałem kroki na deskach nade mną i Birgit pojawiła się na szczycie schodów. Zawsze czujnie spała, więc hałasująca karetką ją obudziła. Zakrywała nocną koszulę długim szlafrokiem, który podarowałem jej w poprzednie Boże Narodzenie. Miała potargane włosy i rumiane policzki. W pierwszej chwili pomyślałem, że wygląda na szczęśliwą i zdrową. Wciąż była piękna! Uświadomiłem sobie, jak bardzo za nią tęskniłem, i jak bardzo cierpiałem z powodu swojej nieobecności, która wywołała pustkę w moim życiu. Birgit się uśmiechała i pośpiesznie do mnie schodziła, witając mnie z uniesionymi rękami.

Chwyciłem ją w ramiona, czując znajomy zapach i dotyk jej policzka na swojej twarzy. Wciąż była rozgrzana po leżeniu w pościeli. Bez słowa pocałowaliśmy się i przytuliliśmy, dotykając się, smakując, przywierając do siebie nawzajem. Była taka duża i

miękka.

Nagle Birgit roześmiała się i przycisnęła moją dłoń do swojego brzucha.

– Czujesz je? – spytała. – To jest moja niespodzianka dla ciebie, kochanie.

– Co takiego? – spytałem tępo.

– Dopiero co się dowiedziałam! Zaledwie dwa dni temu. Jestem już w drugim miesiącu!

To była jej niespodzianka dla mnie tamtego zimnego listopadowego poranka.

V

Tamtego roku jesień była chłodna i deszczowa; wiatr bezustannie chłostał zachodnią ścianę starego domu, wywołując lodowate przeciągi we wszystkich pokojach. Panoramę równiny Cheshire, która zawsze mnie inspirowała, codziennie przesłaniały mgły albo nisko wiszące chmury. Nasza sypialnia znajdowała się z tyłu domu, ale tam również przedostawało się zimno.

Czerwony Krzyż udzielił mi tygodniowego urlopu zdrowotnego, więc z niego korzystałem, codziennie sypiając do późna, trzymając Birgit blisko siebie. Oboje nie mieliśmy ochoty wychodzić z ciepłego łóżka do wyziębionego pokoju, stąpać po gołych klepkach – nie było nas stać na dywany ani wykładziny – ani dygotać z zimna w toalecie, która znajdowała się po nawietrznej stronie domu, albo na dole, gdzie mieliśmy kamienne posadzki. Przez kilka dni byliśmy szczęśliwi jak w pierwszych tygodniach po ślubie. Milcząca obecność naszego synka albo córeczki wreszcie zapowiadała pewną przyszłość. Perspektywa ojcostwa dawała mi do myślenia: oczywiście czułem prostą radość wywołaną posiadaniem dziecka, ale także lęk, czy sprostim temu zadaniu. Poza tym dręczyły nas poważniejsze zmartwienia, na przykład: jakie mamy prawo wydawać dziecko na świat pogrążony w wojnie i strachu?

Jednak podniecenie zazwyczaj przewyższało wszystkie obawy. Byliśmy pewni, że sobie poradzimy. Poza tym dla Birgit cięża stanowiła dodatkową ochronę przed internowaniem. Pokazała mi listy, które dostała z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, kiedy przebywałem w Londynie – urzędnicy nie pisali tego wprost, ale wyglądało na to, że Birgit wciąż ma kategorię „C”, czyli może zostać zatrzymana, jeśli złamie prawo w jakiś bliżej nieokreślony sposób.

Te listy nie były jedynym, co nam przypominało o wojnie. Nawet gdybym nie zwracał uwagi na jej zewnętrzne oznaki – niekończące się listy zasad i ograniczeń, które każdego dnia ogłaszano przez radio, racjonowanie żywności i ubrań, przygnębiające wieści o zbombardowanych miastach i zatopionych okrętach, stałą obecność samolotów bojowych na niebie – musiałem żyć z poczuciem niepokoju, że tygodnie spędzone w Londynie pozwolily, by wojna mnie przeniknęła.

Czułem, że pacyfizm paradoksalnie zmienił mnie w nosiciela wojny, tak samo jak niektórzy ludzie odporni na choroby stają się ich nosicielami i przekazicielami.

Dokądkolwiek się udałem, otaczały mnie oznaki konfliktu. Nienawidziłem i bałem się wojny, a jednak nie potrafiłem przed nią uciec nawet we śnie. Często śniłem o pożarach, wybuchach, walących się budynkach, strumieniach wody pod wysokim ciśnieniem, tańczących po rozpadających się murach, dźwięku syren i gwizdków, krzykach; prawie każdej nocy budziłem się zlany potem i leżałem w ciemności, powtarzając sobie, że to tylko sen. Odrzucały mnie te wizje, ale zarazem wiedziałem, że uzależniłem się od wojennych zagrożeń, do czego nie potrafiłem się przyznać. Byłem bezpieczny w domu z Birgit – przynajmniej w stopniu, w jakim mógł być bezpieczny każdy cywil – ale pragnąłem porzucić to schronienie i ponownie rzucić się w wir niebezpieczeństwa.

Zaledwie dzień albo dwa po moim przyjeździe usłyszeliśmy w radiu, że miasto Coventry zostało całkowicie zniszczone przez Luftwaffe podczas zaledwie jednej nocy nalotów.

VI

Rankiem następnego dnia po usłyszeniu wieści o Coventry obudziłem się, gdy Birgit wyszła z łóżka i zaczęła dyskretnie krzątać się po naszej sypialni, najwyraźniej starając się mnie nie zbudzić. Na dworze wstawał dzień. Widziałem niewyraźną sylwetkę ubierającej się Birgit na tle zasłon. Podziwiałem jej kobiecą figurę, powiększające się piersi i nieznacznie zaokrąglony brzuch.

– Co robisz? – spytałem, zanim wyszła z pokoju.

Obejrzała się zaskoczona, gdyż zapewne nie zdawała sobie sprawy, że nie śpię.

– Muszę iść na zakupy. Trzeba wcześniej zająć kolejki, zanim wszystko wykupią. Jutro nie mogę, ponieważ mam lekcje. Dlatego muszę pójść teraz.

– Pójdę z tobą – zaproponowałem, ponieważ spędziłem w domu już tyle czasu, że zacząłem się czuć uwięziony.

– Nie. Chcę to zrobić sama.

Spierałem się z nią przez chwilę, ale ona nie przestawała z determinacją krążyć po domu i wkrótce wyszła, obiecując, że wróci jak najszybciej.

Odprowadziłem ją do drzwi i patrzyłem, jak pośpiesznie idzie wzdłuż ulicy w stronę przystanku autobusowego. Wróciłem do łóżka i przeczytałem poranną gazetę, którą dostarczono po wyjściu Birgit. Wieści z Coventry były przygnębiające i niepokojące, a ekipy ratunkowe poszukiwały ofiar w gruzach. Jaki odwet zarządzi Churchill w obliczu setek ofiar i ogromnych zniszczeń? Bałem się reakcji tego podżegacza. Wojna wymknęła się nam z ręki. Niektórzy ludzie twierdzili, że nic nie może być gorsze od niekończących się nocnych ataków na nasze miasta, ale ja sądziłem, że obie strony stać na więcej. Bałem się myśleć, co to może być.

Kiedy się ubrałem, zaparzyłem sobie filiżankę herbaty, a następnie wróciłem do sypialni. Stając na krześle, sięgnąłem na

górną półkę szafy i zacząłem szukać czapki od munduru, która była tam wcześniej ukryta. Ku swojemu zaskoczeniu odkryłem, że czapka leży na niewielkiej stercie starannie złożonych ubrań. Wyjąłem wszystko, co udało mi się znaleźć, i rozłożyłem na łóżku.

Wyglądało to na kompletny mundur. Oprócz czapki była koszula, para wyprasowanych spodni, pas, bluza, krawat oraz para wypolerowanych do połysku czarnych skórzanych butów. Na bluzie ponad kieszonką na piersi naszyto bliźniacze „skrzydła”, oznaczające wykwalifikowanego pilota. Była także wstęga jakiegoś odznaczenia, ale nie udało mi się jej rozpoznać.

Odrzuciłem od siebie wszystkie konsekwencje obecności munduru w moim domu. Zamiast tego szybko zdjąłem własne ubranie i włożyłem strój pilota RAF-u. Stałem przed wysokim lustrem, odziany w szorstki i sztywny, nieznamy strój, przypatrując się zmianie, jaką we mnie wywołał. Odwróciłem się i obejrzałem przez ramię. Stałem bokiem, prostując ramiona. Przekrzywiłem i uniosłem głowę, jakbym wpatrywał się w niebo. Zasalutowałem. Miałem wrażenie, że wokół mnie uwodzicielsko ryczą silniki i rozbrzmiewają echa dalekich wybuchów.

Usłyszałem jakiś ruch za drzwiami pokoju. Zamarłem, bojąc się, że zostanę przyłapany, ale mój lęk szybko zmienił się w zaniepokojenie i irytację. Kto jest w domu?

Podszedłem do drzwi, czując podczas tych kilku kroków, że mundur nadał moim ruchom niemal wojskowy dryg, po czym otworzyłem drzwi.

Mój brat Jack stał na szczycie schodów. Miał na sobie swój mundur. Patrzyliśmy na siebie, dwa lustrzane odbicia.

Wtedy zrozumiałem, co się dzieje. Tego ranka w jakiś sposób obudziłem się nie we własnej rzeczywistości, ale wewnątrz kolejnej barwnej wizji.

Jack mi zasalutował.

Na dole rozległ się kolejny hałas. Szybko zbliżyłem się do widmowego Jacka i przepchnąłem obok niego, nawet go nie dotykając, bojąc się krzyżować z nim spojrzenia. Dom należał do

mnie; zapachy i dźwięki były takie jak zawsze. W jaki sposób sobie to wyobraziłem? Koniecznie chciałem oddalić się od Jacka, uciec z domu, wyjść na zimne powietrze, wyrwać się z halucynacji. Zbiegłem po schodach.

Mijając drzwi salonu, zobaczyłem Birgit, która stała odwrócona do mnie plecami, pochylona nad czymś rozłożonym na stole, najwyraźniej pogrążona w lekturze. Zatrzymałem się w progu.

– Birgit! Ty też tutaj jesteś?

– Tak, oczywiście. – Wyprostowała się i odwróciła w moją stronę, przyciskając ręce do boków, prostując ramiona.

– Powiedziałaś, że wychodzisz. Słyszałem, jak...

– JL, co się stało?

– JL? Dlaczego tak mnie nazywasz? Jestem Joe!

– Mój Boże! Myślałam...

Zerknąłem na siebie, na krawat, koszulę, niebieski sztywny materiał bluzy od munduru. Dotknąłem czapki na głowie, zobaczyłem lśniące czubki czarnych butów. Odsunąłem się od Birgit i zerknąłem w długie lustro fazowane, które wisiało na ścianie w korytarzu obok frontowych drzwi. Popatrzyła na mnie idealna podobizna umundurowanego Jacka o świeżej i zawadiackiej powierzchowności oraz silnych dłoniach. Opuściłem głowę, żeby już go nie widzieć.

VII

Świtało następnego dnia po tym, jak usłyszeliśmy wieści o Coventry. Leżałem na plecach po swojej stronie łóżka, całkowicie rozbudzony. W pokoju było niemal ciemno, jednak jaskrawe, wyraźne obrazy halucynacji wciąż mnie oszałamiały. Jak odkryłem jeszcze w karetce, przejście z jednej rzeczywistości do drugiej sprawiało, że czułem się, jakbym się cofał w czasie: kilka niepewnych kroków postawionych na ścieżce, a potem nagły wstrząs i powrót do miejsca, z którego rozpocząłem.

Teraz Birgit spała obok mnie, a jej ręka ciążyła mi na brzuchu. Była duża i ciepła w dotyku. Czułem się wyobcowany i

wystraszony, nie pocieszała mnie jej bliskość, intymność dzielonego łóżka. Głośno stęknąłem, uświadamiając sobie, że te wyobrażenia ujawniły mi moje najgorsze lęki. Nazwała mnie JL. Dlaczego? Czuję, że Birgit się porusza, zapewne obudzona przez hałas, jakiego narobiłem. Wtuliła się twarzą w moją twarz, z czułością i zadowoleniem reagując na moją obecność. Przytuliła się do mnie, opierając miękką pierś na moim ręku i przywierając brzuchem do mojego boku.

Kilka sekund później oboje byliśmy w pełni rozbudzeni i siedzieliśmy oparci plecami o twardą drewnianą ramę szczytową. Birgit zapaliła lampkę po swojej stronie łóżka i otuliła ramiona wełnianym rozpinanym swetrem. Był kwadrans po ósmej. Świt nadszedł późno, ponieważ letni czas wciąż obowiązywał w zimowych miesiącach. Gdzieś w oddali usłyszeliśmy silniki dużego samolotu, który leciał nisko nad górami.

Obrazy z mojej halucynacji nie dawały mi spokoju: wydawały się takie rzeczywiste i wiarygodne. Naprawdę czułem szorstkość munduru na skórze. Dom był dokładnie taki, jakim go znam. Swojego brata Jacka znam chyba najlepiej na świecie. Zacząłem drżeć, nie potrafiąc zrozumieć ani zaakceptować tego, co to oznacza i co się ze mną dzieje. Objąłem Birgit, przyciskając ją do siebie. Wtuliła się we mnie, najwyraźniej nieświadoma tego, co się działo w moim umyśle.

Po chwili wyszedłem z łóżka i udałem się do toalety. Kiedy wróciłem, Birgit siedziała wyprostowana. Miała potargane włosy i opuchnięte oczy. Zauważyłem, że opiera jedną dłoń na brzuchu.

Zapaliłem światło na suficie, przysunąłem krzesło do szafy i wspiałem się na nie, żeby sięgnąć na górną półkę.

– Joe, co tam robisz? Wracaj do łóżka.

– Muszę to wyjaśnić – odparłem ponuro.

Wepchnąłem rękę do końca i coś wymacałem. Od razu wyczułem czapkę, potem na oślep poszukałem reszty stroju, który sobie wyobraziłem. Pod czapką znalazłem jeszcze jeden element ubioru. Wyjąłem je razem. Czapka i sztywna koszula.

Tylko tyle.

Ale wystarczy dla moich potrzeb.

– Kto to tutaj schował? – spytałem, trzymając koszulę w jednej, a czapkę w drugiej dłoni. Podniosłem je, jakbym groził Birgit.

– Oczywiście ja.

– Należą do JL-a, prawda?

– Tak.

– Co robią w naszym domu?

– Prosił, żebym o nie zadbała.

– Co takiego? Dlaczego zajmujesz się ubraniami mojego brata?

– Pewnego dnia... je przyniósł. Koszula wymagała prania, a czapka czyszczenia. Poprosił, żebym je przechowała. Ma ich więcej w bazie lotniczej.

– Więc Jack był w naszym domu? Podczas mojej nieobecności!

– Tak.

– Co się dzieje między wami?

– Nic się nie dzieje! Co ci przyszło do głowy? – Poruszyła się na łóżku, przenosząc ciężar ciała na splecione nogi, tak że bardziej się wyprostowała. Na chwilę napięła ramiona, potem je rozluźniła. – JL jest twoim bratem! Długo cię nie było. Całymi tygodniami! Co miałam zrobić? Nie mam tutaj żadnych przyjaciół. Ani w wiosce, ani w całej Anglii. Każdy, kto słyszy mój głos, myśli, że szpieguję dla Hitlera! Jestem nazistką, a mój mąż nie służy w wojsku. Ludzie szepczą. Myślą, że nie słyszę. Twój rodzice się do mnie nie odzywają. Moja matka i mój ojciec nie żyją, a przynajmniej tak się uważa. Jestem tutaj sama, każdego dnia i każdej nocy. Czasami przychodzi list od ciebie, czasami nie. Jeżeli go nie ma, mogę grać muzykę, której nikt nie słucha. Albo wsiąść do autobusu i pojechać do sklepów, w których nie ma niczego do kupienia. Co za wspaniałe życie!

– A co z Jackiem? – spytałem. – Przecież wiesz, co o sobie nawzajem myślimy. Dlaczego tutaj przychodzi, kiedy wyjeżdżam?

– Ciebie ciągle nie ma! JL wpada tylko na dzień albo dwa, kiedy dostaje przepustkę. To nie od niego zależy. Kiedyś do mnie napisał, pytając, czy może z nami spędzić urlop, ponieważ

nie chciał wracać do domu. Byłeś wtedy w Londynie. Nie wiedziałam, jak się z tobą skontaktować, a on sprawiał wrażenie zdesperowanego. Pragnął na jakiś czas wyrwać się z bazy, więc się zgodziłam, a on przyjechał.

– Tylko raz?

– Nie, był tutaj trzy razy. Może więcej.

– Nic mi nie wspominałaś.

– Może pięć razy. Nigdy cię nie ma, więc nie miałam kiedy ci powiedzieć.

– Zostawia swoje ubrania w sypialni.

– Nie! Co ty sobie wyobrażasz? O co mnie oskarżasz?

Taki problem rzadko udaje się właściwie rozwiązać w małżeństwie. Stawka jest tak wysoka, że drażnienie tematu prowadzi do miejsc, z których nie ma odwrotu. Dlatego, dopóki to było możliwe, wycofałem się ze straszliwych wniosków, które przyszły mi do głowy. Birgit i mnie łączyły ważniejsze sprawy: niebezpieczeństwo wojny, pojawienie się naszego dziecka, miłość, którą od tak dawna do siebie czuliśmy. Nie mogłem znieść myśli o tym, że coś lub ktoś może to zniszczyć, zwłaszcza mój brat. Nasza kłótnia zaowocowała całodniowym milczeniem pełnym goryczy. Wieczorem zawarliśmy cichy rozejm; w nocy się kochaliśmy.

Przez kolejne dwa dni starałem się wrócić do sił, a w poniedziałek rano zgłosiłem się do biura Czerwonego Krzyża.

Fragment książki „Niemcy spoglądają na wschód! – Zebrane przemowy Rudolfa Hessa”, pod redakcją prof. Albrechta Haushofera, opublikowanej przez wydawnictwo Uniwersytetu Berlińskiego w 1952 roku; część przemowy Hessa na Leipziger Triumphsportplatz skierowanej do Hitlerjugend w maju 1939 roku, w której ówczesny zastępca Führera przedstawił swoje pragnienie pokojowego współistnienia z Wielką Brytanią i Imperium Brytyjskim:

[Tych spośród nas, którzy kulili się w okopach z twarzami w błocie, którzy z zapartym tchem słuchali, jak kule angielskich wrogów świszczą nam ponad głowami, którzy dusili się w maskach gazowych i którzy spędzali mroźne noce w kraterach po wybuchach pocisków, Wielka Wojna napełniła jednym żarliwym przekonaniem. Sam do dzisiaj noszę je w sercu. Nosi je także nasz Wódz, który dzielnie walczył za Ojczyznę w tej samej wojnie. Oto ono.

Niemiecki naród nie może prowadzić wojny przeciwko Anglikom. Nie jesteśmy wrogami ich nordyckiej rasy! Mamy innych wrogów!

Podczas tej straszliwej wojny widzieliśmy rzeź setek tysięcy młodych niemieckich mężczyzn i chłopców. Każdy z nich kochał Ojczyznę, tak jak wy i ją kochamy. A jednak zginęli! Nie cofnęli się przed swoim obowiązkiem. Nie ukryli się. Nawet nie pytali, dlaczego muszą ponieść najwyższą ofiarę.

Naszym zadaniem, jako nowego pokolenia niemieckich narodowych patriotów, jest udzielenie im tej odpowiedzi. Anglia

nie jest naszym wrogiem!

Szukamy przestrzeni do życia. Pragniemy rozwoju niemieckiej rasy. Jeżeli Anglicy dadzą nam wolną rękę, nie będziemy mieli sprzecznych interesów. Jeśli wybuchnie wojna, będzie to ich wybór, nie nasz. My, którzy przetrwaliśmy miny, pociski i gaz Wielkiej Wojny, powtarzamy raz jeszcze: oszczędzimy światu kolejnego konfliktu.

Ale tylko, jeśli Anglia na to pozwoli!

Heil Hitler!].

Z odręcznie pisanych notatników J.L. Sawyera:**VIII**

Dotarłem do bazy RAF-u w Kenley we wczesnych godzinach porannych, razem z innym pracownikiem Czerwonego Krzyża, Nickiem Smithem, po długiej i niebezpiecznej podróży przez zbombardowane przedmieścia Brixton i Streatham.

Dzięki przepustkom, bez zwłoki wjechaliśmy do bazy lotniczej Kenley. Kierowca wysadził nas przed półokrągłym blaszanym barakiem, w którym znaleźliśmy kilkoro oczekujących cywilów. Położyłem swoją niewielką walizkę na stercie obok głównego wejścia, a następnie stanąłem jak najbliżej piecyka, żeby ogrzać się po długiej podróży. Dostałem miskę gorącej zupy, którą teraz z wdzięcznością popijałem.

Nie wspominałem Birgit o czekającej mnie podróży, ponieważ lot do Szwajcarii w środku zaciętej lądowej i powietrznej wojny z Niemcami był w oczywisty sposób niebezpieczny. W dniach poprzedzających wylot poświęciłem dużo czasu na studiowanie mapy Europy, starając się z wyprzedzeniem ustalić, jaka trasa będzie najbezpieczniejsza i pozwoli nam najszybciej minąć okupowane kraje oraz same Niemcy. Niełatwo było bezpiecznie dostać się do pozbawionej dostępu do morza Szwajcarii. Podejrzałem, że najlepiej będzie polecieć naokoło: zachodnim francuskim wybrzeżem, a następnie na wschód ponad południową część Francji kontrolowaną przez rząd Vichy. Bezpośrednia trasa nad Niemcami była znacznie krótsza, ale mogła być bardzo niebezpieczna.

Przez jedno z okien baraku zauważyłem biały samolot, który stał na płycie postojowej, czekając, aż wsiądziemy na pokład. W ciemności dostrzegałem tylko jego sylwetkę, ale widziałem, że wokół maszyny krąży mnóstwo ludzi.

– Panowie, czy mogę prosić o uwagę? – Odwróciłem się i zobaczyłem dwóch wysokich rangą oficerów RAF-u, którzy stali obok drzwi na końcu baraku. Jeden z nich z wyczekiwaniem trzymał rękę w górze. Zapadła cisza. – Dziękuję. Za chwilę zaprosimy panów do samolotu. Muszę z góry przeprosić za nieco spartańskie warunki na pokładzie, ale załoga dołożyła wszelkich starań, żeby zadbać o waszą wygodę. Kiedy samolot wzbije się w powietrze, proszę jak najmniej przemieszczać się po kabinie. Lot potrwa długo, zatem maszyna zabiera dużo paliwa i zbyt gwałtowne ruchy mogłyby wytrącić ją z równowagi. Jestem pewien, że nie muszę tłumaczyć, jakie to ważne. Po wejściu na pokład zauważą panowie, że przednia część kabiny została oddzielona zasłonami. Musimy prosić, żeby nikt tam nie przechodził, dopóki samolot nie wyląduje, a pozostali pasażerowie nie wysiądą. Wszystko, czego panowie potrzebują, znajduje się w waszej części maszyny. O ile się nie mylę, doradzono panom zabranie kanapek i napojów, prawda? Dobrze. Z pewnością ucieszy was fakt, że na pokładzie znajduje się toaleta i nie jest potrzebny dyplom z fizyki, żeby się nią posługiwać.

Uśmiechaliśmy się do siebie nerwowo; wszyscy w pomieszczeniu najwyraźniej zastanawiali się nad tym samym. Wkrótce wyprowadzono nas przez inne drzwi z boku baraku i w ciemności powiedziano po betonowej płycie postojowej do samolotu.

Wszedłem na pokład jako jeden z pierwszych, zatem wybrałem sobie miejsce z tyłu samolotu, obok jednego z okien. Nigdy wcześniej nie leciałem samolotem, więc koniecznie chciałem zobaczyć jak najwięcej świata przy dziennym świetle. Z pozostałych pasażerów znałem tylko Nicka i jeszcze jednego pracownika Czerwonego Krzyża, którego Nick mi przedstawił,

gdy tylko weszliśmy do baraku. Gość nazywał się Ian Maclean i pracował w oddziale w Edynburgu. Razem z Nickiem usiedli kilka rzędów przede mną. Reszty osób w samolocie nie znałem.

Po kolejnej długiej zwłóce silniki ruszyły, a kabinę wypełniły wibracje i hałas. Wszystko było głośniejsze i bardziej toporne niż się spodziewałem. Silniki bez końca się rozgrzewały. Ogarnęła mnie straszliwa nerwowość, gdy samolot wreszcie zaczął się ciężko toczyć po pasie, niepokojąco kołysząc się na boki. Kiedy jednak oderwaliśmy się od ziemi, jego ruch stał się zaskakująco gładki, chociaż niewiele cichszy.

Usadawiłem się jak najwygodniej na rozkładanym płóciennym siedzeniu. Podobnie jak wszyscy, których widziałem, pozostałem swoim w grubym płaszczu, ponieważ kabina była nieogrzewana. Z zaciekawieniem zerkałem przez malutkie okienko, starając się przyjrzeć ciemnej ziemi w dole, ale dopóki panował mrok, wdziałem tylko błękitnobiałą smugę spalin wydobywającą się z silnika po mojej stronie maszyny.

Kiedy słońce wreszcie weszło, stwierdziłem, że lecimy nad wodą. Zgadywałem, że to kanał La Manche, ale w takim razie pilot leciał nad jego najszerszą częścią. Nasz samolot włókł się nad nieciekawymi szarymi falami, które wydawały się nieruchome. Zaczynałem się czuć odwodniony i głodny w chłodnej kabinie, więc wyciągnąłem kanapki i termos z herbatą.

Samolot leciał dalej, prawie nie zmieniając kursu ani ułożenia. Wielkie białe skrzydło rozciągało się przede mną, częściowo przesłaniając widok z przodu. Dalej starałem się obserwować niebo, w każdej chwili spodziewając się niemieckich myśliwców opadających w naszą stronę. Nie potrafiłem się rozluźnić i zapomnieć, jak wiele zagrożeń czeka na nas podczas takiego lotu.

Po trzech godzinach od startu wreszcie wstałem z siedzenia i przeszedłem do przodu zatłoczonej kabiny do miejsca, w którym Ian Maclean stał w wąskim przejściu z głową pochyloną pod niskim metalowym sufitem. Stałem obok niego w równie niewygodnej pozycji. Przez chwilę rozmawialiśmy, przekrzykując

hałas silników, Ian mniej się denerwował lataniem niż ja, dzięki czemu również nieco się uspokoiłem.

– Nie mogłem nie zauważyć, że wciąż znajdujemy się nad morzem – stwierdziłem. – Nie powinniśmy już dotrzeć do lądu?

– Dla bezpieczeństwa pozostajemy nad morzem najdłużej jak to możliwe – wyjaśnił Ian.

– Już kiedyś odbywał pan tę podróż?

– Niezupełnie. Raz leciałem do Sztokholmu. Wtedy prawie nie leci się nad lądem, niezależnie od tego, którą trasę się wybierze.

– Ale w wypadku Szwajcarii?

– Powiedzieli panu, że to jest cel naszej podróży?

– Tak. A lecimy w jakieś inne miejsce?

– Nie, raczej nie. Mnie też tak powiedzieli. Ale nigdy nic nie wiadomo, to może być przykrywka.

Nachyliłem się, zerkając przez najbliższe okno. Widziałem tylko chmury i wyzierającą spod nich neutralną szarość fal daleko w dole.

Wskazałem grubą zasłonę odgradzającą nas od kabiny, oddaloną o kilka stóp od miejsca, w którym staliśmy.

– Domyśla się pan, o co chodzi?

– Nie podano żadnego oficjalnego wyjaśnienia, prawda?

– Coś przed nami ukrywają?

– Raczej kogoś niż coś – odparł Ian. – Mieliśmy na pokładzie kilka ważnych osobistości podczas lotu do Sztokholmu. Podejrzewam, że to byli dyplomaci, wśród nich jeden Niemiec. Wtedy załoga też zawiesiła zasłonę.

Trudno było przekrzykiwać hałas silników, więc zakończyliśmy rozmowę i wróciłem na swoje miejsce. Wierciłem się na wąskim siedzeniu, płótno ugięło się pode mną jak na starym leżaku na plaży, gdy usiłowałem ponownie znaleźć wygodną pozycję. Byłem w pełni rozbudzony, mimo że w nocy nie zmrzyłem oka. Byłem czujny, stale napięty pod wpływem nowego doświadczenia, jakim był dla mnie lot, i zaciekawiony całym tym wydarzeniem, chociaż okazało się tak monotonne. Jestem pewien, że nie zasnąłem ani nie zbłądziłem gdzieś myślami.

Mimo to nie zauważyłem, że za oknem pojawiły się góry. Kiedy po raz pierwszy je dostrzegłem, były odległe i na wpół przesłonięte przez zimową mgielkę, ale już po kilku minutach samolot znalazł się pomiędzy wyższymi szczytami. Widziałem je coraz dokładniej po obu stronach maszyny. Miałem wrażenie, że są niebezpiecznie blisko. W jaki sposób tak szybko do nich dotarliśmy, skoro przed chwilą byliśmy nad morzem? Może ziemia z odpowiednio dużej wysokości wygląda tak samo jak powierzchnia oceanu? Wszędzie unosiła się mgła. Jednakże znużenie wypełniające minione godziny zniknęło. Oślepiało mnie światło słońca odbijające się od pokrytych śniegiem zboczy. Przycisnąłem czoło do szyby i zacząłem się wpatrywać w ziemię, gdzie dostrzegłem dno doliny, porośnięte gęstym lasem i przecięte srebrzystą krętą rzeką. Samolot zaczął wykonywać gwałtowne ruchy; skrzydła się kołysały, a brzmienie silnika co chwila się zmieniało, gdy pilot korygował kurs. Przelatywaliśmy przez obszar niespokojnego powietrza, w którym samolot niepokojąco podskakiwał i opadał. Miałem wrażenie, że lecimy zygzakiem przez wąską dolinę, chwilami groźnie przybliżając się do skalistych ścian. Z każdą minutą coraz bardziej się obniżaliśmy, aż w końcu nos samolotu powędrował w górę, lot się wyrównał, a silniki odzyskały moc. Wkrótce lecieliśmy nisko nad ziemią – poczuliśmy wstrząs, potem kolejny i zorientowaliśmy się, że jedziemy po pasie startowym. Na tle gór dostrzegliśmy betonowe budynki rozmieszczone między drzewami na peryferiach lotniska.

Samolot wreszcie się zatrzymał, silniki zakrzuszyły się i zgasły. Wstaliśmy, prostując plecy po długiej podróży na niewygodnych siedzeniach. Przepuściłem wszystkich przodem, gdy, powłóczę nogami, szliśmy wąskim przejściem między krzeselkami. Kiedy mężczyzna idący przede mną przeszedł przez drzwi i zszedł po krótkich schodkach, zostałem sam w kabinie. Zamiast podążyć za pozostałymi pasażerami, szybkim ruchem odsunąłem zasłonę. Za nią znajdowała się przednia część kabiny z sześcioma siedzeniami – trzema po każdej stronie przejścia. Nikogo tam nie

było. Z przodu kabiny wisiała kolejna zaciągnięta zasłona, która zapewne oddzielała kokpit. Dostrzegłem za nią ruch, a po chwili ktoś ją odsunął i wyszedł z kokpitu do kabiny pasażerskiej. Stała przede mną wysoka postać w eleganckim mundurze RAF-u, z zawadiacko przekrzywioną czapką.

To był mój brat, Jack.

Wpatrywałem się w niego zaskoczony, ale przyjacielski uśmiech nie zniknął mu z ust. Wydawało się, że nie dziwi go mój widok.

Za nim z kokpitu wyszedł inny oficer RAF-u, przycisnął się obok Jacka i, zerknąwszy w moją stronę, wyszedł z samolotu.

– Idziesz, JL?! – zawołał ze szczytu schodków.

– Za chwilę.

– Nie miałem pojęcia, że pilotowałeś samolot! – odezwałem się do Jacka.

– Cóż... teraz już wiesz.

Serce tłukło mi się w piersi. Rozejrzałem się: światło dnia wpadało przez otwarty luk, a za szeroką białą połacią skrzydła widziałem plecy pozostałych mężczyzn, z którymi podróżowałem. Szli po płycie postojowej ku niskim budynkom oddalonym o kilkaset jardów. Drugi pilot podążał za nimi. Za mną znajdowało się zamknięte wnętrze samolotu: funkcjonalna metalowa podłoga zasypana papierkami, niedopalkami, okruchami z kanapek. Wszystko wydawało się prawdziwe i rzeczywiste, jednakże ogarnęło mnie przeświadczenie, że utknąłem wewnątrz kolejnej wyrazistej wizji.

– Jack, przestań mi to robić!

Mój brat nie odpowiadał. Nie mogłem patrzeć mu w oczy, ponieważ bałem się, że wtedy zostaną tutaj na zawsze.

– Gdzie jesteśmy? – spytałem w końcu.

– Oczywiście w Zurychu. Tutaj macie zaplanowane zebranie, właśnie tak, jak ci zapowiedziano.

– Co się, u diabła, dzieje, JL? W jaki sposób jesteś w to zaangażowany? Wiesz, po co mnie wezwano?

– Jestem tylko pilotem.

– To lot Czerwonego Krzyża! – odparowałem. – Neutralny samolot wykonujący misję dyplomatyczną. A ty jesteś oficerem RAF-u. Nie powinieneś być w to zaangażowany.

– Każdy samolot potrzebuje pilota. W moim wellingtonie właśnie są wymieniane silniki, więc, zamiast siedzieć beczynnie w bazie, zgłosiłem się na ochotnika do tego lotu.

– Ale jesteś członkiem RAF-u – powtórzyłem.

– Nie tutaj. Jestem dodatkowym pilotem zatrudnionym przez Czerwony Krzyż.

W końcu popatrzyłem mu w oczy.

– Dlaczego mi to robisz, Jack? – spytałem cicho.

– To nie ma nic wspólnego ze mną, Joe. Przecież wiesz.

Odróciłem się od niego, zasmucony.

IX

Samolot powoli leciał po jasnym zimowym niebie, wysoko ponad szarobłękitnym, niewyraźnym morzem. Cieszyłem się, że siedzę samotnie z tyłu kabiny, gdzie nikt nie mógł mnie zobaczyć. Trząsałem się i dygotałem, bliski łez.

Byłem przekonany, że obrażenia, jakich doznałem podczas Blitzu, doprowadzają mnie do obłądu. Wizje okaleczały mnie mentalnie. Już nie potrafiłem odróżnić prawdy od fikcji. To klasyczna definicja szaleństwa, czyż nie? Urojenia zaczęły się tamtej nocy w karetce, ale czy w ogóle się zakończyły? Czy wszystko, co uznawałem za rzeczywistość, tak naprawdę było kolejną, bardziej subtelną i rozbudowaną iluzją, wyrazistym wyobrażeniem rozwidlających się możliwości, podczas gdy tak naprawdę leżałem z tyłu hałaśliwej karetki Czerwonego Krzyża, która powoli wiozła mnie przez pogrążoną w mroku Anglię?

Widząc beczynność innych pasażerów, domyślałem się, że pozostało nam dużo czasu do lądowania. Kilka osób spało w niewygodnej pozycji, a ich głowy kołysały się i kiwały pod wpływem nieustających ruchów samolotu. Inni wyglądali przez malutkie okna. Jedna albo dwie osoby czytały, Ian Maclean,

który długo stał w przejściu, ponownie usiadł. Grube zasłony wisały nieruchomo w przedniej części kabiny. Już nie było tak zimno, a ponieważ kilku pasażerów paliło, w powietrzu panował znajomy zaduch. Sam również zapaliłem papierosa, żeby nie zasnąć. Zaczynałem odczuwać senność, ale poprawiłem się na siedzeniu i wziąłem kilka głębokich wdechów, nie chcąc ryzykować ponownej umysłowej zapaści.

Kiedy znów wyjrzałem przez okno, po lewej stronie zobaczyłem ląd: w oddali majaczyło górzyste wybrzeże spowite obłokami i mgłą. Znajdowało się tak daleko, że nie byłem w stanie dostrzec żadnych szczegółów ani rozpoznać, co to za miejsce, ale i tak się w nie wpatrywałem, zadowolony, że mogę skupić na czymś wzrok. W końcu samolot przechylił się na skrzydło i skręcił w stronę lądu, ale nie zmniejszył pułapu. Mniej więcej pół godziny później znaleźliśmy się nad dużym miastem, a maszyna zaczęła stopniowo się obniżać, przechylać się i skręcać, manewrując w stronę lotniska.

Po raz drugi tego dnia – a przynajmniej takie miałem wrażenie – przygotowałem się do lądowania. Wkrótce samolot znalazł się na wysokości czubków drzew. Zobaczyłem kilka budynków i hangarów, a w oddali dostrzegłem miasto.

Bezpiecznie wylądowaliśmy, a potem długo kołowaliśmy, aż w końcu zatrzymaliśmy się obok nowoczesnego murowanego budynku. Silniki umilkły, a pasażerowie zaczęli się wiercić na swoich miejscach.

– Panowie! – Jeden z pasażerów, który siedział z przodu kabiny, niedaleko zasłony, wstał i podniósł dłoń. Jak większość z nas, z trudem mógł stać wyprostowany pod niskim sufitem. – Z przyjemnością witam panów w Lizbonie, pięknym mieście, które wielu z nas pracujących dla Czerwonego Krzyża zdążyło dobrze poznać. Większości z panów powiedziano, że lecimy do Zurychu, ale jak doskonale wiecie, podczas wojny oszustwa są czasami konieczne. Jednakże znajdujemy się na neutralnym terytorium, więc przez kolejne kilka dni nie musimy się przejmować takimi sprawami. Dla tych, którzy mnie nie znają:

nazywam się Declan Riley i pracuję w biurze Czerwonego Krzyża w Dublinie. Wiem, że wszyscy nie możemy się doczekać opuszczenia samolotu po tak długiej podróży, ale muszę panów jeszcze chwilę zatrzymać.

Zasłona za jego plecami lekko się wydeła, jakby otworzyło się za nią okno. Poczuliśmy, że samolot zareagował na ruch, gdy ktoś w przedniej części kabiny zapewne podszedł do wyjścia.

– Zamierzałem poinformować panów o trzech pilnych sprawach – ciągnął Riley, wskazując poruszającą się zasłonę. – Widzę jednak, że pierwsza z nich sama się ujawniła. Mieliliśmy zaszczyt dzielić pokład samolotu z kilkoma bardzo ważnymi osobami, które odegrają wiodącą rolę podczas czekających nas rozmów. Po drugie, za każdym razem, gdy między sobą rozmawiamy, powinniśmy to robić po niemiecku. – Na chwilę umilkł, żeby jego słowa wywarły właściwe wrażenie, po czym kontynuował: – [Jedną z przyczyn, dla których zostali panowie zaproszeni do wzięcia udziału w tej ważnej konferencji, jest wasza biegłość w niemieckiej mowie. Nawet jeśli w ciągu kolejnych dni spotkacie kogoś ze swojej ojczyzny, kto nie mówi po niemiecku, musicie panowie dalej porozumiewać się w tym języku, a my postaramy się o tłumacza. Zdajemy sobie sprawę, że to nienaturalny i potencjalnie czasochłonny proces, ale jedna ze stron postawiła warunek, aby wszystkie rozmowy odbywały się po niemiecku. A teraz trzecia kwestia, która w naturalny sposób wynika z drugiej. Oczywiście rozumiecie panowie, że w ciągu kolejnych kilku dni będziemy omawiać niezwykle wrażliwe kwestie, zatem obowiązuje nas tajemnica. Niedługo poprosimy panów o złożenie takiej deklaracji na piśmie. To tylko formalność, ponieważ jestem przekonany, że wszyscy gorąco pragniemy, by nasze zebranie się udało. Na razie to chyba wszystko...]. – Zerknął pytająco na mężczyznę, który siedział obok niego podczas lotu, a ten nieznacznie pokręcił głową. – [Zatem bardzo panom dziękuję. Miejmy nadzieję, że nasze spotkanie przyniesie dobre wyniki!].

Po jego przemowie rozległy się oklaski. Podążyłem za

pozostałymi, wspinając się lekko nachylnym przejściem między siedzeniami, a potem czekałem w kolejce, żeby schylić się i wyjść przez otwarte drzwi. Na chwilę przed tym, jak opuściłem pokład, zasłona nagle się odsunęła i wyszedł zza niej młody oficer RAF-u. Grzecznie mi się uklonił, a następnie powędrował w głąb kabiny.

Wydostałem się na zewnątrz, zszedłem po niskich metalowych schodkach i ruszyłem w ślad za innymi po płycie lotniska w ciepłym blasku słońca.

X

Po pobieżnej kontroli paszportów na lotnisku dołączyła do nas grupa, która przyleciała wcześniejszym samolotem. Kilka z tych osób pochodziło z Niemiec albo terytoriów okupowanych przez Niemcy, chociaż wszystkie były pracownikami swoich lokalnych oddziałów Czerwonego Krzyża. Po krótkim powitaniu wyprowadzono nas na zewnątrz do czekających samochodów.

Pierwszym przystankiem był duży prywatny dom, położony niedaleko lotniska. Tam czekał na nas stół szwedzki z pysznym jedzeniem. Początkowo ci spośród nas, którzy przylecieli z Wielkiej Brytanii, ostrożnie nakładali sobie niewielkie porcje, nieprzywykli do obfitości pokarmów, które przed nami wyłożono, ale stopniowo docierało do nas, że zostawiliśmy za sobą rygory wojennego racjonowania żywności, przynajmniej tymczasowo. Dzieliłem stół z dwojgiem urzędników, mężczyzną i kobietą, którzy przybyli z Berlina i reprezentowali niemiecki Czerwony Krzyż. Podobnie jak my, nie wiedzieli, czego będzie dotyczyło nasze zebranie, ale sam zacząłem na ten temat spekulować. Zapewne inni robili to samo. Najwyraźniej szykowało się jakieś duże wydarzenie.

Wróciliśmy do samochodów i długą kawalkadą przejechaliśmy przez część Lizbony, a potem ruszyliśmy na zachód wzdłuż wybrzeża, które tworzy fragment zatoki nad Tagiem. Było już późne popołudnie i mieliśmy słońce przed sobą. Po lewej stronie

rozciągał się Atlantyk, a po prawej od czasu do czasu dostrzegaliśmy zalesione góry. Na każdym wzniesieniu i zakręcie czekały na nas zapierające dech w piersi widoki na linię wybrzeża i ocean. Jechaliśmy z opuszczonymi szybami, dzięki czemu docierała do nas woń kwiatów i krzewów gęsto porastających pobocze.

W końcu dotarliśmy do niewielkiego nadmorskiego miasteczka zwanego Cascais, zabudowanego ładnymi bielonymi domami i ozdobionego setkami palm oraz drzew zrzucających liście. Zabrano nas do dużego hotelu nad brzegiem morza i każdemu przydzielono pokój. Odświeżyliśmy się po podróży, po czym wróciliśmy do samochodów. W moim pokoju znajdowało się olbrzymie podwójne łóżko oraz balkon, z którego mogłem patrzeć na ocean.

Główna droga prowadząca przez Cascais biegła równoległe do plaży, a następnie wspiniała się na niski cypel poza miastem. Kiedy z niego wyjechaliśmy, sceneria zmieniła się w dzikie magmowe wybrzeże z czarnymi, kruchymi urwiskami sterczącymi nad oceanem. Woda była spokojna, jak powierzchnia lustra, a słońce czarodziejsko się od niej odbijało, jednak rozmiar i zasięg oceanu były tak wielkie, że fale docierające do brzegu miały postać wysokich grzywaczy. Rozbijały się o urwiska wśród efektownych rozbryzgów piany. Biała mgielka unosiła się nad wybrzeżem, pomimo ciepłego słonecznego blasku.

Wkrótce po opuszczeniu Cascais nasza kawalkada pojazdów przejechała przez szeroką bramę i powoli zaczęła się wspinać ocienioną przez drzewa drogą ku olbrzymiej różowej willi. Ten piękny dom z blankami, otoczony wieloma akrami zadbanych ogrodów, tarasami i zaroślami, wyposażony w basen kąpielowy, prywatne kino i wiele innych wygód, miał się stać moim domem na następne kilka dni. Nazywał się *Boca do Inferno* – Usta Piekieł.

XI

Na jednym końcu głównego holu mieściła się recepcja, w której kiedyś czekali goście. Duże wyściełane fotele ustawiono wokół ozdobnego marmurowego kominka, w którym najwyraźniej rzadko palił się ogień. Po obu stronach stały regały pełne książek, a na ścianach wisało kilka olejnych portretów byłych mieszkańców domu. W niszy obok kominka znajdował się duży fotograficzny portret w złoczonej ramie. Nie był ostentacyjnie wyeksponowany, ale zarazem widoczny z większej części holu. Był to studyjny portret księcia i księżnej Windsorów, byłego króla Wielkiej Brytanii Edwarda VIII i jego amerykańskiej żony Wallis Simpson. Na dole widniały ich podpisy. Obok, blisko siebie, stały dwie niewielkie narodowe flagi o skrzyżowanych drzewcach: flaga Unii Brytyjskiej oraz nazistowska flaga Trzeciej Rzeszy.

W tym długim holu odbył się koktajl, od którego rozpoczął się nasz pierwszy wieczór w Ustach Piekieł. Początkowo brali w nim udział głównie delegaci filii Czerwonego Krzyża z różnych europejskich krajów, jednak z czasem zaczęły dołączać także wyżej postawione osoby. Przybywały na nasze przyjęcie bez fanfar i zapowiedzi, lecz dyskretnie mieszały się z tłumem i włączały do rozmów. Nie rozpoznałem ich wszystkich, ale Nick Smith i Ian Maclean szeptem podali mi nazwiska tych, których znałem. W ten sposób dowiedziałem się o obecności doktora Carla Burckhardta, prezesa szwajcarskiego Czerwonego Krzyża, a także jednego z najbardziej uznanych wysokich urzędników Czerwonego Krzyża hrabiego Folke Bernadotte, dowodzącego sekcją szwedzką. W połowie wieczoru pojawił się brytyjski ambasador w Hiszpanii, sir Samuel Hoare, a tuż po nim sir Ronald Campbell, jego kolega z ambasady brytyjskiej w Lizbonie. Obu towarzyszyły grupy urzędników, którzy zrećnie krążyli po sali, porozumiewając się znakomitą niemczyzną. Później zaczęli się pojawiać przedstawiciele niemieckich ambasad z różnych państw neutralnych.

O wpół do dziewiątej ogłoszono przybycie Jerzego, księcia Kentu, młodszego brata brytyjskiego króla. Został powitany przez sir Ronalda Campbella, a następnie przedstawiony obecnym osobistościom. Członkowie jego świty, podobnie jak sam książę ubrani w cywilne stroje, rozproszyli się po sali, z wielką bezpośredniością i kurtuazją dołączając do rozmów. W pewnym momencie, krążąc pośród gości, usłyszałem, jak książę rozmawia z hrabią Bernadotte. Była to swobodna, wesoła rozmowa, z dużą biegłością prowadzona po niemiecku.

O dziewiątej wszyscy przeszli do dużej jadalni w przybudówce, gdzie podano kolację. Zajęliśmy miejsca zgodnie z planem. Dwaj najstarsi rangą prezesi Czerwonego Krzyża usiedli przy głównym stole razem z księciem i kilkoma niemieckimi urzędnikami. Mnie posadzono obok wojskowego attaché z ambasady niemieckiej w Madrycie, SS-Obergruppenführera Otto Schafera. Starał się odnosić do mnie z grzecznością, ja zaś próbowałem odwzajemnić się tym samym, ale, prawdę mówiąc, wydał mi się grubiański. Mieliśmy niewiele wspólnego, chociaż to go nie powstrzymało od opowiadania mi o sobie. W ciągu wielu lat, oznajmił z szorstkim akcentem Niemca z Pomorza, brał udział w wielu dumnych działaniach nazistowskiej SS, o których nigdy nie słyszałem, ale które wydały mi się przygnębiające i przerażające, nawet gdy z humorem, w niemal dający się usprawiedliwić sposób, opowiadał o nich jeden ze sprawców.

Na zakończenie kolacji dr Burckhardt wygłosił krótką przemowę, przypominając nam o wyjątkowym i historycznym znaczeniu naszego spotkania, podkreślając, jak wiele zależy od jego pomyślnego wyniku, a także zaznaczając, że chociaż na razie musimy zachować tajemnicę, w przyszłości ludzie zrozumieją, co rozpoczęliśmy w tym wyjątkowym domu w tak pięknym i dzikim zakątku Portugalii.

Wypiliśmy toast za powodzenie naszych działań.

Dr Burckhardt właśnie ponownie usiadł, gdy jeden z jego adiutantów szybko się do niego zbliżył i nachylił, żeby wyszeptać mu coś do ucha.

Oczywiście nie słyszałem, o co chodziło, ale dr Burckhardt natychmiast przysunął się do księcia Kentu i zaczął mu coś mówić po cichu. Książę pokiwał głową z uśmiechem. Dr Burckhardt wrócił na swoje miejsce.

Kilka chwil później nowa świta delegatów weszła do sali, równie bezceremonialnie jak większość ich poprzedników. Jednakże ich przybycie wywołało poruszenie; generał SS, który siedział obok mnie, nagle zeszytniał. Przywódca nowo przybyłych pewnym krokiem podszedł do głównego stołu, żeby przywitać się z doktorem Burckhardtem i hrabią Bernadotte, który poprowadził go prosto do księcia Kentu. Obaj mężczyźni stanęli razem, uśmiechając się do siebie, grzecznie ściskając sobie nawzajem dłonie i poklepując się po ramieniu. W sali zapadła cisza.

Nowym gościem był zastępca Führera, Rudolf Hess.

XII

Następnego ranka rozpoczęła się pierwsza runda negocjacji. Każdy z nas miał w nich do odegrania swoją rolę. Jako młodszy urzędnik zostałem przydzielony do zespołu, który zajmował się dokumentacją w bocznym pokoju. Tam przygotowaliśmy, prezentowaliśmy i bez końca sprawdzaliśmy długie serie szczegółowych oświadczeń, które starsi przedstawiciele wykorzystywali jako raporty.

Byłem jednym z zaledwie kilku delegatów Czerwonego Krzyżów składzie grupy roboczej – resztę stanowili brytyjcy i niemieccy urzędnicy z ambasad albo swoich rządów, a także prawnicy konstytucjonaliści z Wielkiej Brytanii i Niemiec, negocjatorzy z Religijnego Towarzystwa Przyjaciół oraz obserwatorzy z pięciu głównych neutralnych państw europejskich: Szwecji, Szwajcarii, Irlandii, Portugalii i Hiszpanii. Obrady toczyły się w języku niemieckim, którym płynnie i naturalnie porozumiewali się wszyscy obecni, chociaż raporty przygotowaliśmy zarówno po angielsku, jak i niemiecku.

Przez pierwszą godzinę odnosiliśmy się do siebie sztywno i oficjalnie, być może wypatrując, czy druga strona nie stara się szukać szczególnych przywilejów, ale wraz z upływem kolejnych godzin poznawaliśmy się i ostatecznie polubiliśmy, tworząc skuteczną i harmonijnie pracującą grupę.

Chociaż pełniłem tylko niewielką rolę w obradach, czułem, że mam do wykonania istotne i ciekawe zadanie. Na naszym zespole spoczywał obowiązek spisywania ustnych porozumień zawieranych pomiędzy naszymi zwierzchnikami. Opracowywaliśmy formę, w jakiej należy zapisywać te wstępne rozwiązania, dyskutowaliśmy o nich między sobą pod kątem odmian i językowych niuansów, a następnie odsyłaliśmy je do swoich przełożonych, którzy je z nami omawiali i, przy odrobinie szczęścia, akceptowali. Na tym stanowisku mogłem nie tylko patrzeć, jak zmieniają się i rozwijają szczegóły rozmów, ale także dostrzec nabierającą kształtu ogólną wizję. Trudziłem się pod presją, gdyż poszczególni delegaci oraz ich doradcy pośpiesznie dostarczali nam nowe notki i domagali się, żebyśmy bezzwłocznie tłumaczyli wszystko na zrozumiały język. Pracowałem z coraz większym podekscytowaniem i oddaniem, zdając sobie sprawę, że odgrywam kluczową rolę w przybliżaniu końca tej straszliwej wojny.

Nasze pomieszczenie mieściło się po południowej stronie willi, na drugim piętrze, i rozciągał się z niego widok na zalesiony teren prowadzący aż do brzegu morza. Na zewnątrz znajdował się szeroki balkon, z którego chętnie korzystaliśmy, ustawiając stoły i krzesła na słońcu, pracując nad naszymi dokumentami w ciepłe, wdychając aromaty ogrodu i słuchając huku potężnych fal rozbijających się o skały daleko w dole.

Wszyscy gromadzili się w jednym miejscu tylko podczas dwóch głównych posiłków. Dziwaczność tego widoku wciąż robiła na mnie wrażenie: w jednym dużym pomieszczeniu zasiadali przedstawiciele dwóch stron toczących zażartą wojnę i spędzali razem czas w towarzyskiej i sympatycznej atmosferze. Rudolfa Hessa i księcia Kentu często widywano razem, a ich asystenci

trzymali się z daleka, jakby chcieli chronić ich prywatność. Ta swoboda dotyczyła wszystkich poziomów współpracy. Przykładowo, drugiego wieczoru posadzono mnie obok generała Bernharda Altschula z 4. dywizjonu taktycznego Luftflotte, stacjonującego w północnej Francji. Generał dowodził licznymi samolotami, które niemal każdej nocy prowadziły naloty na brytyjskie miasta. Okazał się kulturalnym i inteligentnym kompanem – trudno mi było myśleć o nim jak o osobie odpowiedzialnej za śmierć i obrażenia setek cywilów dotkniętych bombardowaniami.

Drugiego dnia mieliśmy już ustalony porządek działań. Potrafiliśmy przewidzieć, kiedy wymaga się od nas największej aktywności, a kiedy możemy liczyć na spokojniejsze chwile. Jeden z tych spokojniejszych okresów wypadł po południu, skorzystałem więc z okazji do odrobiny samotności. Opuściłem willę i na własną rękę spacerowałem po okolicy, rozkoszując się przerwą.

W tym przepięknym zakątku, pod drzewami panował chłód, a w promieniach słońca ciepło. Za gęstym zagajnikiem rozciągał się krótki pas dzikiej ziemi: rosły tam wysokie trawy i zimozielone krzewy, opadające ku szczytowi urwiska. Pomiędzy roślinnością wydeptano nierówne ścieżki, a kiedy powędrowałem jedną z nich, wkrótce dotarłem do efektywnych skalistych klifów. Przykucnąłem, żeby obserwować napływające fale, które pośród piany i mgiełki energicznie eksplodowały na skałach. Ten widok miał niemal hipnotyczne działanie: spokojne morze lśniąca światłem, fale bezustannie zmierzające ku brzegowi, nabierające ciężaru i wysokości, wznoszące się i osiągające szczyt, by następnie rozbić się o urwisko i wystrzelić na boki oraz w górę w potężnym rozbrzysgu kropelek wody.

– [To wybrzeże znane jest jako usta piekiel] – odezwał się ktoś obok mnie.

Natychmiast wyrwałem się z zamyślenia. Obróciłem się i popatrzyłem w górę. To był Stellvertreter Rudolf Hess, który podkradł się do mnie niepostrzeżenie, gdyż miękka ziemia i huk

fal stłumiły jego kroki.

Pośpiesznie i niezgrabnie wstałem, zaskoczony i nieco zaniepokojony.

– [Pozwoliłem sobie na krótką przerwę, panie zastępcu!] – usprawiedliwiłem się.

– [Ja również. Był pan już kiedyś w tej części Portugalii?].

– [Nie, proszę pana].

– [Zatem pokażę panu Usta Piekieł. Byłem w tym domu w zeszłym roku. Kolejna wizyta w niekończącej się pogoni za pokojem. Mniemam, że pana wtedy z nami nie było, ale niewątpliwie wie pan, kto tutaj wtedy mieszkał. Liczę na to, że tym razem nasze starania przyniosą lepsze rezultaty!]. – Wyszczrzył się przyjaźnie, ale zarazem natarczywie, pokazując wąską szparę pomiędzy przednimi zębami. – [Jeśli pójdziemy wzdłuż urwiska, znajdziemy miejsce, od którego willa wzięła swoją nazwę].

Hess był sam. Najwyraźniej uwolnił się od obstawy trzech oficerów SS, którzy pełnili funkcję jego ochroniarzy. Rzadko widywano tak wysoko postawionych uczestników negocjacji bez świty. Poprzedniego wieczoru, podczas nieoficjalnej odprawy, którą poprowadził Declan Riley, ostrzeżono pomocniczych negocjatorów, a więc także mnie, żebyśmy nie prowadzili żadnych rozmów z przełożonymi, którzy później mogliby to wykorzystać. Nawet nie przyszło mi wtedy do głowy, że zostanę postawiony w takiej sytuacji.

Hess wskazał, że powinniśmy pójść jedną ze ścieżek prowadzących wzdłuż szczytu urwiska. Szedłem kilka kroków za nim. Wyglądało na to, że nie boi się odwrócić do mnie plecami. Był solidnie zbudowany, ale nie krępy, raczej szeroki niż muskularny. Stąpał ciężkim krokiem, charakterystycznym dla osób z płaskostopiem, ale z prostymi plecami. Chociaż jego krótkie szczeciniaste włosy wciąż były ciemne i gęste, w jasnym blasku słońca widać było krąg łysiny na czubku, o dziwo nie na samym środku. Później dowiedziałem się, że to skutek obrażeń odniesionych podczas knajpianej awantury w czasach, gdy Hitler

walczył o władzę. Gdybym potrzebował przypomnienia, że naziści wywodzą się ze środowiska pełnego przemocy, to miałem je na czubku głowy Hessa.

Wkrótce doszliśmy do ogromnego zagłębienia, głębokiej szpary pomiędzy klifami, którą od strony willi zasłaniały niskie drzewa i zarośla. Gdy dotarliśmy do krawędzi, naszym oczom ukazał się ogrom pozbawionej sklepienia jaskini: była niemal idealnie okrągła, miała około stu stóp średnicy i podobną głębokość. Na dnie tego kotła kłębiło się i kipiało morze: każda napływająca fala eksplodowała w tej potężnej szczelinie, rozbrzysgując się na wszystkie strony jednocześnie.

Patrzyłem w dół przez kilka minut, zafascynowany, ale zarazem zaniepokojony obecnością niesławnego przywódcy nazistów, który stał tuż za mną. Kiedy stoi się nad przygotowującą o zawrót głowy przepaścią, wiedząc, że upadek to pewna śmierć, myśli o utracie równowagi nagle wysuwają się na pierwszy plan. Wraz z nimi nieuchronnie pojawiają się myśli o skoku albo tym, że ktoś nas zepchnie. Rudolf Hess stał w zasięgu wyciągniętej ręki ode mnie i również się pochylał, zaglądając w otchłań. A gdyby któryś z nas spadł? A gdyby jeden zepchnął drugiego?

Odpędziłem od siebie te myśli. Brzydziłem się przemocą, ale nie potrafiłem zapomnieć, kto tutaj ze mną stoi, co sobą reprezentuje, ile istnień pochłonęła jego wojna i jakie zagrożenie jego reżim stanowi dla bezpieczeństwa reszty świata.

Hess wyprostował się i obaj odsunęliśmy się od krawędzi.

– [Czy pan wiedział, że to urwisko kiedyś wykorzystywano jako więzienie?] – odezwał się Hess, przekrzykując ryk fal w kotle.

– [Więzienie?].

– [Główne więzienie znajdowało się w innym miejscu, ale na tym urwisku na wysokości linii przypiływu zbudowano karne cele. Tymczasowo umieszczano w nich problematycznych więźniów, żeby doświadczyli trudów odosobnienia]. – Posłał mi kolejny natarczywy uśmiech. – [Najczęściej taki los spotykał francuskich i niemieckich więźniów. Ale nigdy Brytyjczyków. Zastanawiam się dlaczego. Proszę za mną, pokażę panu. Jedna z nich gdzieś tutaj

jest].

Ponownie ruszył ścieżką, a ja powędrowałem za nim, zmrożony tymi dziwacznymi okolicznościami. Okazało się, że Hess nie jest pewien lokalizacji celi, ponieważ przez kilka minut bezskutecznie chodziliśmy ścieżką tam i z powrotem. Coraz wyraźniej zdawałem sobie sprawę z tego, jak bardzo przedłużyła się moja przerwa w pracy. Hess w końcu stracił zainteresowanie poszukiwaniami i refleksyjnie zapatrzył się na ziemię. Zatrzymaliśmy się mniej więcej w tym samym miejscu, w którym mnie zastał.

W końcu odezwał się bardziej poufałym tonem:

– [Chyba już kiedyś się spotkaliśmy. Pamięta pan?].

– [Widziałem pana wcześniej, panie zastępcu] – odrzekłem. – [Ale z pewnością nie miałem przyjemności spotkać pana osobiście].

– [Ależ nie, myli się pan] – zaproponował z naciskiem. – [Znam pańskie nazwisko z listy negocjatorów Czerwonego Krzyża. Nazywa się pan J.L. Sawyer. Dlaczego zapamiętałem to nazwisko? Pańska twarz również wygląda znajomo].

– [Startowałem w igrzyskach olimpijskich. Miałem zaszczyt przyjąć medal z pańskich rąk, ale nie sądzę, żeby właśnie stąd mnie pan pamiętał].

– [Był pan w Berlinie? A zatem jest pan sportowcem?].

– [Byłem wioślarzem].

– [Możliwe. Wiele się zmieniło od tamtych czasów, czyż nie? Więc jest pan Anglikiem, tak jak myślałem?].

– [Tak jest].

– [Co Anglicy obecnie myślą o wojnie? My już jej posmakowaliśmy i chyba nie podoba nam się aż tak, jak sądziliśmy].

– [Od zawsze jestem przeciwny wojnie].

– [Tak pan mówi. Ale to wy Anglicy wypowiedzieliście wojnę Rzeszy].

– [Nie powinienem rozmawiać z panem o takich sprawach. Jestem tylko młodszym urzędnikiem i nie mam żadnego wpływu

na swoich mocodawców].

– [Więc po co pan tutaj przyjechał?].

– [Ponieważ jestem pacyfistą i chcę zobaczyć, jak rodzi się pokój].

– [Zatem zgadzamy się bardziej niż się panu wydaje. Ja również przybyłem tutaj z daleka, ponieważ pragnę pokoju pomiędzy naszymi krajami].

– [Nie reprezentuję swojego kraju. Jestem neutralnym pracownikiem Czerwonego Krzyża].

– [A jednak kiedyś startował pan w igrzyskach olimpijskich. Czy wtedy także był pan neutralny?].

– [Nie. Ściagałem się dla Wielkiej Brytanii].

– [Więc niech mi pan powie, co mieszkańcy Wielkiej Brytanii mówią o wojnie? Czy chcą, żeby trwała dalej, czy raczej się zakończyła?].

– [Sądzę, że są nią zmęczeni] – odrzekłem. – [Ale wiem także, że nie złożą broni, dopóki będzie im groziło niebezpieczeństwo].

– [Zmęczeni? Tak szybko? Myślę, że może ich czekać znacznie gorszy los. Nasz Przywódca ma do dyspozycji wiele tajnych broni].

Przygryzłem wargę, widząc, jak natychmiast podchwycił wątek zmęczenia wojną. Przypomniałem sobie ostrzeżenie, które poprzedniego wieczoru przekazał nam Declan Riley.

– [Wierzę, że Brytyjczycy wolą pokój od wojny] – dodałem ostrożnie. – [Jednak zagrożenie inwazją oraz działania bombowców Luftwaffe sprawiły, że ludzie są wściekli i zdeterminowani, żeby wygrać].

– [A co ze stronnictwem pokojowym w Wielkiej Brytanii? Ignoruje pan ich argumenty?].

– [Nic o nich nie wiem. Nie słyszałem, żeby ktoś mówił o pokoju, gdy byłem w Wielkiej Brytanii. Co to za stronnictwo pokojowe?].

– [Są wokół pana, panie Sawyer. W tym domu! Sądzi pan, że sobie ich wymyśliłem?].

– [Pan Churchill rządzi krajem, ale w mojej opinii jest

awanturnikiem i podżegaczem wojennym...].

– [Jak pan widzi, Churchilla tutaj nie zaproszono!] – Hess przerwał mi, najwyraźniej nawet nie słuchając, co mam do powiedzenia. – [Churchill jest przeszkodą na drodze do pokoju! Jest problemem, który muszę rozwiązać, panie Sawyer. Nasz Przywódca jest gotowy podpisać porozumienie pokojowe z Anglikami, ale nie będzie negocjował z panem Churchillem ani żadnym z jego potakiwaczy. Nasz Przywódca żarliwie pragnie pokoju z Wielką Brytanią, ale jak mamy przekonać Churchilla? Skoro jesteśmy tutaj, żeby rozmawiać o porozumieniu, jaka jest pańska opinia? Czy Churchill zgodziłby się na odrębny traktat pokojowy, czy też należałoby go kimś zastąpić? Porozumienie, nad którym tutaj pracujemy, wymagałoby istotnych zmian. Mam na myśli zarówno Niemcy, jak i Wielką Brytanię. Czy odegracie swoją rolę i wymienicie Churchilla?

Na przykład na Halifaxa albo jednego ze zdolnych dżentelmenów, którzy biorą udział w tych obradach?].

– [Nie wiem, nie jestem przedstawicielem brytyjskiego rządu].

Przeraziła mnie gwałtowna natarczywość tego człowieka. Jego charakterystyczne, głęboko osadzone oczy wpatrywały się we mnie z uporem, domagając się odpowiedzi. Jednak sytuacja już dawno mnie przerosła. Nie mogłem podzielić się z Hessem informacjami ani opiniami, których żądał.

Jeszcze przez chwilę wbijał we mnie wzrok, a potem wykonał gest zniecierpliwienia.

– [Jest tak, jak podejrzewałem! Tylko Rzesza pragnie pokoju!].

Odwrócił się z niegrzecznym, lekceważącym machnięciem ręki, po czym zaczął się wspinać nierówną ścieżką w stronę domu. Szybko podążyłem jego śladem, rozumiejąc, że gdyby moi przełożeni z Czerwonego Krzyża dowiedzieli się o tej rozmowie, ugotowaliby mnie żywcem.

Wspięliśmy się na szczyt wzniesienia i dotarliśmy do pasa drzew oddzielających teren posiadłości od urwisk. Dwaj oficerowie SS w eleganckich czarnych mundurach czekali na trawniku, bacznie się nam przypatrując. Wyczuwałem, że jestem

w coraz większych tarapatach. Hess zatrzymał się i zwrócił twarzą do mnie, kiedy go dogoniłem.

– [Mamy pracę do wykonania] – odezwał się bardziej rzeczowym tonem. – [Panie Sawyer, muszę panu powiedzieć, że nawet jeśli nie pamięta pan naszego wcześniejszego spotkania w Berlinie, ja właśnie przypomniałem sobie jego okoliczności. Być może świadomie wyrzucił je pan z umysłu. Rzeczywiście przebyliśmy od tamtej chwili daleką drogę. Rozumiem niebezpieczeństwo, które grozi panu jako bezstronnemu Brytyjczykowi w czasie wojny. Może pan być pewien, że więcej o tym nie wspomnę].

– [Dziękuję, panie zastępcu].

– [Może później będziemy mieli kolejną okazję, żeby porozmawiać na osobności].

Tak się nie stało. To była jedyna prywatna rozmowa, jaką odbyłem z Rudolfem Hessem na tym etapie negocjacji. Prawdę mówiąc, prawie go nie widywałem do końca konferencji.

Kiedy wróciłem do willi, niemal natychmiast przybyło nam obowiązków. Dziesiątki raportów, protokołów, szkiców umów, sprawdzonych projektów, kodycyli i służbowych notatek wymagały natychmiastowego przygotowania i przetłumaczenia. Nikt z nas nie narzekał na obciążenie pracą, ponieważ rozumieliśmy wyjątkową wagę tego, co robimy, jednakże przez następne trzydzieści sześć godzin harowaliśmy praktycznie bez ustanku.

Wczesnym rankiem ostatniego dnia pobytu w *Boca do Inferno* dr Burckhardt niespodziewanie wszedł do naszego pokoju, a my, oszołomieni, zerwaliśmy się na równe nogi. Z uśmiechem polecił nam się uspokoić. Sprawiał wrażenie równie zmęczonego jak wszyscy. Udało mi się co nieco podpatrzeć z głównych obrad, więc wiedziałem, że prawie nie opuszczał sali konferencyjnej. Jako jedyny z głównych negocjatorów odwiedził nas w naszej pracowni, w której maszyny do pisania i notatniki pokrywały każdą wolną powierzchnię, wszędzie wałały się brudne szklanki, kubki i talerze, sterty papierów piętrzyły się na dywanie,

marynarki wisiały na oparciach krzesel, a w powietrzu było gęsto od dymu tytoniowego.

Dr Burckhardt skromnie stwierdził, że chciał wreszcie zobaczyć miejsce, w którym odbywa się prawdziwa praca: piec w maszynowni, jak to ujął. Z zadowoleniem doniósł nam, że rozmowy między brytyjskimi a niemieckimi delegatami już się zakończyły, i podziękował nam za oddanie oraz pokorny wysiłek. Zareagowaliśmy grzecznymi, ale entuzjastycznymi oklaskami. Kiedy dotarło do nas, co może oznaczać zakończenie negocjacji, oklaski szybko zmieniły się w głośne wiwaty. Dr Burckhardt uśmiechnął się skromnie, pozdrawiając nas skinieniami głowy.

Na końcu skrzyżował ze mną spojrzenia i ruchem głowy wskazał, żebyśmy wyszedł za nim z sali. Usłuchałem, a moi zapracowani koledzy przypatrywali się mi z wyraźnym zaciekawieniem.

Kiedy wyszliśmy na korytarz i zamknęliśmy za sobą drzwi sali, dr Burckhardt serdecznie uściśnął mi dłoń.

– [Panie Sawyer, chciałbym panu podziękować w imieniu Międzynarodowego Czerwonego Krzyża za pański wkład w tym tygodniu].

Wymamrotałem, że zrobiłem tylko to, czego ode mnie wymagano.

– [Owszem. Wszyscy dążymy do tego samego celu, ale to było wyjątkowo owocne spotkanie. Na razie proszę nie mówić niczego swoim kolegom, ale za kilka tygodni odbędzie się druga runda negocjacji, podczas której ratyfikujemy traktat. Data i miejsce jeszcze nie zostały ustalone, ale konferencja odbędzie się na początku maja. Powinienem dodać, że jeden ze zwierzchników wyraźnie domagał się pańskiej obecności. Czy możemy na pana liczyć?].

– [Oczywiście, doktorze Burckhardt].

– [O ile się nie mylę, ma pan rodzinę w Wielkiej Brytanii. Czy obowiązki w ojczyźnie nie przeszkodzą panu w odbyciu kolejnej podróży w naszym imieniu?].

– [Nie, proszę pana. Co prawda, spodziewamy się z żoną naszego pierwszego dziecka, ale termin porodu przewidziano dopiero na koniec maja].

– [Do tego czasu powinniśmy się ze wszystkim uporać. Zapewne pomógł pan zadbać o to, by pańskie dziecko przyszło na świat w czasach pokoju. Gratuluję, panie Sawyer!].

Po przekazaniu tych radosnych wieści ponownie uściskał moją dłoń i życzył mi szczęścia, po czym się oddalił. Stałem na korytarzu, zaszokowany myślą, że pokój nie jest abstrakcyjną ideą, ale rzeczywistością, która może się ziścić w moim życiu. Nasze dziecko urodzi się w świecie wolnym od wojny.

Dotychczas nie w pełni zdawałem sobie z tego sprawę! Poczulem wzbierającą we mnie radość. Pochłonęło mnie potężne uczucie ulgi. Chciałem biegać i krzyczeć, ale tylko stałem samotnie na korytarzu ze łzami w oczach, uświadamiając sobie, że zostałem wtajemniczony w najważniejsze wieści na świecie.

Wróciłem do naszego biura. Oszołomiony, pomogłem kolegom dokończyć kilka ostatnich zadań i posprzątać pokój. Nieco ponad godzinę później leżałem w łóżku w swoim pokoju hotelowym, nie mogąc zasnąć z podniecenia, pomimo ogarniającego mnie wyczerpania.

Następnego dnia wróciłem do Anglii tym samym białym samolotem, a dwa dni później dołączyłem do Birgit w naszym domu w Rainow.

XIII

Wszyscy zaangażowani w negocjacje w Lizbonie zostali zobowiązani pod przysięgą do zachowania tajemnicy oraz sfabrykowano dla nich historie tłumaczące ich nieobecność. Okazało się, że przebywałem w północnej Walii, gdzie testowałem nowy sprzęt ratunkowy otrzymany od Stanów Zjednoczonych.

Wydarzenia tamtego słonecznego zimowego tygodnia w

Cascais przeszły do historii i już nie skrywa ich tajemnica. Sporządziliśmy i przyjęliśmy protokół pokojowy, warunki, które przed wejściem w życie wymagały tylko ratyfikacji na najwyższych szczeblach. Pierwszą i drugą konferencję pokojową rozdzielało kilka tygodni, czas intensywnych działań dyplomatycznych i państwowych, o których nie wiedział nikt poza wewnętrznymi kręgami obu rządów oraz zarządem Czerwonego Krzyża. Osobiście miałem niewiele wspólnego z tym, co się działo, i pozostawałem w niepewności.

Jako że byłem stroną w negocjacjach, znałem na pamięć każdą klauzulę, paragraf i zdanie traktatu. Nie wiedziałem tylko, co z nim zrobią ludzie na najwyższych szczeblach władzy.

Czy Hitler go zaakceptuje? A Churchill?

**Osobiste protokoły i telegramy premiera,
styczeń-czerwiec 1941 roku; z Dodatku B książki
„Niemiecka Wojna: Tom II – Ich najwspanialsza
godzina” (1950)
autorstwa Winstona S. Churchilla (księcia Londynu):**

**Premier do Ministra Sił Powietrznych oraz szefów
sztabu sił powietrznych 17 stycznia 1941**

Niektóre z niemieckich samolotów zestrzelonych na naszych brzegach z pewnością wciąż da się naprawić. Widziałem pouczające raporty dotyczące stanu ich pancerza, silników, uzbrojenia i tak dalej, sporządzone po szczegółowych badaniach technicznych przeprowadzonych w Farnborough. Czy jesteśmy w stanie przywrócić którąkolwiek z tych maszyn do stanu, w którym można by je wykorzystać na przykład podczas ćwiczeń lotniczych?

A w szczególności, czy zdołamy uruchomić któryś z dwusilnikowych messerschmittów Me-110? Pilnie go potrzebujemy.

**Premier do Ministra Spraw Wewnętrznych
28 lutego 1941**

Jakimi obiektami dysponujemy na wypadek, gdyby jedna z osób obecnie rządzących Niemcami wpadła nam w ręce? Oczywiście doraźnie skorzystamy z Tower of London (i nie

będziemy tego ukrywać, gdyż wywoła to publiczne poparcie, np. w Stanach Zjednoczonych), ale skoro spodziewamy się, że wojna potrwa długo, musimy mieć do dyspozycji inne rozwiązanie. Zwyczajne więzienia nie wchodzi w grę, podobnie jak, z różnych względów, obozy dla jeńców wojennych, dlatego potrzebujemy jakiejś innej bezpiecznej placówki. Z pewnością nie brakuje wiejskich domów, zamków itp., które można szybko odciąć od świata, bez zbytich kłopotów i wywoływania plotek.

Proszę we właściwym czasie przedłożyć mi listę takich obiektów.

Premier do Ministra Spraw Zagranicznych 2 marca 1941

Jestem wdzięczny naszym doradcom ds. bezpieczeństwa, którzy za pośrednictwem Pańskiego urzędu przekazali nam informacje dotyczące niemieckich planów odnośnie do Madagaskaru. Pamiętam, że ten pomysł sięga czasów Bismarcka i od czasu do czasu jest wskrzeszany przez tych, którzy chcą jedynie przenieść „problem” żydowski do innej części świata.

Brytyjskie stanowisko w tej kwestii należy przedyskutować podczas najdogodniejszego z nadchodzących posiedzeń gabinetu, jednak na chwilę obecną można je streścić w następujący sposób:

Jako siła sprawująca władzę w Palestynie nie mamy zamiaru dopuścić do masowej, destabilizującej migracji w tym regionie. Choć taka możliwość nie jest brana pod uwagę w ramach Planu Madagaskar, można być pewnym naszego stanowiska w tej sprawie.

Madagaskar obecnie znajduje się pod kontrolą Francji Vichy i leży na głównym morskim szlaku, którym importujemy ropę naftową z Persji i Iraku. Dopóki jednak Wielka Brytania

kontroluje Strefę Sueską, z czego nigdy nie zamierzamy rezygnować, i dopóki na wyspie nie przebywają Niemcy, Madagaskar rządzony przez Vichy nie stanowi zagrożenia dla naszych dostaw.

Jak zaznaczyliśmy w swojej notatce służbowej, każdą podjętą przez Niemcy próbę zmiany Madagaskaru w marionetkowe państwo zarządzane przez SS i zaludnione przez wypędzonych europejskich Żydów, niewątpliwie w skrajnie niehumanitarnych warunkach, należy traktować niezwykle poważnie. W takim wypadku będziemy zmuszeni podjąć natychmiastową i skuteczną militarną interwencję. To nasz obowiązek, przed którym nie możemy się cofnąć.

Proszę o szacunki dotyczące liczebności żydowskiej populacji, nie tylko w Niemczech, ale także w krajach obecnie pozostających pod niemiecką okupacją. Musimy być przygotowani na każdą możliwość.

Premier do Ministra Sił Powietrznych i szefów sztabu sił powietrznych 4 marca 1941

Podczas nalotów na niemieckie cele w ostatnich miesiącach nie odnotowano wzrostu skuteczności. Pomimo zwiększenia liczby ataków, zwiad fotograficzny wskazuje na zaskakujący brak celności. Nasze nowe czterosilnikowe ciężkie bombowce będą gotowe do akcji w ciągu tygodnia albo dwóch, zatem spodziewam się lepszych wyników. Muszę także zauważyć, że tracimy coraz więcej maszyn, a liczba naszych pilotów, których uznano za zaginionych, w tym miesiącu okazała się o niemal dwadzieścia pięć procent wyższa niż w miesiącu ubiegłym. Nie wygramy tej wojny, jeśli będziemy posyłali naszych młodych ludzi na śmierć, bez perspektywy pozytywnych rezultatów.

Załączam kopię ostatecznego raportu Ministerstwa Robót Publicznych dotyczącego zniszczeń dokonanych przez

Luftwaffe w mieście Coventry. Wygląda na to, że od listopada, gdy doszło do nalotu, nocne bombardowania brytyjskich miast stały się intensywniejsze. Oczekuję odpowiedzi i konkretnych propozycji.

Premier do Ministra Spraw Zagranicznych 23 kwietnia 1941

Przedstawiciele Czerwonego Krzyża byli wyraźnie zapracowani w ciągu ostatnich tygodni, korzystając z naszych lotnisk podczas swoich licznych przedsięwzięć wymagających zagranicznych podróży, prawdopodobnie do krajów neutralnych. Chociaż procedury wykorzystywania przez Czerwony Krzyż naszej przestrzeni powietrznej są szczegółowo uregulowane, otrzymaliśmy niewiele informacji odnośnie do celu niektórych z tych lotów, jak również ich znaczenia. Cieszymy się znakomitymi relacjami ze wszystkimi szczeblami Czerwonego Krzyża, a ich praca podczas Blitzu była wzorowa i spotkała się z licznymi oficjalnymi wyrazami wdzięczności. Dlatego pozostajemy tolerancyjni dla wszelkich działań Czerwonego Krzyża, postrzegając je z optymizmem. Nie musimy wiedzieć, czego dotyczą, ani nie zamierzamy oficjalnie o to pytać.

Oczekuję streszczenia wszystkich posiadanych informacji wywiadowczych na temat Czerwonego Krzyża, a także dalszego przekazywania nowo zdobywanej wiedzy. Naturalnie, nasz interes narodowy jest ściśle związany ze wszystkimi częściami neutralnej Europy.

Premier do Ministra Spraw Zagranicznych i Lorda Tajnej Pieczęci 25 kwietnia 1941

W odpowiedzi na liczne osobiste notatki służbowe, byłbym

wdzięczny za ponowne podjęcie poszukiwań wszelkich akt lub pisemnych materiałów dotyczących księcia Windsoru, naszego byłego króla. Wspomniane przeze mnie dokumenty należą do kategorii tych, do których zawsze się odnoszę w tym kontekście.

Oczywiście wszystkie osobiste i państwowe dokumenty, aż do chwili abdykacji, są nietykalne i bezpiecznie ukryte w zwyczajowych magazynach. Chodzi mi o późniejszy okres peregrynacji Jego Wysokości, do sierpnia ubiegłego roku, gdy przyjął on urząd gubernatora Bahamów.

Szczególnie zależy mi na zlokalizowaniu materiałów, które pojawiły się podczas zeszłorocznej ucieczki księcia Windsoru z domu zwanego La Croë, obecnie w części Francji kontrolowanej przez reżim Vichy, jego późniejszego pobytu w Madrycie oraz, rzecz jasna, tygodni spędzonych w pobliżu Lizbony. Nadal wydaje się prawdopodobne, że otrzymał wtedy pomoc i wsparcie od agencji innych niż rząd Jego Królewskiej Mości.

Przyjęcie, że po tym okresie ucieczki i zamieszania nie pozostały żadne dokumenty, jest błędne: dwór tak obszerny jak otoczenie księcia nie może zniknąć bez śladu. Przykładowo, podczas pobytu Jego Wysokości w Madrycie, wymieniliśmy kilka telegramów. Wciąż je przechowujemy, powinna się jednak zachować także inna podobna korespondencja. Sir Ronald Campbell był naszym ambasadorem we Francji w czasach upadku. Teraz, oczywiście, piastuje funkcję ambasadora w Portugalii i posiada obszerne archiwum. Przepływ informacji z naszej hiszpańskiej ambasady z jakiegoś powodu się opóźnia.

Nigdy nie lekceważyłem plotek, według których w Hiszpanii widziano czołowych urzędników nazistowskich. Śmiem twierdzić, że Portugalia jest kolejnym miejscem, które od czasu do czasu zaszczycają swoją obecnością. Książę przez miesiąc mieszkał w pewnej willi niedaleko Lizbony i przez ten czas nie kontaktował się z Londynem, nie licząc mało

istotnych spraw. Najbardziej zależy mi na materiałach dotyczących właśnie tego okresu, spędzonego w tamtym konkretnym domu.

Premier do Ministra Wojny i Ministra Spraw Wewnętrznych 30 kwietnia 1941

Załączam raport z Sekcji D o zwyczajowym poziomie tajności. Oczekuję szczegółowej analizy i jak najszybszych propozycji dotyczących dalszych działań.

Być może nie przyniesie to żadnych skutków, ale powinniśmy przynajmniej być lepiej poinformowani o takich sprawach. Sekcja D kontynuuje obserwację młodego mężczyzny, którego dotyczy raport. Z różnych powodów jej działaniom brakowało konsekwencji i ciągłości, ale niemieckie naloty tak bardzo utrudniają prowadzenie działań wywiadowczych, że mimo wszystko muszę pochwalić dotychczasową pracę sekcji.

W tej nietypowej sprawie mamy do czynienia z czynnym oficerem dywizjonu bombowego RAF-u, kapitanem lotnictwa Sawyerem, pilotem, który pełni swoją służbę z wielkim męstwem oraz wprawą i został odznaczony za waleczność, ale który najwyraźniej utrzymuje relacje z jedną z zanglicyzowanych osób pochodzenia niemieckiego, których jeszcze nie zatrzymaliśmy. W przypadku Sawyera chodzi o młodą kobietę, którą podobno poślubił. Jest ona naturalizowaną Brytyjką, która przybyła do Zjednoczonego Królestwa przed wojną.

Sekcja D nie zdołała potwierdzić faktu zawarcia małżeństwa, gdyż urząd stanu cywilnego, w którym znajdowały się archiwa, został zniszczony podczas nalotu we wrześniu zeszłego roku. Utrzymują, że Sawyer nie jest mężem kobiety, a jedynie z nią mieszka. Posiadamy zeznania sąsiadów, które przeczytałem z pogardą. Jednak, ogólnie

rzecz biorąc, okoliczności tej sprawy wywołują niepokój.

Przypadek Sawyera jest nietypowy i godny uwagi, gdyż był on zarejestrowany, przynajmniej przez jakiś czas, jako obdzektor i blisko współpracował z brytyjskim Czerwonym Krzyżem. Najważniejszym elementem zagadki pozostaje pytanie, jak to możliwe, skoro jednocześnie czynnie służy w RAF-ie. Nie jestem uprzedzony wobec żadnej z tych postaw, dziwi mnie jednak ich jednoczesne występowanie u tej samej osoby, zwłaszcza w czasie wojny. Nie można dalej tolerować takiej niekonsekwencji, tym bardziej że Sawyer od dawna aktywnie uczestniczy w naszych nalotach przeciwko nazistom.

Raport więcej zaciemnia niż wyjaśnia. Wydaje się wielce prawdopodobne, że doszło do pomyłki dotyczącej tożsamości, jednak proszę to jeszcze sprawdzić. Podejrzaną Niemkę należy zostawić w spokoju, gdyż brzydzę się zamykaniem młodych ludzi bez wyraźnego powodu.

Z odręcznych notatek J.L. Sawyera:**XIV**

Po Lizbonie wróciłem do swojego życia w Rainow, z poczuciem, że wojna wreszcie się zakończy. Od Czerwonego Krzyża dostałem płatny urlop, a jedyną pamiątką niezwykłego spotkania w Portugalii pozostał krótki odręcznie napisany list od doktora Burckhardta. Dał mi go, zanim wsiadłem na pokład samolotu, żeby udać się w długą podróż powrotną. W liście prosił mnie, żebym nie angażował się w codzienne zadania Czerwonego Krzyża, tylko przygotował do ponownego rychłego wyjazdu.

Podczas pobytu w *Boca do Inferno* zacząłem postrzegać siebie jako osobę neutralną. Byłem mediatorem, urzędnikiem Czerwonego Krzyża, odpowiedzialnym za pisanie lub tłumaczenie ważnych dokumentów, które mogły, całkiem dosłownie, zmienić bieg historii. Jednakże już kilka godzin po powrocie do Wielkiej Brytanii znów stałem się stronniczy: byłem Anglikiem, Brytyjczykiem, a nie kimś neutralnym. Było tę pouczające doświadczenie. Zanim wybrałem się do Portugalii, uznawałem, że jako pacyfista pozostaję bezstronny, ale w czasie wojny nie można uniknąć identyfikacji ze swoim narodem. Skłoniło mnie to do głębokiej refleksji.

Wróciłem do znajomego, choć nie identycznego życia. Birgit była w ostatnich tygodniach ciąży, co nabrało zupełnie nowego znaczenia wobec perspektywy zawarcia pokoju. Podczas mojej nieobecności zaczęła bardzo polegać na pomocy pani Gratton,

starszej kobiety, która mieszkała w domku przy naszej ulicy. Miałem wrażenie, że ona stale u nas przesiaduje, ponadto często przyprowadzała ze sobą swojego syna, dziwaka w średnim wieku. Kiedy wróciłem z Portugalii, początkowo czułem się niemal jak intruz we własnym domu. Pani Gratton wszędzie było pełno: robiła pranie, zmywała naczynia, przygotowywała dla Birgit napoje i przekąski, podczas gdy Harry zajmował się różnymi domowymi pracami: rąbał drewno i znosił je do domu, mył okna, zamiatał podłogę w kuchni i tym podobne.

Być może z tego powodu mój pierwszy weekend w domu po powrocie z Lizbony nie był udany. Oddaliliśmy się od siebie z Birgit. Chciałem być kochającym, obowiązkowym mężem, angażowałem się w ostatnie tygodnie ciąży, ale Birgit rzadko mówiła mi o swoim samopoczuciu, nadziejach i obawach, jak również planach dotyczących tego, co się wydarzy po narodzinach dziecka.

Pomogłem jej wysprzątać i odmalować niewielki pokój gościnny, który miał się stać sypialnią dziecka, ale ze względu na jej stan większość pracy musiałem wykonać samodzielnie. Harry Gratton zdobył dla nas farbę klejową w kolorze złamanej bieli, która – jak każda farba do malowania ścian – podczas wojny była niemal nie do kupienia. Wpadał kilkakrotnie, żeby mi o tym przypomnieć, gdy malowałem pokój.

Mieszkańcy Rainow wciąż rozmawiali o nocnym bombardowaniu Manchesteru, które wydarzyło się podczas mojej nieobecności. Po dwóch dużych nalotach grudniowych miasto zostawiono w spokoju, ale w zeszłym tygodniu bombowce powróciły. Harry Gratton powiedział mi, że w szczytowej fazie nalotu pożary były tak potężne, że nawet ludzie w Rainow czuli gorąco na twarzach, gdy patrzyli na miasto ze wzgórza oddalonego o wiele mil.

Irlam Street, przy której stał budynek Czerwonego Krzyża, przestała istnieć. Czekając, aż organizacja znajdzie nową siedzibę, spędzałem czas w domu, licząc, że jakoś uda mi się wynagrodzić Birgit długie okresy nieobecności, i starając się

odzyskać dawną bliskość. Nadal czułem się od niej odcięty, ale sądziłem, że po narodzeniu dziecka nasze życie zmieni się na lepsze. Oczywiście wiedziałem, że kiedy mój sekret stanie się faktem, życie zmieni się dla wszystkich.

Ta perspektywa płonęła we mnie jak światło nawigacyjne. Kiedy słyszałem, jak ludzie narzekają, że nie mają czym wykarmić dzieci, obawiają się o swoich synów i mężów służących w wojsku, a nawet nie mogą swobodnie podróżować, wiedziałem, że mógłbym ich pocieszyć dzięki najpomyślniejszym wieściom. Mógłbym im powiedzieć, że muszą wytrzymać jeszcze tydzień, dwa albo miesiąc, i wszystko się skończy. Rozległe, słoneczne wyżyny, które Churchill obiecał przed rokiem, wreszcie pojawiły się na horyzoncie.

Mijały jednak kolejne tygodnie. Po powrocie z Lizbony spodziewałem się, że niemal natychmiast zostanę wezwany na kolejną rundę negocjacji. Przecież wszystko było przygotowane i uzgodnione? Wynegocjowano warunki pokoju: obie strony zrezygnowały z kilku ważnych punktów pierwotnych propozycji, ale ostatecznie osiągnięto realistyczne porozumienie, które zapewniło zarówno Wielkiej Brytanii, jak i Niemcom drogę wyjścia z wojny. Jedna strona mogła zachować honor, a druga strategiczne swobody.

Najwyraźniej pojawiła się jakaś przeszkoda. Kiedy wróciłem do swojego szarego życia, w którym musiałem znosić te same niewygody i trudy co wszyscy, i zacząłem słuchać rozmów w autobusach i pubach oraz plotek w sklepach, stało się dla mnie jasne, co stanowi problem. To był sam Churchill. Identyfikował się – albo był identyfikowany – z dzielną brytyjską determinacją, by walczyć dalej, niezależnie od okoliczności. Churchill symbolizował nadzieje wszystkich obywateli. Nie mógł się wycofać, zresztą nie chciały o tym słyszeć miliony zwykłych Brytyjczyków.

Nawet sobie nie wyobrażałem, że sytuacja wygląda analogicznie w Niemczech, gdzie Hitler stał się uosobieniem swojego narodu.

Niemieckie nocne naloty trwały. W ciągu mojego pięcioletniego oczekiwania na wezwanie od doktora Burckhardta zmasowane bombardowania zrujnowały takie miasta, jak Bristol, Birmingham, Plymouth, Liverpool, Exeter, Swansea, Cardiff czy Belfast. Jednocześnie kontynuowano kampanię Blitzu w Londynie. U-Booty codziennie zatapiały brytyjskie okręty na Atlantyku. Na pustyni w północnej Afryce trwały walki o Egipt i Kanał Sueski, znacznie bardziej niebezpieczne dla Brytyjczyków, odkąd na miejsce przybyły oddziały Afriki Korps Rommla. W Grecji zmuszono Brytyjczyków do odwrotu.

Tyle śmierci. Tyle strat. Tyle zniszczeń.

Wojna się przedłużała, chociaż mogła zostać zakończona w każdej chwili.

Pewnej nocy, kiedy już położyliśmy się z Birgit do łóżka, usłyszeliśmy mrozący krew w żyłach monotony jęk syren przeciwlotniczych. Oboje natychmiast się obudziliśmy, w ciemności zeszywniali ze strachu. Zacząłem wstawać z łóżka.

– Nie odchódź ode mnie – odezwała się Birgit.

– Powinniśmy się schować.

– Nie zbliżaj się do nas. Zostań ze mną.

– Nie... nigdy nie jest bezpiecznie.

Pomogłem jej wstać, najpierw sadzając ją na łóżku, a następnie opuszczając jej nogi na podłogę. Podniosła się niepewnie i przez chwilę opieraliśmy się o siebie i obejmowaliśmy w mroku. Między sobą czuliśmy twarde nacisk naszego nienarodzonego dziecka. Syreny stopniowo milkły i zapadła złowieszcza cisza.

– Nadlatują samoloty?

– Nie słyszę – odpowiedziałem. – Ale nie wolno nam ryzykować.

Włożyliśmy wełniane ubrania, żeby się nieco ogrzać, zabraliśmy wcześniej spakowane torby i zesliśmy na dół. Nie mieliśmy specjalnego schronu, ale jako że dom zbudowano z kamienia, a schody znajdowały się obok komina, umieściliśmy posłania, awaryjne źródło światła oraz zapas wody w trójkątnej przestrzeni

pod stopniami. Podejrzewałem, że podczas mojej nieobecności Birgit spędziła tam wiele samotnych nocy.

Wczołgaliśmy się do wąskiej kryjówki i jak najwygodniej ułożyliśmy, obejmując się nawzajem. Czulem dziecko, które poruszało się w brzuchu Birgit, zupełnie jakby wyczuwało nasz strach.

Syreny ponownie zawyły i niemal natychmiast usłyszeliśmy dźwięk, którego każdy w Wielkiej Brytanii najbardziej się obawiał: monotony, pulsujący warkot silników. Wysoko nad nami przelatywała formacja bombowców Luftwaffe. Samoloty znajdowały się bezpośrednio nad wioską i mieliśmy wrażenie, że ich charakterystyczny rytmiczny odgłos wstrząsa kamiennymi murami domu. Przygotowaliśmy się na przerażający pisk spadających bomb i druzgocące wybuchy, które tak długo musialem znosić w Londynie.

Najpierw usłyszeliśmy działa przeciwlotnicze Manchesteru: wstrząsające, ostre wystrzały, które łatwo było odróżnić od odgłosu eksplodujących bomb. Jak zwykle przynosiły pociechę i nadzieję, że uda się odeprzeć bombowce. Jednakże już po chwili huk dział zagłuszyły pierwsze wybuchy bomb spadających na ulice.

Nie mogłem leżeć nieruchomo w ciemności, gdy tak blisko trwał nalot, więc pomimo protestów Birgit uwolniłem się z jej objęć, wczołgałem do mrocznego przedpokoju i znalazłem płaszcz oraz buty. Wyszedłem z domu. W ciemności przeszedłem na drugą stronę ulicy i podszedłem do ziemnego nasypu, z którego roztaczał się wyraźny widok na północ i zachód.

Niebo przecinały białe snopy światła szperaczy. Jaskrawe rozbłyski wybuchających pocisków przeciwlotniczych rozświetlały podstawę chmur. Pociski smugowe mknęły w górę. Pomarańczowe plamki pożarów upstrzyły miasto. Na jego środku spoczywała lśniąca, nieruchoma kula ognia, niczym małe słońce. Na moich oczach wybuchały kolejne bomby i powstawały nowe pożary.

– Manchesterowi znowu się dostaje – odezwał się jakiś

mężczyzna obok mnie. – Mniejszy nalot niż poprzednio, ale i tak źle to wygląda.

Przytaknąłem w ciemności i odwróciłem się w kierunku, z którego dotarł głos. Mężczyzna stał za mną, ale blask bijący od pożarów był zbyt słaby, żeby oświetlić jego twarz.

– To już drugi raz od Bożego Narodzenia, prawda?

– Zgadza się.

– Przegapiłem pozostałe – odparłem, ale jednocześnie uświadomiłem sobie, z kim rozmawiam. – To ty, Harry?

– Tak. Twoja żona mówi, że jesteś prawdziwym specem od nalotów. Ciągłe jeździłeś na południe.

– Do pracy.

– Do Londynu, prawda? A może do Walii? Ratowałeś ludzi?

– Ratowałem – odrzekłem, dostosowując się do rytmu jego mowy. – Ale już tam nie wracam.

– Dzisiaj powinieneś być w Manchesterze. Wygląda na to, że przydałby im się taki ekspert jak ty. – W jego głosie wyczułem drwinę, kpiące wyzwanie. Zaczynał się ze mną drażnić.

– Nie teraz.

– Manchester to nie jest miejsce w twoim stylu?

– Zostałem ranny i wciąż nie wróciłem do pełnej sprawności. Na razie mam dosyć. Ale może ty powinieneś się zgłosić na ochotnika.

– Nie mogę, mam za dużo do zrobienia w wiosce. Birgit mówiła mi, że zostałeś ranny. A potem gdzieś zniknąłeś. W przyszłym miesiącu urodzi się wam dziecko, tak?

– Zgadza się. W ostatnim tygodniu maja.

– Cieszę się, że wróciłeś do wioski, Joe – rzekł Harry. – Birgit cię potrzebuje. Mąż nie powinien opuszczać żony w takiej chwili.

– Co powiedziałeś?

– Wiem, że to nie moja sprawa, ale...

– Owszem, nie twoja cholerna sprawa.

– W odróżnieniu od ciebie większość czasu spędzam w wiosce, Joe. Przykro patrzeć, jak ładna młoda kobieta, do tego ciężarna, zostaje sama.

– Posłuchaj, Harry...

Obaj instynktownie się schyliliśmy, gdy jedna z dużych niemieckich bomb wybuchła w pobliżu. W Londynie nazywa się je bombami hamowanymi: ich wybuchowi towarzyszy charakterystyczna białozółta kula ognia. Kilka sekund później dotarły do nas huk i podmuch. Zatoczyłem się do tyłu, odzyskałem równowagę, a następnie przykucnąłem, żeby dalej obserwować nalot.

– Blisko było – odezwał się Harry. – Ale pewnie jesteś przyzwyczajony, tak samo jak londyńczycy.

– Tam jest równie źle jak tutaj, ale Londyn bombardują niemal każdej nocy.

– Nic im nie będzie. Tobie pewnie też, kiedy wojna się skończy. Więc niedługo znów wybierasz się na jakąś wycieczkę?

Staliśmy razem, patrząc na rozprzestrzeniające się pożary, widzieliśmy olbrzymie leje ciemnego dymu, a chwilami nawet bombowce, gdy obniżały się na tyle, że oświetlał je blask ognia. Wybuchy zlewały się w jeden długi ryk. To był duży nalot. Drugi w tym miesiącu.

– Chcesz jeszcze chwilę popatrzeć? – spytał Harry. – Mogę pójść sprawdzić, czy u Birgit wszystko w porządku.

– Co takiego?

– To dla mnie żaden problem. Kiedy ciebie nie było, nieraz wpadałem do niej, kiedy coś się działo. Chciałem się upewnić, że sobie radzi. Ona dobrze się ze mną czuje. Razem z mamą potrafimy się nią zaopiekować. Nie przejmuj się, Joe. Jeśli znów coś ci się przydarzy podczas pracy i nie wrócisz, ja zajmę się Birgit. To będzie dla mnie przyjemność. Ona potrzebuje mężczyzny, który będzie się o nią troszczył.

Odwróciłem się w jego stronę, ale Harry już się oddalał, znikając w ciemności spowijającej ulicę.

– Trzymaj się z daleka od Birgit, Harry! – zawołałem w ślad za nim, ale nie otrzymałem odpowiedzi.

Odwróciłem się, żeby obejrzeć dalszy ciąg bombardowania, ale okazało się, że podczas naszej ostatniej wymiany zdań z Harrym

nalot gwałtownie się zakończył. Wyłączano kolejne szperacze, pożary przygasały, dym się rozwiewał, a warkot silników cichł w oddali. Rozległe miasto ponownie pograżyło się w mroku, zaciemnione pośród nocy.

XV

Leżeliśmy objęci w wąskiej trójkątnej przestrzeni pod schodami, a między nami spoczywało nasze wystraszone nienarodzone dziecko. Birgit spała, ale ja gwałtownie się ocknąłem. Zamarłem, zmuszając się do trwania w bezruchu, nie chcąc jej obudzić. Dziecko mnie kopało, wywierając lekki, ale wyraźny nacisk na mój bok.

Noc była spokojna. Co się stało z nalotem? Syreny zawyły ostrzegawczo, ale władze nigdy nie wiedziały, dokąd dokładnie zmierzają niemieckie samoloty, więc pojawiało się wiele fałszywych alarmów. Czy ten alarm już odwołano? Badałem swoje wspomnienia, starając się ocenić ich realność. Birgit i ja wstaliśmy z łóżka, kiedy zabrzmiała syrena – to było rzeczywiste. Ale potem? Co z nalotem i rozmową z Harrym w ciemności?

Nie słyszałem żadnych silników, dział, bomb ani syren.

Ta wyrazista halucynacja była pierwszą, której doświadczyłem od czasu podróży do Portugalii. Zacząłem już wierzyć, że się z nimi uporałem.

Po raz drugi, jak mi się zdawało, uwolniłem się z objęć Birgit i prześlizgnąłem po twardym materacu leżącym na podłodze. Birgit stęknęła przez sen i przewróciła się na bok, pomagając mi się odsunąć. Ponownie włożyłem płaszcz i buty. Szybko podszedłem do drzwi, otworzyłem je i zacząłem nasłuchiwać. Wszędzie panowały ciemność i cisza. Wyszedłem na chłodne powietrze, przeszedłem na drugą stronę ulicy i wspiałem się na nasyp, z którego miałem dobry widok na równinę w dole.

Wszystko było zaciemnione, skulone pośród nocy, wyciszone ze strachu przed bombowcami. Obejrzałem się na masyw Penninów za naszym domem: dostrzegłem łuk wrzosowisk na tle

niedużo mniej ciemnego nieba.

Kiedy tak stałem, drżąc, usłyszałem sygnał odwołania alarmu: pierwsza pojedyncza nuta dotarła do mnie niesiona wiatrem z odległości wielu mil, wkrótce jednak upiorną, ale uspokajającą wiadomość powtórzyły kolejne syreny na dachach domów, bramach strażackich remiz, szkolnych budynkach gospodarczych i kościelnych wieżach. Nie będzie nalotu, informowały, przynajmniej nie tej nocy. Może gdzie indziej ktoś solidnie obrywa, ale nie tutaj i nie teraz. Możecie bezpiecznie opuścić schrony i wrócić do łóżek.

Wszedłem do domu, zamknąłem drzwi i wróciłem pod schody. Birgit była na wpół rozbudzona przez syreny. Czule ją przytuliłem i pomogłem wejść po schodach. Najpierw zaprowadziłem ją do ubikacji, a następnie do łóżka. Wczołgaliśmy się do zimnej pościeli. Birgit długo się wierciła, usiłując wygodnie się ułożyć z wydętym brzuchem. Przywarłem do niej, przytulając ją, starając się ją ogrzać własnymi wyziębionymi rękami i nogami.

XVI

Następnego ranka, kiedy Birgit brała kąpiel, podszedłem do swojego biurka w kącie salonu. Wyjąłem list doktora Burckhardta ze środkowej szuflady.

Ponownie przeczytałem słowa podziękowania, prośbę o tymczasowe powstrzymanie się od zaangażowania w codzienne sprawy Czerwonego Krzyża, zapewnienie o regularnej wypłacie wynagrodzenia. Ten prosty list, napisany odręcznie w pośpiechu, stanowił dla mnie gwarancję rzeczywistości. Pośród niepewnych wspomnień był łącznikiem z tamtą niezapomnianą konferencją w Lizbonie. Nic mi się nie przywidziało. Byłem tam i to naprawdę się wydarzyło.

Czułem, że jedną z oznak mojego powrotu do zdrowia jest coraz szybsze otrząsanie się z tych napadów. Wraz z upływem dnia zdołałem zapomnieć o halucynacji dotyczącej nalotu i

zaczęłam się zastanawiać, czym mogę się zająć w oczekiwaniu na wiadomość od doktora Burckardta.

Moja bezczynność w domu tylko pogarszała tę niezrozumiałą sytuację. To nie był szczęśliwy okres. W ciągu kolejnego tygodnia po mojej wizji nalotu często kłóciliśmy się z Birgit, zarówno o drobiazgi, jak i o poważne sprawy. Spędzaliśmy czas w osobnych częściach domu. Czulem, że stajemy się dla siebie obcy, i nie miałem pojęcia, co mogę zrobić. Ogarniał mnie smutek, gdy myślałem o tym, co się z nami dzieje. Podekscytowanie towarzyszące naszemu związkowi, zaufanie, bliskość i niemal cała miłość przegrały z doświadczeniem wojny. Łączyło nas już tylko nienarodzone dziecko, które niepokoilo się w jej brzuchu. Ale co się stanie, kiedy on albo ona się narodzi?

Pewnego dnia, kiedy słuchałem BBC, natrafiłem na raport z nalotu, który poprzedniej nocy bombowce RAF-u przeprowadziły na port w Kiel. Opowiadano o tym wydarzeniu w butnym propagandowym tonie zgodnym z wytycznymi Ministerstwa Sił Powietrznych: nalotu dokonano z olbrzymim znanstwem i determinacją, pod ciężkim ostrzałem przeciwołotniczym. Jak zwykle podano, że zbombardowano wojskowy cel. W tym przypadku zniszczone albo uszkodzone zostały liczne instalacje portowe oraz niemiecki sprzęt wojskowy. Jednak BBC podała także, że zniszczenia były rozległe, a to oznaczało, że wiele bomb z pewnością spadło poza obszarem portu. Przyznano także, że wróg zestrzelił więcej naszych samolotów niż zazwyczaj. Niemieckie nocne myśliwce okazały się wyjątkowo skuteczne.

Moje myśli od razu zwróciły się ku Jackowi. To prawda, że rzadko o nim myślałem, ale tak było mi łatwiej. Przez wiele lat łączyły nas bliskie relacje: nasi rodzice mawiali, że jesteśmy nierozłączni. Wszystko robiliśmy razem, związani instynktownym poczuciem pokrewieństwa, wrodzoną jednością. Obaj czuliśmy niepewność w chwilach rozłąki. W szkole nauczyciele zazwyczaj umieszczali nas w osobnych klasach, ale podczas przerw od razu się spotykaliśmy. Ze względu na tę nieustanną bliskość nie

mieliśmy wielu kolegów, gdyż nie tylko wystarczaliśmy sobie nawzajem, ale też nikogo do siebie nie dopuszczaliśmy. Sytuacja nie zmieniała się, gdy weszliśmy w dorosłość: kiedy razem wioślowaliśmy, byliśmy jak jeden umysł w dwóch ciałach. Jednakże ostatnie pięć lat, od powrotu z igrzysk olimpijskich, było czasem niemal całkowitej rozłąki, początkowo z wyboru, a ostatnio za sprawą wojennych okoliczności.

Czy teraz ponownie ogarniała nas niepewność spowodowana brakiem kontaktu? Widząc swoją bezużyteczność w domu, zacząłem tak myśleć, przynajmniej o sobie. Przemyślałem swój rok czynnego pacyfizmu, gdy działałem samotnie, podczas gdy większość mężczyzn w moim wieku służyła w wojsku. Moje przekonania się nie zmieniły, ale zacząłem się zastanawiać, czy podszedłem do tego problemu we właściwy sposób. Pozostawał jeszcze Jack. Od wybuchu wojny starałem się zgłębić jego motyw, ale wiedziałem, że w głębi duszy z pewnością jesteśmy tacy sami.

Przecież nie różniliśmy się od siebie w tak wielu innych kwestiach. Mieliśmy tego samego ojca, wychowaliśmy się w tej samej tradycji tolerancji, liberalnego sumienia, sprzeciwu wobec wojny. Co on może czuć, gdy leci przeciwko wrogom?

Świadomie odpychałem od siebie myśli o Jacku. Wiedziałem, że wojna zachęca do unikania ważnych decyzji, odkładania spraw na później, tłumienia uczuć, porzucania zmartwień. Ale jak mogłem tak postąpić w stosunku do Jacka? Wieści o nalocie na Kiel – tak naprawdę kolejnym z wielu nalotów podczas tej wojny – ponownie przypomniały mi o zagrożeniach, jakie na niego czekają podczas służby w RAF-ie. Podejrzewałem, że jako pilot bierze pełny udział w kampanii bombowej. Za każdym razem, gdy uczestniczył w nalocie, ryzykował życie.

Byłem w posiadaniu tajnych informacji, które mogły mieć wpływ na jego los. Zbliżał się pokój, tymczasem działania wojenne trwały. Niebezpieczeństwo utrzymywało się aż do wystrzelenia ostatniego pocisku i zrzucenia ostatniej bomby.

Wybór wpisów z dzienników dra. Paula Josepha Goebbelsa (Bundesarchiv, Berlin, 1957), przetłumaczonych na angielski przez T.F. Hendersona; w tym okresie dr Goebbels był Gauleiterem Berlina oraz ministrem oświecenia publicznego i propagandy:

28 marca 1941 (piątek)

Wczoraj: Obalenie skorumpowanego króla Jugosławii. Nowy król Piotr ma zaledwie siedemnaście lat. Churchill cieszy się z przewrotu stanu jak z przybycia zbawiciela.

Żadnych nocnych ataków; wieści z Bułgarii znakomite, zgodnie z oczekiwaniami; kolejne dobre wieści z Libii; poinformowaliśmy opinię publiczną o obu tych triumfach. Włosi nie radzą sobie zbyt dobrze w Abisynii, ale zaczekamy na więcej szczegółów.

Pracuję pełną parą jak szalony przed wylotem do Wilhelmshaven, gdzie przeprowadziłem inspekcję zniszczeń po nalocie. Zaczęliśmy odbudowywać miasto, wykorzystując zniszczenia jako pretekst do pozbycia się wielu przestarzałych budynków oraz usunięcia niepożądanych osób, które w nich zamieszkują. Powrót samolotem do Hamburga, a potem pociągiem do Berlina.

Poproszono mnie o zajęcie się sprawami Betznera i dwóch innych „poetów” skazanych na kary więzienia za niewłaściwą działalność. To wszystko świnie, które zasługują na wyższe wyroki, niż sąd był w stanie im wymierzyć. Polecilem zbadać ich pochodzenie. Na takie szumowiny zawsze coś się znajdzie.

Wieczorem do mojego gabinetu przyszedł Haushofer. Twierdzi, że w Stanach Zjednoczonych aż huczy od plotek o pokoju, ale te

najwyraźniej nie pochodzą od nas, tylko z Londynu. Hess głosi, że stronnictwo pokojowe w Wielkiej Brytanii staje się faktem. Tymczasem Roosevelt pozwala sobie na obraźliwe komentarze, jakoby pragnienie pokoju w Rzeszy nie było szczere. Oto, z jakimi prostakami musimy sobie radzić.

4 kwietnia 1941 (piątek)

Wczoraj: Po naszych kolejnych sukcesach, w Anglii zapanowało wielkie przygnębienie. Jednego dnia zatopiliśmy dwadzieścia tysięcy ton ich okrętów. Nowe zwycięstwa na pustyni; Brytyjczycy są w pełnym odwrocie i poddają się na wszystkich frontach. Gdzie będziemy przetrzymywać dodatkowych jeńców? Żadnych ataków z powietrza. Dalej miażdżymy angielskie miasta. Połowa mieszkańców Plymouth jest bezdomna, a pozostali żyją w skrajnej nędzy i błagają o kapitulację.

W ciągu dnia jestem tak zajęty, że wcale nie jem; za dużo z tym zachodu. Stale mam gości. Jednym z nich był Speer, który najwyraźniej chciał jakoś zabić czas, ponieważ nie ma nic do roboty, póki jesteśmy w Bułgarii. Speer to snob i pozer; uważa się za jedyną osobę, której ufa Führer. Przypominam mu, że nie mamy teraz czasu odbudowywać Berlina.

Speer wspomina między innymi, że Führer gorzko żałuje naszej wojny z Anglią. Nazywa Anglię naszym naturalnym sojusznikiem. Słyszałem to tak wiele razy, że niemal jestem gotów w to uwierzyć. Opowiadam Speerowi, co robimy każdej nocy, żeby nasi angielscy przyjaciele nie zmrużyli oka. Dajemy im lekcję za pomocą naszych bombowców i podkopujemy perspektywę wsparcia ze strony Amerykanów. Nic tak nie przeraża Roosevelta jak myśl, że dogadamy się z Anglikami, dlatego jednocześnie gnębimy Brytyjczyków i pomagamy Amerykanom trzymać się z daleka.

Brytyjski ambasador w Moskwie rozmawiał ze Stalinem. Nasze źródła twierdzą, że spotkanie trwało dłużej niż zwykle i wyglądało

na poważne. Zapewne już wiedzą, co planujemy! Napisałem do Führera notkę w tej sprawie i dla bezpieczeństwa ją podpisałem oraz oznaczyłem datą, ale na razie nie będę go nią kłopotał.

7 kwietnia 1941 (poniedziałek)

Wczoraj: Belgrad został całkowicie zniszczony, kiedy ich zaatakowaliśmy. Rosjanie błagają nas o pokój: to rozumiem! Stany Zjednoczone, zgodnie z przewidywaniami, narzekają. Czterdzieści tysięcy ton okrętów poszło na dno. W nocy kolejne sukcesy nad Anglią – jak długo wytrzymają conočne ucieczki z łóżek przed naszymi bombami? Żadnych ataków powietrznych ze strony RAF-u. Włosi nie radzą sobie w Abisynii, ale oni wszyscy są zafajdanymi tchórzami i mogą się wypchać.

Szalony, ale fascynujący dzień. Piszemy historię Belgradu dla prasy. Podkreślamy, że to jeszcze nie koniec, czekają nas ciężkie czasy, ale nasze działania będą błyskawiczne i zdecydowane. Führer otrzymał wiadomość: chce wiedzieć, czy jesteśmy gotowi, żeby w przyszłym miesiącu postawić na swoim. Sądzę, że ma na myśli to, czy Anglicy zaakceptują nasz punkt widzenia. Odpowiadam mu, że tak.

Zakazałem tańczenia w miejscach publicznych. Nieodpowiednie zachowania w czasie wojny należy kontrolować. Wezwałem dziennikarzy z amerykańskich gazet i poinformowałem ich, że chodzi o kwestie bezpieczeństwa, ryzyko związane z atakami powietrznymi.

Wieczorem: Odwiedził mnie Hess. Rzadko wpada z wizytą. To pedał i słabeusz! Niedługo wybiera się w kolejną podróż do Lizbony i chociaż sam już podjął decyzję, to chciałby poznać moje zdanie. Oczywiście chodzi mu o to, co o tym sądzi Führer. A to oznacza, że obawia się, czy Führer pozwoli mu jechać, gdy się dowie. Uspokoilem Hessa, ale jego akcje ostatnio spadły. Jeśli mu się nie uda, powiem wszystkim, że jest obłąkany, ponieważ większość ludzi i tak go za takiego uważa.

Chwalebny dzień dla Rzeszy!

21 kwietnia 1941 (poniedziałek)

Wczoraj: Urodziny Führera. Hess przed tygodniem wrócił ze swojej wyprawy do Lizbony, ale o niej nie wspomina. Dlatego zleciłem mu wygłoszenie radiowego hołdu dla Führera, gdyż nikt inny nie chciał się tego podjąć. Spodziewałem się, że odejdzie od skryptu, który dla niego napisałem, ale odczytał każde słowo. Nie ma w nim ani krztyny oryginalności.

Żadnych ataków z powietrza na nasze terytorium, ale posłaliśmy 800 samolotów na Londyn. Brytyjczycy tracą morale. Nawet wniosłe słowa Churchilla nie są w stanie ich podtrzymać. Na tym nie poprzestaniemy. Dobre wieści z innych frontów: Libii, Serbii, Grecji, nawet Włosi trzymają się w Abisynii. Führer powiedział mi w zeszłym tygodniu, że nie chce ponownie posyłać oddziałów na pomoc Mussoliniemu. Nasz triumf na Bałkanach już wystarczająco opóźnił nasz główny plan. Kiedy oczyścimy Grecję z Anglików, będziemy mogli się skupić na prawdziwej wojnie.

Obywatele za rzadko słuchają radia. To może zagrażać ich morale. Kto wie, co będą zamiast tego robili? Wprowadziłem nowe przepisy i zachęty.

Wieczorem: Kolejna wizyta „Fräulein” Hess. Wyraźnie zżerają go nerwy, ponieważ obawia się, że Führer dowie się o jego działaniach. Zapewniam go, że nie musi się martwić, a Führer całkowicie go popiera. Hess to lizus! Po raz pierwszy próbuje działać bez wiedzy Führera. To dla niego świetna lekcja. Boi się, że za mocno i za celnie uderzamy w Brytyjczyków, przez co nie będą chcieli rozmawiać o pokoju. Przekonuję go, że się myli, ponieważ to ważne, żeby wyruszył w swoją podróż, chociaż z innych powodów, niż mu się wydaje.

10 maja 1941 (sobota)

Wczoraj: Potężne bombardowanie Mannheim, wiele zniszczeń

i ofiar. W odwecie posłaliśmy do Anglii 200 samolotów, więc nie mają się z czego cieszyć. Docierają do nas wieści o straszliwych zniszczeniach w porcie w Hull, gorszych niż to, co oni nam uczynili. Dwadzieścia tysięcy ton okrętów posłane na dno przez nasze U-Booty.

Moskwa wycofała się z uznawania niektórych terenów, które okupujemy. Wygląda na to, że czymś się martwią. Stalin zamierza jak najdłużej nie angażować się w wojnę, żeby Anglia i Niemcy jak najbardziej się wyniszczyły. Potem podejmie próbę bolszewizacji Europy. Przynajmniej tak uważają Rosjanie, ale wtedy już będzie za późno. Wkrótce zwrócimy się na wschód. Dwa jednocześnie zadane ciosy ich pognębią. Pokój na jednym froncie, a wojna na drugim, oba całkowicie niespodziewane. Niebezpiecznie jest w tak wielu sprawach polegać na tym lizusie Hessie.

Kronika filmowa z tego tygodnia to jedno z naszych najbardziej udanych dzieł. Natychmiast ją autoryzuję i wysyłam egzemplarz bezpośrednio do Führera do Berghofu. Dzięki niej na nowo uwierzyłem w naszą sprawę.

Po kolacji odszukał mnie Göring. Jest jeszcze tłustszy niż kiedyś i ma trudności z oddychaniem; podczas całej wizyty nie zdjął swojej absurdalnej czapki. Chciał się dowiedzieć, co wiem o Hessie, więc przekazałem mu kilka informacji. Pokazał mi plan lotu przygotowany przez Hessa i zaproponował, że Luftwaffe się nim zajmie, jeśli Führer tak rozkaże. Bardzo kuszące. Zastanawiam się, czy Führer stoi za tym wszystkim. Hess jest jego faworytem, ale wszyscy uważają go za szaleńca. Jak inaczej Führer zakończy wojnę z Anglią, jeśli Hess zostanie powstrzymany?

11 maja 1941 (niedziela)

Wczoraj: Na ten dzień Führer zaplanował kolejne potężne uderzenie. 10 maja minął rok od rozpoczęcia ofensywy na zachodzie, a skłonność Führera do teatralności wymagała,

żebyśmy dla równowagi wykonali ruch na wschodzie. Nic z tego! Generałowie, którzy powinni wykonywać nasze zadania, to mazgaje! Twierdzą, że posłaliśmy zbyt wielu ludzi na Balkany, ale jak mogą narzekać, skoro Anglicy zostali wyrzuceni z Grecji? Usiłuję się dowiedzieć, na kiedy wyznaczono nową datę ataku, ale najwyraźniej nikt jej nie zna.

Potężny nalot na Hamburg wczesnym rankiem, ale brytyjskich lotników jak zwykle odstraszył zmasowany ogień naszych dział przeciwlotniczych. Większość bomb spadła do rzeki, a z pozostałych tylko niektóre wybuchły. Jakby chcąc wynagrodzić sobie to niepowodzenie, Anglicy wysłali nędną drugą falę bombowców, która zrzuciła ładunki zapalające na Berlin. Niewielkie zniszczenia i dużo bezcelowej irytacji. Tymczasem posłaliśmy ponad siedemset samolotów, żeby zadały ostateczny cios Londynowi. Jeszcze za wcześnie na potwierdzenie, ale piloci donoszą, że Londyn płonął od jednego końca do drugiego.

Nasze krótkofalowe transmisje do Stanów Zjednoczonych wymagają ulepszenia, dlatego osobiście się tym zajmę. Nie ma sensu tracić czasu. Roosevelt zagraża naszym planom, ponieważ otrzymuje zbyt mało informacji i zbyt ulega wpływom Churchilla. Chwycimy go za gardło i potrząśniemy, aż się rozpadnie. Niewielu Amerykanów zdaje sobie sprawę, że Roosevelt to kaleka.

Zabroniłem wspominać o Związku Radzieckim w naszej prasie. Tylko chwilowo. Przynajmniej wytrącimy z równowagi szpiegów Stalina.

Hess zniknął, zgodnie z oczekiwaniami. Wystartował z fabryki Messerschmitta w Augsburgu, rzekomo w celu odbycia próbnego lotu, a następnie oddalił się na północ. Wziął paliwo w Holandii i wyleciał nad morze. Ku mojemu zaskoczeniu trzymał się planu lotu, który mi pokazał, zatem wszyscy dokładnie wiedzieli, gdzie się znajduje. Oczywiście to szalenie i piekielnie trudno utrzymać go z daleka od amerykańskich dziennikarzy. Teraz już nie trzeba ukrywać, że Führer od pewnego czasu się nim niepokoił. Kiedy Hess zniknie, łatwiej będzie wszystkich

przekonać, że był niezrównoważony. Taką przyjmujemy strategię działania, jeśli wszystko się popsuje, co jest nieuniknione. Kiedy miałem pewność, że Hess się zbliża, w odpowiedniej chwili powiadomiłem marszałka Rzeszy Göringa. Luftwaffe niewątpliwie już sobie poradziła z tym biedakiem, który w niezrównany sposób przysłużył się partii. To prawdziwy bohater narodowych socjalistów! Zajmę się tą sprawą, gdy tylko poznamy reakcję Anglików. Potem będziemy mogli dalej prowadzić wojnę. Chciałbym zobaczyć miny Roosevelta i Stalina, gdy dowiedzą się o Hessie.

Jeżeli Göringowi nie uda się rozprawić z Hessem, ponownie złożę na niego skargę do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Nie przyniesie to żadnego wymiernego skutku, ale Goring nienawidzi Ribbentropa równie mocno jak ja, a kolejna sprzeczka odwróci ich uwagę od innych kwestii.

Wieczorem jadę do Lanke, żeby spotkać się z Magdą i dziećmi oraz wreszcie wcześniej położyć się spać. Wszyscy wokół mnie są w wyśmienitych nastrojach. Wyczuwamy, że lada chwila wreszcie rozpocznie się prawdziwa wojna.

Z odręcznych notatek J.L. Sawyera:**XVII**

Powiedziałem Birgit, że ponownie zostałem wezwany do pracy przez Czerwony Krzyż i niedługo wrócę. O nic nie pytała ani nie narzekała. Oboje wiedzieliśmy, że muszę na jakiś czas wyrwać się z domu.

Pojechałem do Lincolnshire, co w czasach pokoju zajęłoby mi zaledwie kilka godzin. Teraz obywatelom nie wolno korzystać z własnych samochodów, więc pozostał mi publiczny transport.

Powolna podróż pociągiem, który zatrzymywał się na wszystkich stacjach i wielokrotnie stawał z niewiadomego powodu, trwała prawie półtorej doby, łącznie z nocą spędzoną w ponurej poczekalni dworca w Nottingham, gdy nie zdążyłem się przesiąść na kolejny pociąg. Byłem wyczerpany, kiedy wreszcie dotarłem do Barnham, miasteczka położonego najbliżej bazy RAF-u, w której stacjonował mój brat. Szczęśliwie znalazłem wolny pokój nad barem w jednym z pubów przy głównej ulicy i od razu położyłem się spać.

Byłem bardzo zmęczony, więc zakładałem, że spokojnie prześpię noc, ale gdy tylko się położyłem, obudził mnie odgłos silników.

Maszyny leciały nisko nad centrum miasteczka, a ich silniki pracowały na najwyższych obrotach. Sądziłem, że przywykłem do ryku samolotów, zarówno wrogich, jak i sojuszniczych, bliskich i dalekich, jednakże te dźwięki były całkowicie odmienne. Fale ogłuszającego hałasu biły w śpiące miasteczko.

Kiedy ustąpiła chwilowa panika wywołana gwałtowną pobudką,

zrozumiałem, co się dzieje. Samoloty zapewne wystartowały z lokalnego lotniska. Rozbudziłem się w ciągu kilku sekund, niezdarnie dopadłem do okna, otworzyłem je na oścież, wychyliłem się i popatrzyłem w górę.

Maszyny, potężne dwusilnikowe bombowce, w których rozpoznałem wellingtony, leciały nisko nad dachami. Widziałem ich mroczne sylwetki na tle słabego blasku księżyca rozświetlającego chmury. Odgłos silników nie ograniczał się do donośnego ryku: to był fizyczny wstrząs, który dotykał nie tylko ścian i okien budynku, ale wybijał wyczuwalny rytm w mojej głowie i klatce piersiowej. Rozkoszowałem się niekończącymi się pogłosami, druzgocącym i porywającym poruszeniem. Chłonałem dźwięki jak człowiek doświadczający ulewy po miesiącu spędzonym na pustyni. Byłem zarazem przerażony i zafascynowany. Wrażenie było tak silne i przytłaczające, że nie sposób było go zrozumieć, dopóki nie dzieliło się go z innymi. Jednakże nagle z zaskoczeniem zdałem sobie sprawę, że najwyraźniej jestem sam. Na zaciemnionych ulicach nie było samochodów ani przechodniów wracających do domu, nikt poza mną nie stał w mrocznym oknie i nie wpatrywał się w niebo.

Wtedy zrozumiałem: to nie jest prawdziwe.

Przeniknęła mnie groza, znajomy chorobliwy lęk, że już nie mogę ufać własnym zmysłom. Ponownie powróciłem z tego, co uważałem za sen, do tego, co uważałem za rzeczywistość, a co tak naprawdę było wyrazistą wizją.

Mogłem przed tym uciekać jak poprzednio, pozwolić, żeby groza ogarnęła mnie i porwała, i w ten sposób rozbudziła i wyrwała z halucynacji. Ale tym razem postanowiłem zostać i w pełni doświadczyć iluzji.

Dalej stałem przy oknie, podczas gdy kolejne fale bombowców startowały nad miasteczkiem, przelatując nisko nad dachami. Usiłowałem liczyć samoloty: pięćdziesiąt, sto, dwieście, trzysta, coraz więcej, z rykiem zanurzające się w mściwej nocy.

Cieszyłem się nierzeczywistością tej sceny, tonąc w zalewającej mnie cudownej surowej kakofonii potężnych silników.

XVIII

Barnham to targowe miasteczko na zachód od płaskowyżu Lincolnshire, zbudowane z bladoczerwonych cegieł i dachówek. Tamtego ranka wiał silny wiatr, a niebo zasnuwały nisko wiszące ołowiane chmury. W głębi miasteczka, obok dworca kolejowego, znajdowały się zagrody dla bydła, w których urządzano cotygodniowe targi żywego inwentarza. W wąskich uliczkach w środku miasteczka dominowała zabudowa tarasowa, a domy stały tyłem do siebie, ale tam, gdzie miasteczko zaczynało przechodzić w wieś, nie brakowało większych, bardziej okazałych posiadłości. Mijałem je, idąc główną drogą w kierunku Louth, ale wkrótce otoczył mnie nieciekawy rolniczy krajobraz naznaczony drzewami i żywopłotami, lecz pozbawiony innych godnych uwagi widoków. Rozglądałem się na wszystkie strony, wiedząc, że w bezpośredniej bliskości miasteczka znajdują się dwie bazy RAF-u, nie widziałem jednak niczego, co mogłoby wskazywać na ich obecność: ani wieży ciśnień, ani hangarów, ani rękawa lotniskowego. Zawróciłem.

Chwilę później ponownie szedłem główną ulicą przez centrum miasteczka, obok pubu, w którym przenocowałem. Podniosłem wzrok na okno, w którym stałem w ciemności w swojej wizji. Z poziomu ulicy wydawało się mniejsze, jakby nawet po otwarciu go na oścież dorosły człowiek nie mógł się przez nie wychylić. Po obu stronach ulicy otwierały się znajome sklepy, a ludzie zajmowali się swoimi przyziemnymi obowiązkami, robiąc zakupy i dostarczając towary do innych części miasteczka. To miejsce przypominało Macclesfield, tylko brakowało w nim ciekawych widoków Penninów.

Wiedziałem, że mój brat stacjonuje w bazie RAF-u Tealby Moor, niedaleko wioski o tej samej nazwie, ale w poprzednim roku w całej Wielkiej Brytanii usunięto wszystkie drogowskazy. Nie chciałem pytać o drogę: odkąd wojna rozpętała się na dobre, większość ludzi nieufnie traktowała nieznanomych.

Znalazłem kawiarnię i przy herbacie oraz słodkich ciastkach zastanawiałem się, co dalej robić. Kiedy tak siedziałem, zobaczyłem lotników, którzy szli główną ulicą, w małych grupkach, parach, a niektórzy pojedynczo. Pomyślałem, że może być wśród nich Jack, więc szybko dopiłem herbatę i wyszedłem.

Jacka nie było. Grupa składała się z oficerów i szeregowych żołnierzy RAF-u, którzy po służbie najwyraźniej nie zwracali uwagi na różnice rang. Zaimponował mi ich swobodny styl bycia, a także urywki lotniczego żargonu, które usłyszałem, gdy mnie mijali. Kilku z nich dziwnie na mnie popatrzyło.

Na zachodnim krańcu ulicy znajdował się rozległy, płaski teren, częściowo parking, a częściowo zajezdnia autobusowa. Obok publicznego szaletu stał pomalowany na kremowo jednopoziomowy autobus. Młody mężczyzna w mundurze RAF-u i czapce siedział za kierownicą i czytał poranną gazetę.

Podszedłem wolnym krokiem, starając się sprawiać jak najbardziej swobodne wrażenie. Lotnik złożył gazetę i popatrzył na mnie bez zainteresowania.

– Dzień dobry – powiedziałem. – To autobus z Tealby, prawda?

– Tak.

– Bardzo dziękuję.

Wycofałem się na drugą stronę ulicy, gdzie znajdował się niewielki park. Ciężkie chmury rozwiewały się na wschodzie i wkrótce mogłem się cieszyć wiosennym słońcem. Kręcąc się po okolicy, nie spuszczałem wzroku z czekającego autobusu. Mniej więcej za kwadrans jedenasta lotnicy zaczęli schodzić się do pojazdu i hałaśliwie wsiadać, żeby w środku zaczekać na swoich kolegów. Sześciuosobowa grupka kopała piłkę na zapyłonym placu. Gdy autobus się wypełnił, kierowca uruchomił silnik, wyjechał z parkingu i ruszył na zachód.

Szybko podszedłem do ulicy i popatrzyłem w ślad za odjeżdżającym autobusem. Ten po mniej więcej pół mili nagle zwolnił i skręcił w lewo.

XIX

Baza RAF-u Tealby Moor znajdowała się w odległości około dwóch mil od Barnham. To był długi spacer, ale jakoś dałem radę. Dotarłem do celu wczesnym południem, odkrywając, że droga, którą jechał autobus, doprowadziła mnie do stróżówki przy głównej bramie. Baza mieściła się na rolniczym terenie obok wioski, od której zaczerpnęła nazwę. W okolicy nie było żadnych innych zabudowań. Nie miałem wątpliwości, że każdy cywil kręcący się przed wejściem zostanie zatrzymany, dlatego opuściłem głowę, schowałem dłonie w kieszeniach i minąłem bramę.

Droga wiodła wzdłuż ogrodzenia. Kiedy oddaliłem się od głównego skupiska budynków administracyjnych i hangarów, zauważyłem, że ogrodzenie ustąpiło miejsca podwójnemu splotowi drutu kolczastego, który zapewniał tylko symboliczną ochronę przez światem zewnętrznym. Dalej zobaczyłem liczne samoloty, które rozstawiono po całym terenie, żeby stanowiły bardziej rozproszony cel w przypadku ataku powietrznego. To były wellingtony o zaokrąglonych kadłubach i podniesionych nosach, wyposażone w dwa silniki oraz przednie i tylne wieżyczki strzeleckie. Większość maszyn była serwisowana albo naprawiana przez obsługę naziemną. Obok samolotów ustawiono pomocnicze generatory i drabiny, a ludzie stali albo siedzieli na skrzydłach obok otwartych gondoli silników.

Kiedy ich mijalem, nikt z bazy nie zwrócił na mnie uwagi.

W końcu droga oddaliła się od ogrodzenia i odbiła w lewo w dół łagodnego zbocza, które prowadziło do mostku na wąskiej rzece. W oddali dostrzegłem iglicę wiejskiego kościoła. Ogrodzenie ostro zakreślało w prawo, przecinając pola. Z miejsca, w którym stałem, widziałem szeroką płytę postojową kończącą główny pas, na której samolot mógł zawrócić, a także kilka instalacji sygnałowych, dwa domki, przyczepę kempingową i długi, prosty betonowy pas startowy.

Stojąc na drodze, usłyszałem odgłos silnika i zobaczyłem niewielką ciężarówkę RAF-u jadącą w moją stronę wzdłuż wewnętrznej strony ogrodzenia. Obok kierowcy siedział oficer, a na odkrytej platformie z tyłu stało niepewnie kilku żołnierzy. Schowałem dłonie w kieszeniach płaszcza i ruszyłem drogą w kierunku głównej bramy, udając zatopionego w myślach. Ludzie z ciężarówki najwyraźniej się mną nie zainteresowali, ale oficer przez chwilę na mnie patrzył.

Gdy pojazd zniknął mi z oczu, zawróciłem i znalazłem wąską ścieżkę prowadzącą wzdłuż ogrodzenia. Na wysokości płyty postojowej na końcu pasa startowego, gdzie ogrodzenie zawracało w stronę głównej części bazy, rosła kępa drzew. Wspiąłem się na stary przełaz i wszedłem między drzewa. Wkrótce dotarłem do miejsca, z którego wyraźnie widziałem koniec pasa, ale w którym sam pozostawałem niewidoczny.

Stałem tam przez godzinę albo dłużej, co wynagrodził mi widok bombowców, które po południu zatoczyły kilka próbnych kręgów nisko nad lotniskiem. Gdy piloci otwierali przepustnice, a śmigła wchodziły na najwyższe obroty przed startem, towarzyszący temu ryk przyprawiał mnie o ciarki na plecach. Znajdowałem się wystarczająco blisko, żeby widzieć pilotów, ale ze względu na ich grube kurtki i kaski nie byłem w stanie stwierdzić, czy jest wśród nich Jack.

Około czwartej po południu zaczęły mi dokuczać zimno, głód i pragnienie. Zamierzałem jak najdłużej pozostać w pobliżu bazy, ale niezbyt dobrze to zaplanowałem. W końcu wyszedłem spod drzew i rozpocząłem długą wędrówkę powrotną do miasteczka.

Następnego dnia rano i przez większość popołudnia starałem się jakoś zabić czas w miasteczku. Po lunchu zadzwoniłem do bazy i poprosiłem o rozmowę z Jackiem. Nie było go, więc zostawiłem wiadomość, że zatrzymałem się w White Hart w Barnham i chciałbym, żeby się ze mną skontaktował. Kiedy powiedziałem, że jestem bratem Jacka, oficer, z którym się połączyłem, nieco złagodniał i zapewnił mnie, że przekaże

wiadomość, ale dodał, że kapitan Sawyer spędzi jeszcze kilka dni w rezerwie.

W ramach przygotowań do drugiej wyprawy kupiłem w pubie kilka kanapek i dużą butlę lemoniady oraz ciepło się ubrałem.

Był już wieczór, gdy minąłem główną bramę. Na zachodzie chmury się rozwiewały, ukazując złoty zachód słońca. Dojście do kępy drzew na końcu lotniska zajęło mi kolejne dwadzieścia minut. Jeszcze nie zrobiło się ciemno, wokół panował spokojny, srebrzysty półmrok. Przedzierałem się przez niewielki las, zmierzając do miejsca, które znalazłem poprzedniego dnia.

Gdy już dotarłem do celu, zdałem sobie sprawę, że za chwilę rozpocznie się jakiś nalot. W jednym z niewielkich budynków blisko końca pasa startowego lśniły słabe światła. Wokół stało kilka pojazdów, w tym także wóz strażacki.

Czekałem na siedząco, opierając się plecami o pień drzewa. Zjadłem kanapki i wypilem lemoniadę, bacznie wypatrując oznak jakiegokolwiek działalności. Gdy rozboleły mnie plecy, wstałem i rozprostowałem nogi oraz ręce, starając się pozbyć ogarniającego mnie zeszywnienia. W końcu coś zaczęło się dziać. Dwie osoby powoli przejechały bocznym pasem startowym na motocyklach, oparły je o ścianę domku i weszły do środka. Kilka minut później gdzieś w głównej części bazy zawarczały uruchamiane silniki samolotu. Po chwili rozległ się drugi taki odgłos, potem następny i kolejne. Czerwone i zielone światła sygnalizacyjne zamigotały wzdłuż pasa, na chwilę rozbłyły, po czym zgasły. Usłyszałem dzwonek telefonu.

Hałas silników przybrał na sile i po kilku chwilach zobaczyłem pierwszy bombowiec, który powoli kołował po bocznym pasie, kierując się w stronę placu do zawracania. Zbliżał się niespiesznie, a jego skrzydła kołysały się w górę i w dół, gdy podskakiwał na nierównej nawierzchni. Przejechał niedaleko mnie, skręcając w stronę głównego pasa, po czym się zatrzymał. Uderzył we mnie strumień powietrza od śmigieł, naznaczony wonią benzyny.

Drugi bombowiec już włókł się bocznym pasem, a za nim

podążał kolejny. Po drugiej stronie bazy widziałem następne kołujące maszyny. Huk silników się wzmagał. Najbliższy samolot nagle głośniejszym ryknął, a powietrze uderzyło we mnie z nową siłą. Maszyna dotoczyła się do krańca drogi startowej, gładko zawróciła i ruszyła długim betonowym pasem. Początkowo poruszała się tak wolno, że bez trudu mógłby ją wyprzedzić biegnący człowiek, stopniowo jednak ciężki bombowiec zaczął nabierać prędkości. Przed nim lśniły zielone światła sygnalizacyjne..

Drugi wellington już nadjeżdżał z przeciwległego końca pasa. Sygnały na chwilę zmieniły kolor na czerwony, a potem znów zapłonęły zielenią. Samolot sunął z rykiem naprzód, powolny, ale pełen mocy.

Za nim pozycję zajmował kolejny bombowiec.

Naliczyłem dwadzieścia dwa samoloty. Cała procedura startu, od pierwszej do ostatniej maszyny, trwała niecałe piętnaście minut. Kiedy ostatni wellington wzbił się w ciemniejące niebo, w bazie zapadła cisza.

Przedarłem się między drzewami i ruszyłem w długą drogę powrotną do tawerny.

XX

Przez kolejne trzy dni spacerowałem wiejskimi drogami do bazy, próbując się zorientować, co tam się dzieje, i czując, że w jakiś sposób w tym uczestniczę. Widok ciężkich samolotów powoli wzbijających się w niebo za każdym razem przyprawiał mnie o dreszcze.

Wczesnym rankiem czwartego dnia właściciel White Hart obudził mnie i poinformował urażonym tonem, że ktoś do mnie dzwoni. Wciąż otumaniony snem, zszedłem za nim do małej kabiny telefonicznej na tyłach baru. Dzwonił Jack.

Stwierdził, że zaskoczyła go moja obecność w Barnham, tak blisko bazy lotniczej, ale nie zadawał mi żadnych pytań przez telefon, tylko zaproponował jak najszybsze spotkanie.

Powiedział, że wkrótce wyjdzie na czterdziestoosmiodzinną przepustkę i już nie może się doczekać, kiedy się zobaczymy.

Ponownie powędrowałem przez płaskie pola Lincolnshire i tuż przed dziesiątą znalazłem się przed bramą bazy. Jack już na mnie czekał. Stał na drodze przed głównym wejściem, palił papierosa i trzymał pod pachą złożoną gazetę. Wyglądał jak wyidealizowany pilot RAF-u, jakiego czasami widuje się w gazetach lub kronikach filmowych: młody, pełen wigoru, beztroski, zwalczający Hunów z odwagą, humorem i niezachwianym poczuciem brytyjskiej uczciwości. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio się widzieliśmy, ale gdy tylko go ujrzałem, poczułem znajomy przyptyw dawnych uczuć: miłości, zazdrości, żalu, podziwu, irytacji. Wciąż był moim bratem.

Kiedy do niego podeszedłem, zauważyłem, że nie jest w dobrym humorze.

– Co ty tutaj robisz, do licha? – spytał od razu, bez żadnego przywitania ani ciepłego słowa, jakby od naszego ostatniego spotkania wcale nie minął rok z okładem. – To nie jest miejsce dla cywilów. Kilka patroli widziało, jak się kręcisz przy ogrodzeniu. Ludzi to drażni. Nie zatrzymano cię tylko dzięki mojej interwencji.

– JL, to ja – odrzekłem. – Nawet się nie przywitasz?

– Dlaczego nie zapowiedziałeś, że przyjedziesz?

– Nie robię nic złego. Próbowałem się z tobą skontaktować.

– Czajenie się w lesie na końcu pasa startowego to nie najlepszy sposób. Dlaczego wcześniej do mnie nie napisałeś?

– Działalem pod wpływem impulsu. Muszę z tobą porozmawiać.

– Nie mogłeś tego napisać w liście?

– Nie, to zbyt... drażliwe. Gdyby otworzył go ktoś inny...

Zobaczyłem ulotną zmianę na obliczu Jacka: jakby chciał czegoś uniknąć i czuł się winny. Bawił się trzymanym papierosem.

– Czy przypadkiem chodzi o Birgit? – odezwał się w końcu.

Jego pytanie mnie zaskoczyło.

– Birgit?

– Dziecko niedługo ma się urodzić. Chyba nic złego się nie stało?

– Nie, nie chodzi o Birgit. Dlaczego tak pomyślałeś?

– Czy jest jakiś problem?

– Wszystko jest w porządku. Dziecko urodzi się za co najmniej pięć tygodni. Pod koniec przyszłego miesiąca.

– Zostawiłeś Birgit samą w domu? W ostatnich tygodniach ciąży? Jak mogłeś to zrobić?

– Podejrzewam, że na mojej twarzy również zagościło poczucie winy.

– Posłuchaj, JL, Birgit czuje się dobrze – Wbrew sobie zacząłem się tłumaczyć. – To zdrowa dziewczyna, a nasi sąsiedzi opiekują się nią podczas mojej nieobecności. Nie zostawiłbym jej, gdyby coś jej groziło. Zresztą jutro wracam do domu.

– Więc jeśli nie chodzi o Birgit, to jakie ważne wieści nie mogły poczekać?

– Czy możemy znaleźć jakieś mniej publiczne miejsce?

– Staliśmy kilka jardów od stróżówki przy wejściu do bazy. Widziało nas kilku lotników, a co najmniej dwóch albo trzech z nich znajdowało się w zasięgu słuchu. Ruchem głowy usiłowałem dać Jackowi do zrozumienia, że chcę się trochę odsunąć, ale on uparcie tkwił w miejscu.

– Podeszedłem do niego, wyczuwając opór.

– Ryzykuję, przychodząc z tym do ciebie, JL – odezwałem się cicho. – To najbardziej tajna informacja, jaką można sobie wyobrazić. Otóż wiem, że wojna niedługo się skończy. Może za tydzień albo dwa. Dojdzie do zawieszenia broni.

Jack roześmiał się sardonicznie, dopalił papierosa, zaciągnął się dymem i cisnął żarzący się niedopałek do kałuży.

– Przyjechałeś z tak daleka, żeby mi to powiedzieć?

– To szczerza prawda.

– Podobnie jak inne podobne plotki, które pojawiają się co tydzień.

– JL, to nie jest plotka. Wiem, o czym mówię.

- Nie wierzę.
- Ale to prawda!
- Do zawieszenia broni nigdy nie dojdzie – odparł. – Nawet jeśli to nie plotka. Nawet jeśli są ludzie, którzy tego pragną. Wojny nie kończą się nagle tylko dlatego, że ktoś tak postanowi. Toczą się, dopóki jedna ze stron nie zwycięży.
- Ostatnia wojna zakończyła się rozejmem.
- To co innego. Tak naprawdę Niemcy się poddali. Teraz nikt nie zacznie negocjować warunków zawarcia pokoju, ani po naszej, ani po ich stronie. Wojna wreszcie zaczyna się toczyć po naszej myśli i zbytnio się w nią zaangażowaliśmy. Już nie ma odwrotu, musimy to doprowadzić do końca.
- Mówisz jak Churchill.
- Możliwe. Czy to on dąży do pokoju?
- Oczywiście, że nie – odparłem, zdając sobie sprawę, jak wiele tajnych informacji pochopnie ujawniam. – Ale to prawda, przysięgam. Już powiedziałem za dużo, ale Hitler z różnych powodów chce wynegocjować zawieszenie broni z Wielką Brytanią. Najwyraźniej w Niemczech coś się zmieni, chociaż nie wiem, co to będzie. Tak czy inaczej, Hitler chce zawrzeć odrębny pokój z Wielką Brytanią.
- Skoro już wspomniałeś o Churchillu, to on nigdy na to nie przystanie.
- Churchill już prowadzi rozmowy.
- Rozmowy? Churchill rozmawia z Hitlerem?
- Prowadzi tajne negocjacje pokojowe za pomocą pośredników. Właśnie dlatego, mówiąc ci o tym, tak wiele ryzykuję. Już zdradziłem więcej niż powinienem.
- Potrafię dotrzymać tajemnicy, Joe. Nawet jeśli Churchill oszalał i zapragnął negocjacji, to kraj mu na to nie pozwoli. Nie teraz, nie po Dunkierce, nie po Blitzu, nie po pozostałych ofiarach.
- Tak się stanie, niezależnie od tego, co powiesz.
- A tak w ogóle, to skąd o tym wiesz?
- Oczywiście nie mogę ci tego powiedzieć. Jestem tylko

marginalnie zaangażowany, ale wiem, o czym mówię. To prawda. Dojdzie do rozejmu, i to wkrótce. Być może nawet w przyszłym tygodniu.

Podczas rozmowy zgodnie odwróciliśmy się plecami do bramy i powoli ruszyliśmy wzdłuż trawiastego pobocza. JL poczęstował mnie papierosem i obaj zapaliliśmy. Poczulem niespodziewany przyływ emocji związanych z odzyskaniem brata bliźniaka, a przynajmniej z dzieleniem takich drobnych przyjemności jak wspólny spacer czy palenie.

– No dobrze, założmy przez chwilę, że to prawda – odezwał się Jack. – Po cóż mi ta wiedza?

– Musisz się wycofać z czynnej służby, JL. Natychmiast. Nie mógłbyś się zgłosić do jakiejś pracy na ziemi? Za każdym razem, gdy uczestniczysz w nalocie, narażasz się na niebezpieczeństwo. Nie ma sensu teraz ginąć.

– Wielu z nas uważa, że nigdy nie ma sensu ginąć.

– Dlaczego nie traktujesz mnie poważnie?

Jack pokręcił głową.

– Może zależy ci na tym, ponieważ rzeczywiście masz wyjątkowe informacje. Może po prostu ci na tym zależy. A może tylko tak ci się wydaje. – Poczulem ukłucie rozdrażnienia, co zapewne ujawniło się na mojej twarzy. Jack kontynuował, najwyraźniej widząc moją reakcję: – No dobrze, Joe, może nawet chciałbym, żeby ci na tym zależało. Ale nie mogę wparować do gabinetu swojego dowódcy i powiedzieć mu, że nie chcę więcej latać. Zabrałby mnie do baru, postawił mi piwo i powiedział, żebym nie przychodził do niego z takimi idiotycznymi pomysłami. Zresztą nie ma sensu nawet o tym dyskutować. Nie chcę rezygnować z latania. Co z moją załogą? Czy mogę im powiedzieć? A co z innymi załogami? Nie mogę opuścić dywizjonu, bo mój brat przekazał mi plotki... no dobrze, informacje dotyczące rychłego końca wojny. Czy mam to zachować w tajemnicy przed resztą? A potem spokojnie patrzeć, jak się narażają? A może chcesz, żebyśmy wszyscy się wycofali?

W tle usłyszałem odgłos samolotowych silników,

przypomnienie wojny niesione wiatrem przez płaski krajobraz.

– JL, po prostu chciałbym, żebyś przez kilka dni się nie narażał. Zobowiązałem się do milczenia w sprawie zawieszenia broni, ale muszę ci o tym powiedzieć, ponieważ jesteś moim bratem! Nie myślałem o tym, jak możesz to załatwić z przełożonymi.

To była moja najdłuższa rozmowa z bratem od lat. Znowu staliśmy nieruchomo, oddaleni od siebie o kilka stóp na trawiastym poboczu wiejskiej drogi. Zaciągaliśmy się papierosami, używając ich jako znaków przestankowych, do podkreślenia swoich słów. Nie patrzyliśmy sobie w oczy, ale byliśmy sobie najbliżsi od czasów dorastania. Starłem się go rozgryźć, przebić się przez skomplikowaną sieć wspomnień, dzieciństwa, obsesyjnego sportowego treningu, naszego poróżnienia, mojego małżeństwa z Birgit, wszystkich wydarzeń, które w niezrozumiały sposób nas rozdzieliły, tematów, których wciąż nie chcieliśmy poruszać, i nierozwiązanych sporów, przez labirynt czujnych reakcji, które rzucały nas w niewłaściwą stronę, skazując na ponowną rozłąkę. Przez chwilę czułem, że wreszcie zdołamy zostawić to wszystko za sobą i znowu staniemy się tylko rodzeństwem, dorosłymi braćmi, których podobieństwo łączy, a nie rozdziela.

Ale wtedy Jack powiedział:

– Nie masz zielonego pojęcia, o co chodzi na wojnie, prawda?

Szansa na uzdrowienie minęła. Obaj podnieśliśmy wzrok, gdy pomalowany na czarno wellington oderwał się z rykiem od pasa startowego i ciężko wzbił w powietrze, zatapiając nas we wściekłym hałasie.

Ocknąłem się pod wpływem wstrząsu. Samolot przelatywał nisko nad pubem, nad centrum miasteczka pogrążonego w ciemności. Od warkotu silnika wibrowały szyby i trzęsły się klepki w podłodze.

Nie byłem w łóżku. Wyszedłem z niego.

Stałem w swoim pokoju w White Hart, ubrany w piżamę, w połowie drogi między łóżkiem a oknem, oparty jedną ręką o

ścianę. Oslepił mnie przeskok z jasnego dziennego światła do mroku nocy, prawdziwego świata, nielogicznej rzeczywistości mojego życia. Jasny miałem tylko umysł.

Pokręciłem głową z frustracją i rozczarowaniem, wciąż czując dzienną obecność mojego brata. Czułem smak tytoniu w ustach i gardle, miałem potrzebę wydmuchnięcia dymu, który wciągnąłem do płuc, obserwując startujący samolot. Całe to palenie i rozmowa, gdzieś w umyśle, gdzieś w nicości.

Usiadłem na krawędzi łóżka, myśląc o Jacku i o naszej rzekomej rozmowie. Oczywiście stanowiła podsumowanie moich własnych działań.

Od czasu do czasu kolejne samoloty przelatywały nisko nad miasteczkiem.

W końcu, zmarznięty i samotny pośród zaciemnionej nocy, świadomy milczącego miasteczka za niewielkim oknem, wczłogałem się z powrotem pod cienkie koce i znieruchomiałem, próbując znów się rozgrzać. Byłem całkowicie rozbudzony, nasycony niechcianymi myślami. Bezustannie usiłowałem uspokoić swój umysł, przewracałem się z boku na bok w wąskim łóżku, szukając wygody. Czas mijał i w końcu najwyraźniej odplynąłem w sen.

Obudził mnie właściciel, który zabębnił w moje drzwi i poinformował mnie urażonym tonem, że ktoś do mnie dzwoni. Stoczyłem się z pośłania, otumaniony snem. Zszedłem do małej kabiny telefonicznej na tyłach baru. Podniosłem słuchawkę. Dzwonił Jack.

Kiedy go słuchałem, jednocześnie rozglądałem się po pustym barze i przywoływałem wspomnienia. Z trudem skupiałem się na słowach Jacka. Myślałem: „To na pewno kolejne wyraziste złudzenie!”.

Jack umilkł, najwyraźniej czekając na moją odpowiedź. Potem powtórzył pytanie: o co mi chodziło, kiedy zostawiłem wiadomość w biurze adiutanta? Z trudem wykrztusiłem: „Muszę się z tobą spotkać, to nie zajmie długo, możesz dzisiaj? Teraz?”.

Sprawił wrażenie zaskoczonego, ale szybko się zgodził na

bezwłoczne spotkanie. Powiedział, że wkrótce wyjdzie na czterdziestoośmiogodzinną przepustkę i już nie może się doczekać, kiedy się zobaczymy.

A zatem ponownie powędrowałem długą drogą wiodącą między płaskimi polami Lincolnshire. Miałem mnóstwo czasu, żeby wszystko dokładnie przemyśleć i sprawdzić autentyczność tego, co się dzieje. Świadomie obserwowałem otoczenie, starając się je ocenić. Patrzyłem na owce pasące się na polach, widziałem żywopłoty wzdłuż drogi, czułem nawierzchnię drogi, słyszałem lekki wiatr w koronach drzew, analizowałem te przyziemne doznania, jakbym szukał błędów. Byłem świadomy siebie samego: temperatury powietrza, drobnego ucisku w jednym z butów, posmaku tłustego, niedogotowanego śniadania, które niechętnie podał mi właściciel pubu, wzbierającego zniecierpliwienia, by wyjaśnić wszystko z Jackiem.

Szedłem dalej, ale już nie napędzała mnie pilna potrzeba spotkania Jacka. Większą uwagę zwracałem na naturę otaczającego mnie świata, stopień jego realności. Byłem pewien, że znalazłem się wewnątrz kolejnej wyrazistej iluzji, ale skoro tak, to po raz pierwszy od samego początku zdawałem sobie z tego sprawę. Chociaż wcześniej doświadczałem klarownych wizji, to jak dotąd nie myślałem klarownie.

Czy to oznaczało, że mój problem znika?

Wędrowałem dalej: droga między żywopłotami, pola, niebo pozbawione blasku, odległy dźwięk samolotowych silników.

Dotarłem do bazy lotniczej wkrótce przed dziesiątą. Zerknąłem na zegarek, żeby się upewnić. Jack już na mnie czekał przed główną bramą. Palił papierosa i trzymał pod pachą złożoną gazetę. Gdy tylko go ujrzałem, poczułem znajomy przypyły dawnych uczuć: miłości, podziwu, zazdrości, żalu, irytacji. Wciąż był moim bratem.

Kiedy się zbliżałem, nie patrzył w moją stronę. W końcu obejrzał się i mnie zobaczył, ale natychmiast odwrócił wzrok i lekko się przygarbił, jakby czegoś się wstydził. Zaciągnął się papierosem, rzucił go na ziemię i zgniótł butem. Nie miałem

wątpliwości, że to oznaka skrępowania i odrzucenia. Miesiące frustracji nagle wezbrały we mnie bez ostrzeżenia.

– JL, co się dzieje pomiędzy tobą a moją żoną? – odezwałem się, gdy tylko znalazłem się wystarczająco blisko. Skrzywiłem się w myślach, słysząc własne słowa. Sam musiałem przyznać, że zabrzmiały napastliwie, słabo, histerycznie i pusto. Mój głos drżał na granicy falsetu.

Jack sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Po to przejechałeś taki kawał drogi?

– Odpowiedz na moje pytanie. Czy coś kombinujesz z Birgit?

– Witaj, Joe – odpowiedział spokojnie. – Miło cię widzieć po takiej przerwie, mój bracie. Nie mogłeś chociaż się przywitać, zanim na mnie wsiadłeś?

– Zawsze byłeś sarkastycznym draniem.

– Joe, na litość boską, uspokój się!

Już miałem odkrzyknąć coś z wściekłością, ale w ostatniej chwili zdałem sobie sprawę, jak blisko jesteśmy stróżówki przy bramie. Znajdowaliśmy się w zasięgu wzroku kilku lotników.

– Musisz mi powiedzieć – wykrztusiłem, nagle tracąc oddech. – Co się działo w domu podczas mojej nieobecności?

– Przespacerujemy się – odrzekł JL, ruchem głowy wskazując, że powinniśmy się nieco oddalić, ale ja uparcie stałem w miejscu. JL odwrócił się w moją stronę i odezwał cichym głosem: – Birgit jest twoją żoną, Joe. Dlaczego uważasz, że chciałbym się z nią zadawać?

– A więc zaprzeczasz?

– Oczywiście, że zaprzeczam temu, co sugerujesz.

– Zaprzeczasz, że byłeś w moim domu podczas mojej nieobecności?

– Joe, to nie jest tak, jak myślisz.

– Nie mów mi, co myślę!

– Ciągłe wyjeżdżałeś, a Birgit nawet nie wiedziała, gdzie jesteś.

– Jack mówił spokojnym głosem, dzięki czemu słuchałem, co ma mi do powiedzenia, chociaż wciąż kłębiły się we mnie gniew i żal. – No dobrze, Joe, na jakiś czas zaginałeś, i to nie była twoja

wina, ale zanim policja cię znalazła, Birgit sądziła, że nie żyjesz. Z pewnością nie muszę ci mówić, co ona przechodzi od chwili wybuchu wojny? Połowa ludzi w wiosce uważa ją za przedstawicielkę niemieckiej piątej kolumny. Władze stale jej grożą aresztowaniem. Jest w ciąży. Jest przekonana, że jej rodzice zostali zamordowani. Ty gdzieś zniknąłeś. Pragnęła... powiem ci, czego pragnęła, chociaż jesteś w takim nastroju, że na pewno mi nie uwierzysz. Była samotna, potrzebowała przyjaciela, ale przede wszystkim chciała choć przez chwilę porozmawiać z kimś po niemiecku.

– Więc jechałeś tak daleko, żeby rozmawiać z nią po niemiecku!

– Rozpaczliwie potrzebowała towarzystwa kogoś znajomego, przy kim czułaby się swobodnie. Wiesz, że Birgit i ja zawsze się przyjaźniliśmy. Jeszcze w Berlinie.

– Nigdy tego nie ukrywałeś.

– Dlaczego miałbym to robić? Ogromnie ją lubię. To prawda, że kiedyś byłem w niej szaleńczo zakochany, ale to było dawno i ty to zakończyłeś. Już od tak dawna jest twoją żoną, Joe, i bardzo cię kocha! Nie wierzysz, że to szanuję?

Kiedy Jack był szaleńczo zakochany w Birgit? Nic o tym nie wiedziałem.

– Więc o czym rozmawialiście po niemiecku? – spytałem z zazdrością, szczerze zaintrygowany, ale zarazem sarkastyczny. Jack i ja byliśmy do siebie tacy podobni.

– Nie pamiętam. To nie było nic ważnego. Typowe rozmowy przyjaciół.

– Na tyle ważne, że przyjeżdżałeś do niej z tak daleka.

– Joe, już ci tłumaczyłem dlaczego.

Podczas rozmowy zgodnie odwróciliśmy się plecami do bramy i powoli ruszyliśmy wzdłuż trawiastego pobocza. JL poczęstował mnie papierosem i obaj zapaliliśmy. Poczulem niespodziewany przypływ emocji związanych z odzyskaniem brata bliźniaka, a przynajmniej z dzieleniem takich drobnych przyjemności jak wspólny spacer czy palenie. Ponownie usłyszałem odgłos

samolotowych silników, znacznie bliższy i donośniej- szy, przypomnienie wojny niesione wiatrem przez płaski wiejski krajobraz.

– JL, przynajmniej mi powiedz, czy to z tobą Birgit zaszła w ciążę?

Nagły podmuch wiatru sprawił, że silniki zabrzmiały głośniej. Papieros, którego wzięłem od Jacka, zbyt długo znajdował się w paczce albo został zgnieciony podczas noszenia. Był spłaszczony i nieubity. Kiedy się zaciągnąłem, z końca odpadły drobinki płonącego tytoniu. Od jak dawna Jack pali? To była moja najdłuższa rozmowa z bratem od lat. Znów staliśmy nieruchomo, oddaleni od siebie o kilka stóp na trawiastym poboczu wiejskiej drogi. Zaciągaliśmy się papierosami, używając-ich jako znaków przestankowych, do podkreślenia swoich słów. Nie patrzyliśmy sobie w oczy, ale byliśmy sobie najbliżsi od czasów dorostania. Rozzłoszczony, starałem się go rozgryźć, ocenić, czy mnie okłamuje, czy mówi szczerą prawdę.

– No powiedz, JL! To byłeś ty?

– Nie masz zielonego pojęcia, czego Birgit pragnie i potrzebuje, prawda? – odparł niemal rozpaczliwym głosem.

Obaj odwróciliśmy się z zaskoczeniem, gdy pomalowany na czarno wellington oderwał się od pasa startowego za nami i ciężko wbił w powietrze, ogłuszając nas wściekłym rykiem silników. Z frustracją machnąłem zaciśniętą pięścią, wiedząc, co się za chwilę wydarzy.

Kiedy otoczyła mnie ciemność nocy, jakiś samolot przeleciał nisko nad dachem pubu i nad centrum miasteczka pogrążonego we śnie. Od warkotu silnika wibrowały szyby.

Nie byłem w łóżku. Wyszedłem z niego i stałem obok, ubrany w piżamę, w wąskiej szparze biegnącej wzdłuż postania, w połowie drogi między łóżkiem a oknem, oparty jedną ręką o ścianę.

Na ustach czułem poprzyklejane okruchy tytoniu. Zdjąłem je opuszkami palców i oblizałem wargi.

Okląłem przygnębiony. Nie próbowałem ponownie zasnąć,

tylko przykucnąłem niewygodnie na podłodze pod zbyt małym oknem, patrząc, jak blask świtu powoli rozlewa się po nisko wiszących szarych chmurach.

Rankiem, gdy tylko usłyszałem, że właściciel zaczął się krzątać na dole, i zanim pojawiło się ryzyko, że zadzwoni telefon w barze, zapłaciłem rachunek, a następnie wyruszyłem w niekończącą się, okrężną kolejową podróż powrotną poprzez Anglię. Przez półtora dnia mozolnie posuwałem się naprzód i czekałem na kolejne przesiadki. Był pierwszy tydzień maja, rozpoczął się miesiąc, w którym miało przyjść na świat nasze dziecko.

Kiedy wróciłem do domu, zastałem w nim panią Gratton i Harry'ego, którzy zaparzyli mi filiżankę herbaty. Poinformowali mnie, że Birgit śpi na górze. Pani Gratton zapewniła, że wszystko jest w porządku, nie trzeba się niczym martwić, a dziecko powinno się urodzić w terminie, ale czekają na wizytę lekarza. Birgit miała męczącą noc.

Wszedłem na górę, gdy tylko się obudziła, i spędziliśmy razem co najmniej godzinę, zanim pojawił się lekarz. Birgit poskarżyła mu się na coraz silniejsze bóle pleców oraz puchnięcie i drętwienie nóg. Lekarz uspokoił ją, że już wkrótce jej kłopoty się skończą.

Kiedy wszyscy wyszli z domu, Birgit wręczyła mi niewielki plik listów, które przysły do mnie podczas mojej nieobecności. Wśród nich najbardziej rzucał się w oczy zaadresowany na maszynie do pisania list nadany dwa dni wcześniej w Londynie. Wysłał go dr Carl Burckhardt, prosząc o spotkanie w stolicy za dwa dni.

Fragment szóstego rozdziału książki „Ostatni dzień wojny” autorstwa Stuarta Grattona, opublikowanej przez wydawnictwo Faber & Faber w Londynie w 1981 roku:

...na niektórych teatrach działań Luftwaffe panował większy spokój. Wszystkie okupowane terytoria wymagały osłony lotniczej, chociaż gdy potwierdzono plan przeprowadzenia Operacji Barbarossa 22 czerwca i pojawiła się konieczność skierowania samolotów na front wschodni, liczebność niektórych oddziałów stopniowo zmniejszono do niezbędnego minimum.

Jednym z nich była Luftflotte 5, odpowiedzialna za ochronę całego północno-zachodniego wybrzeża od Emden na zachodzie aż do północnego krańca okupowanej Danii. Chociaż szwadrony bombowców z Luftflotte 5 wysyłano przeciwko brytyjskim okrętom na Morzu Północnym, a także celom w Hull, Grimsby czy Newcastle, działalność Luftwaffe w Danii w zasadzie ograniczała się do obrony przed minowcami RAF-u w cieśninie Kattegat.

10 maja 1941 roku trwał proces stopniowego wycofywania samolotów do Niemiec, tak że szwadrony nocnych myśliwców były poważnie osłabione, zarówno pod względem liczby lotników, jak i maszyn. Tamtego dnia Oberleutnant Manfred Losen z dywizjonu myśliwskiego IV./NJG 35 pilotował messerschmitta Me-109E z lotniska w Grove do zachodniego wybrzeża Danii. Po południu razem z innymi członkami swojej eskadry wyleciał nad morze, żeby skalibrować i przetestować

działa pokładowe. Wrócili do bazy przed osiemnastą miejscowego czasu, żeby coś zjeść i odpocząć przed rozpoczęciem nocnej służby. Oto, co Losen opowiada o dalszych wydarzeniach:

Zostałem wezwany do sali operacyjnej przez swojego przełożonego, majora Limmera. Zaczął od zapytania, jak długo zajmie mi wzbicie się w powietrze w przypadku ogłoszenia Alarmstart. Odparłem, że jeśli samolot będzie zatankowany, a broń przeladowana, to możemy się zebrać w ciągu kilku minut. Odparł, że to dobrze, i poprosił, żebym był czujny.

Mniej więcej pół godziny później wezwał mnie ponownie, ale tym razem sprawiał wrażenie zdesperowanego. Powiedział: „Wypadło nam coś pilnego. To nietypowe zadanie i będzie pan musiał wyruszyć natychmiast. Nie będziecie radiowo kierowani z ziemi, więc proszę zabrać tyle samolotów, ile się da, a po wylądowaniu zgłosić się do mnie osobiście”. Zaczął tłumaczyć, co mamy zrobić. Stwierdził, że Brytyjczycy najwyraźniej naprawili messerschmitta Me-110 zestrzelonego nad Anglią i wysłali go z niemieckimi oznaczeniami na specjalną misję szpiegowską w naszym sektorze. Samolot miał przelecieć w naszym zasięgu na niskim pułapie w ciągu kolejnych trzydziestu minut. Otrzymaliśmy rozkaz zestrzelenia go bez wcześniejszego ostrzeżenia.

Spytałem, skąd możemy mieć pewność, że zauważony Me-110 będzie tym, którego szukamy. Major Limmer odparł, żebym nie zadawał pytań, i bezzwłocznie mnie odprawił. Czym prędzej wystartowaliśmy w blasku zachodzącego słońca, kierując się na zachód ponad morzem. Udało mi się znaleźć zaledwie trzy inne maszyny gotowe do startu, więc tylko taką siłą dysponowaliśmy. Piloci, którzy wystartowali razem ze mną, oczywiście byli zaintrygowani, i gdy tylko opuściliśmy bazę, odezwali się do mnie przez radio.

Powiedziałem im, że zgodnie z rozkazem mają cały czas trzymać się blisko mnie i wypełniać moje polecenia. Przekazałem im także, że do czasu ponownego lądowania obowiązuje nas cisza radiowa.

Mieliśmy wystarczająco dużo paliwa, żeby odbyć mniej więcej godzinny patrol na niskim pułapie. Po upływie około połowy tego czasu jeden z członków mojej eskadry dogonił mnie i ustawił się blisko mojego samolotu. Rozpoznałem swojego dobrego przyjaciela, podoficera Helmuta Köbericha. Wskazał w górę dłońią. Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem, że dwa albo trzy tysiące metrów nad nami leci całe mrowie brytyjskich dwusilnikowych bombowców, kierujących się na południowy wschód ku Niemcom. To był piękny wieczór, a niebo wciąż rozświetlał blady blask. Wkrótce miało się zrobić ciemno, lecz chwilowo panowały idealne warunki do ataku. Helmut oczywiście chciał ruszyć za bombowcami, gdyż do takich zadań nas wyszkolono. Udało mi się go powstrzymać.

Wkrótce ujrzałem małe kształt w oddali. Kierował się na północ, mniej więcej na tej samej wysokości co my. Natychmiast skręciłem w jego stronę, a reszta eskadry za mną podążyła. Pozostało nam paliwa na zaledwie kilka minut; potem musieliśmy zawrócić, jeśli nie chcieliśmy przymusowo wodować przed dotarciem do bazy. W ciągu pięciu minut zrównaliśmy się z samolotem i bez trudu zidentyfikowaliśmy go jako Me-11 OD, na pierwszy rzut oka z normalnymi oznaczeniami Luftwaffe. Zgodnie z rozkazami otrzymanymi od majora Limmera, ustawiłem odpowiednio swoją maszynę i zaatakowałem lotem nurkującym. Pozostałe samoloty ruszyły za mną. Bezwzględnie postąpiłem długą serię z działka. Jako że używałem pocisków smugowych, jestem pewien, że przynajmniej niektóre ze strzałów trafiły w cel. Pilot Me-110 był czujny i natychmiast wykonał unik, nurkując w warstwę chmur. Reszta mojej eskadry podążyła jego śladem, strzelając z karabinów maszynowych,

tymczasem ja zatoczyłem krąg, nabrałem nieco wysokości, przygotowując się do drugiego przelotu.

Ponownie zanurkowałem, znacznie nabierając prędkości. Przeleciałem przez warstwę chmur, ale nie zauważyłem Me-110 tam, gdzie powinien się znajdować. Rozglądałem się na wszystkie strony, ale musiałem dojść do wniosku, że maszyna albo uciekła, albo spadła do morza. Wróciłem na poprzedni pułap i wkrótce dołączyłem do pozostałych. Wróciliśmy prosto do bazy.

Chociaż rozkazano mi się zgłosić do majora Limmera, gdy tylko wysiedliśmy z samolotów, polecono nam wsiąść do ciężarówki, w której pilnowali nas dwaj uzbrojeni Gefreiterzy. Zawieziono nas do jednego z hangarów po drugiej stronie lotniska, a tam szczegółowo przesłuchano w sprawie tego, co zrobiliśmy i widzieliśmy. Nasze wersje wydarzeń mniej więcej się zgadzały, ale mimo to trzymano nas do północy. Uznano, że uszkodziliśmy atakowaną maszynę, ale nie możemy zagwarantować, że pilot zginął. Ostatecznie pozwolono nam wrócić do naszych kwater, jednocześnie udzielając surowego ostrzeżenia, że nigdy nie wolno nam ujawniać, co robiliśmy tego wieczoru.

Później, po zakończeniu wojny, spotkałem byłych członków innych Nachtjagdeschwaders (eskadr nocnych myśliwców) i dowiedziałem się od nich, że im również kazano wtedy wystartować z tego samego powodu: zbliżającego się Me-110 pilotowanego przez Brytyjczyka, który wykonywał tajną misję. Jeden z nich, który służył w naszej bazie w duńskim Aalborgu, twierdził, że widział, jak Me-110 spada zestrzelony. Inny, który stacjonował w Wittmundhafen na wybrzeżu Ostfriesland w północnych Niemczech, powiedział, że nie udało im się znaleźć, a tym bardziej zaatakować messerschmitta, ale ich rozkazy pochodziły bezpośrednio od generała majora Adolfa Gallanda, który z kolei otrzymał rozkazy od samego marszałka Rzeszy Hermanna Göringa. Powiedziano im, że messerschmitta pilotował Rudolf Hess, a

Hitler w ostatniej chwili zmienił zdanie co do zawarcia pokoju.

Manfred Losen później trafił na radziecki front, gdzie służył przez dwa lata w odrażających warunkach. W 1943 roku jego samolot został zestrzelony przez mustanga w barwach amerykańskiej armii, a on sam trafił do niewoli. Spędził trzy lata w obozie dla jeńców wojennych w Teksasie. Obecnie mieszka w Houston, gdzie niedawno przeszedł na emeryturę, zakończywszy pracę w korporacji Dell Computer.

Z odręcznych notatek J.L. Sawyera:**XXI**

W normalnych okolicznościach dojście z YMCA niedaleko Holborn do Domu Admiralicji na Trafalgar Square zapewne zajęłoby mi dziesięć albo piętnaście minut, ale rankiem 7 maja, bezpośrednio po nalocie, była to mozolna wyprawa. Wiele ulic było zablokowanych przez zburzone budynki, musiałem więc iść okrężną drogą. Wozy strażackie i karetki bezustannie krążyły po okolicy, a w kilku miejscach najbardziej dotkniętych przez wybuchy i pożary ekipy ratunkowe wciąż kopały i rozgarniały zawalone mury w poszukiwaniu przysypanych ludzi. Wszystkie ulice zalewała woda z popękanych wodociągów. Buldożery usiłowały usunąć chociaż największe kawałki gruzu. Swoją wędrówkę rozpocząłem wiedziony ciekawością i chęcią odkrywania, ale teraz tylko pośpiesznie schodziłem z drogi ratownikom oraz starałem się nie patrzeć na żalosalne i poruszające obrazy zniszczeń i strat.

Zaszokowało mnie, że tak szybko zapomniałem, jakie są skutki bombardowania.

Podobnie jak wiele budynków urzędowych w tej strefie, Dom Admiralicji przypominał fortecę: na poziomie parteru każdy cal jego obwodu chroniły worki z piaskiem, z których ułożono mur wysoki na około dwunastu stóp. Wyższe okna zabezpieczono metalowymi roletami. Oczywiście budynek nie wytrzymałby bezpośredniego trafienia bombą burzącą, ale z pewnością powinien przetrwać wszelkie inne rodzaje ataku.

Dr Burckhardt czekał na mnie wraz z dwoma innymi urzędnikami w niewielkim przedpokoju przy głównym korytarzu. Powitał mnie wylewnie, przemawiając w znakomitej angielszczyźnie z wyuczonym akcentem.

– Nasze spotkanie się nieco opóźni – stwierdził, kiedy już zapewniliśmy się nawzajem o swoim dobrym samopoczuciu. – Ze względu na nocny nalot premier postanowił udać się na objazd najbardziej zniszczonych stref. Powiedział, że to najlepszy sposób na podniesienie morale. Może się pan poczęstować herbatą, jeśli ma pan ochotę.

Przez następną godzinę czekaliśmy, przeważnie w milczeniu, od czasu do czasu wymieniając mało istotne uwagi. Przez cały czas drzwi do pokoju pozostawały otwarte. Ze swojego miejsca widziałem większą część korytarza. Pan Churchill przybył bez rozgłosu ani zamieszania. Zobaczyłem cienie przesuwane się obok głównego wejścia, gdy jacyś ludzie przeszli wąskim korytarzem utworzonym przez wysokie rzędy worków z piaskiem, a potem do pomieszczenia wszedł mężczyzna w cywilnym garniturze. Tuż za nim pojawiła się znajoma sylwetka premiera, który miał na sobie brązowy płaszcz, wysoki kapelusz i podpierał się laską. Na pasku przewieszonym przez ramię niósł maskę gazową. Kiedy zaczął zdejmować płaszcz, korytarzem nadeszli kolejni członkowie jego świty: dwaj albo trzej cywile, umundurowani wysocy rangą przedstawiciele marynarki wojennej, wojsk lądowych i sił powietrznych, a także inspektor policji. Churchill przywitał się z nimi skinieniem głowy i szybkimi uściskami dłoni, a następnie ruszył w naszą stronę korytarzem. Towarzyszył mu jeden mężczyzna.

Szybko wstaliśmy, kiedy wszedł. Nie był tak niski, jak mi się wydawało. Wydawał się także szczuplejszy w pasie oraz znacznie bardziej żwawy i młodzieńczy niż się spodziewałem. Ujrzenie jego słynnej twarzy z tak bliska było nie lada przeżyciem, pomimo całej wrogości, jaką w przeszłości wobec niego czułem.

W końcu przemówił:

– Przepraszam panów za spóźnienie. Zdaję sobie sprawę, jak

ważna jest wasza misja, ale, jak panowie niewątpliwie wiedzą, w nocy doszło do niszczycielskiego nalotu. Lubię spotykać się z ludźmi, gdy tylko mam ku temu sposobność. Teraz jestem do panów dyspozycji.

Wyszliśmy za nim z pomieszczenia. Dr Burckhardt szedł obok premiera, gdy wspinaliśmy się po szerokich, krętych schodach. Wokół panowała ponura atmosfera, gdyż okna zasłonięto roletami i używano tylko żarówek o niskiej mocy, jednakże okazały budynek, z którego dowodzą operacjami brytyjskiej marynarki, i tak robił wrażenie. Zerknąłem na swój zegarek – był kwadrans po jedenastej.

**Z dokumentów gabinetu, utajnionych rozporządzeniem
Tajnej Rady Wielkiej Brytanii (1941),
ujawnionych w ramach unijnej dyrektywy
o interesie publicznym (1997), archiwum publiczne
(www.open.gov.uk/cab_off/pro/):**

**Protokół z posiedzenia u premiera,
początek: godzina 11.18, środa 8 maja
1941, Sala Gabinetowa, Dom Admiralicji.**

Obecni:

Premier (pan Churchill)

KSS (przedstawiciel Komitetu Szefów Sztabu, generał Ismay)

MSZ (minister spraw zagranicznych, pan Eden)

MW (minister wojny, kapitan Margesson)

MPL (minister przemysłu lotniczego, podpułkownik Moore-Brabazon) MSP (minister sił powietrznych, sir Archibald Sinclair)

Os. sek. MSP (osobisty sekretarz ministra sił powietrznych, pułkownik sir Louis Greig)

Ambasador JKM – Hiszpania (sir Samuel Hoare)

Ambasador JKM – Portugalia (sir Ronald Campbell)

Międzynarodowy Czerwony Krzyż (dr Carl Burchardt)

Brytyjski Czerwony Krzyż (pan J.L. Sawyer)

RTP (Religijne Towarzystwo Przyjaciół [kwakrzy], pan Thomas A. Benbow)

notujący (niżej podpisany, J. Colville)

[Protokół ma postać odręcznych notatek, na co przystały

wszystkie strony. Dokument nie podlega trzydziestoletniej ochronie obowiązującej w przypadku dokumentów z posiedzeń gabinetu, lecz rozporządzeniem Tajnej Rady Wielkiej Brytanii zostaje bezterminowo utajniony].

Premier: *[Wprowadzenie]:* Witam wszystkich. Ogólne powitania. Wyrazy szacunku wobec dra Burckhardta – premier bardzo podziwia działalność Czerwonego Krzyża. Przeprasiny od hrabiego Folke Bernadotte (szwedzki Czerwony Krzyż) dla pana Attlee (Lord Tajnej Pieczęci).

KSS reprezentuje interesy wszystkich sił zbrojnych; jednogłośnie decyduje.

[Zebranie się rozpoczyna]: Przeczytałem pańskie opracowanie i składam panu gratulacje. To wybitne dzieło historyczne. Trafi do annałów wspaniałomyślnych osiągnięć. Niewątpliwe zdolności dyplomatyczne. Wielkie gratulacje. Jednakże jest nie do zaakceptowania, zarówno teoretycznie, jak i praktycznie. Nie zostanie uznane. Nie jestem nim zainteresowany. Gabinet wojenny nie jest nim zainteresowany. Brytyjscy obywatele nie są nim zainteresowani. Nie mamy zamiaru układać się z Niemcami.

Dr Burckhardt: Nie chodzi o układ z Niemcami, tylko o przywrócenie pokoju i porządku w Europie. To nie jest jednostronne ustępstwo. Oddzielenie Wielkiej Brytanii i Niemiec od stanu wojny. Wszystko wskazuje na to, że sam Hitler jest zwolennikiem takiego rozwiązania.

Ambasador JKM – Hiszpania: Były król je zaakceptował.

Premier: Akceptacja byłego króla nie ma znaczenia dla spraw państwowych. Nie o tym będziemy dzisiaj rozmawiać. Gdzie ja już pana widziałem?

J.L. Sawyer: Nie wiem.

Premier: Dlaczego nie ma pan na sobie munduru RAF-u?

J.L. Sawyer: Nie należę do sił zbrojnych. Zostałem bezwarunkowo zarejestrowany jako obdzektor.

Premier: Nie mogę negocjować z Hitlerem. On nie będzie chciał ze mną rozmawiać. Nie możemy pójść tą drogą. Wtedy Japonia przystąpi do wojny, a Stany Zjednoczone na stałe się od niej zdystansują. Stalin na to nie pozwoli. Amerykanie na to nie pozwolą. Polacy, wolni Francuzi oraz siły Wspólnoty również na to nie pozwolą.

KSS: Raporty wywiadowcze z Polski potwierdzają, że Niemcy wciąż gromadzą siły na granicy ze Związkiem Radzieckim.

MSZ: Stalin wie o koncentracji niemieckich sił, ale nie ufa naszym motywom.

KSS: Nie powstrzymamy Hitlera, jeśli ruszy na wschód. Nie powinniśmy nawet próbować.

Premier: *[Podsumowuje brytyjskie opinie dotyczące Związku Radzieckiego odnośnie do tej kwestii].*

[Kontynuuje]: Hitler zawsze powtarzał, że nie chce wojny na dwa fronty. Jeśli zamierza zacząć działać w Związku Radzieckim, to tylko na tym zyskamy. Panowie, ponownie dziękuję za wspaniały wkład w dążenie do pokoju, ale rząd Jego Królewskiej Mości nie znajduje się w pozycji umożliwiającej dogadywanie się z Hitlerem. Toczmy wojnę i doprowadzimy ją do końca. To moje ostatnie słowo. Życzę miłego dnia.

Premier daje do zrozumienia, że zebranie dobiegło końca.

Dr Burckhardt: *[Apeluje o dalszą dyskusję].*

[Kontynuuje]: Mamy prawdziwą szansę na pokój i ustabilizowanie sytuacji w Europie. Wojna może się zakończyć jeszcze w tym miesiącu. Żadna ze stron nie będzie musiała iść na ustępstwa. Zawieszenie broni i wycofanie wojsk. Odzyskanie przez Wielką Brytanię pozycji sprzed wojny. Zabezpieczenie Wspólnoty. Odzyskanie niepodległości przez Francję.

Premier: A co z Polską? To z jej powodu poszliśmy na wojnę.

Dr Burckhardt: Polska na razie pozostaje nierozwiązanym problemem. Czerwony Krzyż proponuje, żeby Niemcy wycofali się w dwóch fazach. Najpierw zostaną uwolnione okupowane kraje w Europie Zachodniej. Później rozpoczniemy rozmowy na temat okupowanych terytoriów w Europie Środkowej i Wschodniej, w tym także w Polsce. Po udanym zakończeniu pierwszego etapu zaproponujemy drugą rundę negocjacji.

Premier: Rząd Jego Królewskiej Mości nie ma zamiaru niczego oferować w ramach negocjacji, ani w tej, ani w żadnej innej sprawie.

Dr Burckhardt: Według wstępnego rozpoznania rząd Niemiec ma na ten temat inne zdanie. Przede wszystkim chcą mieć wolną rękę na wschodzie.

Premier: Nie mamy zamiaru pomagać Niemcom w osiągnięciu ich celów.

MSZ: Ważą się interesy Wielkiej Brytanii. Imperium chwieje się na Dalekim Wschodzie. Indiom grozi niebezpieczeństwo, jeśli Japonia przystąpi do wojny. Kanał Sueski jest zagrożony. Szanse interwencji amerykańskiej pozostają niewielkie. Coraz realniejsze stają się obawy o los prześladowanych mniejszości w Niemczech i na okupowanych terenach. Kontynuacja wojny jest nieunikniona.

Premier: Posiadamy informacje wywiadowcze dotyczące planów Hitlera dla Europy Wschodniej. To nam zapewnia istotną przewagę. Nie musimy podejmować dalszych działań. Nasze zebranie może się zakończyć. Dziękuję wszystkim obecnym za poświęcony czas oraz zaangażowanie w tak istotną sprawę.

Premier ponownie daje do zrozumienia, że zebranie dobiegło końca.

MSZ: *[Prosi o zgodę na zapoznanie się z dodatkowymi informacjami. Premier jej udziela].*

[Kontynuuje]: Czy moglibyśmy najpierw wysłuchać niemieckich propozycji pokojowych?

Premier: Tylko streszczenia. Nie mam czasu na wchodzenie w szczegóły.

Dr Burckhardt: *[Streszcza warunki przeprowadzonych negocjacji. Opisuje członków obu zespołów negocjacyjnych. Przedstawia rolę, którą odegrał pan Sawyer].*

[Kontynuuje]: Trzeba najpierw odnieść się do najważniejszej propozycji. To drażliwa kwestia, ale niemiecki rząd określił ją jako niepodlegającą negocjacom. Z przykrością muszę otwarcie przedstawić tę kwestię. Niemcy domagają się ustąpienia obecnego premiera Wielkiej Brytanii.

Premier: *[Obszernie podsumowuje swoją negatywną reakcję za pomocą szczerego języka].*

[Kontynuuje]: Jaka jest druga najważniejsza propozycja?

Dr Burckhardt: Abdykacja obecnego króla i przywrócenie na tron Edwarda VIII.

Premier proponuje przerwę w obradach. Wszystkie

strony zbierają się w osobnych pomieszczeniach. Premier prosi do siebie członków Tajnej Rady Wielkiej Brytanii. Obrady zostają wznowione o 11.57.

Premier: *[Stwierdza, że skonsultował się z członkami Tajnej Rady].*

[Kontynuuje]: Lojalny poddany panującego króla. Podsumowuje wielką odwagę króla i królowej w obliczu Blitzu. Składa hołd ich motywującym działaniom podczas bombardowań. Opisuje ogromną sympatię oraz wierność, na jaką para królewska może liczyć ze strony obywateli. Parlament jest najwyższą władzą, a premier nie może zmienić konstytucji. Abdykacja obecnego króla i restauracja nie wchodzi w grę. Stanowią zagrożenie dla konstytucji. To koniec dyskusji.

MSZ: Czy możemy wysłuchać pozostałych propozycji niemieckiego rządu?

Dr Burckhardt: Natychmiastowe przerwanie działań wojennych przez obie strony, wliczając działania marynarki wojennej i sił powietrznych. Zwolnienie jeńców. Wymiana dyplomatów. Unieważnienie postanowień traktatu wersalskiego. Zrzeczenie się odszkodowań przez obie strony. Uwolnienie rezerw walut i złota. Zwrócenie dzieł sztuki poprzednim właścicielom.

Kilkusetapowe wycofanie się Niemców z Norwegii, Danii, Holandii, Belgii, Luksemburga, Francji, Wysp Normandzkich, Jugosławii i Grecji. Natychmiastowe rozpoczęcie wycofywania wojsk. Zakończenie akcji przed końcem sierpnia 1941 roku.

Wielka Brytania ma wziąć odpowiedzialność za kwestię żydowską (finansowanie działań będzie pochodziło z nieograniczonego dostępu do pól ropośnych na Bliskim Wschodzie, wliczając Irak i Persję).

Niemcy mają otrzymać wolną rękę w Europie Wschodniej. Później pomiędzy oboma krajami ma panować stan życzliwej

neutralności.

[Przedstawia dokumenty członkom zebrania].

Premier: Zapoznałem się z pańskimi propozycjami przed dzisiejszym zebraniem. Ten układ opiera się na założeniu, że bolszewizm stanowi większe zagrożenie dla Europy niż nazizm, a Hitler stanowi dla nas najpewniejsze zabezpieczenie. Rząd Wielkiej Brytanii mógłby się z tym zgodzić. Rząd Stanów Zjednoczonych z pewnością się z tym zgodzi. Jednak Stalin nigdy tego nie zaakceptuje.

Poza tym, jakiego rodzaju odpowiedzialności za Żydów się od nas oczekuje? Nie jestem gotowy przenieść ich do Palestyny.

Dr Burckhardt: Plan dotyczący Madagaskaru jest gotowy.

[Przedstawia zarys planu]: Rząd Wielkiej Brytanii ma przenieść europejskich Żydów na Madagaskar. Niemcy udzielą pomocy, ale nie będą uczestniczyć w transporcie ani nie odniosą z niego żadnych korzyści. Proces nie jest ograniczony czasem, ale spodziewamy się go zakończyć w ciągu pięciu lat.

Wielka Brytania będzie nadzorować narodziny niezależnej państwowości – pod brytyjskim mandatem – na terenie Madagaskaru. Przekazanie władzy nastąpi przed końcem 1948 roku, natomiast do końca 1950 roku Madagaskar uzyska pełną niepodległość.

Premier: Jakie rozwiązania proponuje się wobec Malgaszów?

Dr Burckhardt: Wyspa jest słabo zaludniona. Panuje tam bieda, brakuje nowoczesnych obiektów. Po 1950 roku planujemy przeprowadzić referendum dotyczące woli mieszkańców.

Premier: Malgaszowie to kolejny naród, który się sprzeciwi.

MSZ: Kiedy i gdzie odbędzie się wasze kolejne zebranie?

Dr Burckhardt: Za trzy dni. Proponowane miejsca to Stavanger, Genewa, Lizbona, Sztokholm albo Szkocja. Opowiadamy się za Lizboną bądź Sztokholmem, ponieważ pozostałe miejsca nastroczają nam trudności. Szkocja nie wchodzi w grę, ponieważ znajduje się na terenie objętym działaniami wojennymi.

MSZ: Kto zaproponował Szkocję?

Dr Burckhardt: Rząd Niemiec.

Premier: Hitler chciał polecieć do Szkocji?

Dr Burckhardt: Zaproponował to jego zastępca, Herr Hess.

Premier: Nie mam zamiaru jechać do Szkocji, Norwegii ani Szwecji. Ani nigdzie indziej.

Dr Burckhardt: *[Przekazuje premierowi szczere wyrazy uznania i uprzejmości].*

[Kontynuuje]: Premier Zjednoczonego Królestwa nie został zaproszony na negocjacje.

Premier: *[Szczерze i obszernie odpowiada, a następnie prosi, żeby nie protokołowano jego wypowiedzi].*

[Kontynuuje]: Potrzebujemy przerwy na konsultacje.

Zebranie zostaje przerwane. Strony spotykają się w osobnych pomieszczeniach. Członkowie Tajnej Rady naradzają się z premierem. Obrady zostają wznowione o 12.43.

Premier: Dzisiaj po południu zostanie zwołane pilne zebranie Gabinetu Wojennego. Jeżeli jego wolą będzie podjęcie wstępnych rozmów, wtedy udzielię autoryzacji Czerwonemu Krzyżowi, aby w dobrej wierze prowadził negocjacje. Interesy

Zjednoczonego Królestwa będzie reprezentował Jego Ekscelencja brytyjski ambasador w Hiszpanii (sir Samuel Hoare) wspólnie z urzędnikami Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ostatecznie wszystko zależy od aprobaty parlamentu.

Dr Burckhardt: Poprawka: To nie są wstępne rozmowy. Takie przeprowadzono w zeszłym miesiącu. Kolejna runda negocjacji ma doprowadzić do sformułowania i podpisania pierwszych dokumentów dotyczących zawieszenia broni.

Premier: Nic nie wiedziałem o wcześniejszych rozmowach, a gdybym wiedział, nie wyraziłbym na nie zgody. Polityka rządu Wielkiej Brytanii polega na prowadzeniu bezwarunkowej wojny z Niemcami w celu odniesienia militarnego zwycięstwa. Negocjacje prowadzone przez panów nie zwalniają nas z tego obowiązku.

Dr Burckhardt: Czerwony Krzyż uważa, że pokój jest nie tylko możliwy, ale konieczny. Niemiecka chęć zawieszenia broni nie będzie trwała wiecznie. To historyczna szansa, którą Zjednoczone Królestwo powinno wykorzystać.

Premier: Historię tworzy się za pomocą odważnych i twórczych decyzji, a nie taktycznych kapitulacji. Nie zamierzam zaakceptować panów propozycji. Historia tym razem domaga się, żebyśmy skutecznie rozprawili się z Hitlerem.

J.L. Sawyer: Przeciwnie, historia uczy nas, że wojna zawsze niweczy własny cel. Żadna wojna w historii nie przyniosła skutków zgodnych z oczekiwaniami zwycięzcy. Dzieje się tak dlatego, że te oczekiwania albo są nieszczerze, albo blakną w obliczu brutalności działań wojennych.

Demokratyczne społeczeństwa twierdzą, że celem wojny jest naprawienie niesprawiedliwości lub zaprowadzenie pokoju pośród narodów, ale tak naprawę ich motywami są ochrona

własnych interesów i finansowych inwestycji oraz dążenie do politycznej władzy. Wojny są toczone przez tyranów, którzy za ich pomocą rzekomo pragną rozstrzygać spory albo odzyskiwać utracone terytoria, a w rzeczywistości chcą utrzymać kontrolę nad własnym narodem.

Historia pokazuje nam także, że, niezależnie od wyniku działań wojennych, przemoc odpięta za pomocą przemocy zawsze stanowi zarzewie przyszłych konfliktów. Sama przemoc zniekształca ostateczny skutek. Obecna wojna z Niemcami, jeśli będzie prowadzona aż do rozstrzygnięcia, może doprowadzić do podbicia jednej strony przez drugą, ale w dalszej perspektywie zniszczy liczne wartości, o które podobno toczy się walka.

Zniszczenie Zjednoczonego Królestwa będzie stanowiło cios dla sprawy oświecenia, sprawiedliwości społecznej, tolerancji politycznej i liberalizmu, powstrzymując ich rozwój na wiele dziesięcioleci. Zniszczenie Niemiec doprowadzi do dominacji bolszewizmu w znacznej części Europy, co z kolei będzie skutkowało wyraźniejszą ingerencją Stanów Zjednoczonych w sprawę Europy.

Wykorzystanie szansy na zawarcie pokoju to jedyna nadzieja na stabilność i harmonię na świecie.

Dr Burckhardt: *[Domaga się, żeby szczegółowo zaprotokołowano wypowiedź pana Sawyera. Osoba notująca to robi. Pan Sawyer się zgadza i parafuje zapis], JLS.*

Premier: *[Dziękuje panu Sawyerowi za jego cenne uwagi].*

[Kontynuuje]: Jestem zmuszony wziąć pod uwagę dobro całego kraju. Ambasador Jego Królewskiej Mości w Hiszpanii zajmie się negocjacjami i ochroną naszych interesów. Będą mu towarzyszyć urzędnicy. Tylko premier może podpisać zawieszenie broni w imieniu monarchy. Sir Samuel Hoare mi je dostarczy, a ja podpiszę je na miejscu, jeśli uznam to za stosowne.

Premier/Dr Burckhardt: *[Długa, szasera i kłótliwa wymiana zdań. Za zgodą wszystkich obecnych zapis rozmowy usunięto z protokołu].*

Dr Burckhardt: *[Podsumowuje swoje stanowisko]:* Zawieszenie broni ma zostać podpisane w obecności wszystkich stron.

Premier: *[Podsumowuje swoje stanowisko]:* Jeżeli ma zostać podpisane, zrobię to sam w Londynie.

Dr Burckhardt: Proszę zaprotokołować, że zgłaszam sprzeciw, ale w imię pokoju zadbam o to, żeby życzenie premiera zostało spełnione.

Premier: Zastrzegam sobie również prawo do odmowy podpisania dokumentu.

Premier opuszcza zebranie o 13.41. Pozostali przez chwilę zajmują się detalami. Obrady dobiegają końca o 13.45.

**Dokument z Biblioteki Air Zeitgeschichte, Stuttgart
- Burckhardt Archiv
(www.biblio_zeit.stuttgart.de/burckhardt):**

**Dr C. Burckhardt, Międzynarodowy
Czerwony Krzyż, Genewa 9 maja 1941**

(dostarczony osobiście do apartamentu Boudicca, Hotel
Dorchester, Park Lane, Zachodni Londyn).
[dot.: J.L. Sawyer. Tajna korespondencja osobista]

Drogi przyjacielu Carlu!

*Na Twoją osobistą prośbę i przy pełnej współpracy pana
Sawyerera poddałem go badaniu psychologicznemu w związku
z nękającymi go problemami. Z pewnością zdajesz sobie
sprawę, że z uwagi na niezwykle pośpiech, z jakim
przeprowadziłem konsultację, nie miałem dostępu do
medycznej ani psychologicznej dokumentacji pana Sawyerera,
jak również nie został on do mnie skierowany przez lekarza.
W takich warunkach można przeprowadzić jedynie
nieoficjalne badanie. Ze względu na naszą wieloletnią
znajomość, zarówno na gruncie prywatnym, jak i
zawodowym, wiem, że uznasz ten list oraz zawarte w nim
informacje za osobistą opinię. Domyślałem się, że pan Sawyer
zgłosił się do Ciebie o pomoc z tymi samymi problemami,
więc oszczędzę Ci szczegółów.*

*Nasza nieoficjalna konsultacja odbyła się w mojej klinice
przy Harley Street w Londynie, rankiem dnia wymienionego*

w dacie listu.

Pan Sawyer jest ujmującym młodzieńcem o eleganckim i schludnym wyglądzie. Dobrze się ubiera, elokwentnie wypowiada i zachowuje w sposób przemyślany. Jest wykształcony i odcytany, a także dobrze zorientowany w aktualnych wydarzeniach, nawet tych, których nie popiera.

Jego osobowość zrobiła na mnie wrażenie intrygującej i złożonej. Jako obdżektor w oczywisty sposób kieruje się w życiu zasadami. Jest ciekawym towarzyszem, ale jednocześnie nie ma poczucia humoru, wyprowadzają go z równowagi drobiazgi, a także, chociaż spędziłem z nim zbyt mało czasu, żeby zdobyć wyraźne dowody, odniosłem wrażenie, że kiedy już wyrobi sobie zdanie na jakiś temat, cechują go śmiertelna powaga, obsesyjność oraz brak elastyczności.

Jednakże obecnie zajmują go bardziej osobiste sprawy i właśnie na nich się skupialiśmy.

Pan Sawyer jest żonaty, a jego żona spodziewa się ich pierwszego dziecka, co jest powodem wielu obaw. Po pierwsze, Sawyer długo wątpił, że jest prawdziwym ojcem dziecka, ale w końcu wyzbył się niepewności. Cięża początkowo przebiegała w miarę normalnie, jednakże ostatnio u żony Sawyera stwierdzono niepokojące objawy toksemii. (Kobieta znajduje się pod stałą opieką lekarską, więc w tej kwestii mogłem pocieszyć Sawyera). Pan Sawyer, który najwyraźniej przygotowuje się do zagranicznej podróży, martwi się, że dziecko może przyjść na świat podczas jego nieobecności. Ponownie zapewniłem go o możliwościach współczesnej opieki zdrowotnej.

Pan Sawyer ma brata bliźniaka, który odbywa czynną służbę w RAF-ie, zatem stale grozi mu niebezpieczeństwo ze strony wroga. Pan Sawyer usiłował mi wytłumaczyć, że z bratem łączy go wyjątkowa „więź” miłości i zrozumienia, która może mieć nieprzewidywalne skutki w czasie rozłąki spowodowanej na przykład wydarzeniami wojennymi,

rodzinnymi konfliktami czy zagranicznymi wyjazdami. Nie wiedział, że przeprowadziłem specjalne badania dotyczące psychologii bliźniaków i dlatego z wyjątkowym zainteresowaniem słuchałem tego, co miał mi do powiedzenia. W mojej opinii, u pana Sawyera występują normalne i typowe obawy obserwowane u bliźniąt jednojajowych, więc ponownie mogłem go pocieszyć. Złożona relacja pana Sawyera z bratem dodatkowo się skomplikowała, gdy poróżnili się po ślubie pana Sawyera, który podejrzewa, że to jego brat może być prawdziwym ojcem nienarodzonego dziecka. Pan Sawyer twierdzi, że ma na to dowody, nie chce jednak zdradzać szczegółów. Czuję, że nie mogę i nie powinienem drążyć tego tematu.

W zeszłym roku pan Sawyer doznał traumatycznego urazu fizycznego, który spowodował wstrząśnienie mózgu oraz utratę pamięci. Pan Sawyer uważa, że fizycznie wrócił do pełnej sprawności.

Jednakże co do stanu psychicznego, twierdzi, że zdarzają mu się nawracające epizody deja vu, rodzaj wyrazistej paramnezji, gdy ma poczucie, że przewiduje wydarzenia, które ostatecznie okazują się nieprawdziwe. Powiedziałem mu, że omamy często bywają skutkiem wstrząśnienia mózgu, a on uznał to wyjaśnienie. Wytłumaczyłem mu także, że takie halucynacje często bywają wiarygodne i można je mylić z rzeczywistością, przynajmniej przez jakiś czas.

Pan Sawyer zdradził mi, że najbardziej martwi go, iż każdy taki atak kończy się gwałtownym powrotem do chwili jego rozpoczęcia, co prowadzi do niepewności, czy wizja naprawdę się zakończyła.

Wspomniał także, że często zastanawia się, czy życie, jakie obecnie wiecie – czyli praca dla Czerwonego Krzyża, rozmowy ze mną itd. – również nie jest jednym długotrwałym złudzeniem, z którego nagle się ocknie, a wtedy wszystko, czego doświadcza, w jednej chwili przestanie być prawdą.

Zapewniłem go, że tak nie jest, i zwróciłem uwagę, że

niniejszy list, który mu przekażesz, stanie się kolejnym dowodem, chociaż oczywiście z jego punktu widzenia to o niczym nie przesądza, biorąc pod uwagę jego proto-urojenia.

Wydaje mi się, że pan Sawyer dobrze sobie radzi ze swoją przypadłością, zresztą sam przekonuje, że jego stan uległ wyraźnej poprawie. Twierdzi, że nad wszystkim panuje. Mogę zapewnić, iż nic nie wskazuje, żeby cierpiał na głęboko zakorzenioną psychozę. Może poprawnie funkcjonować w normalnym świecie, a z czasem jego problem powinien całkowicie ustąpić. Obawiam się jedynie, że kolejny silny szok – fizyczny albo psychiczny, na przykład związany z oczekiwanymi narodzinami dziecka bądź losem brata bliźniaka – mógłby spowodować nawrót.

Serdecznie pozdrawiam,

Frank

[mgr Franklin K. Clark, psycholog kliniczny]

Z odręcznych notatek J.L. Sawyera:**XXII**

Nasz samolot przeleciał nisko nad dachami Sztokholmu, szaro-srebrzystego miasta, którego zarysy kreśliła migocząca siatka kanałów rozświetlonych słońcem. Wylądowaliśmy na jeziorze Stora Värten, na północny wschód od centrum miasta, wyrzucając w górę potężny pióropusz białej mgiełki, która uderzyła o okna kabiny niczym kaskada kamyków. Wodnopłatowiec gwałtownie podskakiwał, gdy pędziliśmy po powierzchni wody, ale kiedy pilot obniżył nos maszyny, opór wody szybko ją wyhamował przy wtórze donośnego hałasu. Siedziałem blisko przodu kabiny i wyglądałem przez okno pod prawym skrzydłem.

Przednią część kabiny oddzielono zasłoną niedaleko mojego miejsca. Pasażerowie z tylnej części samolotu ponownie musieli poczekać, aż dygnitarze z przodu opuszczą pokład. Tym razem nie było to tak proste jak na lądzie. Patrzyłem, jak motorówka odbija od brzegu i zatrzymuje się pod skrzydłem. Księżę Kentu wraz ze swoją świtą na moich oczach wsiadł do łodzi, ale tym razem tajemnica otaczająca obecność księcia była tylko formalnością dla większości osób na pokładzie.

Zanim reszta pasażerów opuściła pokład i została pośpiesznie zabrana do centrum Sztokholmu, zapadł zmierzch. Większość delegatów zatrzymała się w dużym hotelu w mieście. Rankiem przewieziono nas na wieś, do pięknej posiadłości stojącej na uboczu, w środku lasu i nad brzegiem rozległego jeziora. Tak jak

poprzednio, przydzielono mnie do zespołu zajmującego się dokumentacją, z czego bardzo się ucieszyłem. Jednakże tym razem stanąłem na czele całej grupy, co stanowiło dla mnie nie lada zaszczyt.

Zastępca Führera Rudolf Hess miał przybyć do Sztokholmu nocą, ale najwyraźniej coś stanęło mu na przeszkodzie. Nie pojawił się podczas pierwszej rundy rozmów, co oznaczało, że nie mogły się one rozpocząć.

Rozgościliśmy się w przypominającej pałac posiadłości, a gdy wszyscy zauważyli nieobecność Hessa, zaczęły krążyć plotki. Początkowo opowiadano sensacyjne historie: Hess został usunięty w cień przez Göringa, samolot Hessa zestrzelono, Hitler rozkazał mu się wycofać i tak dalej. Od zespołu doradców hrabiego Bernadotte – okazało się, że posiadłość należy do niego, chociaż sam hrabia nie był obecny – dowiedzieliśmy się, że żadna z tych plotek nie jest prawdą, rozmowy zaś zostały opóźnione o kilka godzin z nieuniknionych przyczyn.

Nie znaliśmy żadnych faktów, mogliśmy więc tylko czekać na wyjaśnienie sytuacji. Dr Burckhardt, który oczywiście wiedział tyle samo, co i my, zalecał cierpliwość. Cały ranek spędziliśmy w atmosferze wyczekiwania, zjedliśmy wczesny lunch, a następnie wróciliśmy do swoich kwater.

W połowie popołudnia, bez wcześniejszego ostrzeżenia, trzy czarne limuzyny daimlera szybko podjechały pod dom. Zwabieni hałasem i ruchem, niektórzy członkowie naszego zespołu tłumaczy podeszli do okna, żeby sprawdzić, co się dzieje. Hess jechał pierwszym samochodem. Kiedy tylko auto się zatrzymało, wysiadł, rzucił okiem na fasadę budynku, po czym wszedł do środka.

XXIII

W ciągu kwadransa od przybycia Hessa zwołano plenarną sesję konferencji. Wszystkich pomocników, takich jak ja, wpuszczono do głównej sali negocjacyjnej, którą po raz pierwszy zobaczyłem

od środka. Główne stoły ustawiono w kształt dużego trójkąta równobocznego: po jednej stronie siedzieli przedstawiciele Wielkiej Brytanii, po drugiej Niemcy, a po trzeciej negocjatorzy z ramienia Czerwonego Krzyża oraz Religijnego Towarzystwa Przyjaciół. Na podłodze pomiędzy stołami umieszczono olbrzymi bukiet kwiatów.

Kiedy zajęliśmy miejsca – pomocnicy w trzech rzędach krzesel za urzędnikami Czerwonego Krzyża – zauważyliśmy, że przy niemieckim stole zajęte są wszystkie miejsca oprócz jednego.

W sali zapanowały cisza i atmosfera wielkiego wyczekiwania.

Po mniej więcej minucie Rudolf Hess pojawił się w bocznych drzwiach, a następnie żwawym krokiem wszedł do sali z niewzruszonym obliczem, nie rozglądając się na boki. Miał na sobie mundur oficera Luftwaffe. Wstaliśmy z miejsc. Hess zajął miejsce w środkowej części niemieckiego stołu i władczo skinął głową, a my ponownie usiedliśmy.

Hess następnie zwrócił się do delegatów, nie korzystając z notatek:

– [Drodzy panowie, przepraszam, że spóźniłem się na to jakże ważne spotkanie] – zaczął. – [Zamierzałem stawić się punktualnie, a jak doskonale wiedzą gospodarze tego wspaniałego domu, przedstawiciele Rzeszy nalegali, by negocjacje przebiegały zgodnie ze starannie ustalonym porządkiem. Moje spóźnienie pokrzyżowało te plany. Żałuję, jeśli z tego powodu ktokolwiek odniósł wrażenie, chociaż chwilowo, że rząd Niemiec stracił entuzjazm wobec planów honorowego zawarcia pokoju. Zapewniam, że tak nie jest.

Jednakże moje spóźnienie było nieuniknione, z czym z pewnością wszyscy się zgodzą, gdy poznają fakty. Wczoraj wieczorem, gdy leciałem do tego kraju, a nad morzem zapadał zmrok, samolot, który pilotowałem, został zaatakowany przez nieznaną liczbę myśliwców. Chociaż, jak widać, udało mi się bezpiecznie uciec, moja maszyna doznała poważnych uszkodzeń. Z żalem informuję, że drugi członek załogi, Hauptmann Alfred Horn, zginął podczas ataku. Samolot został

tak bardzo uszkodzony, że byłem zmuszony do nieplanowanego lądowania w Danii. Dotarłem na miejsce dzisiaj za pomocą innych środków transportu.

Nie udało mi się zidentyfikować narodowości napastników. Zaatakowali nagle i od tyłu, a następnie uciekli, gdy uznali, że zniszczyli mój samolot. Mam jednak pewne podejrzenia. Niewykluczone, że były to brytyjskie myśliwce patrolujące morze w poszukiwaniu takich maszyn jak moja. Zresztą wczoraj w nocy doszło do brytyjskich nalotów na terytorium Niemiec, więc w okolicy przebywały bombowce. Jednakże brytyjskie myśliwce zazwyczaj nie zapuszczają się tak daleko podczas patroli, chyba że w tym wypadku miały ku temu szczególny powód. Czyżby wywrotowe elementy w brytyjskiej armii wiedziały, że będę leciał tą trasą, i zastawiły na mnie pułapkę, sprzeciwiając się negocjacji pokojowym? Jeśli tak, świadczyłoby to o naruszeniu tajności moich planów, co może narazić nasze rozmowy na szwank] – zakończył Hess.

Zastępca Führera w teatralny sposób skrzyżował ręce na piersi. Z rozmysłem rozejrzał się po sali, powoli spoglądając na wszystkich obecnych. To była przerażająca chwila, ponieważ wyraźnie dostrzegaliśmy jego wściekłość. Oczy Hessa, głęboko osadzone pod charakterystycznymi krzaczastymi brwiami, posyłały wszystkim wyzwanie. Zatrzymał wzrok na przedstawicielach Wielkiej Brytanii. Oczywiście nikt nie przyznał się do wiedzy o zasadzce, ponieważ wydawało się nam niewyobrażalne, że ktoś chciałby sabotować rozmowy pokojowe.

– [Druga możliwość] – kontynuował Hess – [to że samoloty wysłała dysydencka frakcja po mojej stronie. W normalnych okolicznościach byłoby to równoznaczne ze zdradą stanu. Atak RAF-u w porównaniu z takim działaniem wydawałby się drobiazgiem, zrozumiałym aktem wojennym. Jednakże obecnie sytuacja w Niemczech jest daleka od normy. Wszyscy tutaj zdają sobie z tego sprawę. Nasze plany napotykają opór w ojczyźnie. Nie udawajmy, że jest inaczej. Dlatego też, jeśli rzeczywiście taki był powód wczorajszego ataku, jestem skłonny nie przywiązywać

do niego dużej wagi. Mogę panów ponownie zapewnić, że pojawiam się tutaj za pełną zgodą Naszego Przywódcy, gdyż obaj jesteśmy zdeterminowani, żeby zawrzeć pokój z naszym obecnym wrogiem, Wielką Brytanią. Wczorajsze wydarzenia jeszcze bardziej utwierdziły mnie w przekonaniu, że potrzebujemy szybkiego porozumienia. Podkreślam, że rząd Niemiec nie dąży do pokoju z pozycji strony przegranej. Zależy nam na obustronnie honorowym porozumieniu opartym na równości. Dlatego ogłaszam, że ja i moi negocjatorzy jesteśmy gotowi jak najszybciej zawrzeć ostateczne porozumienie, uznając liczne drobne problemy, które pojawiły się podczas dotychczasowych negocjacji, za mało istotne. W najgorszym wypadku możemy odłożyć dyskusję nad niewielkimi rozbieżnościami do czasu kolejnego spotkania, w duchu poszukiwania zgody co do podstawowych kwestii] – dodał Hess, po czym gwałtownie usiadł.

Po chwili ciszy kilku przedstawicieli neutralnych organizacji zaczęło pomrukiwać z zadowoleniem i uznaniem. Kilku Brytyjczyków zastukało knykciami o blat. Była to mało entuzjastyczna reakcja, która najwyraźniej nie zadowoliła zastępcy Fihrera. Przez chwilę rozglądał się z kwaśną miną, a następnie popatrzył na swoich ludzi, którzy pośpiesznie wstali, wysoko podnieśli ręce i zaczęli głośno klaskać. Wtedy Hess ponownie się podniósł, tym razem razem wzbudzając aplauz całej sali. Miałem wrażenie, że ludzie wiwatują z grzeczności, a nie entuzjazmu, ale Hess sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego.

Wróciliśmy do sali dokumentacji i odkryliśmy, że podczas sesji plenarnej adiutanci Hessa dostarczyli wcześniej przygotowane dokumenty, które należało przetłumaczyć i włączyć do tekstów pochodzących z wcześniejszych obrad. Przejąłem dowodzenie, sprawnie przydzielając zadania członkom swojego zespołu, dbając o to, żeby obserwatorzy z Czerwonego Krzyża i Religijnego Towarzystwa Przyjaciół mieli pełny dostęp do każdego z pracowników. Usiadłem, żeby zająć się częścią tekstu, którą dla siebie odłożyłem. Pomieszczenie wkrótce wypełniło się

zdecydowanymi odgłosami maszyn do pisania. Dym unosił się z papierosów; ludzie zdejmowali marynarki.

Wkrótce weszliśmy w rytm znanych procedur negocjacyjnych: sprawdzaliśmy gotowe teksty, dokonywaliśmy ich korekty, rozpoznawaliśmy kontekst i sporządzaliśmy kopie. Kiedy już zatwierdziłem dane tłumaczenie albo streszczenie, trafiało ono do drugiej grupy negocjatorów, którzy je oceniali i poprawiali. Tymczasem podczas obrad sporządzano kolejne teksty, które trafiały do naszego pokoju do sprawdzenia i redakcji.

Widzieliśmy, jak porozumienie pokojowe stopniowo nabiera kształtu, co stanowiło absorbujący i satysfakcjonujący proces.

Szybko zwróciliśmy uwagę na energię, która biła z niemieckiej strony pomieszczenia. W Cascais to wyglądało inaczej: niemieckie propozycje i odpowiedzi były pełne pozorów i uników, stanowiły serię prób uzyskania niewielkich przewag nad drugą stroną. Teraz sytuacja uległa zmianie: to Brytyjczycy się bronili, protestowali, godzili się na kompromisy, wykrecali, próbowali odpowiadać kontrpropozycjami na oferty Niemców.

Chociaż technicznie byłem osobą bezstronną, oczywiście urodziłem się w Wielkiej Brytanii i spędziłem tam niemal całą wojnę. Przywykłem do subtelnej brytyjskiej propagandy, którą stosowały poszczególne ministerstwa. Niemców zawsze przedstawiano jako jedynych agresorów, złoczyńców, najeźdźców, zabójców niewinnych i tak dalej. Głęboko za fasadą propagandy kryje się prawda, jednak podczas wojny żadna ze stron nie ma na nią monopolu. W Sztokholmie zacząłem rozumieć niemieckie stanowisko: brytyjskie odpowiedzi często były pozbawione elastyczności, uparte, czepialskie, sprzeczne i naznaczone moralizatorstwem.

O dwudziestej drugiej dr Burckhardt poinformował nasz zespół, że powinniśmy się udać na spoczynek. Główne obrady przerwano na dwanaście godzin. Kiedy podnieśliśmy głowy, zdaliśmy sobie sprawę, że pracowaliśmy bez przerwy od chwili zakończenia przemowy Hessa. Byłem nie tylko wyczerpany, ale

także umierałem z głodu. Wiedziałem, że pozostali z pewnością czują się podobnie, dlatego z ulgą oderwaliśmy się od swoich zadań, pozostawiając je niedokończone. Wkrótce odwieziono nas do hotelu w Sztokholmie, gdzie czekała na nas późna kolacja.

Rano, nieco odświeżeni, wróciliśmy do wiejskiej posiadłości hrabiego Bernadotte.

XXIV

Kartka, nad którą pracowałem poprzedniego wieczoru, wciąż tkwiła w maszynie do pisania. Usiadłem, poluzowałem krawat i zdjąłem marynarkę. Ktoś otworzył okiennice, żeby wpuścić promienie porannego słońca. Przeczytałem ostatnie kilka linijek tłumaczenia, wracając myślą do tego, co muszę zrobić. Pracowałem nad raportem sporządzonym przez brytyjskich negocjatorów, którzy zajmowali się niemiecką ideą równości. Obie strony postrzegały ją jako centralny element porozumienia pokojowego.

Hess poprzedniego dnia użył niemieckiego słowa *Gleichheit*, które oznacza „równość interesów”. Jednak Brytyjczycy nie chcieli uznać takiej interpretacji i mieli nadzieję, że Hessowi chodziło o coś innego. Woleli używać określeń „równość praw” (*Parität*) lub „równość pozycji” (*gleiche Stellung*), znaczących fraz, gdy pamiętało się, że Churchill sam nalegał na podpisanie zawieszenia broni. Było oczywiste, że nie mają zamiaru zawrzeć układu na warunkach sugerujących, że Wielka Brytania przegrywa wojnę i prosi o pokój, jak można by wnioskować, gdyby ograniczono się do wspomnienia o równości interesów z Niemcami. Właśnie próbowałem ustalić, jak wybrnąć z tego problemu – czy to kwestia interesów, praw czy pozycji? – gdy zwolniono nas na noc.

Wpatrywałem się w to zdanie, usiłując się skupić.

Wciąż byłem śpiący, co zawsze mnie niepokoiło, odkąd zaczęły się moje halucynacje. Nieco pocieszyła mnie pośpieszna

konsultacja u psychologa, pana Clarka, który najwyraźniej uważał, że mój problem się zakończył, ale niczego nie byłem pewien. Większość urojeń pojawiała się, gdy spałem albo byłem śpiący. Martwiłem się, że źle przespałem noc i rano wstawałem zmęczony.

Rozmyślałem o różnych znaczeniach „równości”, zarówno po angielsku, jak i po niemiecku.

To zagadnienie towarzyszyło mi, gdy dorastałem: równość we wszystkim jest ważna dla bliźniąt, chociaż często pojmują ją w niekonsekwentny sposób. Chcieliśmy być równi w oczach naszych rodziców, ale zarazem faworyzowani, wieść niezależne życie, ale pozostać bliźniakami, rozwijać się osobno, ale zachować szczególną więź.

Może właśnie to starał się zasugerować Hess: wprowadzenie do wstępnej wersji porozumienia w sentymentalny sposób podejmowało wątek tradycji braterstwa pomiędzy Wielką Brytanią i Niemcami, bliźniaczymi krajami, na zawsze połączonymi, na zawsze rozdzielonymi, życzliwie neutralnymi. Niemcy pisali o wspólnym kulturowym celu, wrodzonym podobieństwie pomiędzy oboma narodami, wspólnym poczuciu cywilizacyjnej odpowiedzialności. Piękne słowa, jeśli nie brało się pod uwagę toczzonej wojny. Właśnie na tym im zależało: usunąć wojnę, wzmocnić naturalną więź.

Czy była to przypadkowa wskazówka dotycząca mnie i mojego brata Jacka?

Poprzez nadmierną koncentrację stawałem się ślepy na niuanse znaczenia pomiędzy różnymi tłumaczeniami, przywołałem więc jednego z prawników konstytucjonalistów i poprosiłem go o radę. Jeden z doradców z Towarzystwa Przyjaciół, który pochodził z Niemiec, przyłączył się do naszej dyskusji. Wszyscy zwracaliśmy uwagę na semantyczne subtelności. Pracowaliśmy w miejscu, w którym krzyżowały się dyplomacja, język i narodowe interesy. Prawnik przez chwilę się zastanawiał, a następnie stwierdził, że według niego właściwym wyrażeniem będzie *gleiche Stellung*, równość pozycji.

Niemiecki kwakier się zgodził. Skonsultowaliśmy się z urzędnikiem z niemieckiej ambasady w Sztokholmie, członkiem naszego zespołu od dokumentacji, a on wyraził taką samą opinię. Stopniowo zbliżaliśmy się do porozumienia. Wspólnie uzgodnione określenie trafiło do kolejnej wersji dokumentu, którą przekazaliśmy naszym przełożonym w głównej sali konferencyjnej.

Nie chcąc ponownie doprowadzić moich ludzi do przepracowania, wykorzystałem swoją kierowniczą pozycję i w połowie poranka zarządziłem półgodzinną przerwę. Kilku z nas wyszło przed budynek, podziwiając zimny spokój sosnowego lasu i dużego jeziora. Ptaki swobodnie hałasowały w neutralnym powietrzu. Pamiętałem wielu moich współpracowników z obrad w Cascais; tutaj towarzyszył nam inny nastrój. W Portugalii podniecały nas otwierające się przed nami możliwości – zawieszenie broni stanowiło fascynującą perspektywę. Teraz, gdy pokój był w zasięgu wzroku, po prostu chcieliśmy doprowadzić cały proces do końca, a nasza praca była bardziej żmudna. Większość tłumaczy wróciła za swoje biurka na długo przed zakończeniem przerwy.

Właśnie na nowo podjęliśmy pracę, gdy zostałem wezwany do gabinetu doktora Burckhardta, niewielkiego pomieszczenia sąsiadującego z główną salą obrad.

– [Przełożeni postanowili, że rozmowy zakończą się dzisiaj o osiemnastej] – szorstko oznajmił dr Burckhardt. – [Nie będziemy ich bardziej przedłużać. Wszystko, czego nie zdążymy ustalić do tego czasu, pozostanie nierozstrzygnięte. Czy pańskiemu zespołowi uda się skompletować dokumentację?].

– [Tak, jeśli otrzymamy wszystkie teksty. Jak dotąd nie pojawiły się żadne przeszkody. Wszystko funkcjonuje bez zarzutu].

– [To dobrze. Na tym etapie nikt nie spodziewa się poważnych komplikacji, ale nigdy nic nie wiadomo].

Nie zdradził przyczyny tej decyzji, uznałem więc, że jest to sztucznie narzucony, ale obustronnie uzgodniony termin, który ma zagwarantować, że negocjacje nie będą się ciągnęły w

nieskończoność.

Zatem wkroczyliśmy w ostatni i najtrudniejszy etap tłumaczenia i redagowania, reagując na coraz bardziej intensywne rozmowy pomiędzy przełożonymi. Nie zrobiliśmy przerwy na lunch, ale otrzymaliśmy stół z zimnymi przekąskami, z którego braliśmy to, na co mieliśmy ochotę. Wkrótce nastąpił okres wzmożonej aktywności negocjatorów, ale potem presja zaczęła słabnąć. W połowie popołudnia mogłem już zlecić komuś innemu pracę nad szkicem dokumentu, którą normalnie wykonałbym samodzielnie, a do szesnastej co najmniej połowa członków naszego zespołu uporała się ze swoimi obowiązkami. Pół godziny później przekazaliśmy ostatni dokument negocjatorom i ich doradcom.

Każdy w zespole widział poszczególne części projektu porozumienia, niektóre z nich wielokrotnie. Kilku z nas miało okazję zapoznać się z całością. Z satysfakcją stwierdzałem, że dokument był niemal gotowy – na ile pozwalały okoliczności. Był intrygujący, złożony, niemal szokujący, gdyż odnosił się do kwestii, które jeszcze kilka tygodni wcześniej były nie do pomyślenia. Pomimo skomplikowanych idei i zasad, do których odnosiło się porozumienie, oraz problemów, jakie napotykalismy podczas ich zapisywania, udało nam się skończyć pracę półtorej godziny przed terminem.

Zapanował spokój, a we mnie nierzeczywista euforia mieszała się z obawami. Wydawało się, że coś niemożliwego stanie się faktem: wojna się zakończy. Jednocześnie przerażała mnie myśl, że zawieszenie broni w ostatniej chwili zakończy się fiaskiem, a Stany Zjednoczone, Związek Radziecki i Japonia zostaną wciągnięte w globalny konflikt.

W przypadku wszystkich międzynarodowych porozumień równie ważne jak ich treść jest to, co nie zostało w nich zapisane. Każda strona, nad którą pracowałem, była pełna niewypowiedzianych obaw o wybuch większej wojny.

Spacerowałem po trawniku pod naszym oknem, szukając kilku chwil samotności; nie zważałem przy tym na zimne poddmuchy wschodniego wiatru. Nagle podszedł do mnie mężczyzna, w

którym rozpoznałem jednego z członków zespołu doktora Burckhardta.

– [Panie Sawyer, czy mogę prosić? Ktoś pragnie się z panem zobaczyć].

Oficjalność słów i zachowania mężczyzny wskazywała, że to wezwanie jest czymś wyjątkowym. Po drodze zabrałem marynarkę i pośpiesznie się uczesałem. Nie miałem pojęcia, czego się spodziewać, ale zakładałem, że chodzi o dokumentację.

Dr Burckhardt czekał w swoim gabinecie, a gdy tylko wszedłem, wstał z miejsca. Wymieniliśmy uścisk dłoni.

– [Panie Sawyer, jestem wdzięczny za pański wkład w porozumienie. Jak wszyscy obecni, wkrótce ujrzy pan owoce swojej pracy, w porównaniu z którymi moje podziękowania nic nie znaczą. Na razie jednak otrzymałem nietypową prośbę. Czy byłby pan skłonny porozmawiać w cztery oczy z Herr Hessem?].

– [W jakiej roli, doktorze Burckhardt? Jako przedstawiciel Czerwonego Krzyża?].

– [Herr Hess poprosił konkretnie o rozmowę z panem i zażądał, żeby nie towarzyszył wam żaden protokolant ani tłumacz].

– [Ale o co chodzi?].

– [Nie wiem, panie Sawyer].

Gestem pokazał, żebym za nim podążył. Przeszliśmy krótkim korytarzem odchodzącym od jego gabinetu. Na końcu znajdowała się rozległa sala z dużymi schodami, za którymi zobaczyłem podwójne drzwi zdobione złożonymi inkrustacjami i rokokowymi dekalcomaniami.

XXV

Dr Burckhardt zamknął za mną drzwi, kiedy wszedłem. Od razu zwróciłem uwagę na olbrzymie rozmiary pomieszczenia – to był długi salon z kilkoma skupiskami wyściełanych foteli i sof ustawionych wokół niskich stołów – ale nie miałem czasu

dokładniej się przyglądać. Rudolf Hess czekał na mnie niedaleko drzwi. Zaplótł ręce za plecami, a jego szeroką sylwetkę podświetlały od tyłu promienie słońca wpadające przez duże okno.

– [Dzień dobry, panie Sawyer] – odezwał się natychmiast charakterystycznym tenorem.

– [Dzień dobry, Herr Hess].

Uściskał moją dłoń w dziwaczny sposób, energicznie, ale słabo zaciskając palce, a następnie poprowadził mnie do dwóch dużych foteli, które stały naprzeciwko siebie po dwóch stronach szerokiego stołu. Nad nami górował wysoki oszklony regał na książki wypełniony jednolicie oprawionymi tomami. Na stole stały dzbanek z kawą oraz talerz z kilkoma rodzajami ciastek. Nie usiedliśmy, tylko stanęliśmy zakłopotani przy oknie. Jako że znajdowaliśmy się po przeciwnej stronie budynku niż moje miejsce pracy, za oknem rozpościerała się część posiadłości, której wcześniej nie widziałem. Niedaleko domu stał długi rząd jednopiętrowych budynków, być może stajni, przed którymi rozciągał się brukowany dziedziniec. Zaparkowano tam wiele dużych samochodów.

– [Mamy co świętować, nieprawdaż?] – odezwał się Hess.

– [Tak... to wielkie osiągnięcie].

– [I do tego skończyliśmy przed czasem. Mieliśmy nadzieję domknąć wszystko do osiemnastej, tymczasem mamy ponad godzinę wolnego. Wykorzystałem tę okazję, żeby porozmawiać z panem na osobności. Mamy na co czekać. Wreszcie przygotowaliśmy drogę do zmian na święcie. Anglia i Niemcy ponownie zostaną przyjaciółmi. To ważny sojusz, którego skutki odczuje cały świat, fundament nowej Europy].

– [Zgadza się, proszę pana].

Rozejrzałem się po pomieszczeniu; nie czułem się pewnie w towarzystwie Hessa. Jak zapowiedział dr Burckhardt, nie było z nami żadnych adiutantów, a długa sala była pusta.

– [Podczas naszej ostatniej rozmowy nie był pan pewien, czy już wcześniej się spotkaliśmy. Zakładam, że pamięta pan naszą

dyskusję w Ustach Piekieł?].

– [Oczywiście].

– [Wspomniał pan wtedy, że jest niepewny swojego neutralnego stanowiska. Anglik, który startował w barwach swojego kraju, ale uważa się za bezstronnego we wszystkich innych sprawach. Ciekawe podejście. Skosztujmy kawy i ciastek].

Hess wskazał poczęstunek na stole, ale mnie nagle chwycił lęk przed tym człowiekiem. W odległości dwóch pokoi, niewątpliwie pod ścisłą strażą kilku grup, znajdował się potężny dokument złożony z kilkudziesięciu stron, sporządzony po angielsku i niemiecku, ze streszczeniami po francusku i szwedzku, który cementował zawarcie pokoju pomiędzy naszymi krajami. Jednakże nie został jeszcze ratyfikowany i żaden z rządów go nie podpisał. Dopóki tak się nie stanie, ten człowiek nadal będzie wysoko postawionym członkiem reżimu wrogo nastawionego do kraju, w którym przyszedłem na świat. Konflikt, który we mnie dostrzegł, między narodowością a neutralnością, w dużej mierze był wynikiem agresywnych działań Niemiec wobec innych państw. Hess wspominał o odbudowaniu przyjaźni pomiędzy naszymi krajami, ale przez całe moje życie Niemcy kojarzyły się z zagrożeniem dla pokoju, prześladowaniami własnych obywateli oraz międzynarodowymi wojskowymi inwazjami. Byłem neutralny nie ze względu na niepewną lojalność pomiędzy krajami, ale dlatego, że nienawidziłem wojny.

Hess pochylił się nad stołem, żeby nalać sobie czarnej kawy i wziąć dwa małe ciastka pokryte grubą warstwą ciemnej czekolady. Nie widziałem takich smakołyków od niemal dwóch lat, gdyż w mojej ojczyźnie obowiązywało racjonowanie żywności. Hess wpakował jedno z ciastek w całości do ust, sypiąc wkłó okruchami.

– [Jak się pan zatem czuje, drogi przyjacielu, skoro wreszcie osiągnęliśmy pokój?] – spytał Hess, żując ciastko. Ciemne okruchy przyklejały mu się do wystających zębów.

– [Oczywiście czuję ulgę. Chyba wszyscy na to liczyliśmy i do

tego dążyliśmy].

– [Dla was Anglików pokój będzie oznaczał koniec walki. Niewątpliwie będziecie się z tego cieszyć. Jednak z niemieckiej perspektywy sytuacja będzie wyglądała inaczej. Pokój przyniesie początek nowej ery. Wiele się zmieni. Powinien pan przyjechać do Niemiec i zobaczyć, co mam na myśli].

– [Dziękuję panu. Chciałbym to zrobić kiedyś w przyszłości].

– [Nie, nie chodzi mi tylko o grzecznościową wymianę zdań. Chciałem się z panem spotkać w konkretnym celu. Rozmawiałem z doktorem Burckhardtem, który wypowiada się o panu w samych superlatywach, co mnie zresztą nie dziwi. Widzę na własne oczy, że jest pan wspaniałym młodzieńcem. Chciałbym szczegółowo panu wyjaśnić, co się wydarzy w Niemczech, ale na razie nie mogę. Wolno mi tylko powiedzieć, że po dzisiejszym dniu, kiedy porozumienie pokojowe wreszcie zostanie podpisane, nastąpi wiele zmian. I to na najwyższych szczeblach w naszych krajach. Czy wyrażam się jasno?].

– [Z pewnością ma pan rację, Herr Hess, ale moje miejsce jest w Anglii...].

– [Na najwyższych szczeblach, musi pan to zrozumieć. W ciągu jednego tygodnia... nie mogę powiedzieć nic więcej. W Berlinie prawdopodobnie nastąpi okres niepokoju, dlatego ze względu na ciągłość władzy będę potrzebował przy sobie zaufanych ludzi, którzy rozumieją międzynarodową rolę Niemiec. Proponuję panu stanowisko młodszego oficera dyplomatycznego w administracji państwowej, ale w praktyce będzie się z nim wiązał duży zakres uprawnień wykonawczych. Nosiłby pan oficjalny tytuł Grupowego do spraw Szkolnictwa i Moralności. *Schule und Moral* to wydział, którym sam kierowałem w Berlinie przez kilka lat, i dzięki sieci powiązań w różnych regionach byłem w stanie kontrolować wszystkie działania wywiadowcze. Stanowisko, które stworzyłem, wkrótce się zwolni. Oznaczałoby to naszą bliską współpracę. Biuro jest bardzo przyjemne, zlokalizowane przy Unter den Linden, na rogu Neue Wilhelmstrasse. Prawdę mówiąc, to dokładnie naprzeciwko

budynku, w którym do niedawna mieściła się ambasada brytyjska. Śmiem twierdzić, że ambasada niedługo wznowi pracę, a bliskość obu instytucji będzie nie tylko zabawna, ale także użyteczna, co sprawdzało się już w przeszłości].

Mogłem tylko wpatrywać się w niego bezrozumnym wzrokiem. Włożył do ust drugie ciastko, przez chwilę je żuł, po czym popił odrobiną kawy.

– [Co pan na to, panie Sawyer?].

– [Proponuje mi pan posadę w Berlinie, Herr Hess?].

– [Mógłbym ją dać dowolnemu z tysiąca albo dziesięciu tysięcy młodzieńców w Niemczech i każdy z nich byłby lojalny wobec naszej sprawy. Jednakże wybiegam myślą do czasów, gdy zawieszenie broni nabierze bardziej trwałego charakteru. Już niedługo Wielka Brytania i Niemcy odegrają istotną rolę w budowie silnej Europy, łącząc się jako dwa dominujące narody współczesnej epoki. Niech pan sobie wyobrazi wspólnotę kultur, które dały światu Goethego i Szekspira, Wagnera i Gershвина. Czekające nas wyzwania wymagają, by najlepsi młodzi ludzie z obu krajów objęli stanowiska w stolicach swoich byłych wrogów. Proponuję jedynie, żeby był pan jednym z pierwszych. Co pan na to powie?].

Gdyby mnie spytał, co o tym myślę, a nie co powiem, natychmiast odpowiedziałbym, że się nie zgadzam. Ale myślenie i mówienie to dwie różne rzeczy.

Hess był irytujący, natarczywy i nieprzyjemny, a jego towarzystwo zmuszało mnie do udawania. Przedstawiając mi te wzniosłe idee, przez cały czas żuł i przetykał lepkie ciastko, wydlubując paznokciem okruchy spomiędzy przednich zębów. Miał także denerwujący zwyczaj stawania zbyt blisko podczas rozmowy, przez co czułem jego oddech oraz woń jakiegoś olejku, którego używał do włosów. Tego dnia nie był ubrany w mundur Luftwaffe, tylko w ciemnoszare spodnie i beżową koszulę oraz schludnie przypięty krawat. Podczas rozmowy co jakiś czas lekko obracał głowę w jedną stronę, a następnie wiódł w moją stronę wzrokiem, co na chwilę upodabniało go do osoby

zdesperowanej, a nawet obłąkanej.

– [Myślę, że potrzebuję czasu do namysłu, Herr Hess].

– [Jak najbardziej. Spodziewałem się takiej odpowiedzi. Nad czym dokładnie musi się pan zastanowić i jak długo to potrwa?].

– [Uwielbiam pracę dla Czerwonego Krzyża i nie brałem pod uwagę odejścia].

– [Tego typu praca nie będzie już potrzebna, gdy zakończy się wojna. W nowej Europie Czerwony Krzyż nie będzie miał racji bytu. Za miesiąc i tak pozostanie pan bez pracy. To z pewnością pana przekonuje].

– [Muszę wziąć pod uwagę także inne kwestie].

– [Proszę je wymienić].

– [Cóż, po pierwsze, jestem żonaty. Moja żona spodziewa się naszego pierwszego dziecka...].

– [Ona również może przyjechać do Berlina. Zabrać dziecko. Nie będzie z tym żadnego problemu].

Nawet jeśli wcześniej jakaś malutka cząstka mnie odczuwała pokusę, teraz zrozumiałem, że propozycja Hessa nie wchodzi w grę. Dopóki naziści będą rządili w Niemczech, niezależnie od wprowadzonych „zmian”, Birgit nigdy nie będzie mogła wrócić do Berlina. Przyszło mi do głowy, że Hess może coś wiedzieć o pochodzeniu Birgit. W końcu twierdził, że kontroluje informacje wywiadowcze. To była niepokojąca myśl w towarzystwie tego potężnego człowieka.

Hess wziął trzecie ciastko, prostokątny kawałek żółtego biskopta pokrytego czymś, co wyglądało na marcepan. Odgryzł połowę, a drugą odrzucił, najwyraźniej niezadowolony ze smaku. Ciastko spadło na podłogę, obok dużego regału na książki. Hess rozejrzał się w poszukiwaniu miejsca, w którym mógłby położyć kawałek, który już miał w ustach, ale w końcu wypluł go na dywan. Dopił kawę, głośno przeplukując nią zęby, a następnie ponownie napełnił filiżankę.

– [Niezależnie od pańskich obiekcji] – ciągnął – [wkrótce i tak przyjedzie pan do Berlina. Niedługo wszystko stanie się możliwe. Na razie nie musi pan podejmować decyzji. Ale ja mogę

powiedzieć, że już się zdecydowałem. Sądzę, że doskonale będzie się nam współpracowało].

– [Dziękuję, Herr Hess].

Miałem nadzieję, że to zakończy nasze spotkanie, ale Hess nagle odwrócił się ode mnie i ponownie podszedł do dużego okna wychodzącego na stajnie.

– [Ach!] – zawołał. – [Mamy ważnych gości. Jakże szybko. Mieli przybyć dopiero za godzinę. Wasze Królewskie Siły Powietrzne są jednak pod pewnymi względami godne zaufania].

Również wyjrzałem przez okno i od razu się zorientowałem, o czym mówi Hess. Tuż ponad sosnowym lasem, mniej więcej pół mili na zachód od posiadłości, nasze pole widzenia przeciął od prawej strony do lewej czterosilnikowy biały wodnopłatowiec. Leciał tak nisko, że przez większość czasu zasłaniały go pobliskie wzgórza.

– [Nie widzę żadnych oznaczeń] – stwierdziłem. – [Dlaczego pan uważa, że to RAF?].

– [Powinniśmy zejść nad jezioro jako komitet powitalny!] – rzucił Hess. – [Ja również niedługo się tam pojawię, ale nie spodziewałem się, że tak szybko przybędą].

Dał mi do zrozumienia, że powinienem wyjść z pokoju. Otworzyłem drzwi i je przytrzymałem. Przekroczył próg, pozostawiając za sobą niewyraźną mgiełkę woni ciała i olejku do włosów. Byliśmy sami na korytarzu. Hess odwrócił się i ponownie ucisnął moją dłoń podobnie bezwładnymi palcami.

– [Musi pan być na miejscu, kiedy pasażerowie opuszczają samolot] – rzekł. – [Spodziewam się, że na pokładzie znajduje się olbrzymia niespodzianka dla pana, panie Sawyer!].

Uniósł jedną dłoń, a następnie pośpiesznie wspiał się po szerokich schodach, pokonując po dwa stopnie naraz.

Pomyślałem, że powinienem czym prędzej poinformować o tym, o czym mi opowiadał Hess, więc szybko udałem się do gabinetu doktora Burckhardta i zapukałem. Gdy nikt nie odpowiedział, uchyliłem drzwi i zajrzałem do środka – pomieszczenie było puste.

Wróciłem do szerokiego korytarza, przypominając sobie, że po jego drugiej stronie, za schodami, znajdują się drzwi prowadzące na zewnątrz. Pośpiesznie przez nie przeszedłem i stanąłem na szczycie podwójnych kamiennych schodów, które prowadziły na idealny okrągły podjazd.

Przedemną rozpościerał się oszałamiający widok. Niemal wszyscy ludzie, z którymi pracowałem w domu, a także wielu innych, naprędce schodzili pochyłym terenem w stronę jeziora. Większość pieszo pędziła po trawie ku drewnianemu pomostowi. Samolot najwyraźniej przybył przed czasem. Dwie czarne limuzyny jechały jedną z alei w stronę mola, co chwila chowając się za drzewami. Biały samolot był już wyraźnie widoczny, a monotonny odgłos jego silników niósł się nad cichym lasem. Maszyna oddalała się od nas, ale leciała nisko wzdłuż olbrzymiego jeziora, które stanowiło część posiadłości.

Szybko zszedłem po schodach i ruszyłem w poprzek pochyłego trawnika w stronę jeziora. W oddali biały samolot zaczynał skręcać, zwracając ku domowi.

Kiedy na niego patrzyłem, uderzyła mnie myśl, która niemal mnie sparaliżowała. Zatrzymałem się, ogarnięty poczuciem osamotnienia.

Przez cały dzień walczyłem z wrażeniem odrealnienia, zakładając, że odczuwam skutki przepracowania i późnej pory. W tygodniach poprzedzających konferencję często się nie wysypiałem. Stale towarzyszyło mi poczucie niesamowitości dotyczące wydarzeń tego dnia: gwałtownych postępów w pracach nad porozumieniem pokojowym, ogromnej posiadłości na uboczu, rozmowy z Rudolfem Hessem. Do tego dochodziły słowa Hessa: niezwykle nacisk na to, że samolot należy do RAF-u, a na pokładzie czeka na mnie niespodzianka.

Podejrzywałem, co to może być za niespodzianka. Bałem się, że mam rację.

Prawie wszystkie moje halucynacje w sposób bezpośredni lub niebezpośredni dotyczyły mojego brata i prowadziły do konfrontacji, która z kolei kończyła się gwałtownym powrotem

do rzeczywistości. Gdy tak stałem w chłodnym północnym blasku słońca, obserwując biały samolot przelatujący tuż nad czubkami drzew, byłem pewien, że gdy wyląduje, okaże się, że za sterami siedzi mój brat.

Zerkałem na urokliwy szwedzki krajobraz, na las, jezioro, potężny dom i swoich rozproszonych współpracowników biegnących na powitanie gości. Jak mógłbym wyobrazić sobie coś tak subtelnego, złożonego, pozornie nieprzewidywalnego? Czy powinienem pozwolić, aby otaczające mnie omamy trwały, czy się z nich wycofać? Już raz postanowiłem czekać, czego ostatecznie żałowałem, ale innym razem skróciłem te doświadczenia, gdy zrozumiałem, czym są. W obu przypadkach miało to dla mnie traumatyczne skutki.

Dwaj negocjatorzy z Towarzystwa Przyjaciół, którzy wchodzili w skład mojego zespołu, wyszli za mną z domu. Po chwili minęli mnie, schodząc długim trawnikiem.

– [Panie Sawyer, nie ma pan ochoty zejść nad jezioro?].

– [Już tam idę] – odparłem, zmuszając się do odrzucenia od siebie rozpaczliwych myśli.

Zrównałem się z nimi krokiem. Niezbyt dobrze ich znałem, chociaż współpracowaliśmy zarówno tutaj, jak i w Cascais. Nazywali się Martin Zane i Michael Brennan, byli byłymi pracownikami budowlanymi z Pittsburga, którzy przeprowadzili się do Wielkiej Brytanii po wybuchu wojny. Zanim zaangażowali się w działania pokojowe Czerwonego Krzyża, pracowali w Londynie w oddziałach ratunkowych. Na początku roku obaj przeszli intensywny kurs niemieckiego, żeby móc współpracować z doktorem Burckhardtem, ale język wciąż sprawiał im kłopoty. Łatwiej byłoby nam rozmawiać po angielsku, obowiązywała nas jednak zasada porozumiewania się tylko w niemieckiej mowie. Dlatego w drodze nad jezioro niemal się do siebie nie odzywaliśmy.

Widzieliśmy ostatnią fazę lądowania wodnopłatowca, który sunął ku nam nisko nad drzewami, a następnie zanurkował w stronę nieruchomej powierzchni jeziora. Miałem wrażenie, że

leci powoli, ale gdy tylko hydrodynamiczny spód maszyny dotknął wody, po obu stronach wystrzeliły olbrzymie fontanny wody, które następnie zostały odepchnięte do tyłu przez śmigła ukryte w długich cylindrycznych osłonach. Samolot długo podskakiwał na wodzie, aż w końcu zwolnił i upodobnił się do niezdarnej łodzi.

Widziałem dwóch pilotów, których nie mogłem zidentyfikować ze względu na hełmy. Siedzieli za nosem maszyny, skąd mogli nią precyzyjnie sterować. Samolot z rykiem silników zakołysał się na boki, zbliżając się do długiego pomostu. Po obu stronach nabrzeża stali mężczyźni z bosakami, ale nie byli potrzebni. Kapitan fachowo zatrzymał samolot, tak że luk znalazł się przy końcu platformy, a prawe skrzydło osłoniło drewniane moło niczym baldachim. Ktoś sprawnie otworzył właz od środka. Na zewnątrz wyrzucono dwie liny, a mężczyźni szybko przywiązali kadłub.

Kiedy silniki umilkły, a śmigła się zatrzymały, zbliżyliśmy się, żeby wyraźniej zobaczyć pasażerów. Z dachu kadłuba, tuż za kokpitem, wysunął się mały maszt, na którym powiewała flaga brytyjska. Nastąpiło niewielkie opóźnienie, gdy schodki wyciągnięte z samolotu przymocowywano do mało stabilnego moła. Tymczasem usłyszałem odgłos silnika samochodu: daimler z odkrytym dachem przemknął nabrzeżną aleją i zatrzymał się obok końca pomostu, wyrzucając żwir spod kół. Z auta wysiadł Rudolf Hess, ubrany w elegancki mundur Luftwaffe, z Żelaznym Krzyżem lśniącem w słabym blasku wieczornego słońca.

U jego boków stali dwaj członkowie jego świty ubrani w czarne mundury SS.

Obaj piloci wodnopłotowca zdjęli hełmy. Oni również wychylali się z kabiny w stronę lądu, obserwując przybycie swoich pasażerów. Wyraźnie widziałem ich twarze. Żaden z nich nie był moim bratem Jackiem.

Kilka chwil później, po starszych oficerach ze wszystkich trzech rodzajów sił zbrojnych, a przed grupą cywilów, na moło wyszedł Winston Churchill. Powoli przeszedł po pomoście, nie

rozglądając się na boki, aż dotarł do księcia Kentu. Wtedy zdjął kapelusz, nisko się uklonił księciu i przez kilka chwil gawędził z nim na osobności.

XXVI

Rudolf Hess i Winston Churchill usiedli obok siebie w sali konferencyjnej. Obaj patrzyli na fotografów, nie zwracając uwagi na siebie nawzajem. Stół, przy którym siedzieli, wcześniej zajmowali negocjatorzy z Czerwonego Krzyża i neutralnych państw. Pozostałe dwa stoły usunięto, ale pozostawiono bukiet kwiatów. Obaj mężczyźni mieli przed sobą oprawiony egzemplarz traktatu, otwarty na pierwszej stronie protokołu. Wyglądało na to, że zamierzają za chwilę podpisać porozumienie, gdyż trzymali w dłoniach nowe wieczne pióra, które specjalnie na tę okazję dostarczył im Czerwony Krzyż.

Dwaj fotografowie nachylili się w ich stronę – błyski oślepiły wszystkich w pomieszczeniu. Fotografowie cofnęli się do bocznego stołu, zabierając swój sprzęt, wyrzucili spalone żarówki i wcisnęli na ich miejsce nowe. Potem wrócili do stołu, przy którym czekali Hess i Churchill. Zrobili podobne zdjęcia, ale tym razem z innych pozycji. Kiedy ponownie wymienili żarówki, negocjatorzy i pomocnicy zapozowali do grupowego zdjęcia za plecami Hessa i Churchilla. Jako że jestem wysoki, stałem w tylnym rzędzie, blisko lewego końca, pomiędzy Martinem Zane'em a Michaelem Brennanem, mniej więcej siedem miejsc od doktora Burckhardta. Na zdjęciu widać, że się uśmiecham, jak wszyscy inni na fotografii; oczywiście oprócz Churchilla i Hessa. Blask lampy odbił się od okularów Churchilla, ukrywając jego oczy za dwoma krążkami refleksów.

Kiedy fotografowie odeszli, zostaliśmy za plecami dwóch mężów stanu, jako oficjalni obserwatorzy podczas podpisywania traktatu sztokholmskiego. Churchill najpierw podpisał dokument przygotowany po niemiecku; Hess podpisał jego angielskojęzyczną wersję. Kiedy podpisy wysuszono za pomocą

rolek z bibułą, obaj politycy wymienili się wersjami traktatu i podpisali dokument sporządzony w ich ojczystym języku.

Hess odłożył swoje pióro na stół. Churchill obrócił zakrętkę na własnym piórze, a następnie starannie schował je w kieszeni na piersi marynarki i poklepał palcami.

Obaj mężczyźni dalej siedzieli obok siebie, wpatrując się w dal. Jeden z przedstawicieli Czerwonego Krzyża podszedł do stołu i obrócił obie wersje traktatu, otwierając je na stronie dla świadków. Pozostali uczestnicy spotkania kolejno przystawali przed dwoma mężczyznami stanu, nachylali się nad oprawionymi egzemplarzami i zaświadczały, że widzieli, jak podpisano porozumienie. Umieściłem swoje nazwisko na końcu listy, po czym dodałem swój podpis oraz datę: 12 maja 1941. Kiedy to robiłem, drżałem, niemal przytłoczony emocjami, które towarzyszyły tym niezwykle istotnym wydarzeniom.

W końcu dodano podpis ostatniego świadka, a dr Burckhardt dał znać dwóm politykom, że ceremonia dobiegła końca. Obaj wstali. Hess był co najmniej sześć cali wyższy od Churchilla.

Odwrócił się w jego stronę, strzelił obcasami i wyciągnął dłoń.

– [Panie premierze Churchill, to wielki zaszczyt móc podpisać razem z panem tak historyczne porozumienie. Miejmy nadzieję, że właśnie jesteśmy świadkami, jak rodzi się nowe przeznaczenie naszych wielkich europejskich narodów!].

Churchill nic nie odpowiedział, tylko trzymał dłoń zatkniętą za klapę płaszcz. Uświadomiłem sobie, że premier nie zna niemieckiego – albo chce sprawiać takie wrażenie – więc zagadnąłem:

– Panie premierze, czy chciałbym pan, żeby dla pana tłumaczył?

– Gdyby pan mógł – odrzekł Churchill, nie odrywając wzroku od Hessa.

Przetłumaczyłem słowa Niemca.

Churchill odpowiedział natychmiast.

– Herr Hess, lepiej miejmy nadzieję, że nasze porozumienie okaże się trwalsze niż to, które zawarliście z Rosjanami.

- [Co pan powiedział?].
- Twierdzi, że nie zrozumiał, panie premierze – poinformowałem Churchilla. – Czy mam mu przetłumaczyć pańskie słowa?
- Wiem, że zastępca Führera doskonale zna angielski.
- Trzecia Rzesza dąży do pokoju w dobrej wierze – odparł Hess, udając autentyczne zaskoczenie i zmieszanie.
- Przejrzałem waszą grę, Herr Hess. Za kilka tygodni, kiedy skupicie swoją agresję na wschodzie, cały świat również się dowie, co planujecie.
- Nie ma takiej potrzeby! – zawołał Hess po angielsku.
- Istnieje potrzeba zakończenia wojny między naszymi krajami i udało nam się to osiągnąć. Co pan postanowi zrobić dalej, to już pańska sprawa. Mogę tylko zapewnić, że jeśli od tej pory chociaż jeden patyk bądź kamyk spadnie na teren Wielkiej Brytanii lub naszej Wspólnoty albo na teren któregośkolwiek z naszych sojuszników wyzwolonych za sprawą zawieszenia broni, spotka was wściekły odwet o niezrównanej sile. – Churchill żwawo obrócił się na pięcie, po czym zupełnie innym tonem odezwał do doktora Burckhardta: – Dziękuję panu za to, czego pan dokonał. W imieniu księcia zapowiadam, że nie możemy się doczekać wspólnej kolacji z panem.
- Ruszyli w stronę wyjścia, pozostawiając Hessa. Pokój został przypieczętowany, ale bez uścisku dłoni.

XXVII

Kolację podano w sali bankietowej posiadłości, a wszyscy zaangażowani w negocjacje zasiedli przy ogromnym stole, który zajmował całą długość pomieszczenia. W ciągu poprzednich dwóch dni panował swobodny nastrój, jednakże przybycie Churchilla najwyraźniej podzieliło członków obrad na trzy grupy. Premierowi udało się wprowadzić chłodną, niemal wrogą atmosferę pomiędzy dwiema głównymi stronami, mimo że przed jego przyjazdem wszyscy delegaci swobodnie spędzali ze sobą

czas. Razem z księciem Kentu, ambasadorami, szefami sztabu oraz sekretarzami z Ministerstwa Spraw Zagranicznych siedział przy jednym końcu stołu. Przy drugim końcu miejsca zajęła podobnie liczna świta Hessa. Przedstawiciele neutralnych państw, pomocniczy negocjatorzy oraz członkowie zespołu zajmującego się dokumentacją znaleźli się pośrodku.

Churchill siedział po przeciwnej stronie stołu, w odległości mniej więcej piętnastu miejsc ode mnie. Pomimo niezbyt pochlebnej opinii o jego wojowniczej naturze, czułem się oszołomiony jego obecnością. Chociaż byłem osobiście zaangażowany w przygotowanie traktatu, chyba nigdy nie wierzyłem, że Churchill zgodzi się go podpisać. A jednak właśnie zakończyliśmy cały proces. Nawet podczas kolacji zespoły konstytucjonalistów z Niemiec i Wielkiej Brytanii pracowały w innej części budynku, nadając tekstowi formę prawną, przygotowując go do ujawnienia opinii publicznej. Churchill sprawiał wrażenie pogrążonego w rozmowie z księciem, ale nie mogłem nie zauważyć, że od czasu do czasu posyłał mi bezpośrednie i zdecydowane spojrzenia, które wyprowadzały mnie z równowagi.

Hess i jego grupa wyszli bez ostrzeżenia w połowie posiłku. Podczas pierwszych dwóch dań Hess zażarcie dyskutował ze swoimi ludźmi. Nawet nie dokończyli dziczyzny. Nie odzywając się do nikogo innego przy stole, nagle wstali, szorując krzesłami po podłodze. Następnie pośpiesznie ruszyli do wyjścia.

Przy drzwiach Hess się odwrócił, stuknął obcasami i uniósł prawą rękę w nazistowski salut. W sali zapadła cisza. Hess przez chwilę utrzymał swoją pozę.

– *Heil Hitler!* – zawołał w końcu i wymaszerował z sali.

– Dobry Boże – odezwał się Churchill, przerywając ciszę.

Odwrócił się z powrotem w stronę księcia, żeby kontynuować ich przyjazną rozmowę. Atmosfera w pomieszczeniu wyraźnie się rozluźniła.

Skoro zakończyliśmy negocjacje, zacząłem z niecierpliwością myśleć o powrocie do domu. Nie wiedziałem, jaką jeszcze pracę

mógłbym wykonać dla Czerwonego Krzyża, ale nie dało się ukryć, że nie mogłem samodzielnie wrócić do Anglii. Próbowałem dowiedzieć się od osób siedzących w pobliżu, kto zabierze nas do domu, ale nikt nic nie wiedział.

Na zakończenie kolacji Winston Churchill wstał i wygłosił krótką przemowę. Bardzo czekałem na tę chwilę, zdając sobie sprawę, że mogę być świadkiem wypowiedzenia historycznych słów. Jednakże, gdy tylko premier zaczął mówić, stało się jasne, że nie ma zamiaru silić się na krasomówstwo. Prostym językiem pogratulował nam naszej pracy i stwierdził, że pomimo złej woli nazistowskich przywódców ufa w trwałość i szczerłość zawartego traktatu pokojowego. Wyjaśnił także, że musi jak najszybciej wrócić do Londynu. Po tych kilku słowach usiadł pośród życzliwych oklasków. W jakiś niezauważalny sposób zmienił przebieg obrad: międzynarodowa konferencja pokojowa zmieniła się w uroczystość Churchilla.

Wkrótce spakowaliśmy rzeczy osobiste, a samochody zawiozły nas do naszego hotelu w Sztokholmie. Kiedy po raz ostatni przechodziłem przez główną salę konferencyjną, zobaczyłem tam Winstona Churchilla. Przerwał rozmowę i podszedł do mnie, pozostawiając za sobą ślad dymu z cygara. Niósł pękaty kieliszek do brandy, w którym wirowała obfita porcja trunku.

– Pamiętam pana z naszego spotkania w Domu Admiralicji w zeszłym tygodniu – odezwał się bez żadnych wstępów. – Nazywa się pan J.L.

Sawyer, czy tak?

– Zgadza się, panie premierze.

– Zadam panu pytanie, panie Sawyer. Pańskie nazwisko obito mi się o uszy jeszcze przed naszym spotkaniem. Pojawiło się jakieś zamieszanie odnośnie do pana osoby, które doktor Burckhardt już chyba wyjaśnił, ale chciałbym to usłyszeć również z pańskich ust. Otóż twierdzi on, że ma pan brata albo innego krewnego, który tak samo się nazywa.

– Mam brata, panie Churchill. Jesteśmy bliźniakami jednojajowymi. – Pobieźnie wytłumaczyłem kwestię

podobieństwa naszych inicjałów.

– Rozumiem. Czyli pański brat służy w siłach powietrznych?

– Tak, panie premierze.

– I to on jest żonaty?

– Nie, z tego, co mi wiadomo, wciąż jest kawalerem.

– A zatem to pan jest żonaty. Z Niemką?

– Moja żona jest naturalizowaną obywatelką Wielkiej Brytanii, panie Churchill – dodałem szybko. – Przyjechała do Anglii przed wybuchem wojny, a pobraliśmy się pięć lat temu.

Churchill pokiwał głową ze współczuciem.

– Chyba rozumiem, co pana niepokoi. Nie musi się pan już martwić o sytuację swojej żony. Ale muszę przyznać, że bawi mnie zamieszanie spowodowane przez panów nazwisko, ponieważ mnie również przydarzyło się coś podobnego. Gdy byłem młodszy, odkryłem, że na świecie żyje inny Winston Churchill, w tym przypadku Amerykanin. Był powieściopisarzem, i to nawet dobrym. Obaj pisywaliśmy książki, więc zanim się zorientowałem, nieświadomie wywołałiśmy nie lada mętlik. Od tamtej pory przed nazwiskiem używam inicjału S – od Spencer – ale tylko w książkach.

Wydawało się, że Churchill jest w towarzyskim i gadatliwym nastroju, i chociaż podczas kolacji ostrzegł, że musi czym prędzej wracać do Londynu, nie odniosłem wrażenia, że się śpieszy. Dlatego poruszyłem temat, który nie dawał mi spokoju.

– Panie premierze, czy uważa pan, że Niemcy naprawdę zamierzają dotrzymać porozumienia pokojowego?

– Owszem, panie Sawyer. Jak pan wie, impuls do zawarcia pokoju wypłynął z ich strony. Hessowi najwyraźniej zależało na tym, żebyśmy padli sobie w ramiona jak bracia odnalezieni po latach. To nie jest w moim stylu. Chociaż będę się dogadywał z nazistami, to nie zamierzam ich później ścisnąć.

– Kiedy wychodził, sprawiał wrażenie wściekłego.

– Rzeczywiście. Ale jeśli to pana pocieszy, mogę zapewnić, że pokój już wszedł w życie. Jako że jest pan w Szwecji, zapewne pan nie wie, że w sobotnią noc Londyn doświadczył jak dotąd

najsilniejszego bombardowania, które spowodowało straszliwe zniszczenia i zabiło wielu ludzi. Jednakże od tamtej pory ani jeden niemiecki samolot nie przekroczył kanału La Manche. Tamtej nocy my również przeprowadziliśmy potężne naloty na terenie Niemiec, ale na nich poprzestaniemy. U-Booty zaprzestały wszelkiej działalności na Atlantyku. Wojna na pustyni ustała. Nasza marynarka wojenna wciąż przeprowadza patrole, samoloty stale są w powietrzu, a wszystkie oddziały zachowują czujność, ale od niedzielnego popołudnia nie doszło do żadnych wrogich działań. Jako że jeszcze nie ustaliliśmy, w jaki sposób ogłosimy zawieszenie broni, wojna teoretycznie nadal będzie trwała, jednak w praktyce rozejm obowiązuje od ponad dwudziestu czterech godzin.

Pan Churchill jeszcze raz zamieszał swoją brandy, a następnie przyłożył krawędź kieliszka do ust.

– To dlatego Hess właśnie tak się zachował? – spytałem.

– Nie wiem. Może dlatego, że nie chciałem ucisnąć jego zakrwawionej dłoni. – Churchill zachichotał. – Podejrzewam, że niedługo będziemy mieli do czynienia z mroczniejszymi postępkami, a sposób, w jaki Hess opuścił obrady, był przedstawieniem odegranym specjalnie dla nas. Większość ludzi obawia się nazistów, ale ja uważam ich za nudnych, skoro już przestali nam zagrażać. Ale to mi o czymś przypomina. Wojna się skończyła, więc musi pan poszukać nowej pracy. Mam dla pana propozycję. Potrzebujemy organizatora o szczególnych umiejętnościach, który będzie pilnował brytyjskich interesów w Berlinie. To by była praca w administracji, dotycząca przeniesienia tych wszystkich ludzi na Madagaskar. Niezwykle odpowiedzialna, ale doktor Burckhardt twierdzi, że należy ją powierzyć komuś tak wyjątkowemu jak pan.

Słuchałem jego słów z niezwykłym poczuciem déjър vu.

– Naprawdę nie wiem, panie premierze – odrzekłem, wciąż mając świeżo w pamięci argumenty przeciwko takim przenosinom. – Potrzebuję trochę czasu do namysłu. Muszę brać pod uwagę swoją żonę oraz zamieszanie...

– Rząd potrafi się zajmować takimi sprawami. Zostałby pan przydzielony do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i pracował w ambasadzie brytyjskiej, ale nie byłaby to nominacja dyplomatyczna. Podlegałby pan bezpośrednio premierowi.

– Panu?

– Osobie pełniącej funkcję, którą obecnie piastuję. Jak pan pamięta, po upływie tego tygodnia stracę stanowisko. – Zaczerwieniłem się, uświadamiając sobie swoją gafę, ale Churchill nie zwrócił na to uwagi. – Oczywiście damy panu czas do namysłu. Nie musimy ogłaszać nominacji przed przyszłym miesiącem, a praca rozpocznie się dopiero w sierpniu.

Churchill wsadził cygaro do ust i się oddalił.

Fragment przemówienia premiera na antenie stacji radiowej BBC, wygłoszonego o godzinie 18.00 we wtorek 13 maja 1941 roku; pełna wersja znajduje się w biuletynie Hansard z dnia 13 maja 1941 roku:

Pan Winston Churchill: Tego popołudnia o czternastej miałem zaszczyt i przywilej poinformować parlament, że wojna pomiędzy Wielką Brytanią a Niemcami dobiegła końca. Właśnie wróciłem ze Sztokholmu, gdzie podpisałem pełne zawieszenie broni z niemieckim rządem. Nie może być ważniejszych ani lepszych wieści niż zapowiedź pokoju. Osiągnęliśmy wszystko, o co walczyliśmy przez ostatnie półtora roku, pomimo straszliwych trudności. Nasz kraj przetrwał największą zbrojną napaść w historii. Widzieliśmy, jak wróg pali nasze miasta, rujnuje katedry, niszczy domy. Z konieczności żyliśmy w ciemności i strachu, nasłuchując warkotu silników wrogich samolotów.

Przez ostatnie dwanaście miesięcy, po upadku naszych sojuszników w Europie, Wielka Brytania wspólnie z przyjaciółmi z Imperium, którzy przyszli nam z pomocą, jako jedyna przeciwstawiała się pladze hitleryzmu. Nie cofnęliśmy się przed obowiązkiem, jaki nałożyła na nas historia.

Naszemu pokoleniu zwyczajnych mężczyzn i kobiet przypadło w udziale z niezachwianą determinacją stawić czoło nazistom. Zrobiliśmy to, ponieważ musieliśmy. Zrobiliśmy to bez sprzeciwu, z odwagą i niezmordowaną energią. Zrobiliśmy to, gdyż prowadziły nas marzenia o pokoju, nadzieja oraz pragnienie lepszego świata. Zrobiliśmy to, ponieważ nikt inny nie mógł nas wyręczyć.

Herr Hitler i jego legiony przemaszerowały przez Europę. Byli strasliwym wrogiem: srogim, bezlitosnym, potężnie uzbrojonym i wyzutym z ludzkich uczuć. Ostatecznie jednak powstrzymaliśmy Hitlera na francuskim wybrzeżu Kanału Angielskiego. Zeszłego lata, sądząc, że to jedynie krótka przerwa w jego wielkim pochodzie, Hitler osobiście udał się do Francji. Stał na Pas-de-Calais i popatrzył ponad wodami wąskiego kanału na nasze białe urwiska, tak bliskie, a zarazem tak dalekie. Sięgnął ku nim, chcąc je zagarnąć. Właśnie wtedy wreszcie napotkał godnych przeciwników. Niezlomnego ducha Anglików, Walijczyków i Szkotów, którzy powstali bez wahania, gotowi stracić wszystko, ale zdeterminowani, by nie utracić niczego, gotowi na ofiarę, ale głodni zwycięstwa. Prawdę mówiąc, początkowo mogliśmy przeciwstawić Hitlerowi jedynie nasze pięści. Męstwo brytyjskiej rasy nigdy nie było lepiej widoczne ani bardziej podziwiane. To była godzina naszego triumfu, najwspanialszy rok, światelko w tunelu. Nasza mała wyspa, chociaż zdruzgotana, bombardowana i oblężona, pozostała wolna. Jest wolna także teraz. I pozostanie taka na zawsze.

Hitler walczył na próżno. Nie zwyciężył. Nie ulegliśmy jego groźbom, nie ukryliśmy się przed bombami, nie uciekliśmy przed pociskami. Wciąż tutaj jesteśmy, zjednoczeni jak zawsze. Naszą nagrodą jest honorowe porozumienie pokojowe.

My, Brytyjczycy, niełatwo wpadamy w gniew i szybko przebaczymy. Jesteśmy pogodni, optymistyczni, kochamy nasze domy, rodziny, uwielbiamy nasze wiejskie okolice. Czasami wprawiamy naszych przyjaciół w osłupienie, bywamy ekscentryczni nawet dla siebie nawzajem. Jesteśmy wyspiarską rasą, która przyniosła swoją kulturę reszcie świata. Jednakże, jak przekonali się Herr Hitler i jego towarzysze, jesteśmy także twardzi, dzielni i zaradni. Nie ulegamy groźbom. Nie wpadamy w panikę. Nie poddajemy się. Nie da się nas siłą zmusić do uległości. Kiedy rzuci się nas na ziemię, natychmiast się zrywamy ze zdwojoną energią, jeszcze bardziej wściekli, groźni i zdeterminowani, żeby walczyć za to, w co wierzymy.

Rok temu obiecałem wam, że jeśli przetrwamy tę walkę, życie świata wkroczy na rozległe, słoneczne wyżyny. Teraz nareszcie stajemy przed taką perspektywą.

Nie dążyliśmy do tej wojny ani jej nie chcieliśmy. Nie mogła nam przynieść żadnego zysku. Nie myśleliśmy o zdobyczach terytorialnych. Nie mamy żadnych uprzedzeń wobec zwykłych obywateli Niemiec. Walczyliśmy tylko o wolność. Nie mieliśmy zamiaru pozwolić, żeby naziści nami pomiatali, i nie widzieliśmy powodu, by ktokolwiek inny miał cierpieć taki los. Dlatego zwarliśmy szeregi, gdy sytuacja tego od nas wymagała. Ośmieliliśmy się stawić stanowczy opór, walczyć bez względu na cenę. Ponieśliśmy ofiarę, a teraz nasze cierpienie dobiegło końca. Przetrwaliśmy najmroczniejsze godziny, jakich zaznała nasza ojczyzna, i one tylko nas wzmocniły.

Na początku wspomniałem, że nie może być lepszych wieści niż zapowiedź pokoju. Mam jednak dla was jeszcze jedną wiadomość, którą być może uznacie za jeszcze cenniejszą. Dziś po południu, zanim udałem się do parlamentu, dotarła do mnie informacja o istotnych i trwałych zmianach w Niemczech. W nagłym przypływie rozsądku obywatele Niemiec odsunęli od władzy Adolfa Hitlera, w samą porę. Jeszcze nie wiemy, jaki los go spotka, ale też nie staramy się tego dowiedzieć. Krzyżyk na drogę, i jestem pewien, że mówię te słowa w imieniu nas wszystkich. Człowiekiem, który zastąpił Herr Hitlera na stanowisku kanclerza Niemiec, jest Rudolf Hess, jeden z sygnatariuszy zawieszenia broni, które zawarliśmy. Możemy być pewni, że porozumienie pokojowe się utrzyma. Z doświadczenia wiem, że stosunki z Herr Hessem nie będą łatwiejsze niż z jego poprzednikiem, ale przynajmniej nie będziemy musieli z nim walczyć.

Zatem mamy wyjątkową okazję do uczczenia chwały naszej ojczyzny, i z tego powodu ogłaszam jutrzejszy dzień świętem państwowym. Jutro świętujcie z zasłużoną i niczym nieskrępowaną radością, gdyż na to zasłużyliście. Jednakże dzisiaj, w ramach wstępu, możemy odwrócić się plecami do

niedawnej przeszłości w prostym geście wolności. Wieczorem zapalcie światła w domach, rozsuńcie zaślony i szeroko otwórzcie okna. Niebezpieczeństwo minęło. Niech świat dowie się, gdzie żyjemy, i ponownie zobaczy, jacy naprawdę jesteśmy. Niech żyje wolność. Naprzód, Brytanio! Boże, chroń króla!

Z odręcznych notatek J.L. Sawyera:**XXVIII**

Nasz zespół negocjacyjny wrócił do Anglii następnego dnia po wyjeździe Churchilla. Ogromny biały hydroplan długo rozpędzał się po gładkiej tafli jeziora Stora Värten, po czym wzbił się w niebo. Powoli zatoczył obszerny, płytki łuk nad wiejskimi drzewami oraz stromymi dachami Sztokholmu. Na pokładzie maszyny panowała ogólna euforia. Prawie nie siedzieliśmy na swoich miejscach podczas lotu, ale przez większość czasu tłoczyliśmy się podnieceni w wąskim przejściu, zapalczywie rozmawiając o tym, co osiągnęliśmy, jak nam się to udało oraz jakie nadzieje wiążemy ze świetlaną przyszłością, którą pomogliśmy zbudować.

Kiedy mniej więcej trzy godziny później pilot oznajmił, że lecimy wzdłuż brytyjskiego wybrzeża, przeniosłem się na jedno z siedzeń przy oknie i z radością popatrzyłem na zielony wiejski krajobraz, linię białych grzywaczy, gładkie błękitne morze. Znajdowaliśmy się gdzieś nad kanałem i podążaliśmy wzdłuż południowego wybrzeża Anglii, nisko nad falami i niedaleko lądu. Widziałem niewielkie nadmorskie kurorty, wysokie białe urwiska, dalekie równiny. Tego słonecznego dnia, z pokładu samolotu nasz kraj sprawiał zadziwiające wrażenie całego, niezniszczonego przez wojnę. Wiedziałem, że z bliska rzeczywistość wygląda zgoła odmiennie, ale w tej chwili mogłem ujrzeć Anglię taką, jaką była kiedyś i jaką będzie w przyszłości.

Kiedy znajdowaliśmy się niedaleko Southampton, na niebie

ponad nami pojawiła się grupa spitfire'ów RAF-u. Zanurkowały obok nas, hasając i robiąc becзки, okrążając nas raz za razem, gdy powoli lecieliśmy ponad falami. Trzymały się nas przez całą drogę aż do cieśniny Solent, zapewniając nam radosną eskortę. Kiedy zaczęliśmy się przygotowywać do lądowania, oddaliły się, uformowały w kształt długiej litery V, po czym jeszcze raz przemknęły ponad nami. Wyraźnie słyszeliśmy ryk ich silników wewnątrz naszej kabiny. Potem zniknęły nad lądem, a nasz powolny, niezdarny wodnopłatewiec usiadł, hałaśliwie podskakując, na pofalowanej powierzchni Southampton Water.

Pół godziny później, gdy zeszlismy na brzeg z wojskowej motorówki, niewielki tłum powitał nas grzecznymi oklaskami. W lekkiej mżawce dopełniliśmy formalności związanych z powrotem, wciąż nie dowierzając, że wyraźna poprawa nastrojów w kraju, którą już wyczuwaliśmy, jest czymś trwałym.

Pragnąłem wrócić do domu, zobaczyć się z Birgit, spędzić z nią ostatnie dni przed narodzinami naszego dziecka, ale problemy z przemieszczaniem się po Wielkiej Brytanii w czasie wojny jeszcze się nie zakończyły. Rząd bezzwłocznie ogłosił święto państwowe – Dzień Pokoju w Europie – i nie było żadnych pociągów, autobusów ani innych prostych i niedrogich sposobów na opuszczenie Southampton przed następnym rankiem.

Musiałem więc spędzić poza domem kolejną noc. Czerwony Krzyż znalazł dla nas pokoje w niewielkim hotelu położonym z dala od centrum miasta. Port oraz duża część dzielnicy biurowej zostały zniszczone podczas Blitzu, dlatego wybór noclegów nie był szeroki. Postanowiłem jak najlepiej wykorzystać ten czas. Gdy tylko zostawiłem torbę w pokoju, zszedłem na dół w poszukiwaniu pozostałych członków delegacji.

Na dole głównych schodów zobaczyłem wysoką postać, która wyglądała przez okno. Mężczyzna miał na sobie wojskowy mundur i trzymał czapkę pod lewym łokciem. Kiedy usłyszał moje kroki na schodach, obrócił się i dyskretnie do mnie zbliżył, gdy chciałem go minąć.

- Pan Joseph Sawyer? – spytał.
- Zgadza się. – Poczuję pierwszy dreszcz niepokoju.
- Jestem pułkownik Piggott, przydzielony do Grupy 1. Królewskich Sił Powietrznych w Lincolnshire. Chciałbym porozmawiać z panem na osobności. To zajmie nie więcej niż kilka chwil.
- Chodzi o Jacka, prawda? – odparłem od razu, reagując na jego ponury ton głosu. – Ma pan dla mnie złe wieści dotyczące mojego brata.
- Oficer wskazał drzwi prowadzące do niewielkiego salonu. Przytrzymał je, przepuszczając mnie przodem, a następnie zamknął drzwi za nami. Wszystko w jego zachowaniu zapowiadało, że ma do przekazania najgorsze wieści.
- Obawiam się, że rzeczywiście chodzi o pańskiego brata.
- Czy poległ?
- Nie, na szczęście żyje, ale został ciężko ranny.
- Jak poważny jest jego stan?
- Odniósł rozległe obrażenia, ale obecnie jego życiu nic nie zagraża. Nie widziałem się z nim osobiście, ale udało mi się porozmawiać z lekarzem, który go prowadzi. Pański brat jest w szpitalu, gdzie podano mu środek uspokajający. Jest młody i silny, więc lekarze uważają, że z czasem wróci do pełnej sprawności.
- Może mi pan powiedzieć, jakie odniósł obrażenia?
- Nie znam wszystkich szczegółów, panie Sawyer, ale powiedziano mi, że między innymi ma złamaną nogę, popękane żebra, stłuczoną czaszkę oraz liczne skaleczenia i siniaki. Został ranny, gdy zestrzelono jego samolot. Spędził około osiemnastu godzin w szalupie ratunkowej, zanim został uratowany. Taki los często spotyka lotników. Gdybyśmy tylko potrafili ich odnajdować i transportować do szpitala, zanim spędzą zbyt dużo czasu wystawieni na działanie żywiołów, mogliby szybciej wracać do zdrowia. Ale robimy co możemy.
- Kiedy to się stało?
- Jego samolot zestrzelono w sobotnią noc, tuż przed niedzielą

rano. Pański brat brał udział w skutecznym nalocie na Hamburg, gdy jego Wellington został trafiony przez dział przeciwlotnicze. Z jego samolotu ocalała jeszcze tylko jedna osoba. Nawigator, o ile się nie mylę.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu. Pułkownik grzecznie dotrzymywał mi towarzystwa, podczas gdy starałem się jakoś przyswoić te wieści.

„To ostatni nalot podczas tej wojny”, powiedział Churchill. „Ostatni, który przeprowadzimy”, zapewnił.

XXIX

Od czasu mojego wypadku podczas nalotu na Londyn, sześć miesięcy wcześniej, nie tknąłem ani kropli alkoholu. Miałem ku temu konkretny powód: nie miałem pojęcia, co wywołuje moje halucynacje, ale często pojawiały się, gdy byłem ospały i rozproszony. Intuicja podpowiadała mi, że picie może zwiększyć prawdopodobieństwo ataku. Nie miałem większych problemów z zachowaniem trzeźwości. W niektórych okolicznościach – na przykład w Sztokholmie, gdzie wznoszono liczne toasty szampanem, żeby uczcić podpisanie porozumienia pokojowego – udawało mi się bez trudu znaleźć bezalkoholowy zamiennik.

Jednakże ta pierwsza noc pokoju była szczególna dla każdego: Dzień Pokoju w Europie, najlepszy czas na nieskrępowaną zabawę.

Kiedy pułkownik Piggott się oddalił, próbowałem zdecydować, czy powinienem zadzwonić do swoich rodziców (którzy nie mieli pojęcia, gdzie byłem i czym się zajmowałem przez ostatni tydzień), czy raczej zrezygnować z planów na wieczór i znaleźć jakiś sposób na dotarcie do szpitala, w którym leży JL. W hotelowym holu znalazłem książkę telefoniczną i wykreciłem numer rodziców. Nikt nie odebrał. Podejrzywałem, że pojechali odwiedzić Jacka w szpitalu. Stałem niepewnie w holu obok recepcji, zastanawiając się, co dalej począć, gdy zauważył mnie Mike Brennan, kwakier i doradca z Pittsburgha. Wtedy

pozbyłem się wszelkich wątpliwości i oporów.

W towarzystwie pięciu innych członków sztokholmskiego zespołu, Mike i ja wyruszyliśmy do miasta na długie wieczorne świętowanie. Zaczęliśmy w pubie obok hotelu, a następnie podążyliśmy za olbrzymim tłumem, który zaczął się gromadzić w zniszczonym przez bomby centrum. Wyglądało na to, że wszyscy mieszkańcy miasta oddawali się nocnym hulankom, jakich nie zaznali od wielu miesięcy albo lat. O dwunastej w nocy znaleźliśmy się na East Street, przed potężnym, mrocznym gmachem galerii sztuki, ściśnięci przez rozkrzyczaną, machającą, tańczącą, spoconą ludzką ciżbę. Kościelny zegar wybił północ; wiwatowaliśmy i wrzeszczeliśmy, gdy wszystkie budynki rozjarzyły się światłami, obronne szperacze po raz ostatni przecięły niebo, a w powietrzu huknęła pożegnalna buntownicza kanonada dział przeciwlotniczych.

XXX

Ranek, jak można się było spodziewać, zdominowały wyrzuty sumienia, jęki bólu oraz nowe postanowienia o życiu w trzeźwości. Ku swojemu zaskoczeniu obudziłem się w swym hotelowym łóżku, do którego jakimś cudem znalazłem drogę bądź zostałem doprowadzony.

Pochyliłem się nad małą umywalką, oplukałem włosy wodą, po czym dokładnie wytarłem je ręcznikiem. Potem umyłem twarz oraz ręce i energicznie się osuszyłem. Powoli i starannie włożyłem ubranie.

W połowie poranka znalazłem się w pociągu, który zmierzał na północ, oddalając się od Southampton. Byłem słaby, lecz powoli wracałem do siebie. Przez cały ranek miałem lekkie mdłości, ale przed południem poczułem się lepiej. Już dawno nie miałem kaca. Czułem się oderwany od rzeczywistości, owinięty całunem otepiałych uczuć. Kiedy popatrzyłem na niektórych współpasażerów, zrozumiałem, że nie jestem jedyny. To był pamiętny wieczór, przynajmniej ta jego część, którą pamiętałem.

Pociąg dotarł do Manchesteru późnym popołudniem. Przeciąłem hol dworca przy London Road, gdzie kończyły bieg podmiejskie pociągi. Byłem potwornie głodny, ponieważ zrezygnowałem ze śniadania w hotelu, a potem odkryłem, że w pociągu nie można kupić niczego do jedzenia. Bar z przekąskami był zamknięty. W olbrzymim holu było ciepło, a w powietrzu unosiły się para oraz węglowa woń lokomotyw. Zdażyłem na kilka minut wyjść na drogę dojazdową do dworca. Wciągałem do płuc czyste powietrze, patrząc na opuszczony krajobraz zrujnowanych i spalonych budynków.

W końcu złapałem regionalny pociąg do Macclesfield.

XXXI

Oto zbliża się ostatnia część mojej opowieści, której niemal nie sposób zapisać.

Byłem rozchwiany emocjonalnie ze względu na pijaństwo poprzedniej nocy, długą podróż koleją, brak jedzenia oraz ogólne wyczerpanie. A być może przede wszystkim przez zdumiewające porozumienie pokojowe, które podpisano, oraz fakt, że pomogłem je przygotować. Nie byłem gotowy na to, co miało się wydarzyć.

Jednakże początkowo nieco się uspokoilem. Macclesfield nie zmieniło się zbytnio od czasu, gdy po raz ostatni je widziałem: w ostatnich dniach wojny nie spadły na nie żadne bomby. To była okolica dużych fabryk i przędzalni jedwabiu, położona u podnóża dzikich zboczy Penninów. W Macclesfield, miasteczku wąskich mrocznych uliczek biegnących pod rozległym błękitnym niebem, wyczuwało się wyjątkową północno-angielską atmosferę przemysłu oraz wrzosowisk. Otaczał mnie swojski klimat.

Opuściłem dworzec, przeszedłem tunelem dla pieszych, w którym kiedyś mnie napadnięto, a następnie wyszedłem na Silk Road. Dokładnie naprzeciwko mnie długa i prosta Moor Road wspaniała się ku Rainow.

Żwawo ruszyłem w górę wzniesienia, ciesząc się, że ponownie

mam okazję rozruszać mięśnie. Zaczęłam snuć plany na przyszłość. Widziałem wszystko w pozytywnych barwach wyzdrowienia i ożywienia. Moje troski, lęk oraz nienawiść wobec wojny usunęły się w cień wraz z nastaniem pokoju. Wkrótce miało się urodzić dziecko i zaprowadzić w naszym codziennym życiu nieprzewidziane zmiany. Birgit i ja mogliśmy mieć więcej dzieci, przeprowadzić się do większego domu. Jack wyliże się ze swoich obrażeń, a wtedy pojawi się szansa na pojednanie. Skoro skończyła się wojna, mogłem poszukać prawdziwej pracy, może nawet przyjąć propozycję Churchilla i zatrudnić się na rządowej posiadzie w Berlinie. Wszystko znów było możliwe.

Dotarłem do miejsca, w którym mogłem wybrać dalszą drogę: wciąż iść główną ulicą, wspinając się na wzgórze, a następnie, mniej więcej ćwierć mili dalej, skręcić w wiejską drogę, która prowadziła do alejki biegnącej obok naszego domu, albo przeciąć dwa pola, oszczędzając kilka minut i omijając część długiego podejścia. Przypomniałem sobie swoją ostatnią wędrowkę przez pola: to było podczas mojej pierwszej wizji. Zatrzymałem się przy żelaznej bramie. Skojarzenia wciąż były niezwykle silne. Bałem się powtórki tego, co wydarzyło się wcześniej. Zaczęłem się wspinać ulicą, poszukując normalności. Tędy zawsze jeździłem rowerem, kiedy pracowałem w Manchesterze. Wspinaczka była żmudna, ale po ostatnich kilku dniach spędzonych na wymuszonej bezczynności w zadymionych pomieszczeniach, a także nocy pijaństwa, chłonałem świeże powietrze, jakby to był cudowny eliksir. Czulem krew krążącą w ciele, moje zmysły otwierały się na świat.

Wkrótce dotarłem do szczytu wzniesienia i powędrowałem wzdłuż wiejskich domów Rainow. Zwolniłem nieco kroku, ponieważ droga zaczęła łagodnie opadać i marsz już nie wymagał ode mnie dużego wysiłku. Zerkalem na mijane domy, dochodząc do wniosku, że Rainow – które Birgit i ja odkryliśmy przypadkowo – to naprawdę atrakcyjne miejsce do życia. Za każdym razem, gdy spoglądałem na rozległe tereny na

zachodzie, na nowo zakochiwałem się w tej okolicy. Może powinniśmy poczekać, aż zwolni się któraś z większych nieruchomości, i spróbować ją kupić bądź wynająć? A może, skoro większość wad naszego lokum była związana z przeciekami i przeciągami, które wynikały z zaniedbań właściciela, moglibyśmy od niego odkupić ten dom? Był wystarczająco duży i wygodny, a przynajmniej bez trudu moglibyśmy go takim uczynić.

Formując takie niegroźne plany, skręciłem z wiejskiej drogi w naszą alejkę i minąłem dom na rogu, gdzie mieszkali Harry Gratton i jego stara matka. Nie zauważyłem ich, chociaż w domu były otwarte okna.

Dotarłem do Cliffe End, znajomego starego domu, w którym mieszkaliśmy od ślubu i który nadal wyglądał tak samo. Wspiąłem się ścieżką do drzwi, przycisnąłem do nich dłoń i stwierdziłem, że są zamknięte. Poszukałem kółka z kluczami, a następnie spróbowałem włożyć klucz do zamka.

Nowy zamek, lśniący w słońcu, nie przyjął mojego klucza. Ponownie poruszyłem klamką i pchnąłem drzwi ramieniem.

Kilkakrotnie uderzyłem w drzwi dłonią. Starąłem się nie myśleć, po co zmieniono zamek i dlaczego muszę się dobijać do własnego domu. Usłyszałem kroki za drzwiami i jakiś kształt zamajaczył za matową szybą. Drzwi otworzył Harry, który przyjrzał mi się, mrugając z powodu niskiego wieczornego słońca. Był poszarzały na twarzy, zmęczony i nieogolony, jakby się nie wyspał. Kiedy tylko mnie poznał, szeroko otworzył drzwi, przesadnie demonstrując gościnność i przyjacielskie zamiary. W moim własnym domu.

– Co ty tutaj robisz? – spytałem grubiańsko.

– Miło znów cię widzieć, Joe – odrzekł. – Co za niespodzianka, biorąc pod uwagę, że tak długo cię nie było.

– Gdzie Birgit? – spytałem, próbując przepchnąć się obok niego, ponieważ blokował wąski korytarz. Rzuciłem torbę na podłogę, gdzie uderzyła o niski stolik, na którym zawsze kładłem przeczytane gazety. Teraz nic na nim nie leżało. Stolik się

zachwiał i przesunął, a jego nogi zaskrzypiały na gołych klepkach.

– To nie było konieczne.

– Zejdź mi z drogi! – zawołałem. – Nie chcę, żebyś ciągle przesiadywał w moim domu. Za każdym razem, kiedy wyjeżdżam, po powrocie cię tutaj zastaję. Ciągłe kręcisz się przy mojej żonie!

– Posłuchaj, Joe, lepiej zważaj na słowa!

– Harry, co się dzieje? – rozległ się głos Birgit, który najwyraźniej dobiegał z kuchni.

Przepchnąłem się obok Harry'ego, zderzyłem ze stolikiem, który wcześniej przesunąłem, i zatoczyłem na framugę. W pomieszczeniu nikogo nie było. Odwróciłem się i zobaczyłem, że Harry zbliżył się do mnie z wyciągniętymi rękami, jakby chciał mnie przytrzymać. Machnąłem w jego kierunku ręką i go odepchnąłem.

Ponownie usłyszałem głos Birgit, zdenerwowany i podniesiony. Tym razem miałem wrażenie, że dobiega z góry, więc minąłem Harry'ego, wspiąłem się po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz, i przeciąłem podest. Nie było jej na piętrze. Wiedziałem, że mam zaburzenia słuchu. Brzęczało mi w uszach i kręciło się w głowie, tak że nie potrafiłem się skupić. Zbyt długo obywałem się bez jedzenia i wciąż byłem zmęczony po nocnych wybrykach.

Harry stanął w połowie wysokości schodów i mnie obserwował. Wyglądał na wystraszonego, jakby spodziewał się, że za chwilę wyrządzą mu krzywdę.

– Gdzie jest Birgit, Harry?

– Gdybyś przestał tak biegać, już byś ją znalazł. Byliśmy w salonie, kiedy tutaj wparowałeś.

– Nic jej nie jest? – Zacząłem schodzić, a Harry wycofywał się tyłem.

– Z Birgit wszystko w porządku. Jak również z twoim synkiem. Gdzie ty był? Próbowaliśmy cię odnaleźć, ale nikt nie wiedział, gdzie jesteś.

– Synkiem? Mam synka?

Harry nagle się wyszczerzył.

– Teraz śpi. Chodź go zobaczyć.

Zbiegłem po schodach, mijając Harry'ego, który mnie przepuścił. Pchnięciem otworzyłem drzwi do salonu. Kiedy wpadłem do środka, Birgit stała, zwrócona w stronę drzwi. Zauważyłem bałagan, olbrzymią stertę ubrań, deskę do prasowania, panią Gratton, która stała przy desce z żelazkiem w dłoni, mnóstwo wełnianych zabawek, malutkich ubranek oraz białych kwadratowych kawałków materiału rozwieszonych na osłonie kominka, poczułem woń mleka w butelce, pary wodnej, owsianki, moczu i talku. W wiklinowym koszu, który spoczywał na metalowym stojaku przy oknie, dostrzegłem drobną sylwetkę niemowlęcia.

– Joe, on jest taki piękny! – Birgit promieniowała szczęściem, była pulchna i zdrowa, miała zaróżowione policzki, krągłą twarz, a ciemne włosy lśniły na jej ramionach.

– Pokaż mi go! – Podeszedłem do kołyski i się nachyliłem. Delikatnie odsunąłem cienki kocyk, który okrywał główkę dziecka, i zobaczyłem malutką, wykrzywioną twarzyczkę mojego synka.

Miał zaciśnięte usta oraz powieki i ciało pokryte różowymi zmarszczkami. Wiedziałem, że nie powinienem go budzić, ale nie potrafiłem się powstrzymać. Podniosłem malca obiema dłońmi, utuliłem go najlepiej, jak potrafiłem, a następnie odchyliłem fałdy kocyka opuszkami palców, żeby zobaczyć jego buzię.

Otworzył oczy: zadziorne zmarszczenie czoła, krótkowzroczne spojrzenie obok mnie, otwierające się i zamykające wilgotne usteczka. Zbliżyłem się do niego, żeby zobaczyć moją twarz. Odchyliłem głowę do tyłu, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

W jego twarzy ujrzałem siebie, rodzinne podobieństwo. Wszystkie moje wrażenia i doznania z ostatnich kilku godzin zblakły. Poczułem jakby przerwę w działaniu świata. Cisza na chwilę otoczyła mnie i mojego syna, emocje dramatycznie

weszbrały. Oto on, żywy w moich objęciach, zaskakująco prawdziwy i ciężki. Miał karnację mojego ojca, mój kształt głowy, spojrzenie charakterystyczne dla mojej rodziny, zauważalne nawet na pomarszczonym i pofałdowanym obliczu niemowlęcia.

Widziałem w tej twarzy siebie samego, a także znajome rysy Birgit, nieuchwytnie, ale dokładnie odzwierciedlone. Widziałem siebie, a zatem także swojego brata. Całe moje życie zawierało się w tym malutkim kawałku nowego istnienia.

Birgit stanęła obok mnie. Oparła dłoń na rękę, którą podtrzymawałem malca, i zacisnęła ją na moich mięśniach.

– Joe, to takie śliczne dziecko!

– Jak ma na imię? Już mu je nadałaś?

– Chciałam zaczekać na ciebie, ale wszyscy nalegali, żebym jakoś go nazwała.

– Nie miałem pojęcia, że już się urodził. Myślałem, że termin ustalono dopiero za trzy tygodnie! – Wpatrywałem się z błogością w mojego syna, starając się wymyślić dla niego dobre imię.

– To się stało w weekend, kiedy wyjechałeś – wyjaśniła Birgit. – Zaczęło się w sobotę po południu. Urodził się przed terminem, ale ma niemal normalną wagę. Będzie zdrowy, Joe!

Staliśmy razem, z uśmiechem spoglądając na malutkie dziecko, a nasze twarze promieniały radością.

– Postanowiliśmy nadać mu imię po moim tacie.

Odwróciłem się zaskoczony. Stał za mną Harry Gratton. Czulem jego ciężar na swoim ręku, gdy pochylił się, żeby popatrzeć na niemowlę.

– Ma na imię Stuart.

– Nadałeś imię mojemu dziecku? – spytałem z niedowierzaniem. – Nazwałeś je Stuart? Jak, do diabła...?

– To była moja decyzja, Joe – przerwała mi Birgit. – Sama wymyśliłam imię Stuart. Mnie również się podoba. Myślę, że to dobre brytyjskie imię.

Dostrzegłem jakiś ruch za panią Gratton, która przerwała

prasowanie, żeby popatrzeć, jak tuli dziecko. Na fotelu za jej plecami, odwrócony do mnie tyłem, siedział jakiś mężczyzna. Teraz wstał i skierował się w moją stronę z uśmiechem, przyłączając się do mojej trudnej chwili ojcostwa.

W tym momencie szczęście zatoczyło pełny krąg, powracając do tragedii. To był Jack, ubrany w mundur RAF-u, obecny w moim własnym domu, u boku Birgit i mojego dziecka. Jack, który podobno leżał nieprzytomny w szpitalu, Jack, który nawiedzał moje halucynacje i wypychał mnie z powrotem w objęcia rzeczywistości.

Wpatrywałem się w niego z zaskoczeniem, wiedząc, że to nie może być on. Nie naprawdę.

Jeszcze raz zerknąłem na dziecko, które tak bardzo przypominało mnie i Jacka, po czym odsunąłem je od siebie.

Birgit wzięła malca ode mnie, opiekuńczo otaczając go ramieniem i przyciskając do swojego miękkiego ciała. Traciłem nad sobą panowanie, przytłaczały mnie wyczerpanie i emocje. Zacząłem się cofać krok po kroku. Zaczepiłem o coś obcasem i od razu się potknąłem. Upadłem na plecy, zahaczając ręką o wiklinową kołyskę i odpychając ją w bok. Mocno uderzyłem tyłem głowy o podłogę i przez chwilę myślałem, że stracę przytomność.

Pozostali pośpieszyli w moją stronę. Birgit dopadła do mnie jako pierwsza i uklękła z dzieckiem przyciśniętym do piersi, wyciągając do mnie dłonie. Jack stanął za nią, górując nad nami obojgiem. Coś mówili, ale byłem głuchy na ich słowa. Przeniosłem wzrok na sufit. Był polakierowany na kremowo, metalowy, przymocowany za pomocą malutkich zamalowanych nitów. Samochód podskakiwał na nierównościach, ale talię i nogi miałem skrępowane pasami. Z trudem oddychałem, jakby pasy ścisnęły także moją klatkę piersiową. Wzbierała we mnie panika. Mogłem unieść górną część ciała i się rozejrzeć, ale w zimnym i słabo oświetlonym wnętrzu karetki nie było wiele do oglądania.

Na półce naprzeciwko spała młoda kobieta. Pamiętałem, że ma

na imię Phyllida. Wyglądała na spokojną, pomimo kołysania się pojazdu oraz niekończącego się hałasu silnika i skrzyni biegów. Miała nieruchome powieki, lekko rozchylone usta i zwiesiła jedną rękę z posłania. Gdy spała, jej sztywna kurtka Czerwonego Krzyża o funkcjonalnym kroju nabierała bardziej miękkich kształtów. Chociaż z trudem łapałam oddech, fascynowała mnie nieoczekiwana intymność jej obecności.

Przytrzymałam się krawędzi noszy, gdy karetka wpadła w dziurę na jezdni. Pod wpływem szarpnięcia gwałtownie wypuściłam powietrze. Wiedziałem, gdzie jestem i co się stało. Wszystkie lęki dotyczące moich halucynacji powróciły. Sześć miesięcy mojego życia cofnęło się i wymknęło mi się z rąk.

Samochód hałaśliwie przemierzał noc. Wszystko, co pozornie zyskałem i z czym sobie poradziłem, zagraniczne podróże lotnicze, spotkania w olbrzymich posiadłościach, układ pomiędzy Hessem a Churchilllem oraz zawarcie pokoju, ponownie znalazło się w urojonej przeszłości.

Wszystko to stracę, jeśli się poddam.

Jednakże czekało na mnie również życie, które brutalnie mnie odrzucało: konflikt z bratem, rozpadające się małżeństwo, syn, który przyszedł na świat i otrzymał imię pod moją nieobecność, wtargnięcie innych ludzi w mój świat, a wszystko to na skutek mojego zaniedbania.

Leżałem na plecach, bezradnie wpatrując się w neutralny sufit; powoli robiło mi się ciemno przed oczami. Zbudziło się we mnie rozpaczliwe pragnienie życia. Chciałem wytrwać i obudzić się w powojennym świecie. Nie miałem odwagi utracić tego, co zyskałem, niezależnie od osobistej ceny, ale każdy kolejny oddech przychodził mi z coraz większym trudem. Ciemność rozprzestrzeniała się w moim wnętrzu, przynosząc bezruch, kres niepokoju i zmagañ. Koniec mojego życia, utratę tego pokoju.

Przecież to niemożliwe, żeby wszystko było złudzeniem. Co ze szlachetnym porozumieniem, które zawarliśmy, oddzieleniem dwóch wielkich krajów od koszmaru wojny?

Karetka przestała się trząść, dokuczliwy odgłos silnika ucichł,

słabe światła przygasły. Przez chwilę z tym walczyłem, ale w końcu zaczął mnie ogarniać spokój, chociaż nie taki, jakiego zawsze szukałem. Czułem wdzierającą się we mnie ostateczną ciemność, jej lodowate, bezkresne objęcia.

Jednakże groza tego doświadczenia sprawiła, że przetrwałem noc.

Kurczowo trzymałem się życia, zmuszając się do równego i spokojnego oddychania, patrząc, jak Phyllida śpi i śni o pobudce w lepszej przyszłości.